PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

Błogosławiony lud, którego Panem
Bóg jego. *Ps. 143.*

ROK PIERWSZY. — TOM IV.

PAŹDZIERNIK, LISTOPAD, GRUDZIEŃ.

1884.

KRAKÓW.
Druk Wł. L. Anczyca i spółki,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1884.

SPIS RZECZY.

Artykuły o rzeczach współczesnych.

Stronnica.

Tysiącletni jubileusz św. Metodego . . . Dodat. I.

Po skierniewickim zjeździe, p. *X. Maryana Morawskiego T. J.* . . . . . XII.

Trzechsetletni jubileusz kongregacyi „Sodalisów Maryi“, p. *X. St. Załęskiego T. J.* 329

Artykuły naukowe i literackie.

Niemateryalność duszy p. *X. Władysława Długołęckiego T. J.* 1

Szewczenko na wygnaniu i Bronisław Zaleski, p. *A. Sulimę* 11

Klemens książe Metternich 1773—1859, p. *Henryka Lisickiego* 35, 249, 338

O źródłach niektórych utworów poetycznych polskich z XV. i XVI. wieku p. *Wilhelma Bruchnalskiego* 60

Prawdziwe pojęcie moralności p. *X. Maryana Morawskiego* 92

Darwinizm wobec rozumu i nauki, p. *X. Władysława Zaborskiego T. J.* 177, 396

Kazimierz Maciej-Sarbiewski, p. *X. X.* . . . . .

Zapiski z podróży do Panama p. *B. S.* 233

Pojęcie o Bogu w chrześcijaństwie i u filozofów, p. *X. Antoniego Langera T. J.* 358

Odnowiciel zakonu dominikanów we Francyi, p. ś. p. *Henryka hr. Wodzickiego* 427

NIEMATERYALNOŚĆ DUSZY.

Czemu w najnowszych dziełach psychologicznych i nawet w psychologiach empirycznych dla gimnazyów pisanych, wciąż czytamy tylko o klasyfikowaniu uczuć, popędów, ruchów i odruchów; a nigdzie niema mowy o tej istocie odrębnej od ciała, duchowej, nieśmiertelnej, która jest właściwym pierwiastkiem życia? Czemuż psychologia nie jest już nauką o duszy, ale tylko o najpowierzchowniejszych jej objawach?

Czy może dlatego, że uznano powszechnie, nawet w szkolnictwie, zasadę pozytywizmu, iż nauka na samych zjawiskach ograniczać się powinna? Winszuję pozytywistom tak prędkiego awansu. Ale pytam, któraż w istocie rzetelna nauka tak wyłącznie ogranicza się na zjawiskach, żeby nie sięgała do bezpośredniej ich podstaty, czyli substancyi? Fizyka i chemia są pewnie naukami empirycznemi, a jednak fizyka mówi np. o eterze, którego nikt nie widział, ani dotknął, ale który swą egzystencyę dowodzi zjawiskami światła i ciepła; chemia mówi o atomach, żadnemu także zmysłowi niedostępnych, ale dowodzących swej samoistności w połączeniach chemicznych. Do nauki należy wszystko, czego rozum ludzki dosięgnąć może; do nauki zaś empirycznej należy wszystko, co się przejawia i bytu swego dowodzi w zjawiskach, choćby samo w sobie nie było widzialnem, ani dotykalnem.

Czy może znowu dlatego rzecz o duszy pomija się w psychologii, że należy do kwestyj spornych, jeszcze naukowo nieobrobionych, o których nie można dotąd kategorycznie sądzić? Odnośnie do psychologij szkolnych byłby to niezawodnie ważny

wzgląd. Ale doprawdy czy rzeczy, które się w tych psychologiach traktują, mają ten charakter tezy, nauki skończonej? Mówi się tam o snach, ale cóż my w istocie o śnie naukowo wiemy? Mówi się o rozmaitych podziałach uczuć, ale co drugi autor to inaczej je dzieli, i nikt stanowczego punktu oparcia nie daje. Trzeba zapewnie i te kwestye naukowo uprawiać, ale pamiętając, że jeszcze im daleko do charakteru pewności i nauki skończonej.

Otóż nauka o istnieniu i duchowej stronie duszy nierównie więcej jest obrobioną, i więcej pewników posiada. Na dowód tego poruszymy niektóre z niej zagadnienia, trzymając się zawsze prawdziwej metody empiryczno-racyonalnej, która wychodząc ze zjawisk, dochodzi ich przyczyn i podstaw. Zacznijmy od pytania, czy zjawiska psychiczne dowodzą niemateryalności duszy?

Każdy z nas obnosi w swem jestestwie cały świat zjawisk. Człowiek, mały świat, μικροκοσμος, jak go starzy nazywali, ukrywa w sobie te same niemal cuda co i świat zewnętrzny, μακροκοσμος; więcej powiedzieć możemy, człowiek jest streszczeniem najróżnorodniejszych państw i działów przyrody, skupiający w swem jestestwie wszystko, co w nich wielkiego i niepojętego. Lecz prócz tego — i to bije w oczy każdego myśliciela — w człowieku występuje jakiś nowy świat, jakieś zjawiska innego zupełnie rodzaju, sięgające w sferę daleko wyższą, odgraniczoną i rozdzieloną od tego wszystkiego, co nas otacza. I stoją przed nami te zjawiska, prosząc się poniekąd, żebyśmy się spuścili do ich głębi, zeszli do tej otchłani, i z całą sumiennością, na jaką tylko nas stać, ostrzem krytyki rozumowej rozebrali je i wykazali, czy sama materya zdolną jest do ich wytworzenia.

Jednem z takich zjawisk prawdziwie zadziwiających, jest świadomość równoczesna różnych uczuć. Rozbierzmy nieco fakt zaczerpnięty z codziennego życia. W zaciszy nocnej, gdy wszystko słodkim snem spowite na skrzydłach Morfeusza przenosi się w krainę snów i marzeń, słyszeć się daje straszny, grobowy jęk dzwonu. Zrywają się ludzie ze snu, biegną do okien i z daleka widzą zarysowujące się na niebie groźne widmo łuny. Spieszą wszyscy na miejsce pożaru, pożerającego i mienie i cały mają-

tek biednego wieśniaka. Przed oczyma każdego z obecnych straszne widowisko, kłęby dymu czarnego raz po raz wznoszą się w górę, płomienie z całą siłą niszczą pracę ludzką, a tuż obok rodzina, która pada ofiarą zniszczenia, pogrążona w smutku i rozpaczy. Słyszymy łoskot załamujących się belek, jęki ofiar, krzyk o pomoc i głosy straży ogniowej z ratunkiem spieszącej. Bliżej stojących i niezbyt oddalonych zmysł powonienia uderza niemiły zapach zgorzelizny, najbliżsi czują zmysłem dotykania straszną siłę upału, wiejącą z tego miejsca zniszczenia. Prócz tego każdy z obecnych mimowoli użala się nad nieszczęśliwą rodziną, w tak bolesny dotkniętą sposób i obmyśla środki zaradcze, nagłemu jej podupadnięciu zapobiegające. Wszystkie te uczucia równocześnie łączą się w świadomości widza tej katastrofy. Jego niepodzielne „ja“ i widzi całą] grozę zniszczenia, i słyszy łamanie się belek i krzyki otaczających, i zapach spalenizny czuje i gorąco dotykaniem odczuwa i lituje się nad losem nieszczęśliwych i myśli, jakby im dopomódz.

Rozbierzmy to zjawisko świadomości równoczesnej tak różnorodnych uczuć; mam więc równoczesną świadomość uczuć wywołanych w organach wzroku, słuchu, powonienia, w zmyśle dotykania, rozlanym po całem ciele, mam zarazem myśli w mózgu i t. d. Coś we mnie z całą jasnością, na jaką świadomość zdobyć się może, czuje zarazem wywołane w sobie tak różniące się uczucia. A zatem coś, co jest w organie wzroku, musi zarazem być w organie słuchu, powonienia, dotykania i t. d. Gdyby bowiem nie było równocześnie w tych różnych organach funkcyj zmysłowych i umysłowych, natenczas nie wiedziałoby, co się w nich dzieje, tak jak ja nie wiem, o czem myśli Paweł obok mnie stojący. Musi więc być coś takiego, co zarazem w różnych tych organach jest obecnem, z niemi zespolonem, aby wrażenia w nich wywołane odnieść mogło do siebie, jako wrażenia swoje.

Może to kompleks cząstek materyi według Vogta, Büchnera i t. p. myślicieli? Ale jakżeż cząstki materyalne, z których każda osobno po za drugą istnieje, a zatem każda ostatecznie to tylko odczuje, co na nią działa, mieć mogą świadomość wrażeń, które w innych odrębnych cząstkach się odbiły? Zapewnie suponują ci panowie, że nerwy jako druty telegraficzne dają znać do jakiejś

centralnej stacyi w mózgu o wrażeniach przez różne organa otrzymanych. Ale najprzód anatomia pokazuje, że nie ma takiej stacyi centralnej: nerwy różnych zmysłów koncentrują się faktycznie w osobnych zwojach mózgowych. Po drugie takie tłumaczenie nie rozwiązywałoby trudności, tylko spychałoby ją dalej; bo o tej centralnej siedzibie wrażeń pytałbym tak samo, jak wyżej: czy jest ona złożona z części, lub nie? Jeźli nie, to już nie jest materyą i mamy ducha, którego szukamy; a jeśli jest z części złożona, to i wrażenia odebrane rozkładają się na części, a niepodzielna świadomość całości nigdzie miejsca nie ma.

Stąd oczywiście wynika, że pierwiastek życia psychicznego, musi być czemś wyższem od materyi, czemś, co z istoty swej wyklucza wszelką podzielność materyalną, i w niepodzielny sposób jedno i to samo wszędzie jest zawartem — i to duszą nazywamy. Ale, odpowiadają szermierze materyalizmu: wy tu niesłusznie bierzecie na uwagę grube, namacalne bryły materyi. O takich łatwo dowodzić, że myśleć nie mogą. Lecz trzeba zejść do świata atomów, zbadać ukryte w nim siły i dzielności; tym czynnikom, niepodpadającym pod zmysły, nie potraficie zaprzeczyć zdolności wytworzenia myśli, równie pod zmysły nie podpadającej? Otóż najprzód musimy się porozumieć co do tego, jaką jest ta materya według ich przekonania, która ze siebie myśl wyłania. Jestto agregat z różnych niezmiernie drobnych cząstek, nawzajem się wypierających i siłą spójni razem się trzymających. Podzielność więc materyi i ugrupowanie cząstek — oto zupełnie rudymentalne pojęcie materyi, na które każdy bez wahania się zgadza. Zresztą sami materyaliści, gdy myśl z materyi wywodzą, nie inaczej ją pojmują. Według Büchnera: myśl jest ugrupowaniem cząstek materyalnych, w mózgu zawartych, według Molechota: ruchem atomów mózgowych, według Vogta: wydzieliną mózgową i t. d. Dość, że wystarcza nam zupełnie według ich zdania materya ze swym składem cząstek w ruchu będących do wytłumaczenia zjawiska myśli.

Pokuśmy się obecnie o przedstawienie sobie myśli według ich teoryi; znajdziemy tu nowy dowód dla prawdy. Na organ zmysłu uderza jakiekolwiek bądź wrażenie, wprawiając w ruch cząstki w nim zawarte. Ruch udzielony narządowi, dajmy na to

słuchu, udziela się nerwom słuchowym i po nich dostaje się aż do odpowiedniego zwoju mózgowego. Mamy więc ruch atomów w komórkach mózgowych i czekamy aż z tego ruchu nie wytworzy się myśl. Możemy czekać do sądnego dnia i nie doczekamy się niczego innego, jak tylko ruchu. Czy ten ruch jest myślą, choćby był ruchem ostatnich cząstek? Nie! każdy odpowie, jest to ruch tylko i nic więcej; od niego do myśli przedział nieskończony. I wysiłki wszystkich materyalistów od Epikura do Büchnera tej przepaści nie wypełnią.

Nowsi psycholodzy tej szkoły, broniący się od przypuszczenia pierwiastka ponadmateryalnego, z drugiej zaś strony zmuszeni wyznać, że w myśli jest coś więcej, jak ruch cząstek, uciekli się do czczego słowa, w którem to coś odrębnego od ruchu cząstek ma być zawartem. Nauczają więc, że w każdym objawie psychicznym dwie strony odróżnić musimy. Pierwsza to tylko ruch cząstek, druga to tenże sam ruch cząstek uważany tylko z innego punktu widzenia. Ale cóż to ma być ta druga strona ruchu? Czy ruch ostatnich cząstek, choćbym nań patrzał przez nie wiem jak doskonałe szkła, i badał go z różnych punktów widzenia, przedstawi mi się kiedykolwiek jako coś innego od ruchu? Młyn, z której strony nań spojrzę, zawsze młynem, koło obracające się ze wszystkich stron badane, jest tylko kołem obracającem się; druga zaś strona ruchu ma być czemś innem, jak ruchem? Czy może ujrzeli kiedy drugą stronę ruchu, która im się w inny sposób przedstawiła, jak ruch? Jeżeli komu nie uchodzi mówić o takich niewidzianych i niepojętych rzeczach, to najprzód pozytywistom, których główną zasadą jest ograniczać się na tem, co jasne i namacalne. Ale trzeba było niedostatek w tłumaczeniu faktów psychicznych pokryć jakimś płaszczykiem, uciekli się więc do tego słowa, z wszelkiego znaczenia obranego. Prawda, że oprócz ruchu cząstek, w organie zawartych, by zjawisko psychiczne dostatecznie wytłumaczyć, trzeba nam coś więcej przypuścić, aniżeli sam ruch cząstek; lecz to coś, co przypuścić musimy, nie jest drugą stroną ruchu, ale wkroczeniem zupełnie innego czynnika, który z pierwszym składa się na jeden fakt zmysłowy.

Myśl, jak każdego z nas własne doświadczenie uczy, jest obrazem rzeczy pojętej lub poznanej, a to obrazem żywym,

który nietylko jest odbiciem wewnętrznem rzeczy przedsobnej, ale jest pewnem ujęciem różnych jej części i znamion w jednym, niepodzielnym rzeczy wyrazie. Gdyby istota myśli była li tylko odźwierciedleniem się przedmiotu, wtedy nie byłoby dla nas żadnej trudności przyznać materyalistom, że tego rodzaju zjawisko nie przekracza bynajmniej granic możliwości materyalnego świata. Gwiazdy w noc pogodną odbijające się na jeziorze, sygnet wyciskający na wosku herb wyrznięty, są dostatecznym tej prawdy dowodem.

Nie taką jest jednak wewnętrzna istota myśli. Myśl wrodzonym sobie rzutem rozmaite cząstki przedmiotu skupia w jedno, i w tym akcie, obejmującym w sobie części i własności jakiejkolwiekbądź rzeczy w jednę całość, zawiera się dopiero istota myśli.

I tak np. pojęcie teologii, nie jest to odrębne istnienie dwóch obrazów nauki i Boga, ulokowanych w różnych częściach mojego „ja," ale jest to skojarzenie ich w niepodzielną jedność pojęcia nauki o Bogu. Sąd, który wydaję o Pawle, że jest uczciwym człowiekiem, nie polega na jakiemkolwiek dowolnem ugrupowaniu obrazów we mnie wyrażonych: Pawła, uczciwości i człowieka, ale jest to złączenie tych trzech pojęć w jednej niepodzielnej intuicyi. Aby bowiem wydać sąd tego rodzaju, muszę wszystkie te trzy pojęcia jedną intuicyą uchwycić, połączyć je spójnią „jest" i zawyrokować: „Paweł jest uczciwym człowiekiem."

Charakterystyczną więc cechą aktu myśli jest jego niepodzielność. Prawda ta zresztą tak jest jasną, że mimowoli na nią podpisuje się każdy człowiek, który nie zerwał z głosem rozumu. Zarzucićby na pozór można, że nieraz w naturze więcej zupełnie oddzielonych sił może się złożyć na niepodzielny skutek, który niczem innem nie jest, jak wypadkową siłą, ze składu innych powstałą. Ale łatwo zauważyć, że tylko wtedy coś podobnego nastąpić może, kiedy skutek jest poza przyczyną działającą, a zatem kiedy akt jest przechodnim: np. kiedy para koni ciągnie jeden wóz. Nie może zaś być mowy o wypadkowej niepodzielnej, powstałej ze zespolenia więcej składników, kiedy mamy do czynienia z aktem wsobnym, zawartym w podmiocie, poza podmiot niewychodzącym i będącym jakością podmiotu, jak jest każdy

akt psychiczny. W takim bowiem razie akt przez podmiot wywołany i w nim pozostający, musi być jednolity z podmiotem; gdyby więc podmiot był podzielnym, natenczas sam akt ten byłby w sobie podzielonym według części w podmiocie zawartych.

Cóż więc ostatecznie stąd wynika? Dla pozytywisty, są to zjawiska do skonstatowania i do zapisania w gotowych rubrykach. Nam samo skonstatowanie faktu myśli nie wystarcza. Rozum nasz wrodzonym pędem natury z tego zjawiska wzbija się wyżej i szuka przyczyny, która skutek tak zadziwiający wytwarza. Mając przed sobą poznanie jako akt niepodzielny, wnosimy logicznie, że istota, która ten akt z siebie wydaje, musi być również niepodzielną, a więc niemateryalną: raz, że skutek nie może być doskonalszym od przyczyny, a nadto, że jakość wnętrzna, jaką jest ten akt, musi być jednolita z substancyą swoją.

Dotychczas zastanawialiśmy się nad pojęciem aktu umysłowego, i wyprowadziliśmy stąd logiczny wniosek, że akt umysłowy przekracza sferę działalności materyi. Nie porzucajmy jeszcze tego dowodu, bo jest w nim dziwna siła zawarta, paraliżująca wszelkie mrzonki Vogtów, Büchnerów i tym podobnych myślicieli. Za punkt wyjścia obecnie niech nam posłuży sama materya. Kto wie, powie sobie niejeden, czy nieco głębiej wniknąwszy w jej istotę, nie dostrzeżemy przynajmniej jakiejś przybliżonej możliwości, że kiedyś w tysiącu lat spłodzi myśl, i będzie się mogła przyznać do godności jej macierzyństwa.

Działalność materyi, jak sami materyaliści nas nauczają, zależy ostatecznie na ruchu cząstek i wzajemnem ich ugrupowaniu, stąd wynika kształt i tym podobne własności ciał. Jeżeli przeto myśl, czyli pojęcie, sąd, rozumowanie, są funkcyami materyi, natenczas muszą się dać podciągnąć pod jakąkolwiek kategoryę jej sił lub własności. A zatem w danym razie wytłumaczyć je powinniśmy przez rozciągłość, kształt, ruch i t. p.

Niech nam więc wolno będzie zapytać się tych ścisłych i sumiennych badaczów, w jak szybkim ruchu uderzać musiałyby nawzajem drobiny czy atomy, aby się zdobyć na utworzenie pojęcia, np. kwadratowego pierwiastku. Jaki to pojęcie

może mieć kształt, ile stopni ciepła? Mówię na seryo, bo skoro wszystkie rzeczone własności wynikają bezpośrednio z materyi, materya zaś, według materyalistów, jest wyłączną przyczyną myśli, przeto pojęcia, sądy i tak dalej, muszą mieć zupełnie te same własności, jakiemi materya się odznacza: muszą więc mieć swój kształt, swe ciepło i t. d. Czyż zdrowy rozum nie oburza się przeciw tego rodzaju niedorzecznościom? Czyż profesor z podobną występujący nauką i ogłaszający ją z katedry uniwersyteckiej, nie zdawałby się żartować ze swych słuchaczów, mieć ich za półgłówków, albo chcieć ich tylko uśmiać i zabawić?

Do takich rezultatów musi dojść fałszywa nauka, jeżeli zamiast iść poprostu za światłem przedmiotowych racyi, daje się powodować stronniczemi względami. Kto choćby cokolwiek tylko zastanawia się nad wewnętrznym procesem, jaki w nas się odbywa, by wytworzyć myśl, sąd lub rozumowanie, ten nigdy wątpić o tem nie może, że jest w nas coś więcej, jak czcze tylko ugrupowanie cząstek materyalnych. Musi on przyznać, że jest w nim coś ponadmateryalnego, jakaś samoistność *(substantia)* innego zupełnie rzędu, wyższa, nad materyę wzniesiona, i niedozwalająca w żaden sposób zepchnąć się do poziomu rzeczy czysto materyalnej. A gdyby mimo to wszystko, party siłą antimoralną, chciał wyłamać się z konieczności przypuszczenia tego rodzaju pierwiastka, niech się zastanowi nad kilku faktami, które nam świadomość, nieoddzielna towarzyszka naszych aktów, podaje, a tak pewna, tak niezachwiana w swoich referatach, iż nie potrzebuje się pod tym względem najmniejszego obawiać zawodu.

Każdy z nas to czuje i wie o tem dobrze, że mamy pojęcia ogółowe, oderwane od wszelkiej szczegółowości, i ponad nią wzniesione. Ogólne pojęcie człowieka przedstawia mi go jako zwierzę rozumne, nie przedstawia mi Pawła, Jana lub Jakóba, bo w takim razie myślałbym o szczególnem indywiduum, ale przedstawia mi to, co każdemu człowiekowi jest wspólne, abstrahuje od cech indywidualnych, i ponad niemi stojąc, okazuje mi to, co każdemu człowiekowi przyznać muszę, jako istotną jego cechę, jak szkoła mówi: *Unum commune pluribus.*

Pytam się teraz, w jaki sposób przedstawi mi materya pojęcie tego rodzaju? Na to odpowiadają jej wyłączni wielbiciele:

przez układ cząstek. Dobrze! Ale cóż to jest to ugrupowanie cząstek? Czyż ono nie przedstawia mi obrazu konkretnego, szczegółowego, a zatem w ostatecznym razie ideę konkretną szczegółową? Cóż zaś idea konkretna ma pokrewnego z ideą ogólną? Pojęcie ogólne trójkąta przedstawia mi jego wnętrzną istotę: płaszczyznę trzema liniami prostemi zamkniętą; abstrahuje więc zupełnie od jakości trójkąta, a ma na oku wewnętrzną, istotną cechę, która sprawdzić się musi w każdym trójkącie, jakiegobądź on jest rzędu, czy prostokątnym, rozwartokątnym, czy też ostrokątnym. Obraz ze składu cząstek powstały przedstawia mi jeden tylko oznaczony trójkąt. Wyobrażenie *(phantasma)* trójkąta, jego rysunek na tablicy wykreślony, to trójkąt szczególny, tak jak powstać on może z ugrupowania i składu cząstek. Ale czyż to jest pojęcie ogólne trójkąta? Musi więc być we mnie władza wolna od naleciałości czysto materyalnych, wyzwolona z pod jej ścieśniającego jarzma. Musi więc być we mnie coś więcej, aniżeli proste tylko cząstki, które złożyć obraz indywidualny są w prawdzie w stanie, ale wzbić się ponad wszelką szczegółowość nie mogą.

Tak samo mamy pojęcie rzeczy czysto możliwej. Jakżeż obraz materyalny przedstawi mi to pojęcie? Każdy z takich obrazów przedstawi mi rzecz istniejącą, ale czy się może jakiekolwiek wyobrażenie konkretne zdobyć na przedstawienie możliwości? Nie, do tego nigdy się nie posunie! A przecież pojęcie możliwości mam, gdybym go bowiem nie miał, nie miałbym i słowa na jego wyrażenie; gdyż, jak już Leibnitz powiedział, mowa jest odzwierciedleniem myśli. Pojęcia tego materya nie jest w stanie wytworzyć, więc coś więcej znowu każdy z nas mieć musi, co się usuwa z pod praw materyi, i co *ipso facto* ponad nią stoi.

Rozumowanie to w całej jego rozciągłości zastosować możemy do pojęć moralnych: prawa, słuszności, cnoty i t. d. Tego rodzaju pojęcia niechże mi wytłumaczą przez ruch cząstek i ich układ! Któż się o to pokusi? Wszelki ruch, układ cząstek, kształt i t. d. niczem innem nigdy nie będą, jak tylko ruchem, układem cząstek, kształtem i t. d. Choćby nawet (co być nie może), były świadomością ruchu, kształtu, układu cząstek, zawsze przepaść zostanie między niemi a pojęciami moralnemi. Otchłani tej cząstkami materyi, i najdziwniej skombinowanego ich układu nikt nie wypełni.

Tego rodzaju dowody tak są pewne, że żaden z materyalistów nie próbował nawet na nie odpowiedzieć. O ile możności usuwają się oni od tego rodzaju dowodów, by tylko nie było potrzeba przyznać się do tego, że cała ich wiedza z wszystkiemi ich zdobyczami naukowemi nie jest w stanie wytłumaczyć zjawiska myśli, póki opiera się na gruncie czysto materyalnym. A do czego zmierza ich praca, jeżeli nie do tego, by zerwać z głosem wrodzonym, okazującym każdemu istnienie pierwiastka ponadmateryalnego, i, wbrew nawet logice, wydać ostateczny sąd, że niema duszy? Ale głosu, który się odzywa z głębi natury ludzkiej, nie stłumią nawet w sobie samych, a tem mniej stłumią go w tych, co się obliczają sumiennie z prawami rozumu, i nie według woli rozum, ale według rozumu pragnienia woli kierują.

X. Władysław Długołęcki.

SZEWCZENKO NA WYGNANIU
i Bronisław Zaleski.

Znanym jest powszechnie wpływ Szewczenki na literaturę ruską. Był on niewątpliwie i jest po dzień dzisiejszy najbardziej utalentowanym poetą Rusi. Cały dotychczasowy kierunek literatury ruskiej, wszystkie jej prądy: religijne, narodowe i społeczne płyną z utworów Szewczenki, jakby ze swego źródła. „Niema dla nas zakonu, powiada Kulisz, nad słowo jego". Dalsza działalność literacka Rusinów jest pod wieloma względami tylko rozwinięciem i rozszerzeniem, wypowiedzianych mniej więcej wyraźnie w pismach Szewczenki, uczuć, pragnień i ideałów. Wpływ jego zresztą nie ograniczał się szczupłemi granicami literatury ukraińskiej. Stał się on widocznym u niektórych pisarzy rosyjskich. Dosiągł nawet pewnej części społeczeństwa polskiego, mającego stosunki z Kijowem, ówczesnem ogniskiem budzącego się ruchu narodowego ukraińskiego. Z jednej strony tak zwana „chłopomania" młodzieży kijowskiej; z drugiej znaczny poczet tłumaczy Szewczenki na język polski, jak Leonard Sowiński, Wł. Syrokomla, Antoni Sowa (Żeligowski), A. J. Gorzałczyński, są najlepszym dowodem tego wpływu, jaki wywarły pisma największego poety ruskiego na ogół polski i literaturę.

Korzystając z niedawno wydanych prac, odnoszących się do życia i literackiej działalności Szew., a zwłaszcza z jego listów do naszego współziomka Bronisława Zaleskiego [1], zamierzam przed-

[1] „Kijewskaja Starina" r. 1883. 1 6 listów Szewczenki do Br. Zaleskiego z przedmową M. T-owa; oprócz tego korzystałem z następujących dzieł: „Życie i utwory Tarasa Szewczenki", ułożył M. K.

stawić w niniejszym artykule jednę z najdonioślejszych chwil jego życia, a mianowicie dziesięcioletni okres wygnania. Okres ten może i powinien nawet zainteresować czytający ogół polski, ponieważ wówczas kobzarz ukraiński nawiązał bliższe stosunki z Polakami, co nie pozostało bez wpływu na kierunek jego uczuć i myśli.

Smutną w ogóle była młodość Szewczenki. Urodzony w niewoli poddańczej, poniewierany od dzieciństwa to u diaka cerkiewnego, w roli „żaka-popychadła“, to na nauce u dyakona-malarza, to na upokarzającem stanowisku kozaczka pokojowego u swego pana, Niemca Engelhardta. Wśród podobnych warunków nawet karyera „zostania niewinnym trzód pasterzem“ zaprzątała przez pewien czas młodocianny umysł. Nareszcie przyszła upragniona chwila wykupienia z poddaństwa w sposób niezwykły, jako rzeczy jakiej, przy pomocy sumy uzyskanej ze sprzedaży losów na portret poety rosyjskiego Żukowskiego, zrobiony przez znanego malarza Briulowa. Takiem więc było dzieciństwo Sz., takiemi przejścia i wrażenia młodości w czasie, gdy dla innych bywa ona zwykle „górną i chmurną“. Z nich musiał on wynieść przedewszystkiem tę nienawiść do wszelkiej przemocy i ucisku, co jak nić czerwona, snuje się przez wszystkie jego utwory.

Ale nadeszły wkrótce jeszcze smutniejsze czasy w życiu poety ruskiego. Oddawał się on z całem zamiłowaniem studyom malarskim i pozyskał już był rozgłos utalentowanego malarza. Lecz i sam Sz. i jego przyjaciele ukraińscy czuli potrzebę uzupełnienia wykształcenia artystycznego podróżą do Włoch. Najtrudniej było o środki; lecz i te się znalazły przy pełnem entuzyazmu usposobieniu ówczesnej, nielicznej jeszcze inteligencyi ruskiej. Jedna z panien zamożniejszych, Biełozierska, zaręczona ze znanym literatem ruskim Kuliszem, ofiarowała prawie cały swój posag na koszta trzyletniej podróży dla Szewczenki, zastrzegając przytem najściślejszą tajemnicę. Tymczasem zamiast do pięknej Italii, zmu-

---

Czałyj. Kijów 1882 (część II. Szewczenko na wygnaniu str. 65—89); „Zarys historyi literatury ukraińskiej XIX. w.“ przez N. J. Petrowa. Kijów 1884 r.; „Taras Szewczenko“, przez Leonarda Sowińskiego. Wilno 1861; „Kobzarz“ (Zbiór poezyj Szewczenki). Praga 1876 r. dwa tomy.

szonym był udać się na stepy kirgiskie i zamieszkać pośród ludzi, którzy, jak sam powiada, „byli gorsi od Scytów".

Powody uwięzienia i wygnania Szewczenki były następujące. Wśród młodzieży ruskiej, oddanej pracy naukowo-literackiej, utworzyło się tajne stowarzyszenie pod wezwaniem ŚŚ. Cyrylla i Metodego, którego dążenia demokratyczne, połączone z sympatyami federalistycznemi wszechsłowiańskiemi, stawiające jednak za główny cel swego powstania — wyzwolenie ludności wiejskiej z poddaństwa, wywołały podejrzenia i represye. Pomiędzy wielu innymi aresztowano wówczas i Szewczenkę, częścią za udział w wyżej wymienionem tajnem towarzystwie, częścią za napisanie kilku wolnomyślnych wierszyków, które w licznych odpisach krążyły po rękach. Najprawdopodobniej jednak za napisanie poematu „Kaukaz", poświęconego pamięci swego przyjaciela francuza, nazwiskiem Balmen, osiadłego na Ukrainie, później skazanego do wojska za liberalny sposób myślenia i poległego w walce z Czerkiesami. Aresztowano go w chwili, gdy pełen najlepszych myśli i widoków na przyszłość, wracał z wesela swego przyjaciela Kulisza, ze wspomnianą wyżej Biełozierską, poświęcającą tak wspaniałomyślnie swój majątek na podróż uwielbianego poety za granicę.

Wypadki teraz następowały szybko po sobie: wywiezienie do Petersburga, więzienie, indagacye, a potem dziesięcioletnie wygnanie od r. 1847 do 57. Wyrokiem bowiem sądu wojennego został Sz. skazany „w sołdaty", do twierdzy Orska, położonej za rzeką Uralem, wśród stepów kirgiskich. Następnie przeniesiono go do Orenburga. Ale skutkiem denuncyacyi, iż, wbrew stanowczemu zakazowi „malowania, rysowania i pisania wierszy", rysuje portrety osób cywilnych i wojskowych, a nawet wysokich dostojników, przewieziono go stamtąd do warowni Nowopetrowskiej, gdzie spędził resztę lat swego wygnania. A na domiar nieszczęścia trafił na niewykształconych i nieludzkich zwierzchników. Jak smutnym być musiał jego los, można się najlepiej przekonać ze słów samego wygnańca: „Wspomnienie o tem, com przeszedł i widział w ciągu tego czasu, napełnia mię drżeniem; a cóżby to było, gdybym nakreślił ponury obraz tych nieokrzesanych złoczyńców, wespół z którymi odgrywałem dramat dziesięcioletniego wygnania". Postanowiono z pięćdziesięcioletniego prawie mężczyzny zro-

bić dobrego żołnierza. Po ośm godzin na dobę musiał odbywać ćwiczenia wojskowe. Władze wojskowe wyższe i niższe, z małym tylko wyjątkiem, obchodziły się z nim jak najgorzej. Naczelnik kompanii (roty) groził mu rózgami, gdyby się źle zachowywał. Poeta ruski musiał poświęcić ostatnie swe zasoby w gotówce, aby rozbroić gniew swych bezpośrednich przełożonych, co jednak nie zawsze mu się udawało. Nie uniknął nawet sromu kary cielesnej, jak to stwierdza pisarz Biełozierski w czasopiśmie „Kijew. Starina“ [1]. Opowiada bowiem, iż w r. 1856 widział u Andrzeja Lizoguba, przyjaciela Szewczenki, pięć listów tego ostatniego, pisanych w pierwszych latach wygnania. Na jednym z nich znajdował się własnoręczny rysunek, przedstawiający Szewczenkę, okładanego tasakiem przez podoficera, z podpisem u dołu: „Ottak tobi!“

Samo się przez się rozumie, że nie zbywało na wszelkiego rodzaju drobnych szykanach. Gdy razu pewnego nie tą ręką zdjął czapkę przed oficerem, przesiedział cały tydzień w areszcie. Nawet przechadzek poza mury twierdzy mógł tylko używać po kryjomu.

Jedyną ulgą w cierpieniu były skargi w listach do przyjaciół, chociaż tych ostatnich liczba znacznie zmalała, jak sam z żalem wyznaje: „Święci Pańscy raczą wiedzieć, gdzie się oni podzieli“. Niektórym osobom życzliwym wygnańcowi, jak n. p. księżnie Repnin, zakazano pisywania do „sołdata Szewczenki“. Inni przestali pisać z obawy przed podejrzeniem o sympatye dla wygnańca i prześladowaniem. Oto, w jakich gorzkich słowach skarży się na swój los w liście z dnia 15 czerwca 1853 roku, pisanym do swego przyjaciela Gułaka: „Ja żebrak w całem znaczeniu tego wyrazu, a to nietylko pod względem materyalnym, ale w duchu i sercu. Szósty rok nic nie piszę, nie rysuję i nie czytam. A jakbyś ujrzał, wśród jakich ludzi tu się znajduję! Jestem po prostu u nich w pięści: cisną, bez miłosierdzia cisną, a ja muszę im się kłaniać, bo w jednej chwili rozmiażdżą, jak...“ W liście do Osipowa, artysty, tak się wyraża o swych przełożonych w Nowopetrowsku: „Getowie, wśród których, nad brzegami

[1] R. 1882.

Dunaju, Owidyusz Nason wlókł ostatnie dni swego żywota, byli dzikimi barbarzyńcami, a nie pjakami; a otaczający mnie są jednem i drugiem. Scytowie, ale nadto i pjacy".

W ostatnich chwilach pobytu na wygnaniu rozpacz go ogarnia do tego stopnia, iż w jednym ze swych listów do hr. Anastazyi Tołstoj, z dnia 22 kwietnia 1856 roku, woła: „O ratujcie mię, albo rok jeszcze jeden i — jestem zgubiony!" Wśród tych cierpień wygnania wyrywały się i w utworach poetycznych słowa tak wiernie charakteryzujące położenie ich twórcy:

„straszno wpasty u kajdany,
umirat w newoli..."

lub:

„Ta ne daj, Hospody, nikomu,
Jak meni teper staromu
U newoli propadaty..."

Przy takiem usposobieniu i stosunkach, godziny ciągnęły się wiekami:

„Liczu w newoli dni i noczi
i lik zabuwaju..."

a przy niemożności doczekania się końca niewoli, mógł poeta ukraiński o sobie powiedzieć:

„krowawymi slezami
„neraz postelu omoczu".

Od tej smutnej rzeczywistości odrywał się, jak mógł najczęściej, i myślą przenosił się do zielonych stepów Ukrainy, dzierzganych różnobarwnem kwieciem, do jej mogił i kurhanów, nad brzegi szumiącego Dniepru. Wówczas żywo przedstawiał sobie ciche i spokojne ukraińskie sioła, otoczone wieńcami sadów, oświetlone srebrzystem światłem księżycowych nocy, wśród których starcy gwarzą u progów chaty, z oddali dochodzą śmiechy mołodyc, lub tęskna nuta dumek, nuconych przez mołojców. W takich chwilach wyrywały się mu słowa:

„Gulaw bi ja ponad Dniprom
Po weselich selach,
Ta spiwaw bi swoi dumi.

Gdy jednak setki mil oddzielały od tych uroczych obrazów, a na plecach trzeba było dźwigać karabin, wtenczas błagał:

„.... donesi
Na moju Krainu
Moi slezi; bo ja, Boże,
Ja za nei ginu!“

* *
* *

Wśród tego długoletniego wygnania i tęsknoty za krajem rodzinnym, wśród zapomnienia wielu ze swych dawniejszych przyjaciół a brutalności zwierzchników, znajdował poeta ruski rozrywkę, pociechę, a w potrzebie nawet i pomoc u polskich kolegów wygnania, z którymi się tam poznał i zaprzyjaźnił. Jednym z najbliższych mu stał się wygnaniec z Litwy, Bronisław Zaleski, znany później pisarz i sekretarz Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu.

Najlepszem, bo dokumentnem wyjaśnieniem stosunków kobzarza ukraińskiego z wygnańcami Polakami może posłużyć 16 listów, pisanych przez Szewczenkę do Br. Zaleskiego w latach 1853—57-my, zamieszczonych w czasopiśmie miesięcznem „Kijewskaja Starina“. Wszystkie te listy datowane z fortecy Nowopetrowskiej, położonej na wschodniej stronie morza Kaspijskiego, na półwyspie Mangiszlak, a tylko ostatni z Astrachanu, w drodze do Petersburga, po odzyskaniu tak upragnionej i z taką niecierpliwością oczekiwanej wolności.

Wydawcą listów Szewczenki jest niejaki M. T-ów, który, otrzymawszy je od Włdz. Spasowicza, przesłał redakcyi „Kijew. Stariny“ do umieszczenia, zaopatrzywszy kilku wstępnemi słowy. Z przedmowy M. T-owa dowiadujemy się, iż Br. Zaleski zamierzał rzeczone listy wydać w tłumaczeniu polskiem (pisane były po rosyjsku), w osobnej broszurze lub w Rocznikach Towarzystwa historyczno-literackiego. Ostatecznie zdecydował się na umieszczenie tychże w wydawnictwach Akademii krakowskiej, dokąd zostały przesłane. Lecz gdy na tej drodze listy Szewczenki w druku się nie ukazywały, Wł. Spasowicz rozpoczął na nowo poszukiwania i znalazł ich odpis w rękach Józefa Kraszewskiego w Dreźnie, a otrzymawszy go do swego rozporządzenia, przesłał wspomnianemu wyżej wy-

dawcy M. T-owi. Gdzie się znajduje oryginał listów, dotąd wydawcy nie udało się odszukać, chociaż czyni w tym kierunku wszelkie możebne starania.

O stosunkach i korespondencyi Szewczenki z Br. Zaleskim krążyły, jak w prasie polskiej, tak i rosyjskiej, najróżnorodniejsze przypuszczenia i pogłoski. Powiadano np., że Sz. miał zmienić swoje zapatrywania na przeszłość i znaczenie dziejowe Polski, na wpływ katolicyzmu na Ruś, a skutkiem tego zaczął się skłaniać ku Unii kościelnej. Tego rodzaju wieści znalazły przystęp nawet do poważniejszych prac literackich i dały powód do stereotypowych oskarżeń propagandy polskiej. Biograf Szewczenki Czałyj [1] zastosował i tutaj, wynalezioną i nadużywaną przez Katkowa „intrygę polsko-jezuicką", nieprzebierającą w środkach i pragnącą jakoby opanować popularną postać poety ruskiego, aby uczynić z niej sztandar dla przyszłych kombinacyj polsko-ruskich.

Nie wiemy na razie, jakie były poufne zwierzenia na temat przyszłych planów politycznych pomiędzy ruskim poetą i wygnańcami polskimi. Rozpatrzywszy się jednak w owych 16 listach, nawet wydawca tychże M. T-ów nie dostrzega nic takiego, coby mogło zakrawać na „intrygę polsko-jezuicką" w postępowaniu polskich towarzyszów niedoli z Szewczenką, osamotnionym i zaniedbanym, jak sam się nieraz uskarża, przez świat cały. W podobnież bezstronny sposób, jak M. T-ów, ocenia stosunki Polaków z Szewczenką N. J. Petrów, autor „Rysu historyi literatury ukraińskiej" [2], przyznając, iż „Szewczenko zbliżył się do Polaków, znajdujących się w twierdzy Orskiej, i nawiązał z nimi przyjacielską korespondencyą. Wpływ polski był więc wynikiem zbliżenia się Szewczenki do Polaków, a zatem nie mógł mieć ukrytej myśli użycia nieszczęśliwego wygnańca za środek agitacyi politycznej. Ale i sam Czałyj [3], pomimo rzuconego oskarżenia na współwygnańców Szewczenki, o kilka kartek dalej stwierdzając, iż „radośne chwile, spędzone przez kobzarza, w towarzystwie rozumnych i wykształconych towarzyszów wygnania, nie zdołały

[1] „Życie i utwory Tarasa Szewczenki", ułożył M. K. Czałyj. Kijów 1882. str. 82.

[2] Kijów 1884 r. str. 322.

[3] Str. 87.

okupić cierpień moralnych, doznanych w ciągu 10-letniego pobytu w fortecach", zdaje się sprowadzać do właściwej miary stosunek Polaków do poety ruskiego i przeczyć własnemu twierdzeniu o „jezuickiem opanowaniu" jego osoby, jako przyszłego sztandaru Ukrainy.

Bliska zażyłość Szewczenki z wygnańcami polskimi da się najlepiej udowodnić z jego własnego „Dziennika", chociażby to było niezbyt przyjemne dla niektórych zelotów odrębności ruskiej, pragnących za jakąbądź cenę usunąć się od wszelkiego z nami zetknięcia. Pewnego razu, pisze Szewczenko, żołnierz Oberemenko rzekł do niego: „Widzę, żeśmy swoi, ale nie wiem, jak do was przystąpić; bo wy zawsze to z oficerami, to z Polakami; to co?"

Od stosunków towarzyskich kobzarza ukraińskiego z polskimi kolegami wygnania przejdźmy do kwestyi jego uczuć i poglądów na Polskę i jej przeszłość. Wydawca listów M. T-ów przeczy stanowczo, aby Szewczenko miał szczególniejszą nienawiść do narodu polskiego. Jego zdaniem objawiała się ona tylko w młodzieńczym okresie literacko-poetycznej działalności Szewczenki, gdy w swych utworach starał się przedstawić walki religijno-społecznej natury. Za najlepszy wyraz jego zapatrywań uważa M. T-ów wiersz do Br. Zaleskiego z roku 1859, zaczynający się od słów: „Szcze jak buli my kozakami". Nie podobna jednak zgodzić się z M. T-ow'em, aby zupełnie jednakowe uczucia ożywiały Szewczenkę względem narodu polskiego w „Hajdamakach", co i w tym ostatnim wierszu.

O usposobieniach największego poety ruskiego względem Polski i Polaków, krążą dwa zupełnie odmienne zapatrywania, odnoszące się do dwóch różnych epok jego życia. Jedno zna w nim tylko autora „Hajdamaków", łaknącego krwi szlacheckiej i katolickiej, rozkoszującego się w mordach i pożogach, będących wynikiem szalonej nienawiści religijnej i społeczno-narodowej. Takim miał być Szewczenko przed swem wygnaniem. Zupełnie innym miał się stać po powrocie stamtąd. Pod wpływem wygnańców Polaków, przy bliższem zetknięciu się z nimi, zmienił jakoby swoje zapatrywania polityczno-narodowe i religijne; stał się skłon-

nym do zgody z narodem polskim na podstawie tradycyj i praw historycznych, a z Kościołem katolickim na podstawie Unii.

Oba powyższe zapatrywania nie są w całości zgodne z prawdą, a przynajmniej grzeszą jednostronnością. Ani w pierwszym okresie swej literackiej działalności nie odznaczał się Szewczenko jakąś wyjątkową nienawiścią do narodu polskiego, wykluczającą możność pojednania; ani w drugim, powygnańczym okresie nie zaszedł tak daleko, jak to podobało się twierdzić mało obznajomionym z tymi stosunkami. Przez cały ciąg swego żywota pozostał wiernym swym uczuciom i poglądom na położenie narodu ruskiego, pozostał samym sobą, a tylko przestał obwiniać jednę stronę wyłącznie za cierpienia swego narodu w przeszłości i teraźniejszości; zdołał dokładniej zrozumieć i ocenić winy najgłośniejszych przywódców buntów kozackich i z większą nieufnością patrzeć na mniemane dobrodziejstwa układów perejasławskich.

Postaram się udowodnić powyższe zapatrywania powołaniem się na niektóre wyjątki z jego pism, o ile na to rozmiary pracy niniejszej pozwalają.

Niewątpliwie uczucia nienawiści społecznej, dochodzące niekiedy do ekstazyi, grają pierwszorzędną rolę w przeważnej części utworów Szewczenki i pozostawiają ciężkie, przygnębiające wrażenie na nieuprzedzonym czytelniku. Najpotężniej oczywiście w „Hajdamakach“ i „Nocy Tarasowej“. Pomimo przeciwnych pozorów, nie można jednak powiedzieć, aby to była nienawiść narodowa — jest ona tylko społeczną, a obok niej dźwięczy, zlewa się z nią niekiedy, ale zawsze pozostaje na podrzędnem stanowisku nienawiść narodowa. Tej ostatniej poeta na wskróś ludowy uniknąć nawet nie mógł, jeżeli zważymy na stosunki społeczne i etnograficzne ziem ruskich, gdzie polskość była reprezentantem większej własności ziemskiej, korzystającej z uprzywilejowanego stanowiska. Nienawiść natury społecznej była najpierw wynikiem osobistych uczuć i wrażeń autora „Hajdamaków“, zrodzonego w stanie poddaństwa, spędzającego najpiękniejsze lata młodości w ciężkich jego warunkach; następnie pochodziła z ogólnego nastroju ludu ruskiego i jego twórczości poetyckiej. Lud ruski — jak mamy świadectwo najkompetentniejszych znawców jego samo-

rodnej poezyi — albo wcale nie odczuwał narodowej strony walk polsko-kozackich, albo w zbyt słabym stopniu. Dosyć obojętnie się zachował wobec usiłowań nadania im cechy religijnej, a żywo przejmował się jedynie ekonomiczno-społeczną stroną tychże. Lecz pozostawmy głos w tym przedmiocie takim znawcom ludowej poezyi ruskiej, jak pp. Antonowicz i Drogomanów: „Pamięć narodu ruskiego nie zachowała pieśni o walkach czysto kozackich z Polakami, celem wywalczenia praw szlacheckich kozakom regestrowym, a nieregestrowym praw kozaków regestrowych, jakimi były powstania Kosińskiego, Łobody i Nalewajki, a nawet powstanie Pawluka, w którem żywioł ludowy brał już czynny udział. Dopiero żywo przechował lud ukraiński pamięć walk od Bohdana Chmielnickiego, gdzie masy protestowały przeciwko stosunkom społeczno-ekonomicznym. Z tych tylko czasów pochodzą pieśni i dumy ludowe ruskie". Więcej niż sam Chmielnicki bohaterami ludowej pieśni są jego towarzysze, pochodzący z ludu, jak Neczaj, Perebijnos i. t. d." Ani jednej pieśni, dodajmy jeszcze, nie pozostało o przejściu Ukrainy z pod panowania polskiego pod rosyjskie. W przeszłości najwięcej ciężyły ludowi ruskiemu stosunki poddańcze, utrata obiecanych lub skończonych „słobód", rosnąca z biegem czasu liczba dni pańszczyźnianych; a kozakom — pośrednie stanowisko pomiędzy chłopem a szlachcicem. Stąd pochodzi zerwanie się obu warstw do walki społecznej, uwidocznionej we współczesnej pieśni ludowej, będącej jednak wyrazem pragnień i cierpień prawie wyłącznie ludności wiejskiej.

Z tegoż samego źródła, co pieśń i dumka ludowa, popłynęła i poetycka twórczość największego poety ruskiego. Nie ulega również wątpliwości, iż najgłośniejsze utwory współczesnej literatury ruskiej płyną przeważnie z bolów i cierpień społecznych, a nie narodowych. Stąd tak odmienne od polskiego duch i kierunek literatury narodowej Rusinów.

Szewczenko doświadczył na sobie i swych najbliższych krewnych najboleśniejszej strony stosunków poddańczych. Z tego źródła pochodzi jego nienawiść do poddaństwa, jako instytucyi, a zarazem i do panów polskich na Ukrainie, jako ciągnących z niej największe korzyści i nadużywających niekiedy swej wła-

dzy w sposób obrażający uczucia ludzkie. Ich więc czyni odpowiedzialnymi za wszystko złe, trapiące wówczas ludność wiejską, chociaż, przy nieco gruntowniejszej znajomości dziejów, mógłby się Szewczenko przekonać, że ucisk ludu wzmógł się dopiero w drugiej ćwierci naszego wieku. W malowaniu złego Szewczenko zresztą przesadza do tego stopnia, iż w jednym ze swych utworów („Marina") sam wyraża obawę, aby go nie uważano za oszczercę panów, aby nie powiedziano:

„dureń łaje,
za te, szczo sam krepak,
nie odukowannyj siriak".

Innych Polaków, jak właścicieli ziemskich na Ukrainie, Szewczenko nie znał. Przeszłość ani Polski, ani Rusi również nie była mu bliżej znaną. Korzystał bowiem z najlichszych lub grubo tendencyjnych prac historycznych, w rodzaju „Istorii Russów" pseudo-Koniskiego. Skutkiem tego pełno u niego błędów historycznych lub rażących anachronizmów. Jaskrawym wyrazem tej ignorancyi będzie zawsze sponiewieranie i zepchnięcie na poziom zwykłego rozboju Konfederacyi barskiej. Najważniejszy ze swych utworów: „Hajdamaków" napisał podług opowiadania ludzi starych, nie przeczytawszy poprzednio ani jednej pracy drukowanej o rzezi z r. 1768-go. Za tło historyczne do tego poematu posłużyły przedewszystkiem opowiadania jego dziadka, który jednak z chwalebną szczerością zwykł był mawiać: „Kiedy łgą starzy, to i ja z nimi". Czytelnicy i wielbiciele „Hajdamaków" powinniby zawsze pamiętać o tem źródle najpopularniejszego z utworów Szewczenki.

Skutkiem słabej znajomości historyi, nawet najbliższch czasów, nie dziwota, iż dawniejsze nadużycia splotły się u niego dziwnem pogmatwaniem czasów i wyobrażeń z pojedyńczemi nadużyciami teraźniejszości, aby nagromadzić jak najwięcej ponurych barw do tego, już i tak strasznego, obrazu. Smutne objawy poddaństwa wraz z tradycyami „kolijów" złożyły się na utwór, w którym nienawiść pieni się i wre z całą siłą, jak w tym np. ustępie, gdzie Gonta przemawia do swych dzieci, uczniów szkoły humańskiej [1]:

[1] Podług wybornego przekładu L. Sowińskiego.

„Czemu wroga wy nie rznęli?
Matki nie zabili,
Tej przeklętej katoliczki,
Co was porodziła?“ [1]

lub, gdy pijany krwią i mordem woła:

„krwi mi dajcie, bo chce mi się pić,
I chce mi się patrzeć, jak ona czernieje“. [2]

Prawdziwie przygnębiające czyni wrażenie ustęp, w którym poeta podnosi do apoteozy obu bohaterów krwawego dramatu z r. 1768:

„Gdzie Gonty mogiła —
Gdzie relikwie męczeńskie
Ziemia przytuliła?
Gdzie Zelaźniak, dusza szczera,
Z dolą wiekopomną?“

Ale i w tym osławionym utworze nie wszystko jest orgią nienawiści — i tutaj przychodzą poecie refleksye. Szewczenko w swych poglądach politycznych, o ile wybiega poza ciasne granice Ukrainy, jest zwolennikiem panslawizmu, dalekiego jednak od wyłączności panslawistów rosyjskich. Ideałem jego — federacya ludów słowiańskich, oparta na wymierzeniu każdemu z nich praw przynależnych, co wówczas tylko będzie możebne, gdy się Słowianie pozbędą swych grzechów i błędów politycznych, jak to wyraźnie wypowiedział w swem „Posłanje“ do Szafarzyka z roku 1845. Wychodząc z tego zasadniczego zapatrywania, musiał Szewczenko przypomnieć, iż ta krew szlachecka, której tak łaknął jego bohater, jest krwią jednego z najzasłużeńszych około cywilizacyi ludów słowiańskich. Nie mógł zatem, a przynajmniej nie powinien był zachwycać się bezwarunkowo morderczą walką narodu polskiego z ruskim. To też we wstępie do pierwszego wydania „Hajdamaków“ sam się przyznaje, iż opowiada owe krwawe

[1] „Czom woroga ne rizali?
Czom matir ne wbili,
Tu proklatu katoliczku,
Szczo was porodiła?“

[2] „krowi meni, krowi!
szlacheckoj krowi, bo choczet'sia pit',
choczet'sia diwitiś, jak wona czornie...“

wypadki dlatego, aby synowie i wnukowie wiedzieli, „że i ojcowie ich błądzili czasami".

W kilku miejscach samego poematu przebija się uczucie żalu i zwątpienia w godziwość środków, nietylko nieprowadzących do celu, ale przeciwnie zgubnych dla obu zwaśnionych narodów. W jednej pieśni tego poematu (Gupaliwszczyna), wskazując na zniszczone miasta i sioła, wyraża głęboką boleść na widok okropności, dokonanych przez dzieci jednej matki, których obowiązkiem było żyć w zgodzie i miłości:

„Jednej matki, jedne dzieci
Żyćby i nie sarkać" [1].

Na innem miejscu objawia się toż samo uczucie w słowach:

„Serce boli, skoro wspomnisz:
Słowian starych dzieci
Krwią się spili..." [2]

Monolog Gonty („Gonta w Humaniu"), po zamordowaniu własnych dzieci przeczuwającego zgon i karę, nie świadczy również, aby Szewczenko w krwawej zemście widział objaw prawdy i sprawiedliwości.

Nareszcie w epilogu „Hajdamaków", jak i w rezultacie krwawych walk polsko-ruskich, przebija się uczucie bezużyteczności rozlanej krwi bratniej, skoro kto inny zebrał jej owoce:

„Ej, posieli hajdamacy
W Ukrainie zboże;
Lecz nie oni go wyżęli..."

Wyznać jednak należy, iż tych ustępów jaśniejszych, natchnionych jakiemś wyższem, szlachetniejszem uczuciem jest niezmiernie mało; owszem bledną one i nikną wśród atmosfery ponurej, przesiąkłej krwią niewinnie przelaną i oświetlonej łuną pożarów. Najgwałtowniejszym zaś w objawach swej nienawiści okazał się Szewczenko w „Nocy Tarasowej", którą wraz z L. Sowińskim słusznie można nazwać „kanibalską epopeją".

Wspólny pobyt Szewczenki na wygnaniu z Polakami, nie mając cech jakiejś powziętej z góry i obmyślanej propagandy,

---

[1] „Togoż bat'ka, takiż diti
Zitib ta bratat'sia".

[2] „Bolit serce, jak zhadajesz:
Starich Sławian diti wpiliś krowiu..."

usposobił go życzliwiej względem naszego narodu. Wyobrażający dotychczas w każdym Polaku tradycyjnego pana ukraińskiego, znalazł u swych kolegów wygnania usposobienie przychylne ludności wiejskiej i wstręt do prawa poddańczego. Odbiło się to i na jego poetyckiej działalności okresu powygnańczego. Nie widzimy już tam tych wulkanicznych wybuchów nienawiści społeczno-rasowej, jak w utworach poprzednich. Gdy w wierszu „Szwaczka“ z r. 1849, zatem z pierwszych lat wygnania, wkłada w usta swego bohatera:

„Ne dam że ja wrażim Lacham
W Ukraini żit'...“

to w r. 1858 woła do swego przyjaciela Br. Zaleskiego z ciepłem serdecznem i uczuciem braterskiem:

„Podajże ruku kozakowi,
I serce czistee podaj,
I znowu imenem Christowim
Wozobnowim nasz tichij raj!“

W roku zaś 1859, w wierszu napisanym w smutnej pamięci dla obu narodów Perejasławiu, zwraca się do tego, który uczynił niemożebnem, Bóg święty wie na jak długo, wznowienie upragnionego przez wszystkich ludzi dobrej woli „cichego raju“ polsko-ruskiej zgody: „Jakbi ti na swit ne rodiwś!“ I nie raz jeden dostaje się Bohdanowi Chmielnickiemu, a najostrzej w wierszu zaczynającym się od słów: „Jakbi to ti, Bogdanie pianyj“...

Po bliższem rozpatrzeniu się w dziejach swego narodu i stosunkach, rozczarował się Szewczenko szczególniej w tak zwanej „hetmańszczyźnie“, a winę nieszczęść ludu ruskiego mógł z czystem sumieniem przypisać i starszyźnie kozackiej, dbającej tylko o swoje korzyści, poświęcającej dla nich lub zbyt wygórowanej ambicyi potrzeby i interesa tych, w imię których jakoby występowali.

Oprócz bliższego poznania się z Polakami niewątpliwie, że i wzmocnione uczucie religijne, objawiające się w listach Szewczenki do Br. Zaleskiego, mogło się przyczynić do złagodzenia niezasłużonej nienawiści względem Polaków, którzy i tak ciężko pokarani zostali za błędy swej przeszłości. W jednym z listów do Br. Zaleskiego oświadcza gotowość — przybywszy na Litwę — udać się do Wilna, aby tak wspólnie z nim pomodlić się przed

obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej. Zdaje się, iż z autorem „Hajdamaków“ zaszła podobna zmiana, jak z jego bohaterem Warnakiem, który, dopuściwszy się niesłychanych mordów na Lachach, na widok świątyń kijowskich i jęku dzwonów, zwołujących wierzących na modlitwę, uczuł ciężki żal za swe błędy, i oddał się dobrowolnie w ręce sprawiedliwości. Ten sam człowiek, co pragnął ze współtowarzyszem wygnania modlić się w Ostrej Bramie, nie mógłby po raz wtóry kazać Goncie kopać grób poświęconym nożem dla swych pomordowanych dzieci li tylko dlatego, iż się zrodziły z matki katoliczki.

Gdyby dzisiejsi koryfeusze ruchu narodowego ruskiego przemawiali do nas takim językiem i z takiem uczuciem, jak Szewczenko w wierszu do Bronisława Zaleskiego, to spory nasze społeczno-narodowościowe poszłyby dawno w zapomnienie, a moglibyśmy śmiało powtórzyć z kobzarzem ukraińskim:

„Wstane Ukraina
I rozwie t'mu newoli
Swit prawdi zaswitit“ [1].

* * *

Podczas pobytu na wygnaniu utrzymywał Szewczenko stosunki, oprócz Br. Zaleskiego, z następującemi osobami polskiego pochodzenia: z Michałem Zielonką dominikanem, niegdyś prefektem gimnazyum na Litwie, zwanym przez wygnańców i w listach Szewczenki „ojcem prefektem“; z poetą Edwardem Żeligowskim, piszącym pod pseudonimem Antoniego Sowy; Zygmuntem Sierakowskim (Dołęgą), później podpułkownikiem sztabu generalnego, powieszonym w Wilnie w r. 1863. Oprócz wyżej wymienionych osób wspomina jeszcze Szewczenko dosyć często w swych listach o Mostowskim, Kolesińskim, Średnickim, Turnie, Tomaszu, (zapewne Zanie), Cejziku, aptekarzu w Orenburgu, jakimś Ludwiku i wielu innych. Z serdecznych wspomnień, jakie o Polakach wygnańcach czyni, lub z rozmaitych próśb i poleceń, skierowanych ku Br. Zaleskiemu, można bez przesady powiedzieć, iż ruski poeta żył tam prawie wyłącznie w kółku polskiem, od którego doznawał i prawdziwej przyjaźni i nawet pomocy mate-

[1] Wiersz napisany w r. 1861.

ryalnej, przez ułatwianie mu sprzedaży rysunków i akwarelli. Z licznych dowodów przyjaźni lub sympatyi, odbieranych przez wygnańca ruskiego od wygnańców Polaków, wspomnę tylko o tych, które wymienia biograf Szewczenki Czałyj. Antoni Sowa, współtowarzysz niedoli ruskiego poety w Orenburgu, wspominany później tak serdecznie w jego listach do Br. Zaleskiego, zwraca się doń z utworem pod tytułem: „Do poety ludu"; niejakiś Przewłocki, wracając z wygnania do ojczyzny, zostawia mu pakę książek, pomiędzy któremi „Estetyka, czyli umnictwo piękne" Kar. Libelta staje się dla Szewczenki bodźcem do robienia głębszych studyów nad tą gałęzią wiedzy ludzkiej, z którą, jako poeta i artysta, czuł potrzebę obznajomienia się. Współwygnaniec Mostowski opowiada mu obszernie o wypadkach r. 1831, w których uczestniczył jako oficer artyleryi. Aluzye polityczne znajdują się tylko w odezwie Zyg. Sierakowskiego do Szewczenki, w której wyraził potrzebę zlania się jednoplemiennych narodów, mieszkających po obu brzegach Dniepru. Co zaś na to odpowiedział Szewczenko, niema najmniejszych wskazówek w tych źródłach, jakie miałem pod ręką.

Tem mniej mogło być mowy o polityce w listach ruskiego wygnańca do Br. Zaleskiego. Ten ostatni otrzymuje je bądź na wygnaniu, bawiąc w Orenburgu i Bogosłowsku, bądź po powrocie na Litwę. Względy ostrożności i bezpieczeństwo osobiste, jak w jednem tak i drugiem miejscu pobytu, nakazywały wykluczenie z korespondencyi wszelkich, chociażby najniewinniejszych, wzmianek i uwag politycznych. Nie znamy wcale listów Br. Zaleskiego do Szewczenki, lecz, o ile sądzić można z odpowiedzi tego ostatniego, ograniczały się one na zapewnieniu o swej przyjaźni, o życzliwości dlań całej rodziny piszącego, o modłach zanoszonych do Boga przez siostrzeńców Zaleskiego, celem wyjednania wolności dla przyjaciela swego wuja i t. d. Wtajemnicza Zaleski swego kolegę wygnania w plany i projekta na przyszłość, cieszy się szczęściem pożycia familijnego po powrocie z długiego wygnania, oglądaniem osób mu najdroższych, jak rodziców, krewnych, przyjaciół. Wiosna litewska z całym powabem kwitnących krzewów, zieleniejących drzew, śpiewu słowika, nastraja pierś jego na ton uroczysty, budzi w niej artystyczne skłonności.

„Chciałbym, powiada Zaleski o Litwie, zbadać ten uroczy kawałek ziemi dla mnie świętej, i przedstawić jego piękność w kilku rysunkach“. Taką była mniej więcej treść listów, pisywanych przez Br. Zaleskiego do Szewczenki. Przejdźmy teraz do korespondencyi tego ostatniego.

Dla wykazania, czem była przyjaźń Br. Zaleskiego znękanemu ciężkiem doświadczeniem ruskiemu poecie i dla wielu pięknych uczuć i myśli, zawartych w jego listach, zastanowię się nad nimi nieco obszerniej.

Dla swego przyjaciela Polaka jest Szewczenko pełen najserdeczniejszego wylania, cieszy się jego radością, a smuci się smutkiem. Objaw jego prostych, ale szczerych i głębokich uczuć, dalekim jest od wszelkiej konwencyonalności. Zwykle przystępuje po prostu do rzeczy lub do swych próśb i żądań, a wszelkie czulsze wyrażenia płyną z głębi serca. Trafiają się w nich dosyć często podobne zwroty: „Nietylko będę ci wdzięczen, ale ubóstwiać cię będę“, „wierzę ci jak Bogu“, „twój ostatni list uczynił mię z martwego przynajmniej nawpół żywym“..., „po otrzymaniu twego listu, zacząłem przychodzić do siebie, zacząłem czuć i myśleć; prawda, że dumy moje nie są promienne, ale zawsze dumy....“ Takich ustępów możnaby przytoczyć więcej z owych 16 listów, ale mniemam, że i te wystarczą.

Zaleskiego prosi nieustannie o kupowanie mu farb, pędzlów, ołówków, sepii, tuszu i t. p. — jednem słowem wszystkiego, czego może wymagać malarstwo lub rzeźbiarstwo, któremi więcej niż literaturą zajmował się Szewczenko na wygnaniu. Malarstwo było jego profesyą, rzeźbiarstwem trudnił się jako dyletant. Kredką lub pędzlem prawie wyłącznie utrzymywał się, ponieważ nie miał znikąd pomocy materyalnej. W zbywaniu zaś rysunków i obrazów pośredniczył głównie Br. Zaleski, a ze swego opłakanego stanu finansów nie robił Szew. żadnej tajemnicy przed swym przyjacielem Polakiem. Przesyłając d. 13 maja 1857 r. na jego ręce 17 rysunków do sprzedania, pisze: „Jestem teraz podobny do tureckiego świętego, a święci-tureccy, jak ci wiadomo, nie są wybredni pod względem kostiumu, oni się prezentują niekiedy au naturel.“ W jednym ze swych listów uprasza Zaleskiego, aby się wstawił za nim do generała Biurno, do którego chętnieby

się zgłosił Szewczenko wówczas tylko, gdyby od niego dostał list rekomendacyjny, „bez tego nie ośmielę się stawić przed generałem; zdziczałem tutaj do tego stopnia, iż nie uwierzysz, jakimi oni dla mnie są potworami, po prostu zgroza!“

Gdy Br. Zal. otrzymał pomyślną wiadomość o bliskiem uwolnieniu, Szewczenko wyraził swą szczerą radość i przesłał mu życzenia:[1] „Daj Boże, abyś ujrzał swą stroskaną matkę i twą piękną ojczyznę!“ Na wieść zaś o uwolnieniu Zaleskiego z wygnania pisze Szewczenko, iż zapłakał ze smutku, albowiem „bez ciebie jestem zupełnym sierotą w Orenburgskim kraju. Do kogoż przylgnę całem sercem na tej pustyni? Do kogo tak po bratersku, otwarcie będę mógł się zwrócić z memi potrzebami i kto tak szczerze, jak ty, przyjmie na siebie obowiązek zbywania mych „materyj“? Nikt!“[2].

O matce Br. Zaleskiego, „która zrodziła szczerego, jedynego mego przyjaciela,“ w żadnym liście, pisanym na Litwę, nie zapomina. Otrzymawszy opis sceny powrotu pod ojczystą strzechę, pisze Szewczenko: „Jestem jakby obecnym przy tej scenie, jakbym sam całował i łzami oblewał ręce twej, tak długo bolejącej, a obecnie tak szczęśliwej matki“... „twoja radość nieodłączna od mej radości, jak kochająca dusza od takiejże kochającej duszy.“ Nie zapomina i o siostrzeńcach Zaleskiego — które to słowo pisze zawsze po polsku—prosi ich ucałować i powiedzieć, że „serce moje zawsze z nimi,“ a obiecuje przyjechać na Litwę i wycałować ich tak gorąco, jak tej chwili całuje ich wuj, a jego przyjaciel.

W swych marzeniach o odzyskaniu wolności projektuje udać się najpierw nie na swą ukochaną Ukrainę, jakby można było przypuszczać, lecz na Litwę. Po przejeździe przez Moskwę „obieram drogę smoleńską, albo wileńską i przyjeżdzam wprost do Raczkowicz.[3] Tutaj rozpoczyna się druga część poematu. Spotykam się z tobą, płaczę i całuję ręce twej szczęśliwej matki, całuję twego szczęśliwego ojca, siostry, twych „czarnookich i niebiesko-

[1] List ze stycznia 1854 r.

[2] „Materya“ w korespondencyi Szewczenki z Br. Zaleskim oznacza rysunki i obrazy.

[3] Własność rodziców Zaleskiego.

okich siostrzeńców“ i w objęciach szczęścia powtarzam wiersz wielkiego poety: „Mało powietrza całej Arabii do zapełnienia mej wolnej piersi.“ Zamiast Arabii będę mówił—Litwy. Ochłonąwszy nieco po tym objawie silnej radości, wyrywam cię prawie przemocą z objęć twej szczęśliwej matki i pewnego pięknego poranku modlimy się razem przed obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej. Wilno również drogie memu, jak i twemu sercu. Z litewskiej stolicy pędzimy warszawskiem szosse do Akademii sztuk pięknych w Petersburgu, wieńczymy nasze szczęście dwoma laty pustelniczego życia akademickiego. A ileż to radości w tem życiu pustelniczem! Radość ta i to szczęście zrozumiałe są dla tych, co tak kochają sztukę, jak my z tobą ją kochamy“ [1].

Jaką miłością sztuki odznaczał się Sz. i jakie gotów był ponieść dla niej ofiary, najlepiej charakteryzują następujące słowa tegoż samego listu: „Żyjemy z tobą skromnie, prawie ubogo, w maleńkich pokoikach, pracujemy niezmordowanie, uczymy się i rozkoszujemy nauką“... „jakie to niewysłowione szczęście widzieć czarowną sztukę w całym jej blasku! Raj, obiecany tylko świętym!“

Pod koniec swego pobytu na stepach kirgiskich powziął był zamiar przedstawienia przypowieści ewangelicznej o synu marnotrawnym w całym szeregu obrazów, wziętych ze współczesnego życia i obyczajów rosyjskich. Czy zamiar ten wykonał, z korespondencyi z Br. Zaleskim dowiedzieć się nie można. Ale do jakiego stopnia posuwał miłość dla swych pomysłów artystycznych, sądzić można z następujących słów: „Broń Boże niepowodzenia, to umrę: idea zbyt silnie zrosła się z moją duszą.“

Zważyszy na zakaz rysowania i malowania, Sz. bywał niekiedy w prawdziwym kłopocie, co ma robić ze swemi pracami. Liczba wykończonych dochodzi niekiedy dziesięciu. A do „leniwych swych współziomków“ nie chce się udawać. Ci od niego żądali zawsze „plomby,“ jak się uskarża Sz., to jest podpisu na rysunkach i obrazkach, czego on uczynić nie mógł, ze względu na zakaz zajmowania się pracą artystyczną i literacką. Za ten brak względ-

[1] List z d. 10 lutego 1857 r.

dności raczy swych współziomków mianem „prostoty.“ Pośrednictwem w zbywaniu rysunków i obrazów najwięcej i najgorliwiej zajmował się Zaleski, dopóki bawił w Orenburgu. Po jego odjeździe na Litwę pisze ze smutkiem Szewczenko, iż będzie musiał udać się z tem do swych współrodaków, żądających od niego „stempla,“ bez czego w oczach tych „dziwaków“ dzieła jego pędzla i dłóta nie mają żadnej wartości. [1]

Twórczość artystyczna była potrzebą, prawie koniecznością jego życia. „Niedosyć widzieć piękne, rozumne, dobre czoło człowieka, lub niem się lubować, czytamy pod d. 10 lut. 57 r., potrzeba narysować je na papierze i niem się zachwycać, jako dziełem Boga Żywego“... „Bez rozumnego pojmowania piękna, człowiek nie ujrzy Wszechmogącego Boga w drobnym listku najmniejszej trawki. Dla studyowania botaniki i zoologii zachwyt jest niezbędnym, bo w przeciwnym razie botanika i zoologia będą martwym trupem pośród ludzi. A zachwyt zdobywa się tylko głębokiem pojmowaniem piękności, nieskończoności, symetryi, i harmonii w naturze. O jakby się chciało pomówić z tobą o Kosmosie i posłuchać, jak czytasz pieśń Wajdeloty!“ — Przy innej znowu sposobności przypuszcza, iż „podróż po Wilii może być nadzwyczaj zajmującą. Jakbym pragnął popływać po tej litewskich strumieni rodzicy!“ [2]

Nietylko że dla siebie samego marzy Sz. o przyszłości artystycznej, ale radby widzieć i Zaleskiego artystą. „Moralne zasoby, pisze doń, posiadasz; nie zbywa u ciebie i na miłości dla sztuki, a to wystarcza. Jeżeli w ten sposób przyszłość swą urządzisz, pieszo przyjdę do ciebie, aby się porozkoszować twymi utworami.“

Dla poety i malarza, tak rozmiłowanego w pięknościach natury, potrzeba było zupełnie innego nieba, innego otoczenia, niż ponure i monotonne widoki stepów kirgiskich. Nie mógł znieść przedewszystkiem tych szarych skał wokoło, a tęsknił do świeżej zieloności lasów. Gdy komendant twierdzy posadził kilka wierzb w swym ogrodzie, cieszy to niewymownie Szewczenkę, donosi

[1] List z r. 1856.
[2] Z d. 10 maja 1857.

o tem swemu przyjacielowi i obiecuje sobie, iż za lat dziesięć będzie mógł je rysować, a tymczasem musi poprzestać na wyobrażeniu drzew i krzewów. Po odjeździe Br. Zaleskiego do zakładów bogosłowskich, nad północnym Uralem, wyrywają się mu z piersi następujące słowa: „Witam cię na łonie dziewiczej, uroczyście pięknej przyrody! Wielebym i bardzo wiele zasłał modłów przed tron Boga Żywego za jednę godzinę, spędzoną z tobą pośród ciemnych lasów sosnowych, pod cieniem ponurej, jak duma Ossyana, o rozłożystych konarach jodły. Dobrze i jak jeszcze dobrze, Boże mój miły, przeszłaby nam ta godzina razem z tobą! Mybyśmy obrali wygodny punkt i dobre oświetlenie i staralibyśmy się odrysować tę smutną i majestatyczną królowę lasów mglistej północy."

Z równą serdecznością i przyjaźnią odzywa się i o innych polskich kolegach wygnania, o ile do tego ma sposobność w listach pisywanych do swego przyjaciela. „Mnieby się chciało, pisze w r. 1853, zawiązać korespondencyą z Antonim Sową, ale nie wiem, jak zacząć. Po polsku pisać nie umię, a po rosyjsku jakoś niewłaściwie." [1] Za otrzymany od Br. Zaleskiego .portret Antoniego Sowy dziękuje, jak może najgoręcej; „coś bliskiego, pokrewnego, dodaje przytem, widzę w tej dobrej, pełnej zadumy twarzy." „Piszesz, powiada dalej, iż pragnąłbyś, abym nawiązał bliższe stosunki z Antonim Sową. Daj Boże, aby wszyscy ludzie byli tak bliscy, jak my z nim; wówczas byłoby szczęście na ziemi." O otrzymanym przez siebie liście od Zyg. Sierakowskiego, tak się wyraża: „List natchnionego Zygmunta z przyjemnością przeczytałem. Prawdziwy poeta!" — W jednym z późniejszych listów [2] życzy Sierakowskiemu „najświetniejszego powodzenia na obranej drodze", a po otrzymaniu jego portretu całuje go „całą pełnią swej duszy."

Nie zapomina Br. Zaleski zasilać ruskiego wygnańca książkami rozmaitej treści, za co tenże dziękuje mu najserdeczniej. „Do głębi serca ucieszyłeś mię, czytamy pod dniem 9 październ. 1854 r., obietnicą przysłania Körnera, a przedewszystkiem

[1] List nr. I.
[2] Z dn. 10 lut. 1857. r.

Bohdana Zaleskiego“... „dziękuję ci za piękne pieśni Antoniego Sowy; z nich najbardziej mi się podobały: „Dwa słowa“ i „Eksprompt.“ O tłumaczeniu swej „Katarzyny“ przez A. Sowę wyraża się w ten sposób: „Katarzyna moja nie jest ani tak dobrą, ani tak skończoną, ażeby ją tłumaczyć, a zwłaszcza tłumaczyć Sowie.“ — „Miłego Bohdana (Zaleskiego), pisze w liście z d. 9 paź. 1854 r., otrzymałem z serdeczną wdzięcznością i teraz z nim się nie rozstaję; wiele utworów już umię na pamięć; jedno tylko cięży na sercu — niema komu słuchać, niema z kim podzielić się tym czarem, jaki zawiera w sobie poezya, a samemu trudno zamknąć w sobie i dźwigać ten nadmiar boskich, wzniosłych idei.“

Czytywał Szewczenko z upodobaniem i Mickiewicza, jak o tem można się przekonać z niektórych zdań i cytat, zawartych w korespondencyi z Br. Zaleskim. Próbował nawet tłumaczyć liryczne utwory naszego wieszcza, ale podobno bez wielkiego powodzenia.

Ze współczesnej mu literatury ruskiej niezupełnie był zadowolonym. Po nadesłaniu mu, jak się wyraża, „kijowskich łandyszy“ [1], robi następującą uwagę [2]: „Biedni moi współziomkowie myślą, że w swem cudnem narzeczu mogą nietylko wszelkie głupstwa pisać, ale nawet i drukować.“

* * *

Ale i dla kobzarza ukraińskiego zbliżała się tak upragniona chwila odzyskania wolności. Pierwszą wiadomość o spodziewanym pomyślnym rezultacie starań otrzymał od hr. Anastazyi Tołstoj, za pośrednictwem artysty Osipowa. Rozbudzone nadzieje bliskiego uwolnienia odtąd nie dawały mu spokoju. Im bardziej zbliżały się ku końcowi jego długoletnie cierpienia, tem stawał się niecierpliwszym. Nareszcie nadszedł, po dwóch latach gorączkowego oczekiwania, rozkaz uwolnienia. Szewczenko nie zwlekał ani chwili. Siadł do łodzi, popłynął przez morze Kaspijskie do Astrachanu, a stamtąd napisał ostatni z ogłoszonych w „Kijew. Starinie“ listów do wypróbowanego w niedoli przyjaciela Polaka,

[1] Łandysz oznacza konwalią.
[2] Nr. 10.

śpiesząc z nim podzielić się swem szczęściem, w zupełnem zaufaniu, iż tenże zdoła je odczuć i zrozumieć: „Ten miniaturowy list stworzy w twem szlachetnem sercu ogromną, rozkoszną bibliotekę“... „wesoło, przyjacielu mój jedyny, nieskończenie wesoło, gdy nasze czarowne, nadpowietrzne zamki zaczynają się stawać rzeczywistością.“ Na końcu zaś tego ostatniego listu powiada: „Najmocniej wierzę, iż się kiedyś zobaczymy, ale kiedy i gdzie, nie wiem; w każdym razie nie na stepie kirgiskim.“

Do Raczkowicz, jak o tem Szewczenko nieraz marzył, nie mógł pojechać. Musiał udać się przez Moskwę do Petersburga. Nie obeszło się i w drodze bez rozmaitych nieprzyjemności, skutkiem których omal co nie odbył po raz wtóry podróży „na step kirgiski“, chociaż w pierwszem upojeniu odzyskanej wolności tak mocne wypowiedział przekonanie, iż tam więcej nie wróci. Przyczyną zaniepokojenia ruskiego poety i zatrzymania go w Niżnym Nowogrodzie, była po prostu sekatura policyjno-biurokratyczna. Zażądano bowiem od niego dekretu uwolnienia od służby wojskowej; a skoro nim się nie mógł wylegitymować, chciano zawrócić go do Uralska. Okazało się następnie, iż uwolnienie było warunkowem: oddawano Szewczenkę pod dozór policyi i zakazywano pobytu w obu stolicach państwa. Zanim trudności te zostały usunięte, zaznał kobzarz ukraiński nie mało przykrości i obaw o swą przyszłość. Ostatecznie uzyskał pozwolenie zamieszkania w Petersburgu, skąd dopiero w r. 1859 mógł po raz pierwszy od powrotu z wygnania pojechać na Ukrainę.

Zatem zamiar odwiedzenia Litwy, a w niej swego serdecznego druha, nie przyszedł do skutku. Czy się kiedyś w życiu poeta ukraiński spotkał ze swym współtowarzyszem wygnania? Nie jest mi wiadomo. W każdym razie na stepie kirgiskim już się więcej nie spotkali. W kilka lat potem, mianowicie w r. 1861, zakończył Szewczenko swój żywot pod zimnem niebem północnej stolicy carów, a tylko prochy jego spoczęły nad brzegami ojczystego Dniepru. Bronisław Zaleski, opuściwszy kraj rodzinny, znalazł nowe pole działalności literackiej w nadsekwańskiej stolicy, gdzie po ciężkiej walce z trudami i biedą życia emigranckiego zmarł przed paru laty.

Dziesięć lat wygnania i oderwania od świata cywilizowanego

i jego spraw nie omieszkało wywrzeć silnego wpływu na Szewczenkę. Pracą wytrwałą starał się następnie wynagrodzić braki, wynikłe z pozostania poza ogólnym rozwojem literatury. Zdaniem Turgienjewa[1], od czasu powrotu z wygnania objawiły się w nim dziwactwa, upodobanie w życiu hulaszczem, a twórczość poetycka słabła widocznie. — Ale w zapatrywaniach i uczuciach zaszła niewątpliwie zmiana na lepsze. Namiętności i uprzedzenia, wybuchające z gwałtownością i niepohamowaną siłą w okresie powstania „Hajdamaków", ustąpiły miejsce spokojniejszemu i pojednawczemu usposobieniu.

Życie i ciężkie doświadczenia najcelniejszego z poetów ruskich mogłyby służyć jako przykład nauczający dla dzisiejszej inteligencyi ruskiej. Znaczna jej część żyje dotyczas uprzedzeniami i namiętnościami Szewczenki z pierwszego okresu jego poetyckiej działalności. U niej dotychczas „Hajdamaki" należą do najpopularniejszych utworów. Dla dobra jednak obu bratnich narodów, żyjących od pięciu przeszło wieków na jednej ziemi, życzyćby należało, aby inteligentny ogół ruski dobrze rozważył i wziął do serca słowa, zwrócone doń przez największego własnego poetę: „Zrzućcie okowy (należy rozumieć ciemnoty), obejmijcie najmłodszego z braci, uczcie się u swoich i obcych!" Najwięcej zaś liczył Szewczenko na „słowo rozumu świętego", które powinno czuwać wiecznie nad jednostkami i narodami; jeżeli przytem, dodajmy od siebie, narody zapominać nie będą i o tem świętem Imieniu Chrystusa, pod którego godłem obiecywał Szewczenko Zaleskiemu wznowienie cichego raju polsko-ruskiej zgody. Pod strażą wiary i rozumu nie będzie miejsca dla bezwzględnej negacyi i wyuzdanych objawów nienawiści.

A. Sulima.

---

[1] Zarys hist. ukrań. lit. XIX w. Petrowa str. 325.

KLEMENS KSIĄŻE METTERNICH
1773—1859.

(Ciąg dalszy.)

XII.

Przypatrzmy się bliżej człowiekowi, co tak wiele miejsca na świecie zabierał, jego sposobowi życia, zajęciom, gustom.

Większą część roku Metternich zamieszkiwał w Wiedniu z rodziną pałac kancelaryi stanu na Bal-Platz. „Mam do mego użytku, opowiada w poufnym liście, obszerny przedpokój, salon, w którym oczekują osoby odwiedzające mnie, bibliotekę i pokój do pracy. W bibliotece mieści się w szafach około piętnaście tysięcy tomów, na środku stoi Wenus Canovy, otoczona okrągłą kanapą. Pokój do pracy o trzech oknach, pełen jest obrazów, biustów, brązów, rycin, rysunków, art k jeograficznych, instrumentów astronomicznych; pędząc tu siedm ósmych mego czasu, gromadzę koło siebie wszystko, w czem mam upodobanie. Artyści miejscowi i zagraniczni znoszą do mnie swoje utwory, jak na wystawę, bo widuje je tu mnóstwo ludzi. Bawi mnie nieraz roztargnienie moich gości, na widok tylu rozmaitych przedmiotów. Naszym dzieciom, gdy są grzeczne, matka pozwala przychodzić do mnie na kilka chwil, a ja sądzę, że ich tu ciągnie więcej ciekawość, niż przywiązanie do ojca. Podczas wielkich balów, muszę robić ofiarę z biblioteki, w której ustawiają stoliki do kolacyi; Wenus sprawia wtedy nieco kłopotu... Mój apartament szczególnie dobrze się wydaje w południowych godzinach, słońcem zalany. Trudno mi obronić mebli od działania słońca, mam

za to dwie rzeczy, najbardziej mi potrzebne i drogie, światło i ciepło. Nienawidzę szczupłych mieszkań, nie jestem w stanie w małym pokoju pracować; w ciasnej przestrzeni umysł się kurczy, myśl zwęża, serce nawet więdnie."

Z nadejściem wiosny przenosił się do domu w ogrodzie na Rennweg; w lecie prawie co roku spędzał parę tygodni w Czechach, na kuracyi w Karlsbadzie, w Koenigswart, w Plass, czasem w Johannisbergu. Raz jeden, po kongresie wiedeńskim, mocno cierpiąc na oczy, wziął paromiesięczny urlop; zresztą nosił bez ustanku brzemię urzędowych i towarzyskich obowiązków. Harmonia europejska, z której Metternich był bardzo dumny, i którą starannie pielęgnował, miała swoje ale dla niego, gdyż najdrobniejsze rzeczy opierały się o Wiedeń i o pierwszego ministra. Musiał niemal codziennie przyjmować wszystkich ambasadorów, widywać wszystkich podróżujących dyplomatów, od rana do nocy konferować, trawić godziny na niepotrzebne gadulstwo, ustawicznie reprezentować, bawić swoich i obcych, żądnych widoku jednej z najpierwszych figur w Europie. „Świat ma mnie znowu w swej mocy — odzywa się po kilkunastodniowej chorobie. Jutro otwieram salony i drżę na samą myśl tłumu nudziarzy, jaki mi na kark spadnie. Nic tak nudziarzy nie przyciąga, jak śmierć albo powrót do zdrowia. Gdyby żałoba po mnie nęciła tu tę rasę przeklętą, mniejsza z tem! Umrzeć to nic w porównaniu z życiem dla takich ludzi." U wód, na wsi, w podróży, wiózł z sobą kancelaryę ministeryalną, odbierał odwiedziny głów koronowanych, dyplomatów i mnóstwa gości. Jadąc na kongres do Akwizgranu, zwiedził po raz pierwszy świeżo w darze otrzymany Johannisberg. „Nająłem dwa domy na pomieszczenie gości, donosi żonie. Odkąd Johannisberg stoi, nie widział tylu znakomitości, co teraz w przeciągu dni kilku. Książka, w której zapisują się goście, wygląda jak protokół kongresowy. Boże broń, żeby tak zawsze było!" W pierwszych latach po kongresie wiedeńskim, częściej bywał w drodze niż w domu, z powodu zjazdów monarszych, albo towarzysząc cesarzowi Franciszkowi w podróżach po Włoszech i Niemczech; za powrotem, po kilkomiesięcznej nieobecności, niepoznawał własnych dzieci, które tymczasem podrosły. Korespondencya poufna z różnych kątów świata pełna jest

anegdot z humorem opowiedzianych, o przyjęciach, jakie mu sprawiano, procesyach z muzyką wychodzących na jego spotkanie, nieskończonych obiadach i festynach. W przejeździe do Akwizgranu, nad Renem zgotowano cesarzowi Franciszkowi tryumfalny pochód, „z wyjątkiem nimf i amorków podróż pięknej Kleopatry nie była bardziej malowniczą". W Kolonii wzięto Metternicha za cesarza, bo jechał sześciokonnym powozem z dużą świtą. „Uderzono w dzwony, sześćdziesiąt tysięcy ludzi wołało: wiwat! Napróżno usiłowałem wywieść ich z błędu. Jakiś człowiek, któremu powiedziałem kim jestem, odparł: To nic nie szkodzi, my tak kochamy naszego cesarza, że chętnie i drugi raz krzyczeć będziemy. Zaledwie zdołałem wyprosić się od wyprzężenia koni. Byłem wściekły, Gentz drżał jak listek. Przed domem dla mnie przygotowanym, mój gospodarz rzucił się na mnie z żoną i córkami, byłem obsypany pocałunkami starych i młodych, wszyscy płakali z rozczulenia, krzyczeli i klęli. Otoczony władzami miejscowemi, zawlokłem całą rodzinę do pokoju i błagałem, żeby się ustatkowała. Gdy perswazye i prośby nie pomagały, zkapitulowałem heroicznie. Dopiero przybycie cesarza uwolniło mnie od owacyi, które poniesiono w sąsiedztwo."

Lata następne, były dla Metternicha bardzo obfite w ciosy rodzinne. Stracił ojca i matkę oboje w późnym wieku. Podczas konferencyj wiedeńskich umarła mu córka dorastająca. „Moje biedne dziecko, pisze w początku choroby, budzi we mnie okropny niepokój. Mam przesąd, na nieszczęście doświadczeniem potwierdzony, że istoty wyjątkowe są więcej od zwykłych na niebezpieczeństwo wystawione. Klementyna jest bardzo piękna, na ulicy się wszyscy za nią oglądają, chociaż dopiero wychodzi z dzieciństwa. Cała moja nadzieja w Bogu, który wie najlepiej co sprawiedliwe i dobre. Cały dzień chodzę między moim stolikiem a łóżkiem Klementyny. Prawdziwem moim szczęściem są chwile spędzone z rodziną; kiedy dzieci przyjmują mnie okrzykami radości, świat przybiera inne, weselsze barwy. Teraz i to mi odjęte. Oderwawszy się od rewolucyonistów i demagogów, zaludniających mój gabinet, znajduję ból i zgryzotę przy moim biednem dziecku. W nocy niepokój sen mi odbiera, bo cierpi serce, którego ludzie mi odmawiają. Pomimo tego muszę pracować dwanaście godzin

dziennie, brać udział w niekończących się naradach. Ci panowie nie wiedzą co się we mnie dzieje, kiedy dyktuję kilkunastu arkuszowe protokoły. Wczoraj, podczas konferencyi, dano mi znać, że lekarze przyszli i na mnie czekają. Wstając od stołu, zagadnięty zostałem przez jednego z obecnych w te słowa: Przepraszam, chciałbym zrobić uwagę w kwestyi ceł na Renie... Odrzekłem, że nie zostanę, choćby Ren miał wyschnąć, a na twarzy mego interlokutora wyczytałem wielkie zdziwienie... Spełniło się okropne nieszczęście, które oddawna przeczuwałem; rodzinę wyprawiłem z domu, sam pracuję, myśląc o mojem nieszczęściu. Ile razy wejdę do pokoju Klementyny, zalewam się łzami i uciekam czemprędzej do pracy, która mnie odrywa od rzeczywistości.“ Po niewielu miesiącach utracił drugą córkę, Maryę Esterhazy, zamężną, matkę drobnych dzieci. „Od wielu lat, mówi, była moją najlepszą przyjaciółką, zgadywała moje myśli, z ust jej nie wychodziło jedne słowo, któregobym sam nie wyrzekł. Takiej straty nic nie zastąpi. Jedyną dobrą stroną mego nieszczęścia, że z ziemią łączą mnie coraz liczniejsze węzły. Ucieczki szukam w pełnieniu moich obowiązków, upijam się pracą jak pijak wódką. Spadł na mnie niezmierny ciężar interesów: w dniu śmierci mojej córki spędziłem sześć godzin na naradzie ministeryalnej i ośm przy stoliku.“ Przerażony dwoma tak szybko po sobie następującymi ciosami, które przypisywał klimatowi wiedeńskiemu, zdecydował się na rozłączenie z rodziną. Syn Wiktor był w wieku nauk uniwersyteckich; wysłaniu go do Włoch, jak ojciec sobie życzył, stały wypadki tamtejsze na przeszkodzie; w Niemczech „jaki Sand gotów go zasztyletować“; stanęło więc na tem, że wszyscy osiądą w Paryżu. „Jestem sam, nic mi prócz pracy nie pozostało. Dziwną prowadzę egzystencyę, dnie i noce należą nie do mnie. Obliczając wieczorem, com zrobił, widzę że życie jest we mnie, ale tego życia nie czuję. Żyję jakby obok samego siebie, obcy sobie na równi z ludźmi, co przechodzą pod memi oknami... Ile razy przyjdzie mi spędzić kilka chwil zdala od świata i polityki, cieszę się jak więzień, gdy ujrzy promień słońca, i jak więzień wracam do mojej ciemnej celi, z sercem bijącem i rozmarzonem. Jestem pewno człowiekiem, któremu najmniej do szczęścia potrzeba, lecz los rzucił mnie w labirynt do szczęścia

niewiodący. Niebo odmówiło mi możności znajdywania rozkoszy w tem, czego mam do syta. Tytuły, honory, którymi mnie obsypano, są mi obojętne, zaledwiebym się spostrzegł, gdyby mi je odjęto. Moja ambicya podobna do cnoty, polega na tem, żeby robić dobrze co robię. Pracuję nie dla siebie, osądzi mnie potomność, o której sąd dbam i głosu której nie usłyszę... Zostaną po mnie stosy papierów, skazane na stoczenie przez robactwo; z tego co mole nie zjedzą, moi wnukowie przekonają się, że mieli we mnie przodka, który myślał, widział i chciał... Żyję w okropnym czasie, przyszedłem na świat zapóźno albo zawcześnie. Wcześniej przyszedłszy, w XVIII wieku, byłbym używał dawnego świata; później, może na początku XX, byłbym użytecznym przy odbudowaniu nowego porządku; teraz trawię czas na podpieraniu spruchniałych budynków".

Nie można wierniej streścić drugiej połowy publicznego zawodu Metternicha: myślał, widział i chciał, podpierał spruchniałe budynki. Obok tak skromnych, szczerych a trafnych wyznań, są inne, z tamtemi na pozór sprzeczne, popierające często słyszane oskarżenie, że pisma Metternicha tchną niezmierną zarozumiałością i samochwalstwem. Pochodzi to najpierw stąd, że zbiór ogłoszony zawiera wybór pism najprzedniejszych, w skutek czego całość nabrała cechę skończoności i dobitności, jakiej nie miała w swoim czasie, powstając z dnia na dzień, rozwodniona niejako tem wszystkiem, co wydawca na bok odłożył. Czytelnik, zostając mimowoli pod wrażeniem nagłego upadku Metternicha w 1848, porównywa pisma z faktami, widzi zbyt często siłę w mowie obok słabości w działaniu, pogróżki niepoparte czynem, ustawiczny odwrót zasłaniany ślepymi strzałami, i rażony sprzecznością, zapomina o głównej zalecie Metternicha, o jego bystrym na obecność i przyszłość poglądzie. Na każdej niemal karcie pamiętników można się przekonać, że Metternich zawczasu przewidywał przewroty, jakim Europa uległa. Z dołu patrząc na ubiegłe czasy i wypadki, zapozwawszy nieboszczyków przed rzekomy trybunał historyi, czyli po prawdzie mówiąc, przed swój własny, łatwo Metternicha krytykować, zarzucać mu, że przewidywanych katastrof nie umiał odwrócić. Należałoby pierwej dowieść, że rozum ludzki i wola ludzka były władne rzeczami inaczej pokierować,

dokazać czegoś więcej, jak żeby spełniające się przewroty złagodzić i opóźnić. Kiedyś potomność znajdzie nam zapewne niejedno do zarzucenia w naszym sposobie traktowania socyalizmu; oskarży nas, że zamiast radykalnej kuracyi, która dla nas jest nierozwiązaną zagadką, szukaliśmy paliatywów i leków empirycznych. Podobnie Metternich postępował z ówczesną formą rewolucyi. Może nieraz mylił się w wyborze środków, ale nie ulega wątpliwości, że podkopany porządek długo podtrzymywał i podpierał; a sprawiedliwość każe mu i to policzyć, że nie był ani w Austryi, ani w Europie wszechwładnym, że miał do czynienia z ludźmi, których niepodobna mu było przerobić, natchnąć rozumem i energią.

W urzędowych pismach Metternicha, uderza ton dogmatyczny i kaznodziejski, przemawia jakby z trójnoga, każe, naucza, proklamuje nieomylność polityki gabinetu wiedeńskiego i swoją własną. Trudno żądać od ministra, żeby własnego monarchę, własny rząd, własne postępowanie, nielitościwą smagał krytyką. Każdy minister jest także człowiekiem, i jako człowiek, podlega mniej lub więcej przypowieści ewangielicznej o źdźble i belce, tudzież prostemu przysłowiu o liszce, co swój ogonek chwali. I w poufnych zwierzeniach Metternich nie odznaczał się skromnością, mianowicie co do formy i doboru wyrażeń. Admiracya dla cesarza Franciszka była jednym z jego rysów charakterystycznych. Przy każdej okazyi podnosił cnoty i zalety monarchy, nietylko z zasady, z obowiązku, żeby dać przykład czci majestatu, lecz z wewnętrznej potrzeby, przez osobiste przywiązanie, tak daleko posunięte, że zamykał oczy na prawdę, jak ujemne własności charakteru cesarza, które znał doskonale, neutralizują dodatnie. Część admiracyi dla osoby monarchy dostawała się w udziale Austryi, polityce gabinetu wiedeńskiego i austryackiemu kanclerzowi. „Opatrzność, powiada raz,[1] postawiła mnie obok człowieka, jakby umyślnie dla mnie stworzonego: cesarz Franciszek wie czego chce i jego wola zgadza się zawsze z tem, co mnie obowiązek dyktuje; idzie w każdym wypadku prosto do celu, nie szafuje słowami, niewyzywa nikogo, ale rzuconą rękawicę podejmuje bez namysłu. Trudności są niezmierne, los zdecyduje kto

[1] Z powodu wypadków włoskich.

zwycięży; my z naszej strony uczynimy wszystko, co może sumienie, siła duszy, zimna krew i refleksya. Obaj damy światu wielki przykład: żaden z nas za nic nie opuści stanowiska.“ Mówiąc o uzbrojeniach na wyprawę do Neapolu, dodaje: „W zwykłym czasie niema kraju spokojniejszego nad Austryę, niema za to czynniejszego, skoro się pokazać przychodzi.“ Sławić energię i rzutkość Austryi, zwłaszcza pod cesarzem Franciszkiem, zakrawa na ironię; było w tem przecież ziarnko prawdy. Dla współczesnych, wartość rzeczy i ludzi mierzy się łokciem współczesnym. Przez porównanie ludzi i rzeczy sądząc, Metternich miał niejakie prawo uważać cesarza Franciszka za ideał monarchy, Austryę za filar i dzielne ramię Europy konserwatywnej, siebie za Salomona między mężami stanu. Obok cnót wielkich i niezaprzeczonych, cesarz Franciszek wiedział przynajmniej czego nie chce; przy swoim stał niewzruszenie; o innych monarchach tego nie można powtórzyć. Austrya rządziła się zasadami, które mogły być fałszywe, ale istniały i były obserwowane; podczas gdy naokoło żadnych nie trzymano się reguł i chwytano eksperymentów lekkomyślnie, z góry nie wierząc w skutek; tak samo w obec jeszcze bardziej opieszałych sąsiadów, Austrya słusznie pretendowała o tytuł mocarstwa czynnego. Sam Metternich czuł się na siłach niejednego dokazać, umiał przynajmniej „podpierać spruchniałe budynki,“ kiedy inni i takiego talentu nie posiadali.

Poczucie własnej wyższości było w nim rozwinięte do wysokiego stopnia. Gdyby tego poczucia nie miał był, byłby go nabrał; gdyby nawet o sobie wątpił, byłby musiał zdanie zmienić. „Czuję, że świat noszę na ramionach! woła raz. Gdybym o tem zapomniał, każdy kuryer mi to przypomina. Zewsząd odbieram depesze, których ostatniem słowem: w tobie całe nasze zaufanie, w twoich rękach nasz los, radź jak czynić“. Korespondencya gabinetowa świadczy, że się z prawdą nie mijał, że nie inny był sens głosów, dochodzących go z różnych kątów stałego lądu. W Opawie, cesarz Aleksander przyjął go następnem wyznaniem: „Od 1813 upłynęło lat siedm, które mi się wiekiem wydają; dziś za żadną cenę nie robiłbym tego, co dawniej robiłem. Książe się nie zmieniłeś, nie potrzebujesz niczego żałować: ja nie mogę o sobie tego powiedzić.“ Pochlebstwo z tak wysoka

spadające, zdolne było najzimniejszą głowę zawrócić; tymczasem było to czemś więcej niż pochlebstwem, bo Aleksander czynem dowodził szczerości swego wyznania. Za zielonym stołem, na konferencyach i kongresach, chcąc nie chcąc, Metternich mierzył samego siebie miarą swoich partnerów. Do Opawy przybył Capo d'Istria redaktor nauk moralnych, jakiemi Petersburg Wiedeń zalewał, człowiek dużo lepszy niż się wydawał, gorącego serca, głowy bałamutnej. Metternich nazywał go Janem Apokalyptą, bo mu na imię było Jan, a jego pisma jeszcze trudniejsze do zrozumienia od Apokalypsy. Biedny Jan, który później swoje usterki ciężko w Grecyi odpokutował, wydał się zrazu wytrzeźwiony, rozsądny, „gotów znosić drewka na podpalenie swojej apokalypsy," ale skoro przyszło traktować interesa, wdał się w rozprawę o „arteryach, kanałach, nerwach, usposobieniach, chorobach, zarodach zdrowia i śmierci społeczeństwa cywilnego," i wreszcie zakonkludował: *Voilà où en sont les choses!* Metternich także nie pogardzał „patologią polityczną"; jak przy chorych dysputował z doktorami, tak w bieżącej korespondencyi determinował choroby ludzkości; ale kiedy inni fantazyowali i bałamucili, on dyktował recepty.

W potocznej rozmowie lubiąc sentencye, Metternich tem skorszy był do kaznodziejstwa z piórem w ręku. Kazał i nauczał, bo nie znajdował innego środka do przeprowadzenia własnych widoków. W zwyczaju czasu leżała skłonność do afektacyi w mowie i piśmie, nadużywania porównań, omówień, górnolotnych zwrotów; skłonność niebezpieczna przy użyciu języka obcego, konwencyonalnego, skażonego, jakim była ówczesna francuszczyzna dyplomatyczna.[1]

[1] Jednym z najciekawszych okazów ówczesnego języka dyplomatycznego jest ustęp noty, przedstawionej na kongresie w Lublanie, w której Capo d'Istria tak się odzywa o rewolucyi neapolitańskiej: *La sédition, associée aux mystères impies d'une secte antisociale, profitant de l'égarement qu'elle avait provoqué, a adopté une monstruosité politique destructive du gouvernement auquel elle devait obéissance, incapable de lui en substituer un autre, et incompatible avec la paix générale!...* Kiedy mu powiedziano, że to niema najmniejszego sensu, tłumaczył się, że go „uniosło natchnienie". Metternich władał językiem francuskim z wielką łatwością, czuć jednak, że pisząc myślał w połowie po niemiecku i budował niemieckie peryody. Ważniejsze depesze szły pod rewizyę Gentza, który był znakomitym stylistą, ale także pozwalał sobie licencyi. W aktach niektórych kancelaryi spotyka się potwory, przypominające nasze: *cum lasis, boris et graniciebus.*

Pisano przy tem niezmiernie wiele, mnóstwo rzeczy bowiem, które dziś załatwia telegraf, wchodziło w regularną korespondencyę. „Zazwyczaj, powiada o sobie Metternich, piszę w ciągu dwóch godzin tyle, że kopiści mają z tem do roboty przez pięć godzin. Pismo moje i styl noszą ślady pośpiechu. Dziewięć razy na dziesięć wstydzę się sam siebie, odczytując moje koncepta. Alfieri utrzymywał, że każdy rękopism należy samemu cztery albo pięć razy przepisać: gdzieżbym ja zaszedł z taką metodą? A powinien był dodać, żeby nie zaczynać pisać, nie czując się usposobionym do pracy. Co do mnie, muszę najwięcej pisać wtedy właśnie, kiedy jestem ogłupiony długą i zwykle próżną dyskusyą". Często ciśnie mu się pod pióro wykrzyknik: Niemam czasu być krótszym! Pisząc wiele i pisząc z pośpiechem, najlepsi pisarze sztukują komunałami i zdawkową monetą własną lub cudzą. Zdawkowa moneta Metternicha, choć bardzo obfita, nosi przecież osobisty stempel człowieka.

Zbytecznem zapewne dodawać, że Metternich często i chętnie powracał do wspomnień pierwszej części swego zawodu publicznego. W Pradze, Cieplicach i tylu innych miejscowościach, pamiętnych z ważnych aktów pory koalicyjnej, tego rodzaju wspomnienia same mu się cisnęły do myśli. Innem źródłem rozpamiętywań bywały opisy kampanii, pamiętniki i pamflety odnoszące się do tego czasu. „Czytając takie rzeczy, mówi, robię sobie wrażenie potomności, mam ochotę ferować wyroki; przy wybornej pamięci mógłbym dodać mnóstwo szczegółów do każdego rozdziału, do każdej kartki. Co do mojej osoby, wolę niezręczną krytykę, od niezręcznej pochwały. Krytyka często mnie bawi, a nigdy nie gniewa; za to pochwała może mnie doprowadzić do wściekłości".

W 1823, pod jesień, z powodu zjazdu cesarza Franciszka z cesarzem Aleksandrem w Czerniejowcach, Metternich odwiedził Galicyę. Wyjechawszy rankiem z Cieszyna, zdążył na nocleg do Bochni, nazajutrz dotarł do Rzeszowa; trzeciego dnia, zatrzymawszy się w Łańcucie i w Przeworsku, po północy stanął we Lwowie, obłożnie chory, i cały miesiąc przeleżał w łóżku. „Do śmierci tego października nie zapomnę, pisze do żony. Odkąd jestem na nogach, obwożą mnie po mieście i po okolicy. Nigdy nie widziałem ludzi bardziej zakochanych w swojem gnieździe.

Jakiś spacer na prawo ma przypominać Neapol, inny na lewo, Brühl pod Wiedniem. Co prawda, miasto siedzi w dziurze, bez wody i drzew; połowa miasta wcale piękna, druga po prostu brzydka. Niektóre domy dobrze budowane, lepiej jak w Wiedniu, bo mają architekturę, ale między domami pustki, albo chałupy... Uciekam do łóżka, żeby ujść audyencyi i przedstawień. Omało mnie nie zawleczono na bal do wojewodziny Potockiej, ledwie obroniłem się od przestąpienia Rubikonu. Nie mów o tem nikomu, bo ci biedni ludzie są jak najlepiej usposobieni, a przytem tak nieszczęśliwi, że niewiadomo jak ich od ruiny uchronić. Kraj urodzajny, lecz niema najmniejszego handlu; właściciele ziemscy nie wiedzą co począć, żeby nie pozdychać z głodu, mając wszystkiego wyżej uszów. Funt mięsa kosztuje tu trzy krajcary, dalej od miasta krajcara; dwie miary owsa jeden złoty. Nie trzeba żartować z tak nieszczęśliwych ludzi". W powrocie, z Morawii dodaje: „Trudno sobie wystawić większego kontrastu; kraj po obydwóch stronach granicy równie piękny, ale dopiero pierwsza wieś morawska po ludzku wygląda. Ustają łachmany, żydzi, świerzba, kołtun i nędza; domy czyste, ludzie odziani. Dwa dni temu, w cztery stopnie mrozu, widziałem w Galicyi chłopów, pracujących w polu w jednej koszuli, i dzieci drobne, zupełnie nagie, siedzące na roli. O mało nie zawołałem, jak ów grenadyer francuski: *Les malheureux appellent cela une patrie!* Pierwszy mały Szlązak, którego spotkałem po drodze, miał czapkę i ciepłą kurtkę, matka futerko, wełniane pończochy i dobre trzewiki. Na widok tamtych na płacz mi się zbierało; tego chciałem uściskać."

W dwa lata potem umarła w Paryżu księżna Metternich, nie wzbudzając w mężu nadzwyczajnego żalu. Pobyt we Francyi, sprawa grecka, śmierć cesarza Aleksandra i wstąpienie na tron Mikołaja, absorpowały czas i myśl wdowca, który pomimo pięciu krzyżyków i białych włosów, był jedną z najpierwszych partyi w Europie i serce miał młode i świeże.

W salonach kanclerza zwracała na siebie powszechną uwagę śliczna i rozumna baronówna Antonina Leykam, małego urodzenia, bez majątku. Metternich przylgnął do niej jak mucha do miodu. W lecie, rodzina Leykamów znajdowała się wszędzie na drodze Metternicha; domownicy szeptali, świat wziął pannę i kan-

clerza na języki; kanclerz się opatrzył, oświadczył i kosza nie dostał. „Świat się bardzo mną zajmuje, pisał do pani Zichy, matki swej trzeciej żony. Plotki są rzeczą zwyczajną w towarzystwie wiedeńskiem. Na moje szczęście, niegodne gadaniny wskazały mi drogę, na której znalazłem zadośćuczynienie życzeniom mego serca, i to, co mi najbardziej brakuje, ognisko domowe i spokój.“ Cesarz dał pannie Leykam tytuł hrabiny Beilstein, ślub odbył się cicho w Hetzendorff, młoda księżna prędko podbiła niechętnych i zazdrosnych. Niedługo Metternich cieszył się swojem szczęściem; po urodzeniu pierwszego dziecka[1] śmierć mu jego skarb zabrała. — Bóg dał, Bóg wziął! powtarza w listach do syna i do pani Zichy. „Znowu jestem sam! Nic mi nie brakowało, z nią wszystko straciłem i na resztę życia. Tamten świat zaludnia się istotami, które mi były najdroższe.“ Nie przeczuwał, co go jeszcze czekało. Latem sprowadził do Wiednia syna Wiktora, dorosłego młodzieńca, chorego na piersi, żeby go pielęgnować — i pochować. Przybity nowym ciosem, nie śmie skarżyć się głośno, jak żeby losu na nowo nie wyzywać, i zaprzęga się do swego jarzma, szuka w pracy ucieczki i zapomnienia. Przychodziło mu to coraz łatwiej. Z wiekiem, w miarę jak życie zużywało człowieka, minister i polityk brał nad człowiekiem górę i w jego prawa wstępował. Nadchodziły też coraz cięższe i niebezpieczniejsze czasy.

XIII.

Kiedy powstanie w Grecyi wybuchło, rządy wielkich mocarstw, opierając się na literze prawa publicznego, uznały fakt powstania za zamach rewolucyjny, nieusprawiedliwiony uciskiem tureckim, i mniej więcej wyraźnie go potępiły. Stosując do Grecyi zasadę interwencyi, uroczyście ogłoszoną i aplikowaną na stałym lądzie, należało dopomódz Porcie do zgniecenia buntu; wszystkim ednak wstrętną była myśl użycia chrześcijańskiego oręża przeciwko chrześcijańskiej ludności, uciskanej przez Muzułmanów. Nie mając odwagi ani Turkom pomódz, ani ująć się za Grekami, jak nakazywała chrześcijańska polityka, mocarstwa znalazły naj-

[1] Ks. Ryszarda, wydawcę pamiętników.

dogodniejszem przybrać podstawę bierną, podczas gdy Turcy i Grecy mordowali się dalej w najlepsze. Gabinet wiedeński, o byt Porty bardzo troskliwy, pocieszał się nadzieją, że niezadługo zwycięży „prawo publiczne," czyli Turczyn. Gabinetom zachodnim nic nie przeszkadzało widzami pozostać, bo nawet opinia publiczna, później tak gorąca w sprawie greckiej, pierwiastkowo mało zwracała uwagi na tamtejsze wypadki. Jedna Rosya nie mogła obojętnie patrzeć na toczącą się walkę. Cesarz Aleksander, nawrócony do systemu konserwacyi, pragnął pogodzić sprzeczne obowiązki, jakie na nim ciążyły; potępiał buntowników przeciw prawnej władzy, ale chciał pokazać Rosyi, Słowiańszczyźnie tureckiej i światu, że nie zapomina, co winien sprawie wiary greckiej i tradycyi swego domu. Grecy wołali o pomoc Rosyi; Capo d'Istria, minister Aleksandra, Grek rodem z Korfu, był zwolennikiem i opiekunem, jeśli nie instygatorem ruchu greckiego, na którego czele stali Grecy osiedleni w Rosyi, lub dawniej w służbie rosyjskiej zostający. Kampania dyplomatyczna dla honoru Rosyi przedsięwzięta, doprowadziła do odwołania poselstwa rosyjskiego z Konstantynopola. Widząc Rosyę samą naprzód idącą, Turcy upatrzyli w tem zadatek poróżnienia między sobą mocarstw chrześcijańskich i umyślnie sztorcem stawali. Wyjazd legacyi rosyjskiej wcale ich nie zatrwożył, powszechnie bowiem wiedziano, że Aleksander wojną się brzydzi i dba przedewszystkiem o nietykalność harmonii europejskiej. Gabinety sprzymierzone podjęły się pośrednictwa między Rosyą, Turkami i Grekami. Metternich pierwszy podniósł myśl niepodległości greckiej, ale go nie usłuchano; sama Rosya tego nie chciała, z obawy, że Grecya sięgnie kiedyś po Stambuł i Bosfor. Kontentowano się autonomią narodową dla powstałych prowincyj, o czem ani Turcy, ani Grecy słyszeć nie chcieli; Turków zachęcała do oporu miękkość w postępowaniu mocarstw; Greków ośmieliła postawa Rosyi, potwierdzająca tajemne podszepty. Tymczasem walka przybierała charakter barbarzyński i destrukcyjny; fanatyzm muzułmański i wściekłość grecka czyniły niepodobnem dalsze panowanie Turków w zbuntowanym kraju, a nieszczęśliwy naród, dawno upadły, zdemoralizowany uciskiem i działaniem tajnych towarzystw, gryzła anarchia, codzień bardziej szerząca się. Stronnictwa rewolucyjne,

na stałym lądzie chwilowo pobite, przerzuciły się na stronę ruchu greckiego, z którym miały wspólny interes w obaleniu istniejącego porządku, i niebawem potrafiły wzniecić ową gorączkę filhelenizmu, tak długo i silnie grasującą we Francyi, Niemczech i Anglii. Pod naciskiem opinii, rządy spróbowały nałożyć obu stronom kompromis, przez obie odpychany.

W trakcie tego, na tronie rosyjskim zasiadł człowiek wielkiej dumy, żelaznej woli, nieprzystępny wpływom, którym ulegała woskowa natura Aleksandra. Kiedy wieść o zgonie Aleksandra doszła do Wiednia, dwór spodziewał się ujrzeć cesarzem Konstantego, którego miano za człowieka stałych zasad i przeciwnika rewolucyi greckiej. O Mikołaju nic pewnego nie wiedziano, zaledwie tyle, że lubi wojskowość. Chodziły o nim plotki, niosące, jakoby skłaniał się ku liberalizmowi i zostawał pod wpływem żony, córki Fryderyka Wilhelma III, wzrosłej „w złym towarzystwie berlińskiem[1].“ Znalezienie się Mikołaja wobec zbuntowanego wojska, oczyściło go z podejrzeń i niezmiernie w Wiedniu zaimponowało; przekonano się, że młody cesarz jest w każdym razie człowiekiem całym i niepowszednim. Austryacka misya koronacyjna tyle przywiozła, że cesarz obiecuje pozostać wiernym polityce i zasadom brata, zamierza najprzód przywrócić ład w państwie, wytępić spiski i niesubordynacyę, a co do spraw europejskich, nigdy się niemi nie zajmując, nie ma wyrobionego zdania. Z czasem dowiedziano się, że Mikołaj pełen jest nieufności ku Austryi i Metternichowi, którego podejrzewa o zdradzieckie zmowy na szkodę Rosyi. Jakoż stosunki między Petersburgiem i Wiedniem bardzo oziębły. Mikołaj zdecydowany za-

[1] W podróży po Włoszech, w 1821, Mikołajowi towarzyszył Laharpe, który zaglądał po lóż karbonarskich i ściągał koło siebie różne figury, niegdyś spotykane w głównej kwaterze Aleksandra. Stąd poszło oskarżenie, że „ajenci rosyjscy“ wichrzą we Włoszech i spiskują z węglarzami na zgubę Austryi. Cesarz Franciszek zadenuncyował nawet Laharpa w liście do Aleksandra. — Podczas zamieszek w Petersburgu, przytrafił się za to Austryi bardzo niepryjemny wypadek. U posła austryackiego, hr. Lebzeltern, ukrył się jeden z spiskowych, jego szwagier Trubecki, a ks. Feliks Schwarzenberg żył w przyjaźni z oficerami skompromitowanymi; co spowodowało odwołanie obu z Petersburga.

kończyć sprawę z Portą, zbliżył się do Anglii i Francyi w kwestyi greckiej. Austrya pozostała na boku, zbrojna tylko w zasady, bo cesarz Franciszek przez oszczędność armię rozpuścił. Jęcząc nad zaślepieniem ludzkiem, dowiedziano się w Wiedniu o „nieszczęśliwym przypadku“ pod Nawarynem, w którym zginęła flota turecka i resztki uroku potęgi muzułmańskiej. Z tego przypadku urodziła się czystym trafem niepodległość grecka, na rzecz garstki niedobitków, zgryzionych anarchią, mrących z głodu, oddanych rozbójniczemu rzemiosłu.

Systematyczne maltretowanie Turków przez Rosyę, doprowadziło do wojny 1828 roku, rozpoczętej w przekonaniu, że na pierwszym etapie armia rosyjska spotka poselstwo błagające o pokój. Sytuacya Austryi zaczęła być niewymownie drażliwą. Nie znając zamiarów Mikołaja, który do rozbioru Turcyi nie dążył i chciał tylko Portę upokorzyć, oraz wymódz ustępstwa handlowe; nie znając sił militarnych Rosyi i siły oporu Turcyi, gabinet wiedeński drżał o całość i byt jedynego sąsiada spokojnego, zrezygnowanego, który bezpieczeństwu Austryi nie zagrażał i w wojnie czy w pokoju zasłaniał jej tyły. Pamiętniki Metternicha bardzo oględne, ile razy mowa o stosunkach z Rosyą, milczą co do wojennych zamiarów, wówczas Austryi przypisywanych. Rosyjskie podania utrzymują, że Metternich zamierzał zająć księstwa naddunajskie; naczelny wódz rosyjski otrzymał przeto rozkaz zawezwać wojsko austryackie do ustąpienia, a na wypadek odmowy, siłą drogę sobie utorować. Projekt zajęcia księstw jest dosyć prawdopodobny, bo Metternich skłonnym był do demonstracyj militarnych, które rzadko jednak doprowadzał do skutku. W tym razie powstrzymać go mogło odosobnienie Austryi w Europie, apatya cesarza Franciszka, niedostatek sił austryackich. Skończyło się na częściowej mobilizacyi i postawieniu korpusu obserwacyjnego w Siedmiogrodzie; cesarz Franciszek wyprzysiągł się zamiaru zaczepienia Rosyi i przyrzekł pozostać neutralnym, pod warunkiem, że Rosya nie wejdzie do Serbii. Po dwóch kampaniach, wojna ustała w skutek wyczerpania stron wojujących; Mikołaj zwrócił Porcie zdobycze w Azyi, kontentując się moralnym sukcesem i ustępstwami handlowemi; haracz w traktacie adryanopolskim zawarowany, później Turkom darował.

Po zawarciu pokoju w Adryanopolu, Metternich usiłował znowu skłonić cesarza Franciszka do zajęcia się wewnętrzną poprawą administracyi, skarbu i wojska, reformą Węgier, szczególnie postawieniem armii na stopie odpowiedniej położeniu monarchii. Cesarz odesłał raport Kolowratowi i tyle o nim było słychać. Z Petersburga zawiał zresztą lepszy wiatr; pod wpływem Nesselrodego cesarz Mikołaj, nieco zachwiany opornym przebiegiem wyprawy tureckiej, zwrócił się znowu ku Austryi. W dzień wybuchu rewolucyi paryskiej, 27 lipca 1830 roku, Metternich spotkał się w Karlsbadzie, po siedmiu latach niewidzenia, z Nesselrodem. Nastąpiły obustronne eksplikacye. Kanclerz austryacki wyrzucał koledze, że dał się użyć za narzędzie „fakcyi, godzącej w przymierze między Austryą i Rosyą, na którem spoczywa pokój Europy i spokój wewnętrzny państw europejskich, że odstąpił od sprawiedliwych zasad i stawał po stronie nieprzyjaciół porządku.“ — „Nesselrode ma pić wody w Franzensbadzie, będę go miał pod okiem i nawrócę. Reszty dokona konieczność.“ Konieczność stała za drzwiami, pod postacią rewolucyi paryskiej, o której Metternich dowiedział się w nocy 4 na 5 sierpnia, z gazet frankfurckich. Nazajutrz otrzymał urzędowe raporta. „Książe orleański stanął na czele ruchu, pisze do cesarza. Wszystkie miejsca zajęli ludzie należący do skrajnej lewicy. Jutro rozmówię się Nesselrodem, będziemy szukać podstawy do porozumienia między wielkiemi mocarstwami, które niegdyś stanowiły poczwórne przymierze.“ Z konferencyi z Nesselrodem powstał tak zwany *le chiffon de Carlsbad*, skrawek papieru, na którym Metternich sformułował wspólne obu zapatrywanie, żeby nie mięszać się w wewnętrzne sprawy Francyi, ale nawzajem nie dopuścić mięszania się Francyi w sprawy innych krajów i naruszenia przez nią obowiązujących traktatów. „Cesarz Mikołaj, zaręczał Nesselrode, nie poświęci jednego ładunku, ani jednego grosza na naprawienie błędów, popełnionych przez Burbonów.“ Co do usposobienia cesarza pomylił się, bo w pierwszej chwili Mikołaj o niczem mniej nie mówił, jak o restauracyi Burbonów orężem rosyjskim. O własnych siłach tego dokonać nie mógł, gdyż następstwa okazały, że armia rosyjska istniała zaledwie na papierze; mając nawet armię gotową, po-

trzebował jeśli nie pomocy, to zgody Austryi i Prus, przynajmniej Prus. Co do Austryi, cesarz Franciszek za żadną cenę nie byłby się odważył na wojnę z Francyą, choćby dla braku wojska i pieniędzy. Metternich skreślił całą swoją politykę w „świstku karlsbadzkim," i miał najzupełniejszą racyę, nie chcąc wdawać się w tak hazardową awanturę, jaką było przywrócenie Burbonów, którym zdawna smutny koniec przepowiadał, z powodu niesnasek dzielących stronnictwo rojalistów. Gdyby nawet Austrya, Prusy i Rosya zdołały osadzić napowrót Burbonów na tronie, co wcale pewnem nie było i wymagało niezmiernych ofiar, pozostawała sprawa jeszcze trudniejsza, utrzymanie prawowitej dynastyi przy władzy, możliwe chyba pod osłoną pół miliona cudzych bagnetów. Zresztą, Metternich, ostrzeżony własnym rozumem i doświadczeniem, może podupadły także na duchu i siłach, zwątpił był o Europie i o możności podtrzymania spruchniałego budynku. „Moja myśl najtajniejsza jest, odzywa się w liście do Nesselrodego, że to początek końca starej Europy. Nowa Europa jeszcze niepoczęta, a między końcem i poczęciem znajdzie się chaos." Przewidując prócz tego ruchy rewolucyjne we Włoszech, i Niemczech, nie chciał popychać Francuzów do ostateczności i Austryi przymnażać kłopotów. Gdy więc jenerał Belliard, wysłany do Wiednia przez Ludwika Filipa, przywiózł uspakajające oświadczenia i obietnice, Autrya zaraz w początkach września uznała urzędownie monarchię lipcową, bez względu na gniew Mikołaja, którego projekta i w Prusach nie znalazły odgłosu. W Berlinie wieść o wypadkach paryskich okropny wywołała przestrach: oczekiwano lada dzień zjawienia się trójkolorowych sztandarów nad Renem. W głównym sztabie, złożonym z ludzi światłych, czynnych i pracowitych, na Francuzów śmiertelnie zażartych, wołano na gwałt o wstępny bój z Francyą, choć po prawdzie powiedziawszy, wojny nie miano czem toczyć, gdyż armia liczebnie mocno zredukowana, zgnuśniała wśród zaniedbania, w jakiem król wojskowość zostawił. Zrażeni postępowaniem króla, dzielniejsi oficerowie sami się pousuwali; nieraz ojciec służył obok syna, w stopniu porucznika; tylko wytrwałość garstki wyborowych umysłów, którzy po cichu pracując, pielęgnowali dawne tradycye i sztukę wojskową podnieśli do rzędu umieję-

tności ścisłych, chroniła instrument przyszłej wielkości Hohenzollernów od zupełnej zagłady. Gabinet berliński, jakkolwiek Rosyi i Mikołajowi uległy, oglądał się na Wiedeń i bez Austryi kroku postąpić nie śmiał, uznał Ludwika Filipa jednocześnie z Austryą; żeby zaś Francuzom nie dać pretekstu do zaczepki, zwlekano nawet z zarządzeniem zwyczajnych środków ostrożności.

Po ogłoszeniu niepodległości belgijskiej, cesarz Mikołaj dotknięty postępami rewolucyi i wypadkiem bezpośrednio obchodzącym jego szwagra, króla holenderskiego, wysłał Dybicza do Berlina, Orłowa do Wiednia. Szczegóły misyi Dybicza nie są znane; z jednej depeszy Metternicha dowiadujemy się tylko, że przyjazd Dybicza „bardzo przeraził“ rząd pruski, z czego wnosić można, że w Berlinie podejrzywano Mikołaja o chęć zgwałcenia Prus do jakiego czynu, dworowi nie na rękę będącego. Co do misyi Orłowa, który oficyalnie przybywał na koronacyę arcyksięcia Ferdynanda na króla węgierskiego, z pism Metternicha widać, że o wspólnej wyprawie na Francuzów i Belgów na seryo mowy nie było. Jeżeli Orłów taki plan przywiózł, prędko musiał się upewnić, że Austrya do żadnego działania zaczepnego skłonić się nie da. Natomiast Metternich potrzebował Rosyi, ze względu na grożące we Włoszech zamieszki, które Austrya siłą poskromić zamierzała, wbrew zasadzie nieinterwencyi, proklamowanej przez rząd Ludwika Filipa i popularnej między wigami w Anglii. „Rozbójnicy, pisał do Esterhazego w Londynie, protestują przeciw żandarmom, podpalacze przecim pompierom. Austrya nigdy nie uzna podobnej pretensyi, podkopującej porządek społeczny, obstawać będzie przy prawie niesienia pomocy prawnej władzy, skoro przez nią na pomoc wezwaną zostanie, tak, jak każdemu przyzna prawo biedz do gaszenia ognia u sąsiada, żeby własny dach ochronić od pożaru.“ Chodziło mu tedy o zadokumentowanie solidarności trzech mocarstw, w nadziei, że wciągnąwszy napowrót Anglią do związku, odbuduje poczwórne przymierze i pod jego zasłoną potrafi utrzymać spokój i porządek we Włoszech. W razie niemożności odnowienia poczwórnego przymierza, którego w samej rzeczy wskrzesić nie zdołał, pomimo antagonizmu między Anglią i Francyą w kwestyi belgijskiej, przychylność Rosyi tem większej nabierała wagi, jako warunek powodzenia dalszej walki z rewolucyą.

Rosyanie twierdzą, jakoby Metternich proponował był w październiku, po misyi Orłowa, zgromadzenie armii obserwacyjnych; Austrya miała postawić dwakroć sto tysięcy ludzi we Włoszech, Prusy tyleż nad Renem, Rosya sto pięćdziesiąt tysięcy w Polsce. Tych hufców oczy ludzkie nigdy nie ujrzały. Cały plan zmierzał widocznie do zasłonięcia tyłów i boku Austryi podczas przewidywanej kampanii włoskiej, a kiedyś w następstwie czasów i wypadków, mogła z tego wyłonić się wojna z Francyą, wojna, której Ludwik Filip stanowczo unikał. Przyjętym zwyczajem, Metternich proponował także stworzenie „wspólnego ogniska“, konferencyi europejskiej dla rozbioru wszystkich spraw bieżących. Po odmowie Anglii, konferencyę europejską pragnął zamienić w stałą konferencyę trzech mocarstw, lecz i ta, nawet po upadku powstania w Polsce, nie przyszła do skutku. Nie kwapili się do niej Prusacy, przez niechęć dla Metternicha i z obawy jego przewagi; cesarz Mikołaj miał rzec: Metternich chce znowu siebie naprzód wysunąć i rej wodzić. — Misye Dybicza i Orłowa nie wpłynęły nawet na przyspieszenie przygotowań wojskowych, o których, od chwili upadku Burbonów, w każdej z trzech stolic wiele wprawdzie mówiono, ale które wszędzie bardzo powoli postępowały. Austrya zgromadziła we Włoszech i w Galicyi zaledwie tyle wojska, ile było koniecznem dla jej własnego bezpieczeństwa. Król pruski dopiero w grudniu, po wybuchu w Warszawie, nakazał wystawić między Berlinem i Wrocławiem trzy korpusy wojska, pod dowództwem starego Gneisenaua. Rosyę wypadki w Polsce zaskoczyły zupełnie nieprzygotowaną.

Koalicya dworów północnych przeciwko Francyi nie była ani na chwilę czem innem, jak pobożnem życzeniem cesarza Mikołaja, którego spełnieniu Austrya i Prusy z całych sił się opierały. Zaburzenia włoskie, dla Austryi tak kłopotliwe, i powstanie listopadowe w Warszawie, krępujące Rosyę, uczyniły ją materyalnie niemożebną. Odkąd o krucyacie na Francyę mowy być nie mogło, znikło jabłko niezgody między Wiedniem i Petersburgiem, i wzajemny stosunek gabinetów przeniesiony został na grunt wspólnej walki z rewolucyą, występującą w postaci prostego buntu przeciw prawnej władzy. Na tym gruncie zbliżenie obu mocarstw wskazane było siłą rzeczy, charakterem monarchów i dążnością

rządów; nadto gabinet wiedeński znalazł upragnioną sposobność zatarcia przykrych wspomnień z czasu wojny tureckiej i przywrócenia zażyłego stosunku, którego potrzeba coraz mocniej uczuwać się dawała. Polacy, zdawna przywykli upatrywać w Austryi mocarstwo skłonne przyłożyć się do odbudowania Polski niepodległej, uważali za rzecz prawie niezawodną, że ofiarą korony kupią pomoc austryacką. Dom habsburgski lubił korony, ale korony, żeby się tak wyrazić gotowe, po które dość było sięgnąć. Polską koronę wypadało zdobyć orężem na Rosyi i jeszcze dopłacić oddaniem Galicyi. Cesarz Franciszek nie miał zwyczaju puszczać się na tak hazardowe spekulacye. Dla niego przymierze z Rosyą było niemal artykułem wiary; w Polakach widział stworzenia niższego rzędu, niezdatne nawet na urzędników; zasady i cały sposób myślenia nie pozwalały mu brać strony zbuntowanych poddanych sprzymierzonego monarchy. Już w sierpniu radził posłowi rosyjskiemu ostrożność względem Polaków; po wybuchu rewolucyi ubolewał, że Rosya nie będzie w stanie nieść mu pomocy, na którą liczył „w razie nieszczęścia". Metternich osobiście na nas najmniej zawzięty, chętnie byłby ujrzał Polskę wznoszącą się z gruzów, ale o własnych siłach. Pomagać Polakom ani chciał, ani mógł, bo byłby musiał zerwać z własną przeszłością i teraźniejszością i wyrzec się całego systemu swej polityki. Dowiedziawszy się o wypadkach warszawskich, w raporcie do cesarza radził czekać na bliższe szczegóły i wstrzymać wysyłanie wojsk do Galicyi. W następnym, z 18 grudnia dodaje: „W Warszawie rewolucya stoi na miejscu, działa przeto wbrew własnej naturze. Dyktator usiłuje zaprowadzić ład i pogodzić porządek i umiarkowanie z rewolucyą, rzeczy nieznoszące się nawzajem. Ks. Lobkowic ręczy za spokój w Galicyi. W. C. Mość nie ujrzy kup nieprzyjacielskich na swojem terytoryum: jest to nieunikniony błąd dyktatora, który obraca się na naszą korzyść." Nieco później, w depeszy do Berlina, chwali „moralną postawę" cesarza Mikołaja i tak się dalej wyraża: „Słuszność sprawy, której cesarz broni, jest oczywista, najzuchwalsze abstrakcye nie zdołają usprawiedliwić wypadków zaszłych w Polsce. Wiadomości z Warszawy i Krakowa pokazują, że gabinet berliński zapatruje się na rewolucyę polską zdrowo i zgodnie z nami. Co do nas, od początku

widzieliśmy w Królestwie polskiem prochownię, do której prędzej czy później ogień zakraść się musiał. Pierwiastkowo mieliśmy niejakie wątpliwości co do rozmiarów złego i stopnia dojrzałości rewolucyi: każdy dzień i każdy fakt uczy, że owoc został zerwany przed czasem.“ W podobnym duchu odzywa się w Petersburgu, wyraża nadzieję, że „katastrofa wyjdzie na pożytek sprawie monarchów i ludów“; przyrównywa rewolucyę warszawską do hiszpańskiej, neapolitańskiej i piemonckiej, „które podnosili podpułkownicy i ludzie dojrzali, podczas gdy w Warszawie powstali kadeci i studenci.“ Z świeżo ogłoszonej książki Barzykowskiego[1] przekonywamy się, że propozycye korony polskiej, wielokrotnie powtarzane, kanclerz najwyraźniej odrzucał, nigdy Polaków żadnemi obietnicami nie łudził, od początku do końca radził broń złożyć i w takim razie obiecywał wstawienie się cesarza Franciszka w Petersburgu. Legenda, że „Austrya skrycie Polakom sprzyjała,“ powstała w wyobraźni naszych dyplomatów, biorących własne życzenia za rzeczywistość, lub liczmany za dobrą monetę. Liczmany pochodzić mogły od dwóch ludzi, na politykę gabinetu wiedeńskiego niewpływających, ministra Kolowrata i gubernatora Galicyi, ks. Lobkowica. Kolowrat, osobisty przeciwnik Metternicha, przeciw niemu knuł ustawicznie; podczas wojny tureckiej przeniósł się do stronników Rosyi, za powstania polskiego udawał sympatye polskie, żeby nie być jednego zdania z kanclerzem i spróbować, czy mu się nie uda kanclerza obalić. Lobkowic, człowiek wielkiej zacności i dobroci, patryota czeski, Rosyan nie lubił, był wielkim przyjacielem Polaków, ubierał się czasem po polsku, — w takim stroju figuruje na współczesnej rycinie. Galicyan głaskał, żeby łatwiej w kraju spokój utrzymać, pragnął, żeby Austrya coś dla Polski uczyniła. W poufnych rozmowach, zwłaszcza z Izydorem Pietruskim, ajentem rządu narodowego, posuwał się dalej, niżby był powinien, ze względu na urzędowe stanowisko.[2] Pietruski, „zabiegły

[1] Historya powstania listopadowego, spisana przez Stanisława Barzykowskiego, członka rządu narodowego. — Poznań 1883.

[2] Na reklamacye Rosyi, po powstaniu Lobkowic został odwołany ze Lwowa. Ażeby mu to osłodzić, stworzono dla niego umyślnie posadę naczelnika górnictwa.

pełnomocnik", jak go Morawski nazywa, chwytał skwapliwie każde słowo Lobkowica i donosił rządowi, jako wierny wyraz polityki austryackiej. Nieraz może coś przesadził, albo dołożył od siebie, a stąd w Warszawie wzięto asumpt do wniosku, że Austrya „skrycie" Polakom sprzyja.

W przedostatnim dniu miesiąca stycznia 1831 roku, Metternich pojął trzecią żonę, Melanię Zichy, która miała zwyczaj zapisywania codziennie najdrobniejszych szczegółów wspólnej egzystencyi. Trzydzieści lat przeszło od kanclerza młodsza, żywa, dowcipna, porywczego języka, ubóstwiająca męża, przez miłość ku niemu gorąco trudniła się polityką. Zostało po niej trzydzieści tomów dziennika, z których wydawca pism kanclerza ogłosił wyjątki, pozwalające nieraz zaglądnąć za kulisy urzędowego świata. Tam znajdujemy potwierdzenie rzeczy dawno wiadomej z korespondencyi Gentza z paryskim Rotszyldem, że w kancelaryi stanu nie gniewano się, ile razy Polacy pobili Rosyan. „Powodzenie Polaków, zapisuje w kwietniu księżna Melania, umniejsza zarozumiałość Rosyan i daje nam (Austryi) świetną pozycyę; lecz zbawienna nauka przychodzi nie w porę, wśród powszechnego przesilenia." W kilku tych słowach mieści się cały sekret polityki gabinetu wiedeńskiego w obec naszego powstania. Po upadku Burbonów, Metternich zamierzył przywrócić związek Austryi, Prus i Rosyi i zużytkować go na rzecz systemu konserwacyi i obronę monarchii austryackiej, będącej celem wszystkich działań rewolucyjnych. Cesarz Mikołaj nie chciał być prostym wykonawcą polityki Metternicha, poszedł odrębną drogą, rzucił Europie rękawicę w manifeście wydanym po obaleniu Burbonów i żądał od Austryi i Prus, żeby ślepo szły za jego wolą. W następstwie, potrójne przymierze musiało się albo rozbić ostatecznie, albo też Austrya i Prusy musiały zejść do roli przedniej straży rosyjskiej i ściągnąć na siebie razy, Rosyi niemogące doścignąć. Metternich starał się uniknąć obu ostateczności. Rosyi wyrzucał, że niezgodą w postępowaniu ośmieliła rewolucyą, tudzież rząd Ludwika Filipa do postawienia zasady nieinterwencyi; że „niewczesny" manifest dostarczył Francuzom pozoru do uzbrojeń, groźnych najbardziej dla Austryi, znajdującej się w zatargach z Francyą, w skutek interwencyi austryackiej we Włoszech. Rodzicielką wszyst-

kiego złego nazywał niewierność, jakiej Mikołaj dopuścił się względem Austryi, gdy przed wojną turecką odsunął się od gabinetu wiedeńskiego; zbliżył się ku Anglii. Czy w rozmowach z Nesselrodem, czy w korespondencyi z Petersburgiem, wracał ciągle do swego, żądając od Mikołaja wyrzeczenia *mea culpa!* w czem upatrywał zadatek, że Mikołaj nigdy więcej nie da ucha podszeptom Palmerstona, którego sam bardziej niż Canninga nienawidził. Powstanie polskie było więc o tyle na rękę kanclerzowi, że rokowało nawrócenie Rosyi do zasad i praktyk potrójnego przymierza. Jakoż w sierpniu Mikołaj uderzył się w piersi, przyznał, że źle zrobił paktując z Anglią, a jednocześnie znikły w Wiedniu ostatnie ślady platonicznych sympatyi dla Polaków.

Od początku rząd austryacki czuwał, żeby powstanie zbytecznie nie urosło w siły, ale nie widząc powodu zgnębienia go przed czasem, zanim jeszcze Rosya stanie się powolniejszą, godził obowiązki sąsiedzkie z względami ludzkości i tak manewrował, iżby nikomu się nie narazić, a sobie ulżyć. Otworzono granicę dla ochotników, spieszących do Królestwa, w skutek czego rząd pozbył się gorętszych żywiołów z Galicyi i Polakom niejaką oddał usługę. Oddziały wyparte z teatru wojny rozbrajano, ale ludzi puszczano ukradkiem na wolność, żeby skarbowi oszczędzić wydatku na żywienie internowanych. Surowy nadzór został rozciągnięty nad przybywającymi z powstałego kraju, komunikacya listowa przecięta. Transporta broni i amunicyi prawie nigdy granicy przejść nie zdołały; wszelką wiadomość Rosyanom użyteczną, władze austryackie czemprędzej im przesyłały. Po objęciu dowództwa przez Paszkiewicza, rzeczy rozstrzygać się miały opodal od granic Austryi; Metternich rolę kata chętnie pozostawiał Prusakom, czekającym tylko wezwania, żeby wkroczyć do Polski; sam wyciągnął z sytuacyi wszystek możliwy pożytek i przez chwilę sądził, że jeszcze na wdzięczność Mikołaja zarobi. W połowie sierpnia zjawił się w Wiedniu Andrzej Zamoyski, przysłany przez Adama Czartoryskiego z ponowną ofiarą korony i prośbą o pomoc, przynajmniej o pośrednictwo, wreszcie, w najgorszym razie, żeby Austrya złożenie broni Polakom otwarcie i urzędownie doradziła. „Klemens, — pisze księżna Melania pod datą 1 września— jest bardzo zajęty interesem hr. Zamoyskiego. Prośba o pomoc

została odrzuconą. Klemens silił się dać do zrozumienia Zamoyskiemu, że Polakom nie pozostaje nic innego, jak poddać się Rosyi. Ostatniemi dniami Zamoyski na nowo zażądał, aby cesarz wstawił się u Rosyi o pozostawienie Polakom niejakich przywilejów. Klemens odrzekł, że cesarz nie może narzucać swej woli sprzymierzeńcowi w stosunku do zbuntowanych poddanych i ponownie doradzał broń złożyć, dodając, że cesarz dla uciszenia egzaltacyi polskich menerów oświadczy publicznie, jako rada kapitulacyi od niego wyszła. W końcu skłonił Zamoyskiego do rozmowy z Tatyszczewem, który dodał Zamoyskiemu za towarzysza p. Gerway i obaj odjechali do głównej kwatery rosyjskiej. Gramy w tem wszystkiem bardzo piekną rolę. Zamiast, jakby to inni uczynili, szukać nabytków, które nam ofiarowano, idziemy prostą drogą, żeby zwrócić rzeczy na właściwą drogę i pokój powszechny utrzymać. Przeszkadzając w tej chwili dalszemu rozlewowi krwi i ratując Rosyę od przegrania bitwy, stanowczej dla całej Europy, zyskamy wdzięczność obu stron walczących. Pomyślne zakończenie tej sprawy bardzo uradowało Klemensa.“ Nie wiedząc, że Zamoyski zdążył do Warszawy dopiero po kapitulacyi, Metternich w depeszy do Paryża sławi mądrość polityki austryckiej, dzięki której cały naród polski, z wyjątkiem rewolucyonistów, liczących na Francyę i Anglię, nie przestał zwracać się ku Austryi i błagać cesarza, aby rozciągnął nad Polską swe ramię, sprawiedliwe i opiekuńcze; a kończąc, tryumfuje: „bądź co bądź, prawdą pozostanie, że przed nami Polacy po raz pierwszy wyrzekli słowo poddania się bez warunków.“ Niewiele to zaważyło, gdyż Rosya wiedziała najlepiej, co była winna Prusakom, którzy umożebnili Paszkiewiczowi okrążenie i wzięcie Warszawy. Nie pozostało Metternichowi, jak wyprawić do Petersburga notę z powinszowaniem i schować dla siebie wspomnienie o dobrych usługach Austryi.

Gwiazda kanclerza chyliła się ku zachodowi. Przeczuwał bliski koniec starej Europy, w domu widział niemoc i upadek. Rząd austryacki pokazał, co umie: zrujnował do szczętu finanse, zniszczył armię, zubożył i zniechęcił ludność. Cesarz Franciszek podupadł na siłach, zobojętniał, a jedną nogą stał w grobie: lada dzień groziło Austryi wstąpienie na tron nieudolnego na

ciele i umyśle Ferdynanda. Wrogów Austrya liczyła na miliony. Godził w nią liberalizm, protegowany przez Anglię, która pod tą firmą siała niepokój w Europie, szerzyła swój wpływ i otwierała sobie drogi handlowe; godziła w nią rewolucya z opiekunką swoją Francyą, wystawioną codziennie na nieobliczone przewroty. W Niemczech kredyt Austryi upadł zupełnie, odkąd wzeszła na horyzoncie zasada narodowości. Prusy, nie robiąc Austryi otwartej konkurencyi na gruncie niemieckim, zamknęły się w biernej postawie i od spraw europejskich stroniły. Starania Metternicha o odnowienie wobec świata potrójnego przymierza, nie odnosiły skutku. Cesarz Mikołaj, osobiście Metternichowi niechętny, odsyłał go do Berlina, gdzie mówiono sobie, że przymierze na papierze spisane wywoła wojnę z Francyą, którą Prusy same prowadzić będą, bo Austrya armii nie ma, a Rosya nawet z garstką Polaków uporać się nie była w możności. Natomiast Mikołaj nastawał na gabinet wiedeński o zawarcie umowy przeciwko burzycielom polskim. Metternichowi wstrętnemi były żądania rosyjskie, wprost nie odmawiał, ale zwlekał tak długo, dopóki Rosya nie przystała na rzeczy ważniejsze i bliżej Austryę obchodzące. Podczas zjazdu cesarza Franciszka z cesarzem Mikołajem w Münchengraetz, we wrześniu 1833, podpisano trzy konwencye sekretne, do których później Prusy formalnie przystąpiły: jednę o Polskę [1], drugą o Turcyę i Egipt, trzecią przyznającą mocarstwom prawo interwencyi i zapewniającą państwu, z tego powodu zaczepionemu, czynną pomoc dwóch innych.

Było to ostatnie zwycięstwo dyplomatyczne Metternicha, i bardziej pozorne, niż rzeczywiste. Na rozbicie Turcyi cesarz Mikołaj w tej porze nie nastawał, nie uczynił przeto ofiary, obowiązując się szanować *status quo* na Wschodzie. Solenne uznanie zasady interwencyi i obietnica pomocy w razie zaczepki, miały zjednać Austryi możność skutecznego interweniowania w sprawy włoskie i niemieckie, lecz i w tej mierze spodziewane korzyści zawiodły. Rachuba na sukurs sąsiedzki, choćby najlepiej zagwarantowany, nie zdołała zastąpić niedostatku własnych sił, i już

[1] Bliższe szczegóły co do umowy o Polskę zawartej i jej następstw, znajdzie czytelnik w pierwszym tomie książki: Antoni Zygmunt Helcel.

dlatego zawsze Austryaj z wielką nieśmiałością interweniowała we Włoszech, unikając postawienia rzeczy na ostrzu miecza i zerwania z Francyą. Pomimo konwencyi zaś, pomoc sąsiadów ulegała wielu wątpliwościom. Król pruski podpisał punkta ułożone między dwoma cesarzami, przybycia jadnak na zjazd odmówił, do związku przystąpił z widoczną niechęcią, tylko przez uległość dla Mikołaja i z ukrytą myślą wyswobodzenia się od uciążliwych następstw. Nawet w sprawach polskich gabinet berliński opornie poddawał się konsekwencyom zawieranych umów; w niemieckich biernem zachowaniem się krzyżował widoki Austryi, ośmielał opozycyę państw drugorzędnych i upadek kredytu austryackiego w Niemczech sprowadzał. Co do obowiązku niesienia pomocy Austryi na wypadek wojny z Francyą, oczywistem było, że Prusy dbać będą najprzód o swoje bezpieczeństwo i *casus foederis* uznają chyba pod naciskiem Rosyi. Zła wola Prus zmuszała Austryę skarbić sobie przychylność Rosyi, która tem samem w potrójnym związku pierwsze i dominujące zajęła miejsce. Zjazd w Münchengraetz i tajemnica długo umowy tam zawarte osłaniająca, wzbudziły zagranicą podejrzenie, że umawiano się o rozbiór Turcyi i kroki nieprzyjacielskie względem Francyi, w skutek czego zajątrzyły się na nowo stosunki między Wiedniem a Londynem i Paryżem. Metternich nierad zdać Austryę na łaskę i niełaskę potężnego sąsiada, pragnął zbliżyć się do Anglii w kwestyi wschodniej, w której Austrya i Anglia miały wspólne widoki; w tym celu chciał zakomunikować gabinetowi londyńskiemu ową podejrzaną konwencyę, lecz Mikołaj na to nie przystał i Austrya uszła na dal za wspólniczkę Rosyi w jej wschodnich zamysłach. Oprócz tego, cesarz Franciszek sam tulił się pod opiekuńcze skrzydła Mikołaja. Gdy znalazłszy się w Münchengraetz w cztery oczy z gościem, począł wyrzekać na nieudolność syna i niepewną przyszłość monarchii, Mikołaj padł na kolana i z ręką wyciągniętą przysiągł w każdej potrzebie śpieszyć na pomoc Austryi. Dramatyczna scena więcej na szali zaważyła niż pisane umowy, bo lepiej odpowiadała istocie rzeczy. Tam także zawiązały się stosunki osobiste między Mikołajem i Metternichem, i z tego wszystkiego wyłonił się osobisty protektorat Mikołaja nad Austryą, osłodzony rzadką bezinteresownością tego monarchy, dla Austryi pod Ferdynandem bardzo pożądany. (C. d. n.)

Henryk Lisicki.

O ŹRÓDŁACH

niektórych utworów poetycznych polskich

XV. i XVI. wieku.

(Przyczynek do historyi wpływu literatury obcej na staropolską).

Jest wiadomym dzisiaj faktem, że literatura polska, zanim doszła do znakomitego rozkwitu w XVI. w., wystawioną była na wpływy literatury obcej a szczególnie czeskiej, łacińskiej, w niejednym zaś względzie i niemieckiej. Jak wielkiemi jednak były granice tych wpływów i jak daleko sięgały, do dzisiaj dokładnie nie zbadano. Większa część historyków literatury polskiej, co się tyczy najdawniejszej jej epoki, trzyma się ściśle i powtarza tylko twierdzenia Maciejowskiego i Wiszniewskiego, nie wzbogacając dzieł swych pomimo wzrostu materyałów nowemi i samoistnemi zapatrywaniami. A przecież jedną z najważniejszych kwestyi w dziejach każdej literatury stanowi dokładne poznanie jej początkowego zawiązku; gdyż on tworzy dalszego jej rozwoju kolebkę, i tłómaczy późniejszy jej, częstokroć niespodziewany i niezrozumiały dla potomnych rozkwit. Tem więcej interesu powinno poznanie takie obudzać w historyku literatury polskiej, która pomimo ubogiej i małej liczby dochowanych zabytków piśmiennych z epoki przed XVI. wiekiem, w połowie i drugiej części tegoż tak świetną produkcyjność literacką okazuje. Co więcej, dzieła w tym czasie powstałe, to nie pierwsze i niepewnie stawiane kroki na polu piśmiennictwa, ale utwory o wielkiej wartości wewnętrznej, zdradzające duchowe pokrewieństwo idei i myśli, które im z resztą oświeconej Europy są wspólnemi. Aby jednak

dojść do utworzenia tak wspaniałego wieńca z dzieł prozy i poezyi, jak to w XVI. w. widzimy, przypuścić trzeba, że już na długo przedtem wiele usiłowań czynić musiano, które były niejako przygotowawczą szkołą dla złotego wieku i do wystąpienia na polu literatury późniejszym pionierom torowały drogę. Jeżeli tedy epoka Zygmuntowska nie ma być uważaną za niewytłómaczone i wyjątkowe zjawisko w dziejach piśmiennictwa, to należy przedewszystkiem poznać jej związek z czasami poprzedniemi, w których znajdzie się zarówno pierwszych zasiewców jak i pierwsze ziarna późniejszej jej plenności, a powtóre stosunek jej do wszystkich tych prądów, które wówczas w Europie panowały i wszystkim literaturom dawały podstawy, na których rozwój swój oprzeć mogły. Pytania tego jednak do dzisiaj nie stawiali sobie dziejopisarze literatury polskiej i nie odpowiadali na nie. Oprócz bowiem kilku monografii, traktujących o dawnem piśmiennictwie polskiem, jak Dra Nehringa, Dra Pilata, Dra Kaliny, Dra Bobowskiego, tudzież odpowiednich ustępów w historyi lit. pol. Wiszniewskiego, w piśmiennictwie polskiem Maciejowskiego i t. d., z niczem więcej spotkać się nie można, jak tylko z jednym, ustawicznie powtarzanym i na mylnem zapatrywaniu opartym sądzie, że jedne zabytki nie inną jak tylko filologiczną mają wartość, inne znowu, a mianowicie poetyczne, jako pierwsze owoce naiwnego i dziecięcego szczebiotu, bez wszelkiej nieraz treści, „w gruby i nieokrzesany przybrane język“ nie mają miejsca w literaturze. Nie dziw tedy, że w skutek braku studyów, któreby miały za cel dokładne poznanie piśmiennictwa polskiego z wieku XIV., XV. i XVI., tudzież porównanie go ze stanem literatury obcej, powstało wiele kwestyj ciemnych, wyrodziło się wiele zapatrywań fałszywych, w skutek których patrzano na niejedną rzecz z innego jak rzeczywistego stanowiska, upatrując mianowicie oryginalność tam, gdzie było tylko proste naśladownictwo lub przyswojenie; dziwne zaś wyniesienie się nad poziom i wysoki stopień postępu, gdzie w rzeczywistości nic więcej nie widzimy, jak tylko owoc koniecznego rozwoju.

Rozprawa niniejsza ma właśnie na celu wskazanie źródeł, na których opierali się autorowie kilkunastu poetycznych polskich utworów z XV. i XVI. w., umieszczonych w t. VI. lit. pol.

Wiszniewskiego, w dodatkach do piśmiennictwa polskiego Maciejowskiego i w innych publikacyach starych zabytków. Wydawcy bowiem publikując stare pomniki, uważali je po największej części za samodzielne i oryginalne utwory muzy polskiej i w takim tylko charakterze każą im w swych dziełach figurować, lub wiedząc o pochodzeniu, niewłaściwe naznaczali im źródła.

Pod względem treści należy cały zasób wymienionych utworów do jednej tylko gałęzi piśmiennictwa, lub w bardzo bliskim stoi z nią związku, a mianowicie do poezyi religijno-kościelnej, która tak samo w polskiej jak i każdej innej średniowiecznej literaturze wypełnia płodami swemi połowę niemal ówczesnej literackiej działalności, lub zgoła nawet daje jej początek. Drugi ten wypadek zachodzi mianowicie w piśmiennictwie polskiem, którego pierwszym pomnikiem poezyi był hymn do Bogarodzicy. W skutek tego dział ten literatury polskiej zawsze jedno z najważniejszych miejsc będzie w niej zajmował, a mianowicie jako podstawa jej późniejszego rozwoju, jako szkoła przygotowawcza, gdzie i myśl się kształciła i wzbogacała, i język się wyrabiał, naginając się do wszelkich odcieni myśli.

Łatwo jednak już z góry przewidzieć, uwzględniając charakter i istotę religijno-kościelnej poezyi, że płody na tej niwie u nas powstałe, oryginalnemi zupełnie być nie mogły.[1] Chcąc tedy zrozumieć jej podstawy, a następnie dalszy rozwój, koniecznie uwzględniać należy literaturę obcych narodów, które w tym względzie na Polskę oddziaływały. Źródła nasuną się same: po jednej stronie mianowicie stanie literatura łacińska, po drugiej czeska i niemiecka. Naturalnem jest, że drugie źródło, jak tego historyczne fakta dowodzą, najobficiej mogło być wyzyskane, gdyż przy wielkiem pokrewieństwie języków praca i wzajemne porozumiewanie się na polu literackiem niezwyczajnie były ułatwione.

Pomijając wszystkie te utwory, które znane są powszechnie jako tłómaczenia, uwzględnię tylko takie, które nie były dotychczas zestawiane i u wydawców uchodzą za oryginalne.

---

[1] Mone F. J. Lateinische Hymnen d. Mittelalters. Freiburg i. B. 1853. Band I. Vorrede und Einleitung.

1. Śpiew na Boże Ciało
„Witaj miły Jezu Chryste“

Po raz pierwszy wydał zabytek ten Maciejowski w „Pamiętniku o dziejach, piśmiennictwie i prawodawstwie Słowian“, t. II. str. 354, z rękopisu, którego bliżej nie opisał i opatrzył go datą 1408. Po Maciejowskim przedrukował go Wiszniewski w „Hist. lit. pol.“ t. VI. str. 418, z tąż samą datą, ale niedokładnie, opuszczając koniec wiersza siódmego i początek ósmego. Po raz wtóry ogłosił go znowu Maciejowski w „Dodatkach do piśmiennictwa polskiego“ str. 77 z tego powodu, „iż przekonał się“, jak mówi na str. 76, „iż się nieco różni od owej“ pieśni, którą wydał w Pamiętniku, „bądź dlatego, że ją mniej starannie ś. p. Gołębiowski przepisał, bądź, że ją z innego wyjął rękopisu“. Przy powtórnem jednak wydaniu, odrzucając datę 1408 i 1457 r., mniema „sądząc po jej wysłowieniu,“ że napisaną została w r. 1419 i przypisuje autorstwo nieznanemu bliżej Stanisławowi Piskorzewskiemu, z którego podpisem znalazł w tymże samym rękopisie traktat: „Historia scolastica,“ opatrzony także datą 1419 r.

W kościelnej literaturze czeskiej znajdują się dwie tej samej treści pieśni na Boże Ciało, zaczynające się także od słów: „Witaj milý Jezukriste.“ Pierwsza z nich ogłoszona w „Výborze lit. české, díl. první.“ str. 322, mająca pochodzić z XIV. w., o 31 wierszach, oprócz czterech następujących wierszy:

Witaj milý Jezukriste	Vytay Mily iesu criste
witaj synu panny čisté...	thysz szyn sprawey Dzewky [czystey...
než jest prawé božie tělo	Wytay prawe boze czalo
jakž to jest na kříži pnělo...	thako yako yesz na krziszu [pnalo

które, jak widzimy, dosłownie prawie zgadzają się z odpowiadającemi im w redakcyi polskiej, nic zresztą z tą ostatnią oprócz podobieństwa myśli nie ma wspólnego.

Drugą pieśń czeską takiej samej treści wydał J. Jireček w „Hymnologia Bohemica, Dějiny církewného básnictví českého až do XVIII. století“ na str. 92.

Text czeski:	*Text polski:*
Vítaj, milý Jezukriste,	Vytay Mily iesu criste
ty's syn pravej dievky čisté,	thysz szyn sprawey Dzewky czysthey.

Ty jsi za ny na kříž vstúpil,	Ty yesz za nasz na krzysz wstampil
svú svatú krví ny vykúpil.	Swansz nasz swanthǫ krwǫ othkupil.
Vítaj, pravé boží tělo,	Wytay prawe boze czalo
tak jak jsi na kříži pnělo,	thako yako yesz na krziszu pnalo [1]
vizi tě v svatém oplatce,	Vydzǫ czǫ w swanthem oplathcze
jako's se počal v svej matce.	Jakosz szǫ poczol w thwoye mathcze
Proši tebe, synu boži,	Proszǫ czebe synu bozy
jenž jsi král v nebeském zboží,	thy yesz Krol w rayszkem szbozy
by se račil smilovati	By szǫ raczil szmilowaczy
a nám hřiešným milost dáti.	nam grzesznym swǫ miloscz daczy.
	[Amen.

Co się tyczy stosunku obu textów do siebie, to sama zewnętrzna forma okazuje, który z nich jest oryginałem, a który przekładem. Budowa poematu czeskiego, jak widać z przytoczenia, zupełnie bez zarzutu: ilość zgłosek wszędzie ta sama, rytm trochaiczny, a rymy pełne, czyste, żeńskie, nie assonancyjne. Text polski na tych samych podstawach metrycznych napisany, ale wyłamując się trzy razy ze schematu wierszowego, mianowicie w wierszu szóstym, w którym „thako“ należy wyrzucić, w ósmym, w którym zamiast „thwoye“ należałoby położyć „thwey“, i w dziesiątym mającym tylko siedm zgłosek, tudzież zawierając rymy niedokładne: vstampil: othkupil, criste: czysthey, tam, gdzie w czeskim zupełnie dokładnie się rymuje vstúpil: vykúpil, kriste: čisté, budową swoją udowadnia, że jest jakkolwiek dosłownem, ale niezgrabnem tłómaczeniem z czeskiego. Nie można się tedy zgodzić z Jirečkiem, który przez Maciejowskiego w błąd wprowadzony, powiada w wyż wymienionej rozprawie: „Piseň o božím těle polsky napsána l. 1408, a česky nedlouho potom,“ w tym bowiem wypadku, co trudno przypuścić, druga byłaby poprawniejszą i w obcym języku napisaną edycyą pierwszej.

Tym sposobem odpada także i autorstwo jakiegoś Piskorzewskiego, który nietylko nie mógł być jej twórcą ale prawdopodobnie także i tłómaczem. Co się tyczy czasu, to trudno zgodzić się z Maciejowskim na datę 1419 r., gdyż jest to tylko jeden przykład jego datowania, który pierwszą lepszą datę rękopisu

[1] Zam. „pvalo.“ które Maciejowski w tem miejscu pisze i tłómaczy przez „ufało,“ co nie ma sensu, położyłem „pnalo“ (pniało) od „pněti.“

przykłada do jakiegokolwiek pomnika w nim znalezionego, chociaż tenże w żadnym zresztą związku z całością jego nie stoi. W każdym razie jednak należy pomnikowi temu naznaczyć ogólną datę pierwszej połowy XV w.

2. Pieśń na Boże Narodzenie
„Stałać się rzecz wielmie dziwna."

Pieśń tę niewiadomo z jakiego rękopisu ogłosił Wiszniewski w hist. lit. pol. t. VI. str. 421—422, z datą 1442. Jest ona tak samo, jak poprzednia, tłómaczeniem pieśni czeskiej, pochodzącej z XIV. lub początku XV. w., a wydanej z rękopisu znajdującego się we Wrocławiu najsamprzód przez Hoffmanna von Fallersleben, „Monatsschrift von und für Schlesien" r. 1829; następnie po raz wtóry przez Feifalika w rozprawie: „Untersuchungen über altböhmische Vers- und Reimkunst". Sitzungsber. d. Wiener Ak. d. Wiss. B. XXXIX. Hist. phil. Cl. s. 319.

	Text czeski:		*Text polski:*
V. 1.	Stalat' sě věc divna, Panna syna porodila. Beze vše strasti tělesne, tot' jest divné a nové.	V. 1.	Stalacz ssǫ rzecz welmy dzywna panna szyna porodzyla. Przesse wssey stradzy czelestney, thocz gest dzywne a nowe.
V. 2.	Izaiáš prorokoval angel Gabryel zvěstoval, a řka „Zdráva, plna milosti, porodiš bez bolesti."	V. 2.	Ysayasz prorokowal, angel Gabriel zwastowal, Zdrowayessz panno mylossczy porodzyss przes bolessczy.
R.	Radujme sě, veselme sě, v Betlemě, v malém mestě buoh narodil sě.	R.	Raduymy szǫ, wesselmy szǫ, W Bethleem w malem messcze Bog narodzil szǫ.

O ile dalsza część polskiego przekładu odpowiada oryginałowi czeskiemu, który ma się składać z 3 strof, i czy w ogóle na nim się opiera, jest mi niewiadomem, gdyż Feifalik ogłosił tylko pierwszą zwrotkę, a „Monatsschrift" pomimo starań dostać nie mogłem.

3. Pieśń na kwietnią Niedzielę
„Chwała sława wszelka cześć".

Ogłosił ją po raz pierwszy Maciejowski w Pamiętniku t. II. str. 357—358, potem przedrukował dosłownie Wiszniewski w t. VI. Hist. lit. pol. str. 420—421. Rękopisu jednak, który oznacza l. 701, nie opisał bliżej Maciejowski, w skutek czego data 1400 roku, którą pieśni tej naznacza, jest wątpliwą i dla braku bliższych da-

nych dokładnie oznaczoną być nie może; na podstawie ortografii atoli należy bez wątpienia do pierwszej połowy XV. w.

Oba wydania pieśni tej tak Maciejowskiego jak Wiszniewskiego bardzo niepoprawne, a wielka ilość błędów odbiera im wszelką wartość pod względem naukowym.

Co się tyczy źródła, to opiera się ona na łacińskim hymnie takiejże treści, który pod tytułem „Hymnus pro die Dominica palmarum“ miał napisać Theodulf, jeden z średniowiecznych poetów łacińskich z epoki Karolingów [1].

Łaciński text w całości ogłosił F. Wackernagel w dziele: „Das deutsche Kirchenlied von der ältesten Zeit bis zu Anfang des XVII. Jahrhunderts.“ Leipzig 1864. B. I. str. 88.

Text łaciński:	*Text polski:*
	I.
1. Gloria, laus et honor tibi sit, Christe, redemptor, cui puerile decus prompsit hosanna pium.	V. Chphala slava wselka czescz Bącz thobye o krolyu gosponye, Kthoremu dzyeczynni glosz poye Posdrovyenye bąncz thvoye.
2. Israel es tu rex Davidis et inclita proles, nomine qui in domini, rex benedicte, venis.	V. Israelsky yesz kroleyevycz Davydov syn y thesz rodzycz Tego svyata pravy rodzyc.
3. Coetus in excelsis te laudat caelicus omnis, et mortalis homo et cuncta creata simul.	R. Czybye krolyu czczą (?) angely i svyączy Chphalyą czya iesu. Chphalyą cze wszyszczy wszelky czlovyek y stworzenye Chphalya czyebye criste panye.
	II.
4. Plebs Hebraea tibi cum palmis obvia venit, cum prece, voto, hymnis assumus ecce tibi.	V. Lyuth zydowsky vysethl k thobye s palmamy na czescz tobye. Y my thesze krzesczyany chphalem czybye modlytvamy
5. (Hi tibi passuro solvebant munia laudis nos tibi regnanti pangimus ecce melos.)	V. (Owa racze nasze obye, Palmy noszącz yedzem kthobye Thvey myloszczy prosym sobye, Day nam krolovacz na nyebye.)
6. Hi placuere tibi, placeat devotio nostra, rex bone, rex clemens, cui bona cuncta placent.	R. Bącz thobye lube spyevanye Nasze, kthore czynym cze glossem Krolyu chphaly i myloszczy, Othdal oth nasz wszysthky sloszczy.

[1] Edelstand du Méril „Poesies populaires latines antérieures au douziéme siecle“. Paris 1843. (Introduction).

Jak widzimy obydwa texty odpowiadają sobie prawie dosłownie, z wyjątkiem piątej strofy polskiej, która inną ma treść jak łacińska. Okoliczność ta, jakoteż cała zewnętrzna budowa tłómaczenia polskiego nasuwają w skutek tego pytanie, czy opiera się ono bezpośrednio na oryginale łacińskim, czy też dokonane zostało z niego, ale przy pomocy jakiegoś przekładu czeskiego, lub może nawet niemieckiego. Za drugiem przypuszczeniem przemawiają dwie wyżej przytoczone okoliczności, a szczególnie budowa polskiego przekładu. Położone mianowicie przez Maciejowskiego R po wyrazie „iesu," a oznaczające „Responsio" (Abgesang), każe się domyślać tak używanej w wiekach średnich trójdzielnej strofy. Budowę tę znajdujemy rzeczywiście po bliższem przypatrzeniu się i w przekładzie polskim. Tłómacz widocznie zamieniał co dwa długie Theodulfa wiersze w czterowierszową zwrotkę o rymie aa, bb, jakto wyraźnie część druga wskazuje, i utworzył tym sposobem sześć zwrotek, z których co trzy znowu stanowią jednę strofę trójdzielną o schemacie I. V. aa, bb. II. V. cc, dd. R. ee, ff. W ten sposób także starałem się zrekonstruować budowę pieśni naszej, którą Maciejowski bez należytego podziału na wiersze przedrukował, a uwzględniając jej część drugą, która o wiele staranniej jest napisaną, niż pierwsza, położyłem R nie jak Maciejowski po „iesu", ale stosowniej, o ile mi się wydaje, przed „Czyebye." Wiedząc zaś, że strofy tego rodzaju nie utworzyli Polacy, ale przyjęli ją z zachodu, a mianowicie za pośrednictwem poezyi czeskiej, kościelnej łacińskiej lub niemieckiej, a następnie, że specyalnie tłómacz nasz nie mógł jej naśladować z hymnu Theodulfa, gdyż w ten sposób nie jest on napisany, przypuścić wypada, że użył do przekładu swego jakiegoś innego o tej właśnie formie tłómaczenia.

4. Legenda o świętym Alexym.

Mało która z legend średniowiecznych była tak rozpowszechnioną jak legenda o świętym Alexym, którego życie „prawdziwy obraz długo-trwałego męczeństwa, jakie święty ten, z zamożnych urodzony rodziców, w dobrowolnie podjętem poniżeniu, wśród najtwardszych warunków aż do końca wytrwale znosił," służyło za przedmiot i treść wielu obrobień tak poetycznych jak proza-

icznych. To też literatury wszystkich prawie narodów chrześcijańskich, wykazują istnienie jej u siebie, dochowując ślady tego w licznych przekładach redakcyj łacińskich, lub nawet w samoistnych obrobieniach, w niejednym kierunku przewyższających pod względem wartości źródła, na których się opierały [1].

W literaturze polskiej oprócz jednego prozaicznego tłómaczenia, które wyszło w r. 1529 w Krakowie u Macieja Szarffenberga pod tyt.: „Ziwot blogoslawenego Alexego spowednika [2]“, do niedawna nie był znany żaden poetyczny przekład, któryby świadczył o ogólnem rozpowszechnieniu i zajęciu się tą legendą w Polsce w takim stopniu, jak np. u Niemców, Włochów, Anglików i t. d., którzy po kilka odmiennych, poetycznych redakcyj jej posiadają.

W roku 1876 dopiero ogłosił Dr. Wisłocki w „Rozprawach i sprawozdaniach wydziału filologicznego Akademii Umiejętności w Krakowie“ w tomie IV. żywot św. Alexego, napisany wierszem po polsku, z rękopisu biblioteki jagiellońskiej pod l. 2317, pochodzącego ze środka XV. wieku.

Dr. Wisłocki porównawszy treść legendy polskiej z dwiema jej redakcyami łacińskiemi, zawartemi w „Acta Sanctorum Bollandistorum, Mensis Junii, tomus IV. die decima septima,“ z których pierwsza nosi tam tytuł: „Vita auctore Anonymo conscripta“ str. 251—253, druga zaś mająca pochodzić z pierwszej połowy XII. w. pod tytułem: „Vita Metrica, Auctore ut creditur Marbodo, primum Archidiacono Andegavensi, deinde episcopo Redonensi in Armorica“ str. 254—256, przychodzi do przekonania, że „legenda polska nie jest tłómaczeniem niezręcznem Marboda,... ale wolnym, oryginalnym... wierszem polskim, ułożonym mniej więcej na podstawie zwykłej legendy łacińskiej o św. Alexym.“ „Pobożny autor“, powiada dalej Dr. Wisłocki, przyznaje też zaraz w wierszu dziewiątym,... „że w yednich kszagach“... czyta o św. wyznawcy, i że na tej podstawie żywot jego opowiedzieć zamierza. Opowiada go zatem, ale w oryginalny sposób, dawszy Legendzie zaraz od początku for-

[1] Massmann H. F. „Sanct Allexius Leben“ str. 38—42.
[2] Estreicher K. Bibliografia Polska XV.—XVI. w. str. 18.

malny zakrój powieści epicznej" str. 330... „a nawet stara się miejscami uzupełnić niedokładności Legendy łacińskiej i zaokrąglić ją szczegółami, przemawiającemi wyraźniej do umysłów prostych" str. 332. W końcu zaś zestawiwszy wszystkie zalety przekładu polskiego, powiada Dr. Wisłocki: „W ogólności prostota posunięta do ostateczności i niczem niekrępowana naturalność w obrazowaniu, cechują Legendę w rękopiśmie biblioteki Jagiellońskiej; pod tym względem nie wytrzymują z nią porównania ani text łaciński bezimiennego autora, ani układ jej wierszem uskuteczniony przez Marboda. Odczytywanie Legendy naszej sprawia też mimowoli, przy swobodzie swojej i oryginalności w poglądach, wdzięczne bardzo wrażenie, a chwilami nasuwa się nawet samo przez się przypuszczenie: czy też nie jest to przypadkowo rzecz dziada polskiego, co siadając pod grodami u żórawiów przy mostach, z lirą w prawej ręce, nucił przechodniom pieśni nabożne, nadstawiając lewą o jałmużnę"? str. 340.

I rzeczywiście jeżeli porównamy legendę polską z dwoma wyżej wymienionemi źródłami, przekonamy się, że tylko niewielka ilość wierszy znajdzie odpowiednie zupełnie sobie miejsca w utworze Marboda i drugiego anonima, a mianowicie ustępy od wiersza 11—18, 19—22, 25—33, 37—38; w. 50, 60—67; w. 91, 95—99, 107—113, 117—124, 146—155, 156—163, 164—166; w. 170, 170—181, 182—185, 186—190, podczas gdy reszta razem 170 wierszy w bardzo dalekiem z niemi stoi pokrewieństwie lub zgoła nawet żadnego nie okazuje związku, wydając się przeinaczeniem legendy łacińskiej lub oryginalnym dodatkiem pisarza polskiego.

Wedle Dr. Wisłockiego oryginalnemi zupełnie miejscami w legendzie polskiej są następujące ustępy:

I. Wiersze od 1—10, zawierające inwokacyą do Messyasza i te charakterystyczne słowa:

„Szywoth gyednego szwyathego,
C z t h ą w y e d n i c h k s z a g a c h o n y m
Ktho chcze szluchacz, yą powyem w. 8—10.

II. Naznaczenie świętemu Alexemu przed ożenieniem się pewnego, a mianowicie 24 r. życia:

„Ysze byl star dwadzeszcza kthemu czthirzy latha
Wyacz k nyemv rzecl oczyecz szlowa tha:
Mily szynv . . . . . .
Pogym... szoną szobye w. 38-40.

podczas gdy obie legendy łacińskie ogólnie tylko piszą, pierwsza:

„Cum ad tempus adolescentiae accessisset et eum nuptialibus infulis aptum iudicassent, elegerunt ei puellam ex genere imperiali".

druga:

„Tempore nubendi iam coniugioque fruendi
E regum cella regali stirpe puella
Ipsi deligitur..." str. 333.

III. Wprowadzenie krótkiego dyalogu między ojcem a synem od w. 39—50, którego Legenda łacińska nie zna, a w którym rodzic nakłania syna do zawarcia ślubów małżeńskich. Dodatek ten uważa Dr. Wisłocki za „zaokrąglenie tego wypadku z życia świętego, który powinien był przecież wyraźniej przemówić do umysłów prostych słuchaczy," str. 334.

IV. Urozmaicenie legendy polskiej w ustępach od w. 60—83 i 84—124, „dla polskich słuchaczów swojskimi rysami" str. 335. Jednym z „takich swojskich rysów," „dodatków czysto-polskich", ma być wedle Dra Wisłockiego to, że autor polski opisując życie św. Alexego na tułaczce, prowadzi go pod Kościół w jednem mieście, którego bliżej nie nazywa, i każe mu siedzieć pod progiem jego, gdzie

„sz wyrzchu szla przygoda,
nyegdi mrosz, nyegdi woda" w. 105—6.

co znaczy, że święty był „wystawiony na mróz i wodę, czyli zimno i deszcz lub słotę." „Legenda właściwa nic o mrozie i słocie nie wie," str. 336.

V. Skreślenie końca życia św. Alexego oryginalnie i niezgodnie z legendą łacińską, która opowiada, że znak o śmierci jego dał zgromadzonym w kościele „głos z nieba" (vox coelitus) i wprowadził ich do domu Eufamijana, ojca św. Alexego, podczas gdy w polskiej legendzie czynią to dzwony, które same dzwonić zaczęły, i „młode dzeczą," które wszystkim cud ten wytłómaczyło, wskazując miejsce śmierci męczennika. Według łacińskiej wreszcie legendy, list z ręki Alexego, który tenże przed śmiercią

miał napisać i w ręce mocno ścisnąć, odbiera Papież „accedens pontifex accepit chartam de manu eius"; legenda zaś polska przypisuje to, czego nie mógł „ani cesarz, ani Papież, ani wszystko kapłaństwo", byłej żonie św. Alexego, która wraz z innymi przybyła do domu Eufamyana i wzięła pismo z ręki męża.

Inaczej jednak przedstawia się wrzekoma oryginalność i samodzielność pisarza polskiego, jeżeli porównamy utwór jego z innemi legendami, przedrukowanemi w dziele H. F. Massmanna: „Sanct Allexius Leben in acht gereimten mittelhochdeutschen Behandlungen. Nebst geschichtlicher Einleitung, sowie deutschen, griechischen und lateinischen Anhängen." Quedlinburg und Leipzig, 1943, których Dr. Wisłocki nie uwzględnił[1].

Zestawiłem mianowicie legendę polską z jedną legendą niemiecką, którą Massmann ogłosił z rękop. wiedeńskiego Nr. 3007 i oznaczył literą B. (str. 68—76), jakoteż z jedną łacińską umieszczoną w dodatku i oznaczoną literą A (str. 157—166).

Pierwsza z nich napisaną jest w formie poetycznej, wierszami ośmiozgłoskowemi, rymowanemi, druga prozą i jest największą ze wszystkich znanych mi o tym świętym legend.

Pomijając mniejszej wagi punkty styczne, zestawię tu przedewszystkiem te tylko miejsca, które Wisłocki uważał za swojskie rysy i dodatki czysto-polskie.

Tekst polski:

Ad I.

Szywoth gyednego szwyathego,
Czosch milował boga swego,
Cztha w yednich ksiagach o nym,
Ktho chcze szluchacz, ya powijem:
W Rzymye gyedno panyą bilo,
Czosch bogu rado szluzilo.
w. 7—12.

In einem buoche man uns las,
daz hie vor ze Rôme ein herre was,
gewaldec unde riche
schoene und tugentliche.
Massmann str. 68
w. 1—5.

Ad II.—III.

Ysze byl star dwadzeszcza kthe- [mu czthirzy latha,
dor anz zweinzigeste jâr trat,

Wyacz k nyemu rzecl oczyecz [szlowa tha:
sîn vater in mit worten bat

Mily szynv kaszą thobye
Pogym za gyegocz szoną szobye;

„sun du solt ein maget nemen
diu dir Kunde wol anzemen

[1] Por. Arch. für slav. Phil. B. II. s. 372—6.

Kthorey gyedno bandzesz chczyecz,
Szlubyą thobye, thą masz myecz.
Syn odpowye oczczv szwemv:
Wszeko szluszą starszemv.
Oczcze! wszekom yą twoye
[dzeczą,
Wyerne! dal bych szwoy szy-
[woth prze czą;
Czo kole my chczesz kaszacz,
Po thwey woly ma szą tho stacz.
A wyacz mv czeszarz dzewka dal,
A papyesz gy sz nyą oddal
A w then czasz papyesza myąno
Innocencius mu dząno.
w. 38—53.

unt dir an êren füege reht".
dô frîter im des keisers gefleht,
schoene zühtic unde rîch.
er holte im si tugentlîch,
daz groezer freude en wart gep-
[flogen.
Alexius was also gezogen,

er ne wolden vater betrüeben
noch sîn willen an im üeben,
dô liez er si zesamene geben,
sô daz sich freute ir beider leben.
si trûte ein bâbest mit sîner hant:
Innocencius was er genant.
Massmann str. 69.
w. 65—80.

Ad IV.

A gdy szą sz nyą pocladal
They noczy sz nyą gadal,
Wroczil szaszya pyrszczen gyey
A rzeclk thako do nyey:
Ostawyam czą przi thim dzew-
[stwye,
Wrocz mi gy, gdy badzewa oba
[w nyebyeskim krolewstwye;
Jvthrocz szą byerzą od czebye,
Szluzy themv, czosz czy gyest
[w nyebye;...
Chową szą w czczy i w kaszny...

Krolewna odpowye yemv:
Mąm thesch dobrą volą kthemv,

Namyleyszy mąszu moy!
Thego szą po mnye nicz nye boy,
Kaszdi czlonek w mym ziwocze
Chczą chowacz w kaszny y w
[cznocze;
Gynako po mnye nyc wszwyesz,

Doyąth thy ziw, yą thesz.
w. 60—83.

do er mit ir für daz bette kam,
als in beiden wol anzam,
und er bî ir alleine saz,
die lêre er mit dem munde maz:
er sprach: „vil liebin frowe
[mîn...
frouwe, ich bitte dich nicht mê

wan waz dir vol anstê,
daz lip unde sêle genesen".

si sprach „daz munz zukünftec
[wesen.
denselben orden wil ich tragen".
daz gund der frouwen vol be-
[hagen.
si sprach ze ime al überlût
„mîn sêle werde gotes brût
und dîn, als wir verscheiden."
Er nam daz vingerlîn von der
[hant
unt gapz der juncfrowen alze-
[hant.
er sprach „vil liebin frove mîn,
nim das güldîn vingerlîn,
wand ich morgen von dir scheide...
kume ich zuo dir nicht sider
sô gip mirz in dem himel wider.
Massmann str. 69
w. 89—122.

Wyącz szam poth kosczolem [szedzal [1]...
Wyącz tho szawszdy wstawal [reno,
A no koszczol zamknyono,
Wyancz thu leszal pothle proga,
Phalą proszą szwego boga.
A no sz wyrzchu szla przygoda,
Nyegdi mrosz, nyegdi woda,

Ez szą stalo w gyeden czasz,
Wstal sz obrasza mathky boszey [obrasz;
Szethl do thego czlowyeka,
Gyen szą cluczem opyeka,
I rzecl gyest thako do nyego:
Wstany, pusczi czlowyeka thego,
Othemkny mv koszczol boszy,
Acz na thim mrosze nye leszy.
Zak sza theko barzo lanknął,
Wstawszy koszczol othemknął.
Tho na nowthno dzegyalo,
Ale sza cząsto dzegyalo:
Wyącz szak powyedal kaszdemv,
Y staremv y mlodemv.
A gdysz tho po nym vsznaly,
Wyelika mv phalą daly,
Szą szwyąthego gy trzimano,
Y wyele mv prze bog dawano...
w. 99—125.

Dô knieter an den anetret
vor mitter naht biz hin gein [tage...
dô kom regen unde snê,
daz er zitterte mit grimme.
dô rief ein bilde mit stimme
„stânt ûf, du traeger glockenaer,
und ring dem menschen sîne [swaer.
der dûze ûf der swellen liget.
diu kelte im anders angefiget,

unde er ersturbe tôt.
laz in her în, es ist im nôt".
Daz wunderte den huoteman
diu tor er ûf sliezen began...
do er aber sîn gezît sprach
daz marcte dô der glockenaer,
der melte smorgens niu we maer.
„ein heilic mensche waere aldâ".
der liute giengen zin vil nâ
unt truogen im alsô vil zuo,
daz es in verdroz dô.
Massmann str. 71.
w. 200—230.

Ad V.

A leszal thu szesznaczcze lat [2],
Wszthko czyrpyal prze bog rad;
Szyothmegonaczcze latha za mo- [rzem byl,

ditz leit er alsô lange dâ,
biz im ein siuche volgte nâ...
(dô kam ein engel unt brâhte im [dar)

[1] Cum itaque venerabilis Allexius aliquamdiu ibi moratus inter ceteros nocte quadam pauperes ad ostium cubaret ecclesiae, vox de... salvatoris imagine ad mansionarium facta est dicens: vade, inquit, exquire in turba pauperum foris ecclesiam unum... et introduc eum ad me quia dignus est. Exurgens ille ostium ecclesiae aperuit... His autem .. qui in principali convenerunt ecclesia, mansionarius (narravit)... qnod factum fuerat. Qui universi.. glorificaverunt deum... decreveruntque in summa reverentia de reliquo habere virum dei.
Massmann Anhang s. 160—161.

[2] Evolutis interea decem et septem annis... egrotavit Allexius... et per ordinem totam sue cause seriem descripsit in membrana... Et tenens cartulam amisit spiritum. Cumque sacrosancta... anima beati Allexii recepta esset in pace..., eadem in qua hora ipsoque momento omnes per totam Romanam ecclesiam... per circuitum undique sonuerunt campane deo sine ministerio hominum providente honorem exequiarum fideli suo. Massmann Anhang s. 163—64.

Czo szobye nycz czynil.
A wyacz gdi ivsch vmrzecz [myal,
Szam szobye lyst napyszal,
I szczisnal gy thwardo w rącze,
Popyszawszy szwogye wszthky [mąky,
I wszthky szthvky, czo gye plo- [dzyl,
Yąko szą na szwyath narodzyl.

A gdy bogv dvsza dal,

Tho szą wyelky dzyw vstal:
Szamy szwony szwonyli,
Wszthky czo w Rzymye byli.

Wyącz szą po nym pythano,
Po wszthkych domyech szvkano;
Nye mogli go nygdzey nayez,...
Gydno mlode dzeczą bylo,
Tho gym wyacz wszyawilo,
A rzekacz: Aza wy nye wye- [cze o thym,
Ktho tho wmarl, iącz wam po- [wyem...
V Ewfamijacz leszy,
O gym sze tha phala byeszy...
w. 182—203.

Wyacz tho papyesz sz kardy- [naly [1]
Czeszarz szwimy kaplany

Szly sza k nyemv...

Chczely mv lysth sz ręky wszącz,
Nye mogli go mv wszącz:

ein brief und legtu im in die hant,
dar an sîn leben was bekant...

unt allez, daz er ie begienc
unt wie Rôme er enpfienc
sîns vater tranc unt sîne spîs.

ouch was dar angeschrieben mit [vliz
sîn name unt ouch sîn kumber [grôz.
sîn hant den brief zesamene [slôz...
(an eim karfrîtage das geschah)...
daz got die sêle zuo zim nam.
dô geschach ein zeichen, daz [wol zam:
dô lûten sich die glocken al
gein einander mit ir schal
in Rôme...
um disen heiligen man,
daz nieman die strenge zôch.
daz wunderte manegen herren [hôch...
si frâgten al um disiu maer

waz daz wunder möhte sîn.
Dô sprach ein kleinez kindelîn
„ir grîset ein tumbez frâgen an:
ez ist lîhte ein heilec man,
den die glocken baz erkennen,
wan die'n mit namen nennen.
Massmann str. 72—73.
w. 313—355.

Der bâbest unt der keiser gebôt

daz man in suochte durch die [nôt...

swer über in gieng od über in [kam,
die kunden mit ir sinnen
den brief nie gewinnen

[1] Papa cum imperatoribus et omni frequencia veniunt ad palacium Eufemiani, matrem familias cum sponsa ad funus stupefactas invenerunt. Equidem accessit Eufemianus tollere de manu defuncti cartulam et non potuit, imperatorum uterque accessit et non prevaluit, ipse papa post omnes quasi dignior apostolatu: ipsi quoque negatum est. Et sponsa... cunque accederet, aperta manu cartam ei porrigebat cadaver exanime. Massmann Anhang s. 164.

Any czeszarz any papyesz,
Any wszthko kaplanyszthwo ta-
[kyesz,
Y wszthek lud k themv
Nye mogl roszdrzecz nycht ran-
[ky gyemv.
Wyącz wszthczy proszyli boga
[za tho,
Aby gym bog pomokl na tho,
By mv mogly lyst othyącz,
A wszdy mv go nye mogli othyącz,
Esz by ale posznali malo,
Czo by na thim lyszcze stalo.
Gyedno przyszla zoną gyego,
A szczlą w rąka do nyego,
Esz gyey rąka wpathl lyst,
Przetho ysz byl gyeden do drv-
[gyego czyst.
w. 208—10, 220—234.

vater muoter bâbest keiser duo
und alle, die dô liefen zuo
in gewinnen ûz sîme gwalt.
als endelîch was niemen gstalt,
biz sîn juncfrowe über in kam.
diu greif dar als ir wol zam.
der viel der brief in die hant.
Massmann str. 73.
w. 357—380.

W ten sposób przedstawiają się miejsca legendy polskiej przez Dra Wisłockiego za oryginalne uznane, które autor nasz do łacińskiego podania z własnej miał dodać fantazyi. Znachodzą się one, jak widzieliśmy, w dosłownem prawie brzmieniu, lub z małemi tylko zmianami w obu do porównania użytych legendach: niemieckiej i łacińskiej.

Z zestawienia tego wynika zatem, że pisarz polski nie oparł się wcale na źródle wymienionem przez Dra Wisłockiego, lecz albo bezpośrednio korzystał z niemieckiego textu, albo z jakiejś innej może redakcyi łacińskiej, która tak polskiemu jak niemieckiemu autorowi musiała być znaną. Wobec tego odpada też przypuszczenie Dra Wisłockiego, jakoby legenda polska była prawdopodobnie rzeczą „dziada polskiego," który oprócz samego sposobu przedstawienia rzeczy, miał wycisnąć inne jeszcze ślady dziadostwa w swoim utworze, a mianowicie w ludowem wyrażaniu się, w używaniu ustawicznem trzech słów: „więc," „co" i przyrostka „ci," a wreszcie w zewnętrznej formie. Jednak i te niby oryginalne strony dają się odszukać w legendzie niemieckiej, której autor aż nadto lubuje się w pewnych słowach, jak np. „dô;" forma zaś wewnętrzna legendy polskiej ta sama co w niemieckiej mianowicie wiersz ośmiozgłoskowy trochaiczny, który nie był wcale wymysłem dziadów polskich, ale powszechnie używanym

w wiekach średnich wierszem legend, dyalogów i innych tego rodzaju utworów poetycznych.

5. Legenda o św. Krysztoforze.

Do rzędu świętych, których życie z szczególną lubością obierane było w wiekach średnich za przedmiot poetycznych lub prozaicznych utworów, należy św. Krysztofor. Legenda o nim musiała być i w Polsce bardzo rozpowszechnioną i znaną, czego dowodem obok innych ta okoliczność, że przeszła nawet do skarbca poezyi ludu naszego i stała się własnością tegoż wraz z innemi legendami, które przyszły do nas z Włoch lub Niemiec, pomimo, że nie są płodami jego wyobraźni[1]. O rozpowszechnieniu jej zresztą u nas za dawnych czasów świadczy dochowana pieśń, pochodząca z początku XVI. w. pod tyt.: „Pyesn o swiętym Krystoforze barzo piękna.“

Z textu drukowanego, będącego niegdyś własnością biblioteki uniwersytetu warszawskiego, a pochodzącego prawdopodobnie z oficyny Wjetora lub Szarffenberga, wznowił ją nasamprzód Lelewel w dziele: „Bibliograficznych ksiąg dwoje“ t. I. str. 148 do 150. a potem Wiszniewski w tomie VI. Hist. lit. pol. str. 425—427.

Treść jej w ogólnych rysach odpowiadająca legendzie, zawartej w „Acta Sanctorum Mensis Juli die vigesima quinta,“ jest następująca.

Św. Krysztofor, poganin, „z obrzymskiego plemienia,“ gdyż według legendy miał 12 stóp wysokości, postanowił służyć najpotężniejszemu człowiekowi na ziemi. Szukając za takim, natrafił na dwór pewnego cesarza, który za najmocniejszego uchodził. Spostrzegłszy jednak pewnego razu, że cesarz obawia się dyabła, opuścił go i oddał się szatanowi. Gdy jednak przechodził z tymże mimo obrazu Chrystusa, zobaczył znowu, że szatan ucieka przed Chrystusem. Postanowił tedy św. Krysztofor służyć większemu od poprzednich swych panów: Chrystusowi. Po długiem szukaniu znalazł on pustelnika, według źródła łać. św. Babylasa, który go ochrzcił i o Chrystusie pouczywszy, kazał mu za pokutę

[1] L. Siemieński: Podania polskie, ruskie i litewskie.

przenosić pielgrzymów przez pewną rzekę, która mostu nie miała. Między innymi zjawił się tam i Chrystus w postaci dziecięcia i kazał się przenieść Krysztoforowi, który nie wiedząc o tem, wziął je na barki. Gdy jednak wstąpił do wody, dziecię tak mu ciężyć zaczęło, że Krysztofor tej pracy ledwie podołać mogąc, z wysiłkiem na drugą przeszedł stronę, i przekonał się, że ten, którego niósł, „był pan wssey moznosci.“ Wyznając odtąd jawnie wiarę Chrystusa, został pojmany na rozkaz cesarza i wrzucony do ciemnicy, w której tenże chciał go nakłonić do upadku i porzucenia wiary chrześcijańskiej przez dwie piękne, wysłane do niego „panny“ Anilinę i Nicetę. Krysztofor jednak oparł się pokusie i nawrócił obie kusicielki. Po straceniu tychże kazał cesarz świętemu włożyć hełm żelazny na głowę, a potem położyć na rozpalony stół żelazny. Gdy mimo to święty z mąk tych wyszedł nienaruszony, kazał cesarz strzelać do niego, przyczem znowu cud stał się, bo strzały wieszając się w powietrzu, nie trafiały Krysztofora, a jedna nawet wstecz się obróciwszy, wybiła cesarzowi oko. Krysztofor tedy „już ku Bogu chęć mając,“ dobrowolnie ofiarował głowę pod topór, by uleczyć cesarza, który ściąć go rozkazawszy, pomazał sobie krwią jego skaleczone miejsce i uwidział. Wypadkiem tym poruszony sam na wiarę chrześcijańską dał się ochrzcić.

Chociaż treść pieśni polskiej o św. Krysztoforze, o wiele oryginalniejszą pod względem przedstawienia rzeczy się wydaje, niż legenda o św. Alexym, gdyż tylko dalsze punkty styczne ma ze zwykłem o tym świętym podaniu, mimo to z wszelkiem prawdopodobieństwem można przypuścić, że autor jej musiał znać tego rodzaju pieśni, pisane w języku łacińskim.

Jedna z nich mianowicie zgadzająca się z utworem polskim aż w trzech zwrotkach, znajduje się w Monego „Lateinische Hymnen des Mittelalters“ 3. Band. „Heiligenlieder“ str. 248—250.

10 zwrotka polska:

Dwie pánnie piękne k niemu posłali,
áby go tám namawiáły,
pánny skoro go vyrzáły...
hnet ku iego Bogu przystáły.

6 zwrotka łacińska:

Aquilina et Niceta,
missa te allicere,
convertuntur mente laeta,
perimuntur propere.

12 zwrotka polska:

Potym stoł żelázny rospalono,
Krystofá ná nim położono,
á támo dźiw boski słynął...
z swiętego y włos nie zginął.

6 zwrotka łacińska:

superiectus ferreo
et ignito scamno laesus
tamen non ideo.

13 zwrotka polska:

Kazał potym by go vstrzeláli,
strzały sie ná powietrzu wieszały,
iedná się ná zad obrociła
Cesárzowi oko wybiłá,
znáć iż tám boska moc byłá.

7 zwrotka łacińska:

Hinc sagittae iaciuntur
contra te innumerae,
sed in vanum transmittuntur
resident in aëre.
Dum rex tibi insultavit
una retro rediens,
eius oculum caecavit
mox sagitta feriens.

15 zwrotka polska:

Potym mu niewinnie głowę ścięto,
cesárzowi iego krwie wźięto,
cesarz gdi ią oko pomázał,
wielkim głosem iest záwołał,
iáwnie moc boską wyznawał.

8 zwrotka łacińska:

Ense rex te Christo dedit
et de tuo sanguine
visum unxit, vidit, redit
mox in Christo nomine.

Inne pieśni polskie z XVI. wieku.

O wiele więcej śladów wpływu obcego, a mianowicie czeskiego na rozwój pieśniarstwa kościelnego w Polsce, spotykamy około połowy XVI. w., gdy podczas burz religijnych zaczęto używać między innemi i pieśni kościelnej do propagowania nowych idei, które przeszedłszy granice ojczyzny swojej, znalazły oddźwięk i w Polsce. Wyznawcy nowych zasad starali się o utwierdzenie kościołów swoich wszelkiemi siłami; oni także podobnie jak w Niemczech, Czechach i innych krajach europejskich przyczynili się do rozkwitu religijnej poezyi polskiej, tłómacząc z jednej strony całe zbiory pieśni kościelnych z obcego na język ojczysty, z drugiej dając pracą swoją w tym kierunku przykład rzymskim katolikom, którzy ich naśladując zaczęli katolickie pieśnioksięgi wydawać [1].

Jednym z pomników tej pracy dyssydentów jest potrójny przekład husyckiego kancyonału czeskiego, zestawionego na polecenie braci czeskich przez Br. Jana Roha, a wydrukowanego przez mieszczanina pragskiego Pawła Seweryna z Kapí Hory w r. 1541 pod tyt.: Písně chvał Božských. Písně duchovní evangelistské z novu přehlédnuté zpravené a shromážděné i také mnohé v nové složené z gruntu a základu písem svátych. Ku cti a chvále samého, jediného, věčného Boha w Trojici błażené. Také ku pomoci a k służbě i k potěšení v pravém křest'anskím nabożenství miłujicích i národ i jazyk český. Jan Roh z pomocníký svými 1541 [2].“

Pierwsze tłómaczenie kancyonału tego, dokonane na prośby panów polskich w r. 1553, przez księdza Walentego z Brzozowa, późniejszego konseniora braci czeskich w obwodzie krakowskim, wyszło w r. 1554 w Królewcu Pruskim, drugie w r. 1569 w Krakowie u Wirzbięty, trzecie wreszcie w r. 1589 w miasteczku Ostrorogu, jednej z siedzib ruchu husyckiego, które jednak podczas pożaru tego miasteczka uległo zniszczeniu [3].

---

[1] Wiszniewski. Hist. lit. pols. t. VI. str. 500—501.

[2] Jireček: Hymnologia Bohemica“ str. 15.

[3] Jireček, tamże. str. 93—94. i Čas. Česk. Muz. roku 1869. str. 51.

Obok tych trzech całkowitych przekładów, które bądź co bądź świadczą o wielkiem rozpowszechnieniu kancyonału tego między husytami polskimi, są ślady, że tak przed r. 1553, jakoteż i po nim tłómaczono bezpośrednio z oryginału czeskiego i odrębnie od Brzozowskiego niektóre „pieśni chwał boskich“ i wydawano je osobno i bezimiennie. Jakoż między wieloma pieśniami kościelnemi, ogłoszonemi przez Wiszniewskiego w t. VI. Hist. lit. pols. znajduje się też kilka opierających się wprost na czeskim oryginale, które Wiszniewski uznaje za oryginalne utwory polskie.

Dla zestawienia textów polskich z czeskiemi, użyłem drugiego wydania kancyonału czeskiego z r. 1561 [1], gdyż pierwsze z r. 1541 nie dochowało się do dzisiaj. Nie zmienia to jednak wcale postaci rzeczy i na wynik wpłynąć nie może, gdyż drugie to wydanie, jak wypływa z porównania jego z tłómaczeniem Brzozowskiego, opierającem się na wydaniu z r. 1541, niczem nie różni się od pierwszego, jak tylko porządkiem niektórych pieśni.

Do rzędu tłómaczeń, opierających się na oryginale czeskim z r. 1541 (1561) należą następujące pieśni polskie:

6. a.) Pyesń o narodzenyu páńskim ná swyat. Wybiyano w Krakowie przez Lazarza Andrysowica, r. 1550., zwrotek 10. (Text polski w Hist. lit. pols. Wiszniewskiego t. VI. str. 435—437, czeski w kancyonale z r. 1561. str. C. III. b. IV. a.)

Text polski:	*Text czeski:*
Zwr. 1. Oycanyebieskiego pochwal- [my z miłości	Otce nebeského, pochwalmež z mi- [losti
Ze nam syna swego zeslał [z wysokości.	Neb nám Syna svého, poslal z wysokosti.
R. Ććyą sobye rownego,	R. W Božstwj sob'e rowného,
a wyelmi miłego,	a welmi milého
Yen syę w Pannye [wćyelił,	kterýž se w Pān'e wt'elił
gdy sye czas napełnił,	když se čas naplnil
Tedy sye narodził.	potom se narodil.
Zwr. 2. Yegoż narodzenya w wyeli- [kyey niskości	Gehož narozenje, w weliké njz- [kosti:

[1] Wyszło w Wielkopolsce w Szamotułach, pod tytułem, jak pierwsze wydanie. Korzystałem z egzempl. Bibl. prag. Uniw.

Nie każde stworzenye mya-
[ło w znaymości
R. Święći prorokowye,
y mnodzy krolowye,
Chcyeli według ćyała,
widzyeć zbawićyela
Swego ćyessyćyela.

Řjedkým zde na św'et'é bylo gest
[w známosti.
R. Žádali Prorokowé,
mnozý y kralowé,
chtjece wid'eti w t'ele,
w'erných Spasytele
nebeského Krále.

Zwr. 3. Wssak im nye yest dano
[slubu napełnienie,
Innym zachowano, Krysta
[narodzenye.
R. Anyoł sye ukazał,
pastyrzom rozkazał:
Do Betleyem idźcye,
narodzone dzyećyę
W yasliczkach uźrzyćye.

A wssak gim nedáno, giným za-
[chováno,
Slibůw napln'enje, Krysta naro-
[zenje.
R. And'el když se vkázał,
pastýřom rozkazál,
řka, do Betléma gd'ete,
narozené djeté
w gesličkách vzřjte.

Zwr. 4. Oyca w nybyesyeech ma, wła-
[dnye po wssem swyecye,
Matkę na zyemi zna, to
[slachetne dzyećye:
R. W pokorze raczył przysć
śmyerć wyeczną dla
[nas zgrysć,
Kto chce przysć do nieba,
za tym mu isć trzeba,
który stąpił z nyeba.

Otce Boha w Nebi, mát'Matku na
[zemi:
Wládnet' po wssem Sw'eté, toto
[drahé djeté.
R. Wssak w pokoře přigjti,
cht'el w njzkosti býti,

kdož chce do Nebe gjti,
musýt' ho dogjti
weň práw'e, w'eřiti.

Zwr. 5. W swyecye przebywając,
[wssytki grzessne ćyessył,
Chore uzdrowyayąc, mar-
[twe słowem krześił,
R. Dziwy wyelkye czynił,
yakich nikt nye czynił,
Potym myał poznan być,
który na swyat myał
[przysć
Grzessne wyswobodzić.

W Sw'et'e přebýwage milost mno-
[hau čynil:
Mnohé vzdrawuge, mrtwé slowem
[křjesyl.
R. Diwy weliké čynil,
gichž žádný nečynil,
potom poznán m'el býti,
ten genž m'el přigjeti

líd wyswoboditi.

Zwr. 6. Wssyscy go żądali, z wyel-
[ką ochotnoscyą,
Rzadcy go poznali, swoyą
[upornoscyą.
R. Ktorzy go przyjęli,
moc od niego wzyęli,
Dyabła zwyćyężyli,
swyat ten opuścili.
Za Kristem chodzili.

Wssicknit' ho žádali ne mnozý
[poznali:
Ale kdož přigali mjesto w srdcy
[dali.
R. Moc takau z n'eho wzali,
w njž d'ábla přemohli,
t'elo sw'et potlačili
wůle vstaupili,
proň wsse opustili

Zwr. 7 Ktorzy go miłuyą, z yego [dobrodzeystwa, Skutkiem nasladuyą, jego czlowyczeństwa: R. Mayąć to od nyego, z zasłużenya yego, Że im orędуe, grzechy z nich zeymuje, I łaskę daruye.	Kteřjž gey milugj, snim gsau w ge- [dné wůli: Skutkem následugj, živi býti w [n'em chtje. R. Tot' oni z n'eho magj, z geho zaslauženje, zan'ež sám se přimlauvá, gegich hřjechy snjmá, setrwánje dáwá.
Zwr. 8. Przez twe narodzenye, ra- [czy nam darować, W dobrym rozmnożenye, [złego sye wyarować: R. Bychmy w cnotach żyli w pokorze chodzili, Ćyebye nye gnyewali, wyecznye pracowali, Łaski twey żądali.	Kryste narozený, pro nás na sw'et [daný: Račyž posylniti, w dobrém roz- [množyti. R. Bychom cnostn'e gsauc živi, W pokoře bydleli, t'e wjece nehn'ewali, w'ern'e pracowali, milosti žádali.
Zwr. 9. Coś w nas raczył sprawić, z swey szczerey miłości, Chćyeyże to nam zdarzyć [ku wyeczney radości: R. Swyatłem swym nas [oświeć, w sercach ye nam [rozniеć, Nye dopussczay złości, ani ćyelesności, Zgaśić twey yasności.	Kčemus nás přiwesti, ráčyl z swé [milosti: W tom rač dáti růsti také se- [trwati: R. Sw'etlo gimžs nás oswjetil a w srdcých roznjetil, o nedeyž vhasnauti, ani ho zatmiti, t'elesnau žádostj.
Zwr. 10. Day nam ućyessenye, w [nyebeskey radości, Wyeczne pobydlenye, gdzye [yest wssego dości: R. Gdzye ćye wssyscy [slawyą, Anyołowye chwalą Nyech cyę s nimi chwalim, nigdy nyeprzestanyem Rzeczmy wssyscy Amen.	O deyž vtéssenje'w Nebeské ra- [dosti: W'ečné přebýwánje, kdež gest [wsseho dosti: R. Kdež té And'elé chwálje, w newymluwné sláw'e, s nimi spolu chwáliti, nikdý nepřestati, bez konce na w'eky Amen.

Tak się przedstawiają oba zestawione ze sobą texty, opierające się pod względem treści, jak wskazuje tytuł w kancyonale czeskim, na oryginale łacińskim: „Ave rubens rosa.“ Pod względem czasu powstania późniejszą jest pieśń polska, data bowiem jej wydrukowana r. 1550, podczas gdy czeska, jak dowodzi prze-

kład Brzozowskiego, w którym jest ona zawartą, już w r. 1541 istnieć musiała.

Co się tyczy stosunku ich do oryginału łacińskiego, to na pewne twierdzić można, że autor polski nie tłómaczył z niego bezpośrednio, ale oparł się na przekładzie czeskim. Nie można bowiem przypuścić, żeby autorowie dwóch, odrębnie od siebie dokonywanych przekładów z języka łacińskiego, nie stojącego ani z polskim, ani z czeskim w bliższem pokrewieństwie, — co więcej przekładów poetycznych, a więc wiązanych pewnemi przepisami formy, użyli np. jednych i tych samych rymów, jak to właśnie ma miejsce w wymienionych pieśniach. Oprócz bowiem 31 wierszy przekładu polskiego, które pod względem rymu nie odpowiadają czeskim, jakkolwiek w wielu miejscach i tego osiągnąćby można po odpowiedniem przestawieniu słów, reszta 39 nakrywa się zupełnie. Przyczyny tego w tem szukać należy, że tłómacz nasz tłómaczył, nie transkrybował oryginał czeski, jak to czyni bardzo często Brzozowski, który nie mogąc dobrać rymu, używa po prostu czechizmów, by tylko żadnego słowa nie uronić. Strona zewnętrzna dla niego nie przedstawia w ogóle żadnej trudności, a nawet okazał w tym względzie pewną samodzielność, zmieniwszy schemat czeskiej budowy: 6a, 6b, 6a, 6b// 7c, 6c, 7d, 6d, 6d, na: 6a, 6b, 6a, 6b//6c, 6c, 6d, 6d, 6d, — a obok tego większą biegłość w wierszowaniu, większą wprawę w używaniu rymów pod względem czystości i następstwa, niż twórca oryginału czeskiego, u którego wiele assonancyi i przerymowań napotkać można.

7. b. Pieśn Nowa o nawróceniu grzesznego człowieka ku Panu Bogu. W Krakowie Lazarz Andrysowic wybijał. LVI. (1556.) zwr. 15. (Tekst polski u Wiszn. hist. lit. pols. t. VI. str. 438—439, czeski w kanc. z r. 1561. str. L. XVII. b.)

Text polski:	*Text czeski:*
Zwr. 1. Pomożysz mi z grzechu [mego	Spomozyž mi z hoře mého,
wieczny, miły Boże,	w'ečný milý Bože,
pomozysz mi s niego wy- [brnąć,	spomozyž z něho wygjti,
nie day w nim zaginąć,	nedey zahynauti,

wyzwol mię z mocy dya- [belskiey,
w którąm wpadł w zgardze- [nie (?)[1] Ráyskie.

wyswobod' z mocy d'ábelské,
gjež dosahl w zahrade Rayské.

Zwr. 2. Niewinnośc mą dar nadro- [ssssy,
tęnem iuż utracił,
w rodzicach mych, prze- [cięszki grzech,
który Adam spłodził,
nie zrozumiał gdy we cźci [był,
sobie y wssem zle uczynił.

Niewinnost mau dar negdrážssj,
tent' sem giž potratil,
w rodičjch mých pro t'ežky hřjech,
kterýž Adam zplodil,
nesrozum'ew když we cti byl,
sob'e y wssem zle včynil.

Zwr. 3. Jestem smutny, na każdy [czas nieupokoiony,
w cieszkości mego sumienia
żądam pocieszenia,
nic gorszego nie może być,
bo niemam co więcey stra- [cić.

Gsem wždy smutný, na každý [čas ne vpokogený
v welikém gsa ssauženj
žádám pote'ssenje,
nic chudssjho nemůž býti,
neb nemám co wjec ztratiti.

Zwr. 4. Odtąd grzessny nie pod- [dany
Bogu swoiemu był,
swiatu, dyabłu, ciału swemu,
zawszem kwoli czynił,
nie wspominay mych wssech [złości,
wieczny Boże z wysokości.

Odtud hřjessný nepoddaný,
Bohu swému sem byl,
sw'etu d'áblu télu swému,
slep'e kwůli čynil,
ne zpomjneyž mých wssech zlostj,
w'ečný Bože na výsosti.

Zwr. 5. Day mi z liczby twych [wiernych być,
wieczny miły Boże,
racz mię zbawić wssech za- [łości,
pomoż mi k miłości
boć nadzieie w inym nie- [mam.
iedno iż ty pomożess sam.

Deyž at' z počtu sem twych w'er- [ných,
w'ečný milý Bože,
at' sem z prosst'en wssech žalostj,
pomož mi k milosti
ned'eget' kginému nemam,
niž že ty mi spomůžess sám.

Zwr. 6. Thy znass chwile y teże [czas
iak sye tobie lubi,

Ty znáss chwilj neb který čas,
yak se tob'e ljbj,

[1] Tłómacz nie zrozumiał widać, wyrazu „zahrada", co znaczy: ogród, otoczenie (V. Jungmann). Brzozowski tłómaczy to dobrze „w którąm wpadł w ogrodzie Raiskiem".

wspomoc, nawiedzić, po-[ciessyć,
z załości wybawić;
zawżdy czekam, ciebie żą-[dam,
aż pociessenie twe uznam.

nawsst'ewiti, pot'essyti,
žalosti z prostiti,
wždycký čekám tebe žádám,
až pot'essenje twé seznam.

Zwr. 7. Rostargniony na wsse strony,
nie wiem co mam czynić,
przykaż dyabłam, tym po-[kusam,
iż sye wżdy ućissą,
raczysz mi wiary przyspo-[rzyć
krom tey zbawion nie mo-[gę być.

Gsem roztržen na wsse strany,
ne wjem co čyniti,
přikaž wetrům pokussenj,
at' gsau vtisseni
rač mi wjery přispořiti
bez nječ ne mohu snic býti.

Zwr. 8. Poruczam sye miłości twey,
sprawuy ty drogi me,
racz mi mocą być przy-[chylen,
bych nie był zwyciężon,
by nie rzekł nieprzyiaciel[moy,
żem ia zwycięzca y Pan[twoy.

Poraučjmt' se milosti twé,
z prawûyž ty cesty mé;
rač mi býti wždy přjtomen,
at' ne gsem přemožen,
byt' wjec neřekl nepřjtel mûy,
žet' sem ya wjt'ez a Pán twûy.

Zwr. 9. W tym sye boiu nie ostoi,
kogo thy opuscisz,
nikth pohańbion ni prze-[możon,
nad kim rękę dzierzysz,
ani niebo, ani ziemia,
nie ma krom ciebie zba-[wienia.

W tomto bogi kdo ostogje,
kohož ty se wzdáljss,
kdo zahanben a přemožen,
nad kýmž ruku držiss,
na Nebi na zemi nenje,
než w tob'e samem spasenje.

Zwr. 10. Tyś iest droga, prawda,[żywot,
temuć ia tak wierzę,
acz iest drog dosyć tam[y sam,
wssak ia o nie niedbam;
day iż w świetle twoim[chodzę,
a w ciemnościach nie za-[błądzę,

Ty gsy cesta prawda, žiwot,
tomut' yá tak w'eřjm,
ač rozcestje mnohá sem tam,
wssak yá na n'e nedbám,
o at' w sw'etlè twém wždy chodjm,
a w temnostach ne zablaudjm.

Zwr. 11. Na tym świecie me bydlenie,
acz mi k złemu nie iest

Na tom šw'et'è mé bydlenje,
at' mi k zlému nenje,

poczeth dniow mych, któ- [re znasz sam,
niech ich nie utracam,
aczkolwiek ich iesth na [male,
day ie, strawię k twey [czci chwale,

počet dnůw mých, kteréž znáss [sám,
pomoz at' ne zmrhám,
ačkoli gest gich namále,
deyž at' ztráwjm k twé cti chwále.

Zwr. 12. Cząstka dniow mych w [złym iest przeszła,
w marnotrawnych czasiech,
nic innego nie przyniosła,
lecz strach za każdy grzech,
biedę wieczną, zatracenie,
proszę iuż o wybawienie.

Částka dnůw mých w zlém pře- [dessla,
w marnotratných časyech,
nic giného ne přinesla,
niž strach za každý hřjech,
w'ečné bjedy w zatracenje,
žádám twého wyprosst'enje.

Zwr. 13. Miłosyerny, dobrotliwy
Zbawicielu grzessnych,
day mi być iednym z ka- [iących,
ciebie miłuiących,
czynić iuż pokutowanie,
racz mi dać w dobrym [zetrwanie.

Milosrdný dobrotiwý
Spasyteli hřjessných,
deyž at sem geden z kagjcých,
tebe milugjcých,
čyn'e z hřjechů giž pokánje,
o deyž w dobrém setrwánje.

Zwr. 14. Pomsty wieczney, co złym [chowasz,
tey mię racz uchować,
iak sam raczysz w mym [żywocie
tu na tym to świecie,
racz mię karać, łaską swą [dać,
grzechow więcey nie wspo- [minać.

Pomsty w'ecné giž zlým chowáss
t'emne rač zbawiti
yakž sam ráčjss w mém žiwot'e,
zde na tomto sw'et'e
rač trestati, milost dáti,
hřjechu wjec ne zpomjenati.

Zwr. 15. Do skonania, rozłączenia
mego s tymto światem,
raczyss mi pomoc przed- [syę trwać,
w kaiącym żywocie,
mieć twe usprawiedliwienie
a potym dussne zbawie- [nie. Amen.

Do skončenje rozlaučenje,
mého w tomto Sw'et'é,
rač mi dáti, předce státi,
w kagjcým žiwot'e,
mjeti twé osprawedln'enje
a potom stebau bydlenje. Amen.

8. c. Druga pyeśn o śmierći. „O daremne świeckie uciessenie“ etc. łącznie z wyżej wymienioną, drukowana w Krakowie tegoż roku. Zwrotek 7. (Text polski u Wiszn. hist. lit. pol. t. IV. str. 439—440, czeski w kanc. z r. 1561 str. T. IX. a. b.)

Text polski:

Zwr. 1.

O daremne swieckie uciessenie,
iakoż ty przeminiesz w richłości,
Nad smierć nie mamy nic pewnieyssego,
tać umie zbawić wssech radości.
[1]R. Czemuż na tho nie chcem pomnieci,
a nieprzestaniemy grzessići,
wiedząc iż mamy zemrzeći.

Zwr. 2.

O smierci toć iest gorzka pamięć twa,
człowieku serca wesołego,
Coś młodemu a mocnemu groźna
ktory zawsse ssczęścia używa.
R. żadnego sobie nie ważysz,
chudego, bogatego udawisz,
a chytrze s nim postępować umiesz.

Zwr. 2.

O smierći tyś sidło barzo groźne,
ktore umiesz chytrze potargnąć:
Przed tobą sye trudno uwiarować,
ani sye na stronę zachować.
R. nad cię nie masz nic straszliwssego,
sądu Bożego najgroźnieyssego
piekielnych mąk nie iest nic okrutnieyssego.

Zwr. 4.

O iako zem ia na tho niepomniał,
abych tak skoro umrzeć miał:
Miałem na tym swiecie szczęścia dosyć,
niechciałem na tęto smierć baczyć.
R. Już ku mnie poslala posly swe,

Text czeski:

O dáremné św'tské ut'essenje,
y gak brzo mjgjss w rychlosti,
Nad smrt nam nic gist'eyssjeho nenje,
tat' vmje zbawiti radosti.
R. Y proč na to ne chceme pomn'eti,
a ne přestáwáme wždy hřessiti
w'edauc že máme wsickni zemřjeti.

O smrti yak gest hořká pam'et twá
člow'eku srdce weselého:
Jaks mladému a sylnému hrozná,
a kdož ma w sw'et'e sst'estje mnohá.
R. Žadného sob'e nic neważjss
bohatého chudého vdáwiss,
na ramn'e stjem chitře gjti vmjss.

O smrti strassidlo welmi hrozné,
yak vmjess chytře potrhnauti:
Teb'et' se wywarowati nelze,
aniž se gest kudy wyhnauti.
R. Nad tebe nic strassliw'eyssjeho,
a saudu Božjeho hrozn'eyssjeho,
pekelných muk nic vkrutn'eyssjeho.

O kterak sem se nenadál toho,
at'bych m'el tak brzo vmřjeti;
M'ew na tomto sw'et'e sst'estje mnoho,
nedbal sem na smrt nic pomn'eti.
R. Gižt' kemn'e poslala posly swé,

[1] Zmieniam pozycyą R. uwzględniając czeską budowę zwrotek i kładę je nie jak Wiszniewski po 2. ale czwartym wierszu, w ten sposób bowiem dostajemy strofę trójdzielną w schemacie 1. V. aa (?) 2. V. bb (?) R. ccc, której tłómacz polski nie zrozumiał.

bolesc okrutną, trapienie cię-
[szkie,
odiąwszy odemnie wssystko
[wesele moie.

bolest, nemoc trapenje proť e-
[žké,
odgawssi mi wssecko weselj'e
[mé.

Zwr. 5.

I iużci sye zaćmił wszystek wzrok
[moy.
wielice iest smętne serce me.
Chwała swiecka o kthorąm zawsze
[stał,
nakładym na syę wielkie działał:
R. toć semną do grobu nie poy-
[dzie,
ale com czynił dobrze albo
[zle,
toć semną na groźnym sądzie
[stanie.

Gižť mi se zatm'el wesskeren zrak
[můy,
truchlet' gest ná ramn'e srdce mé
Chlauba sw'etská po kteréž sem
[yá stal,
náklady na se čyn'e mnohé:
R. Tot' se mnau do hrobu ne-
[půgde,
než což sem čynil dobre nebo
[zle,
tot' semnau na hrozném saudu
[stane.

Zwr. 6.

Namileyssy towarzyssy moi,
iużci idę od was w teyto chwili.
Prossę na groźną smierć pamię-
[taycie,
a Boga zawsse w sercu mieyćie.
R. Boć nielza thu nam długo
[byci,
musim sye tham wssyscy sta-
[wići,
a s swych grzechow poczet
[udziałaci.

Neymilegssje towaryssj mogi,
gižť ya od wás gdu w tuto chwjli.
Prosým wás na hroznau smrt po-
[mn'ete,
a Boha swého se wždy bogte:
R. Na sw't'et nelze dlauho býti,
kdo se narodj musýť vmřjeti,
Panu Bohu počet včyniti.

Zwr. 7.

Wssechmogący Bože prosim za to,
raczysz syę znać k swemu stwo-
[rzeniu.
Wssakom ia nic iedno popioł,
[błoto,
odpuść że nam nasze grzessenie,
R. gdy będziem na twym sądzie
[staci,
raczysz sye k nam miłosciwie
[znaci,
day nam z sobą wiecznie prze-
[bywaći.

Neymilegssj Bože prosým za to,
rač se znati k swému stwořenje:
Wssakť nic negsem než popel a
[bláto,
odpustiž mi mé prowinn'enje.
R. Když budem na twym saudu
[státi,
rač se kemn'e milostiw'e znáti,
deyž mi s sebau w Nebi pře-
bývati.

9. d. Pieśń o zmartwychwstaniu Pańskiem Jakóba Lubelczyka: „Wesel sye teyto chwile".

Pieśń ta mająca w oryginale strof 18, z których Wiszniewski w t. VI. hist. lit. pols. na str. 510—11. jednę tylko przytacza, zdaje się także na texcie czeskim opierać:

Pierwsza jej zwrotka brzmi po polsku:

Wesel sye teyto chwile,
ludzkie pokolenie,
Sław z pamiątką mile
Krystowo wskrzessenie.
R. Bowiem gdy zmartwychwstał,
Jak Pan wssechmogący,
wieczny nam żywot dał. itd.

Początek zaś odpowiednej pieśni w kancyonale czeskim z r. 1561 str. G. XIV. b. XV. a:

Wesel se té to chwilje,
lidské pokolenj,
Slaw památku mjle,
Božjho wzkřjssenje.
R. Nebť Pan přežaduczý,
račyl z mrtwých wstáti,
wjť ez wssechmohučý. itd.

10. Podobieństwo żywota człowieka Krześciyáńskiego M(ikołaja) R(eja). W Krakowie Łazarz Andrysowic wybijał b. r.

Wiersz ten przedrukowany przez Wiszniewskiego w t. VI. hist. lit. pol. str. 452—54, znajduje się w Postilli Reja pod zmienionym tytułem „Ku temuss tho krzesciánskiemu Rycerzowi napominánye". Treść jego, jak w wielu innych wierszach Reja, stanowi przestroga dla chrześcijanina, jak ma żyć na świecie i jak wiele pokus powinien pokonać, by nie popaść w potępienie wieczne. Przeprowadzenie nauki tej samodzielne, ale podstawa, na której ją Rej osnuł, nie jest jego pomysłem oryginalnym, jak świadczy druga, trzecia, czwarta i piąta zwrotka, których treść dosłownie prawie wzięta z Jana Damascena.

Rej pisze:

1. Cożchcess czynić moy miły człowiecze,
Gdyż wiess żeć czás iáko wodá ciecze;
A co bliżey to do tego kresu bieżyss,
Przecz nic nie dbass á bespiecznie leżyss.

2. Jesteś práwie on co go Lew gonił,
Upadł s skały gáłąski sie chwycił,
Pożrzał na doł Smok sie k niemu ściąga,
Ledwie że mu nog iuż nie dosiąga

3. Pożrzał w zgorę á gáłąskę onę,
Myszy gryzą iuż ná drugą stronę,
Z iedney strony czarna z drugiey biała,
Ták iż iey iuż mała cześć zostáłá.

4. Uźrzał iábłká nędzny nieboraczek,
Na gáłąsce chocia słaby krzaczek,
Jedną sie ręką v niey uwiesił
A drugą rwąc tym swą nędzę ciessył.

5. Tákież też ty nędzny nieboraczku,
Barzo wisisz tu na słabym krzaczku,
Lew groźna smierć tuż stoi nad tobą,
Czart srogi Smok też czeka pod tobą.

Odpowiedni ustęp z Damascena w dosłownem tłómaczeniu polskiem z XVI. w., zawartem w książce: „Náuká Práwego Chrześcijaniná przez Benedicta Herbestá, kaznodźieię y kánonika Poznáńskiego nápisána... W Krákowie v M. Siebeneycherá R. 1566“, na karcie 64. a. b. opiewa:

„Mizerny tho człowiek iest v nas; ktorego ná czas kat męczy, zże, pali: á což rozumiess o tym; ktory kátom piekielnym, Dyabłom okrutnym, ná wieki iest w moc dány: Vćiekał ieden człowiek przed Lwem, który go chćiał pożrzeć: vciekáiąc wpadł w dół ieden; w ktorym był na dole Smok wielki: gdyby był nie vchwyćił rossczki iedney drzewa niewielkiego, y nie otrzymał sie na boku onego dołu: w iadowitssey bestyey wpadłby był passczękę. Krotko mowiąc, na oney rossczce,

ktorey sie trzymał, było troche miodu; ale myssy korzeń drzewka onego podgryzały: na co nic niedbaiąc on mizerny człowiek, zapomniawszy Lwá nad sobą, á Smoka pod sobą, wolał onego miodu trochę lizáć; niźli o tym, iakoby stamtąd zdrowym wyssedł, myslić.“

Tym sposobem zyskuje się jeszcze jedno nowe źródło dla Reja: Damascen, którego pisma przepełnione wielką liczbą porównań, przenośni i ogólnych sentencyi moralnych, były mu znane i stanowiły skarb, z którego Rej nie jedno zaczerpnął, jak tego dowodzą inne jego prozaiczne pisma.

Wilhelm Bruchnalski.

PRAWDZIWE POJĘCIE MORALNOŚCI.

(W związku z art.: „Czy jest możebna moralność sekularyzowana,“ w poprzednim zeszycie Przegl. Powsz. T. III. str. 329).

Roztrząsając zagadnienie, „czy możebna jest moralność sekularyzowana,“ przejrzeliśmy dopiero krytyczną i negatywną stronę rzeczy: przekonaliśmy się, że żadna z teoryi pomijających drugie życie nie rozstrzyga najgłówniejszej kwestyi etyki: jak pogodzić powinność i szczęście, żadna powiedzieć nie może, na co się zda, czemu trzeba być moralnym. Żeby jednak nie zostać dłużnym Spencerowi i jego warszawskim przyjaciołom, oraz, żeby sobie zdać sprawę z treści i umiejętnej wartości pojęć, któreśmy z mlekiem matki wyssali, musimy jeszcze stronę pozytywną roztrząsnąć i prawdziwe filozoficzne pojęcie moralności sobie sformułować.

I. Cel dążności moralnej.

„Wszelka moralność, mówi znany już nam pozytywista Mallock[1], stoi na przypuszczeniu faktu, że możliwem jest jakieś szczęście, dla wszystkich ludzi przystępne, od wszelkich innych dóbr wyższe. To szczęście musi się dać przedstawić tym, co go nie znają, musi się udowadniać stanowczo; a między niem i przeciwną alternatywą głęboka być musi otchłań. Życie występne, choćby najkorzystniejsze, najmilsze, najpogodniejsze, musi się przedstawiać jako nędza i nieszczęście w porównaniu z życiem cnotliwem; bo wartość moralności nie rozumi się inaczej. Gdyby

[1] *Is live worth living* c. 2.

nie było tego głębokiego przedziału między szczęściem cnoty, a nędzą występku, sposób mówienia jakiego powszechnie używamy o ważności cnoty, o godności życia, o uroczystości walki moralnej, byłby ze wszechmiar przesadzony i śmiechu godny."

W tych słowach Mallock, zdrowym jedynie rozsądkiem wiedziony, postawił kwestyę etyczną na właściwym gruncie (tym samym, któryśmy w poprzedniej rozprawie obrali) tj. na związku powinności ze szczęściem i scharakteryzował doskonale trzy warunki, jakie to szczęście mieć powinno. Trzeba najprzód, żeby to szczęście nie rozchodziło się, ale schodziło z kresem dążności moralnej, żeby jeden i ten sam przedmiot, jeden cel dążenia uszczęśliwiał i umoralniał: inaczej oczywiście innaby była droga cnoty, a inna droga szczęścia, zostawałaby w życiu ludzkiem ta radykalna sprzeczność, o której mówiliśmy poprzednio, moralność byłaby niedorzecznością.

Trzeba po drugie, żeby to szczęście było dla wszystkich ludzi zarówno dostępne, dla tej prostej przyczyny, że moralność, od możliwości tego szczęścia zależąca, wszystkich bez różnicy obowiązuje i wszystkim jest potrzebna. Więc odrazu uchylają się od istoty tego szczęścia wszelkie dobra, których posiadanie przez jednych wyklucza koniecznie drugich. Ministrami wszyscy być nie mogą, bo kimżeby rządzili? więc panowanie do istoty szczęścia nie należy. W karecie wszyscy jechać nie mogą, bo ktoś musi siedzieć na koźle; innemi słowy, bogactwo jest bogactwem o ile jest przy nim klasa ludzi potrzebujących służyć bogatym i wyręczać ich w cięższym dziale społecznej pracy. Bogactwo więc nie może być dla wszystkich, a więc do istoty szczęścia nie należy. Życie myśli i nauki nie może też być udziałem wszystkich, bo żeby jedni mogli się temu życiu oddawać, drudzy muszą glebę potem swoim zraszać. Więc i to życie myśli i nauki nie może do istoty szczęścia należyć.

Jakież jeszcze dobro w tem życiu znaleść można? zdrowie, miłość, chwałę?... Ale i te i tym podobne dobra nie są, jak każdy widzi, dla każdego wieku i każdego stanu, stracić je można bez winy, zdobyć przez występek... Więc nic jeszcze z tego wszystkiego do istoty szczęścia nie należy.

Jeżeli już pierwszy warunek tego szczęścia, tj. żeby ono z celem moralności spływało, ukazał się nie do uiszczenia w tem życiu i systemy, które się o to kusiły, nie dopięły swego, to ten drugi warunek, żeby to szczęście było dla wszystkich, jeszcze widoczniej wskazuje, że gdzieśindziej jak w tym świecie trzeba tego szczęścia szukać. Ale nie dosyć na tem, potrzeba jeszcze trzeciego warunku: żeby to szczęście było najwyższem. Życie występne, jak słusznie mówi Mallock, choćby najmilsze i najkorzystniejsze, musi być nędzą w porównaniu z życiem cnotliwem do tego szczęścia prowadzącem; inaczej wracamy ciągle do tej sprzeczności między cnotą a szczęściem, której ani rozum ani serce człowieka nie znosi. Co więcej, ponieważ, jak dobrze zauważył Kant, moralność obowiązuje bezwzględnie — nietylko jeśli chcę to lub owo dobro uzyskać, ale w każdym przypadku bezwarunkowo powinienem być moralnym — a ponieważ z drugiej strony, jak już wiemy, kres moralności spływa z kresem szczęścia, do cnoty i do szczęścia jedna droga prowadzi, trzeba koniecznie żeby i to szczęście było bezwzględnem.

Tłumaczę się w kilku słowach. Potrzebom przyrodzonym odpowiadają żądze, zaspokojenie żądz sprawia przyjemność. Tak się wiążą np. organiczna potrzeba posiłku, apetyt i przyjemność smaku. W świecie zwierzęcym, gdzie niema uogólnienia w myśli, tak żądze jak i przyjemności są jednostkowe, ograniczone na przedmiotach i potrzebach bezpośrednich. U człowieka dopiero, gdzie myśl jest wolna od warunków materyalnych i granic czasu i miejsca, występuje konsekwentnie żądza całego kompleksu dóbr i zaspokojenia potrzeb materyalnych i duchowych, teraźniejszych i przyszłych. Ten kompleks nazywamy ogólnikowo szczęściem. Ale znowu szczęście bierzemy w szerszem lub ściślejszem znaczeniu. Kto się dobrze ożenił, przy jakim takim majątku i szacunku ziomków, nazywa się pospolicie szczęśliwym. W istocie posiada on pewien kompleks dóbr, nawet duchowych; ale nie potrzeba go długo badać, żeby znaleść wiele luk w jego szczęściu. I co zastanowienia godne, to że ludzie najwięcej opływający w to wszystko, co się szczęściem tego życia nazywa, najgłębiej odczuwają próżnię tego szczęścia: dobra te cucą w nich żądzę,

której nasycić nie mogą. Ciekawym i ważnym z tego stanowiska psychologicznego dokumentem jest księga *Eklezyastes*. Autor jej Salomon zgromadził w takiej pełni, jak nikt może inny na świecie, wszystko o czem tylko człowiek marzyć może: tron królewski, panowanie wyjątkowo pomyślne i na one czasy rozległe, chwałę, jakiej przed nim nie znano, i której pamięć na całym Wschodzie do dziś dnia pozostała, rozkosze duchowe, jakie podniosły umysł znajduje w nauce i badaniu przyrody; nadto i bogactwa niezmierne i wszelkie zmysłów uciechy, i w końcu długie, pogodne życie. „Ja Eklezyastes, byłem królem izraelskim „w Jeruzalem; i umyśliłem w sercu mojem szukać i wywiadywać „się mądrze o wszystkiem, co się dzieje pod słońcem... I prze„szedłem w mądrości wszystkich, którzy przedemną byli... Roz„wielmożyłem dzieła moje, nabudowałem sobie domów i nasadzi„łem winnic, naczyniłem ogrodów... Zgromadziłem sobie srebro „i złoto i majętności królów i krain; sprawiłem sobie śpiewaków „i śpiewaczki, i rozkosze synów ludzkich... I wszystko czego żą„dały oczy moje, nie broniłem im, anim odmawiał sercu memu, „aby niemiało używać wszelakiej rozkoszy...“ Otóż zbiór tych wszystkich warunków szczęścia, jeszcze nie był szczęściem. „A gdym się obrócił, mówi dalej autor, ku wszystkim dziełom, „które naczyniły ręce moje... zobaczyłem we wszystkich marność „i udręczenie myśli, a iż nic nie trwa pod słońcem.“ I ta smętna nuta, ta skarga na brak szczęścia brzmi od początku do końca tej księgi. Marność ta, o której mówi Salomon, *vanitas*, po naszemu próżnia, jest poprostu, tą bezmierną pojemnością ludzkiej żądzy, przechodzącą wszystkie dobra doczesne, a tem więcej przychodzącą do świadomości, im więcej kto próbuje nasycić ją tem nieproporcyonalnym przedmiotem.

Spróbójmy rozmierzyć analitycznie tę pojemność i oznaczyć czegoby właściwie trzeba żeby ją prawdziwie wypełnić.

Między rozmaitemi aspiracyami ludzkiego serca jedne są naturalne, wszystkim ludziom w pewnej mierze wspólne, drugie są chwilowe, dowolne, kapryśne, nieobliczone: Pierwsze są wyrazem wrodzonej żądzy, jak ta wyrazem potrzeb natury; drugie są tylko postronnem szamotaniem się władz pożądliwych, znakiem, że główna, wrodzona ich żądza nie jest zaspokojona; w razie zaś

jej zaspokojenia nie miałaby racyi bytu. W pierwszej kategoryi są aspiracye wyższe, duchowe, do prawdy, dobra, piękna; są żądze niższe, zmysłowe, odnoszące się do pierwszych jak środki do celu — bo zmysły służą do ubogacenia umysłu, przez pośrednie ze światem zetknięcie, są one „oknami ducha zamkniętego w ciele"; są wreszcie żądze nastrojone do potrzeb organicznych, a te odnoszą się widocznie do poprzednich jak same organa do psychicznego życia. Z tego wszystkiego widać, że wszystkie żądze i aspiracye człowieka piętrzą się w naturalnem układzie ku temu, cobym nazwał żądzą duchową, że ta jest ostatecznym wyrazem dążności natury, a choć często w tem życiu żądze zmysłowe i potrzeby organiczne odzywają się głośniej i nawet przygłuszają tę żądzę duchową, to jednak w niej się przejawia najistotniejsze natury ludzkiej wymaganie, w niej, a nie w zmysłach tkwi to coś nieskończonego, co sprawia, że człowiek nie może się tym światem nasycić.

Weźmy więc pod rozwagę tę dążność duchową, samą w sobie. W kierunku prawdy, wiadomość zjawisk budzi w nas żądzę poznania ich przyczyn; poznanie to nazywamy wytłumaczeniem, i znajdujemy w niem uciechę duchową, większą niż w prostej wiadomości faktu. Te znów przyczyny, nie będąc „ostatniem słowem" wiodą nas do badania dalszych, czyli wyższych przyczyn, które są zarazem ogólniejszemi, tj. więcej rozmaitych obejmują skutków. Im zaś dalej umysł idzie w rozumieniu przyczyn, im wyższe ogarnia syntezy, tem większej doznaje rozkoszy; spocząć jednak w tej dążności ostatecznie nie może, póki nie dojdzie do ostatniego słowa, tj. Słowa „które było na początku i przez które wszystko się stało co się stało." Niewymowny był zapewnie zachwyt Newtona, gdy wśród tumanu szczegółów i liczb, przejrzał grawitacyę powszechną; uczuł on jednak równocześnie i otwarcie wyznał, że nie rozumi jej głębszej przyczyny. Zachwycił się Laplace, kiedy mu stanęła przed oczyma ducha hipoteza tłumacząca genezę planetarnego świata; ale jeszcze więcej byłby się ucieszył, gdyby w niej ujrzał niewątpliwą tezę; a więcej jeszcze, gdyby doszedł, skąd sama pierwotna mgławica, skąd jej ruch i prawa. Już Arystoteles głęboką zrobił uwagę, że choćby prawdopodobna wiadomość o najwyższych przyczynach więcej ucie-

chy daje duchowi, niż największa pewność o rzeczach poziomych i wnioskował, że najwyższe szczęście znajduje się w kontemplacyi „filozofii pierwszej."

Słowem, śledząc przyrodzoną dążność umysłu ku prawdzie — począwszy od dziecka, które w obec każdego zjawiska pyta: dlaczego? aż do dojrzałego męża, który zwiedziwszy cały obszar świata wiedzy, jeszcze szuka τα πρωτα αἰτια και τας ἀρχας — łatwo przekonać się możemy, że naturalnym kresem tej dążności jest nic innego, tylko sama najwyższa prawda i pierwsza wszechrzeczy przyczyna. Póki tego kresu rozum w pełni nie dosięgnie, póty pełni swego szczęścia mieć nie będzie. A gdy stanie u tej mety, gdy znajdzie w niej najwyższy klucz wszech zagadnień, ujrzy jak z tego źródła wszechbytu wszystkie rzeczy biorą początek, jak Moc twórcza wiecznie w nich jest obecną i czynną, jak wszystkie między sobą z nieskończoną mądrością w łańcuch celowości splecione, ostatecznie do źródła swego bytu celowo zdążają — wówczas pojmujemy, że nastąpi zachwyt bez końca, który wrodzoną nam tę żądzę prawdy do syta napełni.[1]

Podobnie w kierunku dobra i piękna, śledząc naturalny bieg wrodzonych nam aspiracyi, idziemy koniecznie do tego samego kresu. Tem samem, że rozum nasz nie tkwi, jak u zwierząt, w jednostkowym przedmiocie, ale przez abstrakcyę i pojętość stosunków wznosi się do ogółu i czystych form bytu, tem samem, mówię, i wola, przyrodzona rozumu towarzyszka, wznosi się do żądzy dobra i piękna nieograniczonego i doskonałego. Dla tego to, psychologicznie rzecz biorąc, żadne dobro ziemskie nie może woli ludzkiej nasycić, że w każdem rozum ludzki widzi granice i braki i czegoś więcej się domyśla; dlatego żadne piękno zmysłom ujawione nie zadowalnia w zupełności, że ideał, do-

[1] Opisuję tu tylko, jak mogę, szczęście przyrodzone, tj. takie, jakiego natura ludzka wymaga i do jakiego człowiek jest z natury przeznaczony. Zkąd inąd, przez Objawienie wiemy, że z łaski Bożej przeznaczeni jesteśmy do szczęścia nadprzyrodzonego, nierównie wyższego rzędu, zależącego na bezpośredniej intuicyi jestestwa i wnętrznego życia Boga w Trójcy jedynego; z czem się wiąże uwielbienie ciał i inne tajemnice wiary. Ale w niniejszej rozprawie, chcąc omówić przyrodzoną moralność, ograniczamy się wyłącznie na punkcie widzenia filozoficznym.

którego się wznosi umysł potrącony zjawiskiem, przesadza wszelkie formy. Słowem, wszystkie dobra i piękna, które w życiu spotykamy, przedstawiają nam się jako niepełne, niedoskonałe, jako cząstki, czy ślady, czy odbicia jakiejś pełni piękności i dobroci: pełni, o której oczywiście skończonego pojęcia nie mamy, ale do której świadomie lub bezwiednie aspirujemy, tem samem, że w tych okruchach dobra i piękna spocząć i szczęścia znaleść nie możemy. „Uczyniłeś nas dla siebie Panie, mówi geniusz co Wyznania napisał, i nieuspokojone jest serce nasze aż spocznie w Tobie.[1]“ Tym słowom z góry podpisali Platon i wszyscy jego zwolennicy, którzy głęboko zrozumieli tę odnośność dobra i piękna ziemskiego do Absolutu[2], i do dziś dnia pisze się na nie każdy, co potrafił głębię swych aspiracyi aż do gruntu zbadać i zmierzyć.

Jak z tą, że tak powiem intenzywnością szczęścia, do jakiego człowiek aspiruje, tak samo się rzecz ma z jego długością. Rozum ludzki naturalnem swem uzdolnieniem przekracza wszelką granicę czasu i nie ma żadnej mocy, coby mu przeszkodziła pytać: co będzie potem? Zatem i wola naturalnie pragnie szczęścia, któregoby nie kończyła żadna granica czasu. Owszem, każdy taki koniec jest pewnem nieszczęściem, tem większem, im większe ma przeciąć szczęście. Każda perspektywa końca lub obawa końca jest ujmą w każdej aktualnej szczęścia chwili — i tam tylko może być pełnia szczęścia, naturze ludzkiej odpowiednia, gdzie jest pewność wieczności. Ten wywód, to nie szablon umyślnie do chrześcijańskiego dogmatu przykrojony, tylko analiza przyrodzonych wymagań szczęścia człowieka. Czego dowodem, że i przed Chrystusem pogańska filozofia tę samą przeprowadziła analizę.

---

[1] *S. August. Confess.* l. I.

[2] W tem tylko się mylili Platończycy, że brali za punkt wyjścia pochodu myśli to, co jest jej kresem: przypuszczali, że duch ludzki poznaje i ocenia dobra i piękności tego świata za pomocą idei dobra i piękna bezwzględnego, danych mu z góry, czyli zaczerpniętych z intucyi Absolutu. Tymczasem rzecz się ma odwrotnie: z dóbr i piękności ziemskich umysł ludzki wrodzoną sobie zdolnością wznosi się do idei czystych i bezwzględnych, i tak ze stworzeń Stwórcę poznaje i do Niego aspiruje. *Invisibilia enim Ipsius a creatura mundi per ea quae facta sunt intellecta conspiciuntur, sempiterna quoque ejus virtus et divinitas.* Rom I.

Si amitti vita beata potest, pisze Cycero, *beata esse non potest; quis enim confidit sibi semper illud stabile et firmum permansurum, quod fragile et caducum sit? Qui autem diffidit perpetuitati bonorum suorum, timeat necesse est, ne aliquando amissis illis sit miser. Beatus autem esse in maximarum rerum timore non potest.* [1]

A więc z którejkolwiek strony rzecz bierzemy, zawsze do jednego trafiamy wyniku, że naturalne szczęście jest po za tym światem, w drugiem, nieśmiertelnem życiu, głównym zaś przedmiotem tego szczęścia jest sam Bóg, doskonałym sposobem znany i posiadany. Mówię: głównym przedmiotem, bo w nim znajduje kres główna dążność człowieka, dążność jego duchowa; o końcu zaś innych dążności natury ludzkiej trudno ze stanowiska filozofii coś stanowczego powiedzieć; ale widocznem jest, że skoro główna dążność trafi do najwyższego szczęścia, żądze podrzędne racyę bytu stracą, albo włącznie nasycone zostaną.

Prawda, powie niejeden, że takim jest ideał szczęścia ludzkiego; ze wszystkich stron przebija się w człowieku tęsknota do nieskończoności; ale któż nas o tem zapewni, że ten ideał jest rzeczywistością? skąd wiedzieć możem, czy w ogóle ta wrodzona żądza szczęścia nie jest mrzonką i złudzeniem?

Pierwsza odpowiedź na to zagadnienie leży już w tem samem, że ta żądza jest nam wrodzoną. Wiem, że ci, co przeczą najwidoczniejszemu z faktów, tj. celowości natury, mogą też konsekwentnie przypuścić dążność naturalną, nie mającą naturalnie odpowiadającego przedmiotu, zmierzającą w nicość. Ale ktokolwiek z nieuprzedzonym umysłem zważa, że w całej naturze panuje powszechny porządek celowy, że potrzebom odpowiadają wszędzie środki i narządy, a jednym i drugim przedmioty potrzebne, że nie ma nic na próżno, nic bez racyi i celu; gdy przytem zauważy, że najwyższy tej natury szczebel tj. natura ludzka jest tak zbudowana, władze jej psychiczne tak są ustrojone, iż naturalnie dąży do szczęścia doskonałego — ten nieprzypuści, żeby to szczęście mogło być mrzonką. Natura dosyć daje dowodów Mądrości nią kierującej, żeby jej wierzono iż nie wiedzie na ślepo. Jeśli dała skrzydła, to musi mieć przestrzeń po-

[1] *Cic. De finibus* l. II. c. 27.

wietrzną, w którejby te skrzydła latały; jeśli zbudowała oko, to musi mieć światło, któremby to oko widziało. *Natura nihil facit frustra.*

Druga odpowiedź wynika z naszej powyższej osnowy: Jeśli to szczęście jest mrzonką, to cała moralność jest mrzonką, absurdem i natura ludzka staje się absurdem. Widzieliśmy bowiem, że dążność moralna musi mieć jeden wspólny cel z dążnością do szczęścia; innego zaś szczęścia być nie może, jak szczęście tu omówione — moralne, wszystkim przystępne najwyższe i doskonałe. Przeczyć więc temu szczęściu, jest przeczyć możliwości moralnego porządku i powtórnie przeczyć racyonalności natury ludzkiej, która moralności niezbędnie wymaga [1].

2. *Prawo.*

Widzieliśmy cel dążności moralnej; staje teraz przed nami pytanie: jaka jest droga do tego celu, jaka modła, jakie prawo tej dążności?

Każda istota ma swoje prawo natury: kamień, że dąży do środka ziemi, roślina, że rozwija się podług danego typu, zwierzę, że ten a nie inny pochłania pokarm... I tak być musi, bo wszystko w przyrodzie ma wytknięty cel, musi więc mieć wytknięty sposób dążenia do tego celu; a właśnie ten sposób dążenia, przez Stwórcę dla każdej istoty zamierzony i w jej naturze w jakiś sposób utkwiony, jest prawem tej osobnej natury, cząstką prawa natury zbiorowo pojętego. I człowiek, do tego compleksu natury należący, musi więc swoje prawo natury, mianowicie dla swej dążności duchowej, która jest naczelną jego natury dążnością — z tą jednak różnicą, że prawa innych istot kierują niemi bezwiednie z fizyczną koniecznością, to zaś prawo, stosownie do natury człowieka, tkwić powinno w jego rozumie i przez rozum rozkazywać woli. Wola albowiem jest władczynią postępowania ludzkiego, a jej naturalnym kierownikiem jest rozum.

---

[1] Ponad tymi wszystkimi dowodami stoi zapewnienie przyszłego życia, jakie Bóg nam dać raczył, dla ubezpieczenia chwiejności naszego rozumu, drogą Objawienia; ale ta strona kwestyi nie wchodzi w nasz rozbiór. Tu ze stanowiska filozofii pokazaliśmy jak dalece sam rozum do tej pewności prowadzi.

Co się w ten sposób *a priori* dedukuje, jako postulat natury ludzkiej, to też *a posteriori* indukcya stwierdza jako fakt. Ludzie w ogólności świadomi są jakiegoś wrodzonego prawa, normującego ich postępowanie; pojęcia ludzkie, o tem co się godzi i co się nie godzi, co złe i co dobre, są u różnych ludów i w różnych czasach co do istoty jednakowe. Temu wielkiemu faktowi próbowano zaprzeczyć; przytaczano, na wiarę byle jakich podróżników, opowiadania o ludach nie mających żadnych uczuć moralnych, albo mających moralność do naszej odwrotną, w której łupiestwo chlubą, zabijanie starych rodziców obowiązkiem familijnym, wszelkie bezeceństwa niewinną igraszką.

Ale najprzód pytam tych filozofów, na podstawie takich faktów rozumujących, jakże oni postępują, kiedy chcą właściwy typ pewnej rośliny zbadać i opisać? Czy szukają wyłącznie okazów po zakątkach, gdzie ta roślina rozwinąć się nie może, gdzie jej brak światła lub soków, gdzie wiszący nad nią głaz zmusza ją do kurczenia się i atrofii? Czy nie raczej tam wybierają swe okazy, gdzie ta roślina, posiadając w pełni warunki swego życia, rozwija normalnie rodzimy kształt? Niechże więc tak samo postępują, kiedy chcą o naturze ludzkiej rezonować. Iluż prawdziwie dzikich ludzi na ziemi i gdzie ich szukać? Znajdą ich rzadkie garstki w śnieżnych norach Grenlandyi lub na zwrotnikowych wyspach Polinezyi... gdzie ciężka walka z przyrodą tak siły pochłania, że rozwój wyższych władz istotnej musi uledz atrofii — wszystkich zaś razem może parę milionów, mniej niż w jednym Paryżu mieszkańców.

Tymczasem gdziekolwiek ludzkość normalne znajduje warunki bytu, tam zaraz kształt społeczny przybiera, jakąś cywilizacyą rozkwita; z rozwojem tej cywilizacyi wyklarowują się moralne pojęcia; a gdy zdarzy się, że odrębne cywilizacye, na dwóch końcach świata samorodnie wyrosłe, przychodzą do zetknięcia się, jak się to zdarzyło np. w XVI. wieku, kiedy Europa poznała się z Chinami i Japonią, wówczas przekonują się od razu że ich pojęcia moralne są identyczne, że mają jeden kodeks prawa natury.

Jako illustracyę do tego faktu mógłbym przytoczyć powa-

żną pracę o dekalogu Chinczyków [1]; mógłbym podobne przywieść dowody z zabytków cywilizacyi przed tysiącami lat zamarłych, których całe literatury dziś dopiero z pod ziemi wygrzebujemy. Ale nie zatrzymując się nad kwestyą uboczną odpowiadam wprost na zarzut.

W znajomości prawa natury odróżnić trzeba główne zasady, czyli principia moralności, a dalsze ich dedukcye i zastósowania. Principia są jednakowe i powszechnie znane, ale dedukcye są często trudne a w zastósowaniach zbiegają się rozmaite względy, w których nie od razu widać co przeważa. Cóż tak jasnego, tak matematycznego, jak zasady sprawiedliwości, a jednak w wielu konkretnych przypadkach sami moraliści i prawnicy dzielą się w zdaniach. Jasna jest zasada: nie zabijaj; a jednak uznajemy powszechnie, że w wojnie godzi się zabijać, a spieramy się o kwestyę, czy kara śmierci jest godziwą. Otóż w podobny sposób zwyczaj u pewnych szczepów przyjęty zabijania starych rodziców mieści się w ich sumieniu z jaką taką znajomością zasad, że w ogóle zabijać nie trzeba i że w ogóle rodzicom cześć się należy; gdy bowiem zachodzi okoliczność, zwłaszcza przy koczowniczem życiu, że starcy są ciężarem sami dla siebie i dla całej gromady, zastosowanie ogólnych zasad dla tych niewykształconych umysłów staje się niejasnem i błąd jest możliwy. Mógł genialny Plato przypuścić, że dla dobra społeczeństwa godzi się ułomne dzieci zabijać, mogą *a fortiori* dzicy myśleć, że w takim samym celu godzi się zgładzać niedołężnych starców. Również, jeśli doznawszy wiele krzywd od obcych, wszystkich w ogóle obcych za wojennych wrogów uważają, nic dziwnego że rozboje i podejścia za słuszną poczytują partyzantkę. Słowem, ile razy ludzie, nawet barbarzyńcy i dzicy, w pojęciach etycznych grubo błądzą, zawsze wykazać można, że jest jakaś komplikacya powodów i okoliczności, co zasadę im zaciemnia; w innych jednak warunkach równocześnie się pokazuje, że i tę zasadę ci sami ludzie znają.

Jest więc faktem niezaprzeczalnym, że prawo natury w ogól-

[1] Le Play. La paix sociale. Piéces annexées. I. Le décalogue éternel.

ności jest ludziom znajome. Jakaż tedy jest tego prawa treść? cóż ono nakazuje? Nakazuje ono to, czego wymaga porządek wszech rzeczy, tj. czego żądają przyrodzone stosunki człowieka do innych istot, z któremi jest w styczności. I tak, stosunek stworzenia do Stwórcy, wymaga od człowieka czci religijnej; stosunek równości natury między ludźmi wymaga, żeby człowiek traktował bliźniego jak siebie samego — skąd się logicznie wywodzą, jak innem razem pokażemy, wszystkie zasady sprawiedliwości i obowiązki uczynności; znowu stosunki nierówności, wynikające z powstania rodziny, wymagają żeby rodzice wychowywali dziecko, żeby dziecko rodziców czciło i t. d.; stosunki wynikłe z zawiązania się społeczeństwa wymagają, żeby była władza utrzymująca społeczny porządek etc. Słowem, prawem natury dla człowieka jest postępować tak, jak wymagają od natury rozumnej przyrodzone stosunki wszech rzeczy. Tego oczywiście wymaga od niego natura — tego żąda od niego Stwórca natury. I tu schodzi się znowu dowód dedukcyjny z indukcyjnym. *A priori* wynika, że tak być musi, boć oczywiście najwyższy natury prawodawca nie może inaczej chcieć, tylko żeby człowiek postępowaniem swojem stosował się do wymagań naturalnego porządku rzeczy, którego sam jest twórcą. *A posteriori* zaś najłatwiej sprawdzić, że to wszystko, co ludzie powszechnie za prawo przyrodzone uznają, co jest wspólnego w ich sumieniach wnętrznych i w zewnętrznych prawodawstwach, to jest istotnie wymaganiem rzeczonego porządku.

Z tej idei prawa natury wynika najpierw pojęcie jego konieczności, bezwzględnej w oderwaniu, warunkowej w rzeczywistości. Tłumacze się. Bezwzględnie koniecznem jest, że w danych stosunkach takie są a nie inne obowiązki z prawa natury; bo jak konieczna jest i niezmienna istota rzeczy, tak konieczne i niezmienne stosunki z niej wynikają i również konieczne i niezmienne są ich wymagania w porządku moralnym. Tylko uiszczenie tych stosunków jest warunkowe. I tak Bóg mógł nie stworzyć człowieka, ale tworząc go, nie może nie wymagać od niego religii, sprawiedliwości, prawdomówności i t. p.; mógł absolutnie udzielać mu byt bez rodziców, jak Adamowi, a wówczas IV. przykazanie nie miałoby miejsca; ale dając mu rodziców, musi żą-

dać, żeby ich czcił. Podobnie też człowiek może nie zawierać umowy, nie wiązać się obietnicą; ale skoro te fakta zaszły, prawem natury obowiązany jest dotrzymać, bo wstawienie tych faktów w porządek rzeczy, powoduje takie porządku wymaganie.

Stąd dalej wynika, jak pojąć należy stosunek prawa natury do Boga. Spencer między innymi przypuszcza, że chrześcijańska szkoła etyczna „nie zna innego prawidła postępowania jak mniemaną wolną wolę Bożą“ — i łaskawie identifikuje tę doktrynę z zabobonami dzikich [1]. Jakże wielu, nietrzymających zresztą ze Spencerem, podziela jednak to błędne mniemanie!

Pokazaliśmy dopiero, i w każdej etyce chrześcijańskiej mógł Spencer tę samą doktrynę znaleść, że prawo natury wynika z porządku rzeczy w sposób konieczny i sam Bóg, tworząc takie istoty, nie mógł chcieć innego prawa. Nie dlatego np. kłamstwo i mężobójstwo są złe, że Bóg zakazał kłamać i zabijać, lecz odwrotnie, dlatego Bóg zakazał kłamstwa i zabójstwa, że te czyny są złe, a racya ich złości leży w samej ich istocie: z istoty swej są niezgodne z porządkiem.

Wszelako Bóg, jako źródło wszechbytu, jest też początkiem i pierwowzorem tego porządku rzeczy. Pojął go odwiecznie; w czasie go urzeczywistnił; a stworzywszy istoty rozumne, chce koniecznie, jak się wyżej powiedziało, żeby one czynami swymi do tego porządku się stosowały; one zaś tak czyniąc, udoskonalają się moralnie, stają się samodzielnie takiemi, jak wymaga natura i jak chce Bóg, i tak dążą własnymi czynami do przyrodzonego celu, doskonałości i szczęścia.

Prawo natury jest więc istotnie prawem bożem, nie dowolnem, ale w omówionem znaczeniu koniecznem. I w rzeczy samej ród ludzki, póki się samochcąc nie zaślepia, świadomy jest zawsze jakiegoś związku między Bóstwem a prawem moralności. Jak mądre prawa natury fizycznej każą ludziom myśleć o Bóstwie, co przyrodą włada, tak i to prawo, które w głębi sumienia swego znajdują, daje im powód domyślenia się, że Bóg jest tego prawa zakonodawcą, że przed nim za wypełnienie tego prawa są odpo-

---

[1] *The data of ethies* c. IV.

wiedzialni. „To było, jak widzę, pisze Cycero, najmędrsze zda-„nie, że prawo, to nie rozumów ludzkich wynalazek, ani naro-„dów postanowienie, ale coś wiecznego, co całym światem rządzi, „zakazów i przykazań mądrością. To zaś najwyższe i ostateczne „prawo uznawano za myśl Bożą, która wszystkiem rozumnie „włada i rządzi“ [1]. Podobne są ustępy u Platona, w dyalogu *Timaios* i w 10-tej księdze „O prawach.“ Ale najdobitniej wyraża się jeszcze Cycero w 3-ciej księdze *De Republica*. „Wszystkie „narody, mówi on, wszystkie czasy, wiąże jedno prawo wieczne „i nieodmienne, i jeden jest wszystkich wspólny mistrz i władca „Bóg. On to jest tego prawa wynalazcą, zakonodawcą, sędzią. „A kto go nie słucha, sam się ze siebie wyzuwa i naturą ludzką „pomiata; co już jest karą nader srogą, chociażby innych kar, „których się domyśliwamy, uniknął“ [2].

Z tego pojęcia prawa natury wypływa w końcu odpowiedź na ważne i wiecznie przez filozofów dyskutowane zagadnienie: jak to prawo natury przychodzi do świadomości człowieka? Jedni osobną na to przypuszczają władzę duchową, tak zw. zmysł moralny; inni, uciekając się do teoryi wrodzonych pojęć, przypuszczają,

---

[1] *De legibus* II.

[2] Cały ustęp, którego końcowe tylko zdanie przełożyłem, przytaczam tu w oryginalnym tekście; bo aż miło słuchać jak pogański myśliciel, nie zbałamucony nowożytnemi teoryami, trzeźwo i głęboko rzecz rozumie. Cała nauka o prawie natury w naszej rozprawie wyłożona mieści się w tych słowach. Cytuje ten ustęp Laktancyusz, Instit. Divin. l. VI. c. 8. *Est quidem vera lex, recta ratio, naturae congruens, diffusa in omnes, constans, sempiterna; quae vocet ad officium jubendo, vetando a fraude deterreat: quae tamen neque probos frustra jubet aut vetat, nec improbos jubendo aut vetando movet. Huic legi nec abrogari fas est, neque derogari ex hac aliquid licet, neque tota abrogari potest. Nec vero aut per Senatum, aut per populum solvi hac lege possumus. Neque est quaerendus explanator, aut interpres ejus alius. Nec erit alia lex Romae, alia Athenis, alia nunc, alia posthac: sed et omnes gentes, et omni tempore una lex, et sempiterna, et immutabilis centinebit; unusque erit communis quasi magister, et imperator omnium Deus; ille legis hujus inventor, disceptator, lator; cui qui non parebit, ipse se fugiet, ac naturam hominis aspernatus, hoc ipso luet maximas poenas, etiamsi caetera supplicia quae putantur effugerit.*

że Stwórca wypisał niejako na sumieniu każdego moralne zasady [1]; Na to samo prawie wychodzi znajomy już nam pomysł Kanta o formach subjektywnych *a priori;* z tą tylko różnicą, że Kant na tych formach kończy, nie odnosząc do Boga ich pochodzenia i zakonodawstwa prawa. Ale to wszystko są wymysły, co najmniej niepotrzebne, pochodzące z niezrozumienia istoty prawa natury, którąśmy co dopiero wyłożyli. Skoro bowiem to prawo nie jest czemsiś dowolnem, ale wynikiem z relacyi przedmiotowego porządku rzeczy do człowieka, to tymże samym rozumem, którym poznaję ten porządek przedmiotowy, mogę i prawo moralności poznać: nie potrzeba mi na to innej władzy, ani żadnego innego pomocniczego środka. Jak w sferze teoretycznej rozum, poznawszy przez pośrednictwo zmysłów przedmioty, odkrywa sam przez się ich relacye i upatruje pierwsze principia bytu: zasady identyczności, przyczynowości i t. p., tak samo, w sferze praktycznej, ten sam rozum odkrywa principia postępowania. Dziecko przychodząc do rozumu, a widząc wciąż nad sobą dobroczynną władzę rodziców, niebawem pojmuje, że tej powadze powinno się poddawać; widząc zaś obok siebie rodzeństwo, wnet zdaje sobie sprawę z pewnej równości między sobą a braćmi; gdy na jego niekorzyść tej równości się uchybi, zrozumi krzywdę i odczuje ją; a następnie gdy sam krzywdzi braciszka, zrozumi, że źle zrobił, czyniąc drugiemu coby niechciał, żeby jemu uczyniono. Słowem w obu sferach, prawd teoretycznych i prawd moralnych, ten sam tryb poznania: początek od spostrzeżeń empirycznych, dalszy rozwój przez samoistną pracę rozumu i przy pomocy osób już wykształconych, czyli przez edukacyę; wreszcie, jakeśmy dopiero widzieli, w obu sferach taki sam rezultat końcowy: mianowicie, że jak w kwestyach teoretycznych, tak i w moralnych ludzie zgadzają się w pierwszych zasadach, a rozchodzą w dalszych wnioskach i zastósowaniach: bo tu i tam zasady są jasne, każdemu ro-

[1] Nieraz Ojcowie Kościoła i inni katoliccy pisarze używają takiego sposobu mówienia: „prawo naturalne jest w nas wyryte, wpojone, wrodzone, *lex innata, insita, insculpta.*“ Ale są to tylko sposoby mówienia, wyrażające że wrodzoną mamy zdolność poznania tego prawa moralności, nie zaś, że gotowe pojęcia są nam od urodzenia dane.

zumowi przystępne, a dalsze wyniki są często zawiłe i krzyżowaniem się różnych względów utrudnione. Więc z którejkolwiek strony rzecz bierzemy, zawsze ta sama władza poznawcza, ten sam rozum, co poznaje prawdy teoretyczne, poznaje też prawdy moralne.

Jeżeli więc rozum poznaje moralność, zapyta kto, czemże jest sumienie? Sumienie jest pewną funkcyą rozumu. Rozum, z szczegółowych faktów wzniósłszy się rzeczonym sposobem do ogólnych zasad, te zasady znów do czynu stosuje: upatrując zgodność lub niezgodność czynności, którą wykonać mamy z odpowiednią zasadą moralną, orzeka: „to się godzi, to się nie godzi.“ I ten sąd rozumu przed czynem, jest sumieniem kierującem. Również po wykonanej czynności, rozum reflektuje nad jej zgodnością z zasadą i wyrok, jaki wówczas wydaje, jest tak zwanem uznaniem sumienia, albo wyrzutem sumienia.

Dlatego to, jakeśmy w poprzedniej rozprawie stwierdzili, sumienie rezonuje: nie odzywa się wyłącznie w formie prostych rozkazów: „to czyń, tego zaniechaj;“ ale daje powody swych wymagań, powołując się na wyższe objektywne principia. Dowód, że sumienie nie jest samym prawodawcą, ale tylko organem, heroldem prawa moralności. Takie jest w głównych zarysach pojęcie prawa natury. Istnieje ono odwiecznie w myśli Boga, najwyższego prawodawcy, jako *lex aeterna*; w porządku przyrodzonym i naturalnych stosunkach wszechistot, jest ono wypisanem jako w kodeksie nieodmiennym; rozum ludzki poznając naturę, wyczytuje w tym kodeksie swoje obowiązki, domyśliwa się ich pochodzenia od Boga i wskazuje woli, tak zwanym głosem sumienia, jaką drogą iść powinna, by do szczęścia trafić.

3. *Obowiązek.*

Mamy już skreślony cel i drogę do celu, dążność moralną i prawo tej dążności. Czy już pojęcie moralności zupełne? Jednego brak nam jeszcze czynnika, związku między tą dążnością a jej prawem i celem, zwanego obowiązkiem.

Zacznijmy, jak wyżej, od elementarnych wskazówek przyrody. Już w świecie zwierzęcym widzimy to prawo, że każdy czyn zgodny z celami natury, odpowiadający potrzebom je-

dnostki albo gatunku, połączony jest z przyjemnością, szkodliwy zaś i celom natury przeciwny, połączony z cierpieniem. Dla tych istot nierozumnych, niemogących właściwych natury celów pojąć, przyjemność ta jest motorem do czynności, jakie natura zamierza, a cierpienie bodźcem do unikania lub naprawiania przeciwnych. Nie potrzebuję dodawać, że jak wszystko w naturze, tak i ten układ podlega zwichnięciu i przypadkowym zboczeniom; ale plan ten w całości jest widoczny i niezaprzeczalny. W człowieku znajduje się ta sama sfera życia zmysłowego co u zwierząt, z temi samemi prawami, ale nadto jest rozum, zdolny cele natury same w sobie poznać i ocenić. Człowiek więc może dwojakiem powodować się dobrem: przyjemnością *(bonum delectabile)* i samem objektywnem wymaganiem porządku, zamiarem natury, należytością *(bonum honestum)*. Może człowiek np. żądać pokarmu, nietylko że go smak pociąga, albo że mu głód dokucza, lecz i dlatego, że rozumi iż pokarm potrzebny jest dla zdrowia.

Ale znów człowiek, jako istota rozumna, nie ogranicza się na tych funkcyach zwierzęcych, żyje on jeszcze życiem umysłowem, towarzyskiem, religijnem i t. d. Otóż i tu znajdujemy te dwa rodzaje dobra, w taki sam sposób porządkiem naturalnym powiązane. Postępkom należytym, czyli zgodnym z prawem natury odpowiada i w sferze wnętrznej, uznanie sumienia i sferze życia zewnętrznej, szacunek społeczeństwa, dobra sława, w wyższym stopniu chwała. Otóż i sława ludzka i pochwała sumienia są dobrami przyjemnemi, nawiązanemi, w myśl natury, do dobrych postępków, tak samo jak przyjemny smak przydany jest do należytego posiłku. Dobro należyte samo przez się pociąga rozumną wolę, ale dodana przyjemność dopełnia jego siły attrakcyjnej, jako przynęta i jako doraźna sankcya albo nagroda. Tak samo i w odwrotnym porządku, do czynów złych nawiązuje się w myśl natury cierpienie fizyczne, wyrzut sumienia, niesława społeczna — dla dopełnienia siły repulzyjnej, jaką zło ma samo przez się dla istoty rozumnej, na odstraszenie i doraźną karę.

Z tego wynika najpierw, że człowiek postępuje dobrze, moralnie, nietylko kiedy zamierza dobro należyte samo dla siebie, (jak Kant wymaga), ale także, kiedy zamierza dobro przyjemne z dobrem należytem powiązane: bo taka dążność odpowiada jego przyrodzie

i zgodną jest z całym natury planem i zamiarem, o którym mowa. Wtedy zaś działa źle, niemoralnie, kiedy szuka przyjemności bez dobra należytego, albo nawet przeciwko temu dobru. I w tej mierze człowiek, jedyna w tym świecie istota wolną wolą obdarzona, zdolna oddziaływać na własną naturę i mogąca być przewrotną, potrafi całą tę harmonię naturalną należytości i przyjemności zakłócić — i w rzeczy samej zakłóca ją często i głęboko. Stąd cnota spotyka się z niesławą i prześladowaniem, przyjemność zmysłów znajduje się poza granicami natury, a nawet sam nadmiar występku może wyrzuty sumienia stłumić. Słowem, powiedzieć można, że w świecie ludzkim tylko ślady tej harmonii naturalnej dają się odczytać, ale całość wcale nie istnieje. *Deus ab initio constituit hominem et reliquit illum in manu consilii sui* [1].

Stąd znowu wynika, że ten doczesny związek przyjemności z należytością, nie jest wcale ostateczną w zamiarze natury moralności sankcyą. Widzieliśmy w poprzedniej rozprawie jak wszystkie etyczne systemy, które na nim moralność budują, napróżno się trudzą. W świecie zwierzęcym taki sam związek wystarcza do dopięcia celów natury i utrzymania jej praw — i to zapewnie tych filozofów w błąd wprowadza — ale w świecie ludzkim ten ustrój tak dalece woli i nawet przewrotności człowieka podległy, nie jest wcale środkiem do tego celu odpowiednim. Natura tem doczesnem nawiązaniem przyjemności z powinnością ułatwia tylko, o ile człowiek jej porządku nie zakłóci, drogę powinności, wskazuje że powinności należy się przyjemność. Ale tem samem prowadzi ona do przekonania, że te dwa rodzaje dobra, które w tem życiu wciąż się rozchodzą a przecież do siebie należą, w drugiem życiu zejść się muszą: że tam doskonałość etyczna spotkać się musi z najwyższem szczęściem. Z tego dopiero kulminacyjnego punktu spływa na życie ludzkie prawdziwa moc o b o w i ą z k u.

Przypatrzy się bliżej temu pojęciu. Obowiązkiem nazywamy ten mus, tę konieczność *sui generis*, która wolę z prawem moralności wiąże. Konieczność to oczywiście nie fizyczna, bo takowej wola nie podlega i takowa znosi pojęcie moralności, ale taka, jaka naturze woli odpowiada: tj. przedłożona jej przez rozum

[1] Eccl. XV. 14.

w postaci dobra dla niej niezbędnego. Cóż to zaś może być za dobro, coby wolę ludzką wiązało? Widzieliśmy, że i dobro należyte czyli wymaganie naturalnego porządku samo przez się ją nęci i dobro przyjemne ją wabi. Ale póki jedno i drugie przedstawia się jako dobro częściowe, względne, jedno z drugiem niezgodne, póty dla woli, wznoszącej się do ogółu i nieskończoności, nic koniecznego nie przedstawia. Widzę np. że pięknieby było sprawiedliwość bliźniemu wyrządzić, że miłoby było mieć dobrą sławę... ale nie widzę czemubym musiał tak postąpić i te dobra obrać: nie mam jeszcze przed sobą obowiązku. Dopiero gdy widzę obu tych form dobra bezwzględność i ostateczną jedność: tj. gdy widzę, że ów postępek sprawiedliwy wchodzi w skład wymagań porządku wszech rzeczy, aż do najwyższego szczytu i źródła tego porządku, tj. Boga, który ma w nim konieczne upodobanie — gdy widzę oraz, że ten uczynek, czy mi sprawi na razie przyjemność czy nieprzyjemność, korzyść czy niekorzyść, końcowo prowadzi mię do doskonałego szczęścia — wówczas związany jestem obiema węzłami mojej natury rozumnej, jestem ze wszech miar obowiązany, muszę tak postąpić jak prawo każe. Fizyczną mam zawsze możność działania wbrew obowiązkowi; tej mi nic nie odbierze i odebrać nie powinno. Ale zmuszony jestem koniecznością moralną, bo wszelkie powody, jakim wola naturalnie podlega, schodzą się tu w całej pełni — i żeby działać przeciwnie muszę się w tym względzie umyślnie zaślepiać albo dać się zaślepić złością lub namiętnością.

Obowiązek więc jest wypadkową dwóch sił, dobra należytego i dobra przyjemnego, wiążących wolę z prawem; pierwsza stanowi samą istotę obowiązku, druga jego dopełnienie i sankcyę; ale jedna i druga o tyle są zdolne wiązać wolę ludzką, o ile się do najwyższego celu odnoszą. Stąd płynie moc obowiązku. Żadna teorya odcięta od Boga nie może obowiązku wytłumaczyć.

Do tego celu trafiliśmy w pierwszej części tej rozprawy analizą żądzy szczęścia; obecnie do niego wróciliśmy analizą obowiązku; oba rozbiory podają sobie dłonie. Ostatecznie wszystkie nauki do tego celu prowadzą; ale najwidoczniej może i najkonieczniej etyka, która do świątnicy sumienia ludzkiego zagląda.

X. Maryan Morawski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Jan Sobieski i jego wiek, przez Ludwika Piotra Leliwę. Kraków. Nakład i druk Wł. Anczyca, III. tomy.

Skłonne do podchwytywania ujemnych stron każdej rzeczy umysły, występują raz po raz z ostrą krytyką mnożących się za dni naszych obchodów jubileuszowych. Wytykają w nich sztuczne podniecanie nerwów, wzbudzania chwilowych zapałów, udramatyzowanie potocznego życia i nie przyznają im żadnej wyższej, ani rzetelniejszej korzyści. Nie przecząc, iż zamiłowanie obchodów i uroczystości pamiątkowych łatwo przejść może w rodzaj manii, nie zaślepiając się nad niebezpieczną stroną gorączki manifestacyj publicznych, musimy jednak przyznać, iż Kraków w ostatnich kilku latach umiał zespolić z narodowem świętem, przynależną takim obchodom powagę pracy, umiał nawiązać z pamiątkami przeszłości zadania obecnej chwili, umiał nareszcie przysposobić dobroczynne owoce, skutki i korzyści każdego jubileuszowego zebrania. Zjazd Długoszowy dał nowy popęd studyom historycznym, *centenario* Kochanowskiego zwrócił uczone badania w stronę XVI. wieku, odrodzenia i humanizmu w Polsce, uderza nas nowem, pomnikowem wydaniem dzieł wieszcza czarnoleskiego, mnoży studya odnoszące się do złotej epoki Zygmuntowskiej. Rocznica odsieczy Wiedeńskiej niemniej obfitą była w błogie skutki. Tu sztuka polska skłaniała się przed Ojcem Chrześcijaństwa, i poselstwo nasze składało w Watykanie ofiarę geniuszu; tam znów gorliwi pracownicy gromadzili wszystkie akta i dokumenta odnoszące się do postaci, rodziny i epoki króla Jana, w szacownem i wspaniałem ujmując je wydawnictwie. Tu wy-

stawa Sobiescianów pozwalała zrobić inwentarz pamiątek i skarbów rozsianych po kraju, odżywiając przed nami chwilę dziejową, ubraną w szkarłat i złotogłowie, zbrojną a strojną, bitną a butną; tam znów mnogie książki, natchnione uprzytomnionem wspomnieniem oswobodziciela chrześcijaństwa, w różnej formie składały hołdy pamięci bohatera i przeszłości dziejowej. Znalazły się i ludowe opowiadania i pieśni i powieści i studya, i monografie. Wszystko to złożyło się w jeden promień świetlany, rozjaśniający epokę pełnią blasku prawdy historycznej. Do tylu wydawnictw i prac natchnionych dwuwiekową rocznicą oswobodzenia chrześcijaństwa, przybywa obecnie kilkotomowe dzieło pod tytułem powyżej wypisanym. Pseudonim autora nie po raz pierwszy błyska na czele książki. Pod tym znakiem herbowym wystąpił przed kilkoma laty z pierwszą próbą autor monografii rodu Rzewuskich, p. t. Wielka rodzina w wielkiem narodzie, a odtąd po kilka razy toż samo pióro udarzało nas nowemi pracami, łatwemi do rozpoznania tożsamością cech przewodnich. Gorącość uczuć katolickich i narodowych łączy się tu z czcią szlachetną dla rodów historycznych. To ostatnie uczucie, gdy się opiera nie na pojęciu wyjątkowych przywilejów, ale na zrozumieniu wyższych i ściślejszych zobowiązań, może zaiste wielką w życiu stać się dźwignią. Zaraz w przedmowie rysuje się nam ów kierunek autora, i to w dodatniem świetle, spotęgowaniem nie dumy, lecz miłości rodowej i rodzinnej, nie rozkiełznaniem swawoli, lecz ujarzmieniem tradycyi. Z tej prawdziwie pięknej przedmowy radzi przytaczamy odnośny do powyższych uczuć okres: „Narody — to rodziny, one przywilejem krwi nie stoją, zasługami w organizm narodów się wpiły, na losy ich poświęceniem wpływały, bohaterskiemi czynami i rycerską ofiarnością wszystkiego, co mieli najdroższego, za wiarę i ojczyznę ten wpływ zdobyli i to stanowisko uzyskali, których urodzenie samo nigdyby im nie nadało, gdyż nie krew, ale czyn jest szlachectwem. Arystokracya w głośno brzmiących nazwiskach nie znajduje się wcale; w cnocie nieskazitelnej, w ciężkiej pracy żywota uczciwego, w miłości obowiązków chrześcijanina i obywatela leży cała.“ A określiwszy tak stanowisko wielkich rodzin, autor słusznie znów ich stosunek do kraju zaznacza: „Polska, która

w XVI. wieku ocaliła swą wiarę, a w XVIII. wulkanowi rewolucyjnemu wstrząsnąć się nie dała, w XIX. naszem stuleciu chaosu demagogicznego nie zburzyła w swych zasadach, i ten prastary ustrój społeczny i tę część szacowną swego ciała towarzyskiego, co ją tradycya na wdzięczności oparła, bez żółci, zawiści i najmniejszej niechęci, a przeciwnie z dumą i uwielbieniem arystokracyą nazywa, kraj cały zdrowo o niej sądzi, w miłości braterskiej z nią żyje. Stare rody są u nas mniej drzewem genealogicznem pokoleń, a daleko więcej jakby klejnotem szlacheckim ogółu, moralny blask którego na cały naród spada, którym on się szczyci i cieszy. Gdy przyjdzie w Europie chwila ustalenia zamąconego spokoju, z nas będą brać przykład w tym względzie, a stracone gdzieindziej siły na nienawiści i ciągłym antagonizmie jednej warstwy społeczeństwa przeciw drugiej, u nas znajdą się nietknięte, jak opoki staną do dalszego gmachu politycznego, będą życiem, potęgą i mądrością."

Znaczenie wielkich rodów i tradycyi w narodzie, stwierdza się tu ciągiem ofiar Żółkiewskich, Daniłowiczów i Sobieskich. Autorowi wdzięczni być możemy za skrzętne nagromadzenie bliższych rysów i szczegółów o tych domach i ludziach wyjątkowej miary i zacności. Szkoda, że owe szczegóły zatonęły nieco w nadmiarze parentez i zboczeń, sięgających wszystkich bieżących kwestyi, zasad, religii, systematów spółczesnych, ba, nawet prasy i stosunków galicyjskich pod dobroczynnemi rządami Franciszka Józefa. Owe ustawiczne odchodzenie od przedmiotu, cecha charakterystyczna umysłów niewieścich, pozwalałoby domniemywać się kobiecego pióra. Zapał zaś ognisty do wszystkich pięknych ideałów historyi i życia naprowadza na wniosek, że autor do niezaprzeczonego talentu dołącza jeszcze skarb najdroższy i niezastąpiony, młodości świeżej, szlachetnej i czystej. Mimo tedy niektórych usterek więcej formy, aniżeli treści, mimo zbytecznego rozprowadzenia przedmiotu ciągłem przekraczaniem onego granic, niniejsza książka posiada wiele rdzennych zalet, sumienne wyzyskanie odnośnych źródeł, wszechstronne oczytanie, a mianowicie żarliwość uczucia katolickiego i polskiego.

Autor zaraz na wstępie kreśli entuzyastyczny obraz XVII. wieku, wskazując na jego odrębne wśród dwóch pokus stanowi-

sko: przeczenia prawdy w XVI. wieku, a odrzucenia jej w XVIII. Dlatego owo stulecie mu się tak wspaniale uwydatnia, że reformę przetrwało, a zobojętnienia nie zaznało jeszcze. „Na przełomie wypadków i dążeń ludzkości stojąc, z minionych wieków uzbierawszy skarby doświadczenia, wiek XVII. nie wzgardzał niemi; chociaż nowe siły znajdywał, ale miał ogromną zaletę nowych dróg nie szukać.“

Jak w Mścicielu Szajnochy, autor nas przeprowadza przez trzy pokolenia i trzy domy, uwieńczone w końcu kwiatem cnoty Sobieskiego. Stykamy się raz więcej z idealną postacią rycerza bez skazy i winy, ginącego pod Cecorą hetmana. Oprócz źródeł historycznych, listy Żółkiewskiego i jego testament odtwarzają nam pamięć jego i cnotę. Ów przedziwny testament wiecznie ku sobie pociągał wyższe w Polsce umysły i serca. Wielki wychowawca młodzieży w ostatnich latach, ks. Jan Koźmian, uczniom swoim dawał ustawicznie do rozpamiętywania słowa Żółkiewskiego, i jeszcze w ostatniej swej przemowie i przy ostatniem spotkaniu z tą piękną młodzieżą, istną koroną sędziwości, przewodniczącej poświęceniem i ofiarą, wskazywał na testament hetmański, jako programat życia i działalności każdego prawego obywatela i miłośnika kraju. Obok tych rycerskich postaci Żółkiewskich, Daniłowiczów, i t. p., występują matki zacne a hartowne, bez których niema domu, niema wychowania, niema najsilniejszych pobudek ku dobremu. „Po łasce i woli Bożej, niewiasta jest *sursum corda* dziejów ludzkości i wszechświata siłą.“ Regina z Herburtów Żółkiewska, Zofia Daniłowiczowa, Teofila Sobieska, z ich to krwi i kości, z ich ducha powstaje mściciel chrześcijaństwa, ojczyzny i rodziny własnej. Autor przytacza instrukcyą daną przez Jakóba Sobieskiego synom wyprawionym na naukę do Krakowa, i słusznie uważa, iż w tych złotych radach nic się nie przeżyło, nie zestarzało, wszystko po dziś dzień powinnoby kierować wychowaniem młodych pokoleń.

Nareszcie zaczyna się właściwa o Sobieskim opowieść, wraz z rozpoczynającym się czynnym zawodem młodego Jana. Pięknie tu autor się odzywa, iż czterech rzeczy potrzeba niezbędnie na początku każdego zawodu: „przedewszystkiem łaskę Bożą wezwać kornem, zupełnem poddaniem się woli przenajświętszej; drogę

obowiązku obrać, i twardą wolą, lwią odwagą po niej postępować; głosu tradycyi słuchać jak własnego sumienia; osobistość swą, to jest samolubstwo własnych widoków do szczętu w sobie wytępić, śmiałą ręką na zawsze zatrzeć. Bo i czem jest to życie, którego bój wypada nam rozpoczynać, jeżeli nie wolą Boską, obowiązkiem nakazanym, mądrością poprzedzających pokoleń, zaparciem się samego siebie! Młode siły w starej prawdzie — to jedyne hasło postępu, wielkości i szczęścia narodów, jakoteż osobistości."

Cytaty za dalekoby nas zaprowadziły; nie pójdziemy też krok w krok za bohaterem wieku i książki, tem bardziej, iż autor skrzętnie niby pijąc z historyografii Sobieskiego, wyzyskuje drukowane już księgi, nie dodaje żadnego nowego materyału, wiąże tylko i zlewa wiadomości umiejętnie w różnych źródłach zaczerpnięte. Tu i owdzie trafna uderza charakterystyka, np. Jana Kazimierza, którego lwie męstwo i wielka duszność jawnie się z tych kartek wychyla, jakby komentarzem do portretu królewskiego na przeszłorocznej wystawie Sobiescianów. Portret ten wymownie oddawał całą tragikę panowania i losów Jana Kazimierza. Bój i majestat, i męka serca i odwaga niezłomnego ducha w głębokiem, smutnem bezdennem przeświecała tam oku, a usta zaciśnięte świadczyły o harcie woli i przebytej próbie życia. Następuje Michał Wiśniowiecki, niższa postać, słaby na duchu i ciele, syn wielkiego ojca niegodny. Tu autor trafnie podnosi głębokie w Sobieskim poczucie karności, kiedy on wódz, bohater, zbawca narodu, takiego nawet słucha króla, aby uszanować podwaliny porządku i zasadę władzy. Ale im dalej w życie i zwycięstwa, tem bardziej Sobieski wyrasta na właściwą głowę narodu. Dlaczego? Nie z powodu samych tylko zwycięstw i warzynów. „W naszem społeczeństwie dawniej jak i dzisiaj tylko człowiek silnych przekonań religijnych, nierozerwalnie z tradycyą rzeczy Bożych zespolony, może ufność narodu wzbudzić i zachować, za wielkiego być uznanym. Gieniusz z wiary wyzuty, pono nigdzie, a szczególniej w Polsce, racyi bytu nie miał i nigdy mieć nie będzie. Katolicką w przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, katolicką w dogmacie swoim, historyi, dążnościach, czynie; katolicką jest również w wielkich ludziach ziemi swej. To *credo* dziejowe naszego narodu nikim i niczem nam niewydarte."

Autor wciąż podnosi messyanizm Polski wśród narodów, zbawcze posłannictwo Sobieskiego wśród monarchów Europy. Nader szerokie zakreślił on sobie ramy — tom trzeci doprowadza nas zaledwie do koronacyi zwycięzcy z pod Chocima, do Żórawińskiego traktatu, i do wstąpienia na Stolicę Apostolską Inocentego XI, Odescalchi, przyjaciela Sobieskiego, któremu ślub dawał, przyjaciela Polski i Polaków, wśród których najprzód orężnie wojował, aby następnie posłować od Papieży przy Rzpltej. Im dalej rozwija się opowiadanie, tem bliżej poznajemy wszystkie piękne strony charakteru Jana III. Wawrzyny wojenne tak w nim olśniewają, że blaskiem swym już przyćmił do pewnego stopnia wielkie talenta dyplomatyczne tego wyjątkowego męża stanu i umiejętnego sternika państwa. Od czasu do czasu, z obozu czy z Warszawy, dobiega on do Żółkwi, aby się wykąpać w rodzinnem powietrzu i rodzinną też tradycyą ukrzepić. Podnosząc to wielkie przywiązanie Sobieskiego do domu przodków, autor pięknie powiada: „Ściany zamków rodzinnych nie z kamienia; one tyle walk, cierpień i łez widziały, na ich łonie tyle poświęceń, głośnych czynów, budujących ofiar się zrodziło, takim szerokiem kołem światło przykładu i pracy się rozchodziło wspaniale, że te niby na pozór zimne, nieme mury, to istoty z krwi i kości, pełne życia, wymowy, czucia i spółczucia. One w dobrem rozkazują, w złem wstrzymują, po trudnych znojach wypoczynek dają, w boleści utulają.“

Na tej pięknej charakterystyce znaczenia domu dla dusz szlachetnych zamkniemy szereg naszych przytoczeń, które wystarczą, aby dać miarę nastroju książki, o jakiej mówić nam przyszło. Forma staranna niekiedy razi osobnemi, autorowi właściwemi zwrotami językowemi, oraz wyrażeniami nieużywanemi powszechnie, jak np. u ł ę c z y ć, albo jeszcze powtarzający się g n i o t, zamiast ciężar, jarzmo. Wydanie piękne, druk czysty i poprawny. Główną atoli zaletę całości stanowi niewątpliwie gorącość uczucia ciepłem tchnieniem przebiegającego te kartki, poświęcone pamięci ostatniego wielkiego króla, jakiego Opatrzność nam dała. *M.*

Z literatury angielskiej.

Nieraz podnoszą się u nas obecnie skargi na stopniowe obniżanie się poziomu umysłowego w przeciętnej sferze społeczności naszej. Ludzie pracy, mężowie nauki starają się jak najwyżej i najszerzej podnosić swoje sztandary, ideały i cele. Ale mimo ich usiłowań, ogół zamiast się rozwijać i wykształcać w miarę trudów jednostek, ulega jakoby wstecznemu ruchowi, cofając się w tył, zamiast postępować naprzód. Życie towarzyskie uwydatnia mianowicie w potocznych rozmowach salonowych wyjałowienie umysłów. Nie ma już miejsca na owe zapalone dyskussye dawniejszego pokolenia, w których ścierające się zdania zawsze zdołały skrzesać iskrę prawdy, a które wlewały ogień i życie w najzwyczajniejsze towarzyskie zebrania. Niegdyś, każdy miał swoje osobiste zapatrywanie się na tę lub owę kwestyą, dziś zleniwiałe umysły przyjmują raczej wyrobioną opinią czytanego przez się czasopisma, i zamiast myśleć indywidualnie, pamiętają tylko ślepo. A nadto przeważna część społeczeństwa czytuje wyłącznie jedno i to samo tak, iż towarzystwo całe, zamiast się złożyć w dobraną ludzką orkiestrę, przekształca się w katarynkę lub pozytywkę, wygrywającą nakręcone przez pana Buloza n. p. tony.

To imię głównego naszej epoki kapelmistrza nasunęło nam się przypadkiem, pod wrażeniem niezmiernej przewagi, jaką w Polsce sobie zdobyła *Revue des deux mondes*. Nie będziemy się dziś zastanawiać nad niegodziwymi wpływami tego Przeglądu, który, obok rzadko umieszczanych artykułów poważnej i prawdziwie naukowej wartości, upowszechnia wstrętne powieści, tchnące bezwyznaniowością i bezbożnością; nie podniesiemy ani politycznych ani religijnych lub naukowych bałamuctw, w które pojedyncze obfitują zeszyty. Dziś tylko dotkniemy zgubnej manii, która na całym Wschodzie Europy, a więc mianowicie w słowiańskich krajach, z *Revue des deux mondes* czyni nietylko ulubiony pokarm czytającej publiczności, ale nadto dla wielu bardzo stanowi jedyną, wyłączną strawę duchową. Zrozumiemy jeszcze, choć nie rozgrzeszymy zawsze tych, którzy czytając wiele, czytając w różnych kierunkach, raz poraz i do znanego Przeglądu Dwóch Świa-

tów zajrzą: ale co powiedzieć o tych liczniejszych, którzy nic innego nie czytają nigdy. Takich pono u nas nie braknie, i temu to właśnie w części przypisać można wyż wspomnianą jałowość umysłów i rozmów bieżących. Zakres duchowy ścieśnia się w ramy ostatniej *Revue*, całe towarzystwo przez jedne i te same okulary na świat spogląda, jednem tylko smętnem szkiełkiem patrzy i sądzi wypadki i ludzi. Żadne się zdanie nie wyrobi tak jednostronnem czytaniem, a ileż się skrzywi, ile pojęć wykoszlawi, ile obłąka duchów!

Dziś jednak, zamiast dłuższą prowadzić wojnę z upowszechnionym u nas Przeglądem Buloza, raczej pragnęlibyśmy zachęcić czytelników, aby zechcieli przynajmniej nie ograniczać się na odgłosach dwóch Światów, próbując niekiedy u innych źródeł zaczerpnąć wiadomości bieżących i przeczytać artykuły o sprawach i wypadkach spółczesnych. Najprzód pożądaną jest rzeczą, aby nie trzymać się wyłącznie ani jednego tylko czasopisma, ani nawet jednego języka. Dzisiejszy stopień wykształcenia niemal każdego oswaja z kilku obcemi narzeczami. Dla czegóż mamy stale tylko francuskich trzymać się ksiąg i wydawnictw? czemu nie spojrzeć na świat oczyma Niemca, Anglika czy Włocha? Każda epoka ma właściwe sobie prądy, posługujące się przewodnim w ustroju Europy językiem. Za czasów odrodzenia upowszechniła się włoska mowa, harmonijna jak renesans, w następnych wiekach francuski język używał niezaprzeczonego *primato*, dziś zdawałoby się, iż owego pierwszeństwa dobijają się zwycięskie germańskie plemiona Niemców i Anglosaksonów. Oba języki, angielski i niemiecki, coraz ogólniej zaczynają być warunkiem wyższego wykształcenia, coraz powszechniej bywają poznawane. Stąd niema powodu wyłącznie francuską karmić się strawą, a przy dzisiejszych zwłaszcza stosunkach, nierównie zdrowszy pokarm znajdziemy wśród peryodycznych wydawnictw Anglii lub Niemiec.

Mamy n. p. przed sobą ostatni rocznik angielskiego miesięcznika, wychodzącego w Londynie pod skróconem mianem: *The Month*. Szacowne to czasopismo, o wybitnie katolickim charakterze i hasłach, liczy już dwadzieścia lat istnienia, a rozwija się coraz pomyślniej. Między spółpracownikami widzimy i samego

kardynała Maninga, który styczniowy numer ozdobił głęboko pomyślanemi uwagami o przyszłości szkół elementarnych, gdy te ulegną zupełnemu odchrześcijanieniu. „Nie zbiera się winogron z cierniowego krzewu, ani figi na ostach nie wyrastają.“ Chrześcijański naród nigdy się w świeckich nie wychowa szkołach, i ani domowe wychowanie ani prywatna gorliwość nie starczy, aby zastąpić brak chrześcijańskiej nauki i wykształcenia, wykluczonych z państwowego szkolnictwa. Treściwy ów artykuł zamyka się temi słowy: „Jeśli elementarne szkoły w Anglii zatracą swój chrześcijański charakter, może znajdą się jeszcze chrześcijanie w Anglii, ale tradycya narodu angielskiego zaginie. Będzie to chrześcijańska Anglia, tak jak jest jeszcze katolicka Francya, wyjątkowemi liczbami pojedyńczych osobistości, a raczej łaską Bożą nad indywiduami, ale nie już prawem publicznem, wiarą ani wiernością Bogu.“

Kwestye irlandzkie oczywiście w katolickim miesięczniku często i wyczerpująco są traktowane. Na osobną uwagę zasługuje obszerniejsze wspomnienie z świeżej do Irlandyi wycieczki p. t.: *A personal visit to distressed Ireland.* Wędrówka to pełna bolesnych wrażeń, ograniczająca się na okolicy najbardziej dotkniętej nędzą, głodem i emigracyą. Polityki mało, wniosków jeszcze mniej, nic, tylko straszny obraz rzeczywistości, tem dla nas straszniejszy, że z wielu względów pokrewny naszym stosunkom, n. p. w Wielkopolsce. Podstawa inna, o tyle, że tam lud składa się z rodzaju dzierżawców, t. zw. *tenants,* podczas gdy w księstwie najwięcej wyrobników, owego proletaryatu włościańskiego, nie mającego żadnej podstawy gruntowej. Ale tu i tam jednaka nędza zniewala głowy rodzin, a zarazem siły przewodnie do szukania większego zarobku gdzieś daleko. Irlandczyk na całe lato spieszy do Anglii, aby tam do sianożęcia i żniwa się wynajmować; chłop poznański zdąża pod Magdeburg, do fabryk nadreńskich lub westfalskich, i zarabia dużo, niestety! najczęściej kosztem dwojakiego zdrowia, ciała i duszy. A tymczasem żona Irlandczyka z młodszą dziatwą licho uprawia zostawiony odłogiem kawałek ziemi, rodzina zaś wielko-polskiego robotnika utrzymuje się jak może, trochę z pracy, więcej z jałmużny, a nieraz i z kradzieży. W obu przypadkach wyrabiają się stosunki anormalne, nie opłaca się zarobek ojca rodziny. I w Irlandyi i w Księstwie

znać jednaką przewagę saksońsko-germańskiego plemienia, ujarzmiającego kapitałem i zaradnością szczep tubylców, tam Keltów, tu Słowian. Podobieństwa charakterów nie mniejsze, jak podobieństwa stosunków.

Stosunki te, równym uciskiem zbliżone, w odmiennych wszelako rozwijają się warunkach. Oto zdaniem autora, kilka z głównych powodów, wytwarzających obecny stan nieszczęśliwej Irlandyi. Pierwszą przyczyną niedoli ludu jest nieobecność większych właścicieli, wyzyskiwanie robotników przez podrzędnych agentów i administratorów, którym o to tylko chodzi, aby jak najwięcej dochodu wycisnąć i przesłać zamieszkałemu w Anglii pryncypałowi. Lud irlandzki podobnie jak i polski, zachował feodalne pojęcia p a n a i d w o r u. Znalazłaby się w tych sercach i cześć i miłość, gdyby p a n został między nimi, a dwór przestrzegał swej opatrznościowej misyi. Ale gdy absenteizm większych właścicieli przekształca ich w rodzaj mistycznych postaci, gdy stosunek wzajemny ogranicza się na spłacaniu czynszów, nigdy zaś czynnem miłosierdziem i osobistem zetknięciem się nie ogrzewa, nikną dawne uczucia, rośnie nędza, z nędzy wyrasta znękanie, z znękania rodzą się kwasy społeczne, z kwasów niepokój, a następnie już do zbrodni nie daleko.

Pojęcia własności, nie są u Irlandczyków wykształcone na dzisiejszą miarę. Uczciwość ich nie zna granic, możnaby na ulicy porzucić kuferek lub sakiewkę, i po kilku dniach nietknięte zabrać. Ale co do ziemi, zachowały się tam wyobrażenia pewnej spólności między panem a robotnikiem, między *landlordem* a *tenant'em*. I polski wieśniak zwykł mówić u n a s, i n a s z e, gdy wspomina wieś i gospodarstwo pana, u którego pracuje. W Irlandyi owo pojęcie jeszcze szersze i silniejsze. *Tenant* czyli czynszownik pojąć nie może, aby jego rozumniejsza praca panu tylko miała przysparzać korzyści, obarczając jego samego większym tylko czynszem. Gdy bowiem Irlandczyki w ostatnich latach coraz racyonalniej zaczęli uprawiać oddany sobie zagon, spodziewając się przeto lepszego dochodu, skończyło się na bezwzględnem podniesieniu rat dzierżawczych. Oto n. p. epizod drastyczny owych stosunków: Pewien czynszownik, dzierżawiący kawał gruntu u stóp skalistej góry, widząc, że starczy siłami

i czasem, na własną rękę i korzyść przysposobił sobie półko na stoku owej góry, kamienie usunął, ziemi nawiózł, użyźnił, uprawił i jął zbierać owoce ciężkiej swojej pracy. Wtem nadjeżdża rządca, i na widok zdwojonego owego gruntu, zdwojony też czynsz podnosi. Biedny Irlandczyk poddaje się wyrokowi, zapewniając sobie, iż jeżeli nowy zagon na skalistej zdobędzie powierzchni, ten już jego zostanie dożywotnią własnością. Jakoż wyżej jeszcze posuwa swą sochę, i znów żyzne stwarza pole; teraz jednak sam właściciel w rzecz tę się mięsza, i nie uwzględniając obietnicy swego rządcy, i z tego kawałka odpowiedni czynsz ściąga, przyrzekając tylko, iż już dalszych podbojów pługa dzielnego pracownika żadną opłatą nie ścieśni. Niebawem, prawie na wyżynie góry powstaje urodzajna niwa, cieszy się nią niestrudzony pionier, ale nie długo. Dawny właściciel umiera, nowy żadnych zobowiązań nie przyjmuje. Zniechęcony Irlandczyk traci serce, ostyga w zapale, popada w nędzę i umiera, jak tylu innych, w szpitalu.

Oto jedno z źródeł zniechęcenia: co chwila mały dzierżawca osobistym trudem, to na skale, to na bagnie zdobędzie kawał ziemi, ale że zamiast korzyści, tylko ciężaru sobie przysparza, traci powoli ochotę i odwagę do niewdzięcznej pracy. Obecnie bill, ograniczający raty dzierżawne do pewnej umiarkowanej stopy, położył tamę nadużyciom, ale długi czas przeminie, zanim Anglia sprawiedliwością zatrze dawne niesprawiedliwości swoje wobec Irlandyi.

Obrazy głodu i niedostatku snują się tu ciągiem złowrogim. Jakkolwiek u nas biedy nie brak, takiej nędzy chyba w Polsce nie znajdziesz. Ponieważ ziemniaki są wyłącznym pokarmem Irlandczyków, jak te chybią, nie zostaje nic zgoła. Całe osady żywią się tu morskiemi roślinami lub ślimakami, garść mąki kukurudzowej zawarzonej w wodzie, stanowi obiad, śniadanie i wieczerzę licznej rodziny. Najstraszniejszym powodem nędzy bywają ewikcye systematycznie urządzane w niektórych włościach. Upatrując spisek tam, gdzie zbyt często jest tylko zupełna niemożność uiszczenia się z czynszu, gorliwi administratorzy po kilkanaście rodzin wyrzucają z chat odwiecznie dzierżonych, i nie rzadko

spotkać można całe osady koczujące pod gołem niebem obok rozpalonych ognisk, marniejące o chłodzie i głodzie.

Oczywiście, na gruncie rozpaczy, zbyt łatwo zaszczepić można zasiew społecznego rozstroju, tem bardziej, że Irlandczyk żadnej krzywdy zapomnieć nie zdoła, i indentyfikuje dzisiejsze pokolenia z dawnymi najezdzcami i prześladowcami. Wiadomo, że gdy zapytasz włościanina wielkopolskiego, kto panem tej lub owej włości, jeśli przypadkiem obcy przybysz jest właścicielem, stała znajdzie się odpowiedź: — „Tu pana niema, tylko Mimiec!“ Podobnież i w Irlandyi, spytaszli o właściciela naddrożnego pałacu, a woźnica odpowie: „Mieszka tu niejaki p. F., — ale rzeczywistym właścicielem jest p. O' Brien, który tam oto w tej chacie się chroni.“ Przerywasz uwagą, że dom musi być własnością obecnego mieszkańca, na to woźnica gniewnie się odzywa: — Jakże to być może, skoro on należał do zastępu Kromwellowskich doboszów! — Nowy to przykład wspomnianej wyżej identyfikacyi przodków z prawnukami. Rola była więc gotową dla zaraz spółczesnych, i znalazły się już żywioły rozkładowe. Ale nawet fenianizm niema tak szerokiego wpływu jak zdala mniemać można. Więcej z pewnością jest tam obcych żywiołów i agitatorów, gromadzących męty ludności w około siebie. Na tych spada odpowiedzialność za popełnione zbrodnie. Właściwy lud irlandzki z natury swej nie miałby wspólności w tych podziemnych działaniach. Strzeżony zaś jest nietylko wiarą i tradycyą, ale i opieką duchowieństwa, które tu zachowało osobne wpływy. Ksiądz jest królem, panem, opatrznością każdej wioski, *servus servorum Dei*. Kto chce Irlandyą poznać, tylko przez księży i z księżmi trafi do chat i serc zawsze dla kapłana otwartych.

Anglia zbiera dziś gorzkie owoce długiego ucisku i ciemiężenia. Zapóźnionymi środkami próbuje zaradzić złemu, na pierwszem miejscu forytując emigracyą. W pracy, z której czerpiemy, poznać można dobre i złe strony przesiedlania całych pokoleń na drugą stronę Oceanu. Rząd niezawodnie ma przed sobą cele filantropijne: wszelako skutki nie są dobroczynne dla Irlandyi, a dla Anglii bodaj czy się groźnymi nie okażą. Zielony Eryn bynajmniej przeludnionym nie jest, może żyzniejsze onego okolice skupiają stosunkowo zbyt liczne osady, ale całość wyspy mogłaby utrzymać

o wiele więcej mieszkańców. Tymczasem następuje stopniowe wyludnianie Irlandyi, pod wpływem i kierunkiem rządu, upatrującego w tem najłatwiejszy sposób zaradzenia nędzy. A tymczasem w Kanadzie i dalszych częściach północnej Ameryki powstaje znowu Irlandya, lud zamożny rośnie liczebnie w nieskończoność, łatwiejsze stosunki ułatwiają też wyższy stopień wykształcenia, w sercach które nic nie zapomniały ani darowały, do pamięci dawnych krzywd narodowych, przyłącza się tęsknota chorobliwa za ojczyzną, smutek podobny do nienawiści, który zdala w słowie i piśmie jad swój na Anglią wylewa, aby kiedyś wyrosnąć może na mściciela, z którym rachować się przyjdzie.

Nie wiadomo co nam chowa przyszłość, ale z autorem niniejszej pracy godzimy się na końcowe jego uwagi, które i do nas zastosować się dosłownie mogą: „Irlandczycy, mimo swych błędów, mają niezawodną wyższość nad innymi narodami, ze względu na nieporuszoną stałość w wierze, z jaką przetrzymali niebywałe w dziejach świata prześladowania. Anglia nikczemnie wyrzekła się wiary na skinienie bezecnego rozpustnika; Francya dała się zatruć rozkoszami i niewiarą z nich płynącą; Włochy patrzą obojętnie na poniżenie Namiestnika Chrystusowego; Niemcy cesarza po nad Boga stawiają; Irlandya zaś przeszła przez sroższe próby ogniowe, a żadne katusze nie zniewoliły jej do zaparcia się swego Boga lub zachwiania w wierności Zastępcy Jego na ziemi. Dla takich narodów, Bóg niezawodnie chowa obfite nagrody.“

Ale nie same chwile i wypadki bieżące wywołują poważne studya w angielskim miesięczniku. Otworzyły się świeżo dla katolików najciekawsze źródła dziejowe, i to właśnie z epoki przełomu, który wydarł Rzymskiemu Kościołowi najpiękniejsze części winnicy Pańskiej. W obecnym roczniku (1883), znajdujemy dłuższą biografię Anny Boleyn, i poniżające początki kościelnej supremacyi monarchów angielskich. O. Stevenson, z Tow. Jezusowego, idzie tu ślad w ślad za nowymi dokumentami, rozrzucającymi światło drastyczne na domowe stosunki Henryka VIII., jego rozpustne zachcianki, piękny charakter Katarzyny Aragońskiej, mściwą ambicyą Anny Boleyn, i wywiązującą się reformacyą z nikczemnych miłostek króla z panną służącą swej małżonki. Zamieszczone w Month urywki historyczne są za-

ledwie fragmentami wielkiej i wyczerpującej pracy o panowaniu Henryka VIII., która jej autora, ojca Stevensona jeszcze podniesie wyżej w dziedzinie historyografii angielskiej. Katolicy zarówno z protestantami sławią jego zasługi na tem polu: jemu to zawdzięcza Anglia świeże wydobycie z cienia jednego z najważniejszych dokumentów do historyi Maryi Stuart. Jest to opowiadanie własnego sekretarza nieszczęśliwej królowej, Klaudyusza Nau, które uważać można poniekąd za jej własny dzienniczek, z słów jej spisywany. Dziwnem zaślepieniem, najżarliwsi szermierze pięknej Szkotów pani, nigdy tego dokumentu nie zużytkowali, choć znajdował się on w zbiorach muzeum britańskiego. Strasznie niewyraźne pismo, wykreślenia i interpolacye, blady atrament, wszystko to zniechęcało najpilniejszych nawet pracowników. Ojciec Stevenson podjął herkulesowy trud odczytania tych prawdziwych hieroglifów, a dodawszy pogląd historyczny na wstępie, tudzież mnogie komentarze, zaczerpnięte z watykańskiego archiwum i innych rzymskich księgozbiorów, stworzył książkę rzadkiej wagi i doniosłości, pierwociny z niej składając w czasopiśmie *The Month,* gdzie ukazały się pierwsze tej ciężkiej pracy urywki. Zapiski Klaudyusza Nau obejmują zaledwie dwa lata życia Maryi Stuart, od zamordowania Rizzia do podstępnego przytrzymania jej w Anglii. Atoli są to lata stanowcze, bo w nich nastąpiła ucieczka z zamku Holyrood, urodzenie następcy Jakóba VI., zabójstwo Darnleya, uwięzienie w Lochleven, nareszcie przymusowe z Botwellem śluby.

Te ostatnie przedstawiają nam się jako krok czysto polityczny. Zgnębiona przez rycerstwo szkockie nieszczęsna królowa, nie widziała przed sobą innej drogi wyjścia ani rady, jak w związku z jednym z nich, choćby najmniej jej miłym. Z nieznanych poprzednio szczegółów, wspomnieć można i ten, że Marya Stuart oddawszy swą rękę Bothwellowi, w kilka miesięcy później, na zamku Lochleven poroniła nieżywe bliźnięta, fakt ogólnie dotąd niewiadomy. Charakter królowej stale na bliższem poznaniu zyskuje, dzielność jej i chrześcijańskie cnoty wychylają się stale na smutnem tle jej losów.

Z przedniejszych prac historycznych, wskazanych przez redakcyą pomienionego miesięcznika, na osobną uwagę zasługują

wydawnictwa dotyczące epoki prześladowania katolików w Anglii. I tu znachodzimy mrówczą pracę dwóch zakonników z Towarzystwa Jezusowego, którzy rozdzielili pomiędzy siebie podjęte zadanie. Ojciec Morris pod tytułem: *The troubbs of our catholic Forefathers,* niedole naszych katolickich przodków, jął wydobywać z archiwów najróżniejsze pomniki tej krwawej epoki, dzieje całych rodzin, domów lub klasztorów. Brat, Henryk Foley zakreślił sobie wyłącznie koleje angielskiej prowincyi Soc. Jesu. Pod tytułem: *Recoros of the English province of the Society of Jesus,* i wydał w przeciągu lat ośmiu tyleż tomów źródłowych, obejmujących przeszło siedm tysięcy stronnic bitego druku. Martyrologium to, tem bardziej pociągające, że bliższe naszych czasów, podobniejsze naszym obejmuje stosunki i warunki. Niektóre karty jakby z bieżącego kulturkampfu wyrwane, inne tchną wonią pierwszych wieków, wszystkie porywają ścisłością historyczną, znaczeniem przywiedzionych dokumentów, bohaterstwem, wionącem z każdej stronnicy tych szacownych zbiorów. W chwili, gdy episkopat angielski zaniósł do Rzymu sprawę kanonizacyi tak licznego zastępu męczenników, księgi te mają wszelką doniosłość aktualności. Jeźli zaś cudzoziemców, węzłem wiary z owymi wyznawcami jej połączonych, tak bardzo czytanie tych ośmiu tomów porywa i zajmuje, co powiedzieć o Anglikach, odnajdujących tu rodzinnych swych patronów, całe genealogie, archiwa, roczniki domowe, odgrzebane dziś z kurzu. Przytoczmy sąd o tej publikacyi najkrytyczniejszego z pism londyńskich, surowego i bezwzględnego, a namiętnie protestanckiego *Atheneum.* Oto w jakich słowach, pod datą 18 sierpnia 1883 r. naczelny artykuł witał ostatni tom Wspomnień angielskiej prowincyi: „Pan Foley nareszcie doprowadził swe olbrzymie przedsięwzięcia do końca. Zgromadził on w ośmiu latach i ośmiu tomach taki zapas ciekawych i znaczących wiadomości, jaki rzadko uwieńcza badanie życia całego. Dodał materyału do tych familijnych dziejów, o które bywa najtrudniej, bo się kryją w archiwach rodzinnych, i zwykle zazdrośnie chowają przed okiem ciekawych. Zerwał zasłonę z działania Jezuitów w Anglii, które ogół w nieświadomości swojej oblekał w szatę tajemniczej grozy. To, i wiele więcej dokonać zdołał p. Foley pod schyłkiem życia wypełnio-

nego poprzednio twardemi zawodu swego powinnościami; bo jak słyszeliśmy, był on niegdyś świetnym adwokatem, a dokonał przy rosnącem utrudnieniu z powodu nadwyrężonego wzroku. Niezachwiana energia, nadzwyczajna zdolność ustawicznej pracy, siła woli i hart żelazny pasują go na prawdziwą ozdobę zakonu, w którym obrał sobie być tylko prostym braciszkiem. Winszować mu można, iż tak wielkie przedsięwzięcie doprowadził do końca. Nie jest on mężem zdolnym używać zasłużonego wczasu, a nie znajdzie podobnych światów do zdobycia i odkrycia; ale wzniósł sobie już trwały pomnik, więcej zaś zrobił dla rozwiania przeżytych fantazyi o przebranych Jezuitach i innych tego rodzaju mrzonek i postrachów, aniżeli wszyscy apologeci, którzy w obronie Towarzystwa pisali."

Świadectwo przeciwnika najlepiej pozwoli ocenić wartość tych tomów, które i pod względem typograficznym nie pozostawiają nic do życzenia i przedstawiają się wspaniale, w znanej i niezrównanej angielskiej oprawie, a z dodatkiem fotografii celniejszych męczenników.

Ramy naszego sprawozdania nie dozwalają nam zamieścić tu urywków z powyższych ksiąg, pisanych z nieporównanem życiem i barwnością. Oto jeszcze jedna z korzyści odbierania takiego czasopisma, jakiem jest n. p. *Month*. Służy ono bowiem nietylko za peryodyczną ucztę umysłową, ale nadto jest przewodnikiem bibliograficznym dla ciekawych czytelników, i idąc za jego wskazówkami, śledzić można ruch piśmiennictwa angielskiego, poznawać co najlepszego w niem się znajdzie, zamiast się ograniczać wyłącznie na żółtej okładce wydawnictw powieściowych barona Tauchnitza. Jednocześnie *Month* dostarcza miłośnikom podróży nierzadkich opisów dalekich wędrówek, obok historycznych, daje i filozoficzne i naukowe artykuły. Znajdzie się miejsce i na wierszyk ulotny, i na udatną powiastkę, ale poważny nastrój przemaga i konieczność jak najświatlejszego wyjaśnienia Prawdy wobec społeczności, gdzie od wieków przewaga fałszu w religii, w historyi, w pojęciach ciemnością zapanowała, dodaje pewnego, uroczystego znaczenia całości zasłużonego wydawnictwa, które usilnie polecamy domom i rodzinom, gdzie znajomość angielskiego języka wytwarza potrzebę poznajomienia się z nowszą angielską literaturą. *N.*

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Z dzieł religijnych.

O DOSKONAŁOŚCI CHRZEŚCIJAŃSKIEJ, dzieło ks. Alfonsa Rodriguez S. J., przez X. Kanonika *Cruice* do użytku ludzi świeckich zastósowane, w przekładzie polskim wydane. Wydanie trzecie. Warszawa. 1884. str. 638.

Zbyteczną byłoby rzeczą rozwodzić się nad pochwałami dzieła O. Rodrigueza. Napisane w w. XVI, tłómaczone później wielokrotnie na wszystkie języki cywilizowane, dzieło to słynęło zawsze i słynie po dziś dzień jako najlepsza, najgruntowniejsza szkoła doskonałości. Pierwotna praca O. Rodrigueza zawiera się w trzech obszernych tomach, i przeznaczoną była właściwie dla zakonników Tow. Jezusowego. Ks. kanonik Cruice pragnąc dzieło to uczynić bardziej przystępnem dla ludzi świeckich, poopuszczał niektóre ustępy i całe nawet traktaty odnoszące się wyłącznie do cnót i praktycznego życia zakonników i w ten sposób skrócone dzieło „O doskonałości chrześcijańskiej", wychodzi obecnie już w trzeciem polskiem wydaniu. Nieoceniona to książka nietylko zachęca, ale przedewszystkiem poucza, a poucza opierając się na ścisłej teologicznej nauce, na wytrawnych zdaniach najpierwszych mistrzów duchownych. Czytelnik znajdzie tu wszystko jasno, po prostu, ale gruntownie: na czem zależy doskonałość, jakimi środkami do niej dążyć, jak walczyć z nieprzyjaciółmi swej duszy. Prawda, że książkę tę czytałoby się milej, gdyby język polski był nieco poprawniejszy, jest on tu bez porównania lepszy, niż w ostatniem całkowitem wydaniu Roderycyusza z 1862. Obok książki podobnej treści ks. Pelczara, która już w trzeciem wydaniu prawie wyczerpana, skrócony Rodriguez znajdować się powinien w każdym katolickim domu. *B.*

PRZEWODNIK praktyczny do nauczania katechizmu dzieci II. klasy szkół ludowych, przez ks. *Józefa Krukowskiego* D. Ś. T. Wydanie drugie poprawione i pomnożone. Kraków 1884, str. 223.

Ks. Krukowski pracuje niezmordowanie od lat 20 na polu katechetyki, a w długim tym przeciągu czasu nie zaniedbał niczego, aby każde nowe wydanie mniejszych i większych jego katechizmów coraz było doskonalsze. Obecne wydanie „Przewodnika dla dzieci drugiej klasy szkół ludowych" zupełnie jest przerobionem, stosownie do uwag Rady szkolnej, na tle znanych wykładów katechetycznych ks. Schmitta. W przedmowie autor stanowczo oświadcza się za małym katechizmem Deharba, a przeciw katechizmowi bł. Kanizego, używanemu dotychczas we wszystkich dyecezyach galicyj-

skich, z wyjątkiem tarnowskiej. Trudno w takiej rzeczy z autorem polemizować, ale czy sąd ten nie jest za śmiały? Wszak z katechizmu Kanizego przez trzy wieki blisko uczyły się młode pokolenia Niemiec katolickich prawd wiary św., uczyła się ich i dziatwa polska w Galicyi przez wiek niemal cały, a nie można powiedzieć, żeby ich nie zrozumiała i nie umiała. Zbytnie popularyzowanie i unikanie definicyj ma także niemałe niekorzyści, a co się tyczy pewnych praktycznych niewygód, wynikających z tego, że w trzech dyecezyach uczą Kanizego, a w jednej Deharba, to niekorzyści te chyba przemawiałyby za wprowadzeniem katechizmu bł. Kanizego i do dyecezyi tarnowskiej. Mimo swych osobistych zapatrywań, autor o ile mógł, starał się „Przewodnik“ swój uczynić przystępnym i praktycznym dla wszystkich dyecezyj. Odpowiednio do godzin szkolnych, cała książka dzieli się na 80 lekcyj, z których część pewna przeznaczona na tak konieczne i niezbędne powtarzania. Każda lekcya kończy się praktycznem upomnieniem a często i krótką uwagą dla katechety. Niemniej i w samym ciągu lekcyi rozsiał autor praktyczne upomnienia i budujące przykłady, a w osobnych dodatkach ułatwił przygotowanie dzieci do pierwszej spowiedzi i komunii św. Jednej tylko rzeczy dobrze tu nie rozumiemy. Dla czego właśnie tylko „panienki wyższych stanów, które pod okiem czujnem dochowały niewinności serca“, mogą przystąpić dopiero w 13 r. życia do pierwszej komunii św., a inne dzieci przystępować powinny wcześniej? Przecież takie przedewszystkiem panienki łatwiej pojmą ważność komunii św. i w daleko wcześniejszym wieku: to zaś, że sąniewinne nie przeszkadza, ale owszem zachęca do przystąpienia wcześnie do Stołu pańskiego. Moraliści sądzą w ogóle (a nie „wyjątkowo“), że należy przypuszczać do komunii św. dziecko zaczynające rok dziesiąty, a zdanie to poparte jest powagą św. Tomasza, Alfonsa i Karola Boromeusza. Prawda, że w niektórych krajach wkradł się odmienny zwyczaj, ale inne pytanie, czy zwyczaj taki zgodnym jest z duchem Kościoła. *B.*

Książka do nabożeństwa na cześć Najśw. Maryi Panny nieustającej pomocy, z dodatkiem modlitw św. Alfonsa, tłumaczył *G. Rzegotta*. Królewska Huta.

Niema nic, coby równie wielką korzyść wiernym Chrystusowym zapewniało, jak książka do modlitwy, odpowiadająca pragnieniom ludu, nie wykraczająca po za sferę jego pojęć, głęboką tchnąca pobożnością. Taką książką obdarzył lud polski na Szląsku czcigodny tłumacz książki do nabożeństwa na cześć Najśw. Maryi Panny nieustającej pomocy.

Rozpada się na trzy działy. W pierwszym spotykamy się z historyą obrazu Najśw. Maryi Panny nieustającej pomocy, oraz z wymienieniem najgłówniejszych cudów, zdziałanych u stóp tego tak drogiego w Chrześcijaństwie obrazu. Modlitwy załączone prawdziwie rzewną tchną pobożnością ku pocieszycielce rodzaju ludzkiego we wszelkich potrzebach duchowych i cielesnych. W drugim dziale przedstawiają

się nam najwznioślejsze, ale zarazem najprostsze rozmyślania św. Alfonsa Liguorego, które według zdania mistrzów życia duchownego, najlepszą są szkołą dla ludzi wprawiających się w modlitwę wewnętrzną. Trzeci dział obejmuje pieśni kościelne, na wszystkie święta całego roku.

Jedna tylko usterka, która mimowoli wpada w oczy i razi każdego, jest niedokładna znajomość języka polskiego w tłumaczu. Nie znosi to istotnej wartości jego dzieła, nie dla literatury, tylko dla nabożeństwa przeznaczonego, lecz ujmuje z jego wdzięku. *W. D.*

Z dzieł historycznych.

Iwan Fedorowicz, drukarz ruski we Lwowie z końca XVI w. Ustęp z dziejów drukarstwa w Polsce, przez *Stanisława Ptaszyckiego*.. Kraków 1884. str. 43.

Dzieje pierwszych początków drukarstwa ściśle są złączone z dziejami współczesnej oświaty i literatury i rzucają na nie często bardzo ciekawe a niespodziewane światło. Szczegóły przechowane w archiwach lwowskich, o pobycie we Lwowie Fedorowicza, nie odznaczają się nadzwyczajnością, ale właśnie dlatego są cenniejsze, bo dają dokładny obraz zwykłych kłopotów i prac pierwszych drukarzy w Polsce. Fedorowicz wyuczywszy się w Moskwie sztuki drukarskiej od Duńczyka, niejakiego Missinheima, musiał później z niedość znanych powodów uciekać z Rosyi, dostał się szczęśliwie pod opiekę w. hetmana litewskiego Grzegorza Chodkiewicza, a następnie przeniósł się do Lwowa i tu przy pomocy głównie niższego duchowieństwa założył drukarnię na Podzamczu. Nie bardzo mu się wiodło, bo jedną, jedyną książką wydrukowaną we Lwowie był „Apostoł“; o innych przynajmniej książkach z drukarni Fedorowicza nie pozostało najmniejszego śladu. Po roku 1577 udał się prawdopodobnie nasz drukarz do Turcyi i Wołoszczyzny; w dwa lata później zjawił się znów we Lwowie, a następnie urządził nową drukarnię w Ostrogu, gdzie wydał Psałterz, Nowy Testament i znaną Biblię ostrogską. Po niejakim czasie znów widzimy wędrownego drukarza we Lwowie, a nawet tą razą w daleko lepszych warunkach, jak poprzednio. I teraz krzątał się koło nowej jakiejś pracy, ale zanim zdołał zamysły swe przeprowadzić, umarł r. 1583.

Po śmierci Fedorowicza, warsztat jego drukarski przeszedł pod opiekę lwowskiego władyki i w ten sposób stał się fundamentem dzisiejszej stauropigijalnej drukarni. Choćby z tego jednego względu opłaciło się wskrzesić tę mało znaną postać ruskiego drukarza we Lwowie przed trzema wiekami. *J. B.*

Pajol comte, général. Lesguerres sous Louis XV. Tome II. (1740—1748) *Allemagne*. Paris 1883.

Autor wyjaśnia przyczyny klęsk, jakie spadły na oręż francuski

w walce podjętej ze skonfederowanymi przeciw Maryi Teresie. Całą winę niepowodzenia zwala autor na błędy i złą wolą niemieckich sprzymierzeńców Francyi, a epilogiem tej dziejowej tragedyi mianuje ugodę wrocławską i pojednanie się młodego kurfürsta Bawaryi z Maryą Teresą. Zasługą autora, iż w dziele niniejszem, nie oszczędzając swoich, świadectwo prawdzie historycznej oddał.

R. O.

Das Tagebuch Kaisers Karls VII. aus der Zeit des oesterr. Erbfolgekrieges, nach dem Autograph herausg. von *K. Th. Heigel*. München. Rieger 1883.

Jestto dalszy ciąg pamiętników cesarza własną ręką pisanych, których część Häusser w źródłach do historyi Bawaryi i Niemiec w VIII. tomie ogłosił. Rękopis o 148 kartach fol. zatytułowany: Memoire sur la conduite que jai tenu depuis la mort de l'empereur Charles VI. et tout ce qui se passait à cet égard, jest dziś własnością biblioteki monachijskiej. Nie jestto jednolity pamiętnik, któryby w miarę następujących po sobie wypadków był spisywany; są tu listy, depesze, pojedyńcze fakta luźnie z sobą powiązane, częstokroć powtarzające się, iż nie tyle szukać nam wypada w tych dorywczo spisywanych zapiskach wyjaśnienia epoki, jak raczej szczegółów do osobistej cesarza charakterystyki. *R. O.*

Handloike Dr. phil. *Max.* Die lombardischen Städte unter der Herrschaft der Bischöfe und Entstehung der Communen. Berlin. Weber, 1883. (VII. 136. S. 8-o).

Rezultaty, do jakich doszedł Ficker w dziele swem: „Reichs und Rechtsgeschichte Italiens“, spowodowały autora powyższej książki do nowych poszukiwań i zastanowienia się nad powstaniem i rozwojem prawodawstwa lombardzkiego. W wielu poglądach różniąc się od swego poprzednika, zwłaszcza co do poszczególnych władz, jakie w ręku biskupich urzędników były, zatrzymuje się najdłużej nad skreśleniem powstania gmin na podstawie krytycznego aparatu.

R. O.

Bohdan Chmielnicki. Monografia historyczna *M. Kostomarowa*. 3 tomy. Wydanie czwarte, poprawione i uzupełnione. Petersburg 1884 r.

Monografie Kostomarowa cieszą się wielkiem uznaniem, czego dowodem liczne wydania niektórych z nich, jak „Bohdan Chmielnicki“ i „Stieńka Razin.“ Czwarte wydanie „Bohdana Chmielnickiego“ przyniosło wiele zmian, uzupełnień, mniejszych lub większych przeróbek, skutkiem ukazania się nowych źródeł, nieznanych poprzednio autorowi. Do takich należą: „Dyaryusz“ Stanisł. Oświęcima, pamiętniki Żyda Hannowera, współczesnego wypadkom, nareszcie wiadomości o moskiewskim soborze ziemskim z r. 1651, ogłoszone przez Ditiatina w „Ruskiej Myśli,“ na którym uchwalono przyłączenie Ukrainy do państwa moskiewskiego.

Sulima.

Z dzieł filozoficznych.

DER PANTHEISMUS. Gewürdigt durch Darlegung und Widerlegung von *G. M. Schüler*. Würzburg. Bucher. 1884. 2 M.

Na samym wstępie wspomina autor słowa nieśmiertelnego Piusa IX., że Kościół w obecnych czasach więcej niemal potrzebuje szermierzów pióra, aniżeli szermierzących na ambonie, lub w konfesyonale. Takiego dzielnego obrońcę prawd wiary i filozofii, miło nam powitać w szanownym autorze, który dał się już poznać światu od r. 1868 z całego szeregu pism przeciw ateizmowi i materyalizmowi wymierzonych. Praca jego niniejsza, w której występuje przeciw błędnej nauce panteizmu, jest jakby glosą, tłumaczącą, jak słusznie ojcowie soboru watykańskiego wycisnęli na panteizmie znamię obłędu rozumowego.

W czternastu odczytach rozbiera autor nowoczesny panteizm Spinozy, Fichtego, Schellinga i Hegla. Pierwszy odczyt poświęca zbadaniu filozoficznemu panteizmu i wykazuje, jak panteizm jednę tylko substancyę przypuszcza, identyfikując ją z substancyą bożą. Kilku dowodami zbija tę mrzonkę niemieckich filozofów, okazuje różnicę między panteizmem a materyalizmem, przedewszystkiem zaś podnosi teizm chrystyanizmu. Sześć następujących odczytów poświęca autor Spinozie, Fichtemu, Schellingowi, w dalszych zaś traktuje panteizm heglowski. W rozdziale ostatnim wykazuje, jak wielkie zniszczenie ta błędna teorya wprowadziła i wprowadzi jeszcze z czasem w życiu praktycznem. Prawda, że czasem w doborze słów, jak wiadomo, w filozofii tak wielką odgrywających rolę, autor nie zawsze jest szczęśliwym, w obec pracy jednak tak mozolnej i z taką sumiennością wykonanej, usterki te nikną zupełnie. Niema w autorze sztywnej uczoności, odstraszającej umysły, ale wieje z całej jego pracy jakiś wyższy nastrój, w całej pełni występujący we wspaniałej dykcyi.

W. D.

Z dzieł literackich.

FRIEDRICH LEOPOLD Graf zu Stolberg, von *Johann Janssen*. Freiburg in Breisgau str. 490.

W znanej szeroko „Historyi niemieckiego ludu," okazał Janssen po mistrzowsku z jakiego źródła wypłynęła reformacya; w obszernej biografii Stolberga okazuje, jak i pod jakimi wpływami protestanci dobrej wiary wracają zwolna do katolicyzmu. Biografia ta, osnuta przeważnie na listach i zwierzeniach samego Stolberga, jest wzorem tego rodzaju książek. Autora widzimy jak najmniej; za to z Stolbergiem obcujemy bez przerwy. On sam opisuje nam długą, siedmioletnią walkę, którą przebył przed swem nawróceniem. Straszliwy rozkład, jaki się od-

bywał w protestantyzmie ostrzegał go o jego pochodzeniu; a jedno z kazań Fenelona przekonało go o konieczności szukania prawdziwego Kościoła założonego przez Chrystusa. Stolberg uczył się, studyował wespół ze swą małżonką Ojców Kościoła, dekreta Soborów, polemiczne rozprawy, ale przedewszystkiem modlił się i prosił przyjaciół, aby mu modlitwami swemi wyjednali poznanie prawdy. Głównym kamieniem obrazy była dlań cześć świętych i relikwii, nauka o odpustach a ostatecznie dogmat o nieomylności Kościoła. Ale łaska boża usunęła i wyjaśniła mu i te trudności. 1 czerwca 1800 wrócił Stolberg wespół z swą małżonką na łono Kościoła katolickiego.

Odtąd religia stała się jedynem i najwyższem zadaniem pism jego naukowych. Pierwszym krokiem na tej drodze było przetłumaczenie dwóch pism św. Augustyna: „O prawdziwej religii i obyczajach Kościoła katolickiego"; głównem zaś dziełem w tym kierunku była pietnastotomowa „Historya religii Jezusa Chrystusa". Historya ta zawiera dzieje starego zakonu, rozszerzenie się chrześcijanizmu i dochodzi do soboru efeskiego w r. 430. Planem autora było wykazać, jak „wespół z rozwijającymi się losami ludzkości wedle niezmiennego zamierzenia Bożego, odsłaniał się jednocześnie ostateczny cel, dla którego Bóg stworzył człowieka". Stolberg pragnął zostawić nietylko pouczające, ale i budujące dzieło, a zamiaru tego dopiął najzupełniej. Prawie wszyscy znaczniejsi konwertyci niemieccy z tych czasów, zawdzięczali w znacznej części swe nawrócenie „Historyi" Stolberga.

Jako dobry Niemiec i katolik uważał Stolberg Napoleona za bicz boży, narzędzie illuminatów, które prędzej lub później sprawiedliwość Boża roztrzaska w kawałki. Tymczasem w rozprawie „O naszej mowie" przestrzegał i błagał swych rodaków, aby strzegli własnego języka, jak źrenicy oka, a nie kalali go cudzoziemczyzną. „Jeszcze teraz, pisał, zbierają się Niemcy razem, i plotą po francusku; jeszcze teraz Niemcy do Niemców, bracia do braci, rodzice do dzieci, żona do męża pisze po francusku. Czyż to nie znaczy wyrzekać się swoich, wyrzekać się siebie samego?". W chwili pierwszych pogromów Napoleona ułożył patryotyczne ody i wypracował „Życie Alfreda W." „aby podać młodzieży obraz prawdziwego króla bohatera, mędrca i prawodawcy". W podeszłym wieku pisał jeszcze „Dumania i rozmyślania nad Pismem św.", i „Książeczkę o miłości", a prace te umieli ocenić nietylko katolicy, ale i protestanci. Jeden tylko Voss w obrzydłym pamflecie obrzucił Stolberga błotem. Zamiast odpowiedzi, Stolberg prosił jeszcze na łożu śmiertelnem obecnych, aby modlili się za jego przeciwnika.

Biografię Stolberga czytamy jednem tchem. Co chwila przesuwają się tutaj najwznioślejsze myśli, ubrane w mistrzowską poetyczną formę. Nie dziw; w Stolbergu złączył się poeta z głębokim filozofem. Ale też nie mało potrzeba było sztuki, opartej na pewnem rozumnem zaparciu siebie, aby niczego nie uronić z tych skarbów, aby wziąść na siebie nie utworzenie, ale raczej uporządkowanie życiorysu Stol-

berga z materyałów zostawionych przez niego samego. I w tem to rozumnem a znakomicie przeprowadzonem zaparciu siebie, leży może największa zasługa Janssena przy utworzeniu niniejszej biografii.

X. A. Arndt.

POEZYE I DRAMATA. *Wacław Szymanowski* tomów pięć. Warszawa 1884.

Spora to wiązanka dramatów i poezyj, bo aż pięć tomów, a każdy tom liczy około 400 stronnic, ale pan Szymanowski zbyt dobrej — i nie bez słuszności — używa sławy, aby taka liczba tomów i stronnic mogła zniechęcić od uważnego przewertowania bodaj nawet od pierwszego do ostatniego wiersza. Pierwszy tom zawiera oryginalne poetyczne „Opowiadania“ i dzieli się znowu na pięć działów: „Niegdyś“, „Wczoraj“, „Dziś“, „Satyry“, „Różne“. Same te tytuły wskazują na treść pojedynczych działów, a tak uwalniają nas od dokładniejszego podania ich materyi, co zresztą przy takiej mnogości byłoby czystem niepodobieństwem. W dziale „Niegdyś“ szczególniejszą uwagę zwraca wiersz „Jawnogrzesznica“; również dobrym jest „Testament psa“; wielka tylko szkoda, że tak w tym wierszu, jak nieraz i w innych zbytne i nienaturalne przestawianie wyrazów przeszkadza płynności wiersza i utrudnia zrozumienie. Średniówka robi również częste psoty poecie, zwłaszcza w gawędach zbyt nieco przypominających gawędy Pola. Najlepszym, naszem zdaniem, jest dział „Dziś“. Poeta patrzeć musiał na nędzę, którą opisuje; podsłuchał łzy i narzekania biednej matki, widział tego „Chłopca z bruku“, który radby był się pożywić psią strawą. O wiele słabszym jest poeta w „Satyrach“ a takie np. „Bielmy“ mogły bez szkody dla nikogo pozostać w tece autora.

W drugim tomie mieszczą się przekłady głównie z Wiktora Hugo i Coppée'go. Dramat „Salon“, odznacza się myślą piękną, ale nie dość opracowany koniec psuje wrażenie. Obraz dramatyczny „Ostatnie chwile Kopernika“ i dramat „Michał Sędziwoj“ maluje dwie różne ambicye, niepohamowane dążenie do zrobienia czegoś wielkiego, co uszczęśliwi ród ludzki. Kopernik zrobiwszy nieśmiertelny wynalazek umiera z radości; w Sędziwoju żądza nauki walczy z płomieniejącą miłością, a długa ta walka między rozumem i sercem, między pychą i łaską, kończy się wreszcie słowami Sędziwoja, zamykającemi pięknie cały dramat: „Szczęsny, kto się modli!“ Walka między rozumem a sercem, przedmiot nigdy dość nie obrobiony, stanowi również tło komedyi nagrodzonej na konkursie warszawskim roku 1860: „Dzieje serca“. Wybornie wystudyowane są tu trzy różne charaktery: rozsądnego i poczciwego Karola, poetyzującego Adama i zbogaconego bankiera Gelda, maryonetki z wyuczonemi frazesami w ustach. Scena odbywa się w Warszawie i jest smutnym, choć niestety wiernym obrazem wielu ówczesnych salonów. Autor „Dziejów serca“ nie powinien był napisać „Posągu“. Sam nienaturalny pomysł postawienia żyjącej osoby na miejscu posągu, pomysł, na którym opiera się cała sztuka, kończy dramat, jak Deus ex machina, a ciągłe zabójstwa, sztylety i zdrady, mimo że odbywają

się w uprzywilejowanych w tym względzie Włoszech, wzniecają mimowoli przykre uczucie. Autor naśladował tu widocznie zbyt wiernie W. Hugo, odtwarzał nawet pojedyncze charaktery, nie myśląc o tem, że taki np. Beppo spowiadający się a jednocześnie zabijający jest czemś może effektownem, ale niemożliwem i nieestetycznem. „Ostatnia próba“ i scenicznie i moralnie bardzo jest słabą. Dwa ostatnie tomy zajmują tłumaczenia francuskich dramaturgów. Tłumaczenia to udatne i dlatego tembardziej żałować należy, że znalazła miejsce między niemi np. taka „Marion Delorme“ Wiktora Hugo, lub „Lizetka“, Musset'a. Treść niemoralna budzić zawsze powinna wstręt i nie da się okupić choćby największą pięknością formy.

Zato już ostatnia z tłumaczonych komedyj: „Mizantrop“ Molière'a godzi nas znowu z poetą i jest wskazówką, że zamyśla on jeszcze dobrze użyć swego talentu.

J. B.

Z Szwedzkiej Niwy, przekłady poetyczne Wawrzyńca hr. *Benzelstjerna Engeström.*

Węzły historyczne nie zrywają się łatwo. A choć stosunki Polski z Szwecyą częściej na polu bitwy się rozgrywały, aniżeli na pokojowej nawiązywały niwie, trudno nam zapomnieć, że Jagiellonka na szwedzkim zasiadała tronie, że z kolei trzech Wazów polskie dzierżyło berło, i że ostatni z Tęczyńskich miał poślubić północną królewnę. Nad te wspomnienia, jeden jeszcze węzeł nas łączy, wspólnych świętych patronów, których cześć, zaniechana w własnej ojczyźnie, u nas znalazła schronienie serdeczne. Wdzięczność należy się tym, którzy dawną odżywiając tradycyę zbliżają ku sobie dwa narody nie jedną pamiątką historyczną związane. Niemałą na tem polu zasługę położył w ostatnich latach Wawrzyniec hr. Benzelstjerna Engeström, zapoznając obie swe ojczyzny z właściwem każdej z nich piśmiennictwem. I oto z nową dziś ku nam wiązanką szwedzkich pieśni przychodzi. Nieznane nazwiska Wallina, Franzena i Stagneliusa, na skrzydłach pieśni ku nam płyną. Wszyscy trzej w bieżącym wieku dokonali życia. Pierwszy był arcybiskupem Upsali do r. 1839, drugi piastował także godność biskupią w swym kraju, żyjąc do r. 1847. Trzeci już w 1820 r. zgasł przedwcześnie. U wszystkich trzech nastrój religijno-mistyczny przemaga, przeważnie religijny u Wallina, który podjął Dawidową harfę, aby na szwedzki język psalmy tłómaczyć, więcej mistyczny u Stagneliusa, który w bałamutne nieraz zapuszcza się fantazye i mętne pojęcia gnostyczne stroi w czar poezyi. Najbardziej potoczny, domowy, rodzimy, to Franzen, „Słowik północy“, jak go nazwano. Hr. Engeström z każdego poety dobrał kilka charakterystycznych urywków, to gładkim oddając je wierszem, to piękną i poważną tłumacząc prozą. Uprzednia wiadomość o tych filarach poezyi szwedzkiej uzupełnia tę krasną wiązankę „Z Szwedzkiej niwy“, którą z rąk hr. Engeströma otrzymujemy.

M.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Leon XIII. i rządy Belgii i Szwajcaryi. — Kongresy katolickie. — Encyklika *Superiore anno.*

I po nasze czasy sprawdza się widoczny wpływ wyższy, boży na sprawy Kościoła i na osobę Namiestnika jego. Zbyt racyonalistyczny kierunek wiedzy ludzkiej, nauk i publicznego wychowania tak głęboko werznął się w społeczeństwa chrześcijańskie, że klasy wykształceńsze już niemal powszechnie gardziły różańcem, publicznemi procesyami i nabożeństwy, uważając je za przestarzałe średniowieczne zabytki, dobre może dzisiaj dla prostego gminu, dla dziadków i babek szpitalnych, ale dla ludzi myślących, zbyt monotonne i bez sensu albo zbyt ostentacyjne i dla tego wstrętne. A nietylko ustna ale i duchowa modlitwa stawała się coraz rzadszym objawem nawet wśród wierzących, i co w ślad zatem pójść musiało, chwiała się i słabła coraz bardziej wiara w nadnaturalny porządek i bezpośrednie wdanie się boże w sprawy ludzkie. Zdawałoby się, że wszystkie umysły zacniejsze wysiliły się na rozumową obronę wiary i nadanie tej wierze podstawy jak najbardziej racyonalnej, ludzkiej. Kierunek taki mógł się stać niebezpiecznym, prowadził bowiem nieznacznie lecz skutecznie do nagiego naturalizmu. Leon XIII., encykliką do biskupów a przez nich do świata katolickiego niedawno wydaną, nawołuje do odnowienia bractw trzeciej reguły św. Franciszka, któremi w XIII. i XIV. wieku objęte bywały wszystkie warstwy

społeczne od królów i książąt do wiejskiego chłopka, wskrzesza zapomniane wśród klas wykształceńszych nabożeństwo Różańca św., który po wszystkich świątyniach przez miesiąc cały publicznie odmawiać każe, a wyliczywszy niebezpieczeństwa grożące Kościołowi, wskazuje na pomoc z góry, która nie inaczej tylko modlitwą zdobyć się daje.

Wołania te Papieża i modlitwy katolickiego świata niebyły płonne. W ciągu roku jednego zniknęły jedne, zmniejszyły się drugie niebezpieczeństwa. Kościołowi katolickiemu w dyecezyach osieroconych przez lat kilkanaście, dany zastęp prawowitych biskupów a jakkolwiek skrępowana ich władza, jakkolwiek chwila próby i ucisku trwa dotąd, to jednak jest ktoś co broni, kto poucza i koło kogo skupić się może czeladka i lud wierny, aby ochronić to co najdroższe, wiarę i przekonania. W Belgii zwycięstwo sprawy bożej niemal cudowne. Masońskiemu ministerstwu Frére-Orbana, jedno sześciolecie zdało się za krótkie, aby wymierzone na podkopanie podwalin chrześcijańskich w tym kraju ciosy wykonać i nietylko prawodawcze izby i urzęda i subselia, ale i szkołę a przedewszystkiem rodzinę z wszelkiego charakteru chrześcijańskiego obedrzyć i na stopę masońską bezwyznaniową przerobić. Chcąc tedy władztwo swoje ubezpieczyć, postarało się to ministerstwo o przekształcenie ustawy wyborczej w ten sposób, że według jego rachuby, jeszcze przez drugie sześciolecie a może i trzecie i czwarte przy władzy pozostaćby powinno [1]. Stało się inaczej. Na podstawie ukutej przez masonów ustawy wyszła z urny wyborczej znaczna bo 31 głosów, większość katolickich posłów Frère-Orban runął a u steru spraw państwa stanął mąż przekonań katolickich hr. Malou, który i różaniec odmawia i ze świecą w ręku na publicznej procesyi kościelnej wystąpić się nie wstydzi. Oddalony wbrew prawu i zwyczajom dyploma-

[1] Zmiana ta polegała: 1^0 na wykluczeniu duchowieństwa od wyborów, 2^0 na podniesieniu census, 3^0 na żądaniu egzaminu od wyborców z czytania, pisania, historyi kraju i nauki „moralności ogólnej.“ Egzaminom przewodniczyły komisye złożone z urzędników komunalnych. Pokazało się, że dwie trzecie części katolickich wyborców złożyło żądany egzamin, podczas kiedy z stronnictwa liberałów tylko połowa mu podołała i stąd urosła większość izby katolickiej.

cyi nuncyusz papieski powraca do Brukseli, wychowanie chrześcijańskie odzyskuje dawną swobodę, a duchowieństwo swą powagę i znaczenie, resztki chrześcijańskiej rodziny ocalone, i znów w Europie rządzonej dewizą „siła przed prawem“, opartej na siedmiu milionach bagnetów a podminowanej trzema milionami sekciarzy masońskich, znajduje się państwo w zgodzie z Kościołem, gdzie wolno myśleć, mówić, działać jawnie po katolicku.

W Szwajcaryi, gdzie niby *in anima vili,* robiono pierwsze i może najcięższe eksperymenta kulturkampfu, dziś dwie osierocone dyecezye otrzymały swych prawowitych pasterzy, i właśnie w tej chwili toczą się w Bernie ugodowe układy między delegatem papieskim, a komisarzami Rady związkowej, które, da Bóg, pokój Kościołowi w Szwajcaryi zapewnią.

Spiritus Domini unus et multiplex. I w papiestwie widzimy jednego ducha w rozmaitych postaciach. Wielkiej pamięci Pius IX, który wstąpił na tron w całym blasku monarchy państwa kościelnego, a skończył długie swe rządy „więźniem w Watykanie“, przedstawiał światu niezłomność opoki Piotrowej i aż do zgonu swojem niezwyciężonem *non possumus* odpierał zamachy wrogów Kościoła. Leon XIII znów wyobraża missyę Papieża jako dobrego pasterza, który koi i przygarnia. Przyjąwszy tyarę, ujrzał on się odrazu „więźniem Watykanu“; a w państwach Europy kilkunastu biskupów wypędzonych z swych dyecezyi i kilkanaście milionów katolickiego ludu bez pasterzy: nie zawachał się na chwilę i jak pierwszy nawiązał przyjazne stosunki z cesarzami Niemiec i Rosyi, tak znów pierwszy chciał ułatwić katolickiemu rządowi Belgii powrót nuncyusza a republikanckim Szwajcarom, krzywo pastrzącym na to, że Stolica św. traktowała Genewę jako kraj *in partibus,* zamienił z własnej inicyatywy wikaryat genewski na biskupstwo miejscowe. Dzięki tej uprzejmości Lona XIII stało się, że Szwajcarya ma już dzisiaj swoich prawowitych biskupów, którzy z końcem sierpnia zjechali się na konferencyą do Lucerny, pod przewodnictwem sędziwego biskupa ks. Lachat, aby obmyśleć skuteczne środki do usunięcia szkód wyrządzonych kościołowi szwajcarskiemu kilkunastoletnią walką kulturną, a równocześnie katolickie stowarzyszenie Piusa, odprawia-

jące swój kongres w lucernskiem miasteczku Sursee, śle homagialne adresy do Leona XIII, protestując przeciw dawnym gwałtom i świeżemu zaborowi majątku Propagandy.

W Niemczech ostatnimi czasy, było kilka wspaniałych objawów katolickiego życia, które walką kulturną spotężniało jeszcze. W Fryburgu kongres stowarzyszenia imienia Goerresa (20-22 sierp.) liczył 638 uczestników. Stowarzyszenie to, nawiązane „dla szerzenia prawdziwej chrześcijańskiej nauki", ma na celu wykazać, że można dobrze pogodzić naukę i wiedzę ludzką z objawioną wiarą Bożą i jest wybornem lekarstwem na tę zarozumiałą uczoność niemiecką, która w epoce soboru watykańskiego i w prawodawstkie kulturnem Niemiec niemałą odegrała rolę.[1]

[1] Stowarzyszenie imienia Goerresa (ur. 1716+1830), założone w Kolonii w Grudniu 1871, w celu szerzenia dobrych pism ludowych, liczy obecnie 15 członków honorowych, 19 dożywotnich, 1720 zwyczajnych, rozporządza kapitałem 50.000 marek, a oprócz wielu rozpraw uczonych, jak np. Północne misye niemieckie w XVII i XVIII wieku. — Chrześcijańskie pojęcie historyi, przez ks. Dra. Hüplera — Św. Karol Boromeusz — ogłasza Rocznik historyczny, mający 751 prenumnratorów, udziela pieniężnego wsparcia uczonym. A oto też i ci uczeni towarzysze imienia Goerresa nie próżnują. I tak: Dr. Ehses przygotował w archiwach rzymskich wstęp do stosunków politycznych między Klemensem VII a Karolem V do r. 1530. Dr. Gottlob wykazał zabiegi rzymskich Papieży w celu przełamania potęgi tureckiej od 1453—1683 r. Dr. Reichling wydał monografią Marmelliusza, wyda niebawem drugą Ortwina Gratiusa.

Ostatni kongres fryburski przeznaczył 1500 marek na założenie podręcznej biblioteki dla historyków niemieckich przy Campo Santo w Rzymie, omawiano zaś na nim kwestye pełne doniosłości naukowo-religijnej. I tak: Dr. Bellesheim mówił o kardynale Allen, jednym z filarów katolickiego Kościoła w Anglii za panowania Elżbiety. Dr. Gottlob mówił o protokułach wizyt biskupa dalmackiego, Piotra Cedulini, który w r. 1580 jeździł po półwyspie bałkańskim. Ksiądz prob. dr. Mattes miał wykład wyjaśniający, że prawdziwa filozofia winna być poznaniem Boga, opierać się na objawieniu i rozwijać dyalektycznie. Profesor dr. Bach mówił o Holbacha „système de la nature", a ks. proboszcz dr. Braig o Lotzem i jego poglądach filozoficznych. Na posiedzeniu ogólno-naukowem, na które przyszedł najdostojniejszy ks. arcybiskup Orbitz, prof. Krieg mówił o pismach teologicznych Boecyusza, „ostatniego Rzymianina", tworzącego przejście od klasycyzmu do scholastyki średniowiecznej. Pod jego imieniem obiegają 5 opuscula sacra. Prelegent oświadcza się za

Stowarzyszenie „niemieckich katolików“ odbyło swój 31 kongres w bawarskiem miasteczku Amberg w gmachu kawalerów maltańskich, na którym stawili się tłumnie przedstawiciele wszystkich warstw z Austryi, Włoch, Belgii, Holandyi, Ameryki a w imieniu księstwa Poznańskiego poseł Zakrzewski. Przeszło 10.000 katolickiego ludu wzięło udział w uroczystej procesyi do bliskiej świątyni Mariahilfberg. Po trzechdniowych rozprawach uchwalono wysłać do Ojca św. adres homagialny oraz protest przeciw zaborowi Propagandy i urządzić po wielkich miastach Europy przytułki chrześcijańskie dla dziewcząt niemieckich, narażonych na utratę cnoty, a sekcya socyalno-polityczna przygotowała wykończony plan socyalnej reformy pod względem lichwy, przeciężenia gruntów i płacy robotniczej [1]. Omówiono przytem wszechstronnie obe-

autorstwem Boecyusza i obiecuje ogłosić wkrótce rezultaty swych poszukiwań. Po tej prelekcyi złożył prof. Hartling dzięki wszystkim obecnym za żywy udział, a nadewszystko najdostojniejszemu Arcypasterzowi, który wszystkim uczestnikom udzielił arcypasterskiego błogosławieństwa.

[1] Rozczytując się w protokole kongresu amberskiego, trudno nie podziwiać jego wybornej organizacyi. Zaraz na wstępie pierwszego zebrania publicznego wręczył wydział stowarzyszenia uczestnikom zjazdu szczegółowy program przedmiotów mających być omówionych na kongresie. Są one niemałej doniosłości socyalnej i religijnej:

1⁰ Założenie katolickiego stowarzyszenia robotnic, aby je uchronić przed niemoralnością publiczną, zaszczepić w nie prawdziwą pobożność i wychować je na dobre żony i matki.

2⁰ Stosując się do encykliki papieskiej „Humanum genus“ przeciw masonii, popierać całą siłą tworzenie się coraz to nowych stowarzyszeń robotniczych.

3⁰ Złożyć u stóp Ojca św. akt podziękowania za encyklikę „Humanum genus,“ zdzierającą maskę z sekt masońskich, „Petrus per Leonem locutus est.“

4⁰ Zaprosić Kawalerów maltańskich i św. Jerzego w Westfalii i Szląsku, aby zajęli się urządzeniem pielgrzymek katolickich do Rzymu i Jerozolimy. Na tę jesień wypadałoby urządzić pielgrzymkę do Medyolanu i Rzymu.

5⁰ Polecić przedewszystkiem ojcom i matkom popieranie „bractwa modlitwy dzieci katolickich Niemiec,“ w celu uproszenia jedności religijnej w niemieckim narodzie.

6⁰ Kongres piętnuje świeży zabór majątku Propagandy, jako dalszy ciąg gwałtów na Stolicy św. i Kościele dokonanych, jako dziką napaść (roher Eingriff) na wspaniałą cywilizacyjną działalność

cne stosunki kościelno-polityczne w Niemczech i położono nacisk na potrzebę solidarności katolików podczas nadchodzących wyborów do sejmu niemieckiego, aby tylu zwycięstwami wsławiona partya centrum z Windhorstem na czele, wzmogła się jeszcze liczbą i talentami. Podobny kongres katolików szląskich w poważnej cyfrze 4000 uczestników, zebrał się 9 września w Wrocławiu. Nie, już to katolikom niemieckim nie podobna odmówić nietylko wiary i głębokich przekonań, ale co w każdej walce niesłychanej jest wagi, mądrze obmyślanego programu i wytrwałości w działaniu.

Oto co pomyślnego w sprawach Kościoła z bieżących wypadków zaznaczyć możemy. Główne jednak złe i wszystkich utrapień Kościoła główne zatrute źródło trwa jeszcze; sekta masońska i jej bezwyznaniowym duchem owiany ustrój państwowy istnieje jeszcze w całej sile. I oto Leon XIII nową encykliką do episkopatu katolickiego z d. 30 sierpnia b. r. nawołuje świat katolicki do dalszej modlitwy i dalszej czci i uwielbienia Tej, która była zawsze i jest pogromicielką wszelkiej herezyi. *Agitur enim hic, de ardua ac magni momenti re, de inimico antiquo et va-*

Kościoła, jako nową obelgę dla Ojca św. i nowy dowód jego niewoli, i domaga się ponownie przywrócenia państwa kościelnego i niezawisłości Papieża.

7⁰ Kongres uważa za główny cel działalności katolików niemieckich, przywrócenie zupełnej wolności wyznania wiary katolickiej w Niemczech, i dla tego domaga się swobody w kościelnem wychowaniu kleru i powrotu wygnanych zakonnych zgromadzeń.

Tak więc zaraz na wstępie wiedział każdy, do czego zmierza, czego chce i domaga się Kongres. Po wyborze prezydenta (był nim br. Huene), viceprezydenta i sekretarzy jeneralnych, kongres podzielił się na siedm sekcyj: 1⁰ misye, 2⁰ dzieła miłosierdzia, 3⁰ sprawy socyalne, 4⁰ nauka i wiedza, 5⁰ prasa, 6⁰ szkoła, 7⁰ formalne i zewnętrzne sprawy.

Właściwe znaczenie i doniosłość zjazdu w uchwałach posiedzeń sekcyjnych. Istotnie też sekcya socyalno-polityczna wygotowała starannie wykończony plan reformy pod względem lichwy, zwolnienia od ciężarów gruntowych i zapłaty robotników. Na posiedzeniach publicznych przyjęto po krótkiej dyskusyi wnioski sekcyjnie odpowiednio do wspomnianego wyżej programu, za to na publicznych posiedzeniach d. 1 i 2 września omawiano obszernie, (zwłaszcza poseł Windhorst) obecne stosunki religijno polityczne w Niemczech i zachęcano się do solidarności w nadchodzących wyborach. Podobnej treści (mianowicie punkt 6 i 7) są uchwały szląskiego kongresu.

ferrimo in elata potentiae suae acie humiliando; de Ecclesiae ejusque Capitis libertate vindicanda; de iis conservandis tuendisque praesidiis in quibus conquiescere oportet securitatem et salutem humanae societatis. — „Rozchodzi się tu bowiem, odzywa się Ojciec św. o twardą i wielkiej wagi sprawę, o upokorzenie starego a przewrotnego wroga w wyniosłym szyku bojowym potęgi jego; o wywalczenie wolności dla Kościoła i Głowy jego, a ocalowanie i obronę tych warunków, na których spoczywać powinno bezpieczeństwo i całość ludzkiej społeczności. Starać się więc należy, aby w opłakanych tych dla Kościoła czasach święty zwyczaj odmawiania Różańca Panny Maryi pilnie i pobożnie był zachowany, tembardziej, że ten rodzaj modlitwy przypominający kolejno wszystkie zbawienia naszego tajemnice, dziwnie jest pomocny do spotęgowania ducha pobożności".

Trudno temu nawoływaniu papieskiemu nie dać posłuchu. Niech koryfeusze loży masońskiej i sternicy bezwyznaniowych rządów ufają potędze przewrotnego rozumu i sile milionowych armij; Ojciec św., a z nim cała ona wielka rzeczpospolita chrześcijańska, zawierzył potędze modlitwy i pomocy Maryi. Zobaczymy po czyjej stronie wygrana. Są zwycięstwa, które się stają klęską dla zwycięzcy; niechże nas więc nie straszą i o małoduszność nie przyprawią chwilowe tryumfy loży i bezwyznaniowych mocarzy — wcześniej później sprawa boża wyjdzie zwycięzko.

X. Stanisław Załęski.

Listy z Irlandyi.

(Dokończenie.)

III.

O ile obcym jest rząd angielski w Irlandyi. — Kim są oranżyści i co w Irlandyi robią. — Stosunek ludu do organizacyi konstytucyjnych i tajnych, wywierających nań swój nacisk. — Organizacya plemienia Gaelów (Clan na Gael). — Fenianizm Rossy. — Stosunek duchowieństwa w obec ludu. — Krótkie streszczenie rzeczy, odnoszącej się do stanu sprawy narodu irlandzkiego.

Rząd angielski w Irlandyi jest w istocie rządem obcym, cudzoziemskim. Anglicy i turyści temu nie wierzą; bo najprzód

Irlandyi nie odwiedzają, a zresztą wiedzą i przekonać się mogą, że język panuje wszędzie angielski, te same wojska, ta sama policya, też same trybunały, taż obiega moneta, też same egzystują spółki kolei żelaznych, statków, fiakrów i omnibusów, tak samo używa się sportu, a ludzie przyzwoici o tej samej godzinie co w Anglii, piją herbatę i siadają do obiadu. Po za tą analogią, którą spostrzega Anglik odwiedzający swoich, lub turysta skazany na życie po hotelach i oberżach; po za tem społeczeństwem, które przyjmuje gościa, jest lud... o którym tyle się tylko mówi, że chodzi w łachmanach, mieszka wspólnie z trzodą, upija się, jest dowcipny, zabobonny i kłamliwy.

Na czele irlandzkiego rządu stoi lord namiestnik, Anglik, z generalnym sekretarzem (pierwszym niejako ministrem) Anglikiem. Na dwóch tych dygnitarzach, rzadko przychylnie usposobionych [1], spoczywa cały ciężar administracyi kraju prawnej, cywilnej i wojskowej. Nie tak rządzona jest Anglia, ani Szkocya! Minister irlandzki nie jest odpowiedzialny przed narodem. Niema więc już rządu wolnego, autonomistycznego, jakim się chełpi Anglia, i jakiego daje przykład światu. Minister irlandzki nie jest odpowiedzialny przed r z ą d z o n y m i, lecz przed r z ą d z ą c y m i, tj. przed parlamentem, w którym lud irlandzki nie ma głosu, a który według słów Chamberlain'a, mniej ma pojęcia o Irlandyi, niż o N. Zelandyi!... „Zamek dubliński rządzi krajem, lecz oranżyści rządzą zamkiem“ — oto odpowiedź na zapytanie, jakiego rodzaju jest rząd w Irlandyi. Któż to są ci oranżyści i cóż oni robią?

Mam pod ręką parlamentarną broszurę posła irlandzkiego, p. Healy [2], wydaną przed kilku miesiącami, zawierającą deklaracye, manifesty i wezwania do broni przeciw katolikom i parnellistom, ogłoszone przez loże oranżystów irlandzkich, podpisane przez ich wielkich mistrzów. Niektóre z deklaracyi wartoby, gdyby miejsce pozwalało, zacytować, dla tym lepszego zrozumie-

[1] Dawno nie miała Irlandya ministrów tak umiarkowanych i przychylnych, jak w obecnym wicekrólu, hr. Spencerze i gen. sekretarzu p. Trevelyanie. Ale i ci zupełnie ulegać muszą oranżystom!

[2] Loyalty plus Murder. — By T. M. Healy, M. P. — Dublin, 1884.

nia dążności i taktyki tych, którzy są pośrednio panami w kraju; ale wystarczą nagłówki: „Wyzwanie Rzymu!“ — „Korona w niebezpieczeństwie!“ — „Za biblią i dynastyą!“ — „Precz z Parnellem i jego morderczymi rzeźnikami!“ — „Precz z Niezwyciężonymi w parlamencie i w Ulster!“ — „Autonomia i Dynamit. Baczność!“

Oranżyści, tak zwani od swego powstania, za czasów Wilhelma III. (orańskiego), rekrutują się pomiędzy wyższemi warstwami kolonialnego protestantyzmu. Obrali sobie za hasło najprzód: „Śmierć papiestwu w Irlandyi!“ Później, mianowicie po emancypacyi katolików, zmienili je na: „Walka na śmierć przeciwko katolikom!“ Nareszcie w ostatnich czasach, po ustawie agramy i w skutek wzmagającej się po kraju organizacyi narodowej, na sztandarze swym wypisali: „Lojalność przeciwko Anarchii!“ i pod tym sztandarem zgromadzają obecnie protestantów w pierwszym szeregu, dalej właścicieli ziemskich, którym liga agrarna i ustawa p. Gladstone'a zmniejszyły dochody, wreszcie całą arystokracyą anglo-irlandzką, która z trwogą patrzy na postęp autonomistów narodowych. Oranżyści stanowią stowarzyszenie tajne, a jako takie, egzystujące wbrew prawu. Jednakże tak jest potężny wpływ ich, że rząd królowej, i najwyższa juryzdykcya kanclerska dotąd organizacyi ich nie zniosły! Oranżyści zapisują wszystkie naczelne urzędy w wydziałach administracyjnych na zamku dublińskim, starannie czuwając, by żaden z podwładnych nie miał sympatyi politycznych innych, jak te, które otwierają łaski i promocye. Oranżyści jedynie zasiadają w radzie namiestnika *(Privy Conncil)* i oni wyłącznie stanowią nić komunikacyjną, pomiędzy zamkiem i hrabstwami. Oranżyści tylko otrzymują urzędy namiestników i wice-namiestników hrabstw, nawet większość sędziów trybunałów królewskich złożona jest z dygnitarzy lóż, a olbrzymia większość sędziów pokoju okręgów prowincyonalnych należy do związku! Tym sposobem rząd centralny i prowincyonalny, administracya cywilna we wszystkich wydziałach, nawet wymiar sprawiedliwości, pozostają w ręku potężnej organizacyi, przedstawiającej religię państwową, inteligencyę kraju, arystokracyę, interes ziemiaństwa kolonialnego, działa-

jącej w imię lojalności do tronu, w imię unii cesarskiej... przeciwko agitacyi „papieżników“ i „separatystów!“

Czyż potrzeba teraz, abym wykazał, jakiemi sposobami działa liga oranżystowska, jaki nacisk wywiera na najlepiej nawet usposobionych mężów stanu, jak zbrodniczo wyzyskuje nieznajomość spraw irlandzkich, w parlemencie angielskim, jak wpływa nawet na prasę europejską, aż nadto skorą do podnoszenia żakowskich krzyków przeciw katolicyzmowi! Dumni w swej socyalnej wyższości nad celto-galickim narodem, oranżyści nie dozwolą Anglikom uczciwym przejrzeć przez tę zasłonę. Nie będę tu wymieniał zbrodniczych czynów, jakich się dopuściły loże w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy; pisałem o nich w gazetach w swoim czasie, a nie chciano wierzyć, aby rząd, posiadający dyskrecyonalną władzę repressyjną ustaw koercyjnych, patrząc przez szpary na bezprawia, popełniane w imieniu lojalności przeciwko wolnym i spokojnym poddanym korony; kiedy daleko słabsze i mniej szkodliwe objawy gwałtowności pomiędzy konstytucyjnie egzystującemi związkami narodowymi karcone były więzieniem i grzywnami! Cóż rząd odpowiedział na interpelacye posła Healy, rzucając na stół izby poselskiej kondemnatę oranżystów, według ich własnych, publicznych, niezaprzeczonych dokumentów? Rząd liberalny p. Gladstone'a, najprzychylniejszy ze wszystkich poprzednich sprawie narodowej irlandzkiej, że: „w wice królu pokłada zajzupełniejsze zaufanie!“ Cóż odparł interpelantom irlandzkim minister, p. Trevelyan? że: pożałowania godne zajścia skłoniły lorda Spencera do... rozpoczęcia ankiety i do tymczasowego zawieszenia lorda Rossmore (jednego z najgwałtowniejszych naczelników demonstracyi) w urzędzie sędziego pokoju!“ Oranżyści zaprotestowali. Wspomniana broszura wymienia nazwiska kilku tysięcy sędziów pokoju, którzy podpisali manifest, protestujący przeciwko akcyi wice-króla. Lord Rossmore przyjmowany był z owacyami w Ulsterze; do ankiety nie przyszło, postarali się o to „bracia“ w zamku!

Owe krwawe demonstracye oranżystów na północy spowodowała uzasadniona obawa, aby agitacya i wpływ autonomistów nie przedarły się do Ulsteru, która to prowincya była dotąd najsilniejszą warownią protestantyzmu i arsenałem warstw anty-na-

rodowych. I ta właśnie okoliczność dowodzi wymownie, że potrzeba reform agraryjnych i administracyjnych, jako też pragnienie autonomii, daje się czuć na północy pomiędzy ludnością szkocko i irlandzko-prezbyteryańską. W roku ubiegłym upadła pierwsza twierdza: wyborcy miasta Monaghan oddali mandat poselski parnelliście, panu Healy. Zaczem postanowiła liga narodowa głos swój podnieść pomiędzy rolnikami, rybakami i przemysłowcami Ulsteru i przygotować arenę do zbliżającej się walki generalnych wyborów. Wolność słowa i zgromadzeń politycznych, chluba Anglii, pozwalała im to uczynić. Ale nie pozwoliły loże. Loże powołały „braci“, sprowadziły ogromnym kosztem z odległych obwodów i uzbroiły przeciwko wolnym poddanym jednego berła, w imię lojalności, całości imperium i w imię religii! Czyż i w tem nie dowód poczucia, że się broni sprawy niesłusznej przeciwko głosowi prawdy?

I czy można dziwić się, że uczucie nienawiści rasowej i religijnej jest dotąd przewodnią ideą życia ludu irlandzkiego, że mu to uczucie nie pozwala wierzyć w szczerość rządu krajowego, której śladu się dopatrzeć nie może, ani w szczerość rządu królewskiego, wyśmianą i wyszydzoną w samychże kołach zamkowych!

Powiedziałem wyżej, że usposobienie i wyobraźnia celtów gaelickich w Irlandyi, staje na przeszkodzie polityce pojednawczej z W. Brytanią. Tu więc pora rozpatrzyć się, jaki jest stosunek ludu do organizacyi konstytucyjnych i tajnych, które wywierają nań swój nacisk.

Pod nazwą „fenianizmu“, znamy te liczne bardzo związki sekretne irlandzkie i irlandzko-amerykańskie, jakie się wyrodziły z pierwszej wielkiej organizacyi „Bractwa feniańskiego irlandzkich republikanów“. Organizacya ta początek swój wzięła w Stanach Zjednoczonych. Idea jej powstała już na początku bieżącego stulecia, gdy sroga represya rządu angielskiego i duch rewolucyjny po nieudanem powstaniu r. 1798 zmusiły organizatorów szukać schronienia po tamtej stronie Atlantyku. W ciągu wojny o niepodległość Stanów i następnie formowały się w północnej Ame-

[1] 1883, 10. października. — Healy.

ryce legiony ochotników irlandzkich, którym chodziło głównie o to, aby patryotom w ojczyźnie dać możność zbrojnego uderzenia na Anglią w tej właśnie chwili, kiedy lew brytański zmuszony będzie całą siłę zwrócić przeciwko nieprzyjacielowi na drugiej półkuli. Legiony walczyły dzielnie o niepodległość kolonii; wodzowie ich tylko utrzymywali stosunki tajemne z związkami „chłopców“ irlandzkich. Stopniowo więc, między organizacyą zbrojną a związkami nastąpiło porozumienie. Gdy jednak plany naczelne rozwiały się i rozbiły, kiedy powstanie Emneta odkryło, że lud nie był zdolny do poważniejszej strategii, a legiony przestały mieć racyą bytu w Ameryce, ciż sami wodzowie uorganizowali pomiędzy ziomkami stowarzyszenie tajne, mające zbrojno czekać wszelkiej awanturnej (w Kanadzie) interwencyi. Stowarzyszenie przejęło nazwę historyczną legionów[1] i porozumiało się z krajem, a raczej z związkami. Oprócz tego, o praktycznej działalności „Bractwa fenianów“ nic dzisiaj nie wiadomo; nie znany nam nawet skład jego wewnętrzny. Rok 1848 dopiero znacznie zmodyfikował myśl przewodnią stowarzyszenia; nieszczęśliwa rewolucya Mitchell'a i jego kolegów podała fenianom myśl przeniesienia głównego sztabu do Irlandyi; napotkali tu jednakże na energiczny opór duchowieństwa.

Rok 1864 był świadkiem największej rewolucyi feniańskiej. Rząd, który był tajemnie poinformowany o planach powstania, zdołał uprzedzić rozlanie się jego po wszystkich hrabstwach wyspy. Rewolucya ta była największą dlatego, że lud w nią uwierzył, i wbrew napomnieniom duchowieństwa, z nią się zjednoczył. Uśmierzenie rewolucyi w samym wybuchu, zamknięcie w więzieniach angielskich i w kryminalnych osadach zamorskich naczelników ruchu, a głównie przekonanie, że siłą zbrojną niepodobna zmusić rządu do ustępstw radykalnych, wreszcie i żal do ducho-

[1] Pomiędzy naczelnikami ludu irlandzkiego w wieku III. po Chr., za panowania króla Cairbre Liffeachair, byli dwaj wodzowie wojska narodowego, zwanego milicyą ludu (Fiannaa Eirinn), sławnego w tylu pieśniach. Jeden z nich, Oisin (Osyan bard), zdołał schronić się do Szkocyi, po bitwie pod Habhza. Drugi Finn Mac Cum Hal poległ w boju. Obaj wojownicy wrócić mają do Erynu w dzień ostatecznej walki z wrogami, która zakończy się tryumfem gaelów. Fenianie wzięli swą nazwę z tej tradycyi.

wieństwa, wszystko to sprowadziło rozkład wielkiego związku amerykańsko-irlandzkiego na dwie zupełnie od siebie odrębne części: jedna konserwatywna, że tak powiem, wróciła do idei przedrewolucyjnej i, zbierając zasoby materyalne, postanowiła czekać na rozwój wypadków, a tymczasowo wspierać i przygarniać do siebie wychodźców z kraju, ofiary agitacyi i innych klęsk grasujących w ojczyźnie. Obecnie pod nazwą plemienia Gaelów *(Clan na Gael)*, organizacya ta liczy około dwóch milionów, nie wiążących się żadnym kodeksem tajnym; dba ona głównie o rozwój materyalny i moralny kraju, poświęca się wiele dla ojczyzny, i wierna tradycyom religijnym kraju, stanowi najpracowitszą i najbardziej poważaną klasę w ludności Stanów. Druga organizacya, podzielona na liczne sub-komisye, z których każda starała się wystąpić na widownią mniej więcej niezależnie od reszty, zerwała wszelką łączność z narodem irlandzkim w ogóle, o ile naród, jako taki, wyprzeć się jej musiał i przyjęła za hasło: Walka na śmierć społeczeństwu brytańskiemu! Jednym z koryfeuszów i najzacieklejszych instygatorów jej jest O'Donovau Rossa, którego cierpienia moralne i fizyczne w kazamatach angielskich po r. 1864 tak podobno były okropne, że odzyskana ucieczką wolność znalazła w nim fanatycznego potwora! O'Donovau Rossa jest duszą tajnych związków, które przeraziły świat cały okropnością swych zbrodni, a w chwili obecnej są grozą zarówno Anglii jak Irlandyi. „Niezwyciężeni“ — „Szermierze“ — „Dynamitardzi“ i inni pogrążyli Irlandyę, w latach ostatnich, w otchłań anarchizmu. Oni to wstąpili w związki tajne ludowe („chłopców“ — „Księżycowych“ [1] i t. p.), kierując je ku zbrodniom. Oni to sprawili, że oranżyści, zawsze gorliwi, gdy chodzi o rozszerzenie organizacyi prawnej agitacyi, rzucili na lud irlandzki i na jego reprezentacyą polityczną anatemat socyalny. Fenianizm Rossy z tego względu jest najniebezpieczniejszym, że przenika okolice kraju, w których ucisk landlordyzmu i nędza zaślepiają lud ginący z głodu; że przemawia przez usta nieświadomych jego wpływu związków ludowych; że sprawia, iż w okropnej matni sympatyi ludu i jego nienawiści, jego potrzeb, dą-

[1] Moonlighters, powstali w r. 1882, w hrabstwie Cork.

żności i celów, w chaotycznem nieporozumieniu i niemożności „zoryentowania się“ pomiędzy tylu organizacyami, pozornie pokrewnemi sobie, samemu duchowieństwu niezmiernie dziś trudno czuwać nad czystością i prawością polityczną i społeczną wiernych.

Prosić muszę czytelnika o cierpliwość i wyrozumiałość. Zdaje mi się, że przekraczam rozmiary swego zadania, a z drugiej strony, pragnąłbym się z niego wywiązać gruntowo. Jednakże czuję, że ta właśnie kwestya stosunku ludu irlandzkiego do fenianizmu, ile jest najdonośniejszą może dzisiaj, o tyle jest najtrudniejszą do wyłożenia. Przychodzi mi tu mówić o stanowisku duchowieństwa w obec ludu, targanego w dwa kierunki. Wyjaśniwszy to, postaram się w kilku słowach zaznaczyć aktualną pozycyę ludu w obec fenianizmu.

Prasa angielska pisała niedawno o „grożącej schyzmie“ większej części duchowieństwa katolickiego w Irlandyi, począwszy od Głowy Kościoła; wiedziona przez oranżystów, a zatem nie rozumiejąca sprawy irlandzkiej, w taki sposób przedstawia stanowisko kapłana irlandzkiego pomiędzy p. Parnell'em, Rossą i ludem, że nie zabrakło organów katolickich w Europie, które lament podniosły na widok... „tego, co się dzieje!“

Cóż się działo. Naród (mówię wyraźnie n a r ó d, nie koterye) postanowił złożyć p. Parnellowi trybut wdzięczności, w formie wynagrodzenia pieniężnego za straty materyalne, jakie był poniósł w pracy parlamentarnej. Koterye szarlataneryi politycznej, których przywódzców znam osobiście, obiecywały sobie kęs jakiś z olbrzymich składek publicznych; koterye te ogłosiły, że „grosz złożony przez jednostki będzie miarą ich patryotyzmu“. Duchowieństwo niektórych dyecezyi zdanie to powtórzyło, to prawda, ale jak mi kapłan jeden powiedział: „Lepiej, ażeby lud dał Parnellowi, aniżeli szynkarzom!“ Duchowieństwo otrzymało z Rzymu przestrogę, i od udziału w ruchu składkowym cofnęło się natychmiast. Oto naga prawda tego, co się działo. Lecz oranżyści nie zadowolnili się przesadzeniem wrzekomych nieporozumień pomiędzy prałatami irlandzkimi. Korzystając dotąd z niejasnej misyi p. Eringtona w Rzymie, ogłosili i rozpisali, że rząd powinien wpłynąć na Stolicę św., aby ta zakazała kapłanom wstępować

na publiczne trybuny, znajdować się na zgromadzeniach agitacyjnych — słowem: „mięszać się do polityki!“

Do polityki!... Kapłan irlandzki stać musi na straży interesów moralnych ludu, z którego wyszedł i którego jest jedynym przewodnikiem. Przeszłość tak go z nim związała, że — lud niezłudzony rewolucyonizmem — jego się rady pyta (a pytać się nie ma kogo innego), na każdym kroku w życiu nawet „politycznem“. Cóżby się stało z ludem, tak jeszcze ciemnym, a tak zbolałym, tak krewkim, a tak wrogim brytanizmowi, dokądby zaszedł, gdyby go nie strzegli ci, którzy go odrodzili, którzy kierowali pierwszemi jego krokami i patrzeli na wzrost i rozwój jego? Kiedy p. Parnell ujął przywództwo obu organizacyj agitacyjnych i rozszerzył plany ligi agraryjnej, oczekując, aby naród cały z nią się połączył, lud oczekiwał decyzyi kapłanów. Tak popularny mąż, jak Parnell poznał, że bez aprobaty duchowieństwa marnemiby były wszelkie jego i ligi nadzieje. Parnell, protestant, ukląkł przed arcybiskupem Cashelskim i przed nim złożył plan organizacyi.

W społeczności ucywilizowanej moralnie rozwiniętej, możnaby wierzyć, że słowo Boże i zmysł moralny zachowa ją od wpływów, nawet tak potężnych i tak rozmaitemi przekradających się ścieżkami, jak te co nurtują pośród ludu irlandzkiego. Ale wśród napół dzikich mieszkańców hrabstw południowych i zachodnich, z fenianizmem z jednej strony, z podstępnym i niesumiennym systemem oranżystów z drugiej, kapłan celtycki dwojaką ma za dni naszych misyą.

Naród irlandzki wyklina rewolucyonizm feniański, brzydzi się nim i do wytępienia go ochotną przykłada rękę. Ale, wielkie masy ludu, szczególniej na południu i na zachodzie, chociaż się z nim nie łączą, chociaż się wzdrygają na widok zbrodni jego, przecież go ani potępiają, ani, w danej okoliczności, zdradzają. Stąd oszczerstwo olbrzymie, rzucone przez oranżystów i Anglią na naród cały. Stąd również bezkarna śmiałość, z jaką tajna agitacya nie przestaje demoralizować ludu[1].

---

[1] Słyszymy dzisiaj, że p. Stephens, naczelnik ruchu feniańskiego z r. 1864 rozwinął plan nowy zaprowadzenia republiki, nie-

Pozostaje nam uprzytomnić sobie jednym rzutem oka cały stan sprawy narodu irlandzkiego.

Ostateczne załatwienie jej jest dzisiaj jeszcze niemożliwe. Bo albo ono znaczy zupełną asymilacyę kraju z Anglią, albo ustępstwa rządu, któreby ukonstytuowały Irlandyą na wzór Kanady lub Węgier. Pierwszemu stoją na przeszkodzie absolutne niepodobieństwa, mające związek z przeszłością, z charakterem ludu i mianowicie z temi ogromnemi trudnościami kwestyi agraryjnej i administracyjnej, jakich żaden parlament pozakrajowy, choćby najlepiej usposobiony, podjąć nie mógł. Wobec spraw angielskich, szkockich i kolonialnych, wobec interesów stronnictw, parlament westminsterski nie ma czasu, by zająć się interesem kilkunastu członków izby. Do zupełnej autonomii w kraju nie dopuszczą przedewszystkiem oranżyści i właściciele ziemi irlandzkiej, bo autonomia w dzisiejszych warunkach konstytucyi politycznej i ekonomicznej wyspy znaczyłaby rząd narodowy, ten zaś nie wahałby się przeprowadzić swój program w zupełności, z ruiną tak jednych, jak drugich. Jeżeli jednak naród zdoła się ochronić od wpływów anarchicznych, jeżeli w pracy i skupieniu (jakie objawia obecnie) szukać będzie sił moralnej żywotności, to wątpić nie można, że wyrastająca każdorocznie liczba narodowych reprezentantów w izbie, mogąca nawet sparaliżować prawodawstwo stronnictw brytańskich, zmusi parlament, przewagą swej niezawisłości, do zerwania unii z r. 1800 i do przywrócenia wolnego rządu parlamentarnego w Irlandyi. Rozumiemy teraz zaciekłość tych, którzy od trzech wieków są praktycznie arbitrami kraju, oranżystów na północy i właścicieli ziemskich; rozumiemy dlaczego w imię lojalności, unii i supremacyi religijnej bronią kraj od zalewu agitacyi narodowej. Lecz z postępów, jakie dzisiejsza liga narodowa pp. Parnella i Davitta czyni nawet w Ulsterze, wnioskować możemy, że zastęp posłów narodowych, który przed trzema laty liczył dwudziestu, a dziś liczy trzydziestu pięciu członków, dojdzie do liczby siedmdziesię-

---

tylko w Irlandyi, ale nawet w Anglii. Oświadcza jednakże, że stanowczo wyłączył z planu wszelkie środki gwałtowne. Podobno sam O'Donovau Rossa zgodził się na myśl ex-dyktatora fenianów.

ciu przy najbliższych wyborach. Partya wtedy narodowa owładnie parlament w sposób bardzo prosty: głosować będzie przeciwko jakiemubądź gabinetowi w kwestyach nieirlandzkich tak długo, dopóki wciąż dręczeni wyborcy brytańscy sami nie oświadczą się za przeniesieniem jej do Dublina. Widzieliśmy niedawno, jak głos tej partyi, w kwestyi Sudanu dzisiaj już o mało nie strącił większości ministeryalnej, i nie zmusił gabinetu Gladstona do ustąpienia. Cóż poczną stronnictwa, gdy siłę swej reprezentacyi zdwoją wyborcy irlandzcy, a dziś jest to już absolutną pewnością?

Z pracy niniejszej musiałem pominąć obecny rozbiór stanu materyalnego Irlandyi. Dziwnie chaotyczny nacisk tylu z sobą walczących pierwiastków, które należało każden z osobna przedstawić i wprowadzić, nie pozwolił mi wspomnieć o przymusowej emigracyi ludu, o bezwładności ostatniej ustawy agrarnej wobec setek tysięcy podań o rewizye kontraktów farmerskich, o t. zw. „absenteizmie," tj. radykalnem złem, jakie sprowadzają wielcy właściciele ziemscy, żyjący w W. Brytanii, a ściągający blisko 100 milionów funtów szterlingów rocznie, bez najmniejszej dla kraju, który je pracą przysparza, korzyści! Nie poruszyłem kwestyi ulepszeń ziemi, za które jedynem wynagrodzeniem farmera jest podwyższenie czynszu dzierżawnego. Nie wspomniałem o zawikłanych stosunkach przemysłu irlandzkiego do uciskającej go i gnębiącej antinarodową administracyą hegemonii przemysłu brytańskiego. Wszystkie te sprawy zajmują dzisiejszą ligę narodową, używającą nieograniczonego zaufania ludu. Sprawa oświaty narodowej we wszystkich gałęziach spoczywa w ręku i pod opieką niezmordowanego w pracy i poświęceniu duchowieństwa.

Dzieje Irlandyi w trzech ostatnich wiekach są zagadką historyografii spekulacyjnej, zwanej „ściśle naukową." Życie i odrodzenie się, nawet polityczne narodu, liczebnie tak mało znaczącego, nad którym tak się znęcała potęga jednego mocarstwa, wprawia w zdumienie tych, co zapominają, iż się on oparł o swą religijną wiarę, o jej czystość i jej Bożą siłę. W tej wierze i z tą siłą naród celtycko-irlandzki „zachował pierś swą całą" — serce, siedlisko pełnego życia.

Londyn, w maju.

E. N.

Z Wiednia.

Ustawa przemysłowa w Radzie państwa. — Żądania katolicko-konserwatywnej partyi. — Punkt 96 artykułu VI-go.

Najważniejszym wypadkiem ostatnich czasów jest bez wątpienia przyjęcie szóstego artykułu ustawy przemysłowej przez Radę państwa. Jakkolwiek katolicko-konserwatywni zwolennicy socyalnej reformy niekoniecznie są zadowoleni osiągniętymi rezultatami, albowiem ich słusznym żądaniom tylko w małej cząstce stało się zadosyć, to przecież dziękują Bogu, że przynajmniej konieczność obrony pracy przed wyzyskującym ją kapitałem, zasadniczo przez Radę państwa i rząd uznaną została. Spodziewać się należy, że Izba panów, która na ostatniem posiedzeniu VI-go artykułu ustawy przemysłowej przedyskutować już nie mogła, na następnej kadencyi nie przyjmie takowego bez odpowiednich zmian i poprawek. A teraz niech mi wolno będzie zestawić pierwotne żądania katolicko-konserwatywnej partyi i motywa tychże.

Często powtarzające się zmowy robotników w przemysłowych okolicach Austryi, szerzenie się chorób w skutek głodu, zwiększająca się z dniem każdym dla braku sił niezdolność młodzieży do służby wojskowej w tych obwodach, niemniej rozruchy robotników i rozpasanie się rewolucyjnych żywiołów — wszystko to zwróciło oddawna uwagę szczególniejszą konserwatywnych polityków na tę znaczną część ludności, trudniącą się wyrobem płodów przemysłowych po fabrykach i rękodzielniach. Dowiedziono, że większa część tych robotników za prawdziwie „głodową zapłatę“ pracuje dziennie 14 do 18, ba, nawet do 20 godzin, często bez względu na niedziele i święta; że tania praca kobiet i dzieci w zastraszający sposób wypiera droższą pracę mężczyzn, i że tym sposobem niszczeją rodziny robotników. Ze zdziwieniem zauważono, że robotnicy w pewnych porach roku, lub podczas złego odbytu towarów, zostają bez wszelkiego zajęcia i z głodu umierają, kiedyindziej zaś przeciążeni bywają pracą. Ze zgrozą sprawdzono, jak w tej klasie społeczeństwa rozgospodarowała się demoralizacya, ateuszóstwo, niezadowolenie, że ci ludzie w skutek wymuszonej pracy w dnie

świąteczne odstrychnęli się od kościoła i znienawidzili kapłanów. Pytano, jak to się stało, że tysiące ludzi pozbawionych pracy, włóczy się po wsiach i miastach o kiju żebraczym, szukając zatrudnienia, podczas gdy zajęci w fabrykach robotnicy upadają pod brzemieniem pracy fizycznie i moralnie. Nie trudno było znaleść na to odpowiedzi a brzmiała ona: Wszystkie te smutne i groźne objawy mają źródło w zbyt „liberalnej wolności pracy.“ Gdyby się udało pracę kobiet i dzieci na wielką skalę zastąpić pracą mężczyzn, ograniczyć nieskończenie długi czas pracy codziennej, dnie niedzielne i świąteczne przeznaczyć według przykazania bożego na spoczynek i religijne kształcenie się, natenczas pewnie znalazłaby większa ilość ludzi zatrudnienie, zmniejszyłyby się zgraje włóczęgów, nastąpiłby szczęśliwy zwrot w tych opłakanych stosunkach. A zatem: skrócenie dnia roboczego, wypoczynek w niedzielę i święta, ochrona pracy kobiet i dzieci, oto hasła reformy ustawy robotniczej. Właśnie przed półtora rokiem wniósł rząd do Rady państwa projekt ochrony pracy kobiet i dzieci — i kilka innych przepisów ochronnych, lecz w homeopatycznej dozie. To nie mogło zaspokoić katolickich konserwatystów, a sprawozdawca komisyi przemysłowej, hrabia Egbert Belcredi, widział się zmuszonym ten projekt zupełnie przerobić. Żądał on: 10 godzin zwykłego dnia roboczego, zupełnego wypoczynku w niedzielę i dnie świąteczne, zakazania pracy dzieciom niżej 14 lat, ograniczył bardzo czas pracy nieletnich robotników obojga płci, zabronił kobietom nocnej pracy, jakoteż pracy podczas 6 tygodni po ich rozwiązaniu.

Trudno opisać wzburzenie, jakie wywołał ten program w obozie liberałów. Trzeba znać fabrykantów i kapitalistów, którzy tam silny stanowią element; trzymają się oni niemal wyłącznie liberalnej doktryny „laisser faire“, poczytywali więc sobie za święty obowiązek, wyssać robotnika do ostatniej kropli krwi, by przez to podnieść swój czysty zysk i konkurencyą wytrzymać. „Żądania Belcredego, głosili oni wszędzie, przyniosłyby szkodę zachodnio-austryackiemu przemysłowi, który nie mógłby rywalizować z zagranicznym, gdyby wielkim przemysłowcom i fabrykantom kazano mieć wzgląd na zdrowie i obyczajność robotników.“ Na to odpowiedzieli konserwatywni, że przemysł, choćby nie wiem jak kwitnący, jeżeli swoich robotników traktuje jak źwierzęta,

którym przecież nie odmawia się należytej strawy, i jeżeli w ten sposób osłabia pierwiastek militarny, nie zasługuje na to, żeby istniał. Zresztą już i tak wiele gałęzi przemysłu zabezpieczonych od zagranicznej konkurencyi wysokiemi cłami ochronnemi; fabrykanci jednak, którzy przez to doszli do wielkich majątków, nie pomyśleli wcale o polepszeniu doli robotnika, płacąc go lepiej i skracając zbyt długi czas pracy. Książęcy zbytek, któremu oddaje się wielu przedsiębiorców (tak np. właściciele wielkich przędzalni w Morawii), ich wspaniałe zamki i wille dowodzą aż nadto, iż ich zysk pozwalał na to, aby robotnikom, którzy do tego bogactwa się przyczynili, zapewnili trochę znośniejszą dolę, bez żadnego uszczerbku dla siebie. Wskazywano im też jako wyborny przykład myślących po chrześcijańsku francuskich i nadreńskich przemysłowców, którzy swoich robotników prawdziwie ojcowską otaczają opieką, za mierny stosunkowo czas pracy dobrą dają zapłatę, a przecież mimo to wielkie odnoszą zyski. Nie zrobiło to wrażenia na liberałach; nie przestali wołać, że upadnie przemysł austryacki, jeżeli prawo weźmie w obronę pracę, a ponieważ znaleźli wielu nawet między prawicą równiemyślących, przeto nie pozostało katolicko-konserwatywnym nic innego, jak obrać drogę pośrednią. Polski uczony Dr. Biliński podjął się trudnego zadania sformułowania pośredniczących punktów. Liberalni w nadziei, że już i tak okrojone przepisy ochronne pozostawią im jeszcze wiele pola do wyzyskiwania robotnika, zgodzili się na nie w ogólności, ale na to tylko, aby przy szczegółowej debacie przy każdym paragrafie coś urwać i okroić. Ostateczny wynik tych rozpraw taki: Zatrudnienie dzieci niżej lat 14, jakoteż kobiet podczas 4-ech tygodni po ich rozwiązaniu, jest prawem wzbronione, równie jak nocna praca nieletnich robotników i kobiet niżej 16 lat, tak jednak, że co do ostatnich, może ministeryum handlu w ważnych wypadkach udzielić dyspenzy. Kto zna straszliwe następstwa nocnej pracy kobiet i dzieci dla ich moralności i dla życia rodzinnego, ten uznać musi z Dr. Bilińskim potrzebę bezwarunkowego zabronienia takowej. Młodzi robotnicy do lat 16 mogą być używani tylko do lżejszych robót, które ich zdrowiu nie szkodzą, ani rozwoju fizycznego nie tamują. Nie jest to wcale zbyteczną ostrożnością; w morawskich

fabrykach bowiem jest wielu robotników w wieku 18 do 22 lat, którzy fizycznie nawet tak są nierozwinięci jak dzieci. Lecz i tutaj może dać dyspenzę minister handlu w porozumieniu z ministrem spraw wewnętrznych o tyle tylko, aby cały czas pracy w ciągu 24 godzin nie przenosił przepisanej prawem ilości godzin.

Liberalni domagają się koniecznie pracy nocnej kobiet i pracy dzieci niżej lat 14 we fabrykach, a Dr. Exner był nawet tego zdania, że skoro teraz szkolna nowela popsuła szkołę, to we fabrykach powinny dzieci nabywać nauki i zdrowia. Oto czysto liberalna zasada: ponieważ szkoła stała się teraz nieco chrześcijańską, przeto posyłają liberalni wolnomularze roboczą dziatwę do fabryk, gdzie — co jest faktem dowiedzionym — biedak traci najczęściej niewinność, cnotę i zdrowie. Dla młodych terminatorów czyli chłopców rzemieślniczych ustanowiono prawnie, ażeby podczas lat nauki rzeczywiście swego rzemiosła się uczyli, tak jednak, aby im zostało czasu na uczęszczanie do szkół przemysłowych; majstrowie zaś odznaczać się mają nieskazitelnością moralną i uzdolnieniem fachowem, inaczej nie będzie im wolno trzymać czeladników. Cały szereg przepisów nakłada na przedsiębiorcę obowiązek starania się o zdrowe izby na pracownie, i odpowiedne urządzenia w celu zabezpieczenia życia i zdrowia swych robotników; a wreszcie każe mu dbać o ich moralność i dlatego odosobnieni być mają o ile można, robotnicy od robotnic. Wszystkie te przepisy i ostrożności mają swoje uzasadnienie w istniejącym stanie rzeczy. Tak np. w teraźniejszych czasach wydarzają się częste kalectwa w fabrykach dlatego, że się nie postarano o dosyć wolną przestrzeń między maszyną a innemi przyrządami, tak, że robotnik przy najmniejszem nieostrożnem poruszeniu, często nawet w skutek podwiania wiatrem fartucha, może być porwany przez maszynę i ciężko uszkodzony. Nad wykonaniem tych przepisów, które daj Boże, aby okazały się dostatecznemi, czuwać mają inspektorowie fabryk; to pewna, że będą oni musieli staczać nieraz walkę ze skąpstwem i obojętnością niektórych przedsiębiorców.

Co się tyczy prawnie nakazanego względu na moralność, to główna trudność nie spoczywa w uchronieniu kobiet przed natręctwem robotników, ale w usunięciu notorycznie we wielu

fabrykach istniejącego, a na terroryzmie opartego zwyczaju, który robotnice czyni ofiarami nadzorców, urzędników, ba nawet właścicieli fabryk i ich synów. Podczas dniowej pracy ma być trzy razy przerwa, z tych jedna dłuższa półtoragodzinna, aby dać robotnikom czas do posilenia się i wytchnienia. — Prawo zabrania surowo, t. z. Truck-systemu, który polega na tem, że przedsiębiorcy zmuszają robotników kupować środki do życia w składach jużto do nich należących, jużto w związku z nimi będących. Wzbronione także wszelkie wywieranie nacisku na robotników, by z pewnego źródła kupowali. Zapłatę dawaną kartkami na towar, kwitkami i t. p. sposobem, uważa prawo jako nieuiszczoną, jeżeliby robotnik zaskarżył przedsiębiorcę, który w takim razie musi ponownie należytość zapłacić. Niemniej surowo zabronioną jest wypłata w gospodach, lub szynkach, gdzie robotnik jest wystawiony na pokusę przepicia lub przegrania pieniędzy, których użyć powinien dla dobra rodziny.

Dwa postanowienia wywołały wielką niechęć w robotnikach a mianowicie: zaprowadzenie książek zarobkowych (służebnych) i sądowe ukaranie złamania kontraktu, przez co mają być uniemożebnione wszelkie zmowy, (strike's). Książeczki zarobkowe mają być rodzajem świadectwa dla robotników, a każda zmiana w ich stosunkach służbowych ma być do takowych wciągniętą. Jak długo robotnik zostaje w służbie u jakiegobądź przedsiębiorcy, tak długo ma ten ostatni jego książkę zarobkową mieć u siebie, podczas gdy urząd miejscowy dostaje duplikat tejże. Przez to jest naturalnie utrudniona samowola robotnika; i chociaż przedsiębiorca może w niej wyrazić swoje zdanie o pilności, zdolności i zachowaniu się robotnika, gdy tenże sobie tego życzy, to przecież boją się robotnicy, że przedsiębiorcy użyją tych książek w tym celu, by niemiłe sobie osoby usunąć i przeszkodzić im nadal w znalezieniu odpowiedniego zajęcia. Nie da się zaprzeczyć, że z wielką forsą przeprowadzone przez liberałów kryminalne karanie łamania umowy, jest niezgodne ze sprawiedliwością, bo zrywanie kontraktu może być karane tylko na podstawie prawa cywilnego, nie zaś karnego. Postanowienie to jest wymierzone przeciw „striké's," które tylko wówczas mogą mieć swój skutek i zmusić przedsiębiorcę do zaspokojenia żądań robotników, gdy go zajdą niespodzianie, zanim miał czas

poszukać sobie innych robotników. Jeżeli zaś nagłe usunięcie się robotnika od pracy, zerwanie kontraktu, podpada sądowi karnemu, to tem samem pozbawia się robotnika jedynej broni, jaką miał przeciw materyalnie możniejszemu przedsiębiorcy. Prawda, że „strike's" były zawsze mieczem obosiecznym, który robotnikom samym wyrządzał największą szkodę; prawda, że bywały przez niektórych przedsiębiorców używane w celu zaszkodzenia ich konkurentom, a zyskania odbytu na własne produkta, jednak w ogóle rzecz biorąc, były one dotąd jedynym środkiem i bronią robotników przeciw zbytniemu wyzyskiwaniu przedsiębiorców, to też nie mogą robotnicy przebaczyć liberałom, że im wydarli tę ich jedyną broń, a do tego starali się o ile możności zniweczyć projekt prawnej opieki nad nimi.

Zakaz pracy w niedzielę napotkał na gwałtowny opór liberałów, przyszedł atoli do skutku. Oczywiście dano ministrowi handlu także i tu pełnomocnictwo do pozwolenia pracy niedzielnej, odnoszącej się mianowicie do czyszczenia lokalów i zachowania w ruchu maszyn. Oprócz tego może on w porozumieniu z ministrem spraw wewnętrznych i oświaty pozwolić na pracę niedzielną, ile razy przerwa w niej jest niemożebną, albo szkodliwą dla konsumentów. Prawo nie rozciąga swej opieki nad wypoczynkiem robotnika w dni świąteczne, pozwala ono tylko zadosyć uczynić jego obowiązkom religijnym. Nawet ten słaby wzgląd na religijność robotników wywołał głośne narzekania w obozie liberałów, a członek Rady państwa Friedrich Suess, żądał, aby zamiast „przedpołudniowego nabożeństwa" naznaczyć „ranne nabożeństwo." Tym sposobem robotnik zostałby pozbawiony nauki obyczajów i wiary, kazania; to właśnie miała na celu partya liberalna wolnomularzy i dlatego to oświadczyli się jej koryfeusze za wnioskiem Suessa z taką żarliwością. Co się tyczy załatwienia pewnych czynności gospodarskich i zakupna w dnie świąteczne, to było rzeczą trudną wzbronić je zupełnie; wieśniak bowiem znajduje zaledwie w niedzielę czas do wyjechania do miasta na zakupno, należało jednak ograniczyć to prawnie.

Główny 96 punkt VI. artykułu ustawy przemysłowej opiewa: „W przedsiębiorstwach fabrycznych czas pracy dla robotników wynosić może najwyżej 11 godzin na dobę, nie wliczając w to

czasu wypoczynku wśród pracy. Minister handlu jednak w porozumieniu z ministrem spraw wewnętrznych i wysłuchawszy zdania izb handlowej i przemysłowej, może wyznaczyć w drodze rozporządzenia te kategorye przemysłu, które ze względu na pewne konieczne potrzeby wymagają przedłużenia czasu pracy o jedną godzinę, a wykaz tych kategoryj należy co 3 lata poddać rewizyi.

„Nadto upoważniony jest minister handlu w porozumieniu z ministrem spraw wewnętrznych, w tych kategoryach przedsiębiorstw przemysłowych, w których nieprzerwany ruch pracy jest dozwolony, uregulować czas pracy w ten sposób, ażeby potrzebna a powtarzająca się zmiana szachtow stała się możliwą (besuchs Ermöglichung des wiederkehrenden erforderlichen Schichtenwechsels).

„W razie zmian elementarnych lub nieszczęsnych wypadków wstrzymujących ruch pracy, albo w razie nagromadzonej pilnej roboty, może władza przemysłowa pierwszej instancyi dozwolić pojedynczym przedsiębiorstwom przemysłowym chwilowego przedłużenia czasu pracy, niedłużej jednak jak na przeciąg trzech tygodni. Poza ten okres tylko polityczna władza krajowa może udzielić takiego pozwolenia.

„W razie naglącej konieczności pozwolenie przedłużenia pracy nastąpić może na proste zgłoszenie się do urzędu przemysłowego pierwszej instancyi, ale tylko na przeciąg trzech dni w jednym miesiącu.

„Powyższe określenia nie tyczą się robót pomocniczych, które poprzedzają lub następują po właściwej pracy fabrycznej (tu należą : ogrzewanie kotła, oświecanie, czyszczenie itp.), byle tylko nie używano do podobnych zajęć nieletnich robotników.

„Godziny nadliczbowe mają być osobno wynagrodzone.“

Ustawą tą połowiczną jak każdy widzi wprowadzono 12-to godzinny dzień pracy, w tych gałęziach przemysłu, których przedsiębiorcy umieją przemówić do przekonania najwyższych urzędów. Przemysłowcy, zajmujący się tkactwem będą z tego, jakoteż z uchylenia się bezwarunkowego zakazu nocnej pracy kobiet, jak najwięcej korzystali. W tym właśnie przemyśle tkackim jest tak wielki nadmiar produkcyi,

że wiele płodów za bezcen się sprzedaje i w samym nawet Wiedniu widzimy te niewdzięczne magazyny stojące niemal jeden obok drugiego. Kto przechodzi około takich sklepów, a zważy, ile to siły produkcyjnej i szczęścia ludzkiego zmarniało nad wyrobieniem tych pstrych a nietrwałych materyj na suknie, ozdób, wstążek, i gdy pomyśli, że te przedmioty więcej szkody niż pożytku przynoszą swoim nabywcom, ten niezawodnie uzna konieczną potrzebę ograniczenia tej zbytkownej, a nawet grzesznej produkcyi. Korzyść z niej ciągną jedynie przedsiębiorcy, którzy — prawda — stają się milionerami, ale cóż przyjdzie z tego społeczeństwu, państwu? Rozsądne uregulowanie produkcyi przysporzyłoby mu podatku, boby podniosło możność konsumpcyjną ludności. Pewną jest bowiem rzeczą, że większa połowa ludności Austryi nie będzie mogła sobie niezadługo kupić tego, co jest niezbędne do utrzymania życia ludzkiego. Nawet we Wiedniu zdarza się często, że pilni i porządni ludzie, w skutek braku zatrudnienia, nie mają nawet czem okryć się przyzwoicie i z głodu umierają. Straszne szerzenie się skrofułów i tuberkułów pośród niższych warstw ludu, zmniejszanie się liczby zdolnych do wojska należy wedle zdań lekarzy przypisać nędznemu odżywianiu się. A cóż dopiero mówić o przeludnieniu, w skutek którego kraj nie jest w stanie wyżywić swoich mieszkańców. Gospodarze i przemysłowcy narzekają, że nie mogą znaleść źródeł odbytu za granicą. Czy nie byłoby rzeczą lepszą postarać się o podniesienie konsumpcyi w kraju? Ograniczenie czasu pracy i oznaczenie długości dnia roboczego, przywrócenie prawem zastrzeżonego spoczynku w niedzielę, ochrona pracy kobiet i dzieci — oto środki do powiększania sił konsumpcyjnych; tym sposobem bowiem zmniejszy się zgraja wałęsających się dla braku zatrudnienia robotników; popyt za pracą będzie coraz mniejszy, a tem samem pójdzie w górę i wartość pracy.

Oczywiście jest to dopiero słaby początek, nad którym jednak nasi katoliccy konserwatyści z pomocą boską dalej pracować muszą, pomimo przeszkód, ze strony liberalnych biurokratów, mimo oszczerstw, jakie na nich miota liberalne, wolnomularskie stronnictwo.

Lecz nie są oni opuszczeni. W Anglii a przedewszystkiem

we Francyi dążą najenergiczniejsi i najwytrwalsi katolicy do socyalnej reformy na podstawie chrześcijańskiej etyki, a niedawno temu walne zebranie „*Oeuvre de l'Association catholique d'ouvriers*“ w Paryżu wykazało, jak błogimi owocami, szlachetni, odważni szermierze katolicyzmu we Francyi pochlubić się mogą. Uchwalona przez nich korporacyjna organizacya przemysłowców, tj. hierarchiczne stowarzyszenie ze wspólną kasą, obejmujące wszystkich biorących udział we fabryce, począwszy od przedsiębiorcy aż do najniższego robotnika, mogłaby i w Austryi znaleść zastósowanie, ale brak tu bardziej niż we Francyi myślących po chrześcijańsku i roztropnych przemysłowców, którzyby ten plan przeprowadzili.

Br. Vogelsang.

Kongres antropologiczno-archeologiczny we Wrocławiu i zjazd archeologiczny w Odessie.

I.

Na prastarej słowiańsko-polskiej ziemicy, we Wrocławiu, który już w r. 1000. jak piszą latopisy, był grodem starożytnym i znakomitym, odbył się kongres niemiecki. Mówimy niemiecki, bo też nie był on ani słowiańskim, ani europejskim. Przybyli Polacy na kongres; były przemówienia polaków po niemiecku, były wspaniałe wystawy wykopalisk przywiezione z Krakowa i Poznania; miejscowe wrocławskie muzeum zawiera bogate zabytki słowiańskie, a jednak kongres nosił cechę specyficznie niemiecką; nieuwzględniono na nim w niczem, ani miejsca, ani ludzi, ani samych zabytków z wnętrza ziemi słowiańskiej wydobytych.

Otwarcie kongresu nastąpiło 4 sierpnia. Posiedzenia trwały rano i po południu przez trzy dni następne. Przewodniczącym wybrano najznakomitszego dziś antropologa Dra Virchowa. Z znaczniejszych członków kongresu wymienimy tu głośnego dziś Schliemana. Ciekawa to postać! Przed niewielu jeszcze laty kupiec i przemysłowiec petersburski, ale od dzieciństwa zamiłowany w archeologii, pracą i zapobiegliwością uzbierane znaczne fundusze poświęcił na badania i ogłaszania ich w zbytkownych wyda-

wnictwach. Niepokaźny, mały, łysy, o najpospolitszych rysach, nieposiadający daru wymowy, ale z rozgłośną sławą, potrafił i na tym kongresie odczytem swoim zainteresować publiczność. Dalej do znakomitszych należą: Dr. Tischler dyrektor królewieckiego muzeum archeologicznego, głęboki uczony i wielki znawca zabytków szczególnie bronzowych i ceramicznych. Poznaliśmy go tu w Krakowie, a jakież było nasze zdziwienie, gdy zaczął mówić o ciekawej ornamentyce na urnie, którą znalazłem w Węgrzcach pod Krakowem; nietylko znał ją z rysunku, ale nawet nazwisko miejsca pamiętał dokładnie i unosił się nad bogactwem ozdób z kresek, nacięć, linij itd. na niej wyżłobionych, ozdób, do których on przywiązuje znaczenie, a na które u nas w Krakowie prawie uwagi nie zwrócono. Pamięć u Tischlera zadziwiająca. Każdy ciekawszy przedmiot przerysowuje i pamięta o nim do najdrobniejszych szczegółów. Dalej Dr. Grempler, prezes komitetu kongresowego; Dr. Cohn profesor botaniki we Wrocławiu; Dr. Ranke profesor z Monachium; profesor, tajny radzca Dr. Schaafhausen z Bonn; profesor Dr. Török z Budapesztu; Dr. Schadenberger z Głogowy i kilku innych. Z polaków uczęstniczyli w kongresie: Dr. Nehring, profesor we Wrocławiu, Dr. Kazimierz Szulc z Poznania; Adam hr. Sierakowski, jako delegat towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu i towarzystwa naukowego w Toruniu; Jan Nepomucen Sadowski, jako delegat akademii umiejętności w Krakowie; Jan hr. Zawisza, Korzon, Przyborowski i Szumowski z Warszawy.

Posiedzenia kongresu zagaił Dr. Virchow. Wykazawszy cel kongresu, oraz powód, dla czego Wrocław obrany został na miejsce zjazdu, Virchow wyraził, że na polu nauki zniknąć powinny niechęci narodowe, jakoż z radością wita wschodnich i południowych sąsiadów. Następnie podniósł kwestyę nieraz już omawianą, o różnicach, jakie zachodzą między germańskiemi a słowiańskiemi wykopaliskami. Wyraźnej różnicy Virchow nie znajduje; ozdoby, sprzęty, rozmaite narzędzia, mogły być u obu szczepów zupełnie jednakowe, mogły być naśladowaniem rzymskich wzorów. Główną oznaką grobów słowiańskich, jak sądzi Virchow mają być szkielety z zausznicami, a gdy w tychże grobach natrafiają się monety i ozdoby arabskie, więc nie sami tylko Italczycy, ale i Arabowie

musieli mieć swój przeważny wpływ na Słowian. Podług teoryi Virchowa w środkowej Europie widoczne są trzy przedhistoryczne okresy: 1.) grzebania zmarłych z kamiennemi narzędziami; 2.) całopalenia; i 3.) znowu grzebania zmarłych bez całopalenia. Ostatni ten okres Virchow uznaje za wyłącznie słowiański. Słowianie bowiem przywędrowawszy do środkowej Europy w VI. wieku po Chr. przynieśli i ten zwyczaj niecałopalnego grzebania.

Rzecz dziwna, że taki uczony mąż jak Virchow, wypowiada podobne zdanie. Stara to niemiecka teorya, jakoby Słowianie zaledwo w VI. wieku zajęli środkową Europę. Bodaj, że pierwszym twórcą tej teoryi był akademik petersburski August Ludwik Schlötzer, z czasów Katarzyny II. On to pierwszy zaludnił Germanami wszystkie prowincye starożytnej Europy między Donem, Czarnem morzem, Dunajem, Renem i morzem Baltyckiem; nieszczęśliwych zaś Słowian uczony Schlötzer rzucił gdzieś w niewiadome krainy, het! daleko na wschód i na północ, a dopiero w V. i VI. stuleciu pozwalając im zjawić się w środkowej Europie. Teorya ta tak się podobała Niemcom, że i do dziś dnia, nawet tacy uczeni, jak Virchow, jej hołdują. Virchow tedy twierdzi, że Słowianie w VI. wieku przynieśli ze sobą zwyczaj grzebania ciał, gdy przedtem było całopalenie, jakoż ten tylko okres uznaje on za wyłącznie słowiański. Dziwimy się, że nikt na kongresie nie zadał pytania uczonemu Virchowowi: jeśliby tak miało być, że zaledwo w VI. wieku wprowadzono zwyczaj grzebania ciał niecałopalnych, to dla czegóż na całem porzeczu Wisły i jej dorzeczach, a nawet na Rusi Czerwonej po nad Dniestrem, a w końcu na Litwie po nad Niemnem, Wiliją, Niewiażą i t. d. znajdujemy cmentarzyska, niekiedy na znacznej przestrzeni, a nadto groby kurhanowe, w których nie szkielety spoczywają, ale szczęty całopalne w urnach? Znalezienie szkieletu po nad Wisłą stanowi największą rzadkość, chyba że grób zawiera szczęty jeszcze z epoki kamiennej, w którym niema i śladu żadnego kruszcu. Na Dniestrzańskiem porzeczu większa część mogił zawiera szkielety; ale są i cmentarzyska i kurhany ze szczętami całopalnemi. We właściwej Litwie widzimy powszechny zwyczaj całopalenia, a nawet na Białej Rusi, gdzie same szkielety, niekiedy

i na urnę z popiołami natrafić można. Nieulega wątpliwości, że zwyczaj całopalenia był powszechnym i trwał długo jeszcze po wprowadzeniu wiary św. Mamy na to dowód historyczny, mianowicie bullę ojca św. z XII wieku, w której robi wymówkę kapitule krakowskiej, że nieusunęła tego pogańskiego zwyczaju, tj. całopalenia.

Wprawdzie odczyt Dra Kazimierza Szulca o pierwotności Słowian między Wisłą a Elbą dostatecznie zbija teoryę Niemców. Ale odczyt ten miał miejsce już po czasie wyznaczonym do wykładów, a więc nie mógł być skończonym, referent musiał poprzestać na słównym wykładzie większej części rozprawy, niemógł też i wywołać właściwej dyskusyi. Zasadnicze twierdzenie Dra K. Szulca opiera się na tem, iż Germanowie przybyli z za Elby i Sali w ostatnich latach przed Chr., Skandynawowie zaś w ostatnich latach pierwszego wieku po Chr. do krajów południowo-bałtyckich; podczas zaś wędrówek ludów, opuściwszy te kraje, najechali państwo rzymskie. Na podstawie zaś badań archeologiczno-antropologicznych, lingwistycznych, kulturnych i w końcu historycznych, Dr. Szulc twierdzi ze stanowczością, że kraje południowo-bałtyckie pierwotnie przez Słowian zamieszkane były. Wykład Dra Szulca wywołał huczne oklaski, szczególnie zaś zyskał uznanie między rodakami i pobratymczymi Czechami.

Zarzut jedyny Szulcowi zrobił niejaki Dr. Behl, mało znany w świecie naukowym. Mówił on o miejscu ofiarniczem Swewów w kraju Semnonów, o którem wspomina Tacyt, lecz gdzie się to miejsce znajduje, dziś określić trudno. Radzi przeto p. Behl badać przedewszystkiem te miejsca, które podania jako święte wskazują. Zaraz że potem referent zostaje ze sobą w sprzeczności, bo powiada, że miejsca ofiarnicze były na grodziskach, na Łużycach zaś istnieją dwa rodzaje grodzisk, jedne czysto słowiańskie, ze słowiańskiemi glinianemi naczyniami a inne, w których pod słowiańskiemi naczyniami jest pokład, zawierający szczątki naczyń, podobnych do germańskich; chodzi mu więc głównie o to, ażeby dowieść, że pierwej tu siedzieli Germanowie, a dopiero później przyszli Słowianie. Grodziska, powiada prelegent, sypały rozmaite ludy w różnych czasach i w różnych celach. Germańskie mają pewne cechy i w nich składano ofiary.

Twierdzenia te, bardziej tendencyjne, niż ściśle naukowe, nie mają gruntownej podstawy. Nie na grodziskach tylko, ale i w dolinach były miejsca ofiarnicze. Grodziska (Horodyszcza, Tyńce), stanowią najdawniejsze zabytki ludzi pierwotnych, a niekoniecznie i niewyłącznie były miejscem ofiarniczem. Były to miejsca obronne, zarazem siedziby patryarchy rodu, naczelnego zwierzchnika gromady. Gdy wróg groził niebezpieczeństwem, na grodzisku skupiała się cała ludność okoliczna. Tu odbywały się wiece ludowe, tu wydawano sądy i wyroki. Nic więc dziwnego, że na grodzisku wykopaliska tak mnogie i tak rozmaite. Pod względem zaś okazów ceramicznych, odróżnienie ich od słowiańskich nie zawsze jest łatwem. Kształty urn i przystawek do nich, właściwe są pewnym okolicom i porzeczom; ale ornamentyka, szczególnie kreskowana, bywa bardzo do siebie podobną, prawie jednaką u rozmaitych ludów w różnych okolicach.

Ze względu na treść, odczyt Dr. K. Szulca, ma dla nas największe znaczenie. Do najciekawszych zaś zaliczyć należy odczyt Schliemana o wykopaliskach w Tyrynsie, położonym w nizinie, o 8 stadyów od brzegu morskiego, gdzie właśnie odkopane zostały cyklopiczne mury z ogromnych, niczem niespojonych głazów, z lukami wypełnionemi mniejszemi kamieniami. Do obudzenia ciekawości wiele się przyczynił plan poziomy, rozwieszony wzdłuż estrady, wyobrażający pomniki najstarożytniejszej architektury greckiej. Nadto dla plastycznego uwydatnienia zabytków, wywieszone były rysunki owych murów cyklopowych, które stanowiły obronne otoczenie gmachu; nakoniec illuminowane wizerunki resztek malowideł ściennych, a także odłamów rozmaitych okazów ceramicznych. Zasoby te pomocnicze wielce się przyczyniły do uwidocznienia tego zabytku starogreckiego, rezydencyi panującego. Od Wschodu i Zachodu dwie bramy prowadzą na plac przestronny, sięgający do pierwszego propyleum. Stąd pod kątem prostym prowadzi droga na południe do drugiego propyleum, a potem na wschód do wielkiej sali z okrągłem zagłębieniem w środku, z czterema kolumnami. Dalej idą galerye, korytarze prowadzące do mieszkań kobiet i rozmaitych komnat. Oryginalną, wszakże niepozbawioną piękności, całość gmachu stanowią bramy, place, propylea, drogi otwarte, galerye, podwórza, korytarze załamujące

się kilka razy, a zawsze pod kątem prostym. Ciekawą jest rzeczą, że przestrzenie otwarte z galeryami, zajmują obszar nierównie większy od samych mieszkań. Wogóle, podług zdania Schliemana, jest to taki sam rodzaj murów, jakie się znajdują w Mycenie i na Itace, gdzie są uważane za szczątki pałacu Ulyssesa. Schlieman opowiedział dzieje Tyrynsu od najdawniejszych czasów, aż do chwili, gdy razem z Myceną dostał się pod panowanie Argos, na 80 lat przed wojną trojańską. Wykopaliska odkryte przez Schliemana na miejscu, jak np. ostrza strzał, noże z obsydyanu, terracotty pierwotnych kształtów, mogą udowodnić, że zburzenie Myceny i Tyrynsu sięga przedhistorycznych epok. Niemniej stwierdzają to domniemanie: zupełny brak kruszcowych wyrobów, archaiczność malowanych ornamentów i figurycznych malatur. Zgodzono się zatem z prelegentem, iż gmach ten daleko wcześniejszy niż utrzymują niektórzy pisarze greccy.

Z innych odczytów wspominamy tu o wykładzie prof. Dr. Cohna „o przedhistorycznej znajomości roślin na Szląsku.“ Przytoczył on ciekawe szczegóły, że w Kuczborku znaleziono pomiędzy urnami ziarna śliwek i wiśni; w Raciborzu w urnach suszone owoce, jako to: śliwki, wiśnie, jerzyny, kości psie i wołowe; w Kokszycach p. Bytomiem kilka niecek suszonego zboża, jako to: owsa, żyta, prosa, grochu i siemienia lnianego; na wyspie tumskiej we Wrocławiu, wśród mieszkania nadwodnego, w głębi pięciu metrów, znaleziono obok wielu skorup, dużo prosa, drobną okrągłą pszenicę, grykę, orzechy laskowe. Prof. Dr. Török mówił o wykopaliskach pod Aliavie nad Cisą, gdzie znaleziono kościotrupy z zausznicami, jak sądzono z IV lub V wieku po Chr., gdy tymczasem przy jednym kościotrupie w ustach znalazła się moneta węgierskiego króla Andrzeja z r. 1050. Dr. Schadenberg z Głogowy mówił o pierwotnych i mieszanych rasach na wyspach Filipińskich. Uczony Dr. Tischler pokazywał wykopaliska odkryte w Kubaniu na Kaukazie i porównywał z podobnemi, znalezionemi na Węgrzech, we Frankonii, Burgundyi i w Prusiech. Przyczem Dr. Virchow opowiedział historyę tych wykopalisk. Nakoniec Dr. Szumowski z Warszawy przedstawił grot żelazny z inkrustowanym napisem runicznym, znaleziony pod Kowlem. Prelegent wyjaśnił znaczenie run, zamiannę ich na pismo głoskowe, a następnie, dla

braku czasu, musiał streścić swój wykład, opuszczając dowody i wykazując znaczenie umieszczonych na grocie symbolicznych znaków. Komitet kongresowy polecił zrobienie podobizny tego grotu.

Oto i wszystko co uważaliśmy za stosowne podać na tem miejscu, z trzechdniowego kongresu Wrocławskiego.

Dla tylu referatów, za mało trzech dni. Jakoż dyskusyi prawie nie było, podniesione kwestye pozostały nierozwiązane, a mówiąc szczerze, nauka niewiele z tego kongresu skorzystała. Już to wogóle kongresy bodaj niewiele przyczyniły się do ostatecznego rozwiązania tej lub owej kwestyi naukowej. Ale każdy kongres ma swoje doniosłe znaczenie, jako bodziec do działalności na tem lub innem polu, jako zachęta do pracy i wytrwania, w końcu, jako środek bliższego poznania ludzi, którzy już zdobyli naukowe stanowiska, wymiany myśli i tak dalej.

Goście kongresowi zwiedzili niektóre okolice Wrocławia, a bodaj najwięcej zainteresowała ich mitologiczno-historycza Sobotka, malowniczo położona u stóp wysokiej góry. Nie dochodząc do szczytu tej góry, znajduje się posąg kamienny kobiecy z rybą. Na tem miejscu profesor Wankel z Ołomuńca miał odczyt o tym posągu, zaliczając go do znanych b a b pogańskich.

Wreszcie w wolnych chwilach bawiono się także specyficznie po niemiecku. Pito dużo piwa, śpiewano dużo pieśni burszowskich ze znanym *bibamus*, z konceptami niesmacznemi, a nawet była odśpiewaną umyślnie napisana kantata a n t r o p o l o g i c z n o - h u m o r y s t y c z n a. Wszystko to byłoby może właściwe i w naturalnym porządku, nikogoby też nie raziło, w każdem innem niemieckiem mieście — ale we W r o c ł a w i u, w starym grodzie słowiańskim mimowoli nasuwało Polakom i Czechom smutne myśli.

II.

W Rossyi, od lat już kilkunastu, w pewnych przestankach odbywają się Z j a z d y a r c h e o l o g i c z n e. Inicyatorem ich był Aleksy hrabia Uwarow, znakomity archeolog, prezes moskiewskiego Towarzystwa archeologicznego, członek krakowskiej Akademii umiejętności. Poprzednie Zjazdy odbywały się w Moskwie,

w Petersburgu, w Kazaniu, w Kijowie, w Tyflisie i ostatni, o którym chcemy słów kilka powiedzieć, w Odessie. Dla nauki, a pod pewnym względem i dla nas ma on daleko większe, donioślejsze znaczenie, niż kongres Wrocławski. Zjazdy rosyjskie mają tę niedogodność, że w braku innych fachowych zjazdów, oprócz lekarskich i wogóle przyrodniczych, pod skrzydła archeologii skupiają się i historycy i filologowie, a nawet prawnicy. Przez to liczba referatów zwykle bywa bardzo znaczną, pozbawiającą wszelkiej możności zupełnego ich wyczerpania. Każdy Zjazd ogłasza następnie swoje protokóły, oraz referaty, nawet i te, które nie były odczytane na posiedzeniach, lecz które zostały uchwalone przez komitet redakcyjny.

Otwarcie Odesskiego zjazdu nastąpiło 27 sierpnia, zamknięcie 10 września, a więc istniał zjazd w ciągu dni 14. Honorowym prezesem zjazdu wybrano nieobecnego Wielkiego Księcia Sergiusza Aleksandrowicza, brata cesarskiego. Przewodniczącym był hr. Uwarow. Trzydzieści naukowych towarzystw i uniwersytetów delegowało swoich członków dla wzięcia udziału w pracach Zjazdu. Poprzedziły Zjazd przygotowawcze badania i wycieczki, jak np. badania na porzeczach Dniepru i Dniestru, rezultatem których były nader ważne odkrycia na wyspie Berezani, umyślnie przedsięwzięta i dokonana wycieczka kilku uczonych do Konstantynopola w celach naukowych i t. d.

Ogólna liczba uczęstniczących w Zjeździe, wynosiła przeszło 250 osób. Samych referatów przedstawiono 140, chociaż dla braku czasu nie wszystkie mogły być odczytane na posiedzeniach.

Cała czynność członków Zjazdu skupiała się w dwóch głównych działach, archeologii klassycznej i przedhistorycznej. Działy te znów rozpadały się na dziewięć sekcyj, a mianowicie: kwestyj ogólnych, starożytności pierwotnych, zabytków z epok pogańskich, pomników klassycznych, kunsztu domowego, pomników sztuki, pomników epok historycznych, językowych i piśmiennych, w końcu etnografii i historycznej geografii. Odessa i cały kraj południowej Rossyi, (czyli Nowo Rossyi), nadzwyczaj bogate w pomniki klassyczne. W miejscach dawnych kolonij greckich taka obfitość znajdywanych wyrobów greckich i bizantyjskich, że w braku właściwej opieki i dozoru, miejscowi włościanie prowadzą ko-

rzystny dla siebie handel tymi zabytkami. Krym, starożytna Olbija, brzegi Dniestrowego limanu, dostarczają tak wiele ciekawych i rzadkich wykopalisk, że nietylko wzbogacają cesarski Ermitaż w Petersburgu, że dozwoliły utworzyć bogate muzea w Kerczu i Odessie, ale pozwalają i prywatnym osobom gromadzić znaczne kollekcye zabytków.

Z liczby biorących udział w Zjeździe, do najwybitniejszych osób należą: Z Petersburga: akademik Byczkow; profesorowie: Jagicz, Łamański, Wasiljewski, Pomiałowski, uczony hebraista Harkawy (z żydów wileńskich), Łatyszew i inni. Z Moskwy: profesorowie: Kowalewski, Anuczyn, Cwietajew, Iłowajski. Z Kijowa: profesor Antonowicz i Łuczycki. Z Warszawy: profesorowie, Samokwasow, Nikitski, Mierzyński, czech Perwolf. Z Dorpatu: Wiskowatow. Z Charkowa: Bezsonow, Bahalej. Z Helsingforsu Aspelin. Z odesskich profesorów najczynniejszy brali udział: Kondakow, Uspenski, Jurgiewicz. Z Zagrzebia przybyli księża katoliccy, Franio Rački, kanonik, prezes zagrzebskiej akademii umiejętności i znakomity uczony horwacki Lubicz. Morawianin, uczony dr. Jankiel. Z Konstantynopola uczony grek Keramews. Z polaków trzech było na zjeździe: profesor Mierzyński, o którym wspomnieliśmy, znany archeolog Godfryd Ossowski z Krakowa i Jabłonowski.

Nie można tu pominąć przykrego wypadku, jaki spotkał horwatów Račkiego i Lubicza. Podajemy go tu podług opowiadania prof. Modestowa w gazecie „Nowosti.“ Ks. Franio Rački, należy do znakomitych historyków słowiańskich; długi czas bawił w Rzymie, a dziś, wraz z biskupem Strossmayerem należy do najpopularniejszych Horwatów w południowej słowiańszczyźnie, lubiony i poważany nietylko śród katolickiej ludności, ale i wyznawców wschodniego obrządku. Ks. Lubicz profesor, znany archeolog. Obaj przyjechali na wyraźne zaproszenie komitetu urządzającego. Otóż p. Modestow tak opisuje przygodę, jaka ich spotkała w Odessie. Przybyli oni na parostatku Jazon, zaraz też udali się do uniwersytetu w gmachu którego Zjazd się odbywał, następnie w biórze informacyjnem podali swoje adresa, gdzie stanęli. Gdy powrócili do hotelu, zjawiła się policya i odprowadziła ich napowrót na ten sam statek, którym przyjechali, gdzie ich przy-

aresztowano i oddano pod straż wojskową. Gorliwość tę policyjną tłumaczą istniejącym przepisem, podług którego żaden katolicki ksiądz nie ma prawa przekroczyć granic państwa rossyjskiego, bez szczególniejszego na to pozwolenia władzy. A więc zaproszenie na Zjazd komitetu urządzającego, awizacya pasportów w konsulacie i w rossyjskiem poselstwie w Wiedniu, były niedostateczne dla administracyjnych władz odesskich. Wszakże skoro o tem doniesiono jenerał gubernatorowi, ten natychmiast rozkazał uwolnić ich z pod aresztu. Następnie, gdy wczasie otwarcia Zjazdu wymienione zostały nazwiska Račkiego i Lubicza, członkowie Zjazdu i licznie zgromadzona publiczność przywitali ich burzą oklasków.

Wyszczególnienie wszystkich referatów w naszem pobieżnem sprawozdaniu jest niemożliwe. Zwrócimy uwagę na niektóre tylko, więcej interesujące. I tak: w dziale archeologii klasycznej, profesor liceum Nieżyńskiego Lupersolski czytał rozprawę o scytyjskiem plemieniu Kallinidach, a opierając się na Herodocie i niektórych greckich starożytnych napisach, szczególnie w Olbii, dowodził, że plemię to należało do barbarzyńców, którzy skorzystali z greckiej kultury, lecz nie należeli do tych scytyjskich plemion, które się zmieszały z Grekami. — Prof. Jurgiewicz o miejscach, gdzie się znajdywały niektóre starożytne greckie osady. — Szczególną uwagę zwrócił na siebie młody uczony Łatyszew, który z polecenia petersburgskiego archeologicznego towarzystwa zbiera greckie napisy w południowej Rossyi. Jest to olbrzymia praca, umiejętnie prowadzona, która, podług zdania sprawozdawcy Zjazdu, stanowić będzie pomnikowe dzieło, pochlebne dla nauki w Rossyi. Całe dzieło wyjdzie w 3 tomach, po 30 arkuszy druku w każdym. Objaśnienia co do napisów ułożone są po łacinie. — Bardzo zajmujący odczyt miał być p. Susłowa o stylu starożytnych drewnianych cerkwi w głębi Rossyi, szczególnie północnej. Referent twierdzi, że jest to styl typowy starożytno-nowogrodzki, mający wyłącznie rossyjski oryginalny charakter. — Prof. Kondakow szeroko i umiejętnie rozwinął myśl o wpływie bizantyjskiej sztuki na zachodnio europejską. Kondakow studyował tę kwestyę we Włoszech, w Paryżu i innych miejscach i znajduje, że wpływ ten był daleko większy nawet w XI—XIV stuleciach, niż sobie wyobrażają niektórzy historycy sztuki. — Prof. Pokrowski miał ciekawy odczyt

o „strasznym sądzie," jak go wyobrażają na obrazach. Odczyt ten wywołał przedługą dyskusyę.

Z referatów na polu historyi i etnografii najwięcej się odznaczają odczyty profesora moskiewskiego uniwersytetu Kowalewskiego, posiadającego oprócz głębokiej znajomości rzeczy, znakomity dar wymowy. Wreszcie same przedmioty, o których mówił, podniecały ciekawość. Prof. Kowalewski bowiem mówił „o sądach Bożych", o „przysiędze u Osetynów" i najciekawsze „o prawosławnych niewolnikach w Hiszpanii w XIV. i XV. stuleciach." Referent badał rzecz na miejscu w archiwach w Hiszpanii, i przyszedł do przekonania, że na wschodnich brzegach Hiszpanii, oraz na wyspie Maiorce, Tatarzy krymscy sprzedawali prawosławnych Rossyan jako niewolników schwytanych podczas najazdów. Handel ten trwał aż do czasów Piotra Wielkiego. — Profesor Uspieński mówił o „rolnictwie w Bizancyum."

Z filologicznych rozpraw na szczególną uwagę zasługują Harkawego o nowo odkrytych rękopismach mających związek ze starym testamentem, chociaż angielscy teologowie wątpią o ich autentyczności. — Młody uczony p. Budde wystąpił ze szczególnym referatem, dowodząc, że cerkiewno-słowiański język jest sztuczny, utworzony przez lingwistów z rozmaitych narzeczy słowiańskich. Filologowie słowiańscy, jak Łamański, Bezsonow i Woskreseński nieuważali nawet za stosowne oponować młodemu prelegentowi. Jagicz wszakże zrobił mu uwagę, że praca jego, jest to owoc niedoświadczenia i uniesień młodzieńczych, a że z czasem nabierze on innych, zdrowszych przekonań.

Sprawozdawca Zjazdu, prof. Modestow, powiada, że od chwili kiedy wystąpił na katedrę p. Hołowackij zaczyna się poniżenie działalności Zjazdu. Jakób Głowacki, dawniej kanonik i profesor uniwersytetu lwowskiego, a dziś Hołowackij, rzeczywisty radzca stanu, prezes komisyi archeograficznej w Wilnie, autor niedawno wydanego słownika geograficznego krajów zachodnio i południowo słowiańskich, w którym naszą skromną Wilgę przekształcił w Wołgę, nasz Rzeszów w Rjaszew, Krosno w Korosno, Grudziąż w Grudiaz, Józefow w Josifof i t. d. — wystąpił na Zjeździe z referatem o russkich pomnikach piśmiennych w księstwie Litewskiem. Wszakże p. Hołowackij, nie poprzestał na filologicznych dociekaniach;

ale dotknął ze swego punktu zapatrywania się, najdraźliwszych kwestyj historycznych, mówił o prawosławiu, o ucisku przez Polaków, Litwinów i Białorusinów i t. d. Ogół nielicznych słuchaczów przyjął obojętnie te niewłaściwe wywody, na innych zaś, szczególnie słowiańskich uczonych, wystąpienie jego zrobiło nader przykre wrażenie. Wyraz niezadowolenia ogółu dał się uczuć bardzo dotkliwie na obiedzie składkowym w hotelu północnym. Wśród toastów, jakie się wznosiły na cześć W. księcia Sergiusza, prezesa hr. Uwarowa i innych, ktoś z obecnych wzniósł zdrowie p. Hołowackiego, odpowiedzią na to było przeciągłe „pereat!“

Musimy tu jeszcze wspomnieć o niewielkim skandaliku między uczonymi z Moskwy, p. Iłowajskim a Pawłowym. Pierwszy odczytał ustęp swej pracy o sekcie do dziś dnia istniejącej w Rossyi, zwanej Żydowstwujaszczych, tj. naśladujących żydów, tych, którzy święcą sobotę i t. d. Gdy skończył Iłowajski okryty oklaskami, na katedrę wpadł Pawłów i niebardzo grzecznie zaczął mu robić rozmaite zarzuty. Odpowiedział na nie Iłowajski, ale widocznie czuł się obrażonym. Wywiązała się dyskusya dość burzliwa, a spierania się oponentów trwały jeszcze długo i za obrębem sali posiedzeń. Nazajutrz Iłowajski opuścił Odessę.

Przejdźmy teraz do referatów z dziedziny archeologii przedhistorycznej, oddawna już i znakomicie opracowywanej w Rossyi. Na tem polu szczególnie odznaczyli się hr. Uwarow, Samokwasow, Antonowicz, Anuczyn, panna Melnik i, wyznajmy z chlubą, nasz krakowski uczony archeolog Godfryd Ossowski. Musiał on zwrócić na siebie ogólną uwagę, skoro go wybrano przez aklamacyą honorowym prezesem na jednem z posiedzeń. Tegoż zaszczytu dostąpił i p. Jabłonowski.

Książe Putiatin, także znany archeolog rossyjski miał odczyt o kwestyi nadzwyczaj interesującej wszystkich archeologów, mianowicie o ornamentyce na pierwotnych wyrobach ceramicznych. — P. Brandenburg o fibulach (szpilach, sprzążkach), jakie się znajdują w starożytnych mogiłach europejskiej Rossyi. Przedmiot mający w nauce doniosłe znaczenie. Takie fibuli znajdują w mogiłach przedhistorycznych w Irlandyi, Szkocyi, Szwecyi, Norwegii, Danii, Finlandyi, w północnej Rossyi, a nie wiemy czy znane referentowi nasze, zupełnie podobne do poprzednich fibule z po-

rzeczy Wisły, Niemna i Dniestru. Jest to między innemi skazówka do badań dróg handlowych przedhistorycznych. Profesor Antonowicz odczytał sprawozdanie o świeżych badaniach jaskiń na porzeczu Dniestru, przez niego dokonanych. Profesor Samokwasow mówił o swoich wykopaliskach na porzeczu Dniepru. Wykopaliska te zostaną przesłane do cesarskiego ermitarzu w Petersburgu (wyroby złote, bronzowe, żelazne i kamienne). Miłą niespodzianką dla Zjazdu był odczyt młodej małorusinki panny Melnik. Dotknęła ona kwestyi nadzwyczaj interesującej dziś wszystkich archeologów, mianowicie o mehalitycznych pomnikach i budowach w gubernijach Chersońskiej i Podolskiej. Odczyt zrobił wielkie wrażenie, bo wiadomo, że był jakiś potężny, silny lud, który wznosił tego rodzaju pomniki na całej przestrzeni od Indyi do Atlantyku, a niewiedziano, że są takież i w Rossyi. Ale niewie panna Melnik, że niemało takichże pomników na naszem galicyjskiem Podolu, w części na Pokuciu i Rusi Czerwonej, a najważniejsze, cyklopiczne, zadziwiające, to nasze olbrzymie tak zwane Bołdy Stryjskie (koło Bolechowa, w Polanicy, w Rozhurczu, w Uryczu). Dość wyczerpująco pisaliśmy już o tem, ale te prace niedochodzą widocznie archeologów rossyjskich, a na nieszczęście granice, których nieznał świat przedhistoryczny, tamują drogę do wspólnych badań i głębszych studyów nad zabytkami, chociaż, jak na Podolu, tylko wązki Zbrucz oddziela ich od siebie. Chwalą bardzo odczyt panny Melnik. Z delikatnością i skromnością kobiecą, ale z głęboką znajomością rzeczy, wypowiadała ona tajnie archeologiczne, może i sama nie wiedząc o tem, że jej dociekania mogą naprowadzić na nowe tory i nawet pewny przełom wywołać w nauce.

Przechodzimy teraz do najbardziej nas interesującego referatu, mianowicie p. Godfryda Ossowskiego. Znane są tu dobrze prace i badania uczonego geologa i archeologa. Badania jego jaskiń w Mnikowie i w Ojcowie, nadzwyczajna obfitość wykopalisk z nich wydobytych, gdy jednych cieszyły, u drugich, jak się to zwykle dzieje na świecie, wywoływały zawiść, aż do intrygi się posuwającą. Otóż te właśnie badania w okolicach Krakowa nastręczyły mu myśl złożenia referatu na Zjeździe Odesskim, nader ważnego ze swej treści, p. t.: „Próba chronologicznej klasyfika-

cyi wykopalisk wieku kamiennego w środkowo-wschodniej połowie Europy."

Referent jest tego przekonania, że dla środkowej i wschodniej Europy nieuniknioną potrzebą jest opracowanie chronologii względnej na podstawie własnych wykopalisk tego obszaru. Osiągnięcie tego celu może być dokonane przez gruntowne studyowanie tylko tych właściwie wykopalisk, które zawierając w sobie jak najróżnorodniejsze przedmioty kunsztu przedhistorycznego i dając wyraźne i jasne pojęcie o ich charakterze archeologicznym, łączą też i niezbędne wiadomości o tych warunkach geologicznych, w których znalezione zostały. Najprzydatniejsze są do tego wykopaliska, które się znalazły w rozmaitych warstwach bezpośrednio na sobie leżących. Dla takiego chronologicznego ocenienia wykopalisk p. Ossowski wziął za podstawę własne badania dokonane w jaskiniach, w okolicach Ojcowa i na Łupiankach, w okolicy Krakowa. W obu namuliska jaskiniowe były zupełnie jednakowe, i stanowiły trzy różne warstwy, zawierające rozmaite wykopaliska, należące do trzech wyraźnie od siebie różnych ogniw cywilizacyi przedhistorycznej okresu neolitycznego. Najstarsze z tych ogniw, w najgłębszej warstwie namuliska odznacza się szczególnie wyrobami grotów broni pociskowej, rohatyn, łopatek itp. narzędzi wyrobionych z kości kopalnej, jak mamuta, nosorożca itp., ozdobionych ornamentyką archaiczną. Krzemienne zaś narzędzia odznaczają się wielkością, grubością, przeważnie obłukiwane, a więc charakteryzujące najdawniejszą epokę. Następne ogniwo, młodsze od poprzedniego, odznacza się wyrobami z rogu jelenia, mnóstwem skorup ceramicznych, od naczyń widocznie w ręku lepionych, z ornamentyką rytą, lub nalepianą; dalej rozmaite ozdoby z kości i gliny, a także narzędzia kamienne szlifowane, krzemienne zaś pokryte mocną szarą patyną jaskiniową. Nakoniec w najmłodszem, czyli właściwie najnowszem, obok narzędzi krzemiennych szlifowanych, skorup glinianych, wyrobów z rogu jelenia, mnóstwo najrozmaitszych wyrobów z kości bydlęcej, jak np. szydeł, iglic, łopatek, narzędzi użytku domowego i w końcu wyrobów przedstawiających kształty zwierzęce, ptaków i ludzi, a także wiele przedmiotów niewiadomego przeznaczenia. Wykład swój p. Ossowski uzupełnił planami i licznemi fotografijami najwięcej charaktery-

stycznych wykopalisk. Takiego rodzaju wyjaśnienie, wykazujące zabytki z trzech różnych od siebie okresów, dla każdego przedstawia rzecz jasno i usuwa wszelkie powątpiewania, jeśliby kto je miał, powaga zaś Zjazdu, w którym brali udział ludzie wielkiej nauki i doświadczenia, że wspomnimy tylko hr. Uwarowa, Antonowicza, Samokwasowa i tylu innych, niejako uświęca mozolną pracę szanownego badacza. Jakoż burza oklasków była nagrodą prelegenta.

Dodać tu jeszcze winniśmy, że prof. Mierzyński z Warszawy miał odczyt o pruskiem Romowe. Dowodzi on, że Litwini i Prusacy, czcili ogień, ale nieznali bałwanów. Nakoniec, że małoruski uczony, p. Ewarnicki złożył archeologiczne opisanie w najdrobniejszych szczegółach tych miejsc, które on badał w Zaporożskiej Siczy, badał zaś z taką ścisłością, że wywołał powszechne zadowolenie. Jak wysoce ocenia pracę p. Ewarnickiego, sprawozdawca Zjazdu profesor Modestow, dość jest przytoczyć następujące jego wyrazy: „Wątpię, powiada p. Modestow, żeby śród nas, Wielkorussow, znaleźli się ludzie, którzyby do takiego stopnia, całą istotą swoją poświęcili się poznaniu swojej rodzimej krainy... W każdym wyrazie jego przemówienia przebija się wysoka miłość do swojej ziemi, do jej przeszłości i zabytków wieków ubiegłych. Słuchając jego mimowoli człowiek ulega moralnemu wpływowi jego słowa i zaczyna uwielbiać kraj jego rodzimy, zabytki tego kraju i samego prelegenta, a może, nawet i samą Sicz Zaporożską.“

Przewodniczący Zjazdu, hr. Uwarow serdecznie przemówił w dzień zamknięcia Zjazdu. Wszakże niektórzy z członków, w liczbie stu, udali się jeszcze do Krymu, dla obejrzenia miejscowych zabytków.

Z tego cośmy tu wyłożyli, można mieć wyobrażenie, że nauka archeologii nie zalega pola w Rossyi, że Zjazd Odesski, jeśli nie mógł ostatecznie rozwiązać spornych kwestyj, uchylił jednak niejedną wątpliwość, sprostował niejedne mylne pojęcie i utorował drogę do przyszłych szerszych i głębszych badań.

A. H. Kirkor.

Program 300-letniego Jubileuszu Arcybractwa miłosierdzia i Banku pobożnego w Krakowie.

W czerwcu r. b. minęła trzystoletnia rocznica, jak wielkopomnej pamięci X. Piotr Skarga S. J. uwolniony został od obowiązków rektora kollegium wileńskiego, a powołany na superyora kościoła ś. Barbary w Krakowie. Ten rok 1584 pamiętny tem głównie, że w roku rzeczonym dnia 21 października X. Piotr Skarga zawiązał w Krakowie, przy kościele ś. Barbary Bractwo miłosierdzia, na wzór tego, które widział w Rzymie, a mające na celu wspieranie ubogich wstydzących się żebrać. Bractwa miłosierdzia istniały w wielu miastach naszych lecz w jednym tylko Krakowie przetrwało próby i utrzymało się, choć nieco w odmiennym charakterze od pierwotnego.

Dowiadujemy się, że dzisiejsze Arcybractwo miłosierdzia i Banku pobożnego w Krakowie w październiku roku bieżącego obchodzić będzie uroczyście trzecie stulecie bytu swego; a to ma nastąpić w pierwszy piątek miesiąca października. Wedle uchwały arcybractwa ma być ogłoszona drukiem książka pamiątkowa, historyczna, obejmująca dzieje i historyę Bractwa miłosierdzia, dobrą i złą dolę, koleje jakie przechodziło, fundusze i uposażenie jakie miało i jakie ma dotąd. Opracowanie tego dzieła na źródłach archiwalnych powierzono X. kan. Polkowskiemu. Do dzieła a pono i luźnie ma być przygotowany wizerunek X. Skargi podług oryginału, znajdującego się w sali Arcybractwa miłosierdzia, nakoniec już odbity jest medal na tę rocznicę z popiersiem X. Skargi i odpowiednim napisem; to strona pamiątkowa, literacka. I duchowna strona nie będzie pominietą; odbędą się stosowne nabożeństwa, jedno dziękczynne w kościele ś. Barbary dnia 21 października na podziękowanie P. Bogu za ten trzystoletni byt Arcybractwa, drugie nazajutrz żałobne za duszę założyciela i wszystkich braci i sióstr. Hojniejsza tych dni ma być rozdana jałmużna ubogim wstydzącym się żebrać, a ubóstwu żebrzącemu Bracia Arcybractwa mają rozdzielać jałmużnę chleba. Bank też pobożny ze swej strony weźmie sobie za zadanie speł-

nić jakieś ważne dobrodziejstwo na korzyść prawdziwie biednych. Ma być wreszcie w jednym z dni jubileuszowych towarzyskie zejście się nie tylko Braci należących do Arcybractwa miłosierdzia i Banku pobożnego, ale i tych czyja będzie wola i ochota, aby tym sposobem zyskać coraz więcej członków, tego śmiało nazwijmy świętego stowarzyszenia.

Jak widzimy program całego obchodu chwalebnie, poważnie i w duchu Bożym jest obmyślany, a mamy też nadzieję i pewność, że i do skutku przywiedziony będzie.

Po odebraniu od Arcybractwa programu jubileuszowego obchodu mamy przyrzeczony, dla naszego pisma przeznaczony artykuł, obejmujący treściwą historyę początku i rozwoju Arcybractwa Miłosierdzia i Banku pobożnego, który też umieścimy w następnym zeszycie pisma naszego, w swoim zaś czasie damy sprawozdanie o odbytym obchodzie i książce na ten jubileusz ogłoszonej.

Pomyłka druku: Na str. 35 zamiast *1773—1859* czytaj: *1773—1829.*

Druk ukończony dnia 24 września 1884.

DARWINIZM

W OBEC ROZUMU I NAUKI.

Żadna może teorya naukowa nie zrobiła tyle rozgłosu, nie wywołała tak zaciętej walki jak teorya darwinizmu: nietylko uczeni, ale ogół publiczności, wszyscy, którzy tylko o niej zasłyszeli, wystąpili do boju, i zeszeregowali się w dwóch wrogich względem siebie obozach. Walka toczyła się głównie na Zachodzie, lecz przecisnęła się i do nas. Zwolennicy darwinizmu, przetłómaczeniem na język polski dzieł najskrajniejszych teoryi, starali się o jego rozkrzewienie w naszym kraju; nie dopięli celu, jak to sami wyznają, lecz ręki nie opuścili. Od czasu do czasu poruszają dziś tę kwestyę w pismach publicznych, zapowiadaią nowe wydanie dzieł darwinistowskich, nadto, zasłonięci powagą nauczycielską, usiłują zaszczepić niezdrowe teorye w młodocianych głowach swych słuchaczy. Pokrywać milczeniem podobne postępowanie, nie odpierać ciosów, wymierzonych przeciw temu, co samo z siebie święte, świetną nadto stanowi dla nas przeszłość, jedyną deską ratunku pod każdym względem — nie byłoby ani godnie, ani roztropnie; dlatego postanowiliśmy wykazać błędne zasady i teorye darwinizmu. Zanim przystąpimy do szczegółowych rozpraw, przypatrzmy się polu, na którem toczy się walka.

Rzut oka na świat przedstawia nam mnogość i różność jestestw: pomimo rozpadnięcia na jednostki, są jednak cechy, które je łączą. Wspólność znamion dozwala zestawiać osobniki w gromady. Gromady mają cechy stałe, odrębne. Okaz każdego nowo odkrytego jestestwa znajduje pomieszczenie w pewnej, ustalonej już gromadzie. Różność znamion jest tego rodzaju, iż chociaż

granice między działami stają się czasem mgliste, nie dość wyraźne, nie niweczą jednak układu, a uwydatniają jedność planu ogólnego.

Badawczy umysł ludzki oddawna starał się przeniknąć tajniki ustroju świata: skąd się wzięła ta harmonijna różnorodność jestestw, jakim sposobem powstała — to były pytania, które się nasuwały bystrzejszym umysłom. Różnie, różni na nie odpowiadali. Niektórzy zadawalniali się podaniami, które ubarwione miejscowością, przeobrażone w ustach opowiadaczy, różne w szczegółach, w głównych rysach objawiały wspólność pochodzenia; inni, nie mogąc się zgodzić z bajecznemi naleciałościami wiekowemi, silili więcej wyobraźnię aniżeli rozum do odsłonięcia przyczyn i sposobów. Tak bywało w starożytności. Późniejsze wieki choć nie wykluczały tego kierunku naukowego, innym wszakże gałęziom wiedzy dawały pierwszeństwo; od Bakona dopiero, szczególniej zaś od powstania niemieckiej szkoły „Filozofów przyrody", zwrócono się ku temu przedmiotowi. Bezdroża „Szkoły Jeńskiej" wywołały chwilowy zastój; lecz zadziwiające wynalazki i zastosowania pary i elektryczności z jednej strony, z drugiej zaś aberacye „umiejętności transcendentalnej" wywarły zwrót stanowczy. Tłumnie rzucono się do badania przyrody: wyrwać jej tajemnice, zużytkować je; wnikając głębiej, dociec, o ile się da, przyczyn pierwszych, by zadowolnić słuszną ciekawość umysłu — stało się hasłem powszechnem.

Rósł zastęp badaczy, w miarę przybywania szeregowano się w odrębne oddziały, powstawały specyalne umiejętności. Podział pracy, wydoskonalenie przyrządów, łatwość i szybkość podróży, a jeszcze większa łatwość i szybkość udzielania sobie nawzajem wiadomości, przy ogólnym zapale do wiedzy i odkryć, więcej w ostatnim wieku przyczyniły się do postępu nauk przyrodniczych, aniżeli w kilkunastu wiekach poprzednich. Pytania: skąd i jak powstał świat, znalazły się na porządku dziennym — kto miał o nich wyrokować? Specyaliści kształcili poszczególne gałęzie nauk, lecz cierpiał na tem pogląd ogólny. Filozofowie słusznie zaprzeczali przyrodnikom wyrokowania o przyczynach pierwszych, jako leżących poza granicami ich umiejętności; przyrodnicy nie bez słuszności odmawiali niewtajemniczonym filozofom wdzierania się w swe dziel-

nice. Te ograniczenia nie powstrzymywały nikogo: przeświadczenie osobiste, mniej lub więcej rozumem uzasadnione, podsycane miłością własną, tworzyło i głosiło systemy i teorye. Nazwy, jakie noszą te systemy: descendencya, ewolucyonizm, transformizm, są brane w znaczeniu synonimów; zapatrywania osobiste autorów, często bardzo różne między sobą, nie wpłynęły na miano ogólne; specyalna nazwa darwinizmu stanowi wyjątek pod tym względem, a tak poglądem jak i metodą odnosi się wyłącznie do szkoły, której przyrodnik angielski dał początek i swe imię.

Dwa dziesiątki lat temu, Karol Darwin wydał dzieło „o powstaniu gatunków“ [1]. Dzieło napisane z całym przyborem wiedzy, pełne przykładów wziętych z przyrody, oględne, poważne, zwróciło na siebie powszechną uwagę, lecz w samych zaraz początkach wywołało dwa odrębne prądy pomiędzy myślicielami. Nie godzili się jedni na wszystkie dowody i wywody, słuszne robili zarzuty; ale sposób traktowania kwestyi, choć nienowej, tak był niezwykły, pociągający i przystępny, iż sądzono, że ta droga otworzy nowe pole wiedzy i oświeci wiele ciemnych stron w umiejętnościach przyrodniczych; drudzy, przyjmując z zapałem wnioski Darwina, rozszerzali je poza granice stawiane przez angielskiego przyrodnika: uogólniając zmienność i rozwój gatunku, stosowali teoryę do człowieka. Żwawy spór wywiązał się między przedstawicielami dwóch kierunków; w miarę jak ostatni postępowali naprzód, oględniejszymi stawali się pierwsi: walka, która się była winna odbywać w kołach uczonych, przeniesioną została na szerszą publiczność, potrącając o najdrażliwszą stronę, stawała się namiętną. Na jaką stronę przerzuci się autor dzieła, które wywołało takie rozdwojenie? Darwin nie dał długo na siebie czekać; w r. 1871 wydał dzieło „o pochodzeniu człowieka“, w którem otwarcie zaznaczył swe stanowisko i swe zapatrywania; teorya jego weszła na nowe tory.

Aby zdać sobie sprawę z darwinizmu, zrozumieć sprzeczne zupełnie zdanie, wygłaszane o autorze przez uczonych i poważnych mężów, należy osobno rozebrać dzieło jego „o pochodzeniu ga-

[1] On the origin of species by means of natural selection, or the preservation of the favoured races in the struggle for life. London. 1859.

tunków", osobno zaś „o pochodzeniu człowieka". Pierwsze wprawdzie jest wstępem do drugiego, lecz w pierwszem Darwin jest przyrodnikiem, rozbiera kwestyą czysto-przyrodniczą, na którą można się nie zgodzić, ale nie można jej odmówić znaczenia i doniosłości naukowej; w drugiem dziele nie porzuca wprawdzie autor swej metody opartej na spostrzeżeniach, ale wnioski, jakie snuje z przytaczanych przykładów, bardzo są luźne, wiekowe zdobycze nauki tak lekceważone, najprostsze zasady logiki tak są gwałcone na każdym kroku, iż całe dzieło nie jako naukowe, ale jako wynik spaczonego umysłu uważać należy. Jeżeli bystrość umysłu, z jaką przeprowadzał teoryę „o pochodzeniu gatunków", i bogate materyały, zdobyte własnem spostrzeżeniem, postawiły Darwina w rzędzie uczonych przyrodników, to dzieło jego „o pochodzeniu człowieka", przekraczając kresy prawdziwej umiejętności, obniżając jej poziom i powagę, podkopało wpływ jego naukowy; przyrodnik przedzierzgnął się w materyalistę, uczony w sekciarza. Zajmiemy się naprzód rozbiorem pierwszego dzieła Darwina i właściwej teoryi darwinizmu.

I. O pochodzeniu gatunków.

Pojęcie zmienności gatunku. — Streszczenie teoryi Darwina. — Teorya Darwina nie posiada cech pewności naukowej. — *Metoda.* Darwin nie jest ścisły w wykładzie; nie daje określeń; przesłanki sylogizmów nie są dowiedzione, wnioski nielogiczne, najgłówniejsze prawa polegają na przypadku. — *Rozbiór prawideł Darwina.* 1. Dobór naturalny zależy na krzyżowaniu bez granic; nauka i rozum są w sprzeczności z tem twierdzeniem. — Inne czynniki doboru naturalnego są bez podstawy. — „Zmienność" nie jest nieograniczoną; zmiany powolne nie przynoszą osobnikowi korzyści, zmiany nagłe zależą od przypadku. — „Użyteczność" wymagana z początku, położoną została na indeksie. — „Czas" trwania organizmów nie był tak wielkim, jakim chce go Darwin; im większy byłby czas, tem mniejsze prawdopodobieństwo teoryi.

Wszyscy mają pojęcie gatunku, zgadzają się też wszyscy, iż w dzisiejszym stanie rzeczy tak w królestwie roślinnem jak i zwierzęcem znajdują się grupy, zwane gatunkami, lecz czy zawsze te same grupy, istniały i taka sama była ilość gatunków?: innemi słowami, czy gatunek jest stały, czyli ulega zmianom, a do

tego zmianom zasadniczym. I tak: koń i osioł stanowią dziś dwa gatunki oddzielne, pytanie jest, czy one nie mogą pochodzić od wspólnego przodka; tak samo mamy dziś około 150 odmian gołębi, stanowią one jeden gatunek, różnica jednak między nimi fizyologiczna i morfologiczna jest bardzo znaczna; otóż czy ta różnica nie mogłaby wzróść w ten sposób, iż jakaś powstała z nich odmiana za nowy gatunek musiałaby być uważaną. Farmer angielski zamienia wołu w mięso, wieprza w słoninę, konie w muszkuły; jeżeli pod wprawną jego ręką baran dorasta wołu, kur indyka, pies przedstawia się w 180 odmianach, począwszy od Charles-King noszonego w zarękawku, aż do New-Funlandów, mało co mniejszych od kucyków, czy z czasem, idąc w tym kierunku, nie możnaby zajść dalej? Doszli przemyślni Amerykanie do rasy baranów o krzywych nogach, które im nie dozwalają przekraczać zagród na pastwiskach, mają one podobieństwo do jamników; ale gdyby jamniki dały się przeobrazić na barany, byłoby to rzeczą arcy praktyczną, arcydogodną, stworzonoby nową gałąź przemysłu, która gdzieby w swym rozwoju miała się zatrzymać, trudno przewidzieć. Jakkolwiek strona utylitarna byłaby ważną, ogromnej doniosłości byłaby także strona teoretyczna kwestyi, gdyby można wykazać, że odmiany, które spostrzegamy między osobnikami jednego gatunku, mogły były niegdyś tak się spotęgować, iż jakieś osobniki zerwawszy nić gatunkową ze swemi rodzicami, ustaliły nowe przymioty wśród sprzyjających okoliczności, dały początek nowemu gatunkowi. Darwin usiłuje przeprowadzić tę myśl w dziele swem „o pochodzeniu gatunków“, wydanem w Londynie 1859.

Kwestya nie była nowa: Darwin przytacza w swem dziele dwudziestu sześciu pisarzy, którzy się nią dawniej zajmowali; najwybitniejszy między nim był Lamarck, nie szczędzi mu też zasług i pochwał; żaden jednakże z nich nie przystąpił do kwestyi z takiem nagromadzeniem materyałów, z taką bystrością umysłu; żaden urokiem dowodów i zręczną metodą nie pociągnął ku sobie tylu zwolenników, co angielski przyrodnik; stąd też szkoła, której dał początek, słusznie od jego imienia nazwaną została. Na czem polega teorya Darwina?

Teorya Darwina składa się z twierdzeń, wniosków i dowodów.

Gatunek jest zmienny, takie jest zasadnicze twierdzenie Darwina; ta zmienność zaś jest rozwijalną, to jest, że osobniki jakiegoś gatunku wskutek nowych warunków klimatologicznych, pewnych praw przyrodniczych i innych przyczyn niedobrze znanych, przybierają organa i postacie zupełnie nowe i tym sposobem przemieniają się w nowe gatunki. Stąd wnioski: wielka ilość dzisiejszych gatunków pochodzi od kilku odrębnych postaci, a może nawet od jednej tylko.

Dowody Darwina i sposób przeprowadzenia takowych, stanowią charakterystyczną stronę całej jego teoryi. Oto, jaki jest punkt wyjścia i jakie podstawy jego dowodów:

Osobniki tego samego gatunku, tak w roślinach jak i zwierzętach czasem tak są różne, iż gdyby nie znano ich pochodzenia, do różnych gatunków zaliczonymi by zostały; nigdy zaś nie są takimi, iżby choć drobnych różnic między nimi wynaleść nie można było. Te różnice występują czasem bardzo wybitnie i mogą być spotęgowanemi. Człowiek doborem sztucznym wybiera i krzyżuje osobniki, mające zbliżone cechy różniczkowe, dziedziczność potęguje je i ustala; natura działa podobnie, lecz na większą skalę, przez dobór naturalny, w którym świadomość zastąpioną jest walką o byt. Nie wszystkie jestestwa przechodzą cały cykl życia, wielka ich ilość ginie, zanim dojdzie do jego pełni; te tylko się utrzymują, które posiadają cechy różniczkowe użyteczne. Śmiertelność tedy, w skutek walki o byt, przygotowuje, wybiera osobniki, mające cechy różniczkowe odpowiednie, a cechy te, dzięki czasowi, tak się potęgują, iż mogą wytworzyć osobny gatunek, rodzaj, rzęd. Nadto aby wytłómaczyć możebność przekształceń postaci, tak pod względem morfologicznym, jak fizyologicznym, Darwin powołuje się na inne jeszcze prawidła czy prawa, jakiemi są: dobór płciowy, cechy stałe, prawo rozchodzenia się cech, prawo kompensacyi ekonomii, wzajemne stosunki wzrostu i t. d. To są w streszczeniu główne rysy jego dowodów, które postaramy się roztrząsnąć.

Aby przeprowadzić dowód, że gatunki są zmienne i przeobrażają się, należało obrać jednę z dwóch dróg: wykazać teorycznie, że natura jestestw organicznych wymaga koniecznie tej

zmienności i przeobrażenia, albo też stwierdzić na mocy spostrzeżeń, że te zmiany i przeobrażenia dokonywały się i dokonywują w praktyce. Darwin żadnej z tych dróg nie obrał, ani mógł ich obrać. Nie dowodził pierwszego, albowiem istota ciał nie jest znaną; z tego tedy punktu wyjścia nie można dowieść, że natura ich wymaga tych zmian i przeobrażeń, chociaż temu nie można również zaprzeczyć. Nie obrał drugiej drogi, albowiem te zmiany i przeobrażenia nie dzieją się w obecnej dobie, nie dokonały się od kilku tysięcy lat; niema żadnych śladów, aby się były dokonywały w peryodach geologicznych. Jedno pozostawało wyjście, ścieżka niepewna, wsród manowców, niekoniecznie prowadząca do celu; tę sobie obrał Darwin — przedsięwziął dowieść, że gatunki mogą ulegać zmianom i przeobrażeniom. Ale ponieważ *a posse ad esse nulla est illatio,* chociażby dowody Darwina były przekonywającymi, żadną miarą nie da się jeszcze z nich wywnioskować, że gatunek jest zmiennym i został przeobrażonym; teorya tedy Darwina nie może być nigdy pewną, co najwięcej mogła być prawdopodobną. A to się tyczy jedynie zmienności gatunku, nie zaś wniosku stąd wysnutego, że „wszystkie typy pochodzą od kilku albo nawet od jednego“ okazu. Wniosek ten leży poza granicami nauki pozytywnej i doświadczalnej, jak nas uczą pierwszorzędne powagi naukowe. „Nikt mnie pewnie nie zaliczy, pisze de Quatrefages, do tych, którzyby chcieli stawiać granicę wiedzy ludzkiej. Jednakże postęp nowych wiadomości naukowych w tem, co podpada pod zmysły, podlega pewnym warunkom. Najprzenikliwszy umysł spostrzegacza nie jest zdolny odkryć nigdy, w dziele nawet ludzkiem, sposobów, jakiemi ono zostało wykonane. Żaden najbieglejszy zegarmistrz, pomimo że zna doskonale wszystkie kółka i śrubki, nie dojdzie jeszcze, chyba że wie skądinąd, jak się wytapia ruda, kuje żelazo i hartuje stal. Tak samo rzecz się ma w przyrodzie. Dla niej jak i dla nas, zjawiska, które wytwarzają, są odmienne od zjawisk, które zachowują a zarazem różne od tych, jakie się objawiają w przedmiocie utworzonym. Najdokładniejsze badanie anatomiczne i fizyologiczne zwierzęcia lub rośliny nie dają nam żadnego wyobrażenia o rozwoju komórki mikroskopijnej, która jest punktem wyjścia dla psa, słonia

i samego człowieka. Przed naszemi oczyma mamy tylko gatunki gotowe; żadną tedy miarą nie możemy wiedzieć coś o sposobie ich utworzenia. Wiemy, że przyczyna nieznana, która dała początek gatunkom kopalnym i żyjącym, po wielekroć okazywała swą działalność na kuli ziemskiej. Czy działa obecnie? O ile wiemy z badań naukowych, działanie jej odpowiadało wielkim przewrotom geologicznym; jednakże może być, że i dziś działanie swoje wywiera na jakimś punkcie ziemi, pomimo i wśród tego ogólnego spokoju. Jeżeli tak jest, może kiedyś przypadek szczęśliwy sprowadzi nas na ślady jej działalności i będziemy w stanie odsłonić tajniki życia organicznego. Lecz dopóki doświadczenia i spostrzeżenia nie wykażą nam i nie nauczą nas czegoś nowego, ktokolwiek chce pozostać wiernym poważnej nauce, musi przyjąć gatunek i jego dziedziczność, jako fakt stwierdzony, do każdego typu gatunkowego zastosuje to, co Darwin stosował do jednego, jedynego prototypu. Aby zostać wiernym nauce, dla wytłómaczenia tego co jest dotąd niewytłómaczonem, nie będzie poświęcał przypuszczeniom, jakkolwiek ponętnym i bystrym, nauki poważnej, ścisłej, pozytywnej, dwuwiekową pracą zdobytej... Czy w początkach istniała jedna, jedyna tylko para każdego gatunku? Czy też więcej par zupełnie podobnych, tak morfologicznie jak i fizyologicznie, pojawiło się bądź naraz, bądź w pewnych odstępach czasu? To są fakta, o których zbadanie nauka nie może i nie powinna się kusić, albowiem ani doświadczenie, ani spostrzeżenia nie dają nam żadnych danych do wydania wyroku potrzebnych“ [1].

Cała tedy kwestya redukuje się do tego: czy teorya Darwina o zmienności gatunków ma prawdopodobieństwo i jakie?

Za i przeciw teoryi Darwina wiele już ksiąg napisano, przeważnie zagranicą; u nas pobieżnie ta rzecz była traktowaną: wielbiciele w skromnych treścią artykułach występowali z deklamacyą, przeciwnicy nie dość systematyczne zarzuty przeciw niej podnosili — chcieliśmy uniknąć tych przywar. Przystępując do badania kwestyi, nie liczyliśmy się ani do zwolenników, ani do przeciwników Darwina, aniśmy potrzebowali, aniśmy chcieli jej naprzód

[1] Esp. hum. p. 75, 61.

przesądzać. Jako chrześcijanie, nie mamy nic przeciw zmienności gatunku, P. Bogu bowiem nie podobało się objawić nam, w jaki sposób powołał do życia jestestwa organiczne; jako przyrodnicy, nie należymy do żadnej szkoły, nie mamy pociągu osobistego do żadnego systemu, nie odrzucamy żadnego, lecz nie przyjmujemy pierwszego lepszego, bez należytego zbadania. Wynik jednak naszych badań postawił nas w szeregach przeciwników Darwina: zasadzając się z jednej strony na mocnych i nieodpartych zarzutach, jakie teorya jego wywołuje, z drugiej zaś na powadze pierwszorzędnych znakomitości naukowych, uważamy teoryę Darwina o pochodzeniu gatunków nietylko za nieudowodnioną, lecz nawet błędną, niedającą się pogodzić z wiedzą nabytą przez umiejętności przyrodnicze, a stąd niemającą żadnego prawa do noszenia nazwy teoryi naukowej.

Bo i jakaż jest właściwie metoda Darwina?

Charakterystyką wszystkich wywodów Darwina jest brak ścisłości. Jeden z myślicieli słusznie zauważył, iż celem nauk przyrodzonych jest danie dobrego określenia. Darwin minął się zupełnie z tym celem; w dziele „o pochodzeniu gatunków“ nietylko nie daje dobrego określenia gatunku, ale żadnego nie daje. Rzecz to arcywygodna, czegoby tym sposobem dowieść nie można było! Zresztą, na co nawet dowodzić; jeżeli, jak Darwin utrzymuje w rozdziale „Wątpliwe gatunki“, że sama nazwa „gatunek“ jest sztuczną, że gatunek nie różni się od „odmiany“, czyż potrzeba się mozolić z wyszukiwaniem dowodów? Tej metody trzymają się zwykle transformiści, jak zauważył de Quatrefages: „Pod wpływem doktryn transformistowskich niektórzy pisarze, zwyczajnie nieobeznani z naukami przyrodniczemi, zaprzeczyli rzeczywistości gatunkowi... Nie będę wznawiał sporu z tymi ludźmi, którzy wiedzeni własną powagą odrzucają wiekową pracę, nagromadzoną przez największych przyrodników, przez ogromną liczbę znakomitych znawców botaniki i zoologii; oświadczają oni, iż nie jest rzeczą użyteczną dochodzenie co jest gatunek, co jest rasa i żartują sobie z tych, którzy się temu oddają“ [1].

[1] Espèce humaine p. de Quatrefages p. 59.
Znajdują się jednakże między Darwinistami, którzy się innej

Wykład Darwina nie jest ani syntetyczny, ani analityczny, a nadto ma swoje właściwe cechy. Każdy rozdział zawiera mnóstwo przykładów i szczegółów, znanych i nieznanych; jedne z nich mają związek z zadaniem, inne żadnego; jedne są uzasa-

---

trzymają metody — dają określenie, ale lepiej, żeby go nie dawali. Do tej liczby należy Dr. Rostafiński. W r. 1882 ogłosił w „Niwie“ apologię Darwina; wyszła też ona w osobnej odbitce pod tytułem: „Karol Darwin“. Z okazyi określenia „gatunku“, p. Rostafiński surową udziela naganę „Scholastyce“, iż „przeinaczała spostrzeżenia, które się jej gwałtem ciskały w oczy“ i dlatego „prawdziwa umiejętność ani istnieć, ani powstać nie mogła“... „Scholastyka bowiem była wręcz przeciwna w swem dążeniu i sposobie rozbierania naukowych kwestyj od dzisiejszego kierunku“. Dlaczego p. Rostafiński napada na Scholastykę i to z okazyi określenia gatunku, trudno wiedzieć; czy dlatego, że Scholastycy nie dawali określenia tego pojęcia? Profesorowie botaniki nie są obowiązani do studyów nad Scholastyką, ale ci, którzy o niej chcą coś powiedzieć, winniby trochę więcej wiedzieć i umieć, aniżeli to, co encyklopedye podejrzanej wartości o niej zawierają. Dobrze jest, żeby ci panowie posłuchali rady pisarza, którego o stronniczość nie pomówią: „Niech pp. chemicy wiedzą jednę rzecz, mówi Schoppenhauer, iż jeżeli znajomość chemii wystarcza dla aptekarza, nie wystarcza jednak dla filozofa. Należy również przypomnieć niektórym przyrodnikom, iż można być zawołanym geologiem, znać doskonale sześćdziesiąt gatunków małp, a koniec końców, jeżeli nic oprócz tego się nie wie i nie umie, jeszcze się niema prawa do tytułu uczonego. A ten przypadek jest dzisiaj bardzo zwykły. Oto widzimy przed sobą cały zastęp uczonych chemików, fizyków, mineralogów, zoologów, fizyologów, którzy znają dobrze swój przedmiot, ale nic nadto więcej, i ci panowie przedstawiają się za ogniska, mające rzucać światło na całą ludzkość. Zdarza się często, iż pozwalają sobie brać pod rozbiór jakieś wspomnienia katechizmu, którego byli się uczyli w młodości; w tym razie upatrzyć jakąś sprzeczność, nie jest rzeczą trudną, idzie w ślad za tem wyśmianie religii i oto gotowi materyaliści. O istnieniu Platona, Arystotelesa, Leibnica słyszeli byli na ławach szkolnych, lecz ponieważ ci ludzie nie zajmowali się ani retortą, ani alembikiem, nie zasuszali małp... więc nie byli uczonymi“. (Schoppenhauer. Oeuvr. compl. de Baader, t. VII., Intr. p. XXII.) Mówi dalej p. Rostafiński: „Wprowadzając więc do nauki termin gatunku, dał mu Linné scholastyczne określenie, stworzył niczem nieugruntowany dogmat stałości gatunków i pozostawił zupełnie nierozwiązaną kwestyę ich pochodzenia“. Całe to twierdzenie jest bezpodstawne. I tak Lineusz nie zostawił tej kwestyi bez rozwiązania. Lineusz był chrześcijaninem, wierzył i wyznawał, że P. Bóg dał

dnione przez wielu biegłych spostrzegaczy, inne są przytoczeniem słów wątpliwej wiarogodności jakiegoś podróżnika. Ze zdarzeń poszczególnych wysnuwa Darwin wyniki, zawsze z dołączeniem: „zdaje się, może być, prawdopodobnie, o ile sądzić mogę“... albo też: „tyle jeszcze pozostaje niewyjaśnionych punktów, któż wytłómaczyć zdoła, wiele jeszcze pozostaje do zbadania“... w ostatecznym zaś wniosku zwykle bywa: „jestem przekonany“, Uwaga czytającego wytężona nad szczegółami tak się rozstrzela, iż gdy autor kończy rozdział i wyprowadza wnioski, znużony umysł czytelnika nie widzi ani przyczyn, dla którychby miał je

---

początek jestestwom. Nierozwiązalną dla nas kwestyą jest to, dlaczego p. Rostafiński wprowadził tu Lineusza: Lineusz bowiem ani nie pierwszy wprowadził do nauki pojęcie o gatunku, ani też nigdy i nigdzie nie dawał określenia tego pojęcia; kilka wyrazów, które przytacza p. Rostafiński, jakoby z Lineusza, ani nie są określeniem, ani też nie wyrażają prawdziwego pojęcia, jakie miał Lineusz o gatunku. Powołujemy się na świadectwo p. de Quatrefages, któremu trudno zarzucić niewiadomości pod tym względem — oto są jego słowa: „Les anciens, les savants du moyen âge ou de la renaissance, pas plus Conrad Gesner, qu' Albert le Grand ou Aristote, ne se rendirent compte de ce qu'ils appelaient une espèce. Il faut arriver à Jean Ray (1686) et à Tournefort (1700), pour voir la question se poser nettement... (Rap. sur le progrès de l'Anthr. p. de Quatrefages p. 102).

Linné n'a pas donné de definition, mais ses idées très nettement exprimées, ont été en réalité formulées de la manière suivante par Antoine-Laurent de Jussieu: „L'espèce doit être definie une succession d'individus entièrement semblables perpetués au moyen de la génération“. (Char. Darv. p. de Quatr. 220).

Dla rozproszenia ciemności scholastycznych p. Rostafiński wychowany „w owym kierunku przyrodniczym, który tworzy swe pojęcia na podstawie spostrzeżeń“, takie daje określenie: **gatunek** jestto zbiór choćby mnóstwa osobników, z których każdy pochodzi od innego należącego do tego samego **gatunku**. Przyznajemy p. Rostafińskiemu, iż jego określenie nie jest scholastyczne; żaden Scholastyk nie byłby wykroczył przeciwko znanej regule logiki, że w definicyi pojęcie mające być określone, nie powinno się wstawiać w samo określenie. Nie wiem, czem się różni definicya powyższa od tej: circulus est figura circularis; takiego określenia „dzisiejsza umiejętność, która się nie krępuje ostatecznymi poglądami Scholastyki“, nie wpisze między zdobycze XIX. wieku.

przyjąć, ani powodów do ich odrzucenia. Należy dopiero powtórnie przeczytać, a nawet kilkakrotnie, aby wyrobić sobie jakiś sąd.

Wystarczy przeczytać pierwszy rozdział, który nosi tytuł: „Przemiany w stanie swojskim czyli pod wpływem hodowli“, aby poznać całą metodę. Co tam za chaos przykładów, przypuszczeń, twierdzeń, zaprzeczeń, sprzeczności, a wszystko luźne, niepowiązane, niemające określonej dążności, szczególniej zaś niepewne; na pierwszej zaraz stronnicy dziesięć razy użył Darwin swych przekonywających wyrażeń: „o ile sądzić mogę, zdaje się...“ Na końcu każdego rozdziału znajduje się streszczenie, które według natury swojej i odnośnego pochodzenia jest też „wyskokiem“ niepewności. I tak w streszczeniu rozdziału pierwszego Darwin mówi: „Zmiany warunków życia mają wielkie znaczenie... Nieprawdopodobnem jest, aby zmienność była wrodzoną i konieczną... Zmiennością rządzą liczne nieznane prawa, z których prawdopodobnie najpotężniejszem... Cokolwiek wpływu przypisać można działaniu określonemu warunków zewnętrznych bytu, o ile jednak, nie wiemy; cokolwiek a może i wiele przypisać wypada... Wszystkie te wpływy czynią ostateczny rezultat niezmiernie złożonym. W niektórych wypadkach istotny udział... posiadało prawdopodobnie skrzyżowanie gatunków... przypadkowe ich skrzyżowanie, przy współudziale doboru, niewątpliwie przyczyniło się i t. d.“ Streszczając bardziej to całe streszczenie wynika: czasami bywają zmiany, czasami nie bywają, czy są jakie prawa, które niemi rządzą nie wiemy, słowem, nic nie wiemy.

W streszczeniu Darwina spotykamy wyrażenie „przypadkowe“; przypadek jest pełen znaczenia w całej teoryi Darwina: przypadek, możebność, osobiste przekonanie są podwalinami teoryi. Jakie podwaliny, taka i teorya. Dowody na naszą przesłankę znajdzie uważny czytelnik w dziełach Darwina; rozbiór ich i przytaczania przekroczyłyby zakres naszej pracy; sądzimy, iż wystarczy powołać się na powagę znakomitego i bezstronnego przyrodnika, który chociaż przeciwnik, z wielkiem uznaniem talentu i wiedzy wyrażał się o założycielu nowej szkoły. „Aby przeprowadzić, pisze de Quatrefages, przemianę fizyologiczną rasy w gatunek, co się sprzeciwia wszelkim znanym dotąd wia-

domościom naukowym, Darwin i jego uczniowie odrzucają wiekowe dane, oparte na doświadczeniu, a na ich miejsce wprowadzają przypadek możebny i nieznany. Cała teorya Darwina oparta jest na możebności przemiany. Widzimy zaś, na czem ta możebność polega. Otóż, pytam każdego człowieka niezawisłego, bezstronnego. który się zajmuje cokolwiek naukami przyrodzonemi, czy na takich podstawach możnaby budować teorye we fizyce i chemii? Podobne dowody znajdują się na każdej stronicy pism Darwina. Czy to idzie o rzecz zasadniczą, którąśmy dopiero co roztrząsali, czy też o jaki szczegół, np. przemiany sikory w orzechówkę, występują zawsze dowody tego samego rodzaju, mianowicie: możebność, przypadek, osobiste przekonanie. Czy na takich dowodach ma się opierać nowoczesna nauka?“ [1]. Według przyjętej metody, Darwin powołuje się ciągle na nieznajomość przyrody i umieściwszy w swem założeniu nierozwiązalne x, wywodzi wniosek jako pewny. „To odwoływanie się do nieznajomej, jest podstawą każdego dowodu Darwina“. A nieznajoma ta jest bardzo wygodna, „ona bowiem tylko może otworzyć szerokie pole domniemaniom, w których możebność zastępuje rzeczywistość, gdzie, pomimo bardzo szerokiej wiedzy, pomimo gruntowuej bystrości umysłu, przychodzi się, poniewolnie niejako, do wywnioskowania na swą korzyść tego, co przedtem przyjęto za nieznane“ [2]. Wreszcie Darwin do przeprowadzenia swej teoryi przyjmuje z umiejętności to tylko, co służyć może do jej poparcia, a bez żadnego względu odrzuca wszystko, co ją obala [3]. Nakoniec niejednokrotnie, jak to w ciągu tej pracy zobaczymy, utrzymuje twierdzenia wprost sprzeczne.

Taką jest metoda wykładowa Darwina; koniecznem następstwem jakie stąd wynika jest, iż żadne z jego praw, czy prawideł,

[1] Esp. hum. p. 73, 74.

[2] Char. Darw. p. 169.

[3] Le Darwinisme exclut, lui, presque toute la masse des connaissances acquises, pour s'assimiler et faire ressortir exclusivement ce qui peut servir à la Doctrine. Ce ne sont pas les faits qui determinent pour les Darwinistes le caractère des généralisations, c'est le système qui prétend dicter les caractères de l'ordre de choses. (De l'Esp. et de la Classif. p. Agassiz p. 377).

któremi chciał uzasadnić swoją teoryę, nie daje żadnej gwarancyi, ani nie może budzić pewności; co więcej, każde z tych prawideł tyle wywołuje zarzutów, do takich doprowadza sprzeczności z codziennemi spostrzeżeniami, iż żadną miarą na nazwę prawa fizycznego zasłużyć nie może. Zakres naszej pracy pozwala nam jedynie do zajęcia się więcej szczegółowo głównymi z tych prawideł, mianowicie doborem naturalnym, doborem płciowym i walką o byt. Rozpoczynany od doboru naturalnego.

Darwin nie stawia nigdy tezy jasno i wyraźnie; dzieło jego składa się z rozdziałów noszących nagłówki, ale w każdym z nich mówi o wszystkiem, a to, coby należało koniecznie tam wypowiedzieć, obiecuje gdzieindziej dopiero wyjaśnić. Stąd rozbiór dzieła jego napotyka trudności: mówiąc o jednem z jego prawideł, trudno o inne nie potrącić — idzie zatem mimowolne powtarzanie się i pewien zamęt. Co więcej, należy pozbierać jego myśli i zdania rozproszone w różnych rozdziałach do utworzenia całości, przeciw której się występuje. Zebrane w ten sposób czynniki, którymi Darwin chciał uzasadnić swój dobór naturalny, dadzą się sprowadzić do następujących: 1° *krzyżowanie* między osobnikami jest możebne bez względu na gatunek; 2° *zmienność* osobników jest nieograniczoną; 3° skutek przeobrażenia zależy od *użyteczności* odmiany nabytej; 4° do przemiany gatunku potrzebny jest *czas* nieograniczenie wielki. Wszystkie te czynniki nie mają podstawy bytu; postaramy się to wykazać.

Należy się przedewszystkiem porozumieć co do znaczenia wyrazów technicznych, których używać będziemy, mianowicie zaś co do wyrazów: gatunku, rasy, odmiany. Z pomiędzy wielu określeń, jakie dają przyrodnicy, wybieramy tu określenie p. de Quatrefages. „Gatunkiem nazywamy, mówi on, zbiór osobników mniej więcej podobnych do siebie, które mogą być uważane jako pochodzące od jednej pierwotnej pary i stanowią rodzinny szereg, nieprzerwany i przyrodzony“. Inne określenia różnią się cokolwiek od poprzedzającego, jednakże we wszystkich, albo prawie we wszystkich, zawarte są pojęcia, podobieństwa i wspólnego pochodzenia; określenie Qutrefages'a nie wyklucza bynajmniej przemiany gatunku, co darwiniści zarzucali określeniu Cuvier'a. Osobniki tego samego gatunku, przez krzyżowanie sztuczne, potę-

gują czasami niektóre swe znamiona tak morfologiczne, jak i fizyologiczne, i przekazują je swym następcom; gromada takich osobników nazywa się rasą. I tak, wszystkie konie należą do jednego gatunku, całe stada koni wyróżniające się stałemi cechami stanowią rasę, arabską, angielską, polską...; wreszcie w jednej i tej samej rasie niema dwóch koni do siebie podobnych; osobniki podlegające znaczniejszym różnicom zowią się odmianami. Takie pojęcia mają wszyscy ludzie; nie mają też innego, ani mieć mogą i uczeni zoologowie, jeżeli nie przychodzą z jakimś z góry obmyślanym systemem. Darwiniści z umysłu mieszają te pojęcia i nazwy aby przeprowadzić swoje krzyżowanie bez granic, wbrew nauce, wiekowemu doświadczeniu i codziennym spostrzeżeniom.

1. Krzyżowanie podlega pewnym prawom i ma swoje granice.

Krzyżowanie sztuczne odbywa się albo pomiędzy osobnikami należącymi do tego samego gatunku i tej samej rasy, a wówczas potomstwo niema szczególnej nazwy; albo pomiędzy osobnikami tego samego gatunku, lecz ras odmiennych, i potomstwo zowie się metysami, albo mieszańcami; wreszcie nosi nazwę hybrydów potomstwo osobników dwóch różnych gatunków. Doświadczenie uczy, iż potomstwo powstałe w dwóch pierwszych rodzajach krzyżowania jest zawsze płodne, krzyżowanie zaś trzeciego rodzaju, jeżeli się uda (sztuczne udaje się niekiedy, nigdy zaś w naturze), wydaje hybrydy, które albo są niepłodne, albo też po kilku pokoleniach wracają do swych pierwotnych typów, co się nazywa atawizmem. De Quatrefages tak streszcza prawa krzyżowania[1]: „Gatunek zmienia się, wyradzają się w nim rasy i odmiany. Rasy połączone są tak z sobą, jak i z typem gatunkowym, od którego pochodzą, węzłem fizyologicznym. Ten węzeł fizyologiczny uwydatnia się w łatwych i płodnych związkach płciowych między osobnikami najbardziej odmiennych kształtów, w trwałej płodności mieszańców i w zjawiskach atawizmu. Nie istnieje związek fizyologiczny między gatunkami; stąd nadzwyczaj trudne i zwykle bezpłodne są połączenia płciowe między osobnikami dwu oddziel-

[1] Charl. Darw. p. 264.

nych gatunków, stąd bezpłodność większej części hybrydów, zjawiska bezładnych odmian, brak zupełny atawizmu w hybrydach po powrocie do typów gatunkowych. Rasy mieszańców tworzą się łatwo, samodzielnie, poza wpływem pomocy ludzkiej a często pomimo jej usiłowań. Po nadzwyczaj licznych próbach i staraniach doszliśmy dotąd sztucznie do otrzymania jednej tylko hybrydy, która w ciągu dwudziestu pokoleń, przy wielkiej pieczołowitości, pozostaje jeszcze płodną. Taki jest stan dzisiejszy". Ten zaś stan dzisiejszy, czyli to ograniczone krzyżowanie taką jest dla teoryi Darwina zawadą, iż sam Huxley żąda jej uprzedniego usunięcia. „Przyjmuję teoryę p. Darwina, mówi on, pod warunkiem dowodu, że wybór świadomy wytwarza gatunki fizyologiczne". Ale żądanego dowodu natura odmawia, krzyżowanie bez praw i granic jest niemożebne. „Znieście w myśli prawa ciążenia, jaki powstanie zamęt w sferach niebieskich! Znieście na naszej kuli prawa krzyżowania, jaki wyniknie stąd bezład! Nie pojmuję zupełnie, jakby się zakończył. Po upływie kilku pokoleń grupy, które nazywamy: rodzajami, rodzinami, rzędami, gromadami, zniknęłyby z pewnością. Nadto, po niewielu wiekach zatarłyby się różnice między światem zwierzęcym a roślinnym. A ponieważ te różnice istnieją od czasu pojawienia się istot organicznych na ziemi, ten ład mógł się jedynie utrwalić niemożebnością przetwarzania się gatunków, zapomocą wrzekomo płodnego krzyżowania bez końca"[1]. Uczony antropolog, któregośmy słowa przytoczyli, miał wszelkie prawo do zawnioskowania, że dobór naturalny, taki jaki istnieje, to jest ograniczony prawami krzyżowania, prowadzi jedynie do stałości, nie zaś do zmienności gatunku; przechodzimy do innych czynników.

2. Aby dobór naturalny mógł wywrzeć jakikolwiek skutek na rozwój gatunku, osobniki muszą ulegać pewnym odmianom; aby zaś ten skutek wywołał przeobrażenie gatunku, odmiany muszą być wszechstronne i bez granic. Rzecz to widoczna; jeżeliby bowiem różnica między osobnikami była ograniczona tak co do kierunku, jak i co do natężenia,

[1] Esp. hum. p. de Quatr. p. 59.

dobór naturalny, w najlepszym razie, doszedłby tylko do tego, do czego dochodzi dobór sztuczny, to jest do wytworzenia ras, lecz nigdy do przeobrażenia gatunku. Czy Darwin dowiódł wszechstronności i bezgraniczności odmian?

W odpowiedzi na to pytanie musimy naprzód zauważyć, iż przewodnia myśl Darwina, jaką się kierował w zapatrywaniu na odmiany osobników, jest sprzeczną z danemi, które nam spostrzeżenia dostarczają. Według Darwina, potomstwo jestestw organicznych, pochodzących w prostej linii, dąży ciągle do przekształcenia cech odziedziczonych po przodkach; jeden nawet z jego adeptów (Rutimeyer) wygłosił jako prawo naturalne aksiomat: *Gleiches niemals gleiches erzeugt.* Ta hypoteza podkopuje naukę fizyologii i odrzucoLą jest przez uczonych przyrodników. Prawdą jest, że osobniki pochodne od tych samych rodziców podlegają pewnym odmianom, nie są w zupełności do siebie podobne, lecz różnice te nie przekraczają granic wskazanych przez gatunek[1]. „Poró-

[1] Die Naturforscher unserer Tage finden die meisten Arten sehr bestimmt begrenzt, obgleich sie nicht in Abrede stellen, dass einige stark variiren, wie unter den Pflanzen die Arten von Rubus, Hieracium, Rosa, von Thieren die Arten von Anodonta und überhaupt von manchen Mollusken mit Schalen. Gerade unter den höheren Thieren, die am meisten variiren müssten, weil sie durch die längsten Variationsreihen hindurchgegangen sind, sind viel weniger auffallende Schwankungen zu bemerken. In früheren historischen Zeiten muss es ungefähr ebenso gewesen sein, da auch die Alten von bestimmten Thieren sprechen und der Schwankungen wenig erwähnen, weil sie überhaupt die Formen nicht so genau unterscheiden, als die neue, systematisch zoologische Zeit. Aber auch in noch früherer Zeit muss es aehnlich gewesen sein. Unter den fossilen Molluskenschalen sind viele sehr bestimmt, andere aber schwankend. Am meisten schwanken vielleicht die Brachiopoden der Vorzeit. Der Palaeontolog Pander hat mir einmal auf einem Brette 30—40 Exemplare eines Brachiopods hingestellt, wo die beiden Enden der Reihe von einander sehr abwichen, aber durch sehr kleine Uebergänge doch mit einander verbunden waren. Allgemein aber waren diese kleinen Schwankungen auch in der silurischen Zeit nicht. Die Trilobiten zeigen sich hier in zahlreichen, meistens gut charakterisirten Arten“.

(De Baer. Studien a. d. Gebiete der Naturwissenschaft, t. 2, 1876, p. 291). „Ich halte die Darwinische Lehre schon in ihrer ersten Grundlage für irrig, indem sie die Verschiedenheiten der Organismen entstehen lässt durch die kleinen Abweichungen, welche zwischen Eltern und einzelnen ihrer Nachkommen sich finden. Diese

wnywałem między sobą, mówi Agassiz[1], tysiące osobników tego samego gatunku, ułożyłem mianowicie obok siebie 27,000 okazów muszli z rodzaju Neritina, otóż, jakkolwiek nie znalazłem między nimi dwóch zupełnie do siebie podobnych, nie znalazłem jednakże żadnego, któryby tak się wyróżniał od typu gatunkowego, iżby przekraczał jego granicę... Nie wiem gdzie szkoła darwinistowska czerpała fakta, na których uzasadnia swe twierdzenie, iż istoty organiczne, pochodzące wprostej linii, coraz więcej różniczkują swe cechy"...

Darwin pojmował dobrze sprzeczność, w jaką wpada, przyjmując z jednej strony zmienność bezgraniczną cech, a z drugiej ich dziedziczność; stąd bardzo oględnie i wymijająco, jak zwykle, wyraża się o tym czynniku. W pierwszym zaraz rozdziale mówi, jak to wyżej widzieliśmy, iż o zmianach, jakim podlegają osobniki, n i c n i e w i e m y. W innem swem dziele większy jeszcze kładzie nacisk na tę niewiadomość. „T e r a z przeto przyszedłem do przekonania, że jest bardzo prawdopodobnem, iż wszystkie ustrojowe istoty — a w tej liczbie i ludzie — posiadają mnóstwo zmian w budowie, które ani w danej chwili, ani przedtem nie przyniosły im żadnej specyalnej korzyści. Wprawdzie n i e w i e m y, co wywołuje owe niezliczone i drobne różnice istniejące między osobnikami należącymi do tego samego gatunku. Tłómaczyć je jako objawy zwrotu wstecznego nie na wieleby się przydało; bo tym sposobem nie rozwiązalibyśmy zagadnienia, a tylko cofnęlibyśmy je o parę kroków wstecz. Wszelako przyznać musimy, iż każda taka osobnicza modyfikacya w budowie, lubo najdrobniejsza i mało

---

Abweichungen sind nur wechselnde Unvollkommenheiten in der Nachbildung und fallen, wenn sie nicht vollkommene Missbildung sind, in folgenden Generationen in die Grundform zurück. Wie sie sich summiren sollen, um eine abweichende, bleibende Nachkommenschaft zu erzeugen, ist nach den Erfahrungen der Jetztzeit gar nicht abzusehen. Aber selbst wenn diese kleinen Abweichungen durch irgend eine Nothwendigkeit sich summiren sollten, scheinen sie doch mit der Vergangenheit nicht zu stimmen. Es sind nicht nur die meisten Arten gut von einander geschieden, sondern auch die Sippen, und selbst unter den Ordnungen und Klassen stehen einige ganz isolirt ohne alle Uebergänge zu andern. Einige Familien sind sehr reich an Arten, andere ganz arm". (De Baer. l. c. p. 424).

[1] De l'espèce et de la classification. Paris. 1869, p. 380.

znaczna, ma jednak swą właściwą przyczynę sprawczą. Otóż gdyby te przyczyny, jakiejkolwiek one zresztą są natury, działały jednostajnie i energicznie przez długi przeciąg czasu, (a nie mamy żadnych powodów powątpiewania, że tak nie dzieje się czasami), to rezultatem ich działalności byłyby prawdopodobnie nietylko drobne indywidualne różnice, ale wybitne i stałe modyfikacye kształtów. Co się zaś tyczy tych właśnie przyczyn, które wywołują owe tak zwane samodzielne zmiany, to o nich doprawdy tylko tyle powiedzieć możemy, iż w ściślejszym są związku z konstytucyą organizmu, aniżeli z naturą warunków, pod wpływem których organizm ten żywot swój wiedzie“ [1]. Innemi słowami: doprawdy nic a nic nie wiemy. — Na trudność zadaną, dlaczego organizmy bardzo pojedyńczej budowy przetrwały mnogie wieki, Darwin odpowiada: „Nie przedstawiły się zmiany skuteczne, stąd wybór naturalny nie mógł swem działaniem ich spotęgować“. Na to odpowiada mu de Quatrefages: „Tak więc los szczęścia, traf, jednem słowem przypadek panuje wszechwładnie nad temi prawami, które miały być tak silnie i logicznie z sobą powiązane, a przynajmniej przypadek uważany jest za konieczny, aby te prawa spełnić się miały! Po za tem najskrajniejszem przypuszczeniem, widoczną jest rzeczą, że już nic innego przypuścić nie można“ [2].

Przyznajemy Darwinowi, iż „mało co wiemy“ o zmianach, jakim podlegają osobniki, ale z tego co wiemy, przychodzimy do wniosków sprzecznych z Darwinem: ani objawy zewnętrzne zmian, ani istota ich, nie popierają teoryi darwinistowskiej.

Jak się objawiają na zewnątrz zmiany osobników, nagle czy powolnie? Oto pytanie jakie się najprzód przedstawiało. Darwin idąc za Lamarckiem utrzymuje, iż te zmiany są bardzo drobne, „niedostrzegalne“ i „niedostrzegalnie“ też natura je potęguje. Wywiązały się trudności. Jeżeli różnice są „niedostrzegalne“, jaki pożytek mogą przynieść osobnikowi? jeżeli działanie jest „niedostrzegalne“, jakim sposobem] dostrzedz, przekonać się możemy o skutku? Odpowiedź Darwina, który kładł wszystko na karb czasu, nie zadowolniła samychże adeptów; szkoła rozpadła się na

[1] O poch. czł. str. 151.
[2] Charl. Darw. p. de Quatr. p. 213, 214.

dwie części: jedni pozostali przy zmianach powolnych, a milczeniem zbywali trudności, inni omijali trudności, przyjmując zmiany nagłe. Pierwsi pozostali pod ciężkim zarzutem nielogiczności, lecz i drudzy nie mogli uważać się za zwycięzców. „Przypuszczenie ich, mówi do Quatrefages[1], nie wyjaśnia stosunków, jakie istnieją między typami, ani tego ładu, jaki okazuje się w całości, a który się utrzymywał w ciągu czasów paleontologicznych, wśród geologicznych przewrotów kuli ziemskiej, pomimo zmian fauny i flory. Przypadek, nie oparty na żadnych prawidłach czy prawach, przypadek, jako przyczyna bezpośrednia zdarzeń nic nie tłómaczy; tem bardziej, iż zupełnie nie objaśnia trwania typów zasadniczych, ani powinowactwa typów pochodnych". Darwin w tym sporze, jak zwykle w tych razach, trzymał z jednymi, lecz nie opuszczał drugich, pozostał przy zmianach powolnych, nie odrzucał jednak nagłych. „Wybitne nawet różnice, pisze on[2], występują przypadkowo pomiędzy młodzieżą jednego gniazda i pomiędzy siewkami jednego torebkowego owocu"... potworności nawet „nie dadzą się odgraniczyć od mniej znacznych zmian". Co tedy mogą znaczyć deklamacye apologistów Darwina, trudno dociec, co np. znaczy to powiedzenie p. R.: „Leibnitzowskie *natura non facit saltum,* przyroda postępuje bez skoków, o którem Cuvier próżno chciał zapomnieć, przywrócone do godności (sic) w granicach tych zmian, które przedstawia skorupa ziemi, miało się stać wkrótce prawdą i dla ciał żywych, na skorupie tej rozmieszczonych"[3]. Najprzód dziwna to jakaś „godność", która jest błędną, a za taką sam „mistrz" ją uznaje: „zanadto przesadzono doniosłość tego wyrażenia, *natura non facit saltum*"[4]. Następnie dlaczego nie oddać sprawiedliwości Darwinowi i nie przyznać mu, iż usiłował się wydobyć z pierwotnych bałamutnych swych twierdzeń, a że tak było, możemy zawierzyć świadectwu p. de Quatrefages. „Zaznaczamy tu mimochodem, że w ostatnich wydaniach swej książki Darwin przyznaje przyrodzie działalność za pomocą „skoków raptownych", które nagle ukazują się w oso-

[1] Esp. hum. p. 66.
[2] O poch. gat. str. 24.
[3] Karol Darwin p. J. Rostafińskiego, str. 8.
[4] Orig. des esp. Paris, 1882, p. 212.

bniku, i wyznaje, że zanadto mało przywiązywał do nich wagi w pierwszych wydaniach swego pisma“ [1].

Lecz jakiekolwiek byłyby zmiany, nagłe czy powolne, nie mogły w żaden sposób być nieograniczonymi, to bowiem sprzeciwia się codziennemu doświadczeniu i zdrowej logice. I tak wszyscy, którzy się oddają chodowli bydła i ogrodowizny, wiedzą dobrze, iż zmiany w każdym gatunku przedstawiają się w pewnych tylko kierunkach, nieprzewidzianych z góry, znanych jedynie z doświadczenia, i w tych tylko kierunkach zmiany te starają się rozwinąć i utrwalić. Logicznie rozważając rzecz, inaczejby być nie mogło. Jeżeliby zmiany nie miały granic określonych, nastąpiłoby koniecznie jedno z dwóch: albo osobniki różnych rodzajów rozchodziłyby się od swych typów w jednym kierunku, albo w różnych kierunkach; w pierwszym razie zlałyby się nietylko w jeden rodzaj, ale nadto w jeden gatunek, w drugim zaś zniknęłyby cechy wspólne gatunkom, rodzajom, klasom nawet; w pierwszym razie mielibyśmy na świecie jeden jedyny gatunek, w drugim każdy osobnik stanowiłby dla siebie osobny gatunek, rodzaj, klasę. Naegeli, Hofmeister, Askenazy, Wigand wykazali niedorzeczność tego przypuszczenia; sam Darwin przytacza zarzuty Watson'a, częściowo pisze się na nie i chcąc zaradzić zbytniemu rozchodzeniu się cech, kuje nowe prawo, wprost przeciwne tamtemu, schodzenie się cech; widzieliśmy wyżej do czego rozchodzenie i schodzenie cech doprowadzić może. Hartmann, jakkolwiek zwolennik Darwina, ścisłem rozumowaniem wykazuje [2], że zmienność, wymagana koniecznie przez teoryą, nie jest i być nie może ani wszechstronną, ani nieograniczoną. A nawet czystej wody darwinista Perrier, w świeżo wydanem dziele [3] przyznaje, iż rzecz ta nie była zbadana i Darwin jej nie uzasadnił.

---

[1] Esp. hum. p. 89.

[2] Le Darwinisme p. E. de Hartmann p. 93—100.

[3] On admet aussi une certaine spontanéité dans la variation des organismes; on fait enfin quelquefois intervenir les croisements, mais les caractères qui resultent des unions croisées ne viennent que de la transmission par hérédité des caractères produits par les diverses causes que nous venons d'enumérer. *D'ailleurs jusqu'ici*

3. Użyteczność była trzecim warunkiem normalnego doboru naturalnego; całość teoryi wymagała jej koniecznie, wymagał szczególniej ów słynny aksiomat Darwina „walka o byt“, lecz niestety dla teoryi, w obec zarzutów, „użyteczność“ ostać się nie mogła.

Darwin tak mówi o „użyteczności“: „Można obrazowo wyrazić się, że dobór naturalny codziennie, w każdej godzinie, śledzi na całym świecie za każdą, choćby jak najdrobniejszą zmianą, odrzucając jeżeli zła, zachowując zaś i potęgując korzystną. Spokojnie, cicho i niedostrzegalnie pracuje wszędzie i zawsze, kiedy i gdzie tylko zdarzy się sposobność, nad udoskonaleniem każdej organicznej istoty w stosunkach jej ze światem organicznym i z nieorganicznymi warunkami życia“ [1]. Jest to bardzo i bardzo idyliczne, ale niema w tem nic a nic prawdy: ani nie wiemy nic o tem, że „pracuje“, ani też że nie pracuje nad „udoskonaleniem istoty“ — o tem zaś wszystkiem sam idyliczny autor nas poucza. I tak jakby odpowiadając na pytanie, skąd o tem wiemy? mówi zaraz w dalszym ciągu: „Powolny bieg tych zmian postępowych jest przed nami ukryty“. — Może księgi geologiczne przyrody coś o tem powiedzą? — Także nie, albowiem „wiadomości nasze o czasach geologicznych dawno ubiegłych są tak ubogie“... Jakto! więc mamy polegać na słowie tylko i wierzyć? Bynajmniej. Autor się rozmyślił i po głębokim namyśle całkiem innego jest zdania. „Wszelako wyznać muszę, że przeczytawszy rozprawę Nägeli'ego o roślinach, tudzież prace Broca i innych autorów o zwierzętach, przyszedłem do przekonania, iż w pierwszych wydaniach mego dzieła „o pochodzeniu gatunków“ nieco za wiele przypisywałem temu czynnikowi. To też piąte wydanie tego

---

aucune étude systématique de l'influence propre à ces diverses causes modificatrices n'a pu être faite, et Darwin lui même se borne à constater que les espèces varient *sans se demander pourquoi*... (Philosophie zoologique. Paris. 1884, p. 78).

[1] O poch. gat. str. 104. W innem miejscu wyraźniej jeszcze utrzymuje: „Czynnik ten (dobór naturalny) już z samej natury rzeczy uwzględnia tylko takie modyfikacye, które stanowczą korzyść organizmowi przynoszą, niszczy i zagładza te, które mu szkodzą, względem zaś obojętnych również obojętnie zachować się musi“. (O poch. czł. str. 150, 151).

dzieła zmieniłem w ten sposób, iż moje uwagi ograniczyłem jedynie do zmian uzyskanych w „walce o byt“ [1]. Należałoby z tego wnosić, iż Darwin odwołuje pierwotne swe mniemanie — otóż tak nie jest, a raczej odwołuje i nie odwołuje zarazem. Zaraz na drugiej stronnicy pisze: „Ale nawet jeżeli popełniłem błąd, przypisując przyrodniczemu doborowi za nadto wielką potęgę działania — na co jednak nie przystaję — albo też jeżeli nieco przeceniłem jego działalność — co jest prawdopodobniejsze — to w każdym razie sądzę, że przyniosłem choć odrobinę korzyści, przyczyniając się do obalenia dogmatu o niezależnem tworzeniu pojedyńczych gatunków“ [2]. Na str. 149 przyznaje Darwin, iż nieco za wiele przypisał doborowi przyrodniczemu, a na str. 150 na to nie przystaje, lecz przystaje, że „przecenił jego działalność“, co to za subtelna dystynkcya! A jaka logiczność! „Choć przeceniłem doniosłość doboru przyrodzonego, ale przyczyniłem się do obalenia dogmatu“. Aby obalić „dogmat“, należało dać dowód; dowodem tym miał być „dobór przyrodzony“. Darwin przyznaje, iż „przecenił jego działalność“, a tem samem przyznaje, że nie dał dowodu; to jednakże nie przeszkadza mu do zawnioskowania, iż obalił dogmat. Nadto przy całej swej pozornej szczerości, Darwin zataił prawdziwą przyczynę powyższych odwoływań; nie Nageli ani Broca spowodowali ten odwrót, ale Wallace, współziomek i współtowarzysz jego prac. Wallace przyjmując prawidła darwinistowskie za niewzruszone prawdy, w logicznem zastosowaniu „użyteczności“ do człowieka, przychodzi w rzeczach najważniejszych do wniosków wprost przeciwnych z twierdzeniami „mistrza“. To właśnie było powodem ogłoszenia Wallace'a za odstępcę i umieszczenia „użyteczności“ na indeksie darwinistowskim. Pomówimy o tem obszerniej w drugiej części; obecnie zastanowimy się, w jaki to sposób ten poczciwy „dobór naturalny“ pracuje w pocie czoła „cicho, spokojnie... nad udoskonaleniem każdej istoty“.

System ewolucyjny w ogóle, w szczególności zaś darwinizm, polega na przypuszczeniu, że jestestwa rozwijają się, dosko-

[1] O poch. czł. str. 149.
[2] Item str. 150.

nalą w swych organizmach. Darwinizm przypuszcza, iż było kilka tylko typów pierwotnych, „a nawet analogia prowadzi mnie do tego, iż był tylko jeden, ale analogia często zawodzi“. Dziwne szkrupuły! Darwin, który z „doboru sztucznego“ wywodzi przez analogię „dobór przyrodniczy“, który z każdego przez siebie przywiedzionego przykładu, przez analogię wyprowadza wnioski, naraz z powodu tejże analogii doznaje szkrupułów! Niedługo one jednak trwają, przechodzi nad nimi do porządku dziennego i zmuszony swym systemem, przyjmuje jeden, jedyny typ pierwotny. Lecz jak upozorować to przypuszczenie, kiedy i sama nawet analogia wypowiada tu służbę. I tak „dobór świadomy“ nie udoskonala gatunku. Sztuczna chodowla krzyżując wybrane osobniki urabia rasę i wydoskonala ją zazwyczaj w jednym tylko kierunku, wytwarza mięso, słoninę, wełnę... z uszczerbkiem innych cech właściwych gatunkowi; a i to udoskonalenie jednostronne znika, rasa istnieć przestaje, skoro tylko osobniki pozostawione będą same sobie, tj. doborowi przyrodzonemu. Nadto, choć w obecnych stosunkach nie można stwierdzić doświadczeniem, iż gatunki dziko żyjące udoskonalają się, o co sam nawet Darwin się nie pokusił, mamy jednak przed sobą starą księgę przyrody, przeszłością swoją sięgającą najpierwszych początków jestestw organicznych; jeżeli gdzie, to tam właśnie to udoskonalenie winnoby być wypisane niestartymi śladami. W wielkich pokładach geologicznych znajdują się odciski, szczątki kopalne roślin i zwierząt, które żyły w dalekiej przeszłości, a tak się doskonale zachowały, iż cierpliwi badacze mogli je podzielić na klasy, rodzaje, gatunki, oznaczyć epokę ich bytowania, wskazać porządek, w jakim następowały jedne po drugich, a to w sposób tak ścisły, iż dzisiaj kilka skamieniałości, czasem jedna jedyna, wystarczy zupełnie do poznania i zaliczenia badanej warstwy do odpowiedniego działu. Jeżeli tedy teorya Darwina jest prawdziwą, winniśmy znaleść w tych pokładach nietylko ślady przejściowe zmian gatunków, ale nadto rodzajów i klas; paleontologia winna okazać, iż w skutek różnych warunków fizycznych, dokonywała się ewolucya w tych ogromnych przestworach czasu. Posłuchajmy świadectwa, jakie wydaje paleontologia.

Szczątki roślinne i zwierzęce, jakie spotykamy w pokładach

geologicznych, w swych głównych zarysach zdawałyby się sprzyjać systemowi ewolucyjnemu. W okresie dewońskim i węglowym pojawiają się rośliny skryto-kwiatowe, od Szpicbergu i Anglii po Brazylię i Nową-Holandyę przedstawiają tożsamość kształtów; w okresie dopiero kredowym, a szczególnie trzeciorzędnym, występują jednoliścienne i dwuliścienne, z całem bogactwem form, uwzględniających różnice klimatologiczne. Rzecz się ma podobnie w dziedzinie fauny. W najdawniejszych pokładach spotykają się bezkręgowce, następnie szczątki ryb i płazów, w końcu dopiero ssawce. Względnie tedy czasu całość jestestw przedstawia wprawdzie pewien postęp rosnący, lecz nie napotykamy żadnych oznak udoskonalenia przez rozwój form typowych. Najstarsze typy, jakie spotykamy, nie należą do istot pojedynczych, które wymoczkami lub pierwoszczakami się zowią, a występują odrazu w postaci, która przetrwa wieki geologiczne. W każdym niemal okresie, nieraz nawet w jego podpodziałach zjawiają się tak we florze, jak i w faunie nowe rodzaje i gatunki, są one doskonale upostaciowane: nie mają najmniejszego związku z formami okresów poprzedzających; często znikają one zupełnie w okresie następnym, a n i g d y i n i g d z i e ani flora, ani fauna nie przedstawia f o r m p r z e j ś c i o w y c h, dowodzących jakiejkolwiek ciągłości, jakiegoś genealogicznego rozwoju [1]. Znakomite a tak szczegółowe badania Barranda nad Głowonogami i Trylobitami czeskimi, Dawsona nad Skrzelonogami angielskimi, Williamsona nad florą kopalną, stwierdziły najzupełniej ten pogląd; tacy nawet Darwiniści jak Huxley piszą się na to, przynajmniej czę-

[1] „Wir haben das übereinstimmende Zeugniss fast aller Palaeontologen, dass neue Arten ohne nachweisbare Uebergänge zu allen Zeiten unausgesetzt entstanden und vergangen seien, dass zwischen je zwei aufeinanderfolgenden Perioden mit Ausnahme einiger gemeinschaftlicher Arten im Grossen und Ganzen ein Wechsel der Arten stattgefunden habe, und dass dieser Wechsel nicht ein allmaehlicher, sondern ein sprungweiser sei — dass, wo aus der einen Periode Arten in die folgende erhalten bleiben, dieselben trotz der ungleichsten aeusseren Lebensbedingungen keine Abaenderung erkennen lassen, — dass sich ueberhaupt nirgends Formen finden, welche ein unmerkliches Verfliessen der Arten anzeigen, — dass vielmehr die neu ausgepraegten Arten fertig neben den alten liegen". (Wigand. Der Darwinismus. I., p. 289).

ściowo[1]. Co więcej, nietylko niema żadnej ciągłości między gatunkami, które pojawiają się bez żadnych przejść, a giną bez śladu, ale nadto w ciągu wiekowego swego istnienia, jeżeli postacie ulegają jakiej zmianie, to jedynie w postępie malejącym, przechodząc od form zawiłych do więcej pojedynczych[2]. Nakoniec niektóre postacie przetrwały nietylko wieki, ale i wszystkie czasy geologiczne bez żadnych zmian. I tak rodzaj Discina, należący do Płaskoskrzelów, który jako kopalny znajduje się w najstarszych pokładach sylurycznych (S. Dawid, w księst. Walii), żyje obecnie w ciepłych wodach oceanu Atlantyckiego i Spokojnego. Księga zatem przyrody, nauka paleontologii nie wykazuje ani udoskonalenia gatunku, ani jego przeobrażenia. Nie pomoże Darwinowi uciekać się do znanego frazesu Lyell'a, że „brak stronnic w tej księdze"; na frazes odpowiedziano rachunkiem. Dr. Pfaff dowiódł, iż prawdopodobieństwo nieznalezienia form przejściowych, gdyby takowe istniały, jest ułomkiem, który ma za licznik jednostkę, za mianownik zaś jednostkę ze stu zerami[3]. Nic nie pomoże zastawiać się tem, iż postacie dawniejsze zbyt były nikłe, aby się mogły zachować przez tak liczne wieki, albowiem posiadamy szczątki kopalne istot bardzo wątłej budowy z najdawniejszych okresów geologicznych[4]. Lecz Darwin nie uznaje się za zwyciężonego; przeciwnie, brak dowodów paleontologicznych jest, według niego, świadectwem dla jego teoryi.

---

[1] Siluria. 4 edit. p. 242.

[2] Trilobites p. Barrande, 1871, p. 13, 14. Distribution des Céphalopodes. 1870, p. 276.

[3] Grundriss der Geologie, p. 397.

[4] „Die erloschenen Stamm- und Uebergangsformen hatten doch ohne Zweifel ebenso viele Chancen, im fossilen Zustand erhalten und den Geologen bekannt zu werden, als die Abkömmlinge und die scharf begrenzten Species. Insbesondere ist nicht anzunehmen, dass die ersteren sich durch eine grössere Zartheit der Structur mehr als die letzteren der fossilen Erhaltung entzogen haben sollten. Onehin sind in allen Formationen organische Reste von grosser Zartheit erhalten worden. Jene Formen müssten daher selbst bei einer noch so grossen Unvollständigkeit des conservirten und bekannten Materials in gleichem, oder vielmehr, bei der ungleich grösseren Zahl von Uebergangsformen, in noch viel grösserem Verhältniss erhalten und bekannt geworden sein, als die ausgeprägten Formen". (Wigand. l. c. p. 291).

Z tego powodu pisze de Quatrefages: „Darwin i jego uczniowie na dowód swej teoryi przywodzą samą niepewność i niewiadomość naszą w wielu zjawiskach zewnętrznych. Żądano od nich, aby ukazali w paleontologii jeden przynajmniej szereg, który według nich winien był łączyć pierwotne gatunki ze swymi pochodnymi. Oświadczają, iż tego uczynić nie mogą, lecz zarazem dodają, że fauna i flora zostawiły po sobie bardzo słabe ślady; że znamy z nich zaledwie małą cząstkę tylko; że to co od nich żądamy, zapewne pogrążone jest w głębi oceanów, i t. p. Tym sposobem, mówi Darwin, trudność się zmniejsza, jeżeli nie całkowicie uchyla. Lecz, pytam, w jakiej to gałęzi nauk, z wyjątkiem tych ciemnych kwestyi, poczytywanoby zagadnienie za rozwiązane dlatego właśnie, że się nic nie wie o tem, coby wiedzieć należało do jego rozwiązania?“ [1].

Badania paleontologiczne dowodzą nam nietylko, iż nie istnieją postacie przejściowe, ale nadto przekonywają, że w najdawniejszych pokładach geologicznych znajdują się szczątki zwierząt, do różnych gromad należące. „W amerykańskich skałach paleozoicznych, mówi Agassiz [2], które bardzo małym zmianom uległy, w samych zatem początkach bytowania organizmów, spotyka się wielka rozmaitość współcześnie żyjących zwierząt, należących do wszystkich wielkich działów zoologicznych. Przypuszczenie zatem, iż typy te powstały stopniowo — upada, w skutek faktów dostatecznie stwierdzonych i gruntownie ustalonych“.

Odpowiedzi Darwina na inne trudności są podobnejże siły i logiczności. Na zarzut, dlaczego niektóre gatunki przetrwały całe wieki geologiczne bez żadnych zmian [3], odpowiada: „To nie

---

[1] Esp. hum. p. 74.

[2] The primitive Diversity and Number of Animals in Geological times. Amer. Journ. of Science and Arts, 2 série, vol. XVII., 1854, p. 309.

[3] „Nur die Form, die mehr Mittel zur Selbsterhaltuug hat, soll Bestand haben, die weniger günstig ausgestattete Form soll untergehen. Dann müssten aber von den vielen Abweichungen, welche die Natur mit der Zeit hervorbringt, immer die zunächst gut ausgestatteten sich erhalten, also immer eine Anzahl ganz ähnlicher Formen gleichzeitig bestehen. Es gab aber zu jeder Zeit einzelne Formen, die sehr

przedstawia żadnej trudności... albowiem zapytaćby można, jaką korzyść, o ile potrafimy sądzić, przyniosłaby wyższa organizacya wymoczkowi, wnętrzakowi, lub nawet dżdżownicy!“ [1]. Pytanie to Darwina jest co najmniej naiwne. Jaką korzyść przyniosłaby wyższa organizacya tym jestestwom? A naturalnie taką samą, jaką przynosi, wedle Darwina właśnie i innym istotom, mianowicie, zwycięstwo w walce o byt. Wszakże wymoczki wirczykowate (Vorticelline) tak się rozmnażają, iż według Ehrenberga w cztery dni jedna istotka może wydać 140 bilionów potomstwa; jeżeli tedy ziemia nie została oddawna zalana tymi krzaczynkami, to jedynie dlatego, iż największa ich część ginie w walce o byt: nie ulega tedy wątpliwości, iż wyższa organizacya przyniosłaby im korzyść. „Prawda, mówi Darwin, ale nie przedstawiły się zmiany skuteczne, stąd wybór naturalny nie mógł ich spotęgować“. Ale dlaczego nie miały się przedstawić zmiany skuteczne, kiedy Darwin, prawda że w innem miejscu, twierdzi: „Sądzę, że nadto osobliwą byłoby rzeczą, gdyby kiedykolwiek nie miała wystąpić choćby jedna przemiana dla dobra każdej istoty, skoro tak wiele pojawiło się zmian użytecznych dla człowieka?“ [2] Wreszcie Darwin przyparty do muru, chcąc się pozbyć wszelkich możliwych zarzutów, mających na względzie udoskonalenie, stanowczo oświadcza: „Dobór naturalny nie mieści w sobie koniecznego prawa postępowego rozwoju“ [3]. Jednym zamachem pióra znosi cały system ewolucyjny, a stąd i swemu nagrobek pisze.

4. Czwartym czynnikiem doboru przyrodzonego jest czas. P. Rostafiński pisze: „Potrzeba było do tego tylko jednego czynnika, odkrytego przez Lamarcka, to jest czasu. Jak musiał być niezmiernie długi, to sobie trudno wyobrazić“ [4]. Na brak wyobraźni panowie darwiniści skarżyć się nie powinni; wyobrazić sobie ła-

isolirt waren, obgleich auch andere sehr variirten. Zwischen den Gruppen, die wir jetzt Classen nennen, sind entweder die Uebergänge gar nicht gefunden, oder, wo sie sich gezeigt haben, doch ausserordentlich isolirt“. (De Baer. Studien, t. 2., p. 424).

[1] O poch. gat. str. 148.

[2] O poch. gat. str. 154.

[3] O poch. gat. str. 148.

[4] Kar. Darw. str. 16.

two, ale dowieść trudno. Co ma znaczyć to Eureka darwinistowskie? Właściwie — nic a nic, pusta to bańka mydlana. Ów wielki „wynalazek“ Lamarcka polegał na tem, iż gdy w szczątkach roślinnych i zwierzęcych, pochodzących ze starych pomników egipskich, nie znaleziono żadnych postaci przejściowych, mogących usprawiedliwiać teoryę descendencyi Lamarcka, tenże dla jej bronienia odwołał się do czasu: kilkadziesiąt wieków, które upłynęły od wielkiej cywilizacyi hamickiej nie są wystarczające, według jego przypuszczenia, do wywołania przeobrażeń gatunku. Na to przypuszczenie żadnym niepoparte dowodem, powołuje się Darwin i darwiniści; w jakim zaś to czynią celu, trudno orzec, chyba dla odwrócenia uwagi swych czytelników: widzieliśmy bowiem, iż jakikolwiek czas uznamy za potrzebny do utworzenia się skorupy ziemskiej, szczątki paleontologiczne świadczą przeciw ich teoryi. Nikt nie przeczy, iż czynniki fizyczne, działając wedle praw im nadanych, potrzebowały znacznego czasu do przygotowania skutków dziś istniejących. Dnie kosmogonii Mojżeszowej uważane są dziś powszechnie jako wielkie epoki stworzenia, co zresztą dawniej już, kiedy ani geologia, ani paleontologia znanemi nie były, w tem znaczeniu rozumiane bywało przez Ojców łacińskich i greckich: Augustyna [1], Atanazego [2], Oryginesa [3]. Co się zaś tyczy ilości czasu potrzebnego do utworzenie pokładów geologicznych, geognozyści nie zgadzają się z sobą; różnice ich zapatrywań i mniemanych obrachowywań dochodzą do ogromnych liczb [4]. Korzystają z tych niepewności darwiniści i nie stawiają żadnych granic chorobliwemu pragnieniu swej teoryi. Haeckel dla każdego peryodu geologicznego domaga się miliardów wieków. Otóż, jakkolwiek prawdopodobną jest rzeczą, iż nie bę-

[1] Wiadomo wszystkim obeznanym z Pismem, iż dla oznaczenia czasu używa się tego wyrazu dzień. Miasto Boże ks. XX., rozd. II., Item, de Genesi ad litteram, lib. IV., n. 44.

[2] Oratio contra Arian. n. 60.

[3] De principiis, lib. IV., n. 16. — Contra Celsum, lib. VI., n. 50, 51.

[4] Jako przykład niepewności, może służyć obrachowanie czasu trwania wielkich lodowców w okresie plioceńskim we Włoszech. Lyell oblicza ten czas na 180.000 lat, Mayer na 15.000, Gastaldi zaś na 1000 lat tylko.

dziemy nigdy w stanie obliczyć dokładnie tego czasu, nauka podaje jednak dane, które trzymają na wodzy zbyt rozbujałą wyobraźnię. M. W. Thomson obliczając czas potrzebny do oziębienia kuli ziemskiej, w przypuszczeniu pierwotnej ciepłoty 2000°, doszedł do 50 milionów lat, jako *maximum*, a 20 milionów, jako *minimum* możliwego istnienia pierwszych organizmów na ziemi. Do tej samej prawie liczby doszedł Klein, ze stanowiska astronomicznego. Inni obliczając działanie czynników chemicznych na rozkład skał, wymywanie i wynoszenie mułu przez rzeki, doszli do wyniku, iż gdyby siły wewnętrzne ziemi przestały być czynnemi, gdyby ziemie przestały się wyłaniać po nad poziom morza, cztery miliony lat wystarczyłyby do zupełnego wymycia lądów Europy. Darwiniści tedy przez wprowadzenie jakiegoś c z a s u i d e a l n e g o, na wzór kosmogonii indyjskiej, stają w sprzeczności z doświadczeniem i nauką, a to nietylko bez żadnej potrzeby, ale nawet wbrew własnej swej potrzebie: im większy czas przypuszczają, tem teorya ich staje się nieprawdopodobniejszą. Bennet[1] z powodu mimetyzmu, który Darwin i Wallace chcieli wyzyskać dla swej teoryi, dowodzi matematycznie, iż *Leptalis* dla nabycia barwy *Ithomia*, (która go ochraniała od napaści ptaków), gdyby był szedł drogą doboru naturalnego, w dziesiątem pokoleniu straciłby wszelką nadzieję dalszego rozwoju w tym kierunku, gdyż, na 10 miliardów osobników jeden jedyny osobnik mógłby mieć słabe tylko cechy, właściwe gatunkowi Ithomia. Jakież byłoby prawdopodobieństwo, gdyby się przypuściło większą liczbę pokoleń![2].

---

[1] La théorie de la sélec. natur. an point de sue math. 1871.

[2] „Der Grad der Wahrscheinlichkeit, pisze Pfaff, oder richtiger die Unmoeglichkeit, dass auf diese Weise der Zufall die Arten erzeugt habe, lässt sich nach den Regeln der Wahrscheinlichkeitsrechnung prüfen. Seidel hat diese Berechnung streng durchgeführt, und zwar unter folgenden, entschieden zu Gunsten Darwins gemachten numerischen Voraussetzungen. Wenn man annimmt, dass dieselbe Abänderung unter je 100 Individuen derselben Art gleichzeitig bei 4, und zwar 2 Paaren, auftrete; ferner, dass sich die Zahl der Individuen bei jeder Generation selbst um das 100-fache vermehrt, so berechnet sich daraus, dass die Wahrscheinlichkeit, wonach der Abänderungscharakter in der ersten Generation bei den Kindern durch Kreutzung

Żaden zatem z czynników, na którym wspiera się „dobór naturalny“, nie może wytrzymać krytycznego rozbioru. Dobór naturalny zbijany był bardzo szczegółowo przez specyalistów[1], a do tego ewolucyonistów; Hartmann, który jest wielkim czcicielem „mistrza“, uważa dowody jego za błahe. W dziełku swojem „Darwinizm“ pokazuje, iż dobór naturalny nie stosuje się zupełnie do morfologicznego powstania organów, aby zaś był skuteczny w adaptacyi fizyologicznej, potrzeba sześciu koniecznych warunków, które wylicza, a wreście wnioskuje: „Jeżeli te warunki będą spełnione, wówczas cała działalność doboru naturalnego r e d u k u j e s i ę ś c i ś l e d o z e r a“[2]. (Dok. nast.)

X. W. Zaborski.

---

noch unverändert als „Vollblut“ vorhanden ist, — 16 ist, in der zweiten Generation

(unter den Enkeln) aber nur 2,56,
in der dritten (Urenkel) nur 0,000 006 55,
in der vierten nur 0,000 000 000 000 004 29,

in der fünften und sechsten steigert sich die Unwahrscheinlichkeit schon so, dass man es schon hier geradezu als unmoeglich bezeichnen kann, dass sich noch ein Individuum mit dieser anfänglichen Veränderung zeigt; um wie viel mehr muss dieses noch der Fall sein, wenn man mit Darwin eine unendlich grosse Anzahl von Generationen zur Bildung einer neuen Species durch Summirung dieser Abänderung erforderlich erklärt“. (Schöpfungsgesch. p. 673).

[1] Ob. Geneza gatunków p. Skomorowskiego. Warszawa. 1874.

[2] Darwinisme, p. Hart., p. 107.

KAZIMIERZ-MACIEJ SARBIEWSKI.

I.

Dziecięce i szkolne lata. — Pierwsze próby poetyczne. — Wstąpienie do zakonu. — Pierwsza katedra szkolna. — Pierwsza pieśń drukiem ogłoszona. — Przyjaźń z Chodkiewiczem. — Wieszcz narodowy.

W województwie płockiem, o mile od mało znanego miasteczka Płońska, rozciąga się choć nie na Litwie, to przecież:

„W pośród pól malowanych zbożem rozmaitem,
Wyzłacanych pszenicą — posrebrzanych żytem“

gniazdo zacnej, szlacheckiej rodziny Sarbiewskich, wioseczka Sarbiewo. Przed laty stał tam modrzewiowy dworek szlachecki, w którym przemieszkiwał poczciwy i dosyć zamożny Maciej Sarbiewski, z małżonką swą Anną z Milewskich. Na tym dworku spoczywało wyraźne błogosławieństwo Boże. Z rozkoszą patrzyli rodzice na dwóch swych żwawych synków, Stanisława i Kazimierza. Dziarski Stanisław zdradzał już pewnie w sobie przyszłego wojownika przeciw Turkom lub Kozakom, przyszłego urzędnika, szlachcica wolnej Rzeczypospolitej, co to mężny i odważny w boju, przywiązany do króla, nie potrafi jednak zachować odpowiedniej miary w obronie złotej wolności [1]. Młodszy, Kazimierz, także żywy, ochoczy, ale potulniejszy, lubił nadewszystko wpatrywać się w otaczającą go piękną naturę, w te łąki zielone i miedze zielone, na których rozsiadły się ciche grusze i nie wiedząc nawet o tem, snuł

[1] Stanisław został później starostą grabowickim i wojewodą mazowieckim. Marszałkował na sejmie r. 1647; umarł 1665. Por. Wiersz do brata (Ks. II. Oda IV.); Dwa lata dziejów naszych, Szajnochy; Historia belli cosaco-polonici, Grondskiego.

pierwsze poetyczne marzenia. Wieczorem siadywały chłopięta u stóp sędziwego dziadka Adama, co poważnej doczekał się starości, bo dopiero w sto dziewiątym roku życia pożegnał się z tym światem. Przy ogniu tryskającym z miłego kominka, umiał on opowiadać o dawnych przygodach, o tańcach z bisurmańską tłuszczą; z własnych wspomnień, uczył wnuków historyi kraju, miłości Boga i ojczyzny.

Urodzony r. 1595 liczył Kazimierz już lat dwanaście, kiedy rodzice oddali go do szkół jezuickich w pobliskim Pułtusku. Szkoły te liczyły wtenczas czterechset uczniów, ale mimo tej znacznej liczby, utalentowany nasz Kazimierz zwrócił wnet na siebie szczególną uwagę swych mistrzów. Kiedy z jego kolegów wielu „do żołnierki jedyni, w naukach mniej pilni“, siedząc w szkole, tęsknili do bębna lub konika, to Sarbiewskiego pociągała do siebie piękna natura i „ozłocona harfa.“ W wiele lat później przypominał sobie na:

„Dzień ów wielki, dzień miniony,
Gdym najpierwszą złożył pieśnię,
Gdy nad Narwią harfa brzękła
Niedołężną jeszcze nótą,
O zaiste! z dnia tamtego
Złote dla mnie dni wysnute“ [1].

Dzień ten „wielki“ przypadł w trzynastym roku życia młodego poety. Jezuici wiedząc, że Muzy bynajmniej nie przeszkadzają mu w innych naukach, nietylko nie przeszkadzali, ale owszem zachęcali i pielęgnowali nieśmiały jeszcze talent. Doświadczeni nauczyciele, wiedzieli dobrze, polecał im to zresztą ich instytut, że najgorzej się wychodzi, mierząc wszystkich jedną miarą, że należy kierować zdolnością i talentem, ale nie zacierać ich nigdy.

W pietnastym roku życia, wyjechał Kazimierz do Wilna, do tamtejszej akademii i zapisał się między słuchaczami filozofii. Profesorowie akademii Jezuici nie cieszyli się wtenczas, a nie wtenczas tylko — zbytnią popularnością. Sarkano na „rycerstwo Jezuickie“, nie ucichły te krzyki bynajmniej z upadkiem rokoszu Zebrzydowskiego. Głoszono: „iż póty w Polsce pokoju spodziewać

[1] Ks. II. Oda 15.

się nie możem, póki nie wypędzimy stąd Jezuitów“ [1]. Nadto wyszedł w tym właśnie roku (1612) w Krakowie głośny pamflet „pełen oszczerstw, potwarzy i gorzkiego szyderstwa“ [2], znane *Monita secreta* czyli Tajemne zlecenia. Przedstawiały one Jezuitów, jako zgraję bezecnych, chytrych, gotowych na wszystko złoczyńców, którzy poddani tajemnej organizacyi, dążyli skrycie, a wytrwale do opanowania świata. Książka ta dziś jeszcze obfite źródło zarzutów na zakon, w czasie, w którym po raz pierwszy się okazała, wywołała niemałe wrażenie. Naturalnie, wszystkiemu mało kto wierzył, ale żeby znowu pod osłoną tysiącznych kłamstw, nie kryła się choć odrobina prawdy, temu trudno było nie uwierzyć. Jak więc w XIX., tak i na początku XVIII. stólecia młodzieniec, który zaciągnął się pod chorągiew św. Ignacego, musiał być gotów, wedle słów swej reguły: „przybrać na się strój i barwę Pana Swego, dla miłości i czci Jego“ [3]. Nie uląkł się tych następstw młody Sarbiewski, a usłyszawszy głos Boży, nie zawahał się na chwilę. Pod koniec 1612 widzimy go już w nowicyacie Towarzystwa Jezusowego obok innego nowicyusza, którego obrazy stoją dzisiaj na ołtarzach. Tym towarzyszem był starszy od niego o rok w powołaniu zakonnem, błogosławiony Jędrzej Bobola.

Wśród modlitwy i pracy, uprzyjemnionej od czasu do czasu niewinną rozrywką, [4] szybko upłynęły dwa lata, przeznaczone na

---

[1] Pisano i drukowano w Polsce i za granicą obszerne memoryały pod tym tytułem. Jezuici polscy mieli być narzędziem polityki Filipa II., mieli mieć „głowę napełnioną hiszpańskim i włoskim mózgiem.“ Na te niedorzeczne, przecież w kółko wracające się paszkwile, odpowiedział Kasper Cichocki. Por. Wiszniewskiego. T. VIII, str. 241 i 242.

[2] Słowa dekretu potępiającego, *Monita secreta*, wydanego 20 sierpnia 1616, przez Jędrzeja Lipskiego, administratora dyecezyi krakowskiej.

[3] Sumaryusz ustaw. Reg. 11.

[4] A czyż przemilczeć w samotnej zaciszy,
Lube objęcia dobrych towarzyszy?
Jak uwesela niewinnie a mile,
Słodki rozhowor pełen krotochwile,
Śmiech przyzwoity i dowcip niezdrożny,
Weselem kończy nasz dzionek pobożny.
(Pochwała ciszy zakonnej. Epodon. Oda III.)

nowicyat. Ani się spostrzegł dwudziestoletni młodzian, a już sam niedawno uczeń, przemienił się w profesora retoryki w gimnazyum wileńskiem. W sierpniu 1614 stanął na „chwałę Bożą, rzeczypospolitej użytek i stanu szlacheckiego ukontentowanie", akt fundacyjny na kolegium i szkoły szlacheckie w Krożach, miasteczku Ołycko-nieświezkich Radziwiłłów. Następnego roku sejm potwierdził donacyę hetmańską, a we wrześniu 1616 r. rozpoczęły się szkoły. Nasz Sarbiewski wyznaczony był na nauczyciela poetyki, przeniósł się z Wilna do Kroż, a ucząc swych uczniów „łacińskie rymy składać," sam wiele i po mistrzowsku ich ułożył. Opodal od Kroż wznosiła się, porosła drzewami góra Miedziokalnia. Było to miejsce ulubionych przechadzek poety, tutaj lubił:

„Patrzeć — na lasy, na pola i wody,
I widzieć Twórcę, w obliczach przyrody" [1]

patrzeć na te kwiatki i trawki, z których:

„Każda się modli i drobnemi łezki
Daje ofiarę mądrości niebieskiej".

Czasami, jak dawniej, gdy najpierwszą złożył piosenkę, ryl wiersze swe na korze dębów i snuł złotą nić marzeń. Dotąd pisał:

„Ozłocona harfa moja,
Nie chrzęściła jako tarcza,
Nie śpiewała bohatyrów,
Cicha wioska jej wystarcza,
Uperlone rosą kwiaty,
Róże, gwoździk, tulipany —
Albo Wilii brzeg majowy
Zefirami ugłaskany" [2].

Ale wnet trzeba było „śpiewać bohaterów". Właśnie Chodkiewicz wracał w tym czasie po szczęśliwie zawartym rozejmie Dziewulińskim w strony rodzinne. Żeby go uczcić, ułożył Sarbiewski dłuższy wiersz na cześć sławnego wodza, a wielkiego dobrodzieja zakonu, a Jezuici Krożeńscy złożyli hetmanowi ten mały dowód swej wdzięczności. Był to pierwszy utwór poetyczny Sarbiewskiego, który ujrzał światło dzienne [3]. Chodkiewiczowi spodo-

[1] Pochwała ciszy zakonnej. Ep. Oda III.
[2] Ks. II. Oda 15.
[3] *Obsequium gratitudinis Joanni Carolo Chodkiewicz, Palatino*

bał się wiersz i przy sposobności zapragnął poznać jego autora. Sarbiewski przywitał dostojnego gościa pochwalnym a dowcipnym epigramatem[1]; odtąd poznawszy go bliżej, nie przestał: „śpiewać bohatera.“ W kilkunastu epigramatach, w kilku ślicznych odach, zbudował istotnie Sarbiewski rycerskiemu swemu mecenasowi posąg trwalszy nad spiż“. Godzien go był Chodkiewicz. Młody Osman II. ośmielony zwycięstwem cecorskiem, patrząc z dumą na sędziwą głowę Żółkiewskiego, którą zawiesił pod sklepieniami swego pałacu, gotował się: „połknąć“ całą Polskę. W maju 1621 r. zaczęły się przygotowania wojenne. Przeszło 300.000 wojska, pod dowództwem samego sułtana, ruszyć miało nad Dniestr. Naprzeciw barbarzyńskim tłumom, grożącym zagładę Europie, stanęło do walki pod komendą 75.000 wojowników chrześcijańskich.

Chodkiewicz, komendant wyprawy gotował się na śmierć, a dla zjednania sobie łaski Bożej, wzbogacił nowemi nadaniami kościoły jezuickie w Krożach i Nieświeżu. Gdy już ruszył w drogę do wojska gromadzącego się pod Lwowem, Sarbiewski wysłał za nim śliczny wiersz, w którym uciśnioną ojczyznę i wielkiego wodza oddawał pod opiekę Najświętszej Panny:

„Mając się pastwić nad Polską szyją,
Ostrzą Gelony krzywe pałasze,
Z nami bądź Pani! z nami Maryo!
Weź pod opiekę proporce nasze.

Gdy sygnał boju, raźno zazgrzyta,
Gdy w piersi nasze uderzą włócznie,
Gdy głowa nasza słabo przykryta,
Ostrymi groty razić się pocznie.

Gdy rozjątrzeni, sparci atakiem,
Poczniem się zbroić, ukrzep nam ramię,
Wspieraj nam siły — pod hasłem takiem,
Pewno dziczyznę Karol przełamie.

Miłość Ojczyzny, jako rakieta
Wybuchnie ogniem w rycerskiej duszy,

Vilnensi, ab Apolline Crosensi oblatum. Vilnae, typ. acad. S. J. 16.19 Wydane bezimiennie.

[1] Epigr71.

Próżno włóczniami, sroży się Gela,
Hetman jak piorun włócznię pokruszy.

Lecz daj swą pawęż Dziewico święta,
Temu co wojskiem naszem hetmani,
By głowa jego niebyła tknięta,
Strzeżcie duchowie z nieba posłani“ [1].

Królowa Polska nie opuściła walecznej drużyny, co szła w bój przeciw pohańcom z pieśnią Bogarodzicy na ustach. We wrześniu rozpoczęły się olbrzymie chocimskie zapasy krzyża z księżycem.

„Pierzchną niewierni, biada im biada,
I któżby wątpił — stojąc na straży,
Dziewica święta los równoważy;
Chociaż my słabi, chociaż my mali,
Niebo przeciąża, na naszej szali“ [2].

W połowie października wojska tureckie opuściły ze wstydem pole walki, na które ze drżeniem patrzyła „wisząca na nitce“ Europa. Turcy stracili 100.000 ludzi, ale polscy Krzyżowcy stracili Chodkiewicza. Sarbiewski nie mógł się już zwrócić opiewać chwałę wielkiego hetmana, nie mógł przecież pohamować radości, z tak prawdziwie cudownego zwycięstwa, i ziomków swoich pragnął do większych jeszcze popchnąć czynów. Zwrócił się przeto w nowej odzie do polskiego rycerstwa i do królewicza Władysława:

„Czy uwierzycie? Ha wierzcie potomni!
Że złaman Turek przez nasz miecz zwycięski!“ [3]

Drży Bisurmanin, sam Stambuł w trwodze, niebo się Polsce uśmiecha. Wtem poeta odwraca oczy od teraźniejszości, spogląda w przyszłość, a czarna troska osiada mu na czole:

„Czy wy potomi, te przykłady nasze,
Weźmiecie z dziadów — i wnukom podacie?

Bo ileż razy haniebnie się zdarza?
Że nędzne wnuki, choć szlachetne przodki,
Że bohaterskie plemię się przetwarza,
I płodzi tylko karły i wyrodki.

---

[1] Epod. Oda 16.
[2] Epigr. 125.
[3] Ks. I. Oda 15. Do rycerstwa polskiego.

Ach! jeźli na nas idzie taka kolej,
Więc stare herby, oręże i dzieje
Wrzućmy do ognia, niech zgorzeją w olej,
A z niemi nasze dzisiejsze trofeje!

A marmurowe pra-ojców pamiątki,
I historyczne ich sławy odblaski,
I ich obrazy, ich trumny, ich szczątki,
W proch rozetrzyjmy, zrąbajmy na trzaski".

Czytając te słowa, ma się wrażenie, jakby się czytało prolog do dzieł Krasińskiego, prolog tem cenniejszy, bo napisany za dni Zygmuntowskich. Oda kończy się nawoływaniem:... „Wypędzić Turków z Europy, wskrzesić państwo greckie." — Ulubiona to myśl Sarbiewskiego, poprzednika Byrona, jak go ktoś nazwał z tego powodu. Do myśli tej wraca ustawicznie, raz przypomina ją to królom i panującym [1], to w szczególności książętom państwa rzymskiego [2], to Papieżowi Urbanowi [3], to znów europejskiemu rycerstwu [4], to przedewszystkiem postawionemu na straży chrześcijaństwa rycerstwu polskiemu [5]. Czyj umysł przepełniony był takimi planami, tego musiało boleć serce, kiedy patrzał na zbytek, coraz bardziej rozprzestrzeniający się w Polsce, na oną wygodną ociężałość, która za lat kilkanaście miała przejść w chroniczną chorobę, stać się, według słów Szujskiego, „polityczną otyłością" i zwolna sprowadzić jego niesławną ruinę. Już wtedy istniało zabójcze „jakoś to będzie", teraz używajmy miłego pokoju. Oburzał się ognisty Sarbiewski i piorunował na gnuśność wieku; na tych wojowników, co przy winie tylko i zastawionych stołach zwalczali nieprzyjaciół:

„Słyszycie? jęczenie nad Istrem zawrzało,
To dziki Muzułmanin zatrąbił na rogu,
Aż Alpy z westchnieniem odbiły to hasło,
To wyzew do walki — i ludom i Bogu.

---

[1] Ks. I. Oda 6.

[2] Ks. I. Oda 12.

[3] Ks. I. Oda 10. Cytuję zawsze wedle wydania strasburgskiego z 1803.

[4] Ks. I. Oda 19.

[5] Np. Ks. IV. Oda 29. Trudno przytaczać wszystkie pojedyncze miejsca, bo myśl ta na każdym kroku niemal mimowolnie z piersi i ust mu się wyrywa.

Pójdziemyż? czy chcecie? — O, wcale nie wierzę,
Wprzód pozbyć się trzeba pragnienia i głodu,
Tu wina Kaleńskie, tu drogie wieczerze
Kupione za pieniądz czynszowy narodu.

Biesiada wciąż szumi, kielichy wciąż sterczą,
I trunek smakowny — przechodzi z rąk w ręce,
A księżyc co uczcie przyświecał szyderczo,
Zdał teraz straż naszą porannej jutrzence.

I cóż nam do wojen? my znamy je wiernie,
Nam dobrze świadome stosunki Europy.
My tutaj na stole przy dobrym Falernie
Zrysujem zastępy, wieżyce, okopy“ [1].

W wierszu do Stefana Paca, podskarbiego litewskiego, zżyma się poeta na przepych rycerskich zbroi „nowotnych żołnierzy“, co myślą, że złotem pokonają wroga.

„Złota brzękotka, płaszcz z purpury
Nie doda hartu waszej zbroi,
Wdziewać brylanty — sute sznury,
Wojackim piersiom nie przystoi.

Nie będą straszne dla nikogo,
Przyłbice ptasiem piórem wzdęte,
Na jedno tylko służyć mogą —
Żarłocznym sępom na przynęte“ [2].

Czemuż ówczesna młódź polska nie wzięła sobie tych słów żywiej do serca? Nie wyszłaby była za parę dziesiątek lat naprzeciw zbierającym się tłumom kozackim i tatarskim strojno i bezładnie, jakby na bal, a nie na wojnę, sądząc, że na sam widok jej skarbów, ucieknie przestraszone chłopstwo, nie wstydziłaby się za „srom Pilawiecki“ [3].

---

[1] Ks. I. Oda VIII. Dwie strofki ostatnie podaję tu w oryginale, bo tłumacz myśl zbytnie przekształcił.

Quas (coenas) cum recedens viderit Hesperus,
Surgens easdem Phosphorus adspicit;
Et ridet adspecto renidens
Luna mero, radiosque tingit;
Dum nos Lyaeo regificis super
Descripta mensis proelia pingimus,
Fusoque metamur Falerno
Moenia, diluimusque fossas.

[2] Ks. I. Oda II.

[3] Z drugiej strony byłoby nader ciekawą rzeczą wiedzieć, ile

II.

Studya teologiczne w Wilnie. — Podróż do Rzymu. — Przyjaźń z Urbanem VIII. — Poëta laureatus. — Hymny kościelne. — Plejada uczonych. — Powrót do Wilna. — Katedra filozofii i teologii. — Doctor philosophiae. — Lechiada.

Nie przebrzmiał jeszcze huk tureckich i polskich dział na chocimskich polach, kiedy Sarbiewski, mając oddać się „umiejętności Bożej“ teologii, pożegnał się w miluchnym do przyjaciół wierszyku ze swą ukochaną lutnią [1]. Wszakże jak zazwyczaj, po tego rodzaju pożegnaniach, lutnia poety nie pozostała długo „na krzywym haku“, na którym ją zawiesił. I owszem, badanie pisma św., natchnionych psalmów prorockich, odkryło mu nowe, niewyczerpane źródło wzniosłego Bożego piękna, z którego odtąd pełnemi rękami czerpał. Sam pełen miłości Bożej, szedł niejako w zawody z królewskim pisarzem: „Pieśni nad pieśniami“ i w kilkunastu prześlicznych epigramatach, mających za motto pojedyncze wiersze natchnionej Pieśni, starał się malować tajemnice świętej miłości. Oto jeden z tych miłych wierszyków:

„Czy to ucho ku niebu, czy skłonię ku ziemi
Kochaj, wołają nieba, kochaj, ziemia woła,
Na skrzepłym oceanie oddźwięki głuchymi
Słyszę to słowo kochaj, jako głos Anioła.
We wstęgach błyskawicy — i w burzy gromowej,
W huku skał, w szumie wody, słyszę miłość wszędzie.
Chryste! przemawiasz do mnie — poco wszelkie mowy
Jeżeli cała ziemia Twym tłumaczem będzie?“ [2].

Zagłębiając się w prorockie psalmy, a porównując je z sławnymi klasycznymi wzorami, poznawał, jak te ostatnie tracą na tem porównaniu.

„Kto Syna Jesse, wielkie pieśni Boże,
Odda strunami rzymskiego bardonu,
Ten chyba pierwej odważyć się może
Zmurować z gruzów twierdze Babilonu.

---

wpływu miały nawoływania do wojny przeciw Turkom, np. na umysł Sobieskiego. Nie można przypuścić, żeby nie znał pieśni wielkiego, sławnego po całym świecie poety; a że poezya wywiera nieraz wpływ olbrzymi, tego dziś, zdaje się, nie potrzeba przypominać.

[1] Ks. III. Oda 32.

[2] Ep. 23.

Jako z Karpatów szumią i warkoczą
Źródła wiślane, rwąc się k' swemu celu,
Tak płyną z pędem, szelestem i mocą
Pieśni wielkiego wieszcza w Izraelu" [1].

Sarbiewski był Horacym, ale Horacym chrześcijańskim, i w tym leży tajemnica wyższości jego nad rzymskiego pieśniarza. Zapożyczył od niego zewnętrznej szaty, ale podczas, gdy poeta Epikurejczyk okrywał nią brak treści, gdy w wieńcu z róż na głowie śpiewał biesiady i miłostki, przerywane tylko od czasu do czasu nieokreślonem jakiemś echem smętnej tęsknoty, to poeta-zakonnik, ubierał w tę klasyczną szatę najwznioślejsze myśli, a wstając z gorącej modlitwy, wznosił się w swych pieniach z tęsknotą, ale tęsknotą zupełnie odrębnego rodzaju, aż do tronu niestworzonego Piękna i Dobra. W połowie 1623 r. otrzymał Sarbiewski święcenia kapłańskie. Pod jesień tego roku, widzimy go już w drodze do wiecznego miasta. Niedawno zasiadł był na tronie papieskim Urban VIII, wielki mecenas, zwolennik i znawca sztuk pięknych a głównie poezyi, którą nawet sam w swobodnych chwilach lubił się zajmować. Liczne myłki, mniej poprawne zwroty, które zakradły się do świętych hymnów rzymskiego brewiarza, nie dawały Papieżowi pokoju. Dla uczynienia więc koniecznych zmian w tych hymnach, wezwał w tym czasie Urban VIII do Rzymu najsłynniejszych poetów łacińskich całego chrześcijańskiego świata. W ich liczbie znalazł się i nasz Sarbiewski. Obok tego zajęcia, miał on dalej słuchać w Rzymie teologicznych wykładów, i zaznajamiać się zarazem z rzymskiemi starożytnościami.

Po czułem pożegnaniu z braćmi w pułtuskiem i w poznańskiem kolegium, Sarbiewski i młody jego towarzysz podróży a razem brat zakonny, Mikołaj Zawisza, „z mokremi powieki" ruszyli we wrześniu w wędrówkę za zachód [2]. Niemcy zajęte płomieniem wojny domowej, przykremi uczuciami napełniły duszę poety. Do niewygód podróży, przyłączyła się naprzód słota, a później jeszcze przykrzejsza spiekota:

---

[1] Ks. IV. Oda 7.

[2] Opisał ją obszernie Sarbiewski w poetycznym liście do pułtuskich towarzyszy, skierowanym głównie do młodego, utalentowanego Kmiecica.

„Gorączka ssała piersi, jak zabójcza żmija,
Czułem, jak biedne członki febrą odrętwiały".

Raźniej już zaczął „stawiać niedołężne kroki", kiedy wjechali do frankońskich lasów, w których „dziko, ciemno i straszno jak w piekle". Czekała ich tu romantyczna, ale nie bardzo miła niespodzianka. Otoczyła ich jedna z licznie krążących po całych Niemczech band hultajskich, złożona raczej z bandytów niż żołnierzy. Przeciągłe wrzaski rozbójników, groźna, brutalna mowa, dobyte sztylety zaparły podróżnym oddech:

„Gwizdnął ołów, wyrwany z piekielnej czeluści
I włos mi się najeżył i zlałem się potem."

Jeden z zbójców przyskoczył do Zawiszy i dał mu kilka cięć pałaszem, krew się polała, a Sarbiewski sądząc, że ukochany jego towarzysz zabity, „chyżej wiatru" puścił się w ucieczkę. Pełen niepokoju, bijąc się z myślami o swym „wiernym Achacie" czy żyje, czy zginął, czy tylko może raniony — pędzony przytem bojaźnią, biegł poeta (jak mistrz Horacy „relicta non bene parmula") przez gęstwiny i pola, aż dotarł wreszcie do jakiejś wioski. Tu:

„Rozpowiadałem traf mój przez gesta i znaki,
(Bo się mową tutejszą, nie łatwo tłumaczę)
Gawiedź przygód ciekawa zewsząd mię otacza".

Rozpłakali się poczciwi wieśniacy, zastawili wieczerzę, chleb, ser i wodę z pobliskiego źródła, a po tym skromnym posiłku, zaprosili do spoczynku na wonnem sianie. Ale mimo zmęczenia nie zmrużył Sarbiewski oka przez noc całą, dręcząc się myślą o losie Zawiszy. Na szczęście nad ranem nadbiegł posłaniec z dobrą wieścią o wyratowaniu towarzysza. Zastał go Sarbiewski w Bamberdze w kolegium swego zakonu. Zbójcy, zabrawszy co się zabrać dało, odeszli, nie troszcząc się co się stanie z porąbanym pielgrzymem. Skoro przyszedł do przytomności, doczołgał się Zawisza do pobliskich chat, a miłosierni ludzi odwieźli go do najbliższego domu Jezuitów. Po kilkudniowym wypoczynku, pod gościnnym dachem bambergskim, ruszyli obaj podróżni w dalszą drogę na Ratysbonę do Ingolstadu. Tu pomiędzy akademicką młodzią, znajdował się podówczas nieznany, za lat kilkanaście chwała swego kraju i zakonu, Jakób Balde, który tem być miał dla Niemiec, czem Sarbiewski dla Polski. Ostatni nie zwrócił naturalnie

uwagi na nieznanego młodzieńca, ale Baldemu mocno wyrył się w pamięci i przechował w długie lata obraz polskiego Jezuity, któremu tyle zawdzięczał. Istotnie, przyznają to Niemcy, Balde winien dziełom Sarbiewskiego, że tak wysoko stanął, „na jego barkach budował dalej". Szkoda, że nieraz dał się unieść zbytniej miłości do starych rzymskich wzorów, że w poezyach jego za wiele ozdóbek, za wiele wspomnień mitologicznych. Nie ustrzegł się zupełnie tej wady Sarbiewski, jeżeli u poety łacińskiego w XVII. wieku można to zwać wadą, ale stosunkowo bardzo mało u niego tego rodzaju ornamentyki i nie przemienia ona nigdy chrześcijańskiego wieszcza w rzymskiego, czy greckiego „vatesa."

Zajaśniało wreszcie przed oczami znużonych wędrowców włoskie niebo, swobodnie odetchnęli balsamicznem powietrzem klasycznej krainy piękna. Wiele byłoby do widzenia. Jak w panoramie przemykały się z kolei „złote książęce dachy, Mantuańskie wieże," bogata Bononia, prześliczna Florencya:

„Dalej środkiem pagórków strojnych w winograny,
Przyszło nam po Etruskiem żeglować jeziorze."

Ale podróżnym śpieszno było do Rzymu i mimochodem tylko przypatrywali się tym cudom sztuki i przyrody:

„Owo Rzym się ukazał — o witaj mi Rzymie,
Cześć wzgórzom Palatyńskim, cześć świata ozdobie;
Domu gościnny ludów, schronienie pielgrzymie,
Matko prawdziwej wiary, pozdrowienie Tobie!"

Radość z przybycia do miasta, stolicy wiary i sztuki, zaćmiła ponownie ciężka choroba towarzysza podróży. Zawsze słabowity, nie przetrzymał Zawisza trudów długiej drogi i otrzymanych ran; umarł już w cztery dni po przybyciu do Rzymu. Sarbiewski poświęcił mu w poetycznym swym liście śliczny ustęp, pełen niestartych jeszcze łez.

Rzym pod przewodnictwem Papieża-poety cały brzmiał odgłosem Muz[1]; dostojnego mecenasa nauk i sztuk, otaczał wieniec uczonych i artystów.

[1] Święte hymny i epigrammata Urbana VIII., wyszły w Rzymie 1643. Sarbiewski w osobnej odzie (Ks. I. O. 22) sławił jego wiersze.

„Świadkiem moim jest maska Talii ucieszonej,
Którą okrył jej lica *Benci* krotofilny,
Świadkiem moim jest bardon srebrny złoto-strony,
Co pod ręką *Galluzich* daje dźwięk tak silny.

Świadkiem jest silna harfa sławnego *Donata*,
Na której pieśnią boju uroczyście dzwoni,
Świadkiem muza tragiczna, wzruszeniem bogata,
Którą wywiódł na scenę, przed laty *Stephoni*.

Świetna cześć pieśniom *Strady*, blask *Gwinizjanowy*,
Złota piękność *Petrucich*, za którą w ślad idzie
Słodki, szumiący potok, łacińskiej wymowy,
Jakową w całej sile słyszym w *Godafrydzie*“ [1].

Z wszystkimi tymi mężami zapoznał się Sarbiewski. Z współbraćmi swymi zakonnymi, Petrucim, Galluzim, zapalonym wielbicielem i naśladowcą Wirgilego i z Stradą znanym i cenionym historykiem „Wojen Niderlandzkich“ [2], zasiadł wnet pod głównem kierownictwem samego Papieża do twardej pracy, nad poprawą hymnów kościelnych. „Należało, pisze Gueranger zatrzymać metr i treść każdego wiersza i owszem nie sprzeniewierzyć się bynajmniej pierwotnemu taktowi i barwie tak w ogóle jak i w pojedyńczych myślach i zwrotach. A przyznać muszę, że o ile możliwa, zadanie to zostało spełnionem. Niewiele tylko możnaby znaleść miejsc, w których poetyczna ta komisya za wiele poświęciła względom klasycznym. Święte hymny nie straciły nic na dawnem namaszczeniu, a zyskały na wdzięku rytmu i dźwięku wyrazów [3].

Sarbiewskiemu przypisują powszechnie przerobienie hymnu wielkanocnego: *„Ad regias agni dapes“*; jego również utworem jest prawdopodobnie hymn na rocznicę zwycięstwa chocimskiego. Zresztą jak zawsze w podobnego rodzaju wspólnych pracach, nikną pojedyncze osobistości. Poprawiono około 900 metrycznych błędów, przerobiono do 30 hymnów, ułożono wiele nowych. Ile

[1] Ks. IV. Oda 9. Do Rzymu, ojca sztuk pięknych.

[2] Kiedy Strada wydał jedną część swego dzieła, dziękował mu za nią osobnym, nader pochlebnym listem Władysław IV., i upraszał o jak najśpieszniejsze ogłoszenie części następnej. Z dzieła tego korzystał niemało i Schiller w swej Historyi Odpadnięcia Niderlandów; tylko że Strada pisał historyę; niemiecki poeta tendencyjny romans.

[3] *Institutions liturgiques.* II. 20.

i w czem, przyczynił się do tego Sarbiewski, trudno dziś określić: wiemy tylko, że się przyczynił nie mało.

Zanadto wielu prawdziwych mistrzów słowa, pędzla lub dłuta przesuwało się przed oczami duchownych i świeckich panów rzymskich, zanadto byli oni dziećmi swej ojczyzny, z urodzenia znawcami i miłośnikami piękna, aby nie poznać i nie ocenić odrazu, jaki to piewca z kraju „sędziwych buków“ i poczciwych brzezin“ zawitał w krainę pomarańcz i cyprysów. Synowiec papieski Franciszek kardynał Barberini Jordan [1] i Aleksander książęta Brakcyanu, i wielu innych możnych i uczonych, otoczyło skromnego zakonnika swym szacunkiem, związało się z nim ścisłą przyjaźnią. Szli w tem za przykładem samego Papieża. Urban istotnie pokochał, nie mógł się nacieszyć poetą. Rozkazał, aby Sarbiewski odwiedzał go jak najczęściej; opowiadają nawet, że wespół z nim w jednym powozie przejeżdżał się po ulicach Rzymu.

Oprócz kilku ślicznych ód, któremi Sarbiewski chciał się odwdzięczyć Papieżowi za jego dobroć, umiał też on nieraz doraźnym epigramatem doprowadzić Urbana do homerycznego śmiechu. Oto n. p. jedna z anegdotek, która w swym czasie krążyła po Rzymie. Rozmawiając z Sarbiewskim o wierności zwierząt, opowiadał Papież, jak niedawno temu przechodził przez most na Tybrze ojciec z swym synkiem. W skutek nieostrożności ojca wpadło dziecię do wody. Towarzyszący im pies dostrzegł co się dzieje, rzucił się do rzeki i szczęśliwie wyratował dziecię. „A teraz, kończąc opowiadanie, dodał Urban, ułóż mi na ten wypadek jakiś wierszyk“. Uśmiechnął się Sarbiewski, i nie namyślając się długo, odpowiedział epigramatem:

„*Projecit in Tiberim puerum pater, at canis effert;*
Hic gerit officium patris, at ille canis“.

Chcąc dać dowód jak bardzo ceni sobie płody młodego wieszcza, uwieńczył go Papież uroczyście poetycznym laurem. Dawny ten zaszczyt, który tak wysoko cenił sobie Petrarca i Tasso,

---

[1] Na jego wiejskiej posiadłości spędził Sarbiewski kilka przyjemnych dni wakacyjnych (Epod. O. I.) Do kardynała Barberiniego napisał kilka ód.

podupadł już nieco w swem znaczeniu, bądź co bądź jednak, Papież nie miał w ręku środka, którymby mógł bardziej odznaczyć Sarbiewskiego.

Ale nie same poetyczne wawrzyny zbierał Sarbiewski w Rzymie. Poezyą uważał on zawsze raczej za rozrywkę i wytchnienie po pracy, aniżeli za właściwe swe zajęcie. Wierny woli starszych, pilnie słuchał teologii pod sławnym de Lugo. W towarzystwie przyjaciela swego Aleksandra Donata [1] zwiedzał skrzętnie wszystkie starożytności wiecznego miasta i przygotowywał materyały do wielkiego dzieła „O bożkach pogańskich“ [2]. Nawet podczas feryj jesiennych miewał odczyty o rymotworstwie: „*De acuto et arguto*“ a licznie zebrani słuchacze z ciekawością i największem zadowoleniem przysłuchiwali się prelegentowi. Trzeba było tak umieć korzystać z każdej chwilki, jak korzystał Sarbiewski, aby i właściwych swych obowiązków nie zaniedbać i nadobowiązkowym pracom podołać i jeszcze w chwili natchnienia puszczać wodze marzeniom, a biorąc „lirę w rozmarzone dłonie“, te rzewne, te wzniosłe, ale zawsze tak piękne pieśni i piosnki na niej wygrywać. Sposobności i tematu nie brakowało. Bądź to opiewał Sarbiewski młodzieńczych świętych — Stanisława i Alojzego, bądź z szczególnem zamiłowaniem oddawał hołdy Bożej dziecinie, bądź braciom zakonnym w uroczystych dla nich chwilach sprawiał niespodziankę poświęconym im wierszykiem. Tak np. z początkiem wiosny 1625 r. odjeżdżał w daleką drogę do Indyi i Chin, długoletni towarzysz poety Jędrzej Rudomina [3]. Pożegnał go Sar-

---

[1] Autor dzieła: „Roma vetus et nova,“ które aż do ostatnich uczonych badań archeologów rzymskich a głównie Rossiego, uchodziło za najdokładniejsze.

[2] Dokładny tytuł zupełnie już dokończonego rękopismu był następny: *Dii gentium seu Theologia, Philosophiaque tam naturalis, quam ethica, politica, oeconomica, Astronomia coeteraeque artes et scientiae, sub fabulis Theologiae ethicae a veteribus occultatae, erutae vero opera P. M. Sarbiewski 1627.* W dziele tem starał się dowieść, (co dziś wybornie uskutecznił Lüken), że mitologiczne podania starożytnych narodów pochodziły od przekształconej i sfałszowanej w przebiegu wieków pierwotnej tradycyi rodu ludzkiego. (Por. Krasickiego. Tom III. str. 311. Wyd. Dmochowskiego).

[3] W dwudziestym czwartym roku życia jechał Rudomina do domu zaręczonej z sobą zacnej i możnej panienki. Nagle zmienia

biewski czułym wierszem, w którym oddał przyszłą podróż Rudominy pod opiekę „Świętej Królowej co trzyma na morzu i lądzie swe straże".

„Ty patrzysz z uśmiechem na przyszłe zasadzki,
Na szturmy i burze bez liku,
Jak gdybyś nad Tybrem szedł użyć przechadzki
Lub w miłym Tuskulskim gaiku".

W kilka miesięcy po odjeździe wiernego swego druha, znajdował się i Sarbiewski poza murami Rzymu, z powrotem do ojczyzny. Przed odjazdem udał się do Papieża z prośbą o błogosławieństwo. Rozczulony Urban pobłogosławił go — a podnosząc z ziemi założył na pamiątkę złoty medal na szyję. W podróży towarzyszył mu młody Lewiński, nad którym poeta nasz miał sobie powierzoną opiekę. Tą razą zwiedził dokładnie Florencyą. Cuda architektury, wiekopomne dzieła Michała Anioła i tylu innych mistrzów, oczarowywały umysł jego i serce, ale jakże się dopiero ucieszył, kiedy ujrzał przed sobą w ogrodach Medyceuszów wykutego z marmuru, chocimskiego bohatera:

„O! gdybyście marmurem stóp jego nie skuli,
Szedłby w ogień tureckich kartaczów i kuli" [1].

Dalszą podróż obrócili nasi wędrowcy na Węgry i dzisiejszą Galicyę. Sarbiewski zawsze wesół, zawsze dowcipny, cieszył się wszystkiem co widział, a tak mieszając „pożyteczne ze słodkiem", z każdego przypadku uczył się i korzystał. Młody Lewiński innego był usposobienia. Zakwaszony z posępną zawsze twarzą, półuchem słuchał wesołych opowiadań, przyjemnych śpiewek, któremi ochmistrz jego starał się uprzyjemnić mu drogę. Raz wprost nawet wyraził swe zadziwienie, jak można być tak wesołym i pytał wieszcza, dlaczego śpiewa? Poeta mu na to: „Tobie ciąży złoto, troska odpycha od ciebie Muzy, męczą cię różne na-

zamiar; miasto na ślubnym kobiercu, staje w nowicyacie wileńskim i błaga o przyjęcie do zakonu. W tym samym czasie co Sarbiewski wysłany do Rzymu, wyprosił sobie pozwolenie na misyę chińską. Tu, w prowincyi Fon-Kien pracował niezmordowanie, ale niestety, bardzo krótko. Trzeciego września 1632 zgasł młody Chrystusowy rycerz, uwielbiany i żałowany od wszystkich. Grób jego wsławił Bóg nadzwyczajnemi łaskami.

[1] Epigr. 79.

dzieje i obawy. Ja nic nie pragnę, na niczem mi więc nie zbywa. Gdziekolwiek się obrócę, postępują za mną państwa moje, delfickie wzgórza i kryją zmęczonego pod lubym cieniem.“

„A choć mię zbójca obedrze na drodze
Mało skorzysta,
Niech sobie króle frasują się srodze
U mnie myśl czysta“ [1].

Ze szczytu niebotycznych Karpat, ujrzeli podróżni rozścielające się przed nimi bujne łany ojczystej ziemi. Widok ten wzruszyć mógł i niepoetycznego Lewińskiego; Sarbiewskiego natchnął do jednej z najwznioślejszych jego pieśni [2].

„W odwieczne Tatrów niebotyczne skały
Wpisuję słowa niezatarte niczem,
Aby je późne plemiona czytały
Z sercem niewinnem, umysłem dziewiczym;
Aby je młode powtarzały dziatki
W pierwszych dniach życia słysząc je u matki!

Daremnie bracia! daremnie murami
Słonimy nasze zagrody i miasta!
Napróżno wznosim warownie z basztami,
Gdy na świątyniach mech w pleśni porasta
I gdy w nich głucho — pusto wśród ofiary
Jakby wymarło dawne życie wiary!

---

[1] Ks. IV. O. 14. Tłumaczenie tej i wielu innych ód jest tak dowolne, tak często wprost niezgodne z myślą pierwotną poety, że nie bez wahania się umieściliśmy niektóre zwłaszcza strofki. Zresztą kto spróbował, ten wie, jakie trudności nastręcza nieraz już samo dobre zrozumienie Sarbiewskiego, a cóż dopiero wierne oddanie go w innym języku. To też mimo licznych niedostatków, do których sam się przyznaje, dokazał Syrokomla prawdziwej sztuki, przyswajając go, tak stosunkowo dobrze, ojczystej naszej mowie.

Oprócz wymienionej ody, mamy jeszcze drugą do Kryspa Lewińskiego, aby zbytnie nie ufał młodości (Ks. I. O. 4.) i odę do brata jego, służącego w wojsku polskiem, w której zachęca go do walki z Turkami, przykładem mężnego rycerza Wiszniowskiego (Ks. III. O. 20.).

[2] Ks. IV. Oda I. Do rycerstwa polskiego. Oda ta nie znajduje się w przekładzie Syrokomli. Podajemy ją tu w przekładzie O. J. Hołubowicza T. J., drukowanym raz już w „Przeglądzie Lwowskim“ na rok 1874.

Daremnie człowiek z zawiścią i gniewem
Roznosi jęki piorunowej broni,
Kiedy nabożnym nie wtórzą mu śpiewem
Przybytki Pańskie — gdy spiż już nie dzwoni
I nie wygłasza czci jego dla Boga!
O! takim bojem nie odeprzem wroga!

A jeśli jeszcze we wspólnej świątyni,
Służba się Boża rozdwaja wzajemnie,
Jeśli w niej z ludem szpetny rozdział czyni
Próżność lub pycha! O wtedy daremnie
W grodów warownych chronimy się bramy,
Daremnie czoła wrogowi stawiamy.

Zła to pobożność co stawia ołtarze
Zdala od gminu — Czyliż dawno temu?
Jak miasta greckie w różnowierczym swarze
Zgubę przyniosły państwu bizanckiemu?
Patrzcie! I Czechów kraina pobliska
Dymi się jeszcze pełna zgorzaliska.

I Węgrzynowi w zniszczenia kurzawie
Łzą się bolesną zalewa źrenica,
Że Państwo w swojej wzruszone podstawie
Uległo groźnej mocy półksiężyca!
Ty co tak czule kochasz swą ojczyznę,
Spojrzyj Polaku na te pola żyzne!

O jakże liczne krainy urodne
Byłyby wolne od jarzma sromoty,
Gdyby umysły w świętej wierze zgodne
Stawiały czoło najazdom despoty!
Gdybyśmy mogli przeciw obcej mocy
Uczuć obecność niebieskiej pomocy!

A przecież Węgrzyn miał twierdze i grody
I wszystkie miasta murami obwodził,
I Dunaj bystry głębokiemi wody
Zewsząd Turkowi przystęp do nich grodził.
A jednak wróg go z łatwością zwyciężył,
Skoro gniew Boży na odstępcy ciężył.

Bracia rycerze! wielkiej wagi słowa
Ze szczytu waszych Karpat wam obwieszczę,
Niech wam to pamięć w późny wiek przechowa,
Co dzisiaj usta objawiają wieszcze:
Jak długo pienia korne Bożej chwały
Rozgłośnie będą w naszej Polsce brzmiały;

Jak długo ku czci Najświętszej Dziewicy
Trzykroć w dzień Polak kolana giąć będzie,
I rycerz głosić pieśń Boga-Rodzicy
Przed każdą bitwą w wojennym zapędzie,
I siedem świateł tlić będzie grudniowych,
Unosząc w niebo woń modlitw ludowych.

Tak długo Wisła po wolnej popłynie
Polsce — i Dniepru ojczystego fale —
I dawna wielkość jej chwały nie zginie —
I nie będziemy obawiać się wcale —
Ani sromotnych od dziczy napadów,
Ani przemocy zachodnich sąsiadów!..“

Po krótkim pobycie w rodzinnem Sarbiewie, udał się Kazimierz do Wilna na profesora poetyki i retoryki. Niedawno wyszło w Kolonii pierwsze dokładniejsze wydanie jego poezyi, które rozchwytane natychmiast zjednało mu nadzwyczajną sławę[1]. Tego samego jeszcze roku trzeba było bić nowe wydanie w Wilnie. Tymczasem Sarbiewski nie spoczywał na zebranych wawrzynach, ale kształcąc innych, sam też coraz bardziej się kształcił. Świadczy o tem własnoręczna notatka, którą po śmierci znaleziono w używanym przezeń Wirgiliuszu: autora Enejdy przeczytał od deski do deski sześćdziesiąt razy, innych klasycznych pisarzy po dziesięć razy i więcej. Tylko taką żelazną pracą dojść można było, nawet przy tak olbrzymich naturalnych zdolnościach, do stworzenia arcydzieł. Płynęły one teraz jedne po drugich z pod płodnego pióra „najsławniejszego harfiarza północy“[2]. W trzy lata po pierwszej wileńskiej, ukazała się w temże mieście nowa znacznie pomnożona edycya jego pieśni.

Księgarze zagraniczni ubiegali się o pozwolenie drukowania poezyi uwieńczonego wieszcza. Zgłosił się nawet w tym celu do Wilna słynny humanista Baltazar Moret, uczeń wielkiego Lipsiusza. Było to największym zaszczytem dla uczonego, jeżeli wydaniem jego dzieł chciał się zająć Moret „chluba Belgijska, Muz ulubieniec“, a którego sam Papież wysoce cenił i szanował. To

---

[1] *Mathiae Casimiri Sarbiewski S. J., Lyricorum libri III., Epigrammatum liber I., Coloniae Agrippinae, typis Bern. Gualberti 1625, in 12-mo; pp. VI. et 196.*

[2] Słowa Baldego o Sarbiewskim.

też Sarbiewski nietylko chętnie przyjął uczynioną sobie propozycyą, ale odwdzięczył się za nią antwerpskiemu uczonemu pochwalną odą[1].

Za życia Sarbiewskiego ukazało się jedenaście mniej lub więcej zupełnych wydań utworów jego poetycznych: w Rzymie w Wilnie, Kolonii i Antwerpii. Po śmierci co najmniej trzydzieści pięć; razem więc mielibyśmy do dziś dnia około pięćdziesiąt wydań, przeważnie zagranicznych. Niektóre wydania polskie, jak wydanie ks. Naruszewicza i Bohomolca z drugiej połowy przeszłego stulecia, nadzwyczaj są cenne. To ostatnie mieści w sobie tłumaczenie polskie pieśni Sarbiewskiego, dokonane przez Jezuitów: Samuela Twardowskiego, Piotra Puzynę, Minasowicza, Albertrandego, Michała Przeździeckiego, Antoniego Wiśniewskiego i Bohomolca. O wiek cały przed nimi, bo jeszcze w ostatnich latach panowania Władysława IV., przetłumaczył kilkanaście pieśni Libicki. W naszym wreszcie wieku wyszło kilkadziesiąt pieśni Sarbiewskiego w przekładzie niemieckim i francuskim[2].

W obec tej suchej, a przecież tak wymownej bibliograficznej notatki, nikną możliwe zarzuty, bledną najwyszukańsze pochwały. Nie szczędzili ich „nowemu Orfeuszowi“ współcześni, nie szczędzili potomni. Niemcy nawet protestanci, jak Hugo Grotius i Jan Fryderyk Cramer; Duńczycy, jak Olaw Borich; Francuzi, jak Adryan Boillet; Anglicy, Vicerimus Knoks w zawody wysławiali „najsławniejszego liryka swych czasów, który Horacego nieraz przewyższył, a daleko pozostawił za sobą Vidę i Barberiniego“.

Na wszechnicy oksfordzkiej urządzono publicznie wykłady

---

[1] Ks. III. O. 29. Moret wydał trzy wydania Sarbiewskiego: w 1632 (in 4. str. 336); w 1634 (in 16. str. 226); i w 1645 (in 24. str. 236). Ody do Moreta i „Do przyjaciół Belgów“ (Ks. III. O. 29) wprowadziły prawdopodobnie w błąd Wiszniewskiego, a za nim innych (np. P. Sokołowskiego w artykule: Polityka austryacka Zygmunta III., Prz. Polski r. 1878. Październik), jakoby Sarbiewski uczył się u Niderlandzkich Jezuitów. Poeta przejeżdżał przez Belgię, poznał i pokochał „brzmiennego duchem, świętego myślami“ Bollandena, Tollenarego, Dieriksa i wielu innych, ale uczył się, jak widzieliśmy, tylko w polskich i rzymskich szkołach.

[2] Biblioteka pisarzów asystencyi polskiej, przez Ks. Józefa Browna T. J. Poznań 1862.

poezyi polskiego Jezuity; młodzież wszystkich krajów poiła się ich czarem i ćwiczyła umysłowe swe siły na wychwalaniu niezrównanego mistrza [1]. Jeżeli innym, to w najściślejszem słowa znaczeniu sobie samemu zbudował Sarbiewski: *monumentum aere perennius*". Sława jego, którą wówczas już brzmiał cały uczony świat europejski, przecisnęła się i do skromnej celki wileńskiego profesora. „Do pochwał, pisał do Sarbiewskiego zaprzyjaźniony z nim płocki biskup Łubieński, do pochwał tylu uczonych, które na zawsze uwiecznią twe imię, nie odważam się dodać i słowa. Słusznie i prawdziwie cię osądzili i podpisuję się na każdą z ich uwag. Gdybym mógł przez to zwiększyć blask twego imienia, nie omieszkałbym i ja pośpieszyć z złożeniem winnego ci hołdu" [2]. Przecież nie przemógł na sobie uczony biskup, żeby w innym z swych listów nie wyrazić jaśniej swego uwielbienia dla „księcia poetów".

„Przejdą wieki, ale potomność nie przestanie sławić twego imienia... *Sic te lyricis vatibus inseris*" [3].

Nietylko z Rzymu, z Belgii od owych dobrych znajomych Michała von der Ketten, Sylwestra Petrosaneta, Moreta i tylu innych, którycheśmy tylko małą cząstkę wymienili, zbiegały się do Wilna listy pochwalne, czci pełne i należnych hołdów. Magnaci polscy, Albert Radziwiłł, Janusz Tyszkiewicz wojewoda trocki, Stefan Pac podskarbi litewski, Weiherowie, Wołłowicze ubiegali się o przyjaźń Sarbiewskiego i jak o łaskę prosili, aby raczył czasem odwiedzić ich progi. Pokorny zakonnik nie dał się oszołomić brzmiącą sławą; pamiętał i powtarzał raz po raz, że „wszystko przeminie."

„Prawa chwała nie chce wrzasku,
Nie chce pochwał we tłumie,
Najgodniejszy ten oklasku,
Kto unikać go umie" [4].

---

[1] W 1689 wyszło po raz pierwszy jako przydatek do pieni lirycznych Sarbiewskiego: „*Epicitharisma, sive eruditorum virorum e S. J. in auctorem poemata. Cantabrigae.* Dodatek ten pojawił się w następnych kilku edycyach.

[2] *Opera posthuma* 445.

[3] *Opera posthuma* 242.

[4] Ks. IV. O. 11.

Przyciśnięty częstemi zaproszeniami, tłumaczy się, dlaczego niechętnie porzuca swą ukochaną celkę:

„Kiedy rodaków gościnne wrota
Stoją otworem przedemną?

Ja wewnątrz siebie zamknięty ściśle
Na moją duszę wciąż patrzę,
I sceny życia w moim umyśle
Stawię by w jakim teatrze.

Troskam się jeszcze czy Widz co w Niebie
Rad z teatralnej mej maski,
Czy sztukę moją zgani u siebie,
Czy jej przysądzi oklaski“ [1].

Na ziemi we wszystko i wszędzie wkrada się tęsknota:

„Przykra dla oka zepsutego dziecka
Miłej jutrzenki barwa staroświecka,
Lub księżyc stary i blady,
Który lubiły pradziady.

Co rok wędrujem, na półsferze oba,
Temu się zima Batawska podoba,
Ten chce na Auzońskiej ziemi
Oddychać wiatry skwarnymi.

Daremna żądza, daremna fatyga,
Wszędzie znużenie i boleść dościga:
Czy pójdziem w Etruskie pole,
Czyśmy w weneckiej gondole“ [2].

Prawdziwe szczęście nie tutaj; kto go chce zażyć, niech podniesie oczy i serce w górę:

„Ojczyzna niebo, wzrok mój zachwyca,
Tło firmamentu bogate,
I młodociany promień księżyca,
I gwiazdek światło iskrzate,
Światło za światłem miga wesoło,
Kręgiem tanecznym się waży,
Lampa przy lampie stoi wokoło,
U świętych niebios na straży.
Przykute oczy moje do nieba,
Błądzą jak goście w tem kole;
Długoż mi jeszcze, długo potrzeba
Tułać się w ziemskim padole?

[1] Ks. IV. O. 12.
[2] Ks. IV. O. 15.

Otwórz się grobie, otwórz się głuchy,
Legnę w tobie bez popłochu,
Zrzucę cielesnych kajdan łańcuchy,
Strząsnę proch mojego prochu.
Zbędę się mego brzemienia w ciele,
Zbędę się bolu, zgnilizny,
I ducha mego lotem wystrzelę,
Do niebiosów, do ojczyzny“ [1].

Gotowy zawsze na tę oczekiwaną chwilę, targał Sarbiewski ostatnie więzy łączące go z światem. 23 września 1629 złożył na ręce prowincyała O. Jemiałkowskiego cztery uroczyste śluby professów. W tymże czasie objął katedrę filozofii przy akademii wileńskiej. Ze zmiany tej bardzo był niekontent biskup Łubieński; smuciło go, że przyjaciel zamienić musiał „urocze łany Muz na kamienistą rolę filozofii“; i chociaż wielki wielbiciel i dobroczyńca Jezuitów, tą razą pogniewał się na zakonnych przełożonych. Inne były zapatrywania się poety-filozofa. Choćby czuł był w sobie wstręt do zapuszczania się w krainę oderwanych filozoficznych badań, bezwątpienia użyłby był całej moralnej siły do złamania tego wstrętu. Zawsze, ale szczególnie od chwili związania się z Bogiem i zakonem uroczystymi ślubami, nie było niczego, czegoby „Oblucieńcowi swemu“, jak tylekroć Chrystusa Pana nazywa, nie złożył chętnie w ofierze:

„Posłałem moje serce — jak płomienna raca,
Poleciało ku Tobie, lecz nazad go niema,
Posłałem moją wolę i ta nie powraca,
Posłałem myśl i rozum i to się zatrzyma.
Teraz duszę posyłam.“

Z zapałem też iście młodzieńczym zanurzył się w foliałach Arystotelesa i scholastycznych myślicieli i wkrótce już najzupełniej odnowił dawną znajomość z tymi przez długie lata zaniedbanymi przyjaciółmi. Jak poprzednio pisał traktaty o poetyce, tak teraz wziął się do obrobienia filozoficznych zagadnień i to najzawilszych [2].

---

[1] Ks. I. O. 19, podane w całości.

[2] *De physico continuo, libri* IV.; podobnie jak: *„De perfecta poësi, libri* IV zostały w rękopiśmie i ślad ich wszelki zaginął. W tym także czasie napisał nigdy niewydany: *Tractatus de Deo Uno ac Trino et Angelis.*

A kiedy zmęczony długiem rozmyślaniem, znużony mozolną, wycieńczającą pracą, chciał wytchnąć po niej na chwilę, przywoływał „skrzydlatą dróżynę snów swych i marzeń“, leciał z niemi pod niebo nad krainy cudne, lub na ostrowy bezludne“, po dawnemu brząkał na strunach. I owszem, właśnie teraz rozpoczął poemat bohaterski na wielkie rozmiary, pod tytułem Lechiada. Jak w Odach z Horacym, tak w poemacie tym walczył o palmę z Wirgilim. Niestety, złośliwe jakieś, czy płoche ręce pozbawiły świat tego ukochanego, wypieszczonego dziecka Sarbiewskiego, które zamierzał uczynić swem arcydziełem. Dokończoną już Lechiadę miano mu wykraść. Czy wykradziono, nie wiemy, dość, że Lechiada bezpowrotnie zaginęła dla potomności. Obok tych prac znalazł jeszcze dość czasu i energii do oddawania się kaznodziejstwu. Na nową tę dlań drogę wprowadził go niedawno zamianowany (w r. 1631) litewskim prowincyałem O. Łęczycki. W imieniu wileńskiego kolegium przyjmował Sarbiewski łacińską mową biskupa Abrahama Wojnę. Z mowy tej pokazało się, że znakomity poeta, dobry filozof, ukrywa w sobie niemałe kaznodziejskie talenta. Mowę wydrukowano, a odtąd coraz częściej występował Sarbiewski na ambonie. Również z rozkazu O. Łęczyckiego podjąć się musiał Sarbiewski publicznej obrony tez filozoficznych. Po chlubnie dokonanym akcie, ozdobił O. Łęczycki własnoręcznie dawnego swego znajomego wieńcem doktora filozofii (1632), a następnie zlecił mu teologiczne wykłady. Głębsze zaznajomienie się z „umiejętnością umiejętności“ niezbędne było i jest dla każdego, kto się poświęca głoszeniu słowa Bożego; to też wszedłszy w plany swego prowincyała, oddał się teraz Sarbiewski całem sercem teologii.

Przy nowem zajęciu, ograniczył Sarbiewski stosunki i korespondencyę z dawnymi przyjaciółmi. Skarżył się na to biskup Stanisław Łubieński.[1] „Zapewne, pisał w październiku 1635, ro-

[1] Najobfitszem źródłem do następnych lat życia Sarbiewskiego jest obszerna jego korespondencya z Łubieńskim, troskliwie zebrana przez Bohomolca w wydaniu pośmiertnych dzieł poety (z 1769). Syrokomla w tomiku szóstym przekładów umieścił tłumaczenie tej korespondencyi, bynajmniej się jednak tekstem nie krępując, z którym dlatego trzeba być bardzo ostrożnym. Tak np.: gdzie Sarbiewski pi-

zeszła się u was fałszywa pogłoska, żem wymazany z księgi żyjących; boć inaczej jeźli już nie listem, to przynajmniej przez przejeżdżających tu twych braci byłbyś mię pozdrowił. Ja zaś, abym cię przekonał że żyję, posyłam ci napisane przezemnie żywoty zmarłych biskupów płockich i poddaję je twej cenzurze. Poprawiając, siecz, odcinaj co ci się podoba, wszystko spokojnie zniosę. Jeżeli ta nasza praca niezupełnie ci się spodoba (nie śmiałbym prosić, ale Szymon Pruski, Jezuita spowiednik biskupa zaręcza, że wszystko dla mnie uczynisz), to proszę cię, ozdób te żywoty kilku wierszykami — niekoniecznie twej własnej ręki, bo wiem, jakeś zajęty, ale przynajmniej utworzonymi przez tych, którzy poili się w źródle boskiej twej poezyi“ [1].

Zanim Sarbiewski zdołał zadośćuczynić prośbie biskupa, spotkała go nowa godność i praca. (Dok. nast.)

X. X.

---

sze: *Ego mihi, sacrisque concionibus vacabam,* Syrokomla tłumaczy: „Ja wolny teraz od kazań“ (!) *Haud dubie rex noster notabatur,* przetłumaczone: „Bezwątpienia doszło to do wiedzy króla“. — *Jucundum nobis mendacium accidit astrologi nostri:* „Astrologowie nasi przyjemną nam nowinę zwiastowali.“ — To wszystko w jednym tylko liście 87 (U Syrokomli 80). Wszystkich listów u Bohomolca, wedle którego zawsze cytuję, jest 92.

ZAPISKI Z PODRÓŻY DO PANAMA.

Kto po raz pierwszy puszcza się w podróż obliczoną na kilkotygodniowy pobyt na morzu, walczy z uczuciem, jakiego temu lat dwieście doznawali Macaulaya Skwajrowie, co porzucali dom, aby przez bagna, złe drogi i dziurawe mosty, dostać się na sesyę parlamentarną do Londynu; wierzy w całą iliadę niewygód i przygód; rzeczywistość jednak nie jest tak straszna. Jeden z przyjaciół Karola Lessepsa, który z nim przez młode lata kolegował w liceum Bonaparte, wypytywał go na pożegnalnym lunczu, czy trzeba wziąść z sobą rewolwer, czy są drapieżne zwierzęta i ile minut potrzeba żeby utonąć? Taką otrzymał odpowiedź: Dzikich zwierząt nie widać, może dlatego, że same się boją, a co się tyczy zatonięcia, to po trzech minutach wszystko się kończy. Kto się wybiera w dalszą drogę, niech głównie dba o to, powiada *Manuel du parfait médecin*, żeby miał chłodno w głowie a ciepło w żołądku, to daleko zajedzie i pewno wróci, bo w dzisiejszym stanie parowej żeglugi wypadki na morzu nie są o wiele liczniejsze, jak śmiertelność na stałym lądzie.

Ceny przewozu poza Atlantyk są różne. Chłop, rzemieślnik dostaje się do Nowego Jorku, nawet do Rio-Janeiro za 75 franków. Na paquebots-poste ceny dochodzą 500 fr. do Unii, a 750 fr. do środkowej Ameryki, ze stołem i komfortem czyli z wygodami.

Dnia 5 marca 1881 o godz. 8 wieczorem trzecia ekspedycya wyruszała do Panamy; była złożona z mechaników, konstruktorów i innych urzędników przekopu. Nazajutrz byliśmy w St. Nazaire. Dzień był mglisty a nasz statek „Lafayette“ wisiał na ołowianych falach daleko od ujścia Loary i jej ruchliwych mielizn. Pyroskaf małych rozmiarów, przeznaczony do przewiezienia pa-

sażerów miał w dwóch razach podołać jakim 150 osobom i ich ręcznym pakunkom. Niebawem przewożą nas na okręt. Zaczynamy bliżej się z sobą poznawać. Jest tu trzech kupców z Antylów, 35 oficyalistów kanałowych, dwóch konsulów, ośmiu profesorów, jakich sześćdziesięciu urzędników republikanckich, zdążających do swych kolonialnych siedzib. Dam jest niewiele. Kilku młodych praktykantów jedzie za morze szukać żony, fortuny; mamy wreszcie i naszych *garde-chiourme*, których niebieskie bluzy tytułują brigadiers. Francyi musi chodzić o podtrzymanie swego zamorskiego stanowiska, jeżeli wielkiej kompanii transatlantyckiej płaci 7 milionów rocznej subwencyi za przewożenie listów, poczmistrza i komisarza marynarki, którego obowiązki nie są jasno określone. Po kilku *au revoir! n'oubliez pas ma lettre!* słychać jak pyroskaf odbija, a w kilka minut potem *Lafayette* pracowicie rusza się z miejsca.

Drugi, trzeci dzień podróży niewiele odkrywa nowego. Obłoki jak mokra serweta, spód smętny, ale za to wiatr wschodnio-północny. Co dzień o 12 godzinie wystawiany jest punkt na karcie Atlantyku i 24 godzinna etapa. Dość prędko suniemy, liczba węzłów wynosi 300, to znowu 350, czyli mniej więcej dwanaście mil ang. na godzinę. Życie na pokładzie dość znośne, dzięki wesołemu usposobieniu podróżnych a i temu, że stoły są suto zastawione, chociaż nie każdy ma dosyć sił, żeby z nich korzystać.

O siódmej zrana jest kawa, herbata, czekolada, jest świeży chleb i masło w boatkach konserwowych, bo go niebawem nie nożem ale łyżeczką nabierać będziemy. O wpół do 11 śniadanie *à la fourchette* złożone z potraw mięsnych i rybnych, z jarzyn, cepów czyli grzybów, w którem górują pikle, marynaty, sałaty. Żeby się falom drogo nie opłacać, kto ma praktykę, zawsze sobie poradzi i z kilku półmisków najodpowiedniejszy wybierze. Wina stołowego wystrzegać się trzeba, bo fałszowane, chyba że się miało przezorność zająć miejsce u stołu obok komendanta. W bufecie czekają na spragnionych cukier, cytryny i glasierka z wodą. O godzinie pierwszej wynoszą w wazach *consommé*, z którego korzystają chorzy. O 5 god. obiad o trzech daniach a o 9 wieczorem herbata. Jeden z artykułów regulaminu zapowiada łatwy przystęp do biblioteki; jednak książek żadnych dostać nie można. W szachy nikt nie gra, ani w warcaby, fortepian w salonie się nie odzywa;

grają jednak w wista i w maczka. Mijamy San Miguel, najwięcej południowo-wschodnią z wysp Azorskich, odległą o 800 kilometrów od Portugalii. Skąpą pokryta jest wegetacyą. Santa Maria, Terceira, Graciosa nikną w dali, choć są górzyste.

25° szerokości północnej. Już zaczyna być parno. Dwa pionowe cylindry, zakończone u góry jak komin u szerokiej fajki, zasilają silnym prądem korytarze prowadzące do kabin i maszynistę, co w głębi reguluje dystrybucyą pary. Ten drugi wentylator utwierdzony do wielkiego masztu jest z płótna, co ułatwia zwijanie go w umiarkowanych strefach. Morze coraz to zdradliwsze dla drobiazgu rybiego, bo przeźroczyste. Nad falami, dla zmylenia pogoni, woltyżują skrzydlate daktyloptery. I do busoli mało już kto zagląda dla sprawdzenia kierunku parowca, bo coraz większe skwary zapowiadają nam Antyle. Spotykamy okręt „Waszyngton", pozdrawiamy się wzajemnie zdala, bez zatrzymania się. Pod zmrok spadają na pokład albatrosy, czyli t. z. petrele. Czarne, z długiemi skrzydłami na półtora metra; wywracają się z bocianich nóg, uzbrojonych jednym tylko spiczastym rogiem.

23° 28′ 30″ półn. szerokości, koło raka. Zwyczaj chce, aby to miejsce obchodzono ucztą i zabawą. Gromadzą się tedy wszyscy na pokładzie, rozkładają maty, rozwieszają płótna, sprowadzają muzykę i pomimo 35° gorąca, śpiewają i skaczą.

Dnia 22 marca o 6-ej zrana niezwykły ruch, wszyscy dążą na pokład. Słychać głosy zdaleka; parowiec widocznie już stanął. Panorama malownicza u ujścia Słonej rzeki, którą oblega główna przystań Gwadelupy, Pointe à Pitre. (16° szer. półn. a 63° dług. zachod.). Kolonia z wszech miar ożywiona. Dążą ku nam jednożaglowe łodzie, któremi wielu już wysiadło na brzeg. Pełno kramarzy. Furniserzy zwożą ryby, jarzyny, które teraz świeże mieć będziemy do końca podróży. Kilka ananasów, cytryny już nieżółte ale zielone. Cera mieszkańców ciemno miedziana a wyjątkowo czarna. Większość Murzynów bez kapeluszy. Kobiety jak te statuetki na marmurach kominków, co oburącz unoszą kandelarby. Cały strój koszula w kolorowe pasy i rodzaj zapaski; ale za to moc wstążeczek, paciorków, korali i innych świecideł.

Na ulicach miasta jak na patelni. Całe życie się koncentruje w dolnych lokalach, obszernych i roztwartych na przestrzał. Ar-

tykuły handlu, płótna, drelichy, muśliny, chusteczki, poterie, woalki, jednem słowem fraszki. Cena słomianego kapelusza 10 fr. Tu nabyć go trzeba, powiada kupiec, bo t. z. panamy sprowadzamy z Paryża. W tawernie śniadanie 5 fr. nie lepsze jak za 30 susów w Palais royal. Liczba mieszkańców Pointe-à-Pitre 16000. Mimo to są cycerony, którzy za podróżującym zdążają, ile razy opuszcza sklep i namawiają na zwiedzanie osobliwości, a są to coraz to nowe gospody.

Gwadelupa od 200 lat pozostaje w posiadaniu Francuzów. Jest na niej wulkan Saufrière, 1557 metr. wysokości nad powierzchnię morza, rzadko się kiedy srożący. Do produktów zaliczyć należy roślinę rocou, która farbuje jedwab na kolor ceglasty. Rum, kawa, wanilia, trzcina cukrowa, owoce tropikowe są bogactwami kolonialnemi. Po kilku godzinach odjeżdżamy dalej. Nazajutrz 23 marca jesteśmy w Fort de France przystani martynikańskiej i dobijamy do samego *Quai de débarquement*. Radość powszechna, bo mamy tu odpocząć 24 godzin, dla nabrania węgla i wody. Nie trzeba się obawiać żółtej febry, ani trygonocefalów, ale iść śmiało na przechadzkę, bo te grzechotniki, chociaż zamieszkują trzciny cukrowe, zdaleka się trzymają od miasta. Na plantacyi wznosi się podszarzały już marmur. To statua cesarzowej Józefiny która była rodem z Martyniki. W rafineryach tłoczą trzcinę cukrową i otrzymują z niej, oprócz cukru, tafię i rum. Lepszy gatunek rumu bierze się z dystylowanej melasy, zawierającej resztki cukru i z musowania trzciny niefermentowanej. Gorszy gatunek, jest produktem dystylowanej tafii. Tafia znów jest to samo co gorzałka, a spożywa ją prosty lud.

Ludność miejscowa jest ciemno bronzowa, wyjątkowo czarna. Zamiłowana w niezależności, sama uprawia swoje osady, bo robotnika mają zakontraktowanego z anglo-azyatyckich Indyi, na siedm lat. Mieszkańców na całej wyspie jest 135000. Port fortyfikowany świadczy o wojennej przeszłości tej posiadłości, która na kongresie wiedeńskim zwrócona była Francyi przez Anglię. Murzyni i murzynki biegają po rusztowaniu z koszami węgla na głowie, przy odgłosie tamtamu. Jest to zwykły bęben o jednem dnie.

— Dlaczego latają jak poparzeni, czy płatni są od roboty i wiele? — pytali podróżni, a otrzymali odpowiedź:

— Płatni są od sztuki, dziesięć centymów od dziesięciu koszów, ale ponieważ kapitanowi pilno, dlatego płaci osobno za tamtam.

Opuszczamy Martynikę i kierujemy się ku stałemu lądowi, niebawem stajemy nad brzegami Wenecueli. Tu już inne zwyczaje. Uderza głównie cmentarna cisza. Łódek drobnych nie ma, tylko embarkacye z urzędu, jedna z celnikami w kaszkietach, szeroko obandażowanych galonem, a druga po konsula niemieckiego udającego się o 18 kilometrów dalej do Caracas. Mało kto korzysta ze sposobności dostania się na ląd; zresztą są do spełnienia paszportowe formalności. W wodzie rekiny chwytają śmiałków, którzy z lekceważeniem podeprą się na krawędzi łodzi.

W górnej części Lagwajra stoi zabudowanie opasane murem. To fabryka czokolady, powiada jakiś geograf. Nie, to cytadela, w której siedzą przyjaciele prezydenta, tego co uciekł, i tam siedzieć będą, póki nowy nie ucieknie a jego przyjaciele nie zamienią tamtych. Tak się to dzieje w tych wszystkich rzeczachpospolitych. Z parowca mozolnie spychają towary. Strażacy zasiedli stoły i spijają szampana, choć drogo kosztuje, bo 15 franków butelka, ale to się opłaca.

Ładowanie zabiera dość czasu i zatrzymuje nas do późnej nocy. Wieczorek uprzyjemniają nam śpiewaczki; tutejsze melodye nie przypominają żadnej, jakie są znane w Europie. To miłe wspomnienie unosimy z sobą do Porto Cabello, innej przystani tego samego państwa; dobijamy do murowanego wybrzeża. W mieście niema ruchu. Po sklepach Francuzi uskarżają się na konkurencyę rzemiosł niemieckich. Chcą, żeby im opisać za przybyciem stosunki handlowe, jakie panują w Jstmie. Bawimy tu kilka godzin i zabieramy z sobą jednego Europejczyka. Opowiada, jak przebył Wenecuelę piechotą z jucznym mułem. Nie miał z sobą pieniędzy, bo taniej wypadało mu płacić w posadach czyli w oberżach pończochami, podwiązkami, wstążkami i trzewikami. Towar męzki za ciężki i nie tak się prędko go zbywa. Wody zwykle niema a jak się znajdzie, to najprzód należy ją zgotować, wlać do dołka, i zanim się ochłodzi, pilnować, żeby w nią co niepotrzebnego się nie dostało. Zaledwie jednę gospodę na dobę napotkać można, a dróg niema żadnych.

Zatrzymujemy się na kilka strzałów od Sawanili, miasta Kolumbii. Tu nas opuszcza konsnl francuski i udaje się do Bogoty. 28-go czerwca spostrzegamy w oddaleniu Kolon. To punkt, od którego zaczyna się kanał Lessepsa. Kolumbia jest dwa razy większa od Francyi, a liczy tylko trzy miliony mieszkańców. Jedno z państw Kolumbii zwie się Panama, od miasta położonego nad oceanem spokojnym, liczącego 25000 ludności. Z Kolonu do Panamy prowadzi kolej zbudowana temu lat trzydzieści, kiedy febra złota ściągała ludzi do nowo odkrytych kopalni. Długość linii, a więc i przyszłego kanału, wynosi 73 kilometrów czyli 10 mil naszych. Język najwięcej używany po tej stronie kordylierów, angielski, po tamtej stronie hiszpański. Najniższy wąwóz Culebra wznosi się o 93 m. nad powierzchnię morza. Państwo Panama rozciąga się między 80 i 85 długości zachodniej a między 6 i 9 szerokości północnej.

W porcie Kolon stacyą stanowi jeden jednopiątrowy dom. Pociągi ruszają z ulicy jak europejskie tramwaje. Wagony nie większe jak na linii z Lambach do Gmunden; szerokość szyn zaledwie przechodzi długość jednego metra. W całej długości pociągu jest wolna komunikacya osią środkową. Wchód do wagonów schodkami ponad tamponami. Wszędzie są baseny z wodą. Jazda powolna trwa godzin pięć. Ekspresów niema żadnych.

Ruszamy. Morze się chowa za trzciny cukrowe i za papyrusy. Roślinność coraz to większa. Mijamy *rhizophory*. Rosną w górę palmowe drzewa. Całe łany są pokryte helikoniami z kwiatami czerwonemi, jak bukiety z oleandrów i z szerokiemi liściami a długiemi na kilka metrów. Budek nie ma, ani płotów drucianych; bydło się pasie swobodnie, lecz nie podchodzi pod koła. W początkach woły wykolejały pociągi, ale dziś już pojmują niebezpieczeństwo i za najmniejszym sygnałem ustępują z drogi. Lokomotywa jest zawsze jednak uzbrojona w drewniany pług do spychania nieprzewidzianych przeszkód. W Gatum dziewczęta roznoszą *flor del espiritu santo;* jest to kwiat na wpół biały a na wpół różowy w formie małego gołąbka. W Emperador jest mleko, bo krowy się głównie na wyżynach chowają.

Z rozmowy z handlarzem win, europejczykiem, dowiadujemy się, że piastr, (4 fr. 50) nie więcej znaczy w istocie, jak jeden

frank w Paryżu. Produkta ziemi tanie, po pięć cytryn, pomarańcz za dwa su czyli za 4 krajcary, a mięso po pół franka funt, zawsze świeże, bo po dwóch godzinach już go wyrzucać trzeba.

Z wąwozu Culebra pociąg stacza się powoli ku Oceanowi spokojnemu, a miasto Panama rośnie z gruzów, jak jaka monumentalna stolica. Roślinność jest inna, jak od strony Antyllów. Najwięcej ściągają uwagę kaktusy karmazynowe, które nad Pacyfikiem tak bujnie rosną, jak w Polsce bodiaki.

Mieszkania są drogie a szpekulanci korzystają z raptownego napływu podróżnych. Za ciemny pokój niemeblowany żądają 50 franków miesięcznie. Wprawdzie kołdry są niepotrzebne, a całe łóżko składa się z płótna wyprężonego w ramie na karłach podług tego samego systemu, co składane krzesła. W grandhôtel za mieszkanie i table d'hôte jest niezmienna cena 15 fr. dziennie. Pranie się płaci osobno po pół franka od sztuki. Grog, limonada w buwelkach kosztuje także pół franka. Star and Herald znowu kosztuje numer pół franka.

Piastry srebrne nominalnej wartości pięciufrankówek francuskich, ale o $^1/_{10}$ podlejsze, wyparły złoto. Państwo Panama jest królestwem kogutów, jak Egipt ibisów. Miasto zamiatane tylko, ile razy kto puści pogłoskę, że p. Lesseps przyjeżdża. Zresztą podejmują się sprzątania animaliów z ulic goelandy czyli sępy morskie; podobne do kruków, lecz wielkości czapli, na wysokich nogach i z dziubem, jak karabela. Lud je nazywa *rey de los gallinaros* czyli kogut król. Te gallinaros czyszczą gromadami śmiecie a grzywną jest karany ten, co je napastuje. Przyczyniają się one do utrzymania kondycyi sanitarnej miast tem głównie, że roznoszą kupy śmiecia i gnoju i czynią je dostępnemi promieniom słońca. Natenczas fermentacya staje się niemożliwa, bo zgnilizna w momencie wietrzeje.

Temperatura w suchej porze roku od Grudnia do Maja nie przechodzi 35° a w porze ulewnej 30° centigrad. Febry zgniłe są częste, ale bez cierpień, bo zwykle zapada się w letarg bezczuciowy. Pierwszym symptomatem choroby są zazwyczaj diarie. Jeżeli woda z gotowanego ryżu ich nie zatrzymuje, drugi środek jest zwykła doza emetyku i spokój. Żółta febra jest rzadka, a jeżeli tyle ofiar zabiera, to głównie z tego powodu, że chorego

przyjaciele odbiegają i nieraz do pokoju wstawiają mu trumnę. Mętny napój jest przyczyną nie jednej drżączki; lepiej trzymać się wody gotowanej, bo filtry nie wystarczają. Zdrojów nie ma. Studnie są rzadkie a rozwożenie wody po domach na długie lata pozostanie w stanie kwitnącej industryi, której kanały derywacyjne nie zniosą. Piwo ucieka z flaszek; to też butelka kosztuje franka po miastach, a w podróży oberżyści każą sobie często płacić jednego piastra. Dróg nie ma · jedyna, do transportu wozami, łączy Punta arenas z Limonem w państwie Costa Rica. Między Panama a Kolonem jest tylko linia kolejowa, którą się puszczają podróżni pieszo i konno. Jedyną niewygodą są mosty, po których z jednej trawersy trzeba skakać na drugą i uważać, by nie wpaść do wody, bo nie są deskami kryte. Są jednak wygodne ścieżki ubite i suche; nawalny deszcz w godzinę czasu nie pozostawia po sobie najmniejszego śladu. Transporta towarowe w głąb kraju na tem cierpią, albowiem nie każdy może za przewiezienie fortepianu od wybrzeża do Bogoty zapłacić 960 franków. Tą samą drogą przewiezienie aparatu drukarskiego z maszynami wynosi 6250 franków.

Główne kościoły w Panamie są: katedra, której wieżyca jest zarazem latarnią morską służącą za skazówkę żegludze; Santa Anna; klasztór San Francisco, który się tem odznacza, że fundacye jego stały się niczem niezwalczonem mrowiskiem. Siostry miłosierdzia utrzymują szkółkę i uczą dzieci nie tyle czytać i pisać, co różnych użytecznych robót. J. E. Biskup Paul zawiaduje wszystkiemi zakładami religijnemi i szpitalami. W Kolonie jest kilka kaplic protestanckich, bo ludność więcej angielska. Muzyka jest licho zastąpiona aryami Werdiego, a żadna melodya tak wymownie nie przemawia do imaginacyi murzynów, jak trubadur.

Produkta naturalne Panamy są mnogie; kory gumowe i balsamiczne, pieprz, szafran, siarka, saletra, tytuń, bawełna, indygo, koszenila, sarsaparilla, sang-dragon. Najpospolitsze z drzew są cedry, mahogany, gajaki, fagarye o szklannym dźwięku a jak żelazo twarde. Przeszkodą w podniesieniu przemysłu jest brak środków komunikacyjnych, ale i brak kapitałów, które tu kanał Lessepsa ściągnie, bo urodzajność ziemi jest nieskończona i w miarę wysokości nad powierzchnię morza, wszystko się na niej rodzi.

W dolnych częściach planty tropikalne, na wyżynach zboże, w połoninach lasy. Każde ziarno wydaje sto, a można w jednym roku mieć trzy zbiory jęczmienia, owsa, ryżu, sezamu, czyli chlebowej rośliny, fasoli i grochu. Niechże tu Europa konkuruje z tym obfitym a tanim towarem i niech nakłada cła graniczne, żeby jej ludność koniecznie szła po prowizye tam, gdzie są najdroższe. Mają tu trzy różne gatunki bananów, cztery jabłek, pięć moreli, pięć sapotilów, które są innym rodzajem granatowych jabłek. Jarzyny ogrodowe są liczniejsze, jak u nas. Szczególniejszą uwagę ściągają na siebie ignamy, które korzystnie zastępują kartofle, smakują prawie jak trufle i nie są bynajmniej niestrawne. Owoce są wszystkie zdrowe, a jeżeli kto dostanie z nich drżączki, to dlatego, że rzadko kiedy w porę są rwane. Są tu gojawy czyli śliwki wielkości ogórka, mangasy rodzaj gruszek, grenady. Kanał Panama otworzy nową dziedzinę produkcyi i zrobi dla świata to, co kanał suezki. Tam przyszłość dla niejednego, i miejsce dla milionów mieszkańców, bo roślinność państw środkowych Ameryki jest nieskończona.

Polowania w Istmie nie są wzbronione. Dziki, pekazye, rodzaj wieprzów, kuropatwy wielkości kury liczą się do specyałów; jakoteż iguany czyli węgorze z mięsem tak delikatnem jak kurczęta. Tygrysy, młode krokodyle nie są niebezpieczne, są zwinne w łapaniu właściwej zdobyczy, lecz po nasyceniu głodu śpią i nie ruszają się, choć się przebudzą. Stare alligatory czyli kajmany napadają na człowieka, to też trzeba ich się wystrzegać. Kula odbija się od skóry a trafny strzał w oko do wyjątków zaliczyć należy. Myśliwi biorą je na hak, na który zasadzają kaczkę. Jaguary zamieszkują spruchniałe pnie. Skoro negry wytropią ślad, obstawiają taki pień płotem i kłują zwierzę długiemi oszczepami, póki się nie pokaże; poczem do niego strzelają. Małpy tak łowią: kładą orzechy do gąsiorka z wązką szyjką i przywiązują go do gałęzi; małpa ciekawa wsuwa łapę a nabrawszy pełną garść orzechów, nie może łapy wydostać i daje się łatwo schwytać.

Po miastach domy są najwięcej dwupiętrowe drewniane; wysokie dachy przypominają kapelusze; od ulicy są werandy a z tyłu galerye. Na tych galeryach stoją gargulety z wodą

i mała kuchenka, składająca się z rusztu i ręcznego kominka. W dzielnicach uboższych kobiety wystawiają piecyki na ulicę. Po wsiach domy zamożniejszych gospodarzy są już widocznie drewniane i zbijane ze sztuk, które sprowadzają z Nowego Jorku. Ciesiołka się nie opłaca, bo nie ma industryi a taryfy kolejowe są wygórowane. I tak cena biletu osobowego za 73 kilometrów jazdy z Kolon do Panama jest ta sama co cena biletu z Paryża do Wiednia, licząca 1400 kilometrów długości, a więc prawie dwądzieścia razy tak wielka. W budowach folwarcznych zachodzi ta osobliwość, że stoją na palach, i że między ziemią a dolną podłogą zostawiony jest wolny przestrzał wysokości trzydziestu centymetrów. Tym sposobem Gallinaros mogą tutaj wyłapać gady i nie dopuścić je do pomieszkania.

Do owadów nie tyle szkodliwych co nieprzyjemnych, zaliczyć można mustyki, czyli rodzaj komarów dwa razy większych jak nasze. Skuteczniejszych kataplazmów wyobrazić sobie nie można; łóżko otaczać gazą nie zda się na wiele. Europejczycy oszczędzają sobie trochę oliwy i salwują się w ten sposób, że idąc spać nie zapalają światła. Mustyki natenczas lecą do sąsiada. Inna metoda jest, całe okna mieć zabite gazą. Są tacy, którzy znoszą krzyż utrapienia i żyją nadzieją, że po jakich dziesięciu dniach mimowolnego szczepienia, skóra staje się nieczuła jak bęben.

Sawanny bujną swą roślinnością żywią mnogie stada bydła chodowanego w Chiriki, bo tutajby cieląt nie uchronił od *gusanos* czyli od much, które po swojemu także żyją z pastwisk. Żeby wybawić woły od tych much, siadają im na karku *garapateros*, rodzaj kosów chciwych na *gusanos*; *vaqueros* czyli pastuchy biczem nie mogliby ich obronić.

Konie są niekształtne ale wytrzymałe; wolność, jakiej zażywają na sawannach, może się do tego przyczynia. Dopiero po pięciu dniach trudów podróży potrzebują spoczynku. Wężów jest mnogość, lecz nie opuszczają lochów, jak w porę dżdżystą, między czerwcem a grudniem. Chociaż są niektóre zjadliwe, nie są niebezpieczne—po najedzeniu w takie zapadają odrętwienie, że zaledwie jedno oko otworzyć mogą.

W lesistych okolicach ludność obawia się więcej pewnego

rodzaju pluskiew *garapates*, które swe żądła zostawiają w ranie, a mają ośm nóg uzbrojonych takiemi hakami, że je tylko ze skórą uprzątnąć można. Motylów wielka rozmaitość, mrówki długie na pół palca. Niedoperze podobne do naszych, lecz mniejsze są dość pospolite. Mieszkańcy leśnych okolic, po miastach nie ma obawy, wystrzegają się ich, bo podczas snu niepostrzeżenie wycinają kawałkami ciało. Kokuju jest robaczek z familii elaterydów, jaskrawy jak dyament. Dzieci go przechowują w kawałkach cukrowej trzciny, którą on powoli toczy. Dziewczęta umieją go więzić we włosach, a nawet nosić jak korale na szyi. Ptaków jest moc. Bardzo ciekawy jest *carcovado*, rodzaj przepiórki, który rano i wieczór donośnie i dźwięcznie rytmuje szóstą godzinę. Rozkoszny ptak jest papuga, ale nie taka, jakie my tu w Europie na łańcuchach więzimy znarowione, krzykliwe, ale małe jak młode gołąbki, zielone jak szmaragd, jeżeli kto ma cierpliwość je sobie wychować. Parę nabyć można za pół piastra i zacząć od tego, żeby je nie wiązać, ale wolno zostawić na drążku. Trzeba wiedzieć, że one bananów nie lubią, choć je amatorowie bananami żywią. Wolą kawę i czekoladę na śniadanie, rosół i sztukę mięsa z musztardą lub z ogórkami na obiad a na podwieczorek herbatę z biszkoptami. Kłopotu z niemi nie ma, bo posadzone na obrusie same sobie znajdą półmisek, pieprz, sól, sałatę. Siedzą spokojnie w podróży na ramieniu, lubią jeździć omnibusem. Takie papugi witają gospodarza, ile razy wraca do domu i bez nakręcania wiedzą kiedy 12 godzina.

Kolumbia, inaczej Nowa Grenada winna swą niepodległość Boliwarowi, który umiał skorzystać z wojen cesarstwa, żeby posiadłości Ameryki z rąk Hiszpanii wydobyć. Armii nie utrzymuje, a gubernator państwa Panama posiada dla parady więcej, aniżeli dla użytku garnizon, złożony ze 150 bosych żołnierzy. Oficerowie noszą buty, kapela w ten sposób sobie radzi, że się wynajmuje przy uroczystościach i znaczniejszym obywatelom wyprawia serenady w nocy. Melodyi osobliwych nie wygrywa, ale ile razy dostanie jakiego artystę to go adoptuje i nawet strzeże żeby jej nie uciekł. O burdach ulicznych lub szynkowych nie słychać; straży bezpieczeństwa mało. Rzadko się zdarza, żeby kto kogo w sklepie lub na ulicy z rewolweru zastrzelił.

Wójt po wsiach czyli *alcade* sam jeden wymierza sprawiedliwość w sporach pieniężnych, ale jego tyrania daleko nie idzie. W tych słynnych republikach amerykańskich praktykuje się zwyczaj puszczania w dzierżawę przywileju trzymania domów gry. Dzierżawcy mają prawo postawić oznaczoną liczbę rulet, którą napotkać można po gospodach i na ulicach. Gra zaczyna się i kończy w kilku blisko określonych godzinach; zazwyczaj między 8 a 10 wieczór. Wreszcie należy coś powiedzieć o tem ważnem przedsiębiorstwie, które się tu obecnie dokonywa, o przekopie panamskim.

Z dziesięciu różnych projektów przebicia kanału panamskiego, największą uwagę zwróciło przejście przez jezioro Nicaragua, na 40 metrów wysokości nad powierzchnię morza, mające długości 457 kilometrów. Książe Ludwik Napoleon, kiedy siedział w Ham, poświęcał swój czas temu przekopowi; ale konieczność wykucia tunelu sześciu kilometrów przez góry Leonu, zbudowania 42 szluz i mitręga nieodzowna, połączona z kosztami utrzymania komunikacyi bez stałego poziomu, tak mu się wydały być trudnem do przezwyciężenia zadaniem, że odstąpił od swej myśli, i cała rzecz przeszła w ręce kompanii amerykańskiej White & Vanderbilt.

Projekt przebicia kanału z Kolon do Panama był przez badaczy z góry omijany, bo wrażenie było ogólne, że ugoda zawarta między unią Kolumbii a kompanią kolejową, wyklucza możliwość przedsiębrania jakichkolwiek robót w granicach koncesyi. Sądzono również, że w tym punkcie Kordyliery stanowią nieprzebytą przeszkodę. Dlatego to Humboldt i Garella projektowali śluzy, na zapełnienie których nie było wody, a sytuacya polityczna tak była natenczas (w r. 1828) skomplikowana, że obawiano się despotycznego liberum veto państwa, które stale te kraje opanować miało.

Kongres geograficzny z r. 1875, odbyty pod przewodnictwem jenerała Türra, nic nie zdecydował, powierzył jednak ponowne zbadanie przejść Lucianowi N. B. Wyse, oficerowi marynarki. Dopiero kongres z r. 1879 zgodził się na projekt obecny, a cała trudność zależała od zebrania stosownych funduszów, potrzebnych do wykonania. Pieniądze znalazły się, przystąpiono do robót.

Zatoka Limon o 35□ kilometrach powierzchni i 8.50 metr. głębokości przy porcie Kolon, jest punktem wyjścia od Atlantyku. Dragi (czerpadła) usuną muł, przypływ morza nieznaczny, wynosi tylko 0.50 wysokości, nie będzie wymagał t. z. porte de marée. Grobla 850 metr. długości zabezpieczy nawigacyę od cyklonów nawiedzających te brzegi w miesiącu grudniu. Natura ziemi jest miałka a na jednę milę długości trachityczna. Zamiast otwartego przekopu projektowano zrazu tunel 7700 metr. długości; ale ta myśl zaniechana była z obawy mgły, jaka powstać mogła przy zetknięciu wody ciepłej kanału z chłodnem powietrzem podziemia. Od strony Oceanu spokojnego roboty przedłużą się w morze przez port Panama; głębokość 7.30 metr. będzie zapewnioną zapomocą Chenalu, między dwoma liniami nawiezionych skał. Nadinżynier kolejowych dróg i mostów p. Dingler, kierujący obecnie robotami kanału, przedłożył zgromadzeniu akcyonaryuszów na dniu 23 lipca 1884 projekt następujący:

1) Wydrążenie kanału o 9 metr. głębokości pod średnim poziomem morza.

2) Szerokość dna 22 metr.

3) Łoże otwarte w całej długości.

4) Porte de marée ze śluzą w mieście Panama, dla zapewnienia w każdej chwili dnia, i jakikolwiek jest przypływ morza, wolnej komunikacyi statkom chcącym się wydostać na Ocean spokojny.

5) Budowa obszernych portów w Kolon i w Panama.

6) Założenie równoległego kanału o 5 kilometrach długości w punkcie środkowym Tabernilla, dla ułatwienia przejazdu krzyżującym się statkom.

7) Wał ochronny w Cerro de Gamboa, dla zregulowania wód wezbranego Szagru (Chagres) i kanały odprowadzające.

Projekt ten jest zgodny z dzisiejszym stanem inżynierskiej wiedzy. Dwa kanały derywacyi poprowadzone równolegle do środkowego łoża mają być zbiornikiem rzek i opadów, żeby zaprojektowany kanał nie stał dla tych wód otworem, coby mogło sprowadzić wielkie przeszkody w żegludze. Tama wysokości 30 m. w Gamboa ma zamykać zbiornik i mieścić miliard metrów kubicznych. Najostrzejsza krzywizna obliczona jest na łuk koła

o 2000 m. promienia, a długość zbiorowa kanału na 73 kilometrów długości.

Dzienniki amerykańskie dla reklamy sieją „wieści o śmiertelności", lecz ta sprowadzi lepsze płace dla robotnika, bo robotnik będzie się drożył, a najlepszym środkiem zaradczym od słabości jest komfort i dobry byt. Śmiertelność powstaje z wyziewu przy ruszaniu warstwy ziemi przepełnionej padliną, ale te wyziewy mogą być usunięte wentylatorami i ogniskami. Liczba robotników dochodzi 16000, i zamiast 3 fr. dziennie, biorą już 5 i pożywienie. Zresztą ta śmiertelność wynosi procent już tylko $3^1/_2$ rocznie, a administracya robi wszystko, co jest w jej mocy, aby ją zmniejszyć. W Panama wystawiła szpital na 300 łóżek, obsługiwany przez wielu lekarzy, między którymi jest jeden murzyn; siostry miłosierdzia w liczbie 45, mają staranie o chorych. Robotnicy pochodzą głównie z Hajti i Jamajki, dzielnie pracują, mało wydają, po kilku miesiącach uskładawszy sobie kapitalik, wracają do domu. Wzdłuż całej linii jest dotąd 14 stacyi; ziemię wybraną ręcznie i maszynami odwożą kolejami *ad hoc* urządzonemi do tamy wielkiego zbiornika.

Nowo zaprowadzone sposoby dla zastąpienia roboty w skałach, drążeniem w luźnej ziemi, zmniejszają wydatki choć podnoszą liczbę kubików z pierwotnie projektowanych 75 na 110 milionów. Żeby tę całą ziemię zbić w pyramidę o podstawie $1^1/_3$ hektara, czyli półtora morga, powstałby drugi szczyt Dawalaghiri o 8176 m. wysokości.

Do 1 maja 1884 r. wydobyto tylko 5,243.302 metrów kubicznych ziemi, lecz taki jest tryb robót po wszystkich niemal entrepryzach. Przy kanale Suez, na 75,000.000 metrów kubicznych, wybranych było w ostatnich dwóch latach 50,000.000, czyli $^2/_3$ objętości. Wszędzie trzeba próbować nowych metod, maszyn, narzędzi, coś niepospolitego wymyślić i „niejedno miłe zburzyć, a inaczej odbudować".

Znana jest formułka proporcyonalności, kosztów utrzymania linii komunikacyjnych, do ich długości. Te koszta rosną w miarę długości, — rampy, ostre krzywizny na kolejach, manewry przy śluzach na kanałach, przyczyniają się do ich zwiększenia, a tu tego wszystkiego nie będzie. Co więc akcyonaryusze za dużo wy-

dadzą na dokonanie dzieła, wróci się im zdwojonemi dywidendami, jednak do dzisiaj „nic nie pozwala przypuścić, żeby kanał więcej jak 600 milionów franków kosztował, ani też żeby nie był otworzony na zapowiedziany termin tj. na r. 1888".

Tablica porównawcza dróg morskich wykaże, o ile skrócone będą za cztery lata odległości między portami.

Nazwisko portów	Przez Cap Horn	Przez kanał w Panama	Różnica
Z Londynu lub Liverpool do San Francisco.....	6800	3300	3500
Z Hawru do San Francisco.....	6500	3200	3300
Z Londynu do Sidney.....	6600	4400	2200
Z Hawru do Sidney	6500	4300	2200
Z Bostonu lub Hawru do Valparaison.....	4400	3000	1400
Z Londynu do wysp Sandwich..	6000	3200	2800
Z Nowego Yorku do Valparaison	4300	1600	2700
Z Nowego Yorku do Callao.....	4500	1200	3300
Z Nowego Yorku do Gwajakwil	4800	950	3850
Z Nowego Yorku do San-Diego	6200	1500	4700
Z Nowego Yorku do San Francisco	6400	1700	4700
Z Nowego Yorku do Vancouver	6700	1900	4800

Stan finansowy kompanii kanału międzyoceanowego w Panama jest następujący:

Do dnia 30 czerwca 1883 r. sumy wydane na samą budowę wynosiły . . . . . fr. 108,418,097·87

Materyał, nieruchomości, zakupno 68.534 akcyi kolei z Kolon do Panama i inne pomniejsze wydatki wynosiły sumę . . . . . fr. 120,291,228 02

Wydanych aż do dnia 30 czerwca 1883 jest fr. 228,709,325·89

Od tej sumy należy odciągnąć za długi nieopłacone i za reeskonto portefeuillu . . fr. 17,679,548·77

Rezultat ostateczny wydatków aż do 30 czerwca 1883 r. . . . . fr. 211,029,777·12

Dla dopełnienia powyższych objaśnień tyle powiedzieć się da, że: 1. Kompania zmuszona była nabyć większość akcyi kolei z Kolon do Panama, dla ułatwienia do godniejszych warunków. 2. Oryginalnym aktem koncesyi spisanym z rządem Kolumbii 500 tysięcy hektarów ziemi ma przejść w posiadanie kompanii I. P. na zawsze, tam gdzie je sobie wybierze; 3. Rozporządzeniem z Bogoty z d. 26 grudnia 1883 r.: „Kompania kanału I. P. ma prawo już, na mocy 4 artykułu tego aktu koncesyi, do 150 tysięcy hektarów ziemi, po dokonaniu $^1/_3$ części roboty. Administracya kanału wybrała już sobie obszar 300 tysięcy hektarów i wysłała niedawno z Paryża umyślnie w tym celu delegowanego do zaprowadzenia tamże plantacyi trzciny cukrowej i innych produktów, tak zwanych kolonialnych. Przyszłość całego przedsięwzięcia przedstawia się dziś świetnie, za lat kilkanaście, same obszary darowane Towarzystwu, stanowić będą kapitał wyrównywający całemu nakładowi, użytemu do zbudowania kanału.

B. S.

KLEMENS KSIĄŻE METTERNICH
1773—1859.

(Ciąg dalszy).

XIV.

Pierwszego marca 1835, po 43 latach panowania, cesarz Franciszek zstąpił do grobu. Śmierć monarchy wielką w państwie uczyniła próżnię. Osobisty szacunek, jakiego zmarły używał w Europie, był podporą międzynarodowego stanowiska Austryi: tej podpory naraz nie stało. Wewnątrz, w ostatnich mianowicie czasach, wszystko niemal opierało się o osobę cesarza, który, powiada Metternich, „przeciążył się mnóstwem różnorodnych zajęć i skupił w swem ręku wszystkie nici administracyi". Nie mogło to wyjść i nie wyszło na pożytek państwa, zwłaszcza przy ociężałości i pedantyzmie Franciszka, ale w uświęconym długą praktyką porządku, panujący zajmował miejsce nader obszerne i do zapełnienia trudne. O arcyksięciu Ferdynandzie, następcy tronu, wiadomem było, że pozbawiony jest umysłowych zdolności i sił fizycznych, do dźwigania korony potrzebnych. Dobry, prostoduszny, uczciwy, ożeniony z księżniczką domu sabaudzkiego, nieumiejącą po niemiecku[1], bezdzietny, nie miał sądu i woli, okazywał nieprzeparty wstręt do zajmowania się sprawami publicznemi, nie znosił cielesnego utrudzenia, wobec licznego zgromadzenia gubił wątek myśli i bał się własnego głosu.

[1] Niedawno w Pradze zmarła świątobliwa cesarzowa Marya Anna, dała dowody w roku 1848 siły duszy i charakteru, jakiej się najbliżsi po niej nie spodziewali. Pierwej trzymała się na uboczu; nie była zresztą stworzona do życia dworskiego i polityki.

Przy szybkim przebiegu choroby ostatniej, zmarły cesarz zaledwie znalazł czas do podyktowania krótkiej instrukcyi, obejmującej niektóre punkta podrzędne, których załatwienie rządowi polecał. W osobnem piśmie zalecał synowi, żeby „rządził i nic nie zmieniał, szanował cudze prawa, dbał o zgodę i harmonię w rodzinie, nie przedsiębrał nic bez wiedzy ministrów, w kwestyach wewnętrznych radził się arcyksięcia Ludwika, ufał Metternichowi, najlepszemu i najwierniejszemu przyjacielowi ojca, i we wszystkiem jego zdania zasięgał". Rodzina cesarska przywykła była ślepo głowie domu ulegać; wyżej widzieliśmy, jaką czcią kanclerz swego pana otaczał, inni dygnitarze albo podzielali uczucia Metternicha, albo też z interesu przywiązani byli do starego porządku, w którym pod zasłoną wszechwiedzy i wszechwładzy cesarskiej, rozpościerała się bezkarnie nieczynność i samowola. Rozporządzenia testamentarne cesarza Franciszka zostały przeto święcie dochowane, w dawnym składzie ludzi i rzeczy żadna zmiana nie zaszła, ubyła tylko głowa i ręka, której sama obecność nie dopuszczała ostatecznego rozkładu.

Metternich spróbował „zapełnić próżnię, powstałą po śmierci cesarza Franciszka, przez stworzenie w konferencyi stanu ogniska wielkich spraw, przekraczających zakres władzy ministeryalnej". W myśli kanclerza, konferencya obradująca pod przewodnictwem samego cesarza, miała rządzić państwem. Półtora roku potrzebował na formalne przeprowadzenie swej myśli, następnie zaś instytucya, tak niezbędna w ówczesnych okolicznościach, przeciw swemu obróciła się autorowi. Główne w niej miejsca przypadły trzem egzekutorom testamentu cesarza Franciszka, arcyksięciu Ludwikowi, Metternichowi i prezesowi rady stanu hr. Kolowratowi. Gdy cesarz panujący usunął się od przewodnictwa, naturalnym naczelnikiem tryumwiratu został arcyksiąże Ludwik, człowiek światły, przez brata zwykle do rady wzywany i stąd z interesami obeznany, który gdyby był chciał, mógł był zostać głową i duszą rządu; lecz, jak się Metternich wyraża, nie umiał wznieść się na stanowisko monarchy. Czując to do siebie, nie śmiejąc się przechylić na niczyją stronę, zwłaszcza między Metternichem i Kolowratem, upatrzył w konferencyi niepotrzebną komplikacyę i zrobił z niej ciało bez określonych atrybucyi, doradcze, nieregularnie

i z czasem coraz rzadziej obradujące. Zamiast dyskutować ustnie, stanowić i decyzye odsyłać cesarzowi do podpisu, członkowie konferencyi trawili czas na monologach i pogadankach i najczęściej znosili się z sobą na piśmie.

Podobny sposób traktowania rzeczy przypadł do smaku Kolowratowi i odpowiadał jego widokom. On właściwie Austryą rządził, pomału bowiem zagarnął całą administracyę, policyę, skarbowość, nominacyę urzędników, wybór spraw przedkładanych gabinetowi przybocznemu cesarza, kierunek rady stanu. Biurokrata zakamieniały, zarozumiały, uparty, zazdrosny, unikał zbiorowych narad, nieraz żeby ujść niemiłej dyskusyi, kładł się do łóżka, albo na wieś uciekał. Był głową opozycyi biurokratycznej, nienawidzącej kanclerza. Choć go Metternich od tego zarzutu broni, pewnem jest, że knuł ustawicznie na jego zgubę. Podczas wojny wschodniej w 1828, na przekor Metternichowi brał stronę Rosyi; w 1831 udawał przyjaciela Polaków; z raportów dyplomacyi rosyjskiej widać, że w 1840, podczas zawikłań wschodnich, znowu usiłował Metternicha obalić. W zwykłych okolicznościach, biernym oporem tamował wpływ kanclerza na sprawy wewnętrzne. „Nie do mnie należało, mówi Metternich[1], rządzić Austryą i administrować; żeby zresztą módz administrować, trzeba było zacząć od przewrócenia całej machiny do góry nogami, co moją przechodziło możność. Obowiązany byłem reprezentować monarchię w obec całej Europy i strzedz wewnątrz i zewnątrz politycznych interesów monarchii. Jako członek konferencyi stanu, otwierałem zdanie w sprawach, dochodzących do tego ogniska. Chciałem, żeby rząd rządził; moi koledzy szukali rozwiązania tego problemu w administrowaniu według przyjętych reguł. Wciągnięcie spraw administracyjnych w zakres centralnego rządu sparaliżowało całą machinę, zalało zwierzchnią sferę mnóstwem najrozmaitszych drobiazgów i zniosło odpowiedzialność władz podrzędnych. W skutek opieszałego biegu interesów, środki przez rząd przedsiębrane dochodziły mojej wiadomości zapóźno, po przebyciu wszystkich in-

[1] W notatce skreślonej po wypadkach marcowych roku 1848. Bliższe szczegóły o rządach przedmarcowych zawiera ciekawa książka hr. Hartiga: Genesis der Revolution in Oesterreich. Leipzig 1850.

stancyi, kiedy już były zarządzone, lub musiały być wykonane niezwłocznie. Od początku widziałem, jaką walkę staczać mi przychodziło; bolałem nad skrytą i jawną niechęcią władz niższych i nad brakiem poparcia tam, gdzie mi się ono należało". Istotny udział Metternicha w polityce wewnętrznej wyjdzie na jaw dopiero po ogłoszeniu protokołów konferencyi stanu, do których wydawca Pamiętników nie miał przystępu. Z tego co dotąd wiadomo, pewnym być można, że udział ten był nieznacznym już z powodu roli, jaką konferencya w praktyce odgrywała. Pod jej rozpoznanie przychodziło mnóstwo drobnych sprawek, które niegdyś cesarz Franciszek załatwiał jak pierwszy lepszy biuralista. W ważniejszych kwestyach decyzya niezmiernie ciężko stawała, z powodu chwiejności arcyksięcia Ludwika i antagonizmu między kanclerzem i Kolowratem, który w końcu brał górę, opierając się przy literze paragrafu. Metternich z paragrafami nieobeznany, nie mógł klina klinem wybijać, był zawsze miękki, na starość tem łatwiej dla świętego spokoju ustępował, miał zresztą do czynienia z całą potęgą przeciwnej sobie biurokracyi, pod nowem panowaniem będącej więcej niż kiedykolwiek panią położenia. Tajono przed nim zamiary i postępki rządu; domowi nieprzyjaciele wystawiali go przed światem jako wszechwładnego ministra, żeby na jego głowę odwrócić powszechne nieukontentowanie. Oskarżano go publicznie, że interes Austryi poświęca interesowi zagranicy i osobistym widokom, że rujnuje finanse wydatkami ua kancelaryę stanu, że ustawicznem mięszaniem się do polityki wewnętrznej, sprowadza zamęt i toruje drogę reakcyi i jezuityzmowi.

Zastój panujący w Austryi był dziełem cesarza Franciszka. Cesarz Franciszek wzrosły w zasadach samowładztwa, do przesady posuwał dbałość, a raczej obawę o uszczuplenie praw korony i w tem utwierdzało go jeszcze mocniej wewnętrzne przeświadczenie o czystości własnych zamiarów. Sumienny w wykonywaniu obowiązków monarszych, ze szkoły stryja, Józefa II, wyniósł zwyczaj wglądania w szczegóły i rządów osobistych. Stryj wprawiając go do spraw publicznych i widząc w nim umysł ciężki, trudno pojmujący rzeczy, traktował młodzieńca szorstko, z lekceważeniem i jak twierdzili ludzie tamtych czasów bliźsi, wzbudzić w nim miał niewiarę w własne siły. Niepowodzenia epoki napoleońskiej

mogły go tylko bardziej w zwątpieniu umocnić. Nie przypuszczał żadnej zmiany, grożącej ujmą przywilejów monarszych, żadnej nowości może gorszej niż to co było; nie dowierzał sobie samemu i innym, radził się wszystkich i postanowienie odkładał z dnia na dzień, z roku na rok. Nawał spraw gromadzących się w jego kancelaryi, przechodził siły ludzkie, pedantyzm w traktowaniu najdrobniejszej kwestyi opóźniał codzienną pracę. Cesarz mozolił się jak prosty Hofrath nad papierami podrzędnej wagi. Roczny kontyngens żołnierza oznaczała komisya wojskowa, lecz żaden rekrut nie mógł być od służby uwolnionym bez zezwolenia cesarskiego; cesarz mógł tylko upoważnić zamianę kilku morgów lasu na orne pole, albo kupno chłopskiego ogrodu przez dwór. Każdą petycyę, których tysiące spływały, cesarz sam rozstrzygał i najczęściej odsyłał pod opinię władz niższych. Zwyczaj przeprowadzania wielkich i małych interesów przez wszystkie instancye, wynik pedantycznej sumienności i podejrzliwości cesarza, przybrał takie rozmiary, że nadmiar zajęć zatamował od góry do dołu naturalne funkcye organizmu rządowego i zniweczył osobistą odpowiedzialność władz i indywiduów, zasłaniających się zawsze i wszędzie osobą monarchy. Czy rzecz jaka zaległa bez wieści, czy została na miejscu dowolnie rozsądzoną wbrew prawu i sprawiedliwości, interesant otrzymywał odpowiedź, że cesarz tak rozporządził, lub woli swej nie objawił. Gdzie bieżące interesa latami całemi zalegały po biórach, tam nie mogło być mowy o postępie i normalnym rozwoju. Gdzie pracowity jak wół Franciszek nie rządził i nie administrował, tam tem mniej rządzić mógł jego następca, którego same podpisywanie niewypowiedzianie męczyło.

Pod firmą Ferdynanda i Metternicha, w Austryi panowała biurokracya, samopas puszczona. Kanclerz filozofował i moralizował rząd na piśmie, ale był to głos wołającego na puszczy; radykalna reforma rządu i administracyi przechodziła możność jednego, choćby najdzielniejszego człowieka, tem bardziej Metternicha, który najprzód nie władał cesarzem, a potem nie bardzo może wiedział od czego zacząć. Ostatniem jego słowem bywało: rządźmy! Arcyksiąże Ludwik, Kolowrat i reszta wielkich figur, z małym wyjątkiem, rozumieli pod rządzeniem naśladowanie nieboszczyka cesarza, który czytał raporta i wiecznie nowych żądał.

W późnym będąc wieku, kanclerz zaledwie mógł podołać bieżącym obowiązkom własnym, do których przybyły dwa bardzo do spełnienia ciężkie. Wypadało uratować osobistą pozycyę cesarza Ferdynanda, w kraju i zagranicą uchodzącego za większe zero, niż był w istocie; trzeba było utrzymać europejskie stanowisko Austryi w upadku, „Wszystko dla cesarza i przez cesarza“, nieustannie podwładnym powtarzał. Po wstąpieniu na tron, zebrał deputacye stanów dla złożenia hołdu monarsze i dla pokazania monarchy poddanym; przeprowadził koronacyę na króla czeskiego i na króla Lombardyi i Wenecyi[1]; wreszcie używał i nadużywał heroicznego środka, zjazdów monarszych.

Czem Austrya słabszą była wewnątrz, czem rewolucya gwałtowniej w nią uderzała, tem więcej kanclerz dbać musiał o ścieśnienie węzłów potrójnego przymierza, o przyjaźń cesarza Mikołaja, o zadokumentowanie w obec Anglii i Francyi zgody i jedności między północnymi mocarzami. Sprowadziwszy w lecie 1835 cesarza swego z rosyjskim i pruskim sąsiadem w Cieplicach czeskich, tak się uradował oznakami harmonii między nimi, że związek monarchów nazwał „potęgą, której nieprzemogą bramy piekielne“. W gruncie daleko było do tego, choć zjazd wiele wywołał hałasu w liberalnej Europie i wiele krwi napsuł Francuzom. Odświeżenie wspomnień „braterstwa broni“ zaimponowało Ludwikowi Filipowi, niemającemu najmniejszej ochoty do zadarcia z Północą, ale sprawa zagłady krakowskiej republiki dała miarę, czem jest owa potęga, której bramy piekielne przemódz nie miały. W Cieplicach podpisano protokół, przysądzający Austryi Kraków na własność, Kraków zamieniony w gniazdo demagogów i główną kwaterę spisków przeciwko rządom mocarstw opiekuńczych. Każdy dzień istnienia rzeczypospolitej ściągał na Austryę niezliczone kłopoty, wywoływał represyę i w ślad idące reklamacye gabinetów zachodnich; pomimo tego Austrya nie śmiała wykonać wyroku, żeby nie wystawiać na próbę potrójnego przymierza i nie odkrywać światu jego słabych stron, zwłaszcza niechęci Prus i rosnącej w skutek tego przewagi cesarza Mikołaja. Gabinet

[1] Arcyksiąże Ferdynand koronowany był królem węgierskim w r. 1831.

berliński, mając sam widoki na Kraków i obawiając się zatargów z Francyą, sprzeciwiał się przeprowadzeniu postanowień zjazdu, i gdy Kraków gwałtem zmusił opiekunów do położenia końca jego odrębności, Prusacy dopiero pod naciskiem Rosyi na aneksyę przyzwolili. Również w europejskich i niemieckich sprawach Austrya o tyle tylko liczyć mogła na Prusy, o ile Mikołaj tego wyraźnie żądał w Berlinie. Również pożytecznym i potrzebnym Austryi był wpływ Mikołaja na małe dwory niemieckie. W zamian za odbierane usługi, Austrya nie miała nic do dania możnemu i jedynemu opiekunowi. Wzgląd na Mikołaja nie pozwalał naturalnie Austryi tykać Wschodu, lecz w stosunku do Wschodu Metternich do końca życia rządził się maksymą, że monarchia Habsburgów jest mocarstwem zachodniem, właściwem dla niej polem Niemcy i Włochy, na Wschód pragnie Austryę popchnąć rewolucya, aby się jej pozbyć z serca stałego lądu. W następstwie tej maksymy, bardziej niż z konieczności, gabinet wiedeński odmawiając najlżejszej opieki Słowianom tureckim, odpychał ich od siebie i w objęcia Rosyi cisnął. Jedynie ile razy Mikołaj próbował narzucić swój protektorat Porcie, Metternich bronił spokojnego sąsiada, którego całość zabezpieczała granicę monarchii z jednej przynajmniej strony, i usiłował powstrzymać Mikołaja przypominaniem mu, że jest filarem i stróżem porządku w Europie, a raz zapuściwszy się w przedsięwzięcia wschodnie, wyda świat na pastwę rewolucyi. Nigdy kanclerz lepiej nie dowiódł, do jakiego stopnia posiadał sztukę kierowania ludźmi, jak właśnie w stosunkach z Mikołajem, który mu tak długo nie ufał i miał do niego wyraźną antypatyę. Stawiając nieraz czoło cesarzowi, zdobył jednak jego umysł i serce i doprowadził do tego, że Mikołaj zacietrzewiony w ściganiu rewolucyi, pozostawił Portę w spokoju i nie przyspieszał dzieła czasu, który co prawda sam, zwłaszcza w nieobecności Austryi na Wschodzie, na pożytek Rosyi pracował. „Trzymajcie Anglię za poły, mawiał kanclerz w Paryżu; my wam ręczymy za miłość pokoju Mikołaja". Miłość pokoju wlewał w niego, malując na ścianie widmo powszechnej rewolucyi i osładzając pigułki udzielanych morałów skwapliwością w obronie postępowania Rosyi w Polsce. Od chwili zniesienia konstytucyi w Królestwie, Metternich bywał regularnie pierwszym

w dowodzeniu gabinetom zachodnim, że rząd rosyjski działał prawnie i słusznie, a obfitość argumentów i gorącość tonu, mniemać pozwala, iż wszystko razem przez Londyn i Paryż adresowanem bywało do gabinetu cesarza Mikołaja.

Przypisywano Metternichowi orzeczenie, że polityka i policya, to jedno i prawie toż samo. W samej rzeczy, rządowi austryackiemu nie pozostawało nic innego, jak uganiać się za spiskowcami i emisaryuszami, istna robota Penelopy, gdyż ogniska spiskowych działań ramię potrójnego przymierza nie dosięgało. Pod zasłoną prawa schronienia dla politycznych przestępców, kosmopolityczne sprzysiężenie młodej Europy snuło z Paryża, Londynu i Szwajcaryi swe sieci po stałym lądzie, i nawet po wypadkach 1846 roku gabinet wiedeński nie zdołał otrzymać, aby przywilej schronienia nie przechodził w zupełną bezkarność i jawną tolerancyę przedsięwzięć prawem natury potępionych.

Przywilej schronienia dla przestępców politycznych jest w zasadzie negacyą elementarnego, przyrodzonego porządku, tamuje bowiem działanie prawnej władzy, w stosunku do indywiduów tej władzy podległych. Zrodziła go fałszywa filantropia w połączeniu z powszechnym zamętem pojęć prawa publicznego i sprawiedliwości; usprawiedliwiały go do pewnego stopnia postępki rządów i srogość kar nieproporcyonalnych do winy, niemniej jednak na rządach ciężył obowiązek ścisłego nadzoru nad emigrantami, którym przytułku i opieki użyczały, obowiązek poskramiania knowań, wymierzonych przeciwko spokojowi innych krajów. Do tej powinności rządy, uznające prawo schronienia, nakłonić się nie chciały. Monarchia lipcowa we Francyi, wyszła z uzurpacyi, czerpiąc tytuł prawowitości z faktu! istnienia, tolerowała kosmopolitycznych burzycieli, którzy dziś prześladowani, mogli jutro zająć miejsce obalonych rządów i utworzyć rząd równie dobry jak francuski. Ministrowie Ludwika Filipa, dla okupienia własnego bezpieczeństwa, puszczali podpalaczy na sąsiadów i ujmowali się za każdym ruchem rewolucyjnym, przez nich wznieconym, żeby posiąść przychylność liberalnej opinii świata i na tym gruncie kruchym opierać wpływ i znaczenie Francyi w Europie. Ludwik Filip, człowiek doświadczony i wytrawny, spekulant na wielkie rozmiary, wiedział, że w jego imieniu odbywa się praca na jego

własną wymierzoną zgubę; niczego goręcej nie pragnął, jak wyzwolić się z pod jarzma wspólników, którym był winien koronę. Pomimo jednak całego sprytu i wytrwałości, nigdy nie potrafił wydobyć się z niewoli, w jakiej go trzymali sprawcy dni lipcowych, a zatem szła polityka dwulicowa i podstępna. Fałszywe położenie króla we Francyi i w Europie, czyniło go osobiście podejrzliwym i zazdrosnym; od starych dynastyi wymagał czci należnej członkowi domu Burbonów i wdzięczności za ujęcie w karby rewolucyi, chciał uchodzić za filar zasady monarchicznej, jako ten, co nie dopuścił i nie dopuszcza powrotu republiki we Francyi. Bolało go niezmiernie, że dwory i arystokracya europejska nazywały go uzurpatorem i parweniuszem, że szyderstwem i wzgardą okrywano jego osobę, umizgi do mieszczaństwa i ulicy, komedye wyprawiane na balkonie w Tuileries z trójkolorową chorągwią. Na to nie było ratunku; należało mieć cierpliwość i czekać aż czas zatrze przykre wspomnienia, i uczciwą polityką zdobywać szacunek ludzi dobrej woli, zamiast jawnie siać niepokój w Europie, a ukradkiem dopiero naprawiać zrządzane szkody. Sobie samemu też Ludwik Filip zawdzięczał jeżeli nigdy i nigdzie prawdziwej przychylności nie znalazł. Z Austryą wiecznie darł koty, choć gabinet wiedeński postępował z nim uczciwie i lojalnie. Naganiając często zachowanie się Francyi, Metternich był wyrozumiały na trudne położenie króla, oddawał mu sprawiedliwość, przykładał się o ile było w jego mocy do utrzymania dynastyi orleańskiej, przewidując, że po jej upadku nastanie republika; raz po raz wyciągał rękę do zgody i za to wszystko najgorszą zbierał zapłatę. W Wiedniu, na dworze i w salonach, zaciekłość na Ludwika Filipa objawiała się może ostrzej, niż gdzieindziej. Na przyjęciu noworocznem 1834 r., kiedy ambasador francuski Saint-Aulaire, odezwał się do kanclerzyny, że ma na głowie koronę brylantową, księżna głośno odparła: „Dlaczegożbym jej nosić nie miała? Należy do mnie, ale gdyby nie była moją własną, za nicbym jej nie włożyła!“ Przytyk aż nadto wyraźny do korony Orleanów zrobił okropny skandal[1] i doprowadził do pół-

[1] W mieście utrzymywano, że kanclerzyna powiedziała: moja korona przynajmniej nieukradziona.

urzędowych ekskuz ze strony kanclerza; Ludwika Filipa mocno ubódł, ale mu nie wyszedł na naukę. Chcąc dowieść światu, że jest równy Burbonom i Napoleonowi, zapragnął ożenić najstarszego syna z arcyksiężniczką austryacką. Thiers, niewysondowawszy należycie gruntu, wysłał obcesem w konkury do Wiednia następcę tronu, i lekkomyślnie naraził dom panujący na kosza i upokorzenie, w którem polityka austryacka nie miała najmniejszego udziału. Związek z Orleanami nie obiecywał wielkiego pożytku, a gdyby nawet tak było, nikt w Wiedniu nie miał dosyć powagi, aby uciszyć języki i zmusić jaką arcyksiężniczkę do małżeństwa ze wszechmiar wstrętnego, wystawiającego ją w dodatku na niebezpieczeństwo peryodycznych zaburzeń ulicznych i zamachów na życie panującej rodziny. Odmowę Ludwik Filip wziął mocno do serca, upatrzył w tem dowód, że w starych dynastyach ma osobistych wrogów i ból chował w pamięci. Zazdrosny o władzę w obec własnych ministrów, brał za złe Metternichowi to nawet, z czego prędzej cieszyć się był powinien. Metternich niecierpiał Thiersa, którego król także nie kochał, ale gdy Thiers był ministrem, kanclerz chciał wiedzieć, co on myśli o sprawach bieżących. „Niech się kanclerz o to zbytecznie nie troszczy, rzekł raz Ludwik Filip do ambasadora austryackiego. Proszę mu powiedzieć odemnie, że Thiers nic nie myśli, tylko mnie się pyta czego ma chcieć, i gdyby mnie słuchał, uchodziłby za doskonałego ministra". Jeszcze bardziej drażniły króla dobre, na wzajemnem zaufaniu oparte stosunki między kanclerzem i Guizotem. „Książe Metternich — narzekał Ludwik Filip przed ambasadorem austryackim — przypisuje wszystko dobre Guizotowi: bardzo mnie to cieszy, niech jednak nie zapomina, że minister nic bez króla nie może i jest bez króla niczem". Wypływał z tego sens moralny, że gabinet wiedeński winien szukać oparcia w królu. Na nieszczęście osobista polityka Ludwika Filipa była dyktowaną mizernym egoizmem, gotowa wszystko poświęcić dla chwilowego interesu; koniec końcem zaś król wraz z ministrami musiał być sługą panującego stronnictwa.

Szkoła teoretycznych konstytucyonalistów wzięła z systemu angielskiego sam wierzchołek, parlament i gabinet z większości wychodzący, w przekonaniu, że są to wystarczające i niezawodne

rękojmie wolności politycznej i swobód obywatelskich. W Anglii jednak, pominąwszy różnice tkwiące w układzie społecznym i obyczajach narodu, władza rządu parlamentarnego jest bardzo ograniczona przywilejami jednostki, obszernym samorządem gmin, korporacyi i prowincyi; rząd nie miesza się do administracyi lokalnej; nie ma na rozkazy aparatu biurokratycznego, wychowania publicznego, obowiązku służby wojskowej. We Francyi zaszczepiono parlamentaryzm na społeczeństwie rozbitem i zrównanem przez rewolucyę, ujętem w kleszcze centralizacyi napoleońskiej, przywykłem do kurateli rządowej. Despotyzm jednego człowieka zastąpiła wola niemniej despotyczna kilku ludzi, naczelników dominującego stronnictwa. Ci, zagarnąwszy przywilej prawodawczy, za pośrednictwem odpowiedzialnego gabinetu parlamentarnego, opanowali władzę wykonawczą i wszechmocną machinę rządową, która od chwili wpisania dziecka nowonarodzonego do ksiąg stanu cywilnego, bierze w opiekę wolnego rzekomo obywatela i nie wypuszcza go do grobu, wychowuje w szkole rządowej, ogranicza w rozrządzaniu osobą i majątkiem, wodzi na pasku, wpływa na jego sposób myślenia, czyni zawisłym i uległym. Władzy tak rozległej i skoncentrowanej nie posiadał żaden tyran feodalny. Pod firmą Ludwika Filipa dostała się ona mieszczaństwu, dziecku wielkiej rewolucyi, wzrosłemu w zasadach wolności i równości, które w życiu codziennem tłumaczyły się dążeniem do nabycia i używania przywilejów, jakich inne klasy używały dawniej. Jakoż mieszczaństwo zajęło miejsce niegdyś szlachty za przedrewolucyjnych Burbonów i wojskowości za Napoleona, a czem było pod Ludwikiem XIV. dworactwo, tem teraz stała się kasta kapitalistów.

Od początku bieżącego stulecia, stan średni ulegał szybkiemu przeobrażeniu i wzrastał w potęgę. Za pomnożeniem potrzeb i ułatwieniem komunikacyi, poszedł w ślad rozwój przemysłu i handlu, w następstwie czego warsztat i sklep przynosił obfitsze zyski i prędzej bogacił mieszczanina. Otwarły się nowe źródła zarobku i nowe popłatne profesye, ułatwiające synom mieszczańskim zajęcie stanowisk niezależnych, dających znaczenie i wpływ w społeczeństwie. Skomplikowane stosunki własności pociągnęły za sobą częste spory prawne, a za tem poszła waga

klasy adwokatów, ludzi praktycznych, ruchliwych i płodnych w wybiegi. Nadewszystko zaś wykwitł handel pieniędzmi, odkąd rządy, wojnami napoleońskiemi zrujnowane, uciekły się do kredytu publicznego. Koalicya pierwsza na tę drogę wstąpiła; miliony Rotszyldów powstały z szczęśliwej operacyi naczelnika tego domu w Londynie, który odebrawszy przed ministrami wiadomość o zwycięstwie pod Waterloo, zakupił po niskiej cenie niezmierną ilość papierów publicznych[1]. Wszystkie pożyczki rządowe, przechodząc przez ręce bankierów, dając im obfite żniwo przy pośrednictwie, uczyniły ich panami kredytu publicznego; obok tego w masie papierów kredytowych w cyrkulacyę rzuconych, znaleźli oni niewyczerpany materyał do gry giełdowej, czyli środka ściągania stałego haraczu z pracującej i produkującej części społeczeństwa. Wzbogacone wszelkiemi drogi mieszczaństwo, zdobyło jedną z największych potęg ziemskich, ale zarazem zabrnęło w materyalizmie, pieniądz stał się jego podstawą, racyą bytu, ostatecznym celem i bożyszczem; w stanie mieszczańskim zaś naczelne miejsce przypadło kascie kapitalistów. Po przyjściu do steru mieszczaństwa za Ludwika Filipa, rządzili Francyą czciciele złotego cielca, obojętni na wielkość i znaczenie Francyi w świecie, rozmiłowani w pokoju za wszelką cenę, bez miłosierdzia eksploatujący społeczeństwo. Dzieci rewolucyi, szerzyli w Europie rewolucyjne dążności. Zpoganieni, usuwali religię z ludzkich stosunków, aby zadość uczynić wewnętrznej potrzebie i własnemu interesowi; aby w miejsce przykazania i moralności postawić prawodawstwo cywilne, zawczasu naginane wedle wymagań ich wielkiej sprawy, bogacenia się dalszego przez wyzyskiwanie pracy bliźniego. Oni ufundowali nowoczesny liberalizm zachodni, będący przeczeniem chrześcijańskiego porządku w społeczeństwie, którego owocem socyalizm, najnowsza postać rewolucyi.

Oprócz poparcia użyczanego rewolucyi, w dwójnasób teraz groźnej z powodu skoncentrowania w młodej Europie rozstrzelo-

[1] Po szarżach kawaleryi francuskiej na Anglików, rozbitki zanieśli do Brukseli wieść, że bitwa stracona. Fałszywa pogłoska, przesłana do Londynu, wywołała na giełdzie popłoch, z którego Rotszyld skorzystał, dowiedziawszy się o porażce Francuzów przez własnych, na drodze rozstawionych kuryerów.

nych dawniej usiłowań, Francya orleańska wywierała przeważny wpływ na rozwój rzeczy w Niemczech i reszcie Europy, popularyzując liberalizm, którego kameleonowe barwy do najrozmaitszych przypadały gustów, oraz pokazując mieszczaństwu na żywym przykładzie, jakie korzyści niezmierne odnieść może z wywrotu istniejącego porządku i zastąpienia go systemem we Francyi praktykowanym. Rewolucya lipcowa nauczyła, że przewrót otwiera drogę stanowi średniemu do władzy, a indywiduom do szybkiego wyniesienia się na drabinie towarzyskiej. Mnóstwo ludzi wczoraj nieznanych, w przeciągu jednej nocy niemal dobiło się znakomitości, zajęło krzesła ministeryalne, wysokie urzęda, wielkie stanowiska w parlamencie, w najgorszym razie w okręgu, lub miasteczku. Fortuny wyrastały z pod ziemi; rzadko kto nie odchodził od władzy bogatszym niż przyszedł. Nastała pora stowarzyszeń kapitału, wielkich przedsiębiorstw akcyjnych, i każdy dzień dowodził, ile wart przywilej prawodawczy, moc pisania praw dla siebie, otaczających wyłączną opieką kapitał. Ludzie praktyczni innem okiem patrzyć zaczęli na doktrynerów urabiających umysły, na spiskowców, potrzebnych do utorowania drogi liberalizmowi. Idealne doktryny wolności i równości służyły za lep na łatwowiernych; mądre głowy obliczały z kredką w ręku, co przyniesie chwilowa, rewolucyą spowodowana, stagnacya interesów. Filozofia niemiecka, stwarzając fikcyę państwa wszechwładnego, dała naukowe uświęcenie despotyzmowi rządzącego stronnictwa, w imieniu państwa wykonywującego nieograniczoną władzę. Liberalizm owładnął i opętał umysły; wszystkie narody cywilizowane rwały się do zakazanego owocu.

Upadek ówczesnych rządów był kwestyą czasu, czuli to najlepiej sami rządzący. Niektóre rządy próbowały ustępstwami i paktowaniem z rewolucyą zażegnać burzę, ale napróżno. Inne dobywały ostatnich sił, żeby swą powagę i swój byt ocalić, lecz grunt szybko im się z pod stóp usuwał. Konserwatyzm zredukowany do zachowania obumarłych form, pozbawiony wewnętrznej treści i płodności, nie był zdolnym skupiać koło siebie elementa konserwatywne, istniejące w każdem społeczeństwie, które samym sobie pozostawione, tonęły w nurtach rewolucyjnego potoku. W takiem położeniu znajdował się szczególnie rząd austryacki.

W polskich i włoskich prowincyach miał do czynienia z otwartą rewolucyą, niemniej dlań niebezpieczniejszą; wszędzie ze społeczeństwem rozprzężonem, niechętnem i nieczynnem. Chłop szemrał na pańszczyznę, dziesięciny, juryzdykcyę patrymonialną; oświeceńszy mieszczanin na rządy arystokratyczne, policyę, cenzurę, zastój w handlu i przemyśle, zdeprecyonowanie monety; szlachta, z wyjątkiem frakcyi przywiązanej do tradycyjnej nieruchomości, odstrychnęła się od rządu, który ją odpychał, i przeszła na stronę malkontentów, albo umizgała się do liberalizmu. Rząd sam nakoniec istniał zaledwie z nazwiska, zrujnował skarb, zdezorganizował siłę zbrojną, dopuścił zdemoralizowania biurokracyi i własnych stronników pozbawił możności niesienia mu pomocy.

XV.

Zawiązanie centralnego sprzysiężenia Młodej Europy wynikło z potrzeby ujęcia w jeden pęk indywidualnych usiłowań rozmaitych ognisk spiskowych, które oddzielnie pracując, nie zdołały nigdzie zamierzonego celu osiągnąć. Zebrawszy się razem, działając zgodnie, spodziewano się wzniecić powszechny ruch rewolucyjny w całej Europie i łatwiej zwyciężyć rozdzielonego nieprzyjaciela. W języku owej pory nazywało się to postawić sojusz ludów naprzeciw sojuszu tyranów. Rzecz jednak była snadniejsza do zaprojektowania, niż do wykonania. Ciężko przychodzi utrzymać w jedności kilku ludzi, zebranych ku wspólnemu działaniu; koalicye rządów, zawiązywane pod naciskiem wielkiego niebezpieczeństwa, poddane kontroli całego świata, najczęściej trawi niezgoda; cóż dopiero mówić o zgodzie między spiskowcami, którzy knują w cieniu i zasadzają się na podstępie. Każda gałęź Młodej Europy miała odrębne widoki, własny cel na oku, zamiar wyzyskania innych na swój pożytek. Włosi, najlepiej wyćwiczeni w rzemiośle i uorganizowani, wiodący rej w Młodej Europie, zamierzali wzniecić wielki pożar w Europie i jedność Włoch wśród powszechnego zamięszania zbudować. We Francyi rewolucya zeszła o jeden stopień niżej, stan czwarty chciał wyrugować mieszczaństwo i złupiwszy możniejszych, równym podziałem mienia zrealizować zasadę równości w używaniu. Włosi

i Francuzi potrzebowali pomocy Polaków, licząc, że powstanie wybuchłe w dawnej Polsce, ubezwładni mocarstwa rozbiorowe i uniemożebni ich interwencyę. Demokratyczne stronnictwo polskiej emigracyi przyszło do Francyi z ślepą wiarą w frazesy o solidarności ludów i w wszystkie artykuły rewolucyjnego katechizmu, przylgnęło więc chętnie do młodej Europy. Widząc w Polakach łatwowierność bez granic, pochopność do najszaleńszych wypraw, siwe głowy rewolucyi traktowały Polaków jak dzieci; nie przypuszczano ich do wielkich tajemnic, tajono przed nimi plany i przygotowania, łudzono ich obietnicami, wymagano rzeczy, do których najmniej byli zdolni: posłuszeństwa i karności. Zamiast słuchać i czekać, naczelnicy młodej Polski rwali się do czynu, w przekonaniu, że świat za sobą pociągną i ojczyznę zdobędą.

Że ojczyznę kochali i do niepodległości Polski dążyli, to najmniejszej nie ulega kwestyi, lecz miłość ojczyzny jest wyrażeniem bardzo elastycznem. Każdy kocha ojczyznę na swój sposób i każdy własny sposób kochania ojczyzny uznaje najlepszym. Tak czy owak przecież, prosty rozsądek dyktuje, że miłość ojczyzny powinna być kierowaną rozumem i sumieniem, i że źle kocha ojczyznę, kto na nią coraz większe ściąga nieszczęście. Dążąc do niepodległości Polski, pamiętać należało, iż cel choć najchwalebniejszy, nie zwalnia od obowiązku liczenia się z możnością i nie uświęca niegodziwych środków. Tymczasem porywano się z motyką na słońce. Przytem demokracya emigracyjna dowiodła pismami i czynami, że nie gardziła żadną bronią, nawet najbardziej godną potępienia, a okolicznościami broni uczciwej prawie całkowicie pozbawiona, najgorszych tylko i niegodziwych używała środków: spisków przez Kościół zakazanych, demoralizujących młodzież i całe społeczeństwo, propagandy rewolucyjnej między wyższemi klasami i komunistycznej między ludem, gwałtu i teroryzmu. Tego wszystkiego oni nie wynaleźli, lecz wzięli od obcych, mianowicie od francuskich anarchistów, u których do szkoły chodzili. Przejąwszy od swoich ojców duchowych zasadę rewolucyi socyalnej, ideę niepodległości Polski związali nierozerwalnie z przewrotem społecznym, który miał najprzód dopomódz do odzyskania ojczyzny, następnie zaś ojczyźnie trwały byt i szczęście zapewnić. Wołać w Polsce o zniesienie przywilejów, było czystym

nonsensem, lecz tak doktryna kazała, wypadło więc wynaleźć coś do przywileju podobnego. Szlachcic posiadał ziemię, podczas gdy ją chłop uprawiał: odebrać ziemię szlachcie i rozdzielić między chłopów, znaczyło znieść przywilej i przywrócić ideał równości. Taka loika przerobiła patryotów na socyalistów. Chowali obok tego żal do szlachty za mniemaną zdradę w 1831, za zgubę ojczyzny w epoce rozbiorowej; stąd wniosek prosty, że odebranie szlachcie ziemi będzie zasłużoną karą i aktem mądrej polityki; jeżeli się uda szlachtę całkiem wytępić — tem lepiej. Zasłyszawszy coś o pospolitem ruszeniu we Francyi za wielkiej rewolucyi, powiedzieli sobie, że chłop polski ziemią obdarzony, zaraz zostanie patryotą i powstańcem, stanie jako jeden mąż w szeregach i zgniecie armie zaborczych rządów. Emisaryusze poszli opowiadać po wsiach prawo do ziemi, łąk i lasów, miłość ojczyzny, przysposabiać lud do zbrojnego powstania. W Galicyi propaganda znalazła najwięcej swobody, ale chłop nie chciał słuchać o buncie przeciwko cesarzowi, za to chętnie dawał ucho gadkom o pańszczyźnie i szlacheckich nieprawościach. Propagandy po wsiach podejmowali się ludzie najmniej wykształceni, zaciekli w nienawiści do szlachty; zmuszeni milczeć o patryotycznych projektach, boby ich chłopi związali i do cyrkułu odstawili, zaczynali i kończyli na wyrznięciu panów.

Grunt pod propagandę socyalistyczną był przez rząd przygotowany. „Kiedy Galicya przeszła pod panowanie Austryi, powiada Metternich[1], kraj ten był pogrążony w zupełnem barbarzyństwie. Zaprowadzono tam ojcowskie prawodawstwo; sprawiedliwą administracyę; w rzędzie instytucyi najpłodniejszych w następstwa, wymienię *Urbarium* i urzęda cyrkularne, poddające chłopa pod bezpośrednią protekcyę monarchy, stróża praw chłopa i spokojnego tych praw używania. Jakoż lud nigdy nie podejrzywał intencyi rządu i jego ajentów, a ostatnie wypadki dowiodły, do jakiego stopnia szanowaną jest w Galicyi władza starostów cyrkularnych". Tak się zapatrywała na stosunki galicyjskie biurokracya austryacka, której kanclerz był wiernym echem. W oczach biu-

[1] W depeszy do ambasadora austryackiego w Paryżu, z 7 marca 1846 r.

rokracyi za barbarzyństwo uchodziło wszystko niezgodne z ideałem jozefińskim, tem więcej nasze stosunki wiejskie, wytworzone w ciągu wieków i wśród miejscowych warunków, stosunki natury, których polscy pisarze dotąd często nie chcą, czy nie mogą zrozumieć. Szlachta przeprowadziła na sejmach zakaz opuszczania gruntu przez chłopa, gdyż emigracya chłopska ku Wschodowi, na stepy czarnoziemu, groziła wyludnieniem całych okolic i ruiną nietylko szlachcica, lecz rolnictwa, jedynego źródła bogactwa kraju. Chłop pozostał *de facto* wieczystym dzierżawcą, a pańszczyzna była czynszem w robociznie składanym[1]. Miał taki stosunek dobre i złe strony, zapewniał chłopu i jego rodzinie byt materyalny, opiekę i pomoc dworu, czynił los chłopa zawisłym od dobroci lub złości pana: bądź co bądź przecież wyrobił się sam, odpowiadał naturze rzeczy i obyczajom, nie rodził krzyczących nadużyć, nie zasługiwał na miano barbarzyństwa. Z czasem, jak wszystko na świecie, musiał ustąpić miejsca innemu, nad którym reformatorowie sobie napróżno głowy łamali. Od społeczeństwa należała się chłopu opieka prawna, żeby go zasłonić od możliwych nadużyć i dać mu możność dochodzenia krzywdy. Nasze prawodawstwo czyniło temu zadość, tylko nikt nie miał mocy dopilnowania prawa obowiązującego. *Urbarium* austryackie, określając obowiązki i prawa chłopa, mogło stać się prawdziwem dobrodziejstwem, gdyby nie było skrzywione w zastosowaniu. Interwencya rządu w stosunki wiejskie wznieciła między ludem nadzieję dalszych ulg, które nie przyszły; szlachcic zachował juryzdykcyę nad chłopem, wykonywaną przez mandataryusza, nasadzonego z ramienia rządu i zazwyczaj siedzącego na dwóch stołkach; wybierał podatek i rekruta, był widomem narzędziem ucisku rządowego, podczas gdy urzędnik udawał bezinteresownego protektora. Biurokracya wszędzie widząca polskie barbarzyństwo, nienawistna polskości i szlachcie, zaledwie bę-

[1] Pańszczyzna była formą konieczną czynszu, z powodu niedostatku monety i regularnego zarobku. Wszak z Dziejów wewnętrznych Polski za Stanisława Augusta, Tadeusza Korzona, przekonywamy się, że w dobrach Zamoyskich całe wsie oczynszowane, nie mając czem płacić czynszu, dobrowolnie pozostały przy pańszczyznie.

dąca w stanie rozmówić się z chłopem łamanym językiem, wzięła chłopów w opiekę i aby do rządu lud przywiązać, karmiła obietnicami. Gdy obietnice po dawnemu zawodziły, dodawano coraz nowe, jeszcze większe, i tej licytacyi końca nie było. Stąd urosła między ludem legenda o cesarzu opiekunie chłopa, tudzież miłość i zaufanie do starostów cyrkularnych. Gdy po roku 1831 szlachta wdała się w spiski patryotyczne, przerażona biurokracya jęła się jeszcze bardziej schlebiać chłopu, namawiać go do szpiegowania dworu i robienia policyi, przekonywać, że pan buntuje się na cesarza, nie dozwala zniesienia pańszczyzny, zmusza rząd do wybierania podatku i rekruta.

W r. 1846, gorąca frakcya emigracyi postanowiła podnieść ruch zbrojny w całej Polsce, wbrew widokom naczelników kosmopolitycznego sprzysiężenia i radom rozważniejszych towarzyszy. W Poznańskiem rząd pruski wcześnie uwięził Mierosławskiego z wojskowym i cywilnym sztabem, i nie dopuścił większego nieszczęścia. W Austryi wzięto się do rzeczy opieszale i niedołężnie. Wojsko austryackie zająwszy Kraków w celu niedopuszczenia wybuchu rewolucyjnego, opuściło miasto na fałszywą pogłoskę o zbliżaniu się powstańców z Galicyi, i zrobiło miejsce dyktaturze Tysowskiego. We Lwowie władze zdjęte strachem, wyobrażając sobie, że cały kraj w ogniu, powierzyły rozbałamuconemu chłopstwu straż porządku publicznego, do czego siła zbrojna aż nadto wystarczała; a chłopi wzięli się do noży, żeby wytępić swoich i cesarza nieprzyjaciół.

Wina krwi niewinnie przelanej dzieli się, w nierównych częściach, między naszą emigracyę, szlachtę galicyjską i rząd. Emigracya przysposobiła rzeź propagandą komunistyczną i wywołała ją bezpośrednio podniesieniem powstania. Szlachta ściągnęła na siebie katastrofę, lgnąc z dziecinną łatwowiernością do spisków i najszaleńszych przedsięwzięć. Wielkim jednak i głównym winowajcą był rząd austryacki. Choć niejednemu biurokracie śniło się oddawna, że w razie zawieruchy politycznej, chłopi zrobią porządek i szlachtę przetrzebią, wyraźny zamiar wyrznięcia szlachty pewno nigdy i nigdzie nie istniał, lecz rząd wszystko w rękach mający, odpowiadał najprzód za rozprzężenie moralne i materyalne w społeczeństwie, potem za zachowanie się

i postępki podwładnych. Szlachcic i chłop był takim, jakim go rząd wychował w swoich szkołach, przez swoje duchowieństwo, prawodawstwo i administracyę. Rząd zaniedbał uporządkować stosunki włościańskie, pomimo reklamacyi stanów galicyjskich, ostrzegających, że sprawa nie da zbyć się milczeniem. Opieszałość w kwestyi tak drażliwej, niezgrabnie poruszonej i oddawna zakwaszonej, uwieczniała rozdwój w społeczeństwie i wiodła prędzej czy później do gwałtownego przesilenia, które przyspieszał ferment rewolucyjny. Od czasów Józefa II. system rządowy w Galicyi dążył do pozyskania dla rządu przychylności ludu wiejskiego, przeszkadzano więc wszelkiej poprawie, wychodzącej z inicyatywy szlachty; staranie zaś o sympatye chłopa poruczone było mętom puszczonej samopas biurokracyi. Wszędzie mordy dokonywały się w imieniu cesarza, co jest niezbitym dowodem moralnego wspólnictwa władz miejscowych. I gdy krew o pomstę do niebios wołała, rząd ani pomyślał o tem, żeby wejść w siebie, obliczyć się z sumieniem, wymierzyć sprawiedliwość; owszem, zbrodniarzy nagrodził i pastwił się nad ich ofiarami.

Uchodząc za wszechwładnego ministra, Metternich został oskarżony o współwinę w ohydnych czynach, do których zniżyć się nie był w stanie i za które nie mógł odpowiadać. Na mocy umów między dworami opiekuńczymi, kanclerz zarządził okupacyę Krakowa, lecz dowódzca wojsk rozkaz najniezgrabniej wykonał, w czem upatrzono podstęp, umyślny zamiar wywołania pretekstu do anneksyi Krakowa, która gabinetowi wiedeńskiemu wówczas właśnie bardzo nie na rękę wypadła. Kiedy kanclerz zebrał u siebie wojskowych i cywilnych dygnitarzy na naradę w sprawach galicyjskich, obrażony tem Kolowrat nie przyszedł, położył się do łóżka i w końcu na wieś wyjechał. Po rzezi na kanclerza spadł obowiązek wytłumaczenia Austryi przed Europą. Słynny okólnik z 7 marca, tak gorzko Metternichowi wyrzucany, nie mógł inaczej przemawiać. Treść i ton poufnej korespondencyi w tej sprawie, ogłoszonej w pamiętnikach, nie różni się od brzmienia okólnika i świadczy, że Metternich pisał w dobrej wierze, rozgoryczony na Polaków, wprowadzony w błąd nieświadomością stosunków galicyjskich i urzędowem przedstawieniem rzeczy i wypadków. Austrya obdarzyła Polaków cywilizacyą, sprawiedliwym i ojcowskim

rządem, szanowała narodowość, język i obyczaj, „monarcha zaszczycał stany galicyjskie dowodami zaufania, którego stany nie usprawiedliwiały“. Wszystkiemu winien „polonizm“, za którym chowa się brutalna rewolucya, protegowana przez Francyę, upatrującą w odbudowaniu Polski środek owładnięcia wschodem Europy. Chłopi, podburzani przez komunistów polskich i uciskani przez panów, gwałtem ciągnięci do powstania, z własnego natchnienia rzucili się na buntowników, i uniesieni gorliwością dla tronu, mścili się także własnych krzywd na szlachcie. Zaraz przecież, *comme par magie*, lud wrócił do roli i pługa, „spokój najgłębszy panuje w kraju; w majątkach opuszczonych przez właścicieli, chłopi strzegą pańskiego mienia, sami chwytają rabusiów i oddają władzom: taka wierność i duch porządku warte zaiste pochwały!“ Ów powrót chłopów do roli i pługa najlepiej dowodzi, skąd czerpał kanclerz swoje informacye i jak potężnie kłamały urzędowe raporta. Zamiast pracy się jąć, chłop świętował, nie orał i nie siał, oglądając się na zapomogi w ziarnie, z rozkazu rządu przez właścicieli dostarczane; na drugi rok przyszedł głód i głodowy tyfus.

Fałszywie powiadomiony, kanclerz zalecał dla Galicyi empiryczne leki, mające na celu wlanie nieco życia w rząd obumarły. Lwów był zanadto oddalony od stolicy cesarstwa i zachodnich cyrkułów kraju, kanclerz radził przeto podzielić Galicyę na dwa gubernatorstwa, rozgraniczone biegiem Sanu; część zachodnią „mazurską“, przyłączyć do Szląska, z stolicą w Cieszynie[1]. Dalej, zreformować instytucyę stanów, utworzyć żandarmeryę, pobudować fortece. Nakoniec, wzmacniać w Galicyi żywioł niemiecki, nie w widokach germanizacyi, lecz jako czynnik cywilizacyjny, któremu Słowianie się łatwo poddają. Niepokojony przez Francuzów w imię zasady narodowości, utrzymywał, iż żaden rząd lepiej nie szanuje narodowości jak austryacki, bo Węgrom, Czechom, Włochom, Polakom imion narodowych nie zaprzecza, podczas gdy Napoleon dekretami Niemców na Francuzów przerabiał. Po prawdzie powiedziawszy, Austrya, gdy mogła, prócz nazwy nie zostawiała poddanym innych przywilejów narodowych;

[1] Metternich pisał przed przyłączeniem Krakowa do Austryi.

prócz tego, projektując reformy dla Galicyi, kanclerz sam z sobą w sprzeczności stawał, germanizować bowiem nie chciał, ale kazał ułatwiać Niemcom nabywanie dóbr w Galicyi, wspierać mieszczaństwo niemieckie, „rozpowszechniać język niemiecki przez nauczanie, oraz innemi drogami“; czyli, innemi słowy, stosować w Galicyi system przez Flottwella w Poznańskiem praktykowany i wówczas usunięty, do czego Austryi nie dostawało ludzi, pieniędzy i siły.

Recepta kanclerska spoczęła w archiwach, jak wszystko, złe czy dobre, od Metternicha wychodzące[1]. Czy w Galicyi rządził jeden gubernator, czy dwóch, czy korespondencya z gubernatorem szła parę dni dłużej lub krócej, to ostatecznie nie ważyło, gdyż cała machina rządowa zgniła i spróchniała od góry do dołu. Miało się to niebawem dowodnie pokazać w marcu 1848 roku. (Dok. nast.)

Henryk Lisicki.

---

[1] Odgrzebano ją po roku 1850. Jest to jeden z dowodów, że Austrya „odrodzona“ żywiła się okruszynami mądrości Metternicha.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Historya wieków średnich

wyłożona elementarnym sposobem przez *Tadeusza Korzona*. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1884, str. 424.

Streścić dzieje tysiąca lat, wyłożyć w sposób przystępny i wbijający się w pamięć, jest nielada zadaniem, dziś zwłaszcza, kiedy każda książka elementarna chce objąć i wyczerpać wszystkie, istotne i mniemane „zdobycze naukowe“. Książki tego rodzaju bywają zazwyczaj i trudno mogą być czem innem jak kompilacyami, niepodobna bowiem wymagać od jednego człowieka samodzielnych studyów na tak niezmiernym obszarze czasu. Żeby jednak stworzyć kompilacyę porządną i celowi odpowiednią, trzeba znajomości i przetrawienia w sobie przedmiotu, talentu i niemałej pracy, trzeba umieć odróżniać i wybierać rzeczy główne, stanowiące niejako zrąb i rdzeń dziejów. Dlatego tak często, zbyt często, trafiają się książki elementarne, które głowy dziecinne zamurowywują i budzą wstręt do nauki, albo młode umysły krzywią.

Autor Historyi wieków średnich, pisarz pracowity i sumienny, pedagog z zawodu, przeznaczając swą książkę „dla nauki średniej“, starał się zamknąć przedmiot w ciasnych granicach a wyczerpać, i o ile sądzić jestem w stanie, założenie swe spełnił należycie, lepiej niż wielu innych autorów książek szkolnych. Przez upodobanie w mozaice historycznej, zamało może kusił się o uchwycenie wielkich rysów dziejowych, i chcąc jak najwięcej faktów objąć, splótł swoje opowiadanie z szczegółów, niekiedy zbyt luźnie zestawionych. Książka nie dość jasne daje pojęcie, na czem stał świat średniowieczny i tego niedostatku

nie zastąpi natłok wypadków, dat, imion własnych, terminów technicznych, które się z pamięci szybko ulatniają. Pragnąc być przystępnym, jest poziomym w wykładzie, nierzadko wpada w trywialność w charakteryzowaniu ludzi i obyczajów, początki ważnych zdarzeń sprowadza do przyczyn nieskończenie drobnych, z których tamte wyskakują jak diabełek z pudełka. Nasze wyobrażenia i przyzwyczajenia nie znoszą Tacytowskiego sposobu przedstawiania dziejów, według którego wszystko zdaje się odbywać bez udziału żywych ludzi, lecz drugą jest ostatecznością pokazywać w historyi tylko ludzi w pantoflach i w szlafroku. Obok tego, autor opowiadając fakta, zanadto bywa przedmiotowym, nie tyka ich doniosłości, zwłaszcza strony moralnej, chociaż książka historyczna powinna przyczyniać się do uformowania sądu w młodym umyśle, dawać pojęcia etyczne, uczyć złe od dobrego odróżniać. Na to wystarcza prosta moralność katechizmowa, w życiu codziennem przyjęta i w paru słowach wyrażona; inaczej zaś z historyi wypływa jeden jedyny sens moralny: siła przed prawem.

U nas w Polsce, książki elementarne piszą się dla społeczeństwa katolickiego i wierzącego, co więcej dla warstw społecznych, które obok wiary, obok głębokiego poszanowania religii, kościoła i jego sług, obrzędów kościelnych, mają bardzo mało pojęcia o kwestyach dogmatycznych, lub takich, jak spory między świecką i duchowną władzą. Mamy więc co najmniej prawo żądać od książek elementarnych absolutnej neutralności w rzeczach sumienia, wiary i religii, poszanowania uczuć, wyobrażeń i zwyczajów ludu, wystrzegania się wszystkiego, co może dać powód do błędnych mniemań i fałszywych wniosków, podkopać wiarę i respekt dla religii katolickiej. P. Korzon jest w ogóle bezstronnym i neutralnym, podnosi zasługi oddane ludzkości przez „kościół chrześcijański“, wpływ cywilizacyjny wiary Chrystusowej, apostolskie prace luminarzy Kościoła; opowiadając walki papiestwa z cesarstwem, dla obu stron okazuje się jednakowo chłodnym. Możnaby żądać więcej ciepła, wyraźniejszego przechylenia się na stronę, po której była rzeczywiście sprawiedliwość i słuszność; ale możnaby mu i za to być wdzięcznym w dzisiejszych czasach ciężkich, gdyby tu i owdzie nie wychodziło szydło libe-

ralne z worka, nie otwierały się okienka, dające przystęp prądom, od których obowiązek neutralności młode umysły chronić nakazuje.

W sprawie sporów o inwestyturę, mającej dziś zasadniczą i praktyczną doniosłość, autor tak się odzywa: „Grzegorz VII. pragnąc podźwignąć kościół z upadku, umyślił oderwać duchowieństwo od społeczności świeckiej, (należało powiedzieć: od zajęć i sposobu życia społeczności świeckiej), wyzwolić władzę duchowną... wzbronił surowo symonii, nakazał bezżeństwo księży... zarazem postanowił wyzwolić duchowieństwo z pod władzy monarchów, więc zabronił biskupom przyjmowania, a królom udzielania inwestytury... Biskupi, opaci, zakonnicy posiadali mnóstwo wsi i miast, mieli w swych posiadłościach liczną ludność tak niewolniczą, jakoteż wolną, obowiązaną do służby wojennej. Mógłże jakikolwiek monarcha zgodzić się na to, aby te rozległe beneficya, zajmujące ogromną część państwa, nie przynosiły mu żadnego pożytku, aby ich posiadacze nie składali przysięgi hołdowniczej i zależeli tylko od Papieża, mieszkającego gdzieś za górami?“ Dla określenia początku walki o inwestyturę, dość było powiedzieć: Monarchowie nie chcieli, aby posiadacze beneficyów zależeli tylko od Papieża; pytając się: mógłże jaki monarcha na to zezwolić i t. d.? p. Korzon podsuwa roztrzygnięcie kwestyi zasadniczej i daje do zrozumienia, że inwestytura papieska zawierała w sobie zupełne wyjęcie duchowieństwa z pod obowiązku posłuszeństwa władzy świeckiej w rzeczach świeckich, do czego Kościół, z zwykłem zastrzeżeniem godziwości i zgodności z prawem kanonicznem, pretensyi nie rościł.

Bolesław Śmiały Biskupa krakowskiego, Stanisława ze Szczepanowa, „jako buntownika i zdrajcę zabił przy ołtarzu... zabity Biskup po upływie dwóch prawie wieków zaliczonym został w poczet świętych“. Legenda niesie, że Biskup rzucił klątwę na króla za złe obyczaje i gwałty, jakich się dopuścił; hypotezy historyczne upatrują między królem i Biskupem walkę o władzę i pierwszeństwo; sam autor powiada: „po powrocie król znalazł przeciwne sobie stronnictwo, kierowane podobno przez Biskupa krakowskiego“, skąd przeto tytuł do wyroku, jako Biskup był

buntownikiem i zdrajcą? Okropnie kłuło nas w oczy, kiedy naszych powstańców okładano mianem buntowników, a my szafujemy tem samem mianem, nie wiedząc dobrze jak rzeczy stały, o co właściwie chodziło, bez względu na to, że ów buntownik i zdrajca jest patronem Polski, że do jego grobu corocznie tysiące ludzi spieszy. Buntownika i zdrajcę Kościół kanonizował, czcić go wiernym nakazał, więc i taką drogą dochodzi się do zapisania w poczet Świętych? Niech uczeni dochodzą sprawy, lecz po co takie rzeczy w książce elementarnej, po co siać w duszach wątpliwości?

Przy Bonifacym VIII. Papieżu mogło się obejść bez cytaty z Długosza: „Wszedł jak lis, panował jak lew, zdechł jak pies". Student tego nie potrzebuje wiedzieć, nic mu z tej wiadomości nie przyjdzie, ale dowiedziawszy się z łaski profesora, odda profesorowi piękne za nadobne, nauczy pomiatać zwierzchnością i przy pierwszej sposobności *dictum* do profesora zastosować nie omieszka. — Joinville „odpowiada rezolutnie Ludwikowi św., że wolałby popełnić trzydzieści grzechów śmiertelnych, niż raz na trąd chorować; podczas niewoli w Egipcie, jadł mięso w piątek, ale cisnął talerz za siebie, jak tylko ujrzał wchodzącego księdza. Zresztą jest szczerze pobożny..." Pięknego wyobrażenia o szczerej pobożności nabędzie podrostek, któremu dykteryjka niezawodnie do smaku przypadnie.

Rzeczą arcytrudną traktować w książce elementarnej filozoficzne i teologiczne kwestye, tłumaczyć dzieciom zasady nowatorów, sekt, herezyi i ich prawdziwe znaczenie. Katecheci umieją wykładać przykazania, mówiąc to tylko, co można i należy, nie rozbudzając ciekawości, niedając do myślenia o rzeczach nieprzystępnych i niepotrzebnych. Ich naśladować winni historycy elementarni, przedewszystkiem traktując o herezyach. Wyliczanie zmian wprowadzanych przez herezyarchów jest zupełnie zbyteczne, a wyliczywszy takowe należy dodać jasny, niepozostawiający żadnej wątpliwości komentarz. Dogmatyczne subtelności nie trafią do dziecinnego pojęcia, dziecko zapamięta i zrozumie mniej ważne, lub formalne różnice, jak małżeństwo księży, komunię pod dwoma postaciami. Jedno i drugie istnieje prawnie w greckim obrządku kościoła katolickiego i na to powinna być

uwaga zwrócona, żeby dziecko nie mniemało, że albo herezya nie była tak wielkim błędem, albo, że grecki obrządek podpada także pod kategoryę herezyi. Może wprawdzie zapytać się profesora, tylko nie każdy profesor da trafną odpowiedź: świadkiem książka p. Korzona o Polsce za Stanisława Augusta, w której unici figurują między niekatolickiemi wyznaniami.

Są to wszystko rzeczy ważniejsze i donioślejsze, niż mniejsza lub większa obfitość fakcików historycznych, w pomroce wieków ginących, które z głowy prędko wywietrzeją, podczas gdy ogólne i zasadnicze pojęcia i nocye długo w życiu się odzywają, robią człowieka prosto lub krzywo myślącym. Z tego powodu rozszerzyłem się nad książeczką, która z wielu względów wydaje mi się bardzo dobrą, z innych zaś, wyżej wymienionych, nieco robaczliwym orzechem. Autor byłby te robaczki sam usunął, gdyby był wiedział, że książki elementarne czytają i rozbierają ludzie, o zdanie których dba więcej niż o moje. Na nieszczęście, czas nasz mnoży szkoły, ściąga uczniów do szkół, ale nie dba o dobroć strawy, młodzieży podawanej. Książki elementarne czeka jedynie reklama sklepowa i obojętność ze strony starszyzny społecznej, a one idą coraz dalej, coraz głębiej przenikają w społeczeństwo i w zdrową choć nieuprawną warstwę.

Na pochwałę książki dodać wypada, że zawiera karty jeograficzne, co u nas bywa rzadkością. Wydawca ozdobił książkę obrazkami, lecz w skutek niedbałego odbicia obrazki z małym wyjątkiem wyglądają na bohomazy, lub szara plama ma przedstawiać konterfekt średniowiecznego męża. *H. L.*

Wydawnictwa komisyi archeograficznej petersburgskiej.

(Dokończenie).

Tom XI zawiera dokumenta z 1672 po 1674 r. włącznie. — St. Petersburg 1879 r., in 4. Redaktor, M. Kostamorow.

Dokumenta w tym tomie znajdujące się, obejmują ten period w dziejach kozactwa, w którym: na Zadnieprzu czyli w Małorosyi po wywiezieniu na Syberyę, tamecznego hetmana Mnohohrieszsnego, wybrany został hetmanem na radzie pod Konotopem,

Iwan Samujłowicz, syn parocha z Krasnego. Na Przeddnieprzu zaś Doroszenko już podwładny Turcyi, walczy w szeregach tureckich z Polską i po zdobyciu Kamieńca, wysłany w przedniej straży razem z Tatarami, niszczy i rabuje ziemie Rptej po Lwów i Lublin. Na początku atoli 1674 r. przechodzą Dniepr wojska moskiewskie pod dowództwem kniazia Romodanowskiego i z niemi Iwan Samujłowicz z Kozakami. Doroszenko żąda posiłków od Tatar białogrodzkich, ale nim one przyszły, wszystkie pułki jego poddały się Moskwie. Doroszenko pozostał tylko przy Czehryniu, Pawołoczy i Przydniestrzu. Dla uzyskania zwłoki obiecuje się poddać carowi, ale na radę do Perejasławia nie przybywa. Iwan Samujłowicz obrany tam hetmanem obu stron Dniepru. Na wiosnę, tego samego roku przychodzą Turcy, wyrzynają grody Stiennę Kuźnicę, Kunicz, Humań i t. d. Wojska moskiewskie z Romodanowskim i Samujłowiczem odstępują od oblężenia Czehryna i cofają się za Dniepr. Doroszenko odzyskuje swoją władzę hetmańską.

Tom XII zawiera dwieście dwadzieścia cztery aktów z 1675 i 1676 roku. St. Petersburg, in 4-o Redaktor M. Kostamorow.

Tyczą się one głównie ostatnich lat hetmaństwa Doroszenki, aż do poddania się jego carowi, wywiezienia go z Czehryna i internowania w Sosnicy na Zadnieprzu.

6. *Biblioteka historyczna ruska (russkaja istoriczeskaja biblioteka),* in 8⁰ wyszła w VI tomach między 1872 i 1880 rokiem.

Tom I St. Petersburg r. 1872, redaktor M. Kojałowicz, obejmuje: 1) Odrywek z dyaryusza sejmu 1605 r. 2) Dyaryusz od 1603 po 1613 rok, tyczący się dziejów Dymitra Samozwańca, 3) Opisanie pochodu do Moskwy Dymitra Samozwańca z Jerzym Mniszchem wojewodą sandomirskim i innymi. 4) Opisanie pochodu Zygmunta III króla polskiego do Moskwy (1609—1610). 5) Odrywek z dyaryusza wojny Władysława króla polskiego z carem Michajłem Fedorowiczem (1632—1634).

Tom II St. Petersburg, redaktor A. J. Timofiejow, zawiera więcej jak trzysta aktów i pism, w których objęte są dzieje Rosyi od XIV wieku do drugiej połowy XVII wieku. Niektóre odnoszą się do tych wypadków, które się znajdują w tomie I,

i ta tylko różnica, że tamte pisane były przez Polaków, te zaś wyłącznie spisane były przez Rossyan. Głównie przedstawioną została w nich ta chwila w dziejach zaburzeń moskiewskich, kiedy Wasilij Jwanowicz Szujski panował w Moskwie a w Tuszynie siedział drugi Samozwaniec Dymitr i miasta to jednemu, to drugiemu naprzemian się poddawały. Następnie jest tu wykaz rozchodów ze skarbu carskiego w kosztownościach i pieniądzach na rzecz ludzi służebnych polskich, niemieckich i moskiewskich w czasie opanowania Moskwy przez Polaków i nakoniec zeznania (rozprosnyje rieczi) Rossyan, którzy powracali z niewoli polskiej.

Tom III St. Petersburg 1876 r., redaktor A. J. Timofiejew, zawiera dokumenta tyczące się spraw Cerkwi w moskiewskiem państwie.

Tom IV St. Petersburg 1878, redaktor P. A. Hildebrandt, zawiera pisma religijnej i polemicznej treści, które się pojawiły na Litwie i na Rusi w XVI i XVII wieku. 1) Czynności soboru duchownego wileńskiego w 1509 r. 2) Czynności soboru duchownego kijowskiego w 1640, spisane przez Kassiana Sakowicza. 3) Dyaryusz ihumena brzeskiego Atanazya Filipowicza z 1646 r. 4) Obrona Unii, napisana przez archimandrytę wileńskiego, Lwa Kreuzę w 1617 r. 5) Palinodya napisana przez jeromonacha kijowskiego pieczarskiego monasteru Zacharyasza Kopestyńskiego, (1621—1622). 6) Posłania czyli upominalne listy z końca XVI wieku, przypisywane starcowi Artemiemu.

Tom V St. Petersburg 1878 r., redaktor A. N. Truworow, zawiera akty tyczące się Iwerskiego światojezierskiego monasteru, zebrane przez archimandrytę Leonida.

Tom VI St. Petersburg 1880 r., redaktor A. S. Pawłow. Zabytki ruskiego kanonicznego prawa (pamiątniki russkawo kanoniczeskawo Zakona).

Zbiór ten obejmuje peryod dziejów Cerkwi ruskiej od XI wieku po XV wiek włącznie, znajdują się w nim: posłania i nauki ruskich cerkiewnych pasterzy: metropolitów i archierejów, uchwały ruskich cerkiewnych soborów, hramoty: carogrodzkich patryarchów, ruskich kniaziów i bizantyjskich cesarzy, tyczące się ruskiej cerkwi — bezimienne pasterskie odpowiedzi, posłania i nauki w ró-

żnych kwestyach religijnych; nakoniec, jako dodatek, wszystkie dotąd nieogłoszone akty konstantynopolitańskiego patryarchatu w sprawach kościoła ruskiego, po grecku z tłumaczeniem rosyjskiem. Akty te mają to ważne dla dziejów naszych znaczenie, że wykrywają nam, nietylko byt i ustrój cerkiewny w dawnej Rusi, ale tyczą się one i jej bytu społecznego, wskazując razem jaki był charakter bizantyjskich wpływów na nią.

7. *Skazania inostrannych pisatelej o Rossii. (Rerum rossicorum scriptoris exteri).* Tomów dwa, z których tom II zawiera „Opowiadanie" Holendrów J. Massy i J. Harkmana o Rosyi z peryodu panowania Dymitra Samozwańca i Wasyla Szujskiego. Redaktor obu tomów R. K. Maniłoff. St. Petersburg 1865, in 4°.

To samo opowiadanie Massy i Harkmana o Rosyi z holenderskiego, przetłumaczone na język rosyjski, tłumacz E. E. Zamysłowski. Petersburg, 1874, in 4°, w którem uwzględnione zostały różnice w tekstach, które się znalazły między powyższem wydaniem w *rerum rossicorum scriptores exteri* a wydaniem Brukselskiem w 1866 r.

Izaak Massa, rodem z Haarlemu, przybył do Moskwy w 1601 jako komisant kupiecki i przez lat ośm ciągle w niej przebywał, wszystkie więc wypadki, o których opowiada, widział własnemi oczyma. Eliasz Herkman, znany poeta holenderski, nie wyjeżdżał z Holandyi, ale spisywał relacye o zaburzeniach ówczesnych moskiewskich od tych, którzy byli ich naocznymi świadkami. Izaak Massa opowiada z wielkiemi szczegółami o pobycie Jana królewicza duńskiego w Moskwie, o wjeździe do Moskwy Dymitra Samozwańca, o kaźni Szujskiego, o wjeździe Maryny Mniszchówny do Moskwy, ceremoniach weselnych i nakoniec o śmierci Dymitra. Ciekawy bardzo pogląd samego Massy na te wszystkie zaburzenia w Moskwie; widzi on w nich „intrygę jezuicką" i kojarzy je z walką katolicyzmu z protestantyzmem, która się wtedy toczyła w Europie; jako żarliwy protestant wrogiem jest Polaków, jako Katolików i całem sercem życzy, żeby Moskwa nad nimi tryumf odniosła.

8. *Spis hierarchów i przełożonych monasterów cerkwi ruskiej od 1037—1845. (Spiski jerarchow i nestojatelej monasterej rosijskoj*

cerkwi), ułożył Paweł Strojew, wydał M. N. Siemiewski. St. Petersburg 1877 r.

Zebrane tu ze źródeł historycznych nazwiska wszystkich metropolitów i patryarchów rosyjskich, arcybiskupów i biskupów czterdziestu ośmiu dyecezyj istniejących i czternastu zniesionych. Archimandrytów ihumenów i stroitetej wszystkich monasterów w dzisiejszych granicach cesarstwa istniejących, jakoteż i tych, które kiedykolwiek istniały i z różnych powodów zniesione zostały.

9. *Rocznik czynności archeograficznej komisyi* (Letopis zaniatej archeograficzeskoj kommissii), in 8°. St. Petersburg z lat: 1862, 1864, 1865, 1868, 1871 i 1877. W rocznikach tych wśród aktów i dokumentów, niemających styczności bezpośredniej z dziejami i literaturą naszą, znajduje się „Opis historycznyoh dokumentów" z nieświeżkiego archiwum ks. Radziwiłłów.

10. *Akty otnosiaszczijasia k juridiczeskomu bytu drewnej Rossii* od połowy XIII do XVIII wieku. Tom I i II. St. Petersburg, in 4°, r. 1857 i 1864, redaktor N. W. Kołaczew.

11. *Pełny zbiór ruskich kronik. (Połnoje sobranie russkich letopisiej).*

Najstarożytniejsze kroniki komisya wydała między r. 1841 i 1855 w sześciu tomach. Po roku 1855, komisya wydała trzy nowe kroniki, przedrukowała poprawniej dwie kroniki, które pierwszy raz wydane były za panowania Katarzyny II i powtórnie wydała z małemi zmianami i poprawniej te kroniki, które weszły były i stanowiły trzy tomy pierwszego wydania pełnego zbioru ruskich kronik.

Do najnowszych kronik należą: *Kronika* czyli *letopis Twerska* i *letopis woskreseński*, obie pisane w XVI wieku, co do początków Rusi powtarzają letopis Nestora; następnie pierwsza ogranicza się do dziejów księstwa Twerskiego, druga zaś o tyle tyczy się dziejów naszych, że zawiera relacye o wojnach Litwy z Moskwą. Trzecia kronika, zwana *Patryarszą* czyli *Nikonowską*, znana Szlecerowi i Karamzinowi, przez obu potępiona, zawiera atoli wiele szczegółów skądinąd nieznanych, do panowania Wasyla Wasylewicza Ciemnego i Iwana Groźnego. Przy niej znajduje się odrywek z letopisu zwanego Aleksandro-newskim od 1563 do

1567 roku, w którym są zapisane dzień po dniu nietylko fakta tyczące się opryczniny i panowania Iwana Groźnego, ale dosłownie wpisane są całe dokumenta.

W 1869 r., gdy pierwsza edycya „pełnego zbioru kronik“ w handlu wyczerpaną została, komisya przystąpiła do wydania powtórnego znajdujących się w niej kronik z poprawkami niedokładności, które się wynalazły w pierwszem wydaniu. Wyszły więc powtórnie: 1) *Letopis Ławrentjewskaja* 2) *Letopis Nowogrodzkaja,* tak zwana, drugą i trzecią. Najważniejsza dla nas pod tytułem *Ipatiewskoj* czyli *Ipatskij* letopisa, która do 1199 r. zawiera dzieje wielkiego księstwa Kijowskiego a od tego roku do 1292 dzieje *Wołyńsko-halickie,* i jako jedyne źródło mniej więcej bezstronne do dziejów Wołynia Kijowszczyzny i Haliczyzny, godna wydania w tłumaczeniu polskiem lub czcionkami łacińskiemi.

Komisya przytem uwzględniła wartość paleograficzną i filologiczną tych kronik i wydała je także w podobiznach fotolitografowanych podług metody Alberta z Monachium.

12. *Welikija Minei Czeti,* zebrane i ułożone przez Makarego metropolitę Wszech-Rosyi. St. Petersburg, in 4⁰. Zeszyt I 1862, wrzesień, od 1—13 dnia, Zeszyt II 1869 wrzesień od 14—24 dnia, Zeszyt IV 1870 październik od 1—3. Zeszyt V 1874 październik od 4—18. Zeszyt VI 1880, październik, od 19—31 dnia.

Twórcą tej olbrzymiej pracy w dwunastu tomach wielkiego formatu był Makary, naprzód arcybiskup nowogrodzki, następnie metropolita wszech-rosyjski w XVI wieku. Zamierzył on był zestawić ze sobą w tem swojem dziele wszystkie pisma religijnej treści, które w odpisach na Rusi rozprzestrzenione były. Pod każdym dniem miesiąca, umieścił obszerniejsze lub krótsze żywoty świętych, obok których znajdujemy tam: całe księgi z Pisma św. z komentarzami, całe utwory Ojców Kościoła, pasterzy i pisarzy kościelnych, pateriki, różne opowiadania i powieści, podróże, uchwały Soborne i t. d. Słowem, jest to jak gdyby encyklopedya wiadomości religijno-światowych; obok bowiem pism treści religijnej, napotykamy tam i utwory świeckiej ówczesnej literatury, jak opowiadanie o poboisku Mamajowem i inne. Dla nas praca ta, ma ten interes dziejowy, że w XV i w pierwszej

połowie XVI wieku niejeden z naszych bohaterów cały swój zasób naukowy z tych pism tu zebranych, zaczerpnął był.

13. *Podróż ihumena Daniła do ziemi świętej na początku XII wieku. Redaktor A. N. Norow. St. Petersburg in 4⁰.*

Metropolita Makary zamieścił tę podróż w Czeti-Monejach w miesiącu czerwcu. Komisya jednakże uchwaliła, żeby ją wydać w osobnej książce. Spowodowało ją do tego porównanie odpisu Makarego z czternastu innymi i z tego względu mogła niedokładności jakie w nim znalazła, sprostować a ciemne miejsca wyjaśnić. Daniło w czasie swojej bytności w Jerozolimie zaszczycony był szczególnemi względami ówczesnego króla Jerozolimskiego Baldwina I. Wspólnie z innymi z Rusi pielgrzymami zapalił lampę na grobie Pańskim, na intencyę całej ziemi ruskiej i panujących w niej kniaziów. Wydanie to uzupełnione zostało cennemi przypiskami historycznemi i topograficznemi przez redaktora, byłego prezesa komisyi, A. S. Norowa, który sam osobiście dwukrotnie zwiedził ziemię świętą.

14. *Podróż arcybiskupa nowogrodzkiego Antoniego do Carogrodu, w końcu XII wieku. (Puteszestwie Nowgorodskawo archiepiskopa Antonia w Carogrod w końcu XII stoletia).*

Podróż tę odbył Antoni jeszcze będąc w stanie świeckim, przed opanowaniem Konstantynopola przez Krzyżowców w 1204 r. Co tylko widział lub słyszał skrzętnie zapisywał i z tego względu wiele rzeczy tyczących się dawnych pomników i świętości zamieścił, o których współcześni zachodni podróżnicy zamilczeli. Z rzeczy bezpośrednio do dziejów Rusi się odnoszących, wspomina on o talerzu srebrnym, którego Olga używała a który on oglądał; o poselstwie Romana Mscisławowicza kniazia włodzimierskiego do cesarza Aleksego w 1200 r.; o obrazie św. Borysa i Hleba w cerkwi św. Zofii; o osobnej cerkwi pod wezwaniem tychże świętych w Carogrodzie i o wielu innych, których w innych znanych pamiętnikach nie znajdujemy.

15. *Nowgorodskoje piscowyje knigi. Tom I, II i III,* redaktor P. J. Sawitow. St. Petersburg, in 4⁰, w 1859, 1862 i 1869 r.

16. *Piscowyje knigi Iżorskoj zemli. Tom I, oddział II.* Redaktor A. A. Kunik, in 4⁰. St. Petersburg 1862 r., z mapą Iżor-

skiej ziemi, zrobioną przez pułkownika szwedzkiego Kroniarta w 1698 r.

Oba wyżej pomienione wydawnictwa są ważnem źródłem do dziejów wewnętrznego bytu dawnej Rzpltej Nowogrodzkiej, zaraz po jej przyłączeniu do państwa moskiewskiego i do Iżorskiej ziemi, także niegdyś w skład tejże Rzpltej wchodzącej, pod panowanie szwedzkie przeszłej.

17. *O Rosyi za panowania cara Aleksego Michajłowicza, współczesne opowiadanie Kotoszochina. (O Rossii w carstwowanie Aleksieja Michajłowicza).* Redaktorowie: M. A. Korkunów i N. W. Kołaczew (2 wydanie), 1859 r. St. Petersburg, in 4°.

Kotoszochin były poddiaczy moskiewskiego poselskiego prykazu; widocznie emigrant i malkontent, bo niechętnie i ze stanowiska europejskiego na ówczesne sprawy w Moskwie się zapatruje. Rękopism po rusku znaleziony w 1839 r. w bibliotece upsalskiej, a tłumaczenie jego po szwedzku, przechowywało się w archiwum królewskiem w Sztokholmie. Pierwszy raz wydała komisya ten rękopism w 1840 r.; drugie wydanie w 1859, o którem mówimy, uzupełnione zostało przedmową szwedzkiego tłumacza i biograficznemi wiadomościami o autorze, zaczerpniętemi z archiwów szwedzkich i rosyjskich.

18. *Materyały do historyczno-geograficznego atlasu Rosyi.* Zeszyt I: 1) Mapa Europy z 1494 r. 2) Mapa z 1460 r. St. Petersburg 1870 r. (in folio).

19. *Dopołnienia k aktom istoriczeskim. Tomy: VI, VII, VIII, IX, X, XI, XII. St. Petersburg, in 4°.* Zawierają akty tyczące się bezpośrednio Rosyi, pośrednio zaś i naszych dziejów z powodu stosunków politycznych i handlowych; we wszystkich tych tomach objętym jest trzydziestoletni tylko peryod, od 1670 po 1700 r. włącznie.

20. *Sbornik kniazia Chiłkowa*, zawiera więcej jak sto aktów od 1493 po 1698 włącznie. St. Petersburg 1879 r., in 8.

21. *Indeks nazwisk osób i miejsc, wspomnianych w dwunastu tomach, „dopołnenii k istoriczeskim aktam“.* Redaktor A. N. Truworow, St. Petersburg, 1875, in 4°.

22. *Indeks nazwisk osób i miejsc, wspomnianych w „pełnym zbiorze ruskich kronik czyli latopisów“.* Redaktor Byczkow, Tom I. od litery A do I włącznie. St. Petersburg 1875, in 4°.

W obu tych indeksach, przy każdem nazwisku osobistości wspomnionej w kronice lub akcie historycznym, oprócz wskazówki na tom i stronnicę, są krótkie wzmianki o faktach w których ta osobistość udział miała tak, że w wielu razach wytwarzają one zupełną jej biografię.

Rulikowski.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Z dzieł religijnych.

KONFERENCYE DUCHOWNE przez *ks. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego* t. I. str. 300, t. II. str. 221 Lwów. 1885. Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta.

Przebywający dzisiaj na wschodnich kresach Galicyi i pracujący koło polsko-ruskiego ludu, jak zwyczajny pleban wiejski, ks. arcybiskup Feliński, będąc przełożonym akademii duch. petersburskiej, miewał do swoich alumnów częste nauki czyli konferencye. Gotował się do nich sumiennie i spisywał pilnie, w ciągu wieloletniego swego wygnania poprawił je i wygładził starannie, pomny snać na radę Horacego: *saepe verte stylum — nonumque prematur in annum.* Mamy więc przed sobą „wykończoną“ co się zowie pracę, która tem jest cenniejszą, że dzisiejsze pokolenie piszących, jakby gorączką jakąś gnane do pośpiechu, dostarcza nam wiele utworów cennych, ale mało rzeczy wykończonych. Pośpiech i wynikająca stąd pobieżność w badaniach, układ całości nie jasny a styl nierówny i często zaniedbany, jest niemal ogólną ich wadą; a w dodatku obrażają się, gdy im sumienna krytyka wytknie takowe. Wykończoność więc formy, poprawność i nadobność stylu — oto co w „Konferencyach“ na pierwszy rzut oka mile uderza i co krytyka dzisiaj uznać i podnieść powinna. Wieje z tych Konferencyj duch dziwnej dobroci i tej szerokiej, wielkiej miłości, którą Skarga tym, którzy koło „rzemiosła kaznodziejskiego“ pracują, tak usilnie poleca. I to druga zaleta Konferencyj, tem znów cenniejsza, że nie rzadko nawet do pism religijnych wkrada się jakaś niechrystusowa gorliwość, zaprawiona żółcią niechęci i jadem sarkazmu, albo znów jakaś sztywna, chłodna, zbyt racyonalna naukowość, która w mia-

rę użyta, służy dobrze sprawie bożej, ale wyłącznie pielęgnowana, zabija ją, robiąc z niej sprawę czysto ludzką. Przemawiając do alumnów teologii, nie potrzeba było rozwijać kwestyj dogmatycznych, ani zapuszczać się w dysputy religijne, gdyż o tem wszystkiem nasłuchają się oni dosyć na wykładach ogólnej i szczegółowej dogmatyki; dlatego czcigodny autor wziął za temat swych konferencyj kwestye moralno-ascetycznej cechy. Zrozumiałe one są i pożyteczne równie dla młodzieży duchownej, jak dla każdego, kto nad swem wewnętrznem udoskonaleniem szczerze chce popracować, bez względu na to, czy się zamknął w murach klasztornych, czy się obraca wśród światowego wiru. Głęboka znajomość serca ludzkiego i wynikająca stąd wyrozumiałość i pewna względność na trud i borykanie się z namiętnościami i ponętą zewnętrznego świata, cechuje te rozprawy i jest trzecią ich piękną zaletą. „Człowiek wielka ryba, głęboko pływa i trudno ją ułowić", powiada Skarga; zrozumiał to dobrze i doświadczył snać na sobie nasz autor i stąd ten spokój w jego dykcyi, ta miara w karceniu, ta dobroć w upominaniu, ta przekonywująca siła w całości, której przy odrobinie dobrej woli oprzeć się niepodobna.

Jeżeliśmy trafnie odgadnęli myśl autora, rozkład konferencyj jest następujący: Postawiwszy w trzech pierwszych konf. ważność kapłańskiego powołania, jego podniosłość i jego rzetelne cechy, wskazuje w konf. 4-tej na konieczność uświątobliwienia siebie, wynikającą właśnie z tej zacności i ważności kapłaństwa, a w konf. 5 opowiada szeroko, jakim porządkiem ta wewnętrzna praca nad sobą postępować powinna, aby przyniosła owoc. Niestety „przeklęta rola serca ludzkiego, (słowa Skargi), głóg rodzi i zielska"; miłość własna ożeniona ze zmysłowością i pychą przeszkadza tej zbożnej pracy, i stąd w konf. 6—16 poddaje trafnej diagnozie te niskie namiętności ludzkie, maluje żywo a prawdziwie ich grę czasem jawną, często podstępną a zawsze szkodliwą. Uporawszy się z tą niewdzięczną robotą wyplenienia chwastu z roli serca ludzkiego, zabiera się nasz autor do pracy dodatniej, do „duchownej siejby" i od konf. 16—23 rozprawia szeroce, z ascetycznem namaszczeniem a wielką znajomością rzeczy o wykształceniu rozumu i woli przez wyrobienie w sobie dobrych nałogów, czyli cnót wręcz przeciwnych onym niskim skłonnościom serca. Środkiem zaś najpewniejszym do tej zbawiennej przemiany wewnętrznej, łaska Boża, która się znów zdobywa modlitwą ustną i duchową czyli rozmyślaniem (konf. 22—25). Ale powołanie kapłańskie sięga daleko, obejmuje ono swą działalnością i pojedyńczego człowieka i rodzinę i społeczeństwo świeckie i Kościół; nie podobna jej podołać bez wielkiej miłości bliźniego, posuniętej aż do miłości nieprzyjaciół, bez wielkiej ofiarności i poświęcenia, bez dobrze zrozumianego patryotyzmu i cnót obywatelskich. Potrzeba także kapłanowi przejąć się „duchem kościelnym iżby każdy z nas mógł powiedzieć, żyję już nie ja, ale żyje we mnie Kościół" (II str. 197); potrzeba mu uległości w rzeczach wiary zarówno jak w karności kościel-

lnej. I o tem rozprawia pięć ostatnich (od 25—30) konferencyj. Oto całokształt tych pięknych rozpraw religijno-moralnych, które znaleść się powinny w każdym polskim domu, czytane i odczytywane pilnie. *S. Z.*

Mowy pogrzebowe i kazania ś. p. Aleksego Prusinowskiego, wydał *ks. Wł. Jaskulski.* Poznań 1884, w 8-ce str. 600.

Czternaście lat temu stąpił do grobu „wielkopolski Skarga“ ks. Prusinowski, penitencyaryusz i kaznodzieja archikatedralny w Poznaniu, później proboszcz w Grodzisku. Natura szeroka, bogata, głęboką nauką i rozległą erudycyą uprawiona, a przytem gorąca, zacna, porywająca serca; brak jej tylko było coś trochę pokory chrześcijańskiej a ten brak jak w życiu prywatnem niejednej przykrości stał się przyczyną, tak znów w mowach i kazaniach psuje czasami piękną harmonią treści z dykcyą, która zwykle wspaniała i co się zowie klasyczna, miejscami staje się afektowaną nieco. Stąd też z biografem jego p. Kanteckim uważamy mowę żałobną o ś. p. Antoniewiczu za jedną z najlepszych, bo w niej najmniej patosu, opowiadanie płynie z pewną prostotą a jednak z artyzmem.

Niektórzy z współczesnych zarzucali „wielkopolskiemu Skardze“ inną jeszcze wadę: przesadny patryotyzm, który jeżeli gdzie to na ambonie powinien być wielce umiarkowany. Zważyć wszelako należy, że mowy pogrzebowe noszą na sobie cechę nietylko religijną ale i obywatelską, że w Księstwie poznańskiem zwłaszcza, stosunki polityczno-administracyjne jak są dzisiaj tak były wtenczas tak wrogie dla nas, iż użyć należało każdej sposobności, aby obywatelskie cnoty i obowiązki dla kraju podnieść i przypomnieć żyjącym, że wreszcie między r. 1861—63 rzadki był mąż lub kaznodzieja, któryby pod wrażeniem wypadków ówczesnych umiał zachować „złotą pośrednią drogę“. Owszem uważamy to za zaletę ks. Prusinowskiego, że wspominając zacne czyny nieboszczyków, łączy je zręcznie z wytknięciem wad społecznych i upomnieniem do cnót obywatelskich; że umie nawet z cichego domowego żywota takiej matrony jak n. p. hr. Emilia Ostrowska wysnuć prawdziwie złote przestrogi oszczędności i pracy, iżby ziemia polska rozrzutnością i życiem nad stan w obce nie przechodziła ręce; słowem tak po mistrzowsku kreśli nekrologi, iż w nich wielka część historyi Księstwa zawarta i w śmiałych rysach obraz społecznego życia przedstawiony. — Mów żałobnych jest 25, z tych kilka pierwszy raz drukiem ogłoszonych.

Kaznodzieją archikatedralnym w Poznaniu był ks. Prusinowski lat kilka. Kazał często i w innych kościołach Poznania i na prowincyi. Niestety tylko 13 kazań przechowało się do dni naszych, i te ogłosił drukiem ks. Jaskulski. Z tych 13 kazań cztery są panegirykami. Nie są to ściśle dogmatyczne o jasnych definicyach, o loicznem rozumowaniu kazania; jedyne na pozór dogmatyczne kazanie na Boże narodzenie jest tylko w pierwszej swej części teologicznie przeprowadzone. Nie są też one apologią wiary, nie walczą ani z racyonalizmem

wieku, ani z materyalizmem, ani żadną doktryną fałszywą; oratorski talent kaznodziei nie nadawał się snać do tego rodzaju przemówień. Są to moralnej treści kazania, potęga wymowy, bogactwo figur, tropów i przenośni utrudnia nawet nieco jasne przedstawienie moralnej prawdy; bądź co bądź są to obmyślone i opracowane mowy, jest wstęp, założenie, są części i domówienie, nie brak i na zastósowaniach może za ogólnikowych nieco i dlatego mniej praktycznych. Panegiryki wszystkie udatne, na wzór Bosueta obrobione, najpiękniejszy o św. Jacku, a domówienie jego to już tak oratorskie, tak wspaniałe a przytem tak rzewne, że czytając trudno łez powstrzymać, cóż dopiero gdy się je z ust żywych słyszało. Równie rzewny a pełen oratorskich zwrotów panegiryk na Matkę boską różańcową; są to perły kościelnej wymowy, które lubo odmiennej cechy, stanąć mogą obok kazań Skargi i Kajsiewicza. Poprzedza mowy i kazania biografia „wielkopolskiego Skargi“ pióra p. Klemensa Kanteckiego, równie sumienna i wyczerpująca, jak z nieudaną miłością i uwielbieniem napisana.

S. Z.

Z dzieł historycznych.

Outlines of the world's. History with special relation to the history of civilisation, for use in the Higher Classes in Public Schools, and in High Schools, Academies, Seminaries etc. by *William Swinton*. New York and Chicago.

„Dzieje powszechne“ powinny przedstawić wierny obraz dziejowego pochodu ludzkości, uwzględnić ważne objawy i czynniki, zwłaszcza dodatnio wpływające na postęp cywilizacyi, odnosząc je do wyższej, po nad zmienną koleją ziemskich rzeczy górującej istoty. W tem tylko pojęciu może historya być mistrzynią życia, *vitae magistra*, tem bardziej jeżeli ją się chce ująć w ramy podręcznika szkolnego. Że w naszych szkolnych „historyach powszechnych“, jak dzieło Weltera lub Pütza napróżno tych zalet szukać, o tem nie tu miejsce rozpisywać się. Za to warto się zastanowić, jak też „Nowy Świat“ zapatruje się na naukę historyi powszechnej w szkołach, dla których dzieło Swintona przeznaczone. Wielka polityka zajmuje w niem bardzo skromne miejsce, przewroty i zmiany polityczne stanowią tylko wstęp każdego okresu dziejowego, przyczem wojny w swych przyczynach i skutkach, a nader rzadko w przebiegu wspomniane. Nie ma tu skrupulatnego spisu panujących, ale obok królów, którzy zasłużyli sobie na imię w historyi, nie brak nikogo z tych, którzy swą pracą i geniuszem stali się zaszczytem ludzkości. Główną natomiast treścią dzieła jest historya cywilizacyi, o ile każdy wiek i naród dodał cegiełkę do ogólnego postępu. Więc duchowe zdobycze, umiejętność, sztuki piękne, przekonania religijne, charakter każdego szczepu, język, obyczaje, wychowanie, prawa, wynalazki, przemysł produkta

kraju, pieniądze, handlowe stosunki, kolonie, targi, i faktorye, wzajemne oddziaływanie i kontrasty narodowe i t. d. — oto szerokie widnokręgi, jakie amerykanin roztacza przed młodem pokoleniem.

Obok wszechstronności niemniej chwalebna bezstronność, daleka od onej plemiennej i religijnej zawiści, która przypisując sobie uprzywiliowane stanowisko, przykrawa zdarzenia historyczne do miary miejscowego i chwilowego partykularyzmu. Co więcej, p. Swintonowi obcy indyfferentyzm religijny; Chrześcijaństwa nie zabija milczeniem, ani go (jak np. Weber) do swych osobistych przekonań naciąga, ale szeroko opowiada o jego założeniu, prześladowaniach i rozwoju, ojcowie Kościoła, pisarze i papieże poczesne tu zajmują miejsce. Z kart podręcznika wieje śilne przekonanie o wpływie Opatrzności na losy świata. Tak na samym wstępie pisze p. Swinton:

„In the largest sense, however, history is a unit: its epochs form but acts in one grand Providential drama“... itd.

Szczególną wartość podręcznikowi temu nadaje objaśnienie tekstu rysunkiem. Pełno tu klisz, przedstawiających widoki, mapy geograficzne, handlowe i wojskowe, portrety, tablice chronologiczne i t. d. Dlaczegóżby Zjednoczone Stany żałowały nakładu na szkolne dzieło, gdy illustracye tyle się przyczyniają do wyjaśnienia i spamiętania rzeczy, gdy nawet już i u nas zaprowadzono illustrowane podręczniki do historyi naturalnej? Praktyczny amerykanin, mający tylko business na myśli, nawet poezyami przeplata prozaiczne opisy historyi.

Jesteśmy przekonani, że taki podręcznik i u nas naukę historyi uczyniłby milszą, łatwiejszą i pożyteczniejszą. *F. L.*

Toruń, praca uwieńczona na konkursie rozpisanym przez *Towarzystwo naukowe Toruńskie*, ogłoszona jako rocznik III tegoż Towarzystwa. Toruń, 1884.

Istniejące od lat 9 naukowe Towarzystwo toruńskie, które w ś. p. Zygmuncie Działowskim głównego straciło opiekuna i dobroczyńcę, rozwija się przy nader trudnych warunkach powoli, ale skutecznie. Celem jego zbieranie i przechowywanie wszelkich zabytków krajowych, zwłaszcza Prus zachodnich i pielęgnowanie nauki w języku polskim. W obszernym własnym domu umieściło ono muzeum wzbogacone darami ś. p. Działowskiego i krakowskiego archeologa p. Ossowskiego i bibliotekę dzisiaj jeszcze w skromnych rozmiarach. Nakładem Towarzystwa wydano nader starannie i umiejętnie wykończoną mapę archeologiczną Prus zachodnich i ogłoszono trzy roczniki, świadczące dobrze nietylko o ruchu, ale i o sumienności naukowych badań w historycznym zwłaszcza kierunku. Świeżym tego dowodem monografia Torunia, którą mamy pod ręką. Bezimienny autor podawszy w streszczeniu historyczne dzieje tego miasta, wykazuje, że założyli je Krzyżacy na starej osadzie Tarnowa 1231 r. i przezwali je Thorun, Toruń; nazwę Thorn nadała rada miejska dopiero w 1477 r. Wyborna organizacya krzyżacka, korzystne położenie, uczyniło Toruń miastem zamożnem, drugiem po Gdańsku, ogni-

skiem handlu, który spoczywał w ręku trzech bractw kupieckich. Autor opisuje zajmująco tryb publicznego i domowego życia tych mieszczan toruńskich narodowości mieszanej. W XIII wieku powstał Toruń nowy, oddzielony od starego murami i fosą, mający swego burmistrza, radnych i ławników. Ponad oboma miastami górował zamek konturow krzyżackich, (służył on zarazem za szkołę rycerską). Pożar tego zamku dał hasło do wojny jaszczurczego a później pruskiego związku z Zakonem, która skończyła się tyle sławnym traktatem toruńskim 1454 r. Odtąd aż po r. 1792 zostawał Toruń pod zwierzchnością Polski, reprezentowanej przez burgrabiego, rządził się prawem chełmińskiem i przez cały wiek, aż do pojawienia się „nowinek religijnych", rósł w dobrobyt i znaczenie; liczył 36,000 mieszkańców. Luteranizm podzielił obywateli na dwa obozy. Usiłowania Hozyusza nie odniosły skutku, a edykt Zygmunta Aug. z d. 10 Sierp. 1557 uprawnił augsburskie wyznanie i zabór katolickich kościołów. Dopiero z przybyciem Jezuitów 1593 r., poczyna się budzić życie katolickie— publiczne procesye Bożego Ciała wywołują w 1606 r. rozruch uliczny, a zlutrzała rada miejska gnębi w szkole i w cechach żywioł polski dlatego, że katolicki (str. 36—39). Potrójna wojna szwedzka podcięła dobrobyt miasta, zniszczyła prawie zupełnie jego warownie i arsenały; dały się też miastu we znaki wrzekomo przyjazne wojska rosyjskie i saskie od 1711—1719 r. (str. 39—42). Za ruiną materyalną poszedł : upadek moralny; — w radzie nieład i anarchia, brak ludzi rozumnych na krześle burmistrzowskiem. Waśnie religijne odżyły na nowo, a zburzenie rezydencyi jezuickiej i kaplicy (dzisiaj tam kasarnia), spalenie obrazu M. Boskiej na placu, stało się w ręku bezsumiennego króla Augusta II jednym z środków do zamierzonego rozbioru Polski i dziedziczności tronu, i wywołało oną głośną „krwawą" sprawę toruńską, którą autor opowiada (str. 44—48) na podstawie badań p. Jarochowskiego. Wreszcie w 1766 r. stanął Toruń po stronie tych, którzy się obcej interwencyi dopraszali, w nagrodę za to popadł w ubóstwo, gdyż w skutek pierwszego rozbioru cały jego ziemski majątek dostał się pod fiskalizm Frydryka II. Stan ten nie polepszył się ani zaborem pruskim 1793 r., ani tem mniej podczas wojen napoleońskich. Roku 1823 otoczono miasto nowemi fortyfikacyami, które ustąpić musiały miejsca trzeciemu w obecnej dobie ufortyfikowaniu, i zniesione będą do szczętu. Z dawnego krzyżacko-polskiego muru i baszt, pozostały znaczne jeszcze kawały.

Opowiedziawszy treściwie dzieje miasta, podaje autor opisy znaczniejszych budowli, jak kościołów: P. Maryi, św. Jana, św. Jakóba ratusza, pochyłej bramy i t. d. (str. 53—76) i biografie znakomitych Toruńczan, zwłaszcza Kopernika (str. 76—83). Najbardziej zajmujący jest szkic obyczajów i stosunków toruńskich, zakończony krótką wiadomością o obecnym stanie narodowości polskiej w Toruniu (str. 83—111). Nie byłby on tak smutny gdyby nie jedna okoliczność, że mało w tem mieście, bo na 18,000

ludności, zaledwie 3,000 Polaków. Mimo to żywioł polski rusza się i potężnieje. Są bowiem 4 handle, jedna traktyernia i to pierwszorzędna i jedna księgarnia polska; jest bank kredytowy polski, Gazeta toruńska i Przyjaciel, pod redakcyą niesłychanie czynnego p. Danielewskiego, są trzy stowarzyszenia religijne, a dwa przemysłowe, jedno śpiewackie, a wszystkie nie dla formy tylko, ale czynne. W kościołach katolickich rzadko kazania polskie, ale za to częsty a pełny śpiew polski. Nekrologia sześciu świeżo zmarłych członków Tow. naukowego (między nimi 4 księży) i sprawozdanie z 3 lat czynności tegoż Towarzystwa, stanowią domówienie tej zajmującej i pożytecznej publikacyi.

S. Z.

Z dzieł literackich.

WSPOMNIENIA Z PRZESZŁOŚCI opowiadane Deotymie p. *A. E. Odyńca*. Warszawa, Gebethner i Wolff 1884.

Sędziwy autor Wspomnień opowiada o czasach szczęśliwych, pozazdroszczenia godnych, kiedy ludzie umieli i mogli mniej się troszczyć o marności tego świata, we wszystkiem poprzestawali na małem, a składaniem wierszyków lub od biedy recytowaniem cudzych, sobie i drugim życie słodzili. Niemal każdy człowiek oświecony starał się władać mową wiązaną. Przykład starszych zachęcał dzieci do wierszowania, w szkole uczono składać rymy, udanym wierszykiem student wkupywał się w łaskę profesora, zdobywał pochwały rodziny i sąsiadów, podbijał serca panienek; pisma peryodyczne chwytały oryginalne i tłumaczone, szczególnie z niemieckiego, utwory, a wtedy młodzieniec zaliczony już bywał do cechu poetyckiego, znajdował wstęp do salonów literackich, mecenasów i protektorów, za prenumeratę na tomik poezyi mógł odbyć podróż za granicę.

Będąc małym chłopcem, autor Wspomnień podpatrzył, że jego guwerner zamiast iść spać, siadał do stolika, pisał, mazał, chodził po pokoju w koło, gadał do siebie, na palcach coś w powietrzu rachował i po bezsennej nocy przepisywał na wspaniałym papierze ze złotymi brzegami. Dobrawszy się do szuflady profesora, znalazł *corpus delicti*, powinszowanie wierszem dla pięknej sąsiadki. Miara i rymy sprawiły na nim „jakieś czarodziejskie wrażenie“, wyuczył się więc na pamięć owych wierszy i tem tak ujął guwernera, że ten zaczął mu wykładać sztukę dobierania rymów. Czytywali razem starych poetów polskich, nie zawsze mogąc dojść o co idzie: zagadką dla obu pozostał wiersz Krasickiego:

„Przynoszą trzy Vandyki i cztery Rubense“.

bo o Vandyku i Rubensie ani mistrz, ani uczeń nigdy nie słyszał. Niezadługo uczeń skomponował odę do panny Reginy, rozpoczął na wzór Myszeidy pisać Pigmeidę, wojnę Pigmeów

z bocianami; niebawem jego sława rozeszła się po całej parafii i dalej. Jakiś wierszyk zyskał pochwałę X. prefekta, profesora wymowy w szkole w Boruniach, odtąd rodzice zaczęli go brać na seryo. Oddany do szkół w Boruniach i trapiony tęsknotą, drapnął piechotą do domu, lecz pamięć o owym wierszyku wyjednała mu przebaczenie; dopomagając kolegom w rymowaniu ćwiczeń, doszedł do niemałego wzięcia. Rymując coraz więcej i lepiej, rósł w miłość u ludzi, zawiązał w Wilnie stosunki z Zanem, Czeczotem, Mickiewiczem.

Przez wzgląd na trudne warunki miejscowe, autor nie mógł wchodzić w szczegóły o ówczesnych związkach młodzieży wileńskiej, do których należał, zasiadając w *Poet's-Corner*, na kuferku pod piecem, u Czeczota. Czytano rozprawy literackie i naukowe, starsi nakłaniali młodszych do pracy i pielęgnowania mowy ojczystej; odbywano wspólne wycieczki za miasto, przy odgłosie fleta. Stowarzyszenie wywierając wpływ zbawienny na młode umysły, jednało założycielom wielką nad nimi przewagę. Zan i Czeczot nie zwierzali się dlaczego i poco zakładają związki studenckie. Trudno przypuścić, żeby nie mieli byli żadnych dalszych widoków, jeszcze trudniej, żeby w porze, gdy tajne towarzystwa tak głęboko nurtowały europejskie i polskie społeczeństwo, ludzie młodzi i gorący nie podzielali powszechnych dążeń i chcieli jedynie uchronić młodzież od wchodzenia w tajne związki polityczne. Filareci wyglądają na rodzaj polskiego Tugendbundu, z pokostem humanitarnym, wspólnym wszystkim ówczesnym robotom tajemnym. Zan i Czeczot w swojskim duchu stosowali kosmopolityczną metodę, chcieli mieć młodzież w ręku, wychowywać ją po swojemu a w danym razie nią pokierować. Co wtenczas nastąpić miało, jest ich tajemnicą, którą z sobą do grobu unieśli. Przy podejrzliwości rządów, wylęknionych spiskami zagranicą i w kraju, rzecz musiała wziąść smutny koniec. Aresztowano starszych i młodszych, Odyńca oficer policyjny przywiózł ze wsi do Wilna, do domu radcy gubernialnego Ławrynowicza, któremu było śledztwo poruczone. Żona i córki radcy otoczyły macierzyńską troskliwością młodego poetę; kazano mu na piśmie odpowiedzieć na rząd pytań, a na stoliku znalazł niby przypadkiem położony arkusz z zeznaniami Czeczota. Gdy swoje zrobił, radca wróciwszy z sesyi urzędowej oświadczył mu, że sprawa wkrótce się skończy, a on wróci do domu, pozostaje tylko przesłuchać jeszcze jednego z podejrzanych, Jankowskiego. Jankowski miał popisać niestworzone rzeczy, plotki, nawet kalumnie na Filaretów. Odyńcowi doradzono udać chorobę i kilka tygodni, choć pod strażą, pozostać jeszcze pod gościnnym dachem radcy. W końcu i jego przeniesiono do więzienia u Karmelitów. W więzieniu miano papier, pióra i książki dostarczane przez księgarza; wieczorem po zamknięciu „furty klasztornej“, więźniowie rozweselali się „przy wspólnej skromnej biesiadzie“. To wszystko niebardzo się zgadza z legendą o okropnościach wileńskich kaźni i dowodzi, że cała

sprawa wileńska nie jest tak dobrze znaną, jak to zwykle mniemają. Natomiast Wspomnienia pełne są drobniuchnych, lecz zajmujących szczegółów o życiu na Litwie i w Wilnie; ozdobą książki jest portrecik Brodzińskiego, rysy z życia Witwickiego, Garczyńskiego, Bohdana Zaleskiego, Pola i pani Klaudyny Potockiej.

Z biegiem czasu, bardzo prędko, romantyzm popsuł rzemiosło poetyckie. Zamiast rymować jak ptaszek śpiewający na gałązce, poeta musiał cierpieć, cierpieć za cały świat, za ludzkość, przynajmniej za naród, i kiedy nieszczęście go omijało, tworzył sam sobie w życiu dramata. Samo pisanie wierszy było rzeczą nadzwyczajną. Od pierwszego poznania z Garczyńskim, Odyniec zauważył, że młodzieńca gryzie jakiś robak; stronił od ludzi, zamykał się i zwykle miał jednę odpowiedź: nie mogę! Nakoniec po roku, czy później, w Dreźnie, na Brühlowskim terasie, o północy, przy świetle księżyca, odezwał się do Odyńca uroczystym głosem: „Słuchaj! mam ci powierzyć tajemnicę życia mojego, ale przysięgnij, że dopóki ja żyję, nie powiesz o niej nigdy i nikomu". Odyniec struchlał. W swojem mieszkaniu, Garczyński wydostawszy zwój papieru, „stanął jak posąg i drgającemi usty, przytłumionym głosem, wyjąkał jakby wyznanie zbrodni: Ja piszę wiersze!" Zwój zawierał rękopism Wacława. *H. L.*

Z życia Polaków we Francyi (Rzut oka na 50-letnie koleje Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu 1832—1882. Skreślił *L. Gadon.*

Pół wieku upłynęło od chwili, kiedy garstka wychodźców, złączonych węzłem wspólnej niedoli i gorącą miłością ojczyzny, zawiązała w Paryżu towarzystwo historyczno-literackie, szukając w pracy ukojenia tęsknoty za krajem. Ku uczczeniu więc tej pięćdziesięcioletniej rocznicy, podaje nam L. Gadon, dzień po dniu prawie, dzieje tegoż towarzystwa, uwydatniając jego zadania i owoce tej skrzętnej pracy. Zaczyna więc od pierwszych chwil założenia, gdzie przewodnią polityczną myślą było poznajomienie cudzoziemców zapomocą licznych prac w rozmaitych pismach umieszczanych z historyą naszą i smutnemi dziejami rozbioru kraju. Dopiero w lat kilka później, z inicyatywy Niemcewicza i Karola Sieńkiewicza, towarzystwo zmienia kierunek na czysto naukowy, w umysłowem i duchowem życiu szukając odrodzenia dla siebie i swoich. Owoce tych zabiegów wkrótce dojrzewać poczęły z rozprószonych po archiwach europejskich materyałów, ujrzały światło dzienne pomnikowe historyczne dzieła, jak *Portofolio* (1837 r.) zbiór dokumentów wydanych staraniem ks. Adama Czartoryskiego i mnogie publikacye jednorazowe i peryodyczne, na czele których stała Kronika emigracyi Polskiej (1834—1837).

Przebiegając dzieje tych lat kilkudziesięciu, odtwarza nam autor pomnikową postać ks. Adama Czartoryskiego, prezesa od pierwszych chwil założenia towarzystwa, honorowych jego członków a wielkich przyjaciół Polski: Dudley Stuarta, hr. Montalembert'a, Niemcewicza i Mickiewicza wice-prezesów, pierwszego

z nich przyjaźń z jenerałem Kniaziewiczem i wspólną ich wielką miłość dla kraju, dalej przesuwają się tu postacie Słowackiego, Krasińskiego a w końcu Klaczki, Walerego Kalinki i Bronisława Zaleskiego, że już pominę wiele imion dopełniających obrazu tych lat pięćdziesięciu, w których aż dwa wychodźctwa pomnożyły szeregi towarzystwa, a które choć uszczuplone, dotrwały dotąd pod kierunkiem ks. Władysława Czartoryskiego, dzisiejszego dożywotniego prezesa.

Drugą pracę wręczoną i ściśle z towarzystwem histor.-literackiem związaną, podaje nam autor w wiadomości o bibliotece założonej z wdowiego grosza wychodźców i członków tow. histor., a która od 2,000 wzrosła dzisiaj do poważnej cyfry 42,000 tomów i nabyła, dzięki staraniom ks. Wład. Czartoryskiego, prawo bytu pod rządem francuskim, jako *institution d'utilité publique*, pozostając najpiękniejszym pomnikiem ofiarności i wytrwałej pracy na wychodźctwie. Przy końcu załączone „Dodatki", podają spis członków Towarzystwa, dokładną wiadomość o Gronie londyńskiem, ze spisem członków i szczegółami istnienia i zgaśnięcia tegoż, ciekawą korespondencyę z Lelewelem, zawierającą rady tego nestora historyków co do kierunku Towarzystwa, osobiste uchylanie się jego, a potem chwilowe przystąpienie, a nadewszystko interesu pełen protokół sesyi poprzedzającej dymisyę Mickiewicza z urzędu prezesa wydziału historycznego. Podane nam tutaj przemówienia wielkiego Adama, owiane Towianizmem a usiłujące mistycznemi proroctwy nakłonić towarzystwo, aby swe losy złożyło w ręce mistrza, odsłaniają nam już wtenczas chorobliwy stan tego potężnego ducha skołatanego niedolą — i przeddzień zamknięcia prelekcyi w Collége de France. Na tem kończymy. *M. S.*

Zapiski Ornitologiczne t. VI. Kukułka p. *Kazimierza hr. Wodzickiego*. Kraków r. 1884. Wydanie nowe znacznie pomnożone.

Pod skromnym tytułem „Zapisków", które przed trzydziestu blisko laty drukowane w dodatku do Czasu a przed laty kilkunastu w Przeglądzie polskim, teraz osobno wydane, sporą stanowią wiązankę, nagromadził autor nietylko mnóstwo arcyciekawych szczegółów z życia ptaków, ale co więcej utworzył z nich wyborną „satyrę społeczną". Dowodem tego ponownie wydana kukułka. Czytelnik nie wie zaprawdę, co tu ma naprzód podziwiać, czem się lubować, czy tą mnogością faktów z dziedziny przyrody, do których autor dochodził własnym trudem, osobistemi badaniami w przeciągu długich lat zdobywanemi, czy tym głębokim filozoficznym poglądem, zawsze w duchu nieskażenie katolickim na otaczające go społeczeństwo, jego zalety, przywary i zboczenia, czy nareszcie poetycznej barwności ojczystej mowy i tym zwrotom poetycznym, któremi autor jakby okrasza każdą myśl swoją. Snuje więc nam niby opowieść o życiu tej pospolitej ptaszyny rodzimych naszych gajów i ogrodów mieszkanki, swawolnej wietrznicy, w obyczajach wiele do życzenia pozostawiającej, niezadającej sobie nawet trudu wy-

hodowania własnego potomstwa, które w gniazda obu różnorodnych częstokroć koleżanek podrzuca, zmuszając je niejako do trudów macierzyństwa, od których wyrodna, lekkomyślnie się uchyla. Przykład to jedyny w przyrodzie, w wielkiej rodzinie żyjątek skrzydlatych, potworny prawie. A jednak rzecz dziwna „człowiek tylko ją naśladować usiłuje", a lud słowiański, tę właśnie zbrodniarkę ptaszynę w gusłach i wierzeniach swoich wyniósł do znaczenia niemal symbolu. Na Rusi krasna dziewoja z odgłosu kukułki tworzy wnioski o dobrej lub złej doli swojej; parobcy pobrzękują monetą w mniemaniu, że im dostatków przysporzy; w pieśni nawet, ptak ten niepospolite ma znaczenie u ludu, jako allegorya smutku i tęsknoty. Autor „zapisków" zebrał podania o tym ptaku, aż do piosnek, z których kilka przytacza. Pełen życia i barwy jest opis trzcin wodnych w Galicyi, zajmujących do kilku tysięcy morgów przestrzeni w tym kraju, a które autor do za atlantyckich puszcz leśnych porównuje. W tych trzcinach, w tych sitowiach odkrywa on jakby nowe światy, całe mirjady cudów i tajników przyrody; miliony ptactwa w nich żyje, mnoży się i wymiera, roje drobnych czworonożnych zwierzątek, owadów nareszcie też miriady. Psotnica kukułka i tam jednak zaziera i w wątłych, od powiewu wiatru chwiejących się gniazdkach cudzych swe jajka składa.

Ponadto to wszystko górują prawdziwie złote myśli i spostrzeżenia z moralno-społecznego świata wyjęte, jak np. ten na str. 36—57 „o rodzinie" i różnicy, jaka zachodzi między wychowaniem według zasad chrześcijańskich, a edukacyą dzisiejszą według materyalistycznych doktryn. Ostrzegamy jednak, że cenna ta książeczka, przeznaczona tylko dojrzalszemu wiekowi. *T. S.*

Hydroterapia *Dra. St. Smoleńskiego.* Kraków, 1884.

Pominąwszy kilka dzieł lekarskich polskich częścią oryginalnych, częścią tłumaczeń wyszłych w Warszawie i w Poznaniu, trzeba przyznać, że dopiero właściwy ruch piśmienniczy w tym kierunku, datuje się od chwili zawiązania przez Dra prof. E. Korczyńskiego w Krakowie, wydawnictwa dzieł lekarzy polskich. Liczny udział uczestników ułatwia wydanie i tanią sprzedaż dzieł wyż wymienionych.

Do rzędu ich należą.

Dr. Paweł Guttmann. Nauka sposobów klinicznego badania narządów piersiowych i brzusznych; przekład z niem. na polski w r. 1877. — Dr. Jan Steiner tłumaczenie z niem. Rys nauki o chorobach dzieci 1878. — Dr. Oskar Widman ze Lwowa — dzieło oryginalne polskie. Choroby serca i tętnic 1878. — Dr. Antoni Jurasz prof. z Heidelbergu. Laryngoskopia, dzieło orygin. 1878. — Dr. Antoni Rothe z Warszawy. Psychopathologia forensis v nauka o chorobach umysłowych 1879. d. oryg. — Dr. Henryk Jordan z Krakowa. Nauka położnictwa. 1881, dzieło oryginalne, 2a część wyjdzie później. — Dr. Krówczyński ze Lwowa. Syfilidologia 1883. Nareszcie w r. 1884 wyszła Hydroterapia Dra. Stanisł. Smoleńskiego.

Dzieło to ze wszech miar zasługuje na szczegółowe omówienie,

chociaż jest skromnych rozmiarów, bo składa się tylko z 185 stronnic w większej 8-ce, jest jednak oryginalnem i pierwszem tej treści w literaturze polskiej. Cena przystępna 1 fl. 85 ct. w. a.

W dziele tem umiejętnie i krytycznie skreślonem, uderza przedewszystkiem oryginalność i bystra poglądowość; praca ta jest oparta na własnych doświadczeniach żmudnie i z niezmiernem zamiłowaniem dokonana. Autor oddziela hydroterapię od aëroterapii i słusznie nie przyjmuje dawnej nazwy termoterapii, gdyż przy zastósowaniuu leczniczem wody oprócz czynników termicznych i mechaniczne współdziałają. Na wstępie podaje autor pogląd historyczny na rozwój hydroterapii, opracowany z godnem uznania zamiłowaniem, szkoda tylko, że nie rozwinął szerzej swego poglądu na rozwój wodolecznictwa, w czasach najnowszych na wzór zagranicznych wodoleczników jak Petersena i Plohna, obszernie opracowanego, co jednak tłumaczy się małemi rozmiarami książki. Przechodząc do części ogólnej I. mówi autor o miejscowem działaniu podniet termicznych na nerwy czucia i ruchu, następnie ciepła i zimna na krążenie krwi i mięśnie, o podnietach odruchowych, ciepła na mięśnie, krew, miąższ serca i parcie ościenne, oddechanie, czynności wydzielnicze gruczołów i naczynia limfatyczne, oraz wpływ różnego ciepła na utratę i wzmaganie się ciepła, przemianę materyi i ciężar ciała.

Część II-gą stanowi metodyka leczenia wodą; tu mówi autor o sposobach: omywania, nacierania, zlewania i natryskach, o kąpielach różnorodnych, okładach, opaskach, otuleniach, łaźniach, wstrzykiwaniach wody do jam ciała i przyrządach ochładzających z wskazaniami i przeciwwskazaniami do takowych w różnych chorobach i różnych epokach chorób. Szczegółowo zaś rozbiera Dr. Smoleński wpływ hydroterapii w chorobach mózgu i rdzenia pacierzowego, w nerwicach ogólnych i miejscowych obwodowych, w zapaleniach i zboczeniach w trawieniu i krążeniu krwi, zatruciach i gorączkach różnorodnych i t. d. Część ta obrobioną jest najstaranniej i najdokładniej. Koniec dzieła stanowią ogólne uwagi o leczeniu wodą, i o zakładach wodoleczniczych; dyetetyka i hygiena są mniej dokładnie obrobione, widocznie pozostawiono tę gałęź nauki znawstwu lekarzy. Co do przebiegu leczenia wodą, czasu trwania leczenia, doleczania i nadużycia w leczeniu, o dodatkowem leczeniu, jak mięsieniu (massage), gimnastyce, leczeniu zapomocą elektryczności, zastósowaniu wód mineralnych i t. d., krótkie tylko czyni autor uwagi. Ogólnie trzeba wyznać, że dziełko to acz krótkie jest znakomicie obrobionem i nader pożytecznem dla lekarzy pozbawionych tej naukowej strawy w języku ojczystym. Ozdobność i poprawność stylu zalecają się wszędzie, forma wydawnictwa jak we wszystkich dziełach, wychodzących staraniem dzieł lekarzy polskich, jest staranną i piękną.

Dr. F. B.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Rząd katolicki w Belgii i krakowska „Nowa Reforma“ [1].

Jest pewien kraj, który ma podobno specyalności mówienia nieprawdy, bez zająknienia się, tak śmiało, tak absolutnie, że słuchaczowi ręce opadają i odpowiedź w ustach zamiera. Na fałsz odpowiada się, prostując zdanie fałszywe — co suponuje, że było w tem zdaniu choć coś prawdy, tylko wykrzywionej. Ale jak się słyszy mówiącego nam w oczy, że co białe czarne, to już niema co prostować, chyba się zgniewać albo roześmiać.

Po tem specyficznem znamieniu wnioskujemy, że art. wstępny „Nowej Reformy“ z d. 25 września b. r. nie jest płodem tutejszej szan. redakcyi, ale musiał być z rzeczonego kraju za drogie pieniądze sprowadzony. Artykuł ten tłumaczy publiczności polskiej świeże wypadki belgijskie, jedno z najdonioślejszych zajść dzisiejszej polityki. Każdy, co to czytał w „N. Reformie“, wiedział, jak suponuję, że trzeba coś z tego opowiadania defalkować; przy-

[1] Dopierom był oddał ten artykuł do druku, kiedy przeczytałem w „Nowej Reformie“ nr. 236, 238 interesującą ocenę naszego pisma umieszczoną w odcinku p. t. „Dwa przeglądy“. Autor tego felietonu jest tak dalece grzeczny i wyrozumiały, że „nie czyni nam „zarzutu z charakteru pisma katolickiego“, a specyalnie „dla społe„czeństwa polskiego za lepszy uznaje katolicyzm uczciwy, niż pozy„tywizm za daleko posunięty“. Że jednak to wszystko nie ma związku z kwestyą czysto przedmiotową wypadków belgijskich, o której mowa w tym artykule, nie widzę powodu zmieniania go w czemkolwiek.

puszczać jednak musiał, że choć połowa, choć ćwierć, choć jedna dziesiąta jest prawdą. Otóż i ta jedna dziesiąta jest fałszem. A fałsz w tej sprawie tak doniosły, że, chociaż ręce opadają, jak wspomniałem, wobec takiego opowiadania, chociaż w ogóle nienawidzę polemiki, muszę jednak ująć się za prawdą.

Belgia, to nie nasz kraj, prawda; ale jednak nasze zasady, nasze katolickie przekonania są tam w grze — widoczniej tam, niż gdziekolwiek indziej. Dwa stronnictwa, które są ostatniemi sprężynami wszystkich parlamentarnych sporów, które na wszystkich polach pod różnemi nazwami i barwami walczą — te dwa stronnictwa w Belgii nazywają się po imieniu: katolicy i masoni i z otwartą potykają się przyłbicą. Ministrowie jednego stronnictwa notorycznie odprawiają rekolekcye w Tronchiennes pod Gandawą; mistrzowie drugiego jawnie uczęszczają do loży. Belgia jest małą, jakby umyślnie na to dobraną areną, gdzie nowe idee i teorye próbują swych sił, zanim na większej wystąpią widowni. Tam konstytucyonalizm w najczystszej uiścił się formie; tam Manchesterska teorya pracy najzupełniejsze znajduje zastosowanie; tam masoński liberalizm, zdobywając raz po raz ster rządu, wypróbował wszystkich broni przeciwko Kościołowi: szkół bezwyznaniowych, poniewierania Stolicy św., karcenia biskupów za czynności pasterskie, prasy ziejącej zgorszenie i potwarz, w końcu burd i gwałtów ulicznych. Ale też katolicy tam umieją się bronić. Do wyborczej urny stają jak jeden mąż; biskupi ich do tego listami pasterskimi wzywają; a nietylko głosowanie na ludzi zasad niepewnych, lecz nawet zaniechanie swych praw obywatelskich, uchodzi (i słusznie) za sprzeniewierzenie się obowiązkowi i przekonaniom katolickim. Gdy masoni pobici przy urnie, apelują do tłumu i uliczne robią demonstracye, katolicy schodzą też na ulicę i robią kontrdemonstracyę; gdy masoni, zdobywszy chwilowo władzę, wypędzają księdza ze szkoły ludowej lub profesorów katolickich z uniwersytetów, katolicy składają miliony na wolne szkoły, wskrzeszają w Lowanium katolicki uniwersytet, który liczbą i sławą wszystkie inne przygłusza; gdy rząd masoński uchybia Stolicy św., usuwa Nuncyusza, katolicy ślą do Ojca św. deputacye i pielgrzymki, składają mu dań swego mienia i nawet

krwi swoich synów, jak pod Kastelfidardo, przy obronie Rzymu i Ankony.

Tą śmiałością i stanowczością w bronieniu swych zasad i praw obywatelskich, katolicy belgijscy, chociaż stosunkowo nierównie mniej liczni, niż we Francyi, Hiszpanii, Włoszech, Austryi i Węgrzech, chociaż mają do walczenia z masoneryą, zszeregowaną i zaciętą jak nigdzie, potrafili jednak zwycięzko swój sztandar obronić.

Po ukonstytuowaniu się osobnego królestwa belgijskiego r. 1830, rząd z początku nader łaskawy dla katolików, począł coraz więcej w ręce masonów przechodzić i masonami wszystkie wpływowe stanowiska obsadzać. W końcu ci ostatni, sekularyzowaniem szkoły i wniesieniem niegodziwego prawa wyborczego (które przypuściło do urny szynkarza, posiadającego 1,000 fr., a wykluczyło chłopa z majątkiem 100,000 fr.) przebrali miarkę. R. 1854 katolicy zdobyli większość i ujęli ster rządu. W trzy lata potem wytrącili im go liberalni zapomocą burdy ulicznej, którą króla zastraszyli. Ministerstwo *Frère-Bara* rządziło do r. 1869. Wówczas znów katolicy stanęli u władzy — ministerstwa *Anethan, de Theux* i *Mallou*.—Wreszcie r. 1878, gdy Mallou zraził armię odmówieniem podwyższenia pensyi, szala wyborcza przechyliła się ponownie na stronę liberalną. W istocie — szczegół do historyi parlamentaryzmu — tylko 41,000 wyborców głosowało za liberałami a 44,000 za katolikami, skutkiem jednak wadliwego rozkładu, pierwsi zdobyli większość 10 krzeseł w parlamencie a 6 w senacie. Stanęło u steru ministerstwo *Frère-Orban*, z jawnem mandatem loży, żeby przedewszystkiem ambasadę przy Watykanie zwinąć. To jednak nie poszło od ręki. Korespondencya z kard. Jakobinim przekonała nawet ministra masona, jak sam wyznał w izbie, że stosunek dyplomatyczny że Stolicą św. jest potrzebą polityczną Belgii. Dopiero po dwóch latach natarczywość loży i prasy radykalnej przemogła. Ale tymczasem wzięto się od razu do gospodarstwa liberalnego. Przesłano urzędnikom instrukcyę, w której 2-gi punkt opiewał, „że rząd wymaga od wszystkich swych organów zgodności opinii, zasad i aspiracyi“—to znaczy wolność opinii i sumienia u liberałów. Tym sposobem przyparto mnóstwo urzędników o konieczność wzięcia dymissyi.

Następnie składano jednych po drugich katolickich gubernatorów, jak księcia *Caraman-Chimay*, rządzcy prowincyi Hainant, p. *de Rusette* rządzcy Flandryi, których lud ze łzami odprowadzał, a zastąpiono ich wybrańcami loży.

Wnet też przyszła kolej na szkołę, główną, jak dobrze rozumiano, warownię katolicyzmu. Trzeba wiedzieć, że szkoła w Belgii nie jest rzeczą państwową, jak u nas, ale wolność nauczania zupełna zawarowana jest samą konstytucyą. Art. 17 konstytucyi królestwa belgijskiego opiewa: „Nauczanie jest wolne; wszelkie rozporządzania prewentywne są zabronione; przestępstwa nie mogą być inaczej karane, jak podług prawa". Na tej prawdziwie liberalnej zasadzie, każdy prywatny ma prawo otwierać szkoły ludowe, średnie, czy uniwersyteckie a konkurencya, uwidoczniona w publicznych examinach, daje palmę zakładom najlepiej prowadzonym. Przytem praktyczność belgijska wprowadziła tę normę, że gdzie prywatne zakłady zadość czyniły potrzebom gminy, tam już takowa nie miała obowiązku utrzymywać szkoły rządowej. Katolicy oczywiście korzystali z tej wolności z wielką ofiarnością i powodzeniem, a szkoły ich, świeckie i zakonne, rozsiane po wsiach i miastach, oraz katolicki uniwersytet w Lowanium, trzymają prym nauki. Rozumie się, że taki stan rzeczy był dla sekty nie do zniesienia. Ministerstwo *Frère-Orban*, nie mogąc wykreślić wolności nauczania z konstytucyi, usiłowało uniemożebnić jej użytek wszelkimi sposoby, jakimi rząd rozporządza: szykanami inspektorów, ścieśnianiem w examinach publicznych i t. d. Ażeby zaś odjąć katolikom ochotę łożenia na te szkoły, ukuto nowe prawo, nakazujące zakładać wszędzie, obok szkół prywatnych, szkoły rządowe bezwyznaniowe, z wykładem, zamiast katechizmu, tak zwanej moralności świeckiej. Zaciążyło to prawo straszliwie na budżecie państwa i gmin, bo stawiało się od razu tysiące okazałych budowli szkolnych, nauczycieli bezwyznaniowych hojnie się płaciło. Ale najżywiej dotknięci zostali katolicy. Na zasadzie konstytucyjnej wolności szkoły, chcieli oni — i mieli prawo chcieć — utrzymywać swoje katolickie szkoły; a oprócz tego narzucano im ciężkie kontrybucye na szkoły bezwyznaniowe, w których najczęściej dzieci nie było. I jakiemż prawem szkoły bezwyznaniowe, kiedy cała Belgia jest jednowyzna-

niową, katolicką — i na to się od Holandyi oderwała, żeby być katolickiem państwem? Ale dla liberałów — tak w Belgii, jak wszędzie indziej — mało znaczą wydatki z publicznego grosza, mało znaczy prawo, a najmniej znaczy u nich wolność.

Gdy Biskupi, pełniąc swój pasterski obowiązek, pod klątwą zakazali posyłać dzieci do szkół bezbożnych, gdy nowe gmachy szkolne stały pustkami, na Biskupów spadały kary i denuncyacye jako buntowników, a gminy musiały płacić po 12 do 15 tysięcy franków na szkoły, do których troje lub pięcioro dzieci uczęszczało.

Nie koniec na tem, żeby wzmocnić chwiejne podstawy swego panowania, zaledwie na paru głosach większości oparte, liberalny rząd przerabiał raz po raz prawo wyborcze: to podnosił skalę wymaganego od wyborców majątku, to innemi sposoby uchylał coraz więcej od urny wieśniaków, a uprzywilejowywał miasta; wreszcie przed samemi wyborami b. r. przeprowadził szczególną ustawę, dającą głos uzdolnionym wykształceniem, oprócz uzdolnionych majątkiem i stanowiącą rodzaj rządowego egzaminu dla oceny tego wykształcenia *(vote de capacité)*. Liczyła na to widocznie partya liberalna i głośno to mówiła, że nowy zastęp „oświeconych“, wstępując w poczet wyborców, wzmocni ich siły.

Tymczasem — o ironio losu! — właśnie ten zastęp oświaty przechylił szalę na stronę katolików. Nierząd finansowy liberałów, ciemiężenie Kościoła i sumień katolików, szkoły nowego autoramentu, tak moralnie jak i ekonomicznie dla ludności nieznośne, w końcu przystęp „wykształconych“ do urny — wszystko to się złożyło na pogrom liberalnej partyi, jakiego dotąd Belgia nie widziała. Nie było to zwycięstwo jednego stronnictwa nad drugiem, ale obudzenie się sumienia publicznego całej Belgii i odparcia wstrętnego jej systemu.

Prologiem były wybory do rad prowincyonalnych 25 maja. Tego dnia ajencya S t e f a n i e g o, ze łzą krokodylową, ogłaszała światu: „Dziś miały miejsce w całej Belgii wybory prowincyo„nalne pod nowem prawem wyborczem, który do warunku ma„jątkowego dodaje warunek wykształcenia. Stronnictwo liberalne „ciężką poniosło klęskę“. Ale gdy 10. czerwca telegraf rozniósł światu nowinę, że w wyborach do parlamentu katolicy zdobyli

niebywałą większość 34 głosów, że nawet Brukselia samych katolickich posłów wybrała, wrzawa w prasie liberalnej całego świata powstała nie do opisania. Widać było, że Belgia jest źrenicą oka Masoneryi. Niebawem, gdy obrót w parlamencie pociągnął za sobą z konieczności rzeczy, nowe wybory do senatu, Loża skupiła wszystkie siły i wszelkich użyła środków, by tymrazem zwyciężyć. Fr. Janson głosił, że „obowiązkiem jest libe„ralnych wszelkich odcieni, zwartym szeregiem bronić od wkra„czającego (!) wroga, ostatniej warowni wolności belgij„skiej — senatu". Udało się im nawet w Brukseli samych swoich przeprowadzić senatorów. Jednak w całości kraju zwyciężyli katolicy. Wybory 8 lipca dały im w senacie 17 głosów większości.

Pobici na arenie legalnej, masoni jęli się bez wahania środków rewolucyjnych. Ponieważ władze municypalne wielu miast, za przeszłego rządu wybrane, są przeważnie liberalne, a one mają policyę w ręku, im polecono inicyatywę oporu. Magistrat brukselski pierwszy wzburzył lud protestami i proklamacyami przeciwko „zamiarom rządu" — inne miasta wtórzyły. Było to nieprawe wtargnięcie urzędów gminnych w politykę; ale chciano nieładu, zaburzeń i wywołano je. Dnia 5 sierpnia, w odpowiedzi na protest brukselskiego burmistrza, zrobiono mu uliczną owacyę, oraz postanowiono urządzić wielką demonstracyę liberalną na niedzielę 31. Katolicy belgijscy, zwykli wet za wet liberałom oddawać, chcieli tegoż dnia przeciwną zrobić demonstracyę, za rządem, prawem i królem. Atoli liberalny burmistrz miał czoło im odmówić legalnego pozwolenia. „Demonstrujcie, powiedział im, jak chcecie, w poniedziałek" — ha! w poniedziałek kiedy lud katolicki przy roli lub warsztacie! Katolicy, choć panami sytuacyi, znieśli krzywdę. Demonstracya liberalna, licząca 8 do 10 tysięcy, przechodziła swobodnie, z trąbami i chorągwiami, po ulicach miasta, jak pochód karnawałowy. Jednego nie usłyszano krzyku, żadnego z katolików nie widziano na ulicy.

Za to na następującą niedzielę gotowali oni pokojowy odwet. Złożył się ich poczet dwa razy liczniejszy od liberalnego, i ufni w słowo burmistrza, który bezpieczeństwo zapewnił, wystąpili bez broni. Tymczasem czekała ich niegodna zasadzka w zmowie z policyą miejską.

„Tłum uliczników i włóczęgów—pisze *Kuryer brukselski* — zorganizowany i zbrojny w kije i laski z ołowiem, poprzecinał pochód, zanim ten się mógł zorganizować; potem, według widocznie obmyślanego planu, otaczając i pędząc w różne strony odcięte grupy demonstrujących, rzucali się na nich z kijami. Uderzali zwłaszcza na towarzystwa muzyczne, bili gdzie dosięgli, chorągwie targali i tratowali. Widzieliśmy starców w ten sposób bitych, widzieliśmy jak ich z ziemi dźwigano pokrwawionych, podczas gdy napastnicy, w oczach policyi i żandarmów, podnosili jak trofea stargane kawałki sukni i narzędzia muzyczne. Nie dosyć na tem, widzieliśmy jak oficerowie straży miejskiej, po kilku razem, poprzedzali rozbitki pochodu, niby to, żeby ich wyprowadzić z zamieszki, ale w istocie żeby ich w nowe poprowadzić zasadzki. Tam nowi zjawiali się napastnicy, którzy z oficerami znaczące wymieniali uśmiechy i znów nad bezbronnym tłumem się znęcali..."

W końcu, jakby dla uwidocznienia, że to wszystko było z góry ukartowane, podczas gdy ten rozbój dział się w Brukseli, w Gandawie gromadziły się i szeregowały podobne bandy uliczników, a gdy wieczorem katolicy gandawscy, co brali udział w demonstracyi, wracali z Brukseli, każdy pociąg witany był obelgami i gwizdaniem, i całe miasto pełne było rozruchu i bójki.

Po tym ohydnym czynie, prasa liberalna belgijska na razie nie myślała zganić swoich. „Demonstracya klerykarna odpartą „została samoistnym objawem publicznego oburzenia" — tak „rzecz bezczelnie omawiał organ Jansona *La Reforme*. — W końcu, „dodaje on, sami katolicy chcieli zaburzeń i szukali ich". Gdy się jednak pokazało, że cała Europa potępia tę infamię, i że zdradziecki ten zamach tylko hańbą partyę liberalną okrywa, poczęto się powoli wycofywać. Członkowie liberalni obu izb, wręcz przez ministra zagadnięci, musieli chcąc nie chcąc powiedzieć, że ganią burdy i gwałty; loża wyparła się ich uroczyście; gazety liberalne zaczęły także rekantować. Tylko burmistrz brukselski nie uchylał głowy, aż przyszło do osobistej obrazy króla.

Dnia 18 września wręczył on królowi petycyę, w imieniu 820 gmin, o odmówienie sankcyi nowemu prawu szkolnemu. Z różnych stron nawet odzywały się głosy, żądające ni mniej ni więcej, tylko dymisyi ministerstwa i rozwiązania parlamentu. Król z godnością odpowiedział, że przyjmuje tę petycyę, jak przyjął przeciwne, a jako monarcha konstytucyjny nie odstąpi od woli większości obu izb legalnie wyrażonej. Na tę odprawę, co najmniej

sprawiedliwą, odpowiedziano rozrzucając między ludem pisma prowokujące do anarchii i do rzeczypospolitej. Do tego przyszło, że przy obchodzie rocznicy wolności belgijskiej, 23. września, król przejeżdżając po mieście, musiał słyszeć okrzyki „Precz z rządem! — Precz z królem! — Niech żyje rzeczpospolita!“ — Dopiero wtedy spostrzeżono się, że miara przebrana, zaczęły się przeprosiny i wyszedł ukaz z loży, żeby zaprzestano manifestacyi.

Sprawa katolicyzmu stanowczo wygrana, ceną jedności, taktu, wytrwałości i nawet krwi tych mężnych szermierzy wiary i wolności. Czy to zwycięstwo długo potrwa? trudno przewidzieć. Katolicy dali dowód, że posiadają wszystkie warunki utrzymania się przy rządzie; ale loża ma środki, jakich nikt inny nie użyje i nawet nie przewidzi; król pokazał się nieraz słabym i raczej do liberalnego stronnictwa skłonnym. Ostatecznie, w Bogu nadzieja.

Ale co na to wszystko „Nowa Reforma?“ Jak się jej przedstawiają ohydne sceny z 7 września?

„Liberalni — opowiada, bez zająknienia, autor wspomnianego artykułu — chcąc pokazać swą siłę, urządzili imponujący pochód. W odpowiedzi na to klerykalni wystąpili z potężną kontr-manifestacyą“.

O zakazie burmistrza i zmianie dnia . . cyt!

„Dnia 7 września wyprowadzili oni na ulicę tysiączne tłumy ciemnego ludu wiejskiego i szumowin miejskich“.

Co było szlachetniejszego w mieście, zarezerwowało się widocznie dla wykonania napaści.

„. . . Rząd zamiast uspokajać umysły, otaczał swoją opieką klerykalne manifestacye“.

Czego dowodem, że liberalni zrobili swą manifestacyę, kiedy chcieli i spokojnie, katolikom dopiero tydzień później pozwolono i policya, zamiast ich bronić, sprzyjała napastnikom.

„Obrażona ludność Brukselii tem śmiałem wyzwaniem, nie mogła nad sobą zapanować (!) i rzuciła się na hałasujące narzędzia klerykałów; uczestnicy demonstracyi zostali rozproszeni przez mimowolną (!!) manifestacyę publicznego oburzenia“.

Jak to naiwnie, a oraz artystycznie opowiedziane! Przypo-

mina mi to, z mowy Cycerona *Pro Milone,* klasyczny ustęp o mordzie Klaudyusza: *Fecerunt id servi Milonis*... Cóż stąd za morał? czyja wina?

„Obydwie strony bez wątpienia dopuściły się czynów nierozsądnych".

Krzywdzisz, pan, liberałów! według twego opowiadania, oni są zgoła niewinni.

„Najbardziej atoli zawinił rząd reakcyjny, który zamiast uspokojenia umysłów, zajął stanowisko prowokacyjne i w ciągu **dwóch miesięcy** powaśnił umysły".

Końcówka godna całej historyi! Przecież dopiero od miesiąca niespełna ten rząd egzystował. Czym niesłusznie powiedział na wstępie, że wobec takiego opowiadania rzeczy, ręce opadają?

Ale mniejsza o wypadki tej nieparlamentarnej walki, wglądnijmy raczej merytorycznie w samą rzecz, o którą walczono. Cóż to za kość niezgody rzuciło nowe ministerstwo Mallou? Czy inkwizycyę przywróciło? czy targnęło się na wolność myśli, wolność prasy, wolność szkoły, albo na jakąkolwiek inną wolność? Nie! sami liberalni ze zgrzytem przyznać muszą, że nie szło o zamach na żadną wolność, ale o przywrócenie wolności, którą oni skasowali. Z dwoma projektami ustaw stanęło ministerstwo katolickie przed izbami: projektem przywrócenia poselstwa przy Stolicy św. i projektem rewizyi nowej ustawy szkolnej. *Motiva* pierwszego projektu były jasne: Belgia od swego ukonstytuowania się r. 1830, do 1880 r. miała to poselstwo; dziś, kiedy nawet innowiercze państwa zawiązują dyplomatyczne stosunki z Watykanem, nie pora, żeby kraj katolicki je pomijał. Trudno tu było oponować. „Która strona zrobi pierwszy krok"? — zapytano z lewicy. — „Już pierwszy krok Ojciec św. zrobił" — odpowiedział minister. Na te słowa rzęsistemi i przeciągłemi oklaskami Belgia katolicka dała satysfakcyę Stolicy św. za obelgi liberałów.

Atoli drugie prawo było *casus belli* i wywołało wszystkie chece, któreśmy wyżej opisali. Jakież to było prawo? — pytajmy naszej Reformy.

„Liberalny system szkolny w Belgii oddawna był cierniem w oku stronnictwa klerykalnego".

Przepraszam! to chyba błąd druku! Wiadomo przecie, że liberalny system szkolny, oddawna w Belgii istniejący, bardzo zadawalniał katolików, skoro nawet wolna konkurencya dała im znaczną w szkolnictwie przewagę. To było solą w oku liberałom i dopiero przed parą laty, przyszedłszy do władzy, skrępowali oni tę wolność. Cóż dalej?

„Skoro więc partya klerykalna po ostatnich wyborach przyszła do władzy, pierwszym jej niejako aktem zemsty nad stronnictwem liberalnem była rewizya ustawy szkolnej z r. 1879, będącej najświetniejszą zdobyczą liberalnych rządów".

Łaskawy autorze tego artykułu N. Reformy! cóż znaczy u Ciebie „liberalny rząd"? — czy i ty należysz do filologów, co wywodzą *lucus a non lucendo* i *canis a non canendo?*

„Niebawem Izby uchwaliły projekt do ustawy szkolnej, wypracowany przez Jakobsa, która usunęła wpływ rządu na szkoły",

Jakim sposobem? Słuchajcie! tu jądro kwestyi:

„**zezwoliła** gminom w miejsce szkół państwowych, zakładać szkoły prywatne".

Wyszło przecież na wierzch to „zezwoliła"! — jedyne słowo prawdziwe w tym artykule Reformy — i to chyba przez nieuwagę wypadło. W istocie całe to prawo ogranicza się wyłącznie na pozwoleniu — jest najliberalniejszem w świecie. Przytaczam dosłownie:

Art. 1. W każdej gminie ma być jedna przynajmniej szkoła gminna. Gmina może adoptować jednę lub kilka szkół prywatnych. W takim razie król, za zdaniem nieustającej komisyi szkolnej, może ją uwolnić od obowiązku utrzymywania szkoły gminnej.

Gdyby jednak dwudziestu ojców rodzin, mających dzieci w szkole, żądało osobnej szkoły gminnej, rzeczone uwolnienie udzielonem być nie może.

Art. 4. Przedmiotami wykładu w szkołach ludowych ogólnie obowiązującemi są: czytanie, pisanie, rachunek etc... Gminy mają prawo rozszerzyć ten program w miarę możności i pożytku.

Gminy mogą też umieścić naukę religii i moralności na czele wszystkich, albo tylko niektórych swoich szkół ludowych. Nauka ta wykładać się ma na początku lub na końcu klasy; a wówczas te dzieci, których rodzice tegoby żądali, są wolne od udziału.

Słowem: wolność dana gminom, z zupełnem zastrzeżeniem wolności rodziców. I na to tak się buntują liberalni! Skrupulatność tej ustawy dla delikatnego sumienia bezwyznaniowców,

posunięta co najmniej do ostatnich granic. Jeśli kto, to katolicy mogliby się na tę ustawę żalić: ich wyznanie jest jedyne w Belgii, ich większość w parlamencie, oni prawo dyktują. Jakżeż inaczej, tuż obok we Francyi, postępują liberalni, którzy chwilowo dzierżą władzę! Krzyże w szkołach zdruzgotane, księdzu drzwi szkoły zamknięte, moralność bezwyznaniowa wykłada się przymusowo etc. *Facta loquuntur;* czyny liberałów są najlepszym ich doktryny komentarzem.

Jeszcze jeden szczegół. N. Reforma, po tem „zezwoliła", jak gdyby żałując, że jej słowo prawdy wypadło, dodaje zaraz fałsz:

„. . . Przyczem pozbawiła (ta ustawa) chleba tysiące nauczycieli ludowych."

Skąd najprzód „tysiące"? dotąd nie policzono, ile wiem, wielu takowych gminy zechcą pożegnać. A potem, czy bez chleba? Przed 6 laty, kiedy liberalni ujęli władzę, zmusili, przez wymagania z sumieniem niezgodne, tysiące nauczycieli i innych urzędników do brania dymisyi—i ci poszli bez chleba. Potem natworzyli z pośpiechem nauczycieli swego kroju. A jeźli ich teraz gminy, dbałe o wiarę swych dzieci, odprawią, za te kilkoletnie zasługi, rząd katolicki obiecał im pensyę 700 fr., dopóki nowej nie otrzymają posady. To aż za wiele względności.

„Całe zaś wychowanie publiczne — tak kończy swój frazes Reforma — w 100 lat po śmierci Voltera i w 80 lat po zgonie Kanta, w epoce panowania umiejętności przyrodniczych, oddała (ta ustawa) w ręce duchowieństwa!!"

Otóż typowy frazes liberalnego żargonu. Albo wiesz, szan. autorze tego artykułu, że to „oddanie wychowania w ręce duchowieństwa", zależy jedynie na otwarciu dla wszystkich konkurencyi, albo wcale nie znasz sprawy, o której piszesz. Kanta cieniów nie wzywaj, bo on na taką logiczność, jak twoja i jak liberałów belgijskich, w grobieby się obrócił. Ale wzywaj Woltera! on ci przyklaśnie swoim hasłem: *Calommiez! il en restera toujours quelque chose.*

Morał z tej całej historyi wynikający jest bardzo prosty. Piękną jest rzeczą wolność, ale co się dzisiaj nazywa „liberalizmem", jest rzeczą szkaradną — bo wcielonem kłamstwem. Od nazwy do zasad i od zasad do czynów, wszystko jest w nim fałszem.

Z tego zaś wypływa jeszcze drugi morał: że jeśli chcemy siebie, nasze rodziny i nasz kraj od takiego liberalizmu uchronić, nie powinniśmy płacić, ani znosić w naszych domach gazet, które takie artykuły, jak tu omówiony, mieszczą.

Prosimy więc grzecznie „Nową Reformę“, żeby nie sprowadzała nadal artykułów wstępnych z tej krainy fałszu, o której na wstępie była mowa.

X. Maryan Morawski.

Kolej żelazna arulańska.

Dzień 20 września r. b. zaznaczył zdarzenie pierwszorzędnej doniosłości dla Austryi, wielkiej wagi dla Europy: w dniu tym pierwszy pociąg kolejowy wyruszywszy z Insbruku, stanął w Bregencyi. Istnieje tedy nowa droga ze Wschodu na Zachód, najkrótsza niebawem z Paryża do Carogrodu i Solunia, a więc do Indyi i na daleki Wschód; Dunaj połączony jest z Renem. Droga przerzyna jedynie państwo austryackie: w czasie pokoju, przewóz wolny jest od ceł tranzytowych niemieckich, w razie nieporozumień politycznych, Austrya ma wolne ręce, wolny przystęp na Zachód. Obchód otwarcia kolei odbył się bez rozgłosu — i lepiej. Cesarz, ministrowie, kilku posłów, urzędnicy kolejowi, ot i wszyscy; słów mało i słusznie — rzecz sama przez się mówi dosyć. My również nie będziemy się wdawać w roztrząsanie następstw możebnych i koniecznych tej linii, przytoczymy tylko niektóre szczegóły odnoszące się do jej budowy, uwzględniając ciekawsze.

Stara stolica świata, stolica Kościoła katolickiego, Rzym, oddzielony jest od Europy Alpami. Wodzowie rzymscy i kartagińscy, władcy Niemiec i Francyi z niezmiernym trudem musieli torować sobie drogi przez ich śnieżne szczyty, dla podbicia świata, lub opanowania jego stolicy. Przejścia Scypiona i Hannibala, Karola W. i Napoleona liczyły się w historyi do wielkich czynów wojennych, a zaznaczały zawsze doniosłe wypadki polityczne i społeczne. Tamtędy chodził Pipin do utworzenia i złożenia u stóp Następcy Piotra państwa kościelnego, tamtędy wiodła droga Henryka do Kanossy; lecz właściwie drogi nie było. Od czasu do-

piero ostatniego wielkiego władcy Francyi i za jego inicyatywą wydano wielkie sumy na urządzenie dróg; Francya, Włochy i Austrya połączone zostały drogami wozowemi. W obec prądu czasów naszych, w obec dzisiejszej potrzeby szybkiej komunikacyi, zaczęto się krzątać około ustalenia dróg żelaznych. Austrya, drogą otwartą w r. 1854 przez Semmeryng, a w r. 1867 przez Brenner, złączyła środkową i wschodnią Europę z Włochami; zachodnia Europa nie zasypiała sprawy.

Przebicie góry Cenis powzięte było jeszcze w r. 1841, lecz wskutek zajść politycznych dopiero w r. 1857 wzięto się do robót. Tunel miał mieć przeszło 12 kilometrów długości, rzecz dotąd niesłychana. Trudności praktyczne były niezmierne: należało ręcznie wiercić dziury w skałach, a następnie rozsadzać je prochem. Postępowano zaledwie dziennie o pół metra; dodawszy do tego uprzątanie gruzów, gładzenie ścian, wzmocnienie w wielu miejscach murowaniem, a to wszystko wśród dusznej i wilgotnej atmosfery, o temperaturze 30°, należało z tego wnosić, iż roboty potrwają kilka dziesiątek lat. Szczęśliwy wynalazek przyspieszył czas, taran działający zapomocą spadu wód górskich zastąpił pracę ręczną i niemożebną parę w tunelu. Roboty szły raźniej, dochodziły czasem do trzech metrów dziennie. W roku 1870 spotkali się robotnicy, z dwóch stron przeciwnych pracujący, wśród tunelu mającego 12.233 metrów długości; trzynaście lat i cztery miesiące przebijano przejście, roku następnego 17 września nastąpiło uroczyste otwarcie kolei. Tunel kosztował 75 milionów franków; droga z Francyi do Włoch była otwartą.

Nie było to na rękę Niemcom. Nie chcieli być zależnymi ani od tych, których zwyciężyli pod Sadową, ani tembardziej od tych, do których pogromu byli gotowi. W r. 1869 postanowiono w Warzynie przebicie góry św. Gotarda. Wojna prusko-francuska przeszkodziła na razie wykonaniu planu, lecz w r. 1872 wzięto się do dzieła: w siedem lat potem, w. r. 1880 ukończono przebicie tunelu, lecz dopiero w r. 1882 droga została otwartą do publicznego użytku. Długość tunelu św. Gotarda wynosi 14.912 metrów (dwie mile); dzięki wprawie nabytej, został on dokonany w dwa razy krótszym czasie, aniżeli tunel Cenis: z każdej strony postępowano dziennie, w przecięciu, o trzy metry.

Austrya pozostawała na łasce Niemiec w swych stosunkach ekonomicznych i politycznych z Francyą; należało temu zaradzić, połączyć Insbruk z Bregencyą, przebijając stoki alp arulańskich. W r. 1880 projekt ministeryalny przyjęty przez obydwie Izby, otrzymał potwierdzenie cesarskie i natychmiast został w życie wprowadzony: w czerwcu tegoż roku rozpoczęto roboty. Droga, mająca połączyć Tyrol z Vorarlbergiem, a odnośnie Austryę ze Szwajcaryą i Francyą składa się: 1) z kolei, długiej na 72 kil., idącej doliną Innu, od Insbruka do Landeck; 2) z kolei górskiej, łączącej tę ostatnią miejscowość ze św. Antonim; 3) z właściwego tunelu arulańskiego, mającego długości 10266 metrów; 4) wreszcie z drogi górskiej, leżącej na zachodnich stokach, dochodzącej do Bludenc. Cała kolej arulańska wynosi 147 kil. Tunel został przebity po trzech latach i pięciu miesiącach; postępowano dziennie, z obydwu stron, o 8 m. 30 cm. Dzięki ukończeniu przed terminem, przedsiębiorstwo otrzymało nagrodę 840.000 fr., a to w skutek umowy, mocą której rząd zobowiązywał się do wypłacenia 2000 fr. za każdy dzień wcześniejszego wykończenia, w razie zaś opóźnienia, takąż sumę za każdy dzień zwłoki przedsiębiorstwo miało zapłacić. Metr długości tunelu arulańskiego był skontraktowanym po 4000 fr.; w tunelach Cenis i św. Gotarda metr był płacony blisko 5000 fr.

Przybyła Austryi nowa wielka arterya, przybył nowy port. Po Tryeście i Rjece, Bregencya zajmie zapewne pierwsze miejsce; flaga austryacka powiewa już na jeziorze bodeńskiem, „zboże, mąka, drzewo, woły i owce“ czekają już w Bregencyi, jak donosi naoczny świadek, by popłynąć do Zurychu.

W. Z.

Nowy obraz Matejki, Zamojski pod Byczyną.

Znów rozwarł przed nami nasz mistrz Matejko kartę dziejów naszych, i znów pokazuje, czem to był ten polski oręż dla najezdców. Tym razem nie jest to hołd oddawany Batoremu, ani przysięga lennictwa składana przed Zygmuntem starym na rynku krakowskim, jest nim poddanie się dumnego Habsburga polskiemu

hetmanowi. Fakt historyczny, który służył za tło naszemu mistrzowi, jest nazbyt znany, byśmy go opracowywać mieli szczegółowo, i tłumaczy się tak jasno w tem przepysznem dziele, że najlepiej uczynimy, obznajamiając czytelnika z obrazem samym. Zima r. 1588 ośnieżyła mury Byczyńskiego grodu, w którym obecnie arcyksiąże austryacki Maksymilian, kreowany przez partyę Zborowskich królem Polski, szuka schronienia przed zwycięskim orężem Zamojskiego, broniącym praw rzeczypospolitej, i legalności króla Zygmunta III. Ale prawica kanclerza dosięga Maksymiliana i poza granicą rzeczypospolitej, dla złożenia rachunku z nieprawnego wtargnięcia w granice Polski. W niedzielę 24 stycznia 1588 opasał mury Byczyny, i już przystąpiło wojsko polskie do szturmu, już siekiery rąbały bramy, gdy z wierzchołka wałów znak do rozmowy dano i oto jej skutek widzimy na obrazie. Maksymilian wyjeżdża konno z bramy miasta i oddaje swoją szpadę Zamojskiemu.

W dziełach sztuki nie to nas zachwyca i nie w tem leży mistrzowstwo, co która figura robi, ale w tem mieści się wszystko, jak ona to robi. To j a k jest całym wyrazem zdolności artystycznej i plastycznej twórcy każdego dzieła sztuki. Michała Anioła Mojżesz potężny chociaż siedzi, ale sposób w j a k i on siedzi, jest całą tajemnicą potężnego wrażenia, które sprawia. Faryzeusz podaje Chrystusowi pieniądz (Tycyana Zinsgroschen, Drezdeńskiej galeryi), rzecz prosta, ale sposób, w jaki on ten pieniądz podaje, i sposób, w jaki go Chrystus przyjmuje, stanowi całą wielkość tego dzieła sztuki. Tak samo i w tym obrazie sposób w j a k i ten obrażony tą kapitulacyą Habsburg oddaje szpadę nie żadnemu dynaście, ale szlachcicowi tylko, stanowi punkt ciężkości całego obrazu i w tem możemy najlepiej zauważyć dobitność charakterystyki malarza. Zamojski z całą otwartością prawego charakteru i godnością zwycięscy bierze z góry za podawaną mu szpadę, Maksymilian podaje ją przez ramię, nie patrząc nawet na tego szlachcica, który mu taki despekt wyrządza.

Patrząc na ten akt wielkiej historycznej doniosłości, wyrażony w sposób tak prosty, a dobitnie się tłumaczący, mimowoli nasuwa nam się na myśl obraz jednego z najznakomitszych malarzy hiszpańskich Pradilli, przedstawiający oddanie kluczów twier-

dzy Grenady królowi Filipowi, obraz, który na wystawie wielkiej Monachijskiej zjednał sobie tyle pochwał, a który Pradilla malował i wystawiał w Rzymie — tam jednak uderza nas sztywność postaci działających, brak ruchu i brak charakterystyki ; król Filip siedzi na koniu bez ruchu, tak samo jakby siedział patrząc na przegląd wojska, podobnie i cały jego orszak — a ten Maur, trzyma klucze w ręku, jak gdyby nie wiedział jeszcze co ma z niemi robić. Artysta hiszpański nie odważył się widocznie zbliżyć do siebie te postacie z obawy, by król nie utracił w ruchu na swojej powadze; nasz mistrz rozwiązał tę rzecz zupełnie, figury główne działają, najważniejszy moment akcyi jest przedstawionym, obraz się tłumaczy jasno i żadna z tych postaci nie traci swojego charakteru. Zamojski zwycięsca — Maksymilian upokorzony. Koń pod jeźdzcem ma czucie mówią i dlatego zapewne koń kary Zamojskiego spokojny, a koń Maksymiliana zżyma się, schwycony za uzdę przez jednego pachołka polskiego. Cała lewa strona obrazu od widza tchnie przygnębieniem, po niej Maksymilian i stronnicy jego, strona prawa tętni życiem; po niej zwycięscy. Tuż za Maksymilianem widzimy w zbroję odzianego komendanta twierdzy Erazma Lichtensteina, który wzrokiem gniewu i oburzenia patrzy na śmiałego zwycięscę. Przed Maksymilianem cała grupa trafnie scharakteryzowanych panów polskich, którzy obecnie poddali się na łaskę lub niełaskę Zamojskiego. I tak złamany na duchu Stanisław Czarnkowski w czerwonym żupanie — bliżej rubasznie stojący Andrzej Zborowski marszałek nadw., który jakby się jeszcze namyślał, ażali ma oddać oręż swój — Drohojowski przykląkł na jedno kolano i składa swoją szpadę, Woroniecki, biskup nominat kijowski, ten sam, który Maksymiliana królem mianował, ubrany we fiolet zsiada z konia. Każda z tych postaci czuje, że w fatalnem znajduje się położeniu i odpowiednio do swego charakteru, objawia na zewnątrz uczucie w rozmaity sposób. Tuż obok nich widzimy kilku puszkarzy trzymających rusznice skierowane ku Maksymilianowi; motyw ten doskonale obmyślany i szczęśliwie wprowadzony do obrazu; łatwo odgadnąć możemy, że umysł tak przewidujący wszystko, jak nim był Zamojski, mógł przypuścić, że któryś z Niemców wychodząc z twierdzy, mógłby się targnąć na jego życie, uprzedził

więc tem ustawieniem broni skierowanej na Maksymiliana wszelką podobną przygodę. I ci żołnierze, z których jeden wskazuje buławą na miasto, mają swoje kronikarskie znaczenie, chciwy żołnierz nie czekając rozkazów, rzucił się w miasto by je złupić.

Za Zamojskim widzimy rycerstwo polskie, szczególniej mile uderza nas postać młodzieńcza Baltazara Batorego, który jest typem pięknego rycerza, dalej pancerni trzymający pochodnie w ręku, każą nam podziwiać swoje marsowe fizyognomie. Jedną z najświetniejszych postaci jest rycerz pancerny, dźwigający zdobyte sztandary nieprzyjacielskie, na których czarny dwugłowy orzeł widnieje. Postać ta pełna siły muszkularnej o szerokich barkach, lekkim krokiem stąpa naprzód obrazu i znowu sposób, w jaki te sztandary dźwiga, jest przepyszny. Jeszcze jeden mały a trafnie wprowadzony epizod uderza nas po tej stronie obrazu, oto w zdobytej jakiejś skrzynce znajdują się rozmaite dokumenta i pergaminy, które chciwy politycznych kombinacyi i intryg polityk skrzętnie wertuje, włożywszy na nos okulary, zdaje się, że wykryje tam niejedną korespondencyę, która mu wyjaśni stosunek Zborowskich stronnictwa do dworu Maksymiliana.

Tak streściliśmy znaczenie wszystkich wybitniejszych postaci tego obrazu, który choć niewielkich rozmiarów, ale ważniej dotyka epoki dziejów naszych i świetnem szczyci się artyzmem. Stonowanie obrazu i jasność ugrupowania jest tu o wiele szczęśliwszą, aniżeli w niektórych z ostatnich prac mistrza. Skoncentrowanie oświetlenia, mające swoje źródło światła w pochodniach, które rozświetlają ciemności wieczorne, sprawia, że główne postacie pełnem oblane światłem dominują w obrazie. Mistrz sam nazywa obraz taki szkicem, a to wychodząc jedynie z tej zasady, że go nie malował z natury, ale zupełnie z wyobraźni. Prawdziwie podziwienia godną jest taka wyobraźnia żywa, która aż do najmniejszego szczegółu wnika, i nie patrząc na naturę, stwarza postacie i akcesorya z zupełną prawdą i błyskawiczną szybkością, bo jak wiemy, pracował nad tym obrazem tylko 6 tygodni. Rysunek wszystkich postaci jest tak poprawny, ruchy tak subtelne a naturalne, że gdybyśmy nie mieli pewności, że mistrz to

wszystko odtworzył z wyobraźni, nie ośmielilibyśmy się tego twierdzić. Cóż mówić o rysunku Matejki, który jest jego główną forsą, który u niego zawsze poprawny, pełen stylu i siły; w tym obrazie mniej nam wolno wnikać w wykończenie szczegółów pojedyńczych, bo obraz ten uważa sam mistrz za szkic, a że rękę lub twarz Matejko wykończyć umie, tego mamy tysiączne dowody, złożone w pracach innych a większych. Jedna tylko nasuwa nam się wątpliwość: Zamojski w tym momencie historycznym liczył zaledwie 45 lat; na obrazie wydaje się być znacznie starszym. Innych uwag krytycznych nie nasuwamy naszym czytelnikom, nie będąc sami przekonani o ich słuszności; od mistrza takiego jak nasz Jan, to się nam uczyć wypada, a nie chcieć jego uczyć. Kto ćwierć przeszło wieku strawił przy sztaludze z pędzlem w ręku, ten ma tak otwarte oko na naturę, że śmiałość robienia mu uwag byłaby co najmniej nietaktem; każda rzecz w obrazie jest taką, jaką ją mistrz mieć chciał, a naszem zadaniem tylko starać się o jej zrozumienie, i krytyka wtedy tylko jest dobrą, jeśli potrafi być pośrednikiem i tłumaczem między artystą a społeczeństwem, jeśli potrafi w widzu obudzić te uczucia, jakie kierowały ręką artysty; społeczeństwo, które kocha i należnie uwielbia artystów swoich, które ich pojmuje i przetwarza w sobie, stoi na szczycie doskonałości artystycznej, ale takiem społeczeństwem była niestety tylko Grecya i Kościół w czasie cudownego *cinque cento*.

J. S.

Z Petersburga.

Artykuł p. Włodzimierza Sołowiewa. — Gazeta „Kraj". — Przyjęcie ks. kan. Raczki'ego.

Wiedząc, że unikacie polityki, pomijam sprawę zjazdu trójcesarkiego, jako też pogłoski o ewentualnych reformach, złagodzeniach lub obostrzeniach, a ograniczam się na wypadkach w tutejszej sferze literackiej.

Czasopismo Извѣстія С. Пет. благ. Общества, zamieściło w swym lipcowym zeszycie dwa artykuły więcej nas obcho-

dzące. P. Kirjejew, znany już czytelnikom waszym ze swych skrajnych dążeń i gwałtownych wycieczek przeciw Kościołowi katolickiemu, napisał rozprawę pod tytułem: „Zjednoczenie Kościołów i Słowiaństwo". Niema tam nic nowego, odgrzebywa w niej stare zarzuty protestanckich pisarzy, o których bezstronna historya sąd swój już wydała. P. Włodzimierz Sołowiew, przeciw któremu artykuł ten był wymierzony, odpowiedział w tymże samym zeszycie, z godnym spokojem, powagą i tą głęboką znajomością rzeczy, która go znamienuje. Jakie były zarzuty p. Kirjejewa i jak je odparł p. Sołowiew, poznają najlepiej czytelnicy z zamieszczonego tu dosłownego tłumaczenia. Oto co pisze p. Sołowiew:

Przeczytałem artykuł A. A. Kiriejewa, udzielony mi w korrekcie za zgodą szanownego autora. Chętniebym zaniechał odpowiadać memu poważanemu opponentowi, gdyby jego zarzuty skierowane były tylko przeciw moim myślom[1]. Na nieszczęście A. A. Kiriejew pozwala sobie obwiniać bezwzględnie i bezwarunkowo cały świat katolicki o herezyę a nawet o grzech przeciw Duchowi św. i ogłaszać, że Kościół katolicki już nie istnieje, a stąd kwestya zjednoczenia Kościołów nie ma żadnego znaczenia. Zapewne, to byłoby najprostsze zasądzenie sprawy, gdyby na to zgodzić się można było.

Potępienie katolicyzmu A. A. Kiriejew zasadza jedynie na swojem pojęciu o Kościele, niezgodnem z nauką katolicką w tym przedmiocie. Wedle pojęcia p. Kiriejewa niezawisłość Kościoła wyłącza powagę papieską: dla niej niema miejsca w Kościele. Wedle nauki katolickiej przeciwnie, Kościół zawiera w sobie powagę papieską, jako jednę z zasadniczych podstaw swego ustroju prawidłowego. Takie zapatrywanie na Kościół istnieje nie od dnia wczorajszego. Wprzód, niżeli się ma mówić o uzurpacyi Piusa IX., należałoby powiedzieć, jak się zapatrywali na znaczenie kościelne Katedry rzymskiej przedstawiciele Kościoła starożytnego. Decyzye Soboru Watykańskiego, zgodne są z istotną zasadą wyrzeczeń św. Leona Wgo, który poczytywał głos swój dostatecznym do zdecydowania kwestyi ważnej dogmatycznej. Czyż i on jest heretykiem! czyż i on bluźniercą przeciw Duchowi św.? Zapewne, dzięki dwuznaczności rosyjskiego słowa „niepogrieszimost", można wsuwać do nauki katolickiej wszelkie możliwe niedorzeczności. Lecz pocóż to czynić? Dla czegóż utrzymywać także, że warunek „ex cathedra loqui" zależy od samowoli Papieża, kiedy ani jeden katolik na świe-

[1] Wiele z tych zarzutów zdziwiły mnie, naprzykład, wspomniałem mimochodem o ś. Tomaszu z Aquinu, jako o jednym z przedstawicieli zachodniego Chrześcijaństwa, a mój opponent zarzuca, że ś. Tomasz pisał przeciw Grekom. Dlaczegożby nie miał pisać przeciw grekom, kiedy oni samiż niemało pisali przeciw łacinnikom? Także zdziwiony byłem uwagami o Dancie i Rafaelu.

cie nigdy nie przypuszczał i nie przypuszcza możliwości samowoli papieskiej w sprawie wiary i moralności. Wedle nauki katolickiej, Papież (również jak i Sobor powszechny) mają obowiązek formułować dogmaty kościelne, lecz nie posiadają żadnego prawa wymyślać swe własne.

Jakkolwiekby kto zapatrywał się na tę naukę, w każdym razie przyznać musi, że w niej niema nic, coby unicestwiało charakter kościelny: powaga nie oddziela się tu od tradycyi, Papież nie oddziela siebie od Kościoła, nie przyswaja sobie żadnej bezwzględnej powagi, nie nadaje sobie żadnej samowolnej i despotycznej władzy, a tylko korzysta *per assistentiam divinam* z tej władzy, którą Chrystus Pan raczył łaskawie obdarzyć swój Kościół.

Tak myśleli biskupi ogłaszający orzeczenia Watykańskie, tak myśli i cały świat katolicki, który przyjął te orzeczenia. Katolicy uznający w Papieżu głowę widomą swego Kościoła, nie mogą oddzielać go od tegoż Kościoła, albowiem w takim razie, wedle ich rozumienia, oznaczałoby pozbawiać ciało kościelne głowy. Wedle zapatrywania katolickiego, powaga papieska istnieje nie poza Kościołem i nie przeciw Kościołowi, ale w nim i dla niego. Zaiste, i jakimże sposobem Papiestwo mogłoby (gdyby nawet chciało) narzucić światu katolickiemu władzę przemocą i despotycznie, kiedy Papiestwo pozbawione jest wszelkich środków przemocy i despotyzmu? Szczególnie obecne położenie Papiestwa czyni fakt ten najwidoczniejszym; powaga więźnia watykańskiego opiera się na miłości, zaufaniu i szacunku religijnym katolików dla Stolicy rzymskiej, a zdaje się w tych uczuciach niema nic antykościelnego.

Ortodoksya wschodnia nie orzekała i nie formułowała na Soborach powszechnych nauki swej o Kościele. Wszystko, co dla nas jest obowiązujące w tym przedmiocie, stoi w symbolu wiary: „Wierzę w jeden, święty, katolicki i apostolski Kościół". Ta wiara nie jest odrzuconą przez katolicyzm, nie jest odrzuconą przez Sobór Watykański, a zatem winić katolików o herezyę nie mamy żadnego prawa. Tego prawa nie przywłaszczali sobie i nie przypisują sobie i dostojnicy Kościoła naszego. Wiadome jest zdanie Filareta. Lecz i u współczesnych dostojników znajdujemy podobneż zapatrywania. Na jednego z nich miałem sposobność powołać się w innem miejscu (w rozdziale ostatnim „Wielkiego sporu i polityki Chrześcijańskiej", w czasopiśmie „Ruś").

Jeszcze więcej pewne i proste wyrażenie prawdziwego kościelnego zapatrywania na katolicyzm, zawiera mowa J. O. Metropolity kijowskiego, niedawno przez niego powiedziana i wydrukowana w niektórych gazetach. W tej wybornej mowie najdostojniejszy arcypasterz chociaż nie przewiduje bliskiej możliwości formalnego zjednoczenia dwóch Kościołów, lecz wcale nie dla tego, iżby znajdował pomiędzy niemi jakąś przepaść w sferach wiary i podstaw duchownych, a jedynie dlatego, że poróżnienie tych dwóch Kościołów, ujawnia się bardzo mocno, jako najbliższych i rodzimych między sobą. Otóż to poróżnienie przyznaje się tu tylko *de facto* a nie *de*

jure. Takie jest zapatrywanie zupełnie prawidłowe, niewątpliwie więcej chrześcijańskie i bezspornie więcej poważne, aniżeli zapatrywanie A. A. Kiriejewa. Zasadą tego ostatniego zapatrywania (Kiriejewa), jeżeli się nie mylę, jest pojęcie Kościoła, które nie może być bronione z prawosławnego punktu widzenia. Wedle tego dziwnego pojęcia, istnienie Kościoła warunkuje się prawem wszystkich świeckich do dawania swego głosu decydującego w sprawach kościelnych, co już rzekomo czynią na Soborach powszechnych przez biskupów, jako swych pełnomocników. Takie pojęcie wedle mego przekonania, jest poprostu zaprzeczeniem (unicestwieniem) Kościoła.

Życie Kościoła nie pochodzi od śmiertelnej ludzkości, ale od Boga żywego. Władza Kościoła nie pochodzi od zgromadzeń ludzkich słabości z ich mniemanemi prawami, z ich mniemaną wolnością, ale od Boga Wszechmogącego, który sam wyznacza swe drogi, sam wyznacza swe organa (narzędzia). Kościół rządzony jest nie z dołu lecz z góry, forma jego ustroju nie demokratyczna ale teokratyczna. Otóż więc dla tego wybrani Apostołowie Chrystusowi i ich następcy biskupi powszechnego Kościoła, kiedy wydają swe orzeczenia nie mówią „zdało się ludowi przez nas", ale zawsze mówili i mówią zdało się Duchowi św. i nam.

Artykuł Kiriejewa zatytułowany jest „Zjednoczenie Kościołów i Słowiaństwo". Lecz rzeczą jest widoczną, że obwiniając katolicyzm o herezyę i o grzech przeciw Duchowi św. nie może być żadnej mowy o zjednoczeniu Kościołów i jeżeli antagonizm kościelny rozdzielający Słowian między sobą, uważa się za niezwalczony, wówczas niepodobna na seryo mówić i o słowiaństwie, jako o jednej i solidarnej całości.

Dla Rosyi pozostaje wybór między jednością a poróżnieniem, między prawdą a fałszem. Ażeby obrać prawdę, potrzebne podniesienie się moralne (нравственный подвигъ) a przy Bożej pomocy Rosya go dokona.

Drugi fakt ze świata literackiego, zasługujący na uwagę jest pewien zwrot w tygodniowem piśmie „Kraj". Mieliście o niem w jednym z waszych zeszytów surową ocenę. W istocie pierwsze numera „Kraju" nie zapowiadały się szczęśliwie: odgrzebywały demokratyzm, a pozostawiając mu czerwoną garybaldowską bluzę, przystrajały go czapką o charakterystycznym kroju i woni. Od tego czasu zaszły pewne zmiany na lepsze. Może nie będzie od rzeczy wypowiedzieć, jak się my stąd zapatrujemy na to czasopismo.

„Kraj" jest bardzo starannie redagowanym. Zapoznaje on czytelników swoich z prądami prasy rosyjskiej, polemizuje z „nieprzejednanymi", skrzętne robi wyciągi z różnych pism o losie i stanie Polaków rozrzuconych w ogromnem państwie rosyjskiem,

liczne zamieszcza korespondencye od swoich z rozmaitych miejscowości, a nadto, rzecz drobna na pozór, lecz ważna w istocie, nie zamieszcza żadnych ckliwych, nudnych anegdotek, często ze starych kalendarzy wyjętych, na które się sadzą inne, nawet najpoważniejsze, polskie pisma. To jest strona dodatnia gazety tutejszej, ma też i stronę ujemną. Najprzód, co do samego kierunku, nie możnaby się pisać na całą jej dążność. Programu może nie brak, ale brak mu podstawy gruntownej, któraby go zabezpieczyła od nieuchronnych zboczeń i fałszywych kroków. Napotyka się u niego często niekonsekwentność: konserwatyzm jego zaprawiony bywa niesmacznym liberalizmem i bezwyznaniowością, rozum polityczny ustępuje często miejsca teoryom przewrotu; najgorzej zaś dzieje się z korespondencyami. W wielu z nich widoczny brak znajomości rzeczy z jednej strony, z drugiej nieupozorowana stronniczość; to się odnosi głównie do korespondencyj galicyjskich.

Nie wspominając już dawniejszych, w ostatnich swych numerach zamieścił „Kraj“ jakieś dodatki do sprawy dobromilskiej i rzecz nową, omawiającą sprawę Dominikanów lwowskich. Dziwić się należy, że redakcya przyjmuje takich korespondentów; mogą oni pisywać do „Now. Wrem.“, ale „Nowosti“ nawet pewnieby ich nie przyjęły. Dominikanie lwowscy, utrzymuje p. R., uciśnieni są przez swego generalnego przełożonego, zabrano im majątek, rozpędzono młodzież polską, a zapełniono klasztór Niemcami. Nie potrzeba znać szczegółów, by rozpoznać niedorzeczne reporterstwo. Jakto! w Austryi, gdzie istnieją pod tym względem tak arcy- i ultra-liberalne prawa, iż każdy, a więc i Dominikanin może ogłosić się bezwyznaniowcem, działyby się mogły podobne rzeczy! To samo wystarczy każdemu do osądzenia korespondencyi za tendencyjną, choćby całkiem nie był wtajemniczony w przepisy zakonne, i nieznał trybu, jakiego się trzymają generałowie w rządzeniu klasztorami.

Sprawa też dobromilska, tyle razy traktowana w „Kraju“, pozbawiona była zawsze źródłowych wiadomości; zdradzała nieznajomość stosunków miejscowych, a była jedynie przepełnioną mętnemi wyrzekaniami, czerpanemi z tych dzienników, które pod płaszczykiem wiary i swobody, chciałyby zaprowadzić liberalny

despotyzm. Owe rady a raczej wskazówki dawane przez takich pp. R. przełożonym Kościoła, jak mają postępować w rzeczach wiary i karności, są nad wszelki wyraz zuchwałe; to powątpiewywanie, co do potrzeby reformy jakiego zakonu, jest co najmniej śmieszne; czy ci panowie nie znają „sprawy Buczackiej"? W tem wszystkiem główna jest wina korespondentów, ale redakcya winnaby czynić lepszy wybór. Nie posądzamy jej wszakże o złą wolę; umieszczając w jednym z ostatnich numerów, korespondencyę z poznańskiego, gdzie było dobrze omówione i napiętnowane warcholstwo tamtejszych wyborów, dała ona dowód zdrowego poglądu dobrej woli.

W przeszłym miesiącu przyjmowaliśmy tu prezesa Akademii zagrzebskiej, ks. kan. Franciszka Raczki'ego. Na prędce zebrani uczeni i literaci różnych narodowości słowiańskich raczyli ucztą zasłużonego Horwata. Z Polaków obecnymi byli: p. Spasowicz wraz z redakcyą, pp. Bogusławski, Ptaszycki;... z Rosyan pp. Kawelin, Stasiulewicz, Pypin, Stasów, Utin; z Horwatów p. Jagić, znajdował się również przedstawiciel literatury małoruskiej p. Mordowcew. P. Spasowicz wznosząc zdrowie gościa, rozpoczął szereg mów. Zastrzegłszy się, że jeśli mówi po rosyjsku, to *salvis juribus linguae*, a ideałemby było, gdyby każdy swym językiem przemawiał i rozumiany był od wszystkich, przeszedł następnie do omówienia stanowiska Polaków w Rosyi zostających.

„Mamy z ostatnich czasów, powiedział, w tej tu strefie, do zaznaczenia fakt zajmujący. Szeroko rozwiodły się gazety nad tem, że od czasu jak Galicya Galicyą zagadano w niej, z powodu odwiedzin czeskich, po raz pierwszy — i tak już rozgłośnie — o braterstwie słowiańskiem. Początek dała Praga czeska. Nie wątpić jednak, że dojdzie to i do Zagrzebia, do Bielgrodu, do Sofii... Dla obecnego atoli stanu tej idei najgłówniejszem zadaniem jest, ażeby uczucie braterstwa słowiańskiego nietylko ogarniało pojedyncze ludy, lecz żeby w tej jedności lud każdy czerpać mógł dostateczne siły ku własnemu rozwojowi indywidualnemu, i obstając stale a dzielnie przy swojem, był coraz więcej sobą... „Oj budi swoj[1]". (Jednomyślne potwierdzenie). Co do nas, wzywam obecnych na świadectwo, i proszę, by wedle sumienia orzekli, czy tę powinność pełnimy z naszej tu strony... czy stale i zwięźle stoimy przy swojej — mówię wyraźnie, nie politycznej, lecz cywilizacyjnej samodzielności i narodowem do-

[1] Jest to wiersz, którym zaczyna się i kończy każda zwrotka pieśni horwackiéj Aug. Szenoa.

stojeństwie?... Nie nowina to wprawdzie, że przy swojem stoimy, lecz co nowe, to że czyniąc to co do nas należy, czynimy to otwarcie, jawnie, bez ogródek, w obliczu pobratymczych Rosyan, oraz, że pomiędzy tymi Rosyanami znajdują się ludzie — należący do lepszych i znakomitszych, którzy w tych usiłowaniach naszych powiedzieć są nam gotowi — i mówią nam: „pomagaj wam Boże.“! (Ogólne potwierdzenie). Lat już czterdzieści żyję wśród Rosyan, i utrzymuję, że się to nie zdarzało pierwej... Więc i Ty, czcigodny nasz gościu, wieść tę, z pewnością nie obojętną dla innych Słowian, zawieź nad swoję Sawę i nad Dunaj, i na brzegi Adryatyku...

Następnie, w myśl pana Spasowicza, każdy przemawiał w swym języku i w duchu braterstwa. O tej uczcie i mowach wiele z dzienników rosyjskich odezwało się z zupełnem uznaniem; „Mosk. Wied“. i „Now. Wrem.“ naturalnie gradem pocisków obrzuciły cały ten obchód — inaczej być nie mogło, czyż darmo zowią się „niepojednanymi“.

W.

Arcybractwo Miłosierdzia i Bank pobożny

w Krakowie przed trzystu laty i dzisiaj.

Zaledwo z dopiero co zawiązanego zakonu Towarzystwa Jezusowego powołał Bóg do chwały swej młodzieniaszka świętego Stanisława Kostkę († 15 sierpnia 1568), zaraz w jego miejsce „dojrzałego już w rzeczach świata tego męża“ [1], ks. Piotra Skargę Pawęzkiego kanonika lwowskiego, „przygnał P. Bóg do Rzymu w samym początku roku 1569, w kilka miesięcy po zejściu Stanisława Kostki“ [2], aby jeden przemożną swą opieką w niebie, drugi pożyteczną pracą na ziemi ozdabiali i wspomagali ojczyznę“ [3]. Uczył się w nowicyacie w Rzymie na Kwirynale ks. Skarga służyć Panu Bogu, Kościołowi, zakonowi i krajowi w tym czasie, kiedy w stolicy świata katolickiego rozwijały się szczęśliwie dwie duchowne instytucye: Bractwo miłosierdzia, mające na celu wspieranie nieszczęśliwych ubogich wsty-

[1] Iuwency dziejopis Tow. Jez.
[2] Skarga w żywocie św. Jana Kantego.
[3] Iuwency.

dzących się żebrać, i Bank pobożny ratujący ludzi w gwałtownem będących położeniu od lichwy. Dwie te instytucye głęboko musiały utkwić w pamięci i sercu nowicyusza w zakonie, skoro bowiem stanął na ziemi ojczystej, najprzód w Wilnie, a potem w Krakowie „przeszczepił takowe, jak sam mawiał, na ziemię rodzinną". Dnia 26 czerwca 1584 roku przybywa z Wilna do Krakowa jako superyor kościoła św. Barbary, gdzie Jezuici niemałe mieli do zwalczenia trudności[1]. Poprzedzała go sława kaznodziejska, walka z różnowiercami, prace duchowne wielkiego znaczenia i wspaniały szereg dzieł wydanych przez niego, jakich dotąd nie było. Z tem wszystkiem stawa na skromnem bardzo stanowisku jako superior biednego domu i opuszczonego kościoła św. Barbary w Krakowie, i za łaską Bożą rozpoczyna działanie swe od materyalnego poratowania kościoła. Sam ubogi zakonnik i bez funduszów wnet znalazł gorliwe opiekuny i dobroczyńce; do takich należeli: Jędrzej Sapieha i żona jego Krystyna z Dembińskich, Anna Kormanicka, Dorota Barzyna i wiele innych pobożnych osób, których szczodremi ofiarami w ciągu lata jednego odnowił Skarga, i w potrzeby zaopatrzył kościół św. Barbary.

Ta wielka ofiarność obok zaufania, które coraz więcej zyskiwał u ludzi dobrej woli, skłoniły go do zaprowadzenia w Krakowie onego miłosiernego Bractwa, które widział w Rzymie, które przedtem zaprowadził szczęśliwie w Wilnie; z temi więc zamiarami swemi, krótko wyłuszczywszy powody, a duchowne korzyści, zwierza się kilku zaufanym osobom w swej celce zakonnej przy kościele św. Barbary dnia 21 października 1584, i z nimi naradza się co dalej czynić — było to w niedzielę po południu. Osób, jak to sam zeznaje Skarga w liście z 19 września 1588 roku „siedm było z początku, od siedmi się zawiązało, i choćby tyle tylko zostać was miało, serca nie traćcie". Imiona ich dokładnie nie są wiadome, bo niestety na tę pierwszą książkę, w której i dzień zawiązania się Bractwa Miłosierdzia w Krakowie z całą ścisłością był oznaczony, i imiona pierwszych siedmiu braci zapisane były, padło przed laty nieszczęście jakieś, karta

[1] Wielewicki. Hist. dom. S. Barbarae, str. 21, 33—41.

tytułowa i dwie następne przez połowę są udarte i dlatego imiona pierwszych członków nie są wiadome dokładnie. Wszelako choć o kilku możemy mówić z pewnością. Ks. Mikołaj Taranowski, późniejszy kanonik katedralny, Tomasz Płaza, proboszcz kościoła św. Szczepana, trzeci niewiadomo kto, czwarty obywatel krakowski, księgarz (bibliopola) dalej kupiec i obywatel Wawrzyniec Lenci, Bartłomiej Surdey i Zygmunt Alanty. Oto pierwsi członkowie Bractwa Miłosierdzia, z którymi ks. Skarga rozpoczął dzieło boże, księża i obywatele krakowscy. Na następnej schadce 25 października wybierają oni sobie ojca duchownego, którym nie kto inny był, tylko sam ks. Skarga; starszego brata ks. Mikołaja Taranowskiego i dwóch radców: pana Lorenza Lentego włocha, i p. Zygmunta Alantego mieszczana krakowskiego. W trzy dni potem zebranym tym Braciom przynosi ks. Skarga pierwszy zarys statutów, któremi się rządzić mają. Odmówią codziennie 3 Ojcze nasz, tyleż Zdrowaś Marya, co niedzielę schodzić się będą na czytanie duchowne, co miesiąc będą obecni na uroczystej brackiej mszy św., w lutym i lipcu wyspowiadają się i przystąpią do Stołu pańskiego. Co tydzień dwaj bracia nawiedzą szpitale i więźnie i jałmużnę im zaniosą, a w razie potrzeby, żebrać będą jałmużnę u drzwi kościoła św. Barbary; nakoniec do skrzynki ubogich każdy brat i siostra da jałmużnę dwojaką, jednę tygodniową, jaką wpisując się do Bractwa płacić przyrzekł, drugą wedle woli serca swego, gdy mu się na czem od P. Boga poszczęści.

Krótki ten rys statutów brackich, które w przyszłości rozszerzone być miały i były rzeczywiście, pod wielu względami otwiera nam oczy. A najprzód, że zawiązane przez ks. Skargę Bractwo nie przypadkowemu jakiemuś zdarzeniu początek swój winno, ale głębokiemu wpierw badaniu tej świętej instytucyi, legenda o ubogiej stolarce z dziećmi nie ma historycznej podstawy; dalej, że Bractwo to było stowarzyszeniem czysto kościelnem, pewnemi i stałemi praktykami religijnemi opisane; nakoniec widzimy, że początek temu daje ksiądz, kupiec, księgarz, mieszczanin, a między tymi dwóch Włochów w Krakowie osiadłych. Przystąpili z czasem do tego chwalebnego stowarzyszenia królowie i królowe polskie, biskupi, senatorowie, dygnitarze,

duchowni i świeccy, przystąpili magnaci, co hojną naraz sypnęli jałmużnę na ubogich, ale porówne mieli z niemi prawo ci, co szeląg przynieśli z sobą na schadzkę duchowną i szeląg deklarowali co tydzień dawać jałmużny. Po latach czterech w album brackiem jest zapisanych braci 256, sióstr 239. W liczbie pierwszych, oprócz kilku członków kapituły katedralnej krakowskiej a familiantów, czterech tylko zapisało się panów polskich, i to w jednym niemal roku: Mikołaj Krysztof Radziwiłł, Jan Myszkowski, Sebastyan Lubomirski i Mikołaj Zebrzydowski — a reszta? to byli mieszczanie krakowscy, kupcy, rzemieślnicy. Ze strony sióstr, na liczbę 239, pierwsze, które się wpisały dnia 1 listopada, to pani wojewodzina krakowska Dorota z Ojnanowa Barzyna, Kachna, Dorota i Marta, panny jej dworu, pani Zofia Mnichowska, pani Katarzyna Marcinowa Firlejowa, Jadwiga Bartoszowa Zabrzeska itd.

W 1587 r. w marcu, między członkami Bractwa Miłosierdzia zawiązuje ks. Skarga stowarzyszenie Banku pobożnego. Celem i zadaniem tej instytucyi było, wyrwać ludzi nieszczęśliwych, znajdujących się w gwałtownej potrzebie z rąk lichwiarzy, pożyczając im pieniędzy na zastawy bez żadnego procentu. Na tę komorę potrzebnych jak ją nazwał ks. Skarga, pierwszą ofiarę dał prowincyał OO. Jezuitów, Jan Campanus, złotych dziesięć, a Bractwo Miłosierdzia ze skrzynki swej jałmużnianej złotych dwieście. I to był pierwszy fundusz. I temu drugiemu zadaniu Skargi błogosławi P. Bóg, komora potrzebnych rośnie i wzmaga się hojniej i obficiej od skrzynki jałmużnianej dla wstydzących się żebrać; ale z jej wzrostem rośnie zawiść, niechęć i nieżyczliwość ku tym świętym instytucyom, a główne prześladowanie i oszczerstwo spotyka tego, który stowarzyszeniom tym dał początek życia i wzrost. Nie skarży się na to mąż boży, nie utyskuje, nie upada na duchu, ale dziękuje za to Panu Bogu, a Braci duchownych podtrzymuje w świętem dziele i zachęca, by na obranym wytrwali posterunku. Było to w roku 1588, Zygmunt III. powołał ks. Skargę na kaznodzieję królewskiego, miał on opuścić Kraków, a udać się z królem do Warszawy. Ponieważ czas rozłączenia się z bracią Miłosierdzia nie był oznaczony, ks. Skarga żegnając się z nimi, zostawia im pożegnalny list dnia

19 września 1588 w Krakowie pisany. List ten, to najpiękniejsze słowa, jakie w dziele Bractwa Miłosierdzia wyszły z serca i z pod pióra ks. Skargi.

Te wielkie dzieła miłosierdzia, wspieranie jałmużną wstydzących się żebrać, i pożyczanie pieniędzy na zastawy bez procentu, po oddaleniu się Skargi z Krakowa nie upadły i nie zmarniały, bo ożywiał je duch założyciela, bo gruntowne statuta i ordynacye, jakie im nadał ustawodawca, w całem znaczeniu przestrzegane były od Braci. Niebawem powstać miały inne, jakoby filie Bractwa Miłosierdzia.

Było powszechne dotąd mniemanie, że fundusz posagowy, który Skarga nazwał skrzynką św. Mikołaja, datuje się od r. 1602, kiedy za gorącą przemową i namową apostolskiego męża, wojewoda krakowski Zebrzydowski Mikołaj, ofiarował na ten cel 3,000 złp. Tymczasem akta brackie uczą nas, że w roku, w którym Skarga opuścił Kraków, 1588 r. jedna pobożna obywatelka krakowska, a zwała się Magdalena Woncianowa, pierwsza na ten cel ofiarowała Bractwu miłosierdzia skromną sumkę 700 złp., która potem gdy zwiększona została zapisem bogatym Zebrzydowskiego, podała myśl Skardze, tak do nadania tej nowej instytucyi, jak i dwom poprzednim ustaw pewnych i statutów. Cnotliwe panny, córki ubogich rodziców za mąż idące, lub wstępujęce do klasztorów, ze skrzynki św. Mikołaja otrzymywały posagi.

Wylane na miłosierdzie serce litościwe ks. Skargi, pobudziło go do ustanowienia jakby filii Bractwa Miłosierdzia, któremu dał nazwę Betania Łazarza św. Do ustanowienia tego Bractwa Skarga miał dwie pobudki: Roku 1592 zaraz z wiosny, grasowało ciężkie morowe powietrze w Krakowie, które najwięcej zabierało ofiar z klasy ludzi biednych, co to ni dachu, ni strawy nie mieli, a po ulicach się włócząc, roznosili wszędzie chorobę. Tak opuszczone, chore, umierające, aby skutecznie ratować można, potrzeba było morową dotknięte zarazą po ulicach zbierać, do szpitali i domów, gdzie je leczono, odwozić. Zdrowe zaś żebraki po ulicach się włóczące tak zorganizować, aby szerzeniu się szkodliwego proletaryatu zapobiedz stanowczo. Skarga mieszkał wtedy na zamku w domu kapitulnym, kazywał w Katedrze — w kapitule katedralnej miał zachowanie wielkie, a szacunek praw-

dziwy. Owoż razu pewnego, a było to w poniedziałek w Wielkim tygodniu dnia 23 marca 1592 r., gdy w domu ks. Piotra Tylickiego, kanonika podówczas katedralnego, zgromadziło się kilku prałatów i kanoników, przybył i Skarga, a przedstawiwszy im w wymownych słowach potrzebę ratowania chorych na ulicy porzuconych i żebrzących, przedłożył im w głównych zarysach statuta Betanii św. Łazarza. Na ten cel miała być dawana jałmużna jednorazowa od tych, co wpiszą się w to Bractwo, i tygodniowa, o ile kto zobowiąże się — a wreszcie trzecia, użebrana przez braci kollektorów. Wszystkie te datki nie mają być kapitalizowane, ale w miarę funduszu rozdawane biedakom. Myśl świętą, podniesioną w tak ważnej sprawie, przyjęli zgromadzeni u ks. Tylickiego i wszyscy się wpisali w to Bractwo, wszyscy złożyli jednorazową jałmużnę i tygodniowe datki przyrzekli. Szczęśliwy początek zachęcił Skargę, że do tego Bractwa wciągnął króla Jegomości, dwór cały i możne pany. Fundusze mając, zaprowadził organizacyę Bractwa: więc był starszy i ojciec duchowny, wizytatorowie, kollektorzy i inspektorzy — to wszystko dla chorych; pomiędzy zaś żebraki samemi ustanowił wójtów i podwójcich. A od tego zaczął, że porzucone na ulice obmył, opatrzył i jak on Samarytanin miłosierny, poumieszczał w szpitalach lub prywatnie u balwierzy, zapłatę dając za ich leczenie, a gdy Pan Bóg inaczej rozrządził to dał na pogrzebanie zwłok zmarłego nędzarza. Naturalnie, że czynił to wszystko nie sam przez siebie tylko, lecz i przez Braci zawiązanego Bractwa. Stare zaś żebrzące po ulicach dziady i kaleki spędził przed kościoły, zdrowe do pracy zaprzągnął, oszukańce z miasta wypędził, a ubogie prawdziwe, po odbytym egzaminie, oddał pod zwierzchnictwo najbliższe wójtów i podwójcich z dziadów samych złożone. Dopokąd żył Skarga, to tem dziełem miłosierdzia tak się zajmował gorliwie, że sam księgi nawet rachunkowe prowadził, wpisując w nie tygodniowe dochody i wydatki. Wieku całego nie przetrwało to Bractwo, ale wdzięczne wspomnienie należało mu się na tem miejscu.

Z tak małych zawiązków po latach trzystu, dzieło miłosierdzia, któremu początek dał mąż boży, przechodząc przeróżne koleje, dobrą i złą dolę, świetne chwile i dni i lata upadku,

strat i niepowodzeń, odmian losowych, dolegliwości wojennych, żyje mimo to a byt swój ma zapewniony.

Materyalny stan dzisiejszy instytucyi, poczętej od ks. Piotra Skargi, rozdzielony jest na dwanaście funduszów i tak się przedstawia:

Fundusz pierwszy jałmużniany. Majątek tego funduszu według ksiąg kasowych z d. 31 sierpnia 1884 r. wynosi 1.596,431 złp.[1] Kapitał całkowity lokowany jest na domach w Krakowie, na hipotekach różnych dóbr w państwie Austryackiem, i w końcu w papierach wartościowych. Z procentu od tego kapitału rozdziela Bractwo jałmużny wstydzącym się żebrać, jednym w miesięcznych stałych wsparciach, drugim w miesięcznych szczegółowych datkach, a to na przedstawienia panów wizytatorów, rozdzielając na jałmużny miesięczne, rocznie złp. 20.000; na jałmużny jednorazowe złp. 30.000; na lekarstwa dla ubogich, na stypendya i na nadzwyczajne wydatki z górą złp. 20.000. Cyfry te w zaokrągleniu tylko podajemy, bo o nich pragnący się przekonać, znajdzie to szczegółowo w Książce pamiątkowej[2] i w sprawozdaniach Arcybractwa drukiem ogłaszanych.

Drugi wielki fundusz, Banku pobożnego, począł się od dziesięciu złotych, które pierwszy ofiarował Skardze prowincyał OO. Jezuitów Campanus. Bank ten zebrał miliony przez te lat trzysta, milionami wygadzał ludziom, dając pożyczki na zastawy i fanty potrzebującym i biednym prawdziwie, nie wziąwszy przez całe te trzysta lat jednego grosza od pożyczających. A dziś po trzystu latach Bank ten pobożny ma wypożyczonych pomiędzy ludźmi na zastawy złp. 250.000 bez procentu, z których w miarę wykupionych fantów, w miarę zwróconej do Banku pobożnego pożyczki, zwrócona suma innej się znowu wypożycza osobie, pod temi samemi warunkami bez procentu. A jeśli się zdarzy, że ktoś w oznaczonym terminie nie wykupi zastawu swego, mimo częstej prolongacyi z roku na rok — i kiedy Bank pobożny zmuszony jest sprzedać zastaw na publicznej licytacyi, to nad-

[1] Cztery złp. liczy się na 1 złr. austryacki.

[2] Wydali ją z archiwum Bractwa, ks. Polkowski, dr. Cyfrowicz i p. Gwiazdomorski; powiemy o niej w zeszycie następnym. (Przyp. Red.)

wyżka wszelka zwracana bywa temu, którego fant był sprzedany. Jakiego to rodzaju bywają przyjmowane fanty, od kogo, na jak długo dawana bywa pożyczka i do jakiej sumy? Na to odpowiemy krótko, fanty dzielą się na klejnotowe, przechowywane w komorze bardzo ubezpieczonej od możliwego nieszczęsnego wypadku, i na fanty tak zwane sukienne w obszernych składach Banku pobożnego. Zastawić może każdy nędzą przyciśnięty z wyłączeniem niechrześcijan, by tego nie czyniono dla spekulacyi. Tajemnica co do osoby zastawiającej znana jest tylko pisarzom, kontrolorom i rewizorom wyznaczonym z ramienia Arcybractwa, o ile tego potrzeba wymaga; fanty klejnotowe zastawiane być mogą na rok i niedziel 6, sukienne na pół roku. Uchwałą Arcybractwa najwyższa pożyczka może być udzielona tylko do wysokości dwustu złotych polskich na jeden przedmiot, jednej osobie. W czasach dawniejszych tak nie bywało, w aktach bowiem Banku pobożnego znajdujemy wzmianki w końcu XVII. stulecia, że Bank pobożny radcy krakowskiemu Andrzejowi Cyrusowi pożyczył na zastaw 3000 złp., Kasprowi Seguil 2000 złp., a konwentowi Imbramowskiemu 1100. Dla pożyczających było to zaprawdę dobrodziejstwo wielkie, ale było ono wszelako z krzywdą dla biedniejszych, bo jeśli kto miał w owym czasie klejnotów na takie sumy, to mógł śmiało w potrzebie będąc, sprzedać takowe. Dlatego to w czasach późniejszych i dzisiejszych dobrodziejstwo takie dla zamożnych usunięto, a zostawiono wyłącznie dla biednych.

Trzeci z kolei fundusz posagowy poczęty jeszcze za życia Skargi, a drugi na tenże sam cel przeznaczony w roku 1838 przez Jana Kmiecińskiego nie małą czynią przysługę i niemałe świadczą dobrodziejstwo społeczeństwu. Oto corocznie 40 mniej więcej panien, wychodzących za mąż a posiadających warunki określone w ordynacyi pierwotnej, otrzymuje posag czyli wiano, które w ich stanie dobrodziejstwem jest i dobrym nieraz początkiem bytu ich, błogosławieństwem Bożem na życie całe. Fundusz ten posagowy pierwszy reprezentuje dziś kapitał 33,526 złr. drugi 3,699 złr. Z obu tych funduszów najwyższe posagi bywają udzielane w kwocie złp. 300, najmniejsze wynoszą złp. 100. Dobroczyńcą najhojniejszym tego funduszu jest ks. Łukomski, kanonik katedralny krakowski; zapis jego na posagi zostający pod

opieką kapituły katedralnej, przynosi corocznie procentu do rozdania jako wiana 730 złr. a ogólnie w przecięciu wydaje Arcybractwo na posagi rocznie 2200 złr. w. a.

Inny jeszcze fundusz, dla rzemieślników, powstał z dwóch zapisów. W roku 1840 zapis 20,000 złp. hr. Zofii z Branickich Potockiej i Adama hr. Potockiego, i drugi z r. 1868 zapis ks. biskupa Łętowskiego 40,000 złp. Każdy z tych zapisów osobną ma dla siebie ordynacyą i osobną rubrykę w księgach kasowych. Z pierwszego wypłacane bywają stypendya dla terminatorów i stypendya na zakładanie warsztatów; z drugiego stypendya dla czeladników już wyzwolonych jako pomoc do wędrówki za granicę i wydoskonalenia się w rzemiośle swem a także na założenie warsztatów.

Fundusz na nabożeństwa reprezentujący dziś kapitał 170,908 złp. może najmniej szczęśliwie i skrupulatnie administrowany jest w tem mianowicie, co się tyczy woli testatorów zapisodawców, wina zaś główna ta jedynie, że niezbadane są z całą ścisłością historyczną pierwotne dawne na ten cel zapisy, nie wyśledzone losy ich, straty z kapitału, obrócenie procentu w nagłych potrzebach na inne cele. Sprawa ta jednak leży na sercu i sumieniu Arcybractwa i wymaga gruntownego uregulowania w przyszłości niedalekiej.

O pozostałych funduszach pobieżnie tylko nadmienimy: Fundusz kamieniczny tyczy się domu własnego Arcybractwa przy ul. Siennej, w którym odbywają się posiedzenia, mieszczą się komory i składy Banku pobożnego, bióra urzędników i mieszkania tychże. Dawniej Arcybractwo było właścicielką kilku kamienic w Krakowie, ponieważ jednak ich administracya zbyt była kłopotliwą, przeto sprzedano je a kapitałami rozporządza się wedle woli zapisodawców. Dziś jednak oprócz kamienicy, o której było wyżej, jest druga jeszcze oddana na własność Arcybractwa z zapisu ś. p. Anny Helclowej w roku 1880. Dochody z tej kamienicy obracane są na jałmużny i wsparcia biednych prawdziwie chrześcian.

Fundusz na podrzutki z zapisu Jakóba Kirchmajera pierwiastkowo wynoszący tylko 8000 złp., zwiększony dziś o 3000 złp., po większej części kapitalizuje się więcej niźli wydaje i stąd

przyrost do tego funduszu z każdego roku dopisuje się do kapitału. Fundusz Jana Tarły liczący kapitału 48.624 złp., procent odeń odbierany, obracany bywa na szpitale krakowskie i dla rekonwalescentów ze szpitalów wychodzących. Fundusz ks. Franciszka Lampki, mający dziś kapitału 11,370 złr. stósownie do woli testatora częścią obracany bywa na jałmużny, częścią na nabożeństwa u Panny Maryi. Nakoniec Arcybractwo zarządza jeszcze dwoma funduszami: Bractwa pięciu ran Chrystusowych i Bractwa Niepokalanego Poczęcia N. M. Panny, które też dochodami tychże funduszów rozporządzają. Tych wszystkich funduszów ogólny dziś majątek reprezentuje w rzeczywistości kapitał 2,576,362 złp. groszy 8.

Kapitał ten w jednej trzeciej części ulokowany jest na hipotekach domów w Krakowie, prawie w jednej trzeciej części na dobrach w Austryi, w administracyi Kapituły katedralnej krakowskiej, w listach zastawnych Królestwa Polskiego, na książeczkach kasy oszczędności, i w wartości domów. Trzecia nareszcie część i to największa jest ulokowana w papierach wartościowych. Osobna komisya skarbowa, delegowana od Arcybractwa miłosierdzia i Banku pobożnego czuwa nad całością tego majątku, ściśle prowadząc kontrolę wpływów i wydatków rocznych.

Z kolei wspomnieć wypada o ludziach, któremi ta instytucya stała i stoi. Szczupła ta liczba pierwszych siedmiu członków rośnie ciągle przez pierwsze stólecie to jest od r. 1584 do 1684, wpisało się braci 3,325 a w innej księdze sióstr tegoż Bractwa 1,500. Nie tak było szczęśliwe następne stolecie od r. 1684 do 1784, zapisało się braci tylko 150 a sióstr 170. Lata mijały całe i lat dziesiątki, w których jakby zamknięta była księga wpisowa; Bractwo chromało widocznie, statutów nie chowano, brakło ludzi dobrej woli i czynu. Pomyślniej już przedstawia się trzecie stolecie od 1784—1884; przybyło do 1000 nowych członków; razem zaś od początku aż po dziśdzień w księgach tych jest zapisanych braci 3,325 a sióstr 1884, liczba ostatnich dziwnie ściśle zgodna z rokiem, w którym Arcybractwo uroczyście trzeci swój setny jubileusz obchodzi. Dzisiaj liczy Arcybractwo w żyjących gronie członków 230.

Ks. Skarga na czele Bractwa postawił protektora, „któryby ratunkiem, radą i życzliwością pomocen był Bractwu temu“. Bra-

ctwo w samym swym zawiązku na statut ten nie zwracało należnej uwagi, pierwszym wybranym protektorem Bractwa był dopiero ks. Piotr Gembicki biskup krakowski od roku 1646 do 1659, po nim inni biskupi krakowscy. Po wydaniu nowej ordynacyi w r. 1796 protektorami Bractwa bywali każdoczasowi archipresbyterowie kościoła Maryackiego; obecnie od roku 1879 na to dostojeństwo uproszony został ks. biskup krakowski Albin Dunajewski, który z porządku 13-tym jest protektorem Arcybractwa. Obok protektora, także w myśl statutów ks. Skargi, najważniejszą osobą w zgromadzeniu jest tak zwany „starszy“ Bractwa. Takim pierwszym starszym, wybranym 21 października 1584, był ks. Mikołaj Taranowski, którego w myśl pierwotnych statutów wybierali bracia, każdego roku ponawiając ten wybór 37 razy. Od roku 1715, poczęto wybierać świeckich na przemian i duchownych, a po wydanej ordynacyi w 1796 ściśle przestrzegano tej alternatywy, wybierano co trzy lata i to tak, że kiedy starszym był ksiądz, to podstarszym był świecki i odwrotnie. Od r. 1813 zaniechano tej procedury i tak ks. Franciszek Borgiasz Piekarski był starszym przez lat 18 z rzędu, co trzy lata sześć razy na ten urząd obierany, a po nim także świecki Piotr Bartynowski piastował urząd starszego przez 25 lat bez przerwy. Obecnie, od roku 1884, starszym Bractwa a 34 z porządku jest ks. Teofil Midowicz, kanonik katedry krakowskiej.

Oto szkic trzechsetletnich dziejów Arcybractwa Miłosierdzia. Rzadko kiedy instytucya przez prywatnych ludzi poczęta i prywatnemi usiłowaniami i ofiarami podtrzymywana, wykazać może tak wielostronną zbawczą działalność, zwłaszcza wśród ciężkich klęsk krajowych i politycznych przewrotów. To też trzechwiekowy jubileusz Arcybractwa obchodzono co się zowie świetnie i po bożemu, w kościele św. Barbary, przy którym Arcybractwo istnieje i św. Piotra, gdzie zwłoki wiekopomnego Skargi złożone, przy współudziale EJX. Biskupa i Kapituły, licznego zastępu zakonnych towarzyszów Skargi i dobranego grona urzędników i członków Arcybractwa. *Ks. I. Polkowski.*

Petycya w imieniu piękna. Podczas kiedy po jednej stronie górnych sal Sukiennic publiczność podziwia wspaniałe dzieło Matejki: *Zamojski pod Byczyną* po drugiej stronie niby *pendant* wystawiono Ledę Makarta. Umieszczono nawet w sieni ogłoszenie, naprzeciwko ogłoszenia Matejki. Przypuszczamy, że tym parallelizmem uwydatnić chciano wyższość polskiego mistrza, stojącego nietylko siłą pędzla, ale też podniosłością ducha, na przeciwnym biegunie do tej wyrafinowanej a poziomej zmysłowości, której typem jest płód Makarta.

Kontrast w istocie udany. Ale szkoda na to naszej krakowskiej wystawy, która, owiana wyższym duchem mistrza, odznaczała się dotąd przyzwoitością, i do której można było prowadzić panny i chłopców uczciwych rodzin.

Jakiekolwiek sztuka może mieć pretensye do niezawisłości, szanować ona jednak musi absolutne prawa etyczne, którym wszystko, co chce być ludzkiem, podlega. Z temi prawami może się zgodzić pewien realizm; ale nie godzi się z niemi żadną miarą ujęcie w sztukę tego, co w naturze jest samą brzydotą moralną, nie godzi się z niemi wywoływanie effektu w sztuce za pomocą niższych natury popędów, a najmniej z temi prawami godzi się to, co jeszcze niżej od natury stoi i co nawet fizyczne jej prawa ze wstrętem odpychają — jakim jest przedmiot Ledy. Stworzyła ten przedmiot sztuka grecka, w czasie swego etycznego i estetycznego schyłku; odtworzyło go „Odrodzenie“, któremu najwięksi wielbiciele zarzucają luźność etyczną — nie do naśladowania. Takie precedensa nie wymawiają dzieła Makarta. Co innego wreszcie przechowywać w wielkich galeryach stare zabytki, po wiekopomnym pędzlu albo dłucie, co innego nowe płody w tym niepoczesnym rodzaju stwarzać i obwozić po świecie i aż do Krakowa sprowadzać.

Dosyć więc już tego widowiska. Przez wzgląd dla naszych rodzin, dla tradycyi naszej szkoły sztuk pięknych i nawet dla czystego piękna, wartoby już Ledę odesłać skąd przyszła.

X. M. M.

Druk ukończony dnia 27 października 1884.

TRZECHSETLETNI JUBILEUSZ KONGREGACYI „Sodalisów Maryi".

W kronikach i silvach rerum, w pamiętnikach i poezyach naszych przechowała się piękna, rzewna, budująca tradycya o „Sodalisach Maryi". Żywa, gorąca wiara obok niezachwianego męstwa i odwagi, prawość charakteru i szlachetność obok głębokiej pobożności do Maryi, oto pojęcia, które się wiążą do słowa: *Sodalis marianus*. „Jakem Sodalis Maryi" starczyło za przysięgę, za słowo honoru, za motyw do spełnienia choćby najtwardszego obowiązku. Wcześnie, bo już od ławki szkolnej zaprawiała się doborowa młodzież do trudu i walki żywota pod sztandarem Bogarodzicy; nie występowała z tego pobożnego „związku Maryi" opuszczając szkołę, ale owszem trwała w nim, czy to zajęła miejsce w chorągwi pancernej lub huzarskiej, czy osiadła na roli, czy też zdobyła sobie krzesło wojewodzkie lub senatorskie, albo mitrę biskupią, dumną będąc aż do śmierci swą nazwą *Sodalis marianus*. Rzadki bo też był mieszczanin lub szlachcic, towarzysz pancernego znaku lub ziemianin, urzędnik lub dygnitarz, biskup nawet lub król, któryby pod chorągwią *Sodalitatis Marianae* nie stawał, i w księgę *Congregationis Marianae* imienia swego nie zapisał.

A nietylko w onej wolnej Rzpltej polskiej, bywało tak i w monarchiach absolutnych, jak Hiszpania i w federacyjnych państwach, jak Rzesza niemiecka i w mniejszych księstwach i państewkach udzielnych jak we Włoszech. Co więcej, bywało tak w zaatlantyckich krajach, dokąd tylko promień wiary katolickiej docisnął się. I to tak przez lat z górą dwieście.

Pod koniec XVIII. wieku w onej twardej dla Kościoła dobie, gdy i bezsumienna polityka gabinetów z góry i rewolucya i sekty masońskie z dołu nań szturmy swe przypuściły, słabnąć i stygnąć poczęły one *Sodalitia Mariana;* zaledwo w niektórych miejscowościach ocalały. Ale znów w pierwszych dziesiątkach naszego stulecia, skoro rewolucyjna burza przeszumiała a polityka wielka znów z Kościołem przyjaźniejsze stosunki nawiązywać poczęła, ocknęło się i odnowiło świetnie ono pobożne braterstwo, jak to ogłasza światu breve Leona XII. z 1824 r. i dzisiaj znów liczy setki „kongregacyj“ i tysiące „sodalisów Maryi“. I właśnie na dniu 5 grudnia b. r. dobiega trzechsetletnia rocznica kanonicznego ustanowienia pierwszej i głównej kongregacyi, *primae primariae Congregationis* w Rzymie i na pamiątkę dnia tego wydał papież Leon XIII. pod d. 12 paźd. b. r. breve poczynające się od słów: *Frugiferas inter sodalitates* i stwierdza ten fakt dziejowy „że kongregacya ta i liczbą członków zawsze wsławiona i nadaniami przywilejów rzymskich papieżów wzbogacona, tak się rozrosła, że w krótkim czasie przy pomocy bożej na cały świat się rozkrzewiła, a w dobie obecnej także po wszystkich krajach, lądem i morzem przedzielonych, znajdują się afiliowane tejże nazwy kongregacye“.

Jako więc drobny przyczynek do religijnego życia w dawnej Rzpltej naszej, jako komentarz do ważnego wypadku chwili w katolickim świecie niech posłuży tych kart kilka. Damy w nich krótką odpowiedź na pytania:

Co to jest *Sodalitas Mariana* czyli jak u nas ją pospolicie nazywano „Kongregacya Najśw. Maryi Panny“? Jaki jej cel i zadanie, jakie obowiązki? Jaki wpływ tych pobożnych związków na uobyczajnienie społeczeństwa? A potem słów kilka o „Sodalisach Maryi“ w Rzpltj polskiej.

I.

Było to r. 1558. Młody *magister gramaticae*, Sebastyan Cabarassi nauczyciel trzeciej klasy gimnazyalnej w kolegium syrakuzańskiem w Sycylii, pragnąc swych uczniów zaprawić do zamiłowania pracy i dobrych obyczajów, wybrał co najpilniejszych

i zdolniejszych i wraz z nimi co sobotę po skończonych godzinach szkolnych odmawiał pewne modlitwy do Najśw. Maryi Panny i krótką do nich miewał naukę, kładąc przedewszystkiem nacisk na to, że chcąc być czcicielem Maryi, należy być nieskazitelnej cnoty i wzorowej pracy młodzieńcem. Następca jego w nauczaniu „magister“ Jan Leon z Lüttich pielęgnował dalej ten kult Maryi, a wezwany do Rzymu na nauczyciela do szkół w jezuickiem kolegium 1560 r., nietylko zwyczaj ten zaprowadził wśród swoich uczniów, ale także wśród młodzieży szkolnej klas wyższych. Wprawny znawca młodocianego serca nadał tym zebraniom organizacyą sprężystą z rodzajem samorządu. Roku 1563 bywało już stale 70 członków na sobotnich zebraniach i wtenczas dnia 25 marca wystąpił z tym „pocztem Maryi“ publicznie, powiódł go do kościoła przed ołtarz Maryi, poświęcił i oddał uroczyście ku czci i służbie tej Bogarodzicy i nazwał: *Congregatio Annuntiationis B. Virginis Mariae*, „Kongregacyą Zwiastowania Najśw. Maryi Panny“.

W miarę jak się rozkrzewiał świeżo powstały zakon Jezuitów i coraz to nowe szkoły otwierał; w miarę jak szerokim wzrokiem obejmujący potrzeby Kościoła Grzegorz XIII. kolegia rzymskie, niemieckie, angielskie w Rzymie i seminarya w Wiedniu, Pradze, Gracu, Ołomuńcu, Wilnie a nawet w Japonii fundował lub ich fundacye, a było wszystkich 25, pomnażał i zatwierdzał — w miarę tego wychodziła *Congregatio Mariana* z murów wiecznego miasta, przyjmowała się, rosła i kwitnęła niemal w wszystkich krajach katolickich. Wiedziała o niej Stolica św. i już 1577 r. Grzegorz XIII. uwiadomiony o tym zbożnym „związku Maryi“, pochwalił go i nadał pewnemi przywilejami, a w lat kilka potem, gdy już liczono na świecie 30,000 sodalisów Maryi, na dniu 5 grudnia 1584 wydał bulę erekcyjną *Omnipotentis Dei*, w której istniejącą przy kościele rzymskiego kolegium kongregacyą Matki Boskiej Zwiastowania podnosi do godności archi-kongregacyi, *primae-primariae Congregationis*, wysławia jej zbawczą działalność i wpływ na umoralnienie młodzieży, nadaje ją wielu odpustami i przywilejem układania statutów, otwierania przy kolegiach jezuickich i dozorowania afiliowanych kongregacyi po świecie całym, a na czele całego tego dzieła stawia każdorazowego jenerała

Jezuitów lub jego zastępcę jeneralnego[1]. Niedługo potem wielki Sykstus V. bulą „*Superna dispositione*“ z d. 5 stycznia 1586 r. i drugą bulą „*Romanum decet Pontificem*“ z dnia 29 września 1587 zatwierdził ponownie erekcyą Grzegorza XIII. i pozwolił, aby nietylko młodzież szkolna, ale „inni także wierni Chrystusowi“ do kongregacyj tam, gdzie są kolegia jezuickie przyjmowani być mogli, tak, że w jednem mieście kilka takich kongregacyj w miarę potrzeby istnieć obok siebie może[2]. Klemens VIII. brewem z d. 30 sierpnia 1602 pozwolił na zawiązanie kongregacyi nietylko przy kolegiach gdzie są szkoły, ale przy każdym domu jezuickim, *apud quascunque residentias dictae Societatis Jesu*, i na wyspie Chios. Zatwierdził te przywileje Grzegorz XV. bulą „*Alias quo*[3]“, 15 kwietnia 1621 r. Wreszcie wielki czciciel Maryi a protektor Jezuitów „uczony“ Benedykt XIV. na dniu 27 września 1748 wydał złotą bulę, tak nazwaną od pieczęci złotej przy niej zawieszonej „*Gloriosae Dominae*“. Dwa prawie wieki minęły od założenia pierwszej kongregacyi; Papież mógł już ogarnąć myślą, zmierzyć i ocenić jej działalność i wartość moralną — słowom jego należy dać wiarę. Posłuchajmy co powie zaraz na wstępie swej iście złotej buli: „Trudno uwierzyć jakie pożytki spływają na wszystkie warstwy ludzkiego społeczeństwa z tej chwalebnej i pobożnej instytucyi, urządzonej w wieloraki sposób według stanu sodalisów na podstawie świętych i zbawiennych praw i starannie rozwiniętej roztropną troskliwością jej zarządów. Jedni bowiem w młodziutkich latach, obrawszy pod opieką Maryi drogę niewinności i pobożności, potrafili przez wszystek czas wieść żywot nieposzlakowany, jak na chrześcijanina i sługę Maryi przystało, dając dobry przykład, i trwając w dobrem do końca. Inni za łaską Matki Bożej, której cześć w kongregacyi oddają, porzucili ponętę występków w które byli uwikłani i drogi niezbożne któremi stąpali, a nawróceni szczerze, czysty potem i sprawiedliwy i pobożny żywot wiedli, i przy pomocy ćwiczeń nabożnych w kongregacyi używanych, szczęśliwie w nim wytrwali. Inni wreszcie

[1] Tekst dosłowny tej buli w *Institutum Societatis Jesu*. Pragae 1757 tom I, str. 88—91.

[2] Tamże I, 92—100.

[3] Tamże I, 110.

z wcześnie zaszczepionego nabożeństwa od Matki Bożej na wyższy stopień miłości Boga postępując, opuścili wspaniałomyślnie próżne i marne tego świata dobra i rozkosze, obrali sobie świętszy i pewniejszy stan duchowny, a ślubami zakonnymi do krzyża Chrystusowego przybici, własnemu uświątobliwieniu i zbawieniu dusz się oddali[1]“. Zważywszy więc te błogie skutki kongregacyi, ponawia Benedykt XIV. dawniejsze zatwierdzenia i przywileje, rozszerza takowe i pozwala, aby każde święto Maryi mogło być głównem świętem sodalisów Maryi.

Teraz już nam łatwiej odpowiedzieć na pytanie: Czem jest *Sodalitas Mariana?* To nie zwyczajne bractwo kościelne, którego członkowie różnej płci, wieku i stanu tylko w kościele i przy wspólnych praktykach nabożnych jakby przypadkowo się spotykają; to instytucya uorganizowana mądrze, to korporacya co się zowie, z swoim statutem, swym rządem, swoim skarbem, swemi jasno określonemi powinnościami. Instytucya religijna zarazem i społeczna. Religijna, bo pod egidą władzy duchownej i kapłanów Towarzystwa Jezusowego postawiona, i do pewnych praktyk nabożnych obowiązująca. Społeczna, bo celem jej nietylko udoskonalenie moralne własne, ale rozciągnięcie tego wpływu na jak najszersze koła. I w tem właśnie tkwi cała siła i moralna doniosłość kongregacyj maryańskich. Są to jakby zwarte falangi szczerych i gorliwych katolików, którzyby przykładem, słowem i czynem Bożą sprawę popierali a złemu stawiali opór. W tym podwójnym celu kongregacya łączy swych członków pod imieniem Maryi i u stóp jej ołtarzy, żeby ten kwiat katolickiej pobożności był ich spójnią i właściwym znamieniem. W tym celu kongreganiści schodzą się co tydzień w własnej kaplicy, gdzie wspólna modlitwa, czytanie, sakramenta święte i podnioślejsza nauka kapłana, moderatora kongregacyi krzepi ich do postępu w cnotach. A prócz tego schodzą się na narady o sprawach kongregacyi, w ogólności o interesach królestwa Bożego, o ile je wpływ danej kongregacyi może dosięgnąć. W tym także celu kongregacya ma swoje statuta od Stolicy św. potwierdzone, swój autonomiczny zarząd, swych wybieralnych dygnitarzy, mianowicie:

[1] Instit. Soc. Jesu I. 240.

prefekta, właściwą głowę kongregacyi, dwóch assystentów zastępujących w potrzebie prefekta, podskarbiego, kilku konsultorów którzy wraz z prefektem i asystentami decydują o przyjęciu nowych członków, o wydatkach wspólnej kasy, o podjęciu zbiorowemi siłami jakich dobrych uczynków, i t. d.

Jakoż nie ma rodzaju dobrych spraw, którychby kongregacye w różnych krajach i w różnych czasach nie podejmowały. Kongregacya jako taka oprócz własnego udoskonalenia, żadnej sfery działania nie wyszczególnia; chce ona wytworzyć ludzi głębokich przekonań, dla których religia nie byłaby formą, ale samą treścią życia, źródłem czynu i poświęcenia. W jakiej zaś formie objawi się to poświęcenie, na jakich polach wystąpi, to zostawiają statuta kongregacyi roztropności miejscowych zarządów. Za to wyszczególnienie ma miejsce w doborze członków. Zamiast przygarniać wiernych, jak zwykłe bractwa, bez różnicy stanu, wieku i płci, kongregacye dążyły zawsze do jednolitego składu. W większych miastach osobne powstawały kongregacye dla młodzieży uczącej się, osobne dla dorosłych mężczyzn, inne były *sodalitates nobilium*, inne kupców albo rzemieślników; a to dla tego, że kongregacya nie jest tylko zgromadzeniem się w kościele, gdzie nie ma różnicy stanu, ale jest związkiem towarzyskim, wymagającym zetknięcia w pożyciu, wspólnej miary w wykształceniu, specyalnych nauk duchownych, do jednego tylko stanu i jednej sfery obowiązków odnosić się mogących.

Pomyślmy teraz, że tak silnie uorganizowanych i karnych kongregacyj było kilka tysięcy, że wchodziła do nich nietylko celniejsza młodzież szkolna, ale i młodzież kupiecka i rzemieślnicza i ludzie dorośli różnego wieku i stanu od króla i ministra, aż do nieumiejącego czytać wyrobnika; że nawet przy armii, gdzie Jezuici byli kapelanami, istniały kongregacye oficerskie, podoficerskie i prostych żołnierzy, a zrozumiemy słowa złotej buli Benedykta XIV. „trudno uwierzyć, jak wielkie pożytki spływają na wszystkie warstwy społeczeństwa tej chwalebnej instytucyi“.

Istotnie nie pytać tu, gdzie kto należał, ale gdzie kto nie należał do kongregacyi Maryi w dwóch pierwszych zwłaszcza wiekach jej istnienia. Należeli Papieże: Urban VIII., Aleksander VII., Klemens IX. i X., Innocenty X. i XI., Klemens XI.

i Benedykt XIV. Należeli święci, którzy publiczną cześć w kościele odbierają, jak: męczennicy za wiarę Fidelis z Sigmaringen, Jan Britto, nasz Andrzej Bobola; doktorowie kościoła: Alfons Liguori i Franciszek Salezy; wyznawcy: Wincenty à Paulo, Franciszek Regis, Alojzy Gonzaga, Stanisław Kostka, Franciszek z Solano, Leonard z Porto Mauricio, Jan Rossi, Piotr Klawer, Jan Berchmans. Na czele kardynałów — sodalisów Maryi stoi czcigodny, a tyle kościołowi zasłużony kardynał Belarmin i kardynał Caraffa, założyciel „kleryków regularnych“. A nietylko święci Pańscy i mężowie kościelni — szczycili się tytułem: *Sodalis Marianus*, książęta udzielni, królowie i cesarze. W Neapolu pierwszą kongregacyę Maryi, założyli: nuncyusz papieski, trzej biskupi, dwaj panujący książęta, dwaj książęta krwi, admiralicya i t. d. Lotaryńscy książęta Franciszek II., Karol IV. i Leopold; książe Sabaudzki, Karol Emanuel; francuscy książęta: Henryk i Antoni Bourbon, Ludwik Armand i dwunastu innych książąt krwi, nie licząc wielu margrabiów i hrabiów byli sodalisami Maryi. Niemal cały książęcy dom bawarski, Filip, Wilhelm, Maxymilian, Klemens arcyb. koloński i pięciu jego bratanków. Na dworze Wilhelma baw. przebywało trzech protestanckich margrabiów badeńskich. Prosili r. 1585 o przyjęcie do kongregacyi, książe Wilhelm jako prefekt kongregacyi, przyjął ich 1 maja po złożeniu pierwej wyznania wiary katolickiej. Gdy r. 1595 książe Maxymilian z żoną swoją przybył jednej niedzieli do Ingolsztadu i wspaniałe przyjęcie mu przygotowano, zapytał na wstępie: „Czy jest dzisiaj kongregacyjne zebranie?“ — „Dla przybycia WXM. odroczone“. „A to dla czego? odparł książe, ślubowałem Maryi, że niczego jej czci przeciwnego nie dozwolę. Nie godzi się, aby dla mnie cześć ta umniejszoną była; zwołajcie kongregacyę, przybędę na nią“. Filip Wilhelm jako prefekt kongregacyi przyjmował swoich własnych synów na sodalisów.

Królowie hiszpańscy od Filipa II. począwszy, prawie wszyscy byli sodalisami Maryi. Dom Habsburgów, w którym tradycya Rudolfa I. pobożności przechowała się stale, dostarczył także kilku sodalisów Maryi. Ferdynand II. już jako król węgierski wpisał się własnoręcznie do *album sodalitatis*: „Roku 1618 d. 7 listop. Ferdynand, król węgierski i czeski, arcyksiąże Austryi, Sodalis

Najśw. Matki Bożej Dziewicy, której opiece na zawsze się poleca", napisał to. Zostawszy cesarzem, kazał imię swe wpisać do wszystkich kongregacyj, które w jego dziedzicznych krajach istniały. Często podpisywał się: *Ferdinandus secundus Virgineus cliens.* Syn jego Ferdynand III. własną ręką wciągnął swe imię do księgi sodalisów w Lowanium 1640 r., oddając siebie, swe państwa, ludy i wojska pod opiekę Maryi [1].

O polskich królach sodalisach, powiemy niżej. Papieże pozwolili wprawdzie, że do przyjęcia królów i panujących na sodalisów wystarczało zapisanie ich imion do którejbądź kongregacyi, choćby niebyli obecni na niej, wszelako jeżeli z przywilejów i odpustów sodalisom nadanych korzystać chcieli, musieli powinności sodalisów wypełnić wszystkie. Jakoż wypełniali i widziano jak niebywanym przykładem dotąd, królowie i panujący zgłaszali się z prośbą do niższych od siebie, często do swoich poddanych, do prefektów kongregacyi, stawali pod ich niejako rozkazami, a na równi z własnymi poddanymi; razem z nimi odmawiali formułę ślubu, modlili się klęcząc, postępowali z świecą w ręku w procesyi pokutnej i t. d., i nie bez pewnej podstawy nazwano kongregacyę Maryańską, „kongregacyą monarszą".

Za przykładem króla szły wybitniejsze talentem, urzędem, rodem i majątkiem osobistości — wymienić wszystkich niepodobna. Ale i na klasy średnie i pracujące rozciągała się zbożna działalność kongregacyi. Zakon jezuicki, który przywilejem papieskim kongregacye sodalisów erygował i zarządzał, składał się z początkiem XVIII. w. z pięciu wielkich grup krajów „asystencyami" na-

---

[1] Czytamy tam: *Illius ego coetus sub invocatione Tua congregati, Augustissima Maria, me libens et merito Tuum profiteor. Tibi ego me, meosque, conjugem ac liberos, Tibi Romanum Imperium, cui Deus me praefecit, Tibi Regna a majoribus accepta, Tibi tutelaeque Tuae populum et exercitus meos Tibi Tuoque Filio militantes committo. — Tu me in Tuum admitte, qui Filio Tuo, qui Tibi, qui utriusque honori vivo, regno, pugno. — Tuus igitur ego ero, Maria, Tui erunt quicunque mei, Tuae erunt ditiones et regna mea et imperium, Tui populi et exercitus: Tu eos protege, Tu eis vince, Tu in eis regna et impera. — Ita voveo MDCXL. Tuus pietate et justitia Ferdinandus.* (Loefler. Die Marianischen Congregationen. Stimmen aus M. Laach 1884. Heft. 9. str. 365—372.

zwanych dlatego, że każda taka grupa miała przy boku jenerała przedstawiciela swego czyli asystenta. Asystencye dzieliły się na prowincye z misyami zamorskiemi lub bez nich, te zaś składały się z domów profesów, kolegiów, seminaryów, rezydencyj i stacyj misyjnych. Nic wymowniejszego nad cyfry statystyczne. Asystencya włoska obejmująca prowincye: Rzymu, Sycylii, Neapolu, Medyolanu i Wenecyi liczyła 139 domów. Francuska z prowincyami: Paryża, Akwitanii, Lyonu, Tuluzy i Champagnii, 155 domów i 35 stacyj misyjnych w północno-środkowej Ameryce, w Grecyi i Afryce. Niemiecka z prowincyami: wyższego i niższego Renu, północnych Niemiec, Austryi, Belgii i Niederlandów, Polski i Litwy, Czech i Anglii, razem 438 kolegiów i domów. Hiszpańska z pięciu prowincyami: Toledo, Kastylia, Aragonia, Sardynia i kraj Basków, liczyła 259 kolegiów i stacyj w Mexyku, Peru, Ekwadorze, Paraguaju i na Filipinach. Wreszcie Portugalska asystencya obejmująca Portugalię z 16 kolegiami i sześć prowincyj w zaatlantyckich krajach: Goańską, Malabarską, Japońską, Chińską, Brazylijską i Maranońską. Mamy więc po świecie całym 1017 jezuickich kolegiów, domów i rezydencyj i kilkadziesiąt stacyj misyjnych. Prawda, że przy małych zwłaszcza rezydencyach i stacyach nie istniały kongregacye, ale za to w większych miastach, przy wielkich kolegiach, bywało po 3, 4, 6, a nawet 8 kongregacyj dla różnych stanów i to tak licznie obsadzonych, że np. w 20 miastach nad Renem liczono 64.000 Sodalisów Maryi, z tych 36.000 z wyższem akademickiem wykształceniem, 18.000 ojców rodzin, 6.000 czeladników, 4.000 szkolnej młodzieży; cyfra ta w trzech zakonnych prowincyach nadreńskich dochodziła do 400.000 sodalisów[1].

Niestety nie jesteśmy tak szczęśliwi i nie możemy podać dokładnej cyfry, ani kongregacyj, ani Sodalisów Maryi w dawnej Rzpltej, spróbujemy ją obliczyć w przybliżeniu. (Dok. nast.)

X. Stanisław Załęski.

[1] Stimmen aus Maria-Lach 1884. Heft 9. 347. 348.

KLEMENS KSIĄŻE METTERNICH
1773—1859.

(Dokończenie).

XVI.

Z wypadków galicyjskich rząd wiedeński jednę tylko a błędną i zgubną wyciągnął dla siebie naukę, tę mianowicie, że dzięki panującemu sposobowi rządzenia, tron ma niewzruszoną podstawę w miłości i przywiązaniu najliczniejszej warstwy społeczeństwa, ludu prostego, który umie cenić dobrodziejstwa ojcowskich rządów, najmniejszej nie pragnie zmiany, nie daje ucha podszeptom niespokojnych i niepoprawnych umysłów, jest niezawodnym stróżem porządku i spokoju publicznego, wrodzonym poskromicielem nieprzyjaciół tronu, wierną armią, wszędzie, jak w Galicyi, gotową na usługi cesarza i biurokracyi. Za tem poszła złudna wiara w dobroć i stateczność systemu, jeszcze większy upor w utrzymaniu *status quo*, lekceważenie objawów powszechnego zniechęcenia, jakie w wszystkich prowincyach, w wszystkich stanach przeciw rządowi istniało. Chłop, szlachcic, mieszczanin, szemrał jednakowo i nie bez powodu. W nieukontentowaniu klas oświeceńszych niepoślednią rolę odgrywała praca rewolucyjna i oszołomienie umysłów obietnicami sprzymierzonego z rewolucyą liberalizmu; w Galicyi można było składać winę na polonizm i propagandę emigracyjną, w Węgrzech na konstytucyę, w Lombardyi na sekciarzy; lecz niechęć szlachty i szemrania chłopa w dziedzicznych krajach niemieckich trudno było wytłómaczyć czem innem, jak postępowaniem rządu.

Ówczesny rząd był stosunkowo tani, oszczędny aż do skąpstwa, nader oględny i bojaźliwy w powiększaniu ciężarów publi-

cznych. Pomimo oszczędności dokazał przecież tej sztuki, że zrujnował do szczętu finanse i doprowadził skarb do tego stanu, że na początku 1848 roku Metternich musiał w sekrecie pożyczyć od cesarza Mikołaja sześć milionów rubli na bieżące wydatki. Skąpiąc na produkcyjne wkłady, rządząc się fiskalizmem w polityce celnej, nie dopuścił rozwinięcia się przemysłu i handlu, i powszechne zubożenie sprawił. Niezręcznym rozkładem podatku, szczególnie konsumpcyjnego i opłat stemplowych, uciskał dotkliwie biedniejszą ludność. To wszystko było powodem skarg rozlicznych, często słusznych, i argumentem w ręku przeciwników rządu.

W 1847 roku, na zebraniu stanów styryjskich, książę św. państwa rzymskiego upomniał się o swobodę prasy, nie przewidując, jaki bicz na własny grzbiet gotuje. Podczas dni marcowych w Wiedniu, panowie stanowi ponieśli do Burgu studencką petycyę i najbardziej nastawali na usunięcie Metternicha. Do popchnięcia szlachty w ramiona partyi liberalnej, rząd się znakomicie przyczynił. Cesarz Franciszek tłumił znaczenie i rolę instytucyi stanów, odbierał szlachcie prawne i zwyczajowe przywileje. Odwieczne prawo warowało, że wysokie urzęda winny być powierzane członkom stanów miejscowych; gdy to nie mieściło się w ramach systemu, wzięto się na sposób, żeby wraz z nominacyą udzielać indygenat i tą drogą intruzów, zwykle biurokratów, na urzęda wprowadzać. Pod cesarzem Ferdynandem posuwano się coraz dalej w przyjętym kierunku, rząd stawał się coraz bardziej nieprzystępnym, tajemniczym, zamkniętym w biurokratycznej kastowości. Szlachcie nie pozostawało, jak poddać się pod wstrętne jarzmo, albo wejść w przymierze z obozem rządowi i systemowi przeciwnym.

Z Kościołem katolickim rząd znajdował się w ustawicznej wojnie w rzeczach najważniejszych, wychowania duchownego i prawodawstwa o małżeństwach, co obrażało w sumieniu ścisłych katolików, wiedzących nadto, jak administracya faworyzuje łamanie i obchodzenie obowiązujących przepisów na szkodę religii. W oczach przesiąkniętych jozefinizmem biurokratów, Austrya niedość była wyzwolona z pod przewagi Stolicy Apostolskiej, nie dopuszczali więc zgody z Rzymem, krzywili coraz gorzej nauczanie w seminaryach, przy nominacyach na posady duchowne

szukali ludzi sobie podobnych, tolerowali przekraczanie przepisów kościelnych istotnej wagi, tak, że w końcu owa okrzyczana ortodoksya władz austryackich więcej szkody niż pożytku religii przynosiła, zredukowaną będąc do przestrzegania zakazu tańców w piątki i soboty, nawet w domach inowierców, umieszczania oddzielnie poszczących i nieposzczących w miejscach publicznych, i innych podobnych szykan, które były wodą na młyn nieprzyjaciół Kościoła.

Prąd niewiary miał żywe źródło, wspólne z prądem rewolucyjnym, w świeckiem wychowaniu rządowem. System edukacyjny był w założeniu zwichnięty, nie dbając bowiem o grunt moralny i umysłowy, dążył jedynie do produkcyi posłusznych poddanych i sług rządu. Istniały bardzo szczegółowe przepisy co i jak ma być uczone, ale wykonania nikt nie pilnował. Gdy wiedza nauczyciela nie szła dalej, jak książka szkolna, kończyło się na mechanicznem wbijaniu w głowy urzędowej mądrości; nauczyciel nieco zdolniejszy, dodawał od siebie komentarze, czerpane zazwyczaj z zakazanej literatury niemieckiej, z porządku myśli wprost przeciwnego widokom rządu. W Wiedniu pod bokiem władz z katedr uniwersyteckich burzono w biały dzień bezkarnie zasady, na jakich rząd się opierał i jakie w całej Europie usiłował przeprowadzić.

W ten sposób wychowana młodzież spotykała na samym wstępie w życiu demoralizującą dwoistość między literą prawa i praktyką. Surowo wzbraniając jawnej dyskusyi politycznej, tolerowano publiczne drwinki z rządu. W czytelni prawników, *(Juridischer Lese-Verein)* wykładano filozofię rewolucyi, organizował się przyszły rząd rewolucyjny. Cenzura tłumiła wolne słowo na miejscu, lecz najgorsze książki zagraniczne sprzedawały się otwarcie. Rząd uchodzić chcący za rodzaj bóstwa wszechwiednego i wszechwładnego, był przedmiotem pośmiewiska, sam pielęgnował rewolucyę, resztek sił swoich używał na to jedynie, żeby poddanym dokuczać, albo ich śmiertelnie nudzić.

Wiedeńczyk pocieszał się, drwiąc sobie do woli z swoich władców, jednego z nim pochodzenia i języka. Polak, Włoch, tej ucieczki nie miał. Czem dalej od stolicy monarchii, tem bardziej zacierał się „ojcowski“ charakter rządu, rosła samowola

niższych władz, podnosiła głowę tendencya germanizacyjna. Czy rząd naczelny chciał czy nie chciał germanizować, niemczenia chwytały się jego narzędzia, czując niemoc systemu, sprzecznego z dziełem natury i czasu, pewne pochwały z góry, gdzie mrzonka zlania Austryi w jednolitą całość tak wielu liczyła zwolenników. Wywoływano duchy dla Austryi ówczesnej najzgubniejsze, dążenia i antagonizmy narodowe, z któremi Austrya walczyć mogła statecznie do pewnej tylko granicy i przy pomocy siły materyalnej, jakiej nie posiadała, podczas gdy duchy owe niebacznie wywoływane wchodziły w przymierze z rewolucyą, zasadę narodowości za hasło przyjmującą.

Idea narodowości zadała już była ostateczny cios znaczeniu Austryi w Rzeszy niemieckiej i przechyliła szalę na stronę Prus. Kosmopolityczny dom austryacki chciał mieć w Rzeszy puklerz i sługę, zrażał ku sobie rządy i ludność, usiłując nałożyć im swoje widoki i system, smutne przynoszący owoce. Rząd berliński nie wtrącał się w cudze sprawy, nie narzucał sąsiadom z radami i naukami, lecz umiał lepiej rządzić, udzielał poddanym większej opieki i swobody, okazywał się dbałym o dobro wielkiej ojczyzny i przedstawiał w stosunku do Niemiec element organizacyjny, na jakim Austryi zbywało. Projekt Metternicha utworzenia związku celnego państw południowych z Austryą, upadł z powodu opozycyi wiedeńskich fiskalistów, obawiających się ubytku w dochodach skarbowych. Związek celny niemiecki staraniem Prus przywiedziony do skutku, przyniósł wielkie ulgi i korzyści, a interesa ekonomiczne i handlowe Niemiec odłączył od interesów Austryi, która coraz bardziej uchodzić zaczęła za intruza w Rzeszy i ustępować miejsca Prusom, państwu jednolitemu, do rdzenia niemieckiemu, w oczach protestantów mającemu nadto urok protestanckiej monarchii.

Śmierć Fryderyka Wilhelma III. w 1840 r. była dotkliwą stratą dla Austryi. Stary król łatwo poddawał się sprzymierzeńcom, u siebie nie dopuszczał zmiany systemu, rzeczy dla dworu wiedeńskiego ze wszech miar nieprzyjemnej i kłopotliwej. Reformy wewnętrzne, przez nowego króla przedsięwzięte, wzmocniły stanowisko Prus, na niekorzyść polityki austryackiej. Fryderyka Wilhelma III. zdobiły rzadkie przymioty, ale tkwił w nim duch

niespokojny, nigdy do równowagi przyjść niemogący. „Król ma namiętność tykania wszystkiego i lubi błyszczeć, pisał Metternich w 1842 r. Boję się, że wszystko przewróci, własny kraj i całe Niemcy. Przypisuje sobie moc, jakiej nie posiada i jakiej istota ludzka posiąść nie może, moc powstrzymania siły rzeczy". I tak się stało. W sprawach religijnych protestantyzmu, w wewnętrznej polityce, w konstytucyi Rzeszy, koronowany romantyk, jak go trafnie nazwano, poruszył rozmyślnie najtrudniejsze i najdrażliwsze problemata, w każdej rzeczy chciał dosiądz ideału, który w jego płodnym i zmiennym umyśle coraz inne, a zawsze niewyraźne przybierał kształty, żadnej kwestyi rozwiązać nie zdołał i mimowoli przyłożył się do zwiększenia zamętu w świecie.

Ulubioną myślą króla była reforma rządu w Prusach, w duchu reprezentacyjnym. Nie przypuszczał uszczuplenia władzy królewskiej, którą uważał jako depozyt przez Opatrzność w swem ręku złożony, i której pełność potrzebną mu się wydawała, aby módz dobrze czynić i obowiązki swoje wypełniać; tembardziej więc przeciwnym był zaszczepieniu w Prusach zasad i form francuskiego konstytucyonalizmu. Szczerze pragnąc miłości, jedności i zgody między monarchą i narodem, wzmocnienia rozwolnionych węzłów między tronem i poddanymi, bolejąc nad niedotrzymaniem obietnicy, uczynionej niegdyś przez ojca, zaraz na koronacyi w Królewcu przyrzekł uroczyście wprowadzenie w życie systemu reprezentacyjnego. Miał w tej mierze własny ideał, „chrześcijański i germański", dozwalający monarsze znosić się z poddanymi bezpośrednio, jak ojcu z dziećmi; lecz udział poddanych w rządzie ograniczyć zamierzał do zgody stanów na pożyczki skarbowe i nowe podatki, tudzież do głosu doradczego w niektórych materyach prawodawczych. Kiedyś w przyszłości miał z tego wyrobić się rodzimy konstytucyonalizm pruski. Król sam wahał się z zaczęciem reformy, napotykał na wielki opór ze strony własnej rodziny, mianowicie dzisiejszego cesarza Wilhelma. Stracono dużo drogiego czasu, nie skorzystano z zapału, wzbudzonego zmianą tronu, tymczasem wyobrażenia i żądania narodu o wiele wyprzedziły zamysły królewskie. Metternich ostrzegał króla, że projektowana centralna reprezentacya stanów nikogo nie zadowolni i da początek nieobliczonemu w następstwach ruchowi; król twierdził,

że znając dobrze swoich Prusaków, wie lepiej, czego w głębi serca pragnie, liczył na urok majestatu, wreszcie, będąc niepospolitym mówcą, na swój talent oratorski, i pomylił się. Połączone stany, zwołane w roku 1847, odegrały w miniaturze rolę stanów jeneralnych francuskich, z tą różnicą, że dzięki ładowi w finansach i administracyi, nie znalazły punktu oparcia do radykalnej i nagłej zmiany formy rządu. Ulegając naciskowi, król poszedł dalej w ustępstwach, niż pierwotnie zamierzał, rozszerzył zakres atrybucyi stanów, zobowiązał się zbierać stany regularnie co dwa lata, nie uniknął przecież rewindykacyi, nieśmiałych i oględnych w formie, ale bardzo wyraźnie określających dążenia i cel przeważnego stronnictwa, które odniosło wielkie zwycięstwo moralne, zdobyło popularność i własnej dokonało organizacyi. Z tego względu, niema wątpienia, że krok połowiczny i spóźniony Fryderyka Wilhelma IV. przyspieszył katastrofę wiszącą nad Europą i Niemcami.

Metternich to przeczuwał i przewidywał, dlatego tak odradzał królowi pruskiemu zwołania stanów, dlatego tak naganiał ustępstwa Piusa IX., „*du Pape libéralisant*“. Jedno i drugie zwiększyło kłopoty zewnętrzne Austryi, dając silny popęd ruchowi liberalnemu, który godził w panowaniu austryackiem we Włoszech i pracował nad usunięciem Austryi z Rzeszy niemieckiej. Wewnątrz pozycya rządu stawała się codzień drażliwszą; on jeden bowiem trwał w ojcowskim absolutyzmie i opierał się zmianom, wszędzie przyznawanym. Konferencya stanu dumać poczęła nad reformami, obdarzeniem Austryi centralną reprezentacyą stanów na sposób pruski, uchyleniem i skupem pańszczyzny i dziesięcin. Te trzy rzeczy były podobno w zasadzie zdecydowane i zapewne na później odłożone, gdyż wybuch rewolucyjny wszystko po staremu zastał.

Czas niebawem okazał, że koniec końcem wszystko na jedno wychodziło. Zawierucha wiosenna roku 1848 zmiotła jednakowo i z równą łatwością reakcyę w Wiedniu, reformatorstwo w Berlinie i w Rzymie, mieszczańską monarchię w Paryżu. Stary porządek był spruchniały w węgłach, ludzkość uniesiona szałem, chciała naprawy świata, której forma bardzo niewyraźnie świtała w głowach. Ludzie rządzący czuli doskonale, że jutro nie

do nich należy, i to tłómaczy nagłe zapadnięcie się tylu rządów, które uległy nie pod materyalnymi ciosami ruchu, lecz w skutek własnej nieradności.

Od lat ośmnastu wszystkie rządy gotowały się do walnej z rewolucyą rozprawy, prawie każdy miał w ręku siłę fizyczną, dostateczną do poskromienia ulicznych nieporządków. W Paryżu, w Wiedniu, w Berlinie, przy pierwszem starciu zwycięstwo zostało przy prawnej władzy, dopiero po zwycięstwie, nie wiedząc co dalej począć, rozpoczynano układy i pakta z ruchem. Żądania politycznych koncesyi zbywano obietnicami, z tajonym zamiarem cofnięcia takowych; poświęcano ludzi wskazanych windyktem publicznym, co się równało przyznaniu do winy i słabości, a przedewszystkiem popełniano błąd kardynalny: rząd usuwał na bok wojsko i uzbrajał własnego przeciwnika, który tego tylko czekał, aby bój wstępny rozpocząć. Po upływie kilku miesięcy dopiero, kiedy rewolucya objechała Europę, nowi ludzie zdołali dociec sekretu i odgadnąć szaradę, która poprzedników o upadek przyprawiła, a wtenczas nastał początek końca materyalnego panowania rewolucyi.

Rząd austryacki od wielu lat studyował rewolucyę *in anima vili*, zbroił się, sposobił na domowego i zagranicznego nieprzyjaciela. Od nadejścia wieści o dniach lutowych w Paryżu, oczekiwano w mieście lada chwila widowiska, robiono zapasy świec na iluminacyę, aby święcić upadek Metternicha, który był kozłem ofiarnym zawczasu wyznaczonym, jak Guizot w Paryżu, Lola Montès w Monachium. Policya czuwała dniem i nocą, wojsko było skonsygnowane w koszarach, wszystko na papierze gotowe. Do rozpoczęcia tanów brakowało tylko pretekstu. Dostarczył go rząd, zwołując na 13 marca posiedzenie stanów prowincyonalnych. Zaledwie panowie stanowi byli zebrani, pojawiła się w asystencyi ludu garść studentów z petycyą w kieszeni o naprawę państwa i zamiarem rozpędzenia zgromadzenia stanowego. Zamiast posiedzenie zamknąć i palców w awanturze nie maczać, panowie stanowi parlamentowali ze studentami, dopóki tłum nie wtargnął do sali i ławek nie potłukł; wtenczas z marszałkiem na czele ponieśli studencką petycyę do Burgu, obiecując poprzeć ją w obec cesarza i odpowiedź mocodawcom zakomunikować. Ruchowi urosła

głowa legalna, która niedługo miała płacić koszta zabawki, a cudze doświadczenie nie powstrzymało w niewiele lat później szlachty polskiej od podobnego postępku w Warszawie: nowy dowód, jak mało ludzie korzystać zwykli z przestróg „mistrzyni życia".

W Burgu radziła już konferencya stanu naprędce zebrana; zapomniano tylko przywołać naczelników władz wykonawczych, pozostawionych własnemu dowcipowi. Wszystkim przytomną była w pamięci świeża katastrofa paryska, głowę rady zastępował, jak zwykle, niemy jak sfinks konterfekt monarchy. „Co czasy obecne wymagają, będzie przez osobny komitet natychmiast zbadane i do decyzyi NPanu przedłożone", taką odpowiedź otrzymała deputacya stanów. Tłum oblegający Burg tem się nie zadowolnił, bo oczekiwał prostego przyjęcia żądań, zaniesionych przez dostojne grono. Między tłumem i wojskiem strzegącem zamku przyszło do sprzeczek, od sprzeczek do czynnych obelg, żołnierze użyli broni. Jakiś żydek, nazwiskiem Spitzer, dostał pałaszem po głowie od kawalerzysty, któremu chciał konia zabrać; pociekło i nieco krwi niewinnej, bo gdzie drwa rębią, tam trzaski lecą. Po całem mieście w bójkach z patrolami padli zabici i ranni, siła zbrojna była wszędzie górą, nie zdobyto się jednak na energię, żeby jawnem wystąpieniem ulice oczyścić i przywrócić porządek. Tłum rozjuszony krwią niepotrzebnie przelewaną, widząc bojaźliwe zachowanie się władzy, coraz gwałtowniej nacierał; pod wieczór pospólstwo zaczęło rabować na przedmieściach. W Burgu tymczasem panowie stanowi bronili sprawy za własną uznanej. W ich ślady cisnęli się coraz nowi „pośrednicy" z radami. Arcyksiąże Ludwik wszystkich słuchał, prosił o cierpliwość, zbywał obietnicami i nic nie robił. Za nadejściem nocy, kiedy wieść o rabunkach przedmiejskich ogólny rzuciła popłoch, przyszedł do arcyksięcia z deputacyą rektor uniwersytetu i rzuciwszy się na kolana, błagał o uzbrojenie studentów, tych studentów co pierwsi ruch podnieśli. Oni mieli teraz być stróżami życia i mienia spokojnych mieszkańców. Naciśnięty przez panów stanowych, najbardziej do uległości nakłaniających, arcyksiąże ustąpił i polecił konferencyi stanu wygotować obwieszczenie w tym duchu. Oryginał, zezwalający na uzbrojenie młodzieży akademickiej, z wyjątkiem obcych poddanych, dostał się w ręce

jednego z panów stanowych, a ten ołówkiem od siebie dopisał: rząd oczekuje, iż wszyscy obywatele zaciągać się będą do straży miejskiej i czuwać nad utrzymaniem porządku. Przez zdradę, czy przez lekkomyślność, rewolucya została w armię opatrzoną.

Ośmieleni powodzeniem, przytomni w gabinecie „pośrednicy", panowie stanowi, profesorowie, studenci, oficerowie straży miejskiej, poczęli wołać jednym głosem o swobodę druku, twierdząc, że rząd austryacki nie może i nie powinien za pruskim w tyle pozostać. Tego dnia właśnie dzienniki wiedeńskie przyniosły były pismo gabinetowe króla Fryderyka Wilhelma, znoszące cenzurę. Gdy żaden z obecnych odpowiedzi nie znalazł, Metternich, który zresztą dla tępego słuchu nie mógł brać udziału w hałaśliwej dyskusyi, wyszedł do pokoju obok, aby zredagować projekt postanowienia o wolności prasy. Zaraz też przypuszczono do arcyksięcia nowy szturm, o oddalenie kanclerza, jako pierwszy warunek przywrócenia spokoju w mieście.

W chwili nadejścia deputacyi uniwersyteckiej, Metternich jadł obiad u siebie z żoną i ks. Alfredem Windisch-Graetzem, którego kilka dni pierwej przywołano z Pragi, mając zamiar oddać mu dowództwo związkowego korpusu obserwacyjnego nad Renem. Wystawienie korpusu nie doszło do skutku i Windisch-Graetz miał wracać do Pragi, kanclerz go tylko w Wiedniu zatrzymał. Podczas obiadu wezwano Metternicha do Burgu na posiedzenie konferencyi stanu w sprawie gwardyi akademickiej. Zaniepokojony długiem niewracaniem gospodarza, Windisch-Graetz, pobiegł do Burgu, jak był, w cywilnem ubraniu. Schody były zapchane ludźmi w gabinecie arcyksięcia, w obec kilku członków rodziny cesarskiej i dygnitarzy, panował zgiełk i hałas nieopisany. Szukając Metternicha, znalazł go przy stoliku, piszącego dekret śmierci na cenzurę. — Widzisz, rzekł, co się tam dzieje, ja ich nie dosłyszę i do słowa przyjść nie mogę. — Windisch-Graetz wrócił do gabinetu, zaczął od tego, że uciszył tumult, potem przedstawił pośrednikom, że to nie jest sposób traktowania spraw publicznych i dał do zrozumienia, że ich rola skończona, nie pozostaje im więc, jak odejść i zostawić rządowi czas do powzięcia dalszych postanowień. Jakoż po chwili większa część była za drzwiami, inni zmiękli i zabierali się od odwrotu. Ale ludziom

rządzącym, zdjętym strachem i zdecydowanym na wszystko przystać, bardzo była nie na rękę usługa, jaką im Windisch-Graetz oddał, uwalniając ich od obecności intruzów, z odejściem bowiem nieproszonych doradców, ubywała najlepsza wymówka przymusu do czynienia ustępstw; niejeden pragnął upadku kanclerza, lecz nie śmiał jawnie przeciw niemu wystąpić; członkowie rodziny cesarskiej przekonani byli, że lud gotów ich wymordować, jeśli na swojem nie postawi. Wypadało więc pozbyć się Windisch-Graetza i uniknąć ostateczności postanowienia czegoś z dobrej a nieprzymuszonej woli. Jeden z arcyksiążąt, wziąwszy jenerała na bok, podziękował mu za odważne wystąpienie i prosił usilnie, żeby poszedł włożyć mundur. Windisch-Graetz zrobił co chciano. W niespełna pół godziny, wracając w mundurze, spotkał na schodach Burgu Metternicha, który złożył był właśnie na ręku arcyksięcia Ludwika podanie o dymisyę.

Zaledwie Windisch-Graetz opuścił gabinet, pośrednicy stawili się napowrót w komplecie, z ponownem żądaniem usunięcia kanclerza z urzędu. Najzajadlej nacierali panowie stanowi, dodając, że inaczej nie ręczą za całość rodziny panującej, Powstał taki wrzask, że Metternich przybiegł z zapytaniem, co się stało? Z ust arcyksięcia Ludwika dowiedział się, że idzie o jego osobę i bez namysłu odrzekł, że spędziwszy całe życie na usługach cesarza i monarchii ani chwili nie chce być zawadą i natychmiast się usuwa.

Na nalegania Windisch-Graetza o cofnięcie dymisyi, odparł, że jest już zapóźno, bo niebawem cała Europa dowie się o jego upadku[1]; a jak dobrze wyraził się w piśmie do swego monarchy i w liście pożegnalnym do cesarza Mikołaja, ustępował przed potęgą wyższą nad moc panującego: przed siłą rzeczy.

Od upadku Ludwika Filipa, kanclerz zwątpił o dalszym bycie europejskiego porządku[2]. O gotującej się w Wiedniu rewolucyi nie mógł nie wiedzieć, gdyż w mieście publicznie naprzód prze-

[1] Panująca cesarzowa, odsyłając tej nocy do przyjaciółki węzełki z kosztownościami i papierami, kazała ją prosić, żeby wieść o ustąpieniu Metternicha postarała się czemprędzej rozpowszechnić.

[2] Do sprawującego interesa rosyjskie, Fontona, odezwał się zaraz: Mój kochany, to początek końca!

powiadano, że wybuch nastąpi 13 marca, Metternich odejdzie, a 15 będzie ogłoszona konstytucya. Ostrzegał go o tem długoletni lekarz domowy, dr. Jaeger, i pytał, dlaczego nie zmienia systemu. — Czy nie wiesz, odrzekł, że ja stróża na własną rękę przyjąć nie mogę, jakżeż chcesz, żebym reformy zaprowadzał? — Te słowa wiele mówią i tłómaczą, dlaczego Metternich nie zdołał otrzymać od rządu nieco większej energii w poskromieniu zaczątków ruchu. Zdaje się także, że nie przypuszczał możliwości nagłego przewrotu. W sam dzień wybuchu, przed południem, Jaeger zastał go przypatrującego się z okna zbiegowisku przed kancelaryą stanu; jakiś Polaczek, Buryan, miał mowę, którą Pilat notował. — Przecież choroba wyszła na wierzch! zawołać miał kanclerz. Nieco później poszedł piechotą do zamku, środkiem tłumu odgrażającego się na „wszechwładnego ministra". W następnych naradach i postanowieniach brał udział bierny, bo konferencya zaciągała do protokołu ustępstwa dyktowane przez pośredników arcyksięciu Ludwikowi; cesarz Ferdynand obstawał tylko przy jednem: żeby do jego kochanych Wiedeńczyków nie strzelać. Dymisyonowanego kanclerza Jaeger zbudził koło ósmej rano i zaczął namawiać do spiesznego wyjazdu z Wiednia. On milczał, kanclerzyna mocno się oburzyła na myśl ucieczki, w domu zresztą brakowało pieniędzy na podróż, dopiero w drodze nadeszły fundusze, dostarczone przez Rotszylda.

O ile wnosić można z pism, datowanych w pierwszych dniach po upadku, sam Metternich zachował był wielki spokój umysłu; 16 marca posłał jednemu z zaufanych urzędników kancelaryi stanu projekt założenia dziennika konserwatywnego. Za to biedna kanclerzyna trzęsła się na rewolucyę, na niewdzięczność ludzką, drżała o życie męża. Z wyjątkiem kilku wiernych, wszyscy się od nich odwrócili, rząd pragnął czemprędzej pozbyć się Metternicha z miasta i wcale się nie troszczył ani o jego bezpieczeństwo, ani o ułatwienie wyjazdu. Arcyksiąże Ludwik, zapytany o zdanie, czy kanclerz ma Wiedeń opuścić, szepnął: dziś on, jutro ja. Trzeba było uciekać. Dzieci wyprawiono do krewnych, Metternich z żoną prześlizgnął się bastyonami do sąsiedniego domu hr. Taaffe. Stamtąd wyruszyli dalej fiakrem, którego im ks. Bretzenheim pożyczył. Metternich siedział w głębi, po jednej stronie

żona, po drugiej Hügel, urzędnik kancelaryi stanu, bardzo przywiązany do swego szefa. Po sześciogodzinnej podróży przybyli do Feldsberg w Morawii, gdzie im ks. Lichtenstein ofiarował gościnność[1]. W niezamieszkałym pałacu nie znaleziono ciepłego pokoju, ani pościeli; Metternich chory na kamienie nerkowe przepędził noc na kanapie, okryty szalami i futrami. Parę dni bawili w Feldsberg, nie wiedząc, gdzie się obrócić. Prośby o opiekę adresowane do Wiednia, pozostały bez odpowiedzi; ludność miejscowa zaczynała się odgrażać, w końcu burmistrz kazał im wyjechać. Zamierzali prosić o gościnność arcybiskupa ołomunieckiego, który przez rokiem przyjmował ich bramami tryumfalnemi, lecz arcybiskup odmówił schronienia, a jenerał komenderujący z wagonu wysiąść nie pozwolił. Postanowili udać się do Anglii. W tym samym pociągu obok jechał Buryan, spieszący organizować gwardyę narodową w Czechach. Metternicha poznano, wsiedli obcy ludzie, gdyż naczelnik stacyi nie chciał dać osobnego oddziału; szczęściem trafili na dwóch oficerów, podróżujących po cywilnemu, którzy oddali się na ich usługi; znalazł się także komisarz policyi z Pragi i zaopatrzył uciekających w paszport pod przybranem nazwiskiem.

Na ostatniej stacyi przed Pragą trzeba było wysiąść z pociągu, podróżować własnym powozem pocztą, przedzierać się przez miasto w sekrecie, „jak złodzieje", powiada księżna Melania, nocować po karczmach. W Dreźnie poseł austryacki wystawił im nowy paszport, także z fałszywym nazwiskiem; poseł angielski Forbes odprowadził kanclerza do Lipska. Jechali w powozie włożonym na wagon odkryty, z spuszczonemi storami, gdyż władze miejscowe, udzielające im niejakiej opieki, doradzały największą ostrożność. Z Wiednia i niemieckich stolic dochodziły ich coraz bardziej zatrważające wieści, lecz zdala od wielkich miast panowała cisza i spokój. Od Hanoweru nie znać było rewolucyi; na ostatnim noclegu nad granicą holenderską, służba hotelowa zobaczywszy korony książęce na bieliźnie, kiwała tylko głowami. Oho! znowu jakiś król ucieka!

---

[1] Jeden z Lichtensteinów konno eskortował uciekających, aż za rogatki stolicy.

W Holandyi odetchnęli nareszcie w atmosferze porządku, bezpieczeństwa i czystości. W Hadze poseł austryacki Maurycy Esterhazy umieścił kanclerza z rodziną w własnym domu, księżna Oranii przysłała pierwsza szambelana z powitaniem, król kazał im ofiarować gościnność w Holandyi. Nadszedł list bardzo serdeczny od arcyksiężnej Zofii, która pierwsza z rodziny cesarskiej dała znak życia. Ludzie zaczęli się cisnąć około Metternicha z oznakami szacunku i sympatyi.

Po paru tygodniach wypoczynku, Metternich podążył do Londynu. W ministeryum siedział Palmerston, jawny przeciwnik Austryi i Metternicha; opinia publiczna przyjazna ruchom liberalnym brała stronę Węgrów i wiedeńskich nowatorów; dwór za przykładem księcia Alberta sprzyjał hegemonii pruskiej w Niemczech. Torysi z zasady i na przekor gabinetowi pozostali wiernymi Austryi; głowa torysów, ks. Wellington był starym przyjacielem Metternicha. On też zaraz przybiegł powitać kanclerza, za nim ks. Cambridge, rodzina Sasko-Wejmarska, cała arystokracya angielska, Brunnow z odpowiedzią cesarza Mikołaja i stara gwardya dyplomatyczna; w końcu i Palmerston pierwszy krok uczynił. W Londynie bawił Guizot, sprzymierzeniec Metternicha, jak on emigrant; również wielu Francuzów chroniących się przed burzą szalejącą w domu. Niebawem salon Metternicha bywał jak w Wiedniu przepełniony.

W Wiedniu nienawiść do Metternicha prędko między ludem ustała, bo sztucznie była wzniecona. Nawet okien mu nie wybito i włos mu z głowy nie spadł, choć bezbronnego wiele razy podczas ucieczki poznano. Rząd austryacki traktował go przecież jak zapowietrzonego i znęcał się nad człowiekiem, któremu od rządu należało się co najmniej przyzwoite traktowanie. Ambasadorowi austryackiemu, ks. Dietrichstein, nie śmiano naturalnie wzbronić stosunków z kanclerzem, ale minister Pillersdorf, wysyłając barona Hummelauer z misyą do Londynu, zakazał mu wyraźnie bywać u Metternicha. Co prawda, nie miano się z czem chwalić przed obalonym mężem stanu, gdyż szło o medyacyę Anglii w celu ustąpienia Włoch i podziału długu publicznego. Hummelauer nie mógł jednak przenieść na sobie, żeby się nie pokłonić Metternichowi i spotkawszy się z nim najprzód na umó-

wionem miejscu, w ogrodzie publicznym, chodził do niego następnie w biały dzień i zwierzył się, z czem jest przysłany. Z Wiednia obłożono sekwestrem cały majątek Metternicha i zarządzono śledztwo co do zarządu funduszami kancelaryi stanu. Metternich nie przestał być kanclerzem orderu Maryi Teresy, zaniedbywano przecież nawet donosić mu o promocyach.

Prawie półtora roku trwał pobyt Metternicha w Anglii. Była chwila, gdzie życie starca zdawało się wisieć na włosku, podniósł się jednak prędko i niezmiernie był czynny. W korespondencyi jego z tego czasu, bardzo obfitej, przebija dziwna pogoda i dobry humor; często powtarza, że jego karyera publiczna skończona, najprzód, bo bardzo stary, potem, że jest człowiekiem tego, co było i co się nie wróci. Wypadki austryackie śledził z pilną uwagą i kilkakrotnie poufną drogą odzywał się z radami. Odradzał zaprowadzenia konstytucyi na sposób francuski, ostrzegał o niebezpieczeństwie centralizacyi, zalecał reformę w Węgrzech, z poszanowaniem odrębnego stanowiska Węgier. Rady bywały zawsze zdrowe i zbawienne, ale przeprowadzenie ich wymagało ze strony rządu siły, której rząd nie miał naówczas; Metternich zaś proponował, żeby cesarz reformy zarządził od siebie, po naradzeniu się z deputowanymi stanów w jak najszczuplejszej liczbie. Prawdziwe natomiast oddał usługi Austryi przez wpływ osobisty na opinię w Anglii. Korzystając z reakcyi wywołanej nadużyciami ruchu, potrafił zdobyć przystęp do dzienników angielskich, piórem i słowem oświecał ludzi tamtejszych o stanie rzeczy austryackich i przeciągając konserwatystów na stronę Austryi, miarkował zapędy Palmerstona, poplecznika wszystkich wrogów monarchii habsburgskiej.

Dziennik kanclerzyny pokazuje odwrotną stronę medalu. Wylewała tam ona gorycze wygnania, swoje żale i niepokoje, troski o męża i przyszłość dzieci, kłopoty domowe. Drożyzna zniewoliła ich szukać siedliska na kontynencie. Obrali Bruksellę, tańszą, bliższą domu, prawie przedmieście Paryża, gdzie się zawiązywało ognisko polityki europejskiej. W Austryi zaszły tymczasem wielkie zmiany, abdykacya cesarza Ferdynanda, ministeryum Feliksa Schwarcenberga, rozwiązanie parlamentu, wschodziła jutrzenka absolutnych rządów i zrestaurowanej przewagi biuro-

kratycznego żywiołu. Nie zaraz jednak znikły przeszkody, sprzeciwiające się powrotowi kanclerza do Austryi. Rząd cofał się nieśmiało, nie wiedząc, jak daleko zajdzie w wstecznym kierunku, nie chciał dać powodu do mniemania, że przywrócić zamierza przedmarcowy porządek. Biurokracya obawiała się wpływu człowieka, który zawsze usiłował ukrócić jej wszechwładztwo. Na dworze bano się niespokojnego ducha i języka kanclerzyny, marzącej o przywróceniu męża do urzędu, skłonnej krytykować ludzi i rzeczy, ostro naganiającej politykę rządu w Węgrzech. Cesarz i Schwarcenberg uznali wreszcie, że nadszedł czas zdjęcia interdyktu z Metternicha. Uchylono sekwestr z dóbr, przyznano mu 8000 fi. pensyi emerytalnej, zgodzono się na przyjazd jego do Wiednia. W czerwcu 1851 wyruszyła rodzina Metternichów w drogę do Johannisbergu; we wrześniu tegoż roku Wiedeń oglądał znowu w swych murach wielkiego niegdyś kanclerza. Podróż Metternichów przez Niemcy była istnym pochodem tryumfalnym. Wszędzie czekały ich osobne pociągi, ekwipaże dworskie, apartamenta w zamkach, powitania władz, wizyty głów koronowanych. Do Johannisbergu przybył król pruski, podróżujący wówczas po Renie, za nim procesya książąt i dygnitarzy. Ludność ciekawie przypatrywała się niedawnemu przedmiotowi powszechnej nienawiści, człowiekowi, którego upadek miał raj na ziemię sprowadzić i nie sprowadził. W Wiedniu cesarz nazajutrz po powrocie z Galicyi pospieszył z odwiedzinami i parę godzin spędził z dawnym mentorem. Zbytecznem dodawać, że „całe“ miasto biegło na wyścigi z pokłonem.

Ostatnie ośm lat Metternich strawił po największej części w Wiedniu. Po raz trzeci owdowiał, zachował do końca siły fizyczne odpowiednie podeszłemu wiekowi, świeżość umysłu, doskonałą pamięć, chęć do pracy. Dużo pisał, jeszcze więcej czytał, z domu prawie się nie ruszał, mnóstwo ludzi u siebie przyjmował i lubił napływ gości. Uprzejmy i łatwy w obejściu, niewyczerpany w wspomnieniach, miał dar opowiadania, był chodzącą, żywą historyą pierwszej połowy tego wieku, szczególnie epoki wojen napoleońskich której dzieje pisać dopiero zaczynano. Już dawniej dostarczał Thiersowi informacyi do Historyi Konsulatu i Cesarstwa, choć autora, dopóki tenże był ministrem

lub naczelnikiem opozycyi, nie lubił i unikał; pod koniec życia pogodził się z nim, przyjmował go w Johannisbergu; takim sposobem wiele najważniejszych szczegółów o polityce austryackiej, zawartych w Historyi Konsulatu i Cesarstwa, wyszło wprost od kanclerza i uprzedziło ogłoszenie Pamiętników. Wielki świat wiedeński przywykł patrzyć przez oczy Metternicha na czasy Napoleońskie i późniejsze, na stosunki europejskie i na stosunek Austryi do sąsiadów.

Pozycya Metternicha w Wiedniu wypływała, żeby się tak wyrazić, sama z siebie. Dom cesarski widział w nim uosobienie starej Austryi cesarza Franciszka, powiernika woli z czcią religijną szanowanej. Panujący cesarz wzrósł i wychował się pod jego okiem; jako następca tronu, od kanclerza czerpał pierwsze wiadomości o sprawach europejskich; kanclerz prostował w młodzieńczym umyśle pojęcia, wpajane przez nauczycieli, zapamiętałych centralistów i germanizatorów. Metternich znał na palcach wszystkie kwestye, od lat pięćdziesięciu agitujące się w Austryi i w Europie, ludzi przeszłych i teraźniejszych, ukryte nici w jego niegdyś spoczywające dłoniach. Można mu było dużo powiedzieć, być pewnym, że reszty się domyśli, wszystko zrozumie i dla siebie zachowa. Udawano się do niego jak do spowiednika, w trudnych i drażliwych okolicznościach: zdania zasięgano często, lecz rzadko słuchano.

O istotnym wpływie Metternicha na bieg spraw austryackich mowy być jednak nie mogło, zwłaszcza w porze rządów osobistych, którym fakta dopiero położyły koniec. Opinie Metternicha w kwestyach wewnętrznych mocno się różniły od zapatrywań ludzi nowego systemu. Metternich nie przestał być przeciwnikiem centralizacyi i germanizacyi, przyjętej za zasadę w sferach rządzących. Wkrótce po jego powrocie, na nowy rok 1852, ukazał się patent cesarski, zaprowadzający wiele zmian niegdyś przez kanclerza projektowanych, lecz stało się to bez udziału tego ostatniego, a projekta kanclerskie zostały przykrojone wedle biurokratycznego ideału i panujących dążeń.

O ruchu polityki europejskiej Metternich był bez przerwy powiadomiany. Każdy pragnął usłyszeć, co trzyma i sądzi nestor cechu, oświecony czterdziestoletnią praktyką rzemiosła. W Au-

stryi ludzie w czynnej służbie pozostający, prawie bez wyjątku służyli pod Metternichem; z obcych mało kto nie był mu oddawna znany. Ministeryum spraw zagranicznych udzielało mu zazwyczaj do przejrzenia ważniejsze depesze, reszty dowiadywał się od członków ciała dyplomatycznego, którzy często uciekali się do jego pośrednictwa. Zaraz od powrotu utworzyło się w salonie kanclerza ognisko polityki europejskiej, ognisko akademickie, przy którem wiele i nieustannie filozofowano. Ile razy zaszedł jaki ważny wypadek, Metternich posyłał swemu następcy w kancelaryi stanu swoje *votum consultativum,* pisywał memoryały dla użytku monarchy, albo swój sposób widzenia notował i zachowywał. Jak wszystko co wychodziło z pod jego pióra, tak i te pisma u schyłku życia datowane, noszą piętno niepospolitego umysłu i wytrawnego sądu, lecz „system Metternicha“ nie przystawał do nowego czasu.

Kanclerz często powraca do definicyi swego systemu: *la force dans le droit,* siła w prawie, czyli mówiąc dzisiejszym językiem, prawo przed siłą. Naturalnie pod mianem systemu Metternicha rozumieć należy pewien układ europejski i pewien porządek w stosunkach międzynarodowych, wewnętrzny bowiem porządek austryacki, zwany także systemem Metternicha, nie był dziełem Metternicha, lecz dziełem cesarza Franciszka. Zobaczmy jak ten system powstał i czem on był właściwie.

Metternich rozpoczął karyerę publiczną jako minister monarchii austryackiej, przez rewolucyę francuską i Napoleona najdotkliwiej, materyalnie i moralnie upokorzonej. Zadaniem jego nie mogło być co innego, jak Austryę od dalszych klęsk uchronić, straty poniesione powetować i zapewnić Austryi byt bezpieczny. Doświadczenie uczyło codzień dosadniej, że pierwszym tego warunkiem złamanie przemocy Napoleona, całej Europie doskwierającej. Umiejąc korzystać z przyjaznych okoliczności, umiejąc zwłaszcza sprowadzić do wspólnego mianownika widoki mocarstw sąsiednich, zdołał skleić koalicyę europejską i cel osiągnąć. Austrya odzyskała pierwszorzędne w Europie stanowisko, świat odzyskał upragniony spokój i zapewnione jutro. Nowy porządek znalazł wyraz prawny w umowach r. 1815, które głównym mocarstwom zapewniały byt pod względem politycznym znośny.

Z wszystkich państw, Austrya ujrzała się najmocniej interesowaną w utrzymaniu nietykalności traktatu wiedeńskiego. Dał on Austryi wszystko, co w danych okolicznościach zyskać mogła. Ofiara korony cesarskiej, utrata Belgii, nie ciężyły domowi habsburgskiemu, znalazł inne kompensaty, zajmował bądź co bądź jedno z pierwszych miejsc w świecie; nie widząc możności dalszych nabytków, kontentował się tem, co posiada i to zachować zamierzał. Wstręt do wojny nigdzie wyraźniej nie występował jak w Wiedniu. Natura i wyjątkowe położenie domu austryackiego pozwalały mu praktykować wstrzemięźliwość w polityce; temperament cesarza Franciszka i Metternicha cnotę zamieniał w nałóg. Stąd poszło przywiązanie do traktatu wiedeńskiego, tak począł się system Metternicha. Traktaty roku 1815, mówił kanclerz, starały się zadośćuczynić żywotnym interesom mocarstw i słuszne ich żądania z sobą pogodzić; zakreślają każdemu z nas granice terytoryalne, w których może bezpiecznie i spokojnie egzystować; przez wszystkich uznane, stanowią prawo publiczne Europy, prawo, którego ścisłe poszanowanie jest zadatkiem zgody i pokoju. Szanujmy przeto to prawo, a spory w czasie i przestrzeni wyniknąć mogące, wytaczajmy przed wspólny areopag i załatwiajmy polubownie, jak przystoi członkom jednej rodziny chrześcijańskiej.

Godząc między sobą żywotne interesa mocarstw i bacząc na równowagę w rozkładzie sił materyalnych, traktat wiedeński usunął na czas jakiś z powierzchni przyczyny sporów międzynarodowych, lecz natury ludzkiej zmienić nie zdołał. Prędzej czy później podnieść głowę musiały żądze człowiecze, pragnienie przewagi nad sąsiadem, zazdrość i chciwość, wreszcie potrzeba zdobycia szerszej przestrzeni dla wzmagającej się czynności ludzkiej. Zrazu tłumiła je powszechna chęć wypoczynku po tylu latach krwawych walk i strach, żeby nie rozpasać na nowo szatana wojny, następnie wewnętrzne agitacye i ruchy rewolucyjne. Rządy zajęte gojeniem ran, lub walką z wspólnym wrogiem, nie miały czasu, ani ochoty myśleć o zaborach. System Metternicha posiadał wtenczas racyę bytu, odpowiadał sytuacyi i dał się w praktyce stosować.

Pomału zacierała się pamięć klęsk wojennych, szedł w zapomnienie zwyczaj polubownego traktowania spraw europejskich,

areopag europejski zamienił się w despotycznego mentora, małym sprzykrzyła się kuratela wielkich mocarstw, budziły aspiracye na dnie drzemiące. Dom austryacki pozostał unikatem w Europie, posunął do ostatnich granic rezygnacyę w polityce zewnętrznej; pogrążony w nieruchomości, nie przypuszczał, że potrafi istnieć w innych warunkach jak te, jakie Austryi stworzyła litera traktatu wiedeńskiego. Pomiędzy bliższymi i dalszymi sąsiadami niejeden uczuł pokusę przekroczenia granic traktatowych, wyrósł na rywala lub jawnego wroga monarchii austryackiej. Na podobne zachcianki jedynem lekarstwem siła w usługach prawa; lecz Austrya bezbronna tego lekarstwa użyć nie mogła. Coraz bardziej i częściej głos kanclerza bywał głosem wołającego na puszczy, zalecał poszanowanie prawa publicznego i miłość pokoju ludziom, chcącym łowić ryby w mętnej wodzie. Nakoniec rządy, skapitulowawszy przed rewolucyą, zaczęły się posługiwać tkwiącą w niej potęgą; wtedy pękła ostatnia nić, wiążąca je z sobą, bojaźń smoka, który dał się ugłaskać, osiodłać i na pegaza wykierować. Interes, przystrojony w modne szaty wielkich idei i misyj historycznych, wzięty za jedyną ewangielię w polityce, zaliczył do rzędu fikcyi ową rodzinę chrześcijańską mocarstw, niegdyś w Wiedniu sklejoną, wypowiedział wojnę umowom roku 1815 i postawił zasadę, że prawo nic bez siły nie znaczy. System Metternicha przeszedł całkowicie do historyi, bo się jego czasy spełniły: świat musiał doświadczyć na własnym grzbiecie, czy mu lepiej będzie pod panowaniem prawa, przez samą dyktowanego siłę. System Metternicha pozostanie w dziejach, jako ślad dążenia ludzkości do zastąpienia w stosunkach międzynarodowych prawa pięści prawem publicznem, orzeczeń oręża, orzeczeniami europejskiego trybunału.

Jak każdy człowiek, co przekroczył zwykłą granicę życia ludzkiego, Metternich uległ pospolitemu prawu, nie zdążył za pochodem czasu. Ciągłe zetknięcie z ludźmi i sprawami świata uchroniło go od obrócenia się, jak to bywa u starców, w mumię chodzącą między żywymi; pojmował, że nowe pokolenie nie może kontentować się formami i trybem życia poprzedników, ale widząc jak wszystko stare upada, a nic prawdziwie nowego i trwałego nie podnosi się, mniemał, że świat z własnej woli wróci wstecz

i na nowo rozpocznie robotę. Sens moralny jego nauk bywał jeden i ten sam: nie wynaleźliście nic lepszego od systemu Metternicha, spróbujcie przeto doń się wrócić. Na starość coraz mniej lubiąc hazardy, zalecał Austryi i Europie ostrożność, cierpliwość, umiarkowanie, unikanie niepewnych przedsięwzięć, wzajemne ustępstwa dla miłej zgody; wściekliznę polityczną chciał leczyć staremi miksturami dyplomatycznemi, co godzina po łyżeczce aż do skutku. Wojna wschodnia wydała mu się olbrzymiem nieporozumieniem, które można było załatwić, przemawiając w imię zdrowego rozsądku. W wojnie włoskiej widział zbrodnicze szaleństwo po stronie przyszłych tryumfatorów, przepowiadał im smutny a zasłużony koniec, i końca nie doczekał. Nad miarę w tej porze pracując, resztki sił żywotnych z siebie wyczerpał.

W maju tęgo roku obchodził ośmdziesiątą szóstą rocznicę urodzin, w zupełnem na pozór zdrowiu. Obecni uderzeni jednak byli zmianą, w jego fizyognomii zaszłą. Nieco później baron Hübner, były poseł austryacki w Paryżu, towarzysząc mu w przechadzce po ogrodzie, spostrzegł, że ciało kanclerza dziwnie mało waży. Kanclerz mówił dużo i bardzo żywo, przy pożegnaniu kilka razy powtórzył: *J'ai été un rocher de l'ordre!* Odchodząc, Hübner, wybierający się w drogę do Neapolu, uchylił drzwi, żeby się jeszcze kanclerzowi przypatrzyć. Starzec siedział przy biórku, z piórem w ręku, wzrok zatopiony w przestrzeni, wyprostowany, majestatyczny, jak za najświetniejszych czasów. Spojrzał na Hübnera i szepnął: *Un rocher de l'ordre!* — Rankiem 11 czerwca zemdlał przy ubieraniu, odzyskawszy na krótko przytomność przyjął św. Sakramenta i w parę godzin zasnął bez konania.

Czytelnik chcący się przekonać, czem bywają sądy współczesnych, niech przeczyta Pamiętniki Metternicha i porówna je z nekrologami kanclerza w dziennikach z czerwca 1859.

Henryk Lisicki.

POJĘCIE O BOGU

w chrześcijaństwie i u filozofów.

„Niech się nie chlubi mądry w mądrości swej, i niech się „nie chlubi mężny w męstwie swem, i niech się nie chlubi bo„gaty w bogactwie swojem. Ale niech się w tym chlubi, który „się chlubi, że umie i zna mię, żem ja jest Pan“ [1]. W tych słowach Jeremiasza proroka zawarta jest niezgłębiona w swej treści prawda, odnosząca się do całego życia tak pojedynczych jednostek ludzkości, jak i całego społeczeństwa. Na dowód powyższego zdania nie potrzeba wyższej wiary, wystarczy otwartemi oczyma spoglądnąć na świat i dozwolić dobrej woli pójść za zdrową loiką, opierając się na wrażeniach z doświadczenia zebranych. I tak pewnikiem to jest nieprzepartym, że miarą wielkości i godności, do jakiej tylko człowiek podnieść się zdoła, jest jego wiadomość o Bogu. Jakiem jest pojęcie to w człowieku, takim też jest i sam człowiek. Jakiemi były pojęcia o bożyszczach pogańskich, uosabiających wszelkiego rodzaju występki, takiem też było i społeczeństwo pogańskie; bo doskonałości, jakie człowiek w Bogu upatruje, takie same też i sobie przyswoić pragnie, a ktoby wmówić w siebie próbował, że nie ma Boga, ten w miarę tej dążności pozbawia się też i wszelkiej moralnej godności; towarzyska bowiem przyzwoitość jest tylko zewnętrzną pokrywą, która człowiekowi bynajmniej wewnętrznej

[1] Jerem. IX. 23. 24. *Non glorietur sapiens in sapientia sua, et non glorietur fortis in fortitudine sua, et non glorietur dives in divitiis suis. Sed in hoc glorietur, qui gloriatur, scire et nosse me, quia ego sum Dominus.*

nie daje wartości. I nie dziwmy się temu, jestto bowiem psychiczną koniecznością, która w naturalnej harmonii sił naszych duchowych ma swą podstawę. Wola kieruje się zawsze prawem rozumu; co rozum za prawdziwe uzna, to też i wola stara się uskutecznić. Stąd życie i działanie Boga o ile je człowiek pojmuje, staje się modłą i prawidłem życia i działania ludzkiego, bo człowiek nie może nic więcej za wyższą prawdę uznać, jak to, co mu Bóg okaże. A jeżeli kiedy wola niższego rzędu skłonnościami opanowana, i pod prawo tej modły rozumu poddać się nie chce, wtedy szuka sobie innego środka, aby tylko nie zerwać harmonii z rozumem, i tak długo nagli ją nieprzeparta jakaś siła do odrzucenia lub przekształcenia swego pojęcia o Bogu, choćby do tego i fałszywymi dojść miała wnioskami, dopokąd jakiś pozór przeświadczenia na miejsce dawnego przekonania nie nastąpi, i rozumu ze spaczoną wolą nie pogodzi. Jestto historya dawna, teraźniejsza i przyszła serca wszystkich, co się Boga nie zapierają. Wniosek stąd naturalny, że poznanie Boga jest w rzeczywistości czynnikiem w życiu ludzkiem najważniejszym, jest podstawą moralnej człowieka godności, jego prawdziwą chlubą: *in hoc glorietur, qui gloriatur, scire et nosse me* — „niech się w tym chlubi, który się chlubi, że umie i zna mię".

Zachodzi teraz pytanie, jak się zachowują wiara i filozofia, te dwa najwyższe ludzkiej wiedzy czynniki, w stosunku do poznania Boga? Wieki całe przetrwała u ludów chrześcijańskich między wiarą a filozofią harmonia. Co ta mówiła o Bogu, tamta to uzasadniała i rozszerzała; bo tylko wiara pouczać mogła o istocie Boga, o życiu Jego wewnętrznem, o Jego działaniu na zewnątrz; zaczerpnąwszy to wszystko bezpośrednio z wiedzy i mądrości Bożej przez objawienie, a filozofia w badaniach swych rozumowych postępowała przy świetle tej pochodni. Umysł ludzki mógł zapomocą objawienia, jakby po ubitym postępować torze, a zarazem zrozumieć, o ile siły jego naturalne wystarczyć mogą do poznania Boga. Tak nabyta wiedza pozostała wprawdzie daleko wstecz poza wiedzą objawioną, ale w każdym razie to, do czego wznieść się mógł ludzki umysł, dawało mu świadomość posiadania prawdy zupełnej [1].

[1] S. Thom. Sum. q. 1. a. 1.

Wiara więc i filozofia powinny na drodze poznawania Boga iść ręka w rękę, jak się to działo wieki całe, tak powinno było zostać i nadal. Lecz niestety w nowszych czasach stało się inaczej. Wielkiej liczbie myślicieli podobało się porzucić utartą przez objawioną mądrość Boga ścieszkę i spróbować, jak też daleko duch ich, światła wiary pozbawiony, dojść potrafi; a byli przekonani, że wynik tych badań musi być prawdą nieomylną. Nic więc dziwnego, że właśnie tu, gdzie o poznanie Boga idzie, między filozofią nową, nowości szukającą, a wiarą na nieodmiennych opartą posadach, przedział jest niezmierny. A jednak jużby i światło zdrowego rozumu wskazać mogło Tego, którego ogłaszają *testimonia credibilia facta sunt nimis;* boć i w dawnej już szkole filozofii widzimy mężów wiedzionych jedynie miłością prawdy, u których rozumem poznane Bóstwo w głównych swych zarysach nie różniło się od Boga w chrześcijaństwie. Inaczej dzieje się dzisiaj. Występują filozofowie, którzy po dowolnie obranej drodze krocząc, nie znajdują nic oprócz materyi — nic p o za n i ą, ani też n a d n i ą — dla nich Bóg jest błędem i kłamstwem. Stanęli tem samem na stanowisku, na jakiem przed 2000 laty byli Epikurejczycy, zostali nowymi poganami, podobni dawnym w obyczajach i nauce. A czemże to jest, jeśli nie jawnem wyznaniem ateizmu? Inni tego kierunku filozofowie posunęli się trochę dalej, nadając temu materyalnemu światu nazwę B o g a, albo przypisując mu własności jedynie Bogu należne, jak np. byt absolutny, bezwzględny, a to znowu niczem innem nie jest, jak tylko filozofią materyalnego panteizmu.

Nowsi zwolennicy tejże filozofii przenoszą nowo ukutą nazwę m o n i z m u nad dawną panteizmu, określając swe zdanie, że Bóg i wszechświat jedną i tą samą są rzeczą (μόνον). Panteizm ten, mimo zachowanej jeszcze nazwy Boga, w rzeczy samej niczem innem nie jest, jak tylko czystym ateizmem; boć świat, choćby go ktoś Bogiem nazwał, nie będzie tą istotą nieskończonego majestatu, która sama w sobie zawiera pojęcie nieograniczonej doskonałości, zostanie on zawsze dziełem tylko bożej wszechmocy i mądrości, i mimo piękności jego i wielkości będzie między nim a Bogiem różnica nieskończona. Trzecim systemem, lub raczej

bezrozumną mrzonką wyobraźni jest panteizm idealistyczny, gdzie Bogiem nie jest już ani istota ponadświatowa, ani też świat materyalny, ale jakaś podmiotowa forma ludzkiej myśli, bezprzedmiotowa idea, a jako taka jest ideałem doskonałości, celem nigdy się uiścić niemającym, za którym jednak wiecznie gonić mamy. Tak np. Bóg Fichtego niczem innem nie jest, tylko podmiotową ideą naturalnego porządku świata. A późniejszy Vacherot, dawniej zwolennik Hegla, następnie pozytywista z profesyi, wypowiadając z całym zapałem wojnę materyalistom, zadowalnia się ostatecznie pojęciem o Bogu, którym, wedle niego, jest w myśli człowieka istniejący ideał prawdy, dobra i piękna[1]. Takie pojęcia o Bogu, przyjmą bezwątpienia i najskrajniejsi materyaliści z ochotą.

Z tego widzimy, że cała ta gromada filozofów, którzy dla pozorów zachowali jeszcze nazwę Boga, niczem innem w rzeczy samej nie są, jak prawdziwymi ateistami, odrzucającymi istnienie zaświata, a tem samem i prawdziwego Boga. To też Leibnitz, patrząc za dni swoich na te wyradzające się systemata filozoficzne, przepowiadał, co się w istocie za dni naszych spełniło, że herezyą ostateczną będzie ateizm. Wniosek stąd jasny, że wielka bardzo ilość hołdowników dzisiejszej filozofii, w stosunku do poznania Boga w sprzeczności stoi z wiarą chrześcijańską. Lecz cóż na to sam rozum? Czy potępi wiarę czy też ateistyczną filozofię? Odpowiedź na to pytanie będzie przedmiotem naszego badania.

Jestto dalszy ciąg badań, podanych już w dawniejszych zeszytach[2], gdzieśmy wyłuszczyli pojęcie wiary z nauk filozofii i Kościoła o istocie wiary. Widzieliśmy tam, że filozofowie upłynionych wieków tę istotę wiary na tysiąc sposobów pojmowali, podczas gdy Kościół, wśród swego 19-wiekowego trwania, nie ustąpił na jotę od pojęcia wiary, jaką naszkicował Paweł św. Pojęcie to Ojcowie Kościoła i teologowie obrabiali i wyjaśniali, wszystkie jego części składowe dokładnie badali, ale nigdy Kościół

[1] Vacherot. *La Religion expliquée par la Psychologie* i drugie dzieło: *La Métaphysique et la science.*

[2] Rozwój wiary. Zeszyt I. str. 7, II. str. 275, III. str. 424, IV. str. 8.

nie wystąpił z inną o istocie wiary nauką. Uwieńczeniem zaś tego 19-wiekowego badania, jest orzeczenie soboru watykańskiego w tej pełnej o pojęciu wiary definicyi [1]. Rozprawą też niniejszą, skończywszy kwestyę o pojęciu wiary, przechodzimy do rzeczy temuż pojęciu odpowiadającej, pytając się, czy tak określona wiara jest czemś rozumnem?

Aby coś za rozumne uznać, potrzeba mieć przedewszystkiem pewne dane warunki. I tak, ponieważ wiara jest pojęciem objawionej od Boga nauki, to najsamprzód pewną być musi ta wstępna prawda wiary *(praeambulum fidei)*, że Bóg, mogący takie objawienie udzielić, rzeczywiście istnieje. Uwierzytelnienie rozumowe tej prawdy, która jest podstawą wiary katolickiej, a przeciw której właśnie filozofowie użyć chcieli swego negatywnego *criterium*, stanowić będzie, jakeśmy to już powiedzieli, przedmiot niniejszej rozprawy. Aby zaś nie przekroczyć granic, odpowiednich łamom tego pisma, a wypowiedzieć przecież to, co jest koniecznem i pożytecznem, ograniczymy się na trzech krótkich a jasnych pytaniach, na które odpowiedzieć pokusimy się:

1° Czy jest możliwą rzeczą mieć przekonanie rozumowe, że Bóg nie istnieje?

2° Jak się zapatruje rozumna krytyka na wywody materyalistycznych i panteistycznych ateistów, zaprzeczających Boga?

3° Czy zwykłe dowody istnienia Boga wytrzymują ścisły rozbiór rozumu?

Jeżeli zadaniem chrześcijańskiej filozofii jest podnieść rozum przeciw niewiarą spętanemu nierozumowi, aby wiara nasza była rozumna, a rozum nasz wierzącym, to rozwiązanie powyższych pytań powinno zwrócić uwagę tych wszystkich, dla których rozum i wiara nie są tylko czczem słowem.

I.

Czy istnieją prawdziwi ateiści, tj. ludzie, którzyby z przekonania zaprzeczali bytności Boga? Rzecz dziwna; na pytanie to odpowiadali jedni wręcz przecząco, inni wprost twierdząco: o czem apologetyczna literatura, drugiej przedewszystkiem po-

[1] *Conc. Vatic. decret. de fid.*

łowy zeszłego stulecia, daje świadectwo. Gdy ateizm z profesyi we Francyi w zeszłem stuleciu kwitnąć począł, wystąpił cały szereg obrońców wiary, twierdząc i udowadniając, że niemożliwą jest rzeczą, aby szczerzy ateiści istnieli, gdyż pojęcie o Bogu za nadto zakorzenione jest w umyśle ludzkim [1]. Inni przeciwnie wystąpili z twierdzeniem, że liczba ateistów jest bardzo wielką. Sadzili się na to nietylko sceptycy i niewierni [2], ale także i wierzący filozofowie, którzy w swej nieroztropnej gorliwości i tych do rzędu ateistów zaliczali, którzy jakiekolwiek fałszywe pojęcie czy to o Bogu, czy o Jego istocie, czy też o stosunku Jego do stworzeń objawili [3]. Logicznie z tych błędów wynikałoby może zaprzeczenie Boga; wszelako loika w człowieku nie jest, przecie tak żelazną, żeby go miała aż do ostatecznych w przyjętym błędzie doprowadzić wniosków, a zdrowa natura i częściej jeszcze łaska boża, odwodzą mimowiednie od upadku w nieodzowną przepaść, od ostateczności, do jakich błąd raz popełniony logicznie wiedzie. W obu zapatrywaniach jest prawda z fałszem zmięszana; godną jest więc rzeczą dla wyświecenia postawionego pytania, odłączyć prawdę od pokrywk przesady i błędu.

I najprzód, nie podlega żadnej wątpliwości, że rzeczywiście znajdują się zwolennicy praktycznego ateizmu, tj. ludzie, którzy życie swe tak urządzają, jakby żadnego nie było Boga, mimo że go w teoryi nieraz przyjmują. Jestto bowiem faktem, że czyny nie zawsze odpowiadają przekonaniu: *Video meliora proboque, deteriora sequor,* mówi poeta, a Apostoł: „Chcieć przy mnie jest, ale wykonać dobre nie najduję“ [4].

Również prawdą niezaprzeczoną jest i to, że są systemata ateistyczne i nauczyciele tychże teoryi, którzy je nietylko publicznie z katedry głoszą, ale i w prywatnem kółku bronią i szerzą, a tak stają się apostołami ateizmu. Nie wynika stąd jednak by-

---

[1] Feller: *Catéchisme philosophique*, art. *Athée.*

[2] Pascal: lettre 25.

[3] Tak Hardouin w swem dziele: *Athei detecti:* Malebranch'a, Thomassin'a, Arnaulda, Kartezyusza, Paskala i innych między ateistów zalicza.

[4] Ad. Rom. VII. 18. *Velle quidem mihi adjacet perficere autem non invenio.*

najmniej, żeby ci ludzie o prawdziwości głoszonych przez się teoryj byli przekonani; twórca jakiego systematu może nie więcej mu dowierzać jak kuglarz cudom, którymi swych widzów w podziw wprawia; może się w duszy z niego śmiać jak starożytni augurowie śmiali się ze swych wróżb. Im chodzi o sławę; stworzyć dziś system, jakiby on nie był, to unieśmiertelnia twórcę. Gawiedź półmędrków zalicza go zaraz do rzędu wielkich myślicieli, którego nazwisko złotemi winno być w kamieniu wyryte głoskami. Czyż może np. mistrz filozofii nieświadomego wierzyć we wszystkie swe niedorzeczności, któremi uczniów swych do obłąkania prowadzi? Nie można więc ostatecznie zaprzeczyć, że istnieje ateizm praktyczny i ateizm z katedry głoszony.

Wątpliwości podlegać może tylko kwestya przekonania, tj. czy rzeczywiście możliwą jest rzeczą, aby człowiek przy zdrowym rozumie mógł mieć teoretyczne przekonanie, że Bóg nie istnieje? Ta wątpliwość zda się nietrudną do rozwiązania, bacząc na fakt psychologiczny, którego każdy sam na sobie mógł doświadczyć. Z dwojakiego mianowicie źródła płynąć może przekonanie: jedno rodzi się w rozumie i odpowiada w zupełności jego prawom, jest więc koniecznym wynikiem loicznego myślenia; drugie nie opiera się wcale na rzetelnych dowodach, a jednak w przyjętem zdaniu nie mniej jest stanowczem. Stąd i ten drugi rodzaj przeświadczenia wydaje się zupełnie podobny pierwszemu, jeżeli się uważa samą moc affirmacyi. Wielką zaś widać różnicę między tymi dwoma rodzajami przekonania, jeżeli się zważa obustronnie pewniki, z jakich rozum wychodzi i drogę, jaką przebywa. W przekonaniu pierwszego rodzaju punktem wyjścia są pewniki oczywistej prawdy, a dalszy pochód rozumu, tak ściśle do praw jego natury zastósowany, że rozum wzbronić się od uznania wniosku nie może. I tak np. niema rozumnego człowieka, któryby nie był najmocniej przekonanym, że kiedyś musi umrzeć, a przekonania tego zrzucić z siebie nie może, mimo najprzykrzejszych uczuć, jakie ta prawda niejednemu sprawia. Pewnik, dla którego duch ludzki z taką pewnością zdaniu temu przyzwolenie daje, jest sama widoczność prawdy, że wszyscy ludzie umrzeć muszą; a droga, którą rozum ludzki z tąż widocznością przychodzi do wniosku: a więc i ja umrzeć muszę, zależy na

tem naturalnie koniecznem poznaniu, że w powszechnem pojęciu wszyscy ludzie, zawartą jest i każda poszczególna jednostka ludzkości.

Zupełnie inaczej rzecz się ma z procesem myślenia w przekonaniu drugiego rodzaju. Tu nie widoczność prawdy wywołuje affirmacyę zdania, nie przemawia też za niem uderzająca prawda dowodów; występują tu tylko pozory lub co najwięcej prawdopodobieństwo. Droga zaś, którą tu proces myślenia odbywa, pochodzi od woli, która w pewnej opinii znajduje jakąś ponętę, i dla tego właśnie chce, żeby ona była prawdą, a pod wpływem tej namiętności każe szukać rozumowi dowodów, któreby prawdę tę jako taką potwierdziły, i pod tymże samym wpływem ważność swych dowodów ocenia. Zdarza się więc nie rzadko, że siła tej namiętności zastępuje brak oczywistości i jasnych dowodów. Stąd też wyrabia się jakiś rodzaj przekonania, który nie w rozumie, ale w woli ma swój początek, a codzienne życie daje nam tysiące dowodów na genezę tego rodzaju przeświadczenia. Wejdźmy np. do salonu, gdzie wśród wesołego towarzystwa poczynają ci i owi najostrzejszej krytyce poddawać postępki drugich. Jakże to chętnie daje się nieraz wiarę rzeczom, których się z uczuciem przyjaźni, albo słucha, mimo że niema w nich śladu dowodu i pewności. Albo ileż to razy uczeni wrzekomo ludzie występują z całym zasobem frazesów głosząc, że ze śmiercią wszystko się kończy, że to jest rezultatem dzisiejszej nauki. Głosiciele takich doktryn, jak i ich słuchacze, uznają to za prawdę, są o tem niby przekonani. Ale na czemże się opiera to przekonanie? czy może wywołane zostało ścisłemi wywodami? Bynajmniej. Jestto tylko zachcianka, aby z końcem życia wszystko kres swój wzięło, a zachcianka ta, na nędznych oparta sofismatach taką siłą oddziaływa na człowieka, że ten zdania raz przyjętego trzyma się upornie.

Zupełnie w ten sam sposób dzieje się i z tak zwanem przekonaniem ateistów o nieistnieniu Boga, bo tu przekonania prawdziwego, opartego na wywodach z rozumu, niema i wcale być nie może. Gdyby rozumnem było przekonanie, że Boga niema, wtedy koniecznie nierozumnem musiałoby być to drugie przeko-

nanie, że Bóg jest: — tego domaga się prawo logiki, że dwa wręcz sobie przeciwne zdania nie mogą być równocześnie prawdziwe. Stąd i przeświadczenie nie może być rozumne, które dwa z sobą wręcz sprzeczne zdania równocześnie za prawdziwe uznaje. Jedno z tych zdań musi koniecznie odpowiadać rozumowi, gdy drugie mu się sprzeciwia. Widoczną np. jest rzeczą, że jeżeli jedno z tych dwóch zdań: „świat istnieje“ i „świat nie istnieje“ jest prawdziwe, to drugie koniecznie fałszywem być musi, a zatem jeżeli przekonanie o jednem jest rozumne, to przekonanie o tem drugiem (jeżeli przekonaniem jest) nie może być jak tylko nierozumnem. Stąd loiczna wypływa konieczność, że jeżeli w kim jest rozumne przekonanie o nieistnieniu Boga, to wtedy nikt o istnieniu Boga przekonania rozumnego mieć nie może. Ale zapytajmy się, kto utrzymuje to drugie zdanie: że Bóg istnieje? Oto nieskończenie większa część rodzaju ludzkiego! To zgodne rodzaju ludzkiego zdanie *(consensus generis humani)* o istnieniu Boga, było już dla pierwszych filozofów chrześcijaństwa szańcem, którego z zapałem bronili, a prace ich służyły jeszcze szermierzom wiary, przeciw nowo powstającemu ateizmowi w przeszłem stuleciu.

Jeżeli tedy tak przeważna część ludzkiego rodzaju zapewne utrzymuje, że Bóg istnieje, to twierdzenie takowe musi być wynikiem rozumu, bo jakiejże innej powszechnej przyczynie przypisaćby można tak ogólne tego zdania uznanie u ludzi, którzy nic z sobą wspólnego nie mieli i którzy setkami, ba tysiącami lat od siebie byli oddaleni. Wykształcenie i wychowanie, zdania i przesądy, nauki i błędy były u rozmaitych ludów rozmaite — wspólnem było tylko to, że mieli władze duchowe — rozum, i to do czego ich ten rozum nieodzownie prowadził. To więc tak powszechne uznanie istnienia Boga musi być dziełem rozumu, i to rozumu partego wewnętrzną koniecznością.

Teraz postawmy sobie pytanie, jaki zachodzi stosunek między rozumem a podmiotową prawdą i rzeczywistością? Czy zechcemy może pójść za dawno już zarzuconem zdaniem Kanta i utrzymywać, że nie wiadomo, czy pojęciom naszym o Bogu, duszy i t. d. odpowiadają jakie przedmioty rzeczywiste; że to są czyste formy myśli, których przedmioty uchylają się od wszel-

kiego dowodu? Ależ teorya ta prowadzi do powszechnego sceptycyzmu, znosi nadzmysłową dziedzinę wiedzy rozumowej i uprawnia wniosek, że rozum nie jest zdolny realną prawdę poznać, ani prawdzie tej odpowiadającą wiedzę nabyć. Ateista zatem, tej sceptycznej teoryi hołdujący, znosi tem samem nawet tę wrzekomą pewność swoją o nieistnieniu Boga. Bo jeżeli cały proces myślenia nie daje nam pewności, że pojęciom naszym w świecie fizycznym lub nadzmysłowym odpowiadają przedmioty rzeczywiste, wtedy ta sama niepewność obejmuje te dwa sprzeczne zdania: Bóg istnieje i Bóg nie istnieje. Stąd wniosek, że ateista nawet, jako zwolennik Kanta, nie ma rozumnego przekonania o nieistnieniu Boga. Jeżeli zaś rozum jest władzą zdolną do poznania rzeczywistości i prawdy, jeżeli ją kiedykolwiek poznaje, to przynajmniej wtedy, kiedy idzie o rzecz nadempiryczną, gdzie zmysły nie sprawiają illuzyi [1] — i gdzie ogromna większość rozumów ludzkich, mimo wszelkich różności wieku, oświaty, rasy, skłonności i t. p. na jedno się zgadza. A że tak się rzecz ma i z poznaniem o istnieniu Boga, to też i to poznanie prawdziwe być musi. Gdybyśmy zaś przyjąć chcieli, że i to poznanie jest błędnem, wtedy sam rozum byłby bardzo niezdolnym narzędziem do poznania prawdy, a zarazem musielibyśmy też zwątpić i o możności poznania rozumem prawdy, a stąd tem samem popadlibyśmy w sceptycyzm powszechny. Jeżeli atoli to przekonanie rodzaju ludzkiego o istnieniu Boga dziełem jest rozumu, wtedy przekonanie temu przeciwne u niewielu, choćby się ci i nie wiem jaką wiedzą szczycili, musi być nierozumnem.

O słuszności takiego wyniku świadczą w obec nieuprzedzonej krytyki dowody, którymi z jednej strony od pierwszych wieków filozofia, zwłaszcza katolicka, naukę o istnieniu Boga potwierdzała, a przeciw którym z drugiej strony stary i nowy poganizm z nauką o nieistnieniu Boga występował. Pierwsze, jak to w następnych punktach tej rozprawy zobaczymy, są jasne, proste i przekonywujące, drugie nie zasługują na nazwę dowodów.

Nadto filozof katolicki ma naprzeciw ateistom wskazówkę w samych źródłach wiary. I tak mówi Pismo boże: *Dixit insi-*

[1] Jak np. w ogólnem mniemaniu o ruchu słońca.

piens in corde suo, non est Deus — „rzekł głupi w sercu swoim „niemasz Boga“ [1]. Tylko więc głupi może mieć w sercu swojem przekonanie, że niema Boga; a stąd wniosek naturalny, że i przekonanie to samo w sobie nie może być jak tylko głupie. I Mędrzec Pański [2] i Apostoł Paweł św. [3]) twierdzą, że poganie, zwłaszcza mędrcy ich, *dicentes se esse sapientes*, za przyjęcie fałszywych bożyszcz nie mogą być wymówieni: „ponieważ co jest „wiadomo o Bogu, jest im jawno, bo rzeczy Jego niewidziane, „od stworzenia świata przez te rzeczy, które są uczynione, zrozu„miane, bywają poznane; wieczna też moc Jego i Bóstwo“.

Starzy więc poganie nie mogą być wymówieni, bo patrząc na stworzenia poznać mogli Stwórcę. Ale czy będą mogli być wymówieni oni poganie nowi, którzy równie na stworzenia patrząc i ich Stwórcę poznać mogą, a jednak zaprzeczają istnienie Jego? Są oni co najmniej równie winnymi, i równie też głupimi nazwaćby ich trzeba, mimo że na wzór starych miano filozofów czyli mędrców sobie przywłaszczają.

Nadto dawni filozofowie chrześcijańscy tj. Ojcowie Kościoła, którzy przeciw pogaństwu naukę o prawem poznaniu Boga szerzyli, nauczają, że przekonanie o istnieniu Istoty niewypowiedzianej już „w naturze ludzkiej jest zaszczepione [4]“; że to pojęcie „w naturze naszej i we wrodzonej nam świadomości jest złożone“ [5]. A św. Jan Damasceński jeszcze wyraźniej mówi: „Bóg nie zostawił nas w zupełnej nieświadomości, boć wszystkim poznanie istnienia Boga przez Niego Samego początkowo jest wpojone“ [6]. Tak samo i dawniej już utrzymywał mistrz chrześcijańskiej szkoły Aleksandryjskiej, Klemens, że idea o Bogu w nas jest, i że nie nabywamy jej dopiero przez naukę [7].

Wprawdzie dalekimi są Ojcowie Kościoła, głoszący tę naukę, od zdania niektórych nowszych filozofów, którzy twierdzą, że

---

[1] Ps. XIII. 1., i Ps. LII. 1.

[2] Sap. XIII.

[3] Ad Rom I. i II. *Invisibiblia enim Ipsius a creatura mundi, per ea quae facta sunt, intellecta conspiciuntur.*

[4] Justin. Apol. II. n. 6.

[5] Tertull. testimon. animae c. 5.

[6] De fide orthodoxa l. 1. c. 1.

[7] Strom. l. V. n. 14.

idea o Bogu jest nam wrodzona, w takiem znaczeniu, że pojęcie Boga w całej pełni wyciśnięte jest niejako w rozumnej naszej duszy, i że ta tem samem nie potrzebuje już żadnego rozumowania, aby przyjść do wniosku, że istnieje ponad światem Bóg, od którego wszystko pochodzi. Nie taką była myśl Ojców świętych. Utrzymywali oni, że poznanie Boga jest w naturze ludzkiej zaszczepione, o ile że istnieje w naturze rozumu możność i łatwość poznania Boga ze stworzeń. Tak Klemens Alex.: *Parentis et rerum omnium effectoris sensum aliquem nativa quadam vi ac citra ullius doctrinae adjumentum hauriunt*[1].

A to, co Apostoł poganom i ich filozofom wytknął, to było też celem i wszystkich Apologetów pierwszego stulecia, tj. przedstawić poganom niemożebność wymówki za fałszywe ich pojęcia o Bogu, i że największą ich zbrodnią było, iż nie chcieli uznać Tego, którego poznać musieli. *Haec est summa delicti nolentium recognoscere, quem ignorare non possunt*[2].

Podobnie mówi wzmiankowany Klemens i w innem dziele[3]. W wymyślonym dyalogu z Platonem pyta się tego pogańskiego filozofa: „Powiedz mi, Platonie, jakie mamy dowody na istnienie „Boga“? Na to odrzekł Plato: „Znaleść Ojca i Twórcę wszech„świata, rzeczą jest trudną, ale znalazłszy Go, zupełnie jest nie„możliwą opisać Go słowami, tj. określić Istotę Jego“. Na to pyta go Klemens dalej: „Dlaczegożby to było niemożliwą rzeczą?“ Ale wnet dodaje: „Dobrze powiedziałeś, iż Bóg jest niewysło„wiony, nie ustawaj jednak w pracy, spróbujmy społem: boć ca„łemu rodzajowi ludzkiemu, przedewszystkiem „zaś biegłym w umiejętności, wrodzona jest jakaś boża „siła, mocą której mimowoli, zmuszeni są ludzie wyznać, że „jest Bóg, ani początku, ani końca niemający“.

Filozofowie więc katolickiej starożytności utrzymywali i bronili przeciw pogańskim mędrkom zdania, że rozum ludzki, umiejętnością zwłaszcza rozwinięty i wykształcony, powinien swą wewnętrzną duchową siłą poznać Boga, Twórcę i Rządzcę świata.

---

[1] Strom. l. V. n. 14.
[2] Tertull. Apol. l. II. c. 17.
[3] Clemens Alex. Cohort. ad gent. c. 6.

W tej zaś nauce zawiera się i to, że rozum ludzki nie może mieć przekonania o nieistnieniu Boga.

Stąd i my, wedle wyraźnej nauki starochrześcijańskich filozofów, musimy się trzymać zdania, że niemożliwą jest rzeczą, aby kto mógł mieć rozumne przekonanie o nieistnieniu Boga ponadświatowego.

I dalej, co Ojcowie ze skarbnicy filozofii ku obronie naszej Boskiej wiary zaczerpnęli, to samo w średnich wiekach filozofia scholastyczna z nową jasnością i dokładnością opracowywała. Tak rzecz się ma i z niniejszym przedmiotem. Św. Tomasz z Akwinu wyłuszcza postawione przez nas pytanie z jasnością, wykluczającą już wszelkie wątpliwości. Ateizm jest, według niego, w sposób rozumny niemożliwy, a to z dwóch przyczyn. Najprzód dlatego, że poznanie Boga jest nam już wrodzone, przez wrodzoną nam możność i łatwość poznania Boga[1], a powtóre dlatego, że Opatrzność Boża prowadzi nas do tegoż poznania pewnymi środkami do porządku naturalnego należącymi. Bóg bowiem nie może swego stworzenia opuścić, ale dawszy mu raz byt, jest mu wciąż obecny i prowadzi je w sposób sobie właściwy do odpowiedniego celu. Jeżeli zaś rzecz tak się już ma z każdem stworzeniem, dlaczegóżby miało być inaczej ze stworzeniem najwyższem, jakiem jest człowiek, któremu Bóg wytknął za cel, żeby Go znał i miłował? Nie dochodzi wprawdzie człowiek bez użycia swych sił do tego celu, ale Bóg, który mu je dał, dopomaga mu, aby ich w taki używał sposób, żeby wytkniętego sobie celu dostąpił. Że zaś powołaniem człowieka jest życie religijno-moralne, a to na poznaniu Boga się opiera, toć bożą jest już rzeczą, aby rozkwitający się umysł ludzki do tego poznania z łatwością i pewnością doszedł[2]. Ta nauka Anielskiego Doktora jest też i ogólną całej szkoły nauką. Filozofia więc katolicka postawiła zasadę, że rozum ludzki zapomocą naturalnie sobie wrodzonej siły przyjść może do poznania Boga, i że warunki tego

---

[1] *Dei cognitio nobis innata dicitur esse, in quantum per principia nobis innata de facili percipere possumus Deum esse.* Op. 70. Sup. Boëth. de Trinit.

[2] Ibid.

poznania tak są w człowieku nagromadzone, że prawie niemożliwą jest rzeczą, aby Boga nie poznał — *quem ignorare non possunt.*

Wszelako, choć to przekonanie o nieistnieniu Boga żadnych w rozumie nie znajduje podstaw, to jednak w sercu wielu gnieździ się jakieś uporne przywiązanie do tego ateistycznego artykułu wiary, przywiązanie, opierające się niekiedy na dowodach, które w takiem usposobieniu zdają się człowiekowi pełne wartości, chociaż przedmiotową ich nicość nietrudno odkryć.

Z tego sądzę, że nie możemy słusznie zaprzeczyć, jakoby nie było, że się tak wyrażę, wiernych swemu przekonaniu ateistów. Bo chociaż tysiące takich się znajduje, którzy się z niewiary szczycą, i w bezrozumnej swej dumie łączą się z tymi co przeczą Boga, a w sercu przeciwne mają przekonanie; owszem, chociażby i wielu było takich, którzy w zaślepieniu swojem mieszają bezbożne życzenie, aby Boga nie było, z przekonaniem, że Boga nie ma—toć są przecież tacy, którzy dla swej szczerości i otwartości na wiarę zasługują, kiedy wyznają publicznie, że o nieistnieniu Boga są przekonani.

Samo nawet Pismo boże zdaje się wskazywać możliwość takiego szczerego ateizmu; kiedy bowiem mówi: „rzekł głupi w sercu swojem, niemasz Boga“, to twierdzi, że człowiek zapierający się Boga, właśnie dlatego, że nie daje posłuchu rozumowi, głupim jest; ale zarazem dodaje, że to zaprzeczenie jest nietylko praktycznem, tj. objawiającem się w bezbożnem życiu człowieka, ale że i w sercu jego gości, a więc, że i teoretycznie taki człowiek Boga się zapiera, czy to dla usprawiedliwienia, czy też w skutek bezbożnego życia. Zresztą i Ojcowie Soboru watykańskiego, którzy z pewnością najlepszymi są świadkami tak panującej dziś wiary, jak i przeciwnej jej głupoty, utrzymują jednak jako fakt, że istnieje pośród ludzi prawdziwe a niemniemane tylko zaprzeczenie Boga[1].

Fakt ten jednak domaga się opartego na loice i psychologii wyjaśnienia, bo na samo przypuszczenie tego faktu nasuwa się pytanie: jakże to jest możliwem, aby ludzie rozumni, a zwłaszcza

[1] Decret. de fide. proem.

wykształceni umysłowo, jakimi są przecież filozofowie, tak dalece hołdowali ateizmowi, który przedmiotowo uważany, jest tak na wskróś nierozumnym? W tym celu rzućmy okiem na czynniki tu działające, a odpowiedź sama się nasunie.

Że ktoś jest teoretycznym zwolennikiem ateizmu, może to, rzecz z gruntu badając, z dwóch pochodzić przyczyn. Najprzód wiemy, że Boga nie poznajemy bezpośrednio czyli doraźnie, ale dopiero za pomocą loicznych wniosków. Rozum musi z badań nad tym światem wywnioskować sobie istność odwiecznego Stwórcy. Zdarzyć się więc może, że rozum pod naciskiem woli usuwa się z pod wpływu loicznego wniosku, mimo całą jego jasność i konieczność. Czyż nie mamy na to tysiące próbek, nawet między uczonymi? I tak jeden, badając zjawiska życia ludzkiego, czuje się loiczną koniecznością zmuszony do przyjęcia niemateryalnej duszy, jako niezbędnej podstawy tych zjawisk. Inny znowu szydzi z tego, i wszystkie te zjawiska przypisuje samej materyi organicznej.

Ta możność wyłamywania się z pod wpływu widocznego, loicznego, a tem samem i koniecznego wniosku występuje najwybitniej w prawdach, odnoszących się do życia moralnego. Życie moralne bowiem jest pod panowaniem wolnej woli; ta otrzymuje wprawdzie pewne wskazówki od rozumu, pewne prawdy graniczne, po za które wyjść nie powinna, ale jakżeż często granice te wydają się woli za ciasne. Wola tedy może je przekroczyć, i owszem może przeciw zdaniu swego rozumu działać. Aby jednak nie uwłaczać zdaniu rozumu, zmusza rozum do powątpiewania, i do szukania dowodów, któreby prawdy te osłabiły. Pod tym przewrotnym naciskiem woli, rozum w obec najwidoczniejszych nawet wniosków milczy, a najnierozumniejsze sofismata za jasne przeciw-dowody przyjmuje tak długo, aż w tem fałszywem świetle nie przyjmie prawdy za błąd, a błędu za prawdę. Jestto historya duchowego procesu, jaki się odbywa u tych, których Apostoł krótkiemi scharakteryzował słowy: *qui veritatem in injustitia detinent,* którzy prawdę Bożą w niesprawieliwości zatrzymują [1].

Ten duchowy proces odbywa się w każdej negacyi

[1] Ad Rom. I 18.

Boga, bo jakaż prawda bardziej oddziaływa na życie moralne człowieka, jak ta, że istnieje Bóg, Pan nieba i ziemi? To też wola opanowana zmysłowością nie znajduje uspokojenia w Bogu, który istną jest świętością, przed którego okiem każda plama jest zbrodnią. Dlatego też filozofowie cynicy przeczą zawsze istnieniu Boga.

Podobnie też wola gwałtowna i harda nie może pogodzić się z Bogiem, który od „końca aż do końca dosięga mocnie, i rozrządza wszystko wdzięcznie[1]. Gdzie więc tylko panuje hardość serca, tam występuje i negacya Boga, bo hardość nie może się ukorzyć przed Bogiem niepojętym, ani się ujarzmić pod panowaniem wszechmocnego Władzcy.

Drugiem źródłem zaprzania się Boga jest wychowanie i sposób nauczania. W młode już serca zaszczepiają się dziś zasady ateizmu, a te przyjmują się bezpodstawnie, gdyż młody umysł nie jest nawet zdolny do gruntownego badania takich teoryj. Wagę dowodów zastępuje tu powaga rodziców i nauczycieli. Jeżeli zaś nadto nauczyciel stał się głośnym, wtedy wykłady jego jeszcze głębszy wywierają wpływ, a tak równocześnie z rozwojem rozumu i serca, zakorzeniają się coraz bardziej i zaszczepione w nich zasady. Takie bezbożne i bezrozumne zdania utrzymują się długie lata, jakby najczystsze złoto wiedzy, a jeżeli kiedy nastąpi chwila jakiegoś zastanowienia, czy to wskutek własnej refleksyi, czy też w skutek przeciwnych tym teoryom zarzutów, to bez głębszego badania odwraca się umysł od tych badań, bo co raz serce umiłuje, tego i wola nie łatwo się pozbywa. Stąd to uporne obstawanie przy zdaniach i zasadach w młodości zaszczepionych, chociaż nie przemawiają za niemi żadne przedmiotowe dowody.

Zresztą, jakiekolwiek czynniki składają się na wytworzenie ateistycznego przekonania, najgłówniejszym jego powodem jest zawsze dobrowolne odwrócenie się od Boga przez grzech. Grzech jest z istoty swej praktycznem zaparciem się Boga. I jakżeż często łączy się grzech z tem bezbożnem pragnieniem, żeby Bóg, co tak surowo każdy grzech potępia i ka-

[1] Sapientia VIII 1. *A fine usque ad finem attingit fortiter et disponit omnia suaviter.*

rze, wcale nie istniał. Lecz któż rozumny obwini Boga, że pozostawia grzesznika w tej żądzy, i że tenże pod jej wpływem z bezdroża na bezdroże kroczy, aż do zatraty dobrowolnie szukanej?

Dalej wiemy, jak poznanie Boga rozumowi ludzkiemu jest przystępne, bo wszystko dobro i piękno co go otacza, lub co we własnej jego naturze istnieje, przynagla go do uznania Twórcy i Pana tego wszystkiego. Boża też Opatrzność nastraja ten wpływ stworzeń „potężnie a wdzięcznie“, aby tylko człowiek poznał Tego, który jest Jego ostatecznym celem i zupełnem szczęściem. Do tego przyłącza się jeszcze i nadnaturalna pomoc łaski Bożej, która środki naturalne o wiele przewyższa. Kto więc mimo to wszystko zaprzecza Boga, to światło duchowe, co go zewsząd opromienia, ten czyni to dlatego tylko, że ma powody unikania tego światła, a szukania ciemności, „żeby nie były zganione uczynki jego“ [1]. Nawet i tam, gdzie wyssane z niechrześcijańskiego wychowania przesądy nasuwają przeciw wierze trudności, zdrowy rozum ludzki mógłby, mimo wpojone z góry uprzedzenia, mimo młodzieńcze zachwyty dla nauki wymownych mistrzów, mógłby, mówię, przy tylu od Boga podanych środkach, wszystkie zwalczyć przeszkody na drodze prawdy, gdyby nie wina woli, którą niestety grzech opanował.

I tak u jednych zmysłowość wymraża miłość Bożą i stopniowo ich do zupełnego zaniechania Boga prowadzi; za tłómaczenie zaś owszem za usprawiedliwienie tego praktycznego zaparcia się Boga służą im ateistyczne teorye. U drugich górę biorą duma i zarozumiałość, a wrzekoma pełność wiedzy zastąpić ma niepojętego Boga. U innych znów panuje próżność, chełpienie się sceptycyzmem; wydaje im się, że na tem bezbożnem zaprzeczeniu Boga zależy jakaś wielkość duchowa. U innych nakoniec słabość charakteru, wzgląd ludzki, niepozwalający gnuśnym sercom i umysłom opór stawić prądowi, który za powszechny uważają.

Ostatecznie więc przyczyną teoretycznej negacyi Boga, jest zawsze w pewnej mierze grzech, który opanowuje wolę, ta znowu wpływa na rozum, aż go nie skłoni do wymyślenia lub do przy-

[1] Joan. III. 19.

jęcia teoretycznych dowodów, usprawiedliwiających praktyczne odstępstwo Boga; co zaś zbywa na jasności tym dowodom, zastępuje frazeologia, twierdzenia, że rezultaty nowej wiedzy zniszczyły przesądy dawnej wiary i t. p. Słowem to, co Apostoł o starych pogańskich wyrzekł filozofach, to się do nowopogańskich stosuje. Jak bowiem u tamtych przyczyną odpadnięcia od prawdziwego Boga, a ubóstwiania istot materyalnych było to, że: „choć prawdziwego Boga poznawali, tegoż za Boga nie uznawali“, tak samo i dzisiejsze odstępstwo od Boga, a przejście do nagiego materyalizmu lub wiatrem nadętego panteizmu ma swój fundament w praktycznej niewierze serca.

Wniosek zaś, jaki się z tej uwagi sam nasuwa, a z powyżej postawionego zasadniczego zdania wypływa, jest ten: że przeczenie Boga nie może być przekonaniem w rozumie ugruntowanem, ale że jest tylko jakimś subjektywnym dowolnym uporem przy zdaniu, któremu i przyćmiony rozum i zwichnięta grzechem wola społem schlebiają. Jest więc zawsze to zaparcie się Boga, w myśl Pisma świętego, istotną „głupotą“ i prawdziwą niesprawiedliwością, za które „gniew Boży objawia się z nieba“ [1].

Stąd też zadaniem i chlubą jest prawdziwej filozofii [2], będącej zamiłowaniem mądrości, dzierżyć mocno prawdę o istnieniu Boga ponad światem; ale zarazem obowiązkiem jej brać tę prawdę w obronę przeciw tak rozlicznym napaściom fałszywej filozofii, przeciw wykolejonej nauce i przeciw kłamliwemu postępowi ducha czasu. (C. d. n.)

X. Antoni Langer.

---

[1] *Revelatur enim ira Dei de coelo super omnem impietatem et injustitiam hominum eorum, qui veritatem Dei in injustitia detinent.* Rom. I. 18.

[2] Obacz motto z Jerem. IX. 23. 24.

KAZIMIERZ-MACIEJ SARBIEWSKI.

(Dokończenie).

III.

Kaznodzieja królewski. — Doctor sacrae Theologiae. — Dar Władysława na króla. — Przeniesienie relikwii św. Kazimierza. — Przyjazd z bisk. St. Łubieńskim. — Na królewskim dworze. — Silvihedia. — Pobyt w Badenie. — Komeraże dworskie. — Ostatnia niemoc.

Po śmierci kaznodziei królewskiego, Sebastyana Zaiszczewskiego, powołał Władysław IV. Sarbiewskiego na ważny ten urząd. Przywalonemu pracą gorsza od owej „niewdzięcznej filozoficznej", gdzież mu teraz myśleć było o swobodnych muzach? Przecież, zwłaszcza w początkach, ukochany nawet pieszczoszek Lechiada skarżyć się musiała na chwilową niepamięć, nawet na listek do przyjaciela trudno było znaleść czasu, wśród trudów podróży do Warszawy z Wilna i wnet znowu pod wiosnę z Warszawy do Wilna. „Odwiecznym obyczajem, wymawia mu to żartobliwie Łubieński; ci, którzy świeżo na dwór się dostają, w trzecim dopiero roku swego tam pobytu nabierać zaczynają pyszki, i z góry poglądać na starych przyjaciół... Pamiętajże, że i ci co na dworze żyją, będą kiedyś musieli wrócić do starych swych zwyczajów, do dawnego sposobu życia[1].

I żarty i zaklęcia nie pomagały — twardszy od dyamentu, milczał nielitościwie poeta. Dopiero po czwartym, bardzo już naglącym liście, zdobył się w połowie kwietnia 1636 r. na odpowiedź.

[1] List VI.

„Próżnobym się chciał wymawiać z długiego milczenia; albo chorobą, która raz poraz mię nawiedza albo ustawicznemi kazaniami, albo wreszcie Lechiadą, którą znowu poprawiam i poleruję: bo dobrodziejstwa twoje ku mnie godne są, abym i na śmiertelnem łożu każdą chwilkę, ostatek sił ci poświęcił. Inne to przyczyny wytrąciły mi pióro z ręki. Nauka narodowego języka któren mi teraz na każdym kroku niezbędny, tak we mnie wysuszyła źródło łacińskiej mowy, że w żaden sposób na pisanie twe, a raczej na przesłodko toczący się strumień twej mowy godnie odpowiedzieć nie mogę“ [1]. Wśród licznych wymówek, jakie podał, zapomniał, a prędzej nie chciał wspomnieć Sarbiewski o jednej najważniejszej. Zaraz w pierwszych dniach pobytu w Wilnie uwiadomił król Władysław rektora Akademii, że pragnąłby ujrzeć swego kaznodzieję ozdobionego godnością doktora teologii. Sarbiewski dopiero co był profesorem tej umiejętności; nietrudno mu więc było przygotować się do habilitacyjnej rozprawy, wszakże trzeba było odświeżyć sobie niejedno w pamięci, wydobyć z pyłu dawne notatki, zaglądnąć do poważnych ksiąg Anielskiego Doktora. Kosztowało to niejedną godzinę czasu, w której kiedyindziej znalazłaby się może ochota, na liścik lub wierszyk do dopominającego się oń przyjaciela.

Król przeznaczył dzień 5 lipca na dopełnienie uroczystego aktu. Od rana napłynęło mnóstwo najznakomitszych osób do kościoła św. Jana, wszyscy uczeni i liczący się do ich grona pano-

[1] List IX. Z Wilna, 19 kwietnia 1636. Jaki język rozumiał Sarbiewski pod owym *linqua popularis?* Bahomolec utrzymuje, że francuski, który królowa Cecylia miała wprowadzić na dwór polski. Aleć w epoce tego lisiu, jak uważa Syrokomla, nawet nie wiedziano jeszcze, z kim się król ożeni — Cecylia Renata przybyła do Polski o cały rok później. Bezwątpienia kaznodzieja królewski studyował język polski i starał się nabyć lepszego w nim stylu. Dlatego przetłómaczyliśmy *linqua popularis*, przez „język narodowy“. Do jakich studyum to doprowadziło go owoców, nie umiemy powiedzieć. Została wprawdzie jedna polska mowa po Sarbiewskim na pogrzebie W. Marszałka Litewskiego, Jana Stanisława Sapiehy, ale i wygłoszona przed owem „studyum“ języka polskiego, bo w 1635 r. Na cześć tegoż Sapiehy, w dobrach jego dziedzicznych Lachowcach, miał X. O. Łączycki mowę pogrzebową, wielce i powszechnie chwaloną. Jest to jedyna jego mowa, o której doszła nas wzmianka.

wie, zakonnicy, wileńscy obywatele. W oznaczonym czasie przybył sam Władysław ze swym dworem, w towarzystwie siostry swej Anny Katarzyny. Poniżej królewskiego tronu zajął przygotowane sobie miejsce papieski nuncyusz, Maryusz Filonardi[1]. Muzyka i śpiew rozpoczęły uroczystość. Następnie jeden z grona doktorów wileńskiej akademii wygłosił mowę do króla i senatu i złożył u stóp królewskich akademickie berło. Natychmiast podniósł je Władysław i po krótkiej przemowie, wręczył napowrót mowcy, potwierdzając w ten sposób wszystkie prawa i dawne przywileje Batorowskiej uczelni. Z kolei więc kanclerz akademii, a zarazem (po wczesnym zgonie zasłużonego Bartobiosza) prowincyał jezuicki Jakób Lachowski, przemówił o obowiązkach doktorów i sławie mądrych książąt.

Po załatwieniu tych przedwstępnych formalności, rozpoczęła się dysputa. Lachowski i dwóch innych profesorów teologii, przedstawiali trudności i zarzuty, a Sarbiewski zbijał je i rozwiązywał. Po złożeniu zwykłej przysięgi w ręce nuncyusza i wypełnieniu odpowiednich ceremonii, król zdjął z swej ręki drogi pierścień i posłał go przez Jana Gębickiego, w darze nowemu doktorowi. Z wyraźnego życzenia królewskiego, musiał nosić Sarbiewski pierścień ten aż do śmierci. Przed zgonem przekazał ten królewski podarek wileńskiej akademii, która go odtąd używała jako jedno z insigniów nowo-kreowanych doktorów. W imieniu własnem, kolegium swego i całego zakonu, podziękował Sarbiewski królowi za tyle wyświadczonej mu łaski i względów. Wnet otoczyli kołem poetę senatorowie i dworzanie i obsypali powinszowaniami. Muzyka i śpiew zakończyły uroczystość, poczem król zwiedził kolegium, bibliotekę i szkoły. W kolegium jeden z zakonników witał go mową; uczniowie ofiarowali poemat, opiewający czyny królewskie.

Nie ucichły jeszcze rozmowy o solennym akcie, kiedy nowa, ważniejsza uroczystość, zwróciła na się uwagę wszystkich. Właśnie dokończoną została w Wilnie zaczęta od Zygmunta III. śliczna i bogata, marmurowa kaplica św. Kazimierza. W wigilię Wniebowzięcia N. Panny 14 sierpnia, odbyć się miało przeniesie-

[1] Opis tej uroczystości głównie wedle Rostowskiego, str. 315.

nie relikwii tego Świętego do kaplicy. Miasto przybrało świąteczną szatę. Już poprzedniego dnia i przez całą noc gorzały tryumfalne ognie; tłumy ludu, zakony, akademicy, pobożne bractwa cisnęły się z kolei do ciała Świętego, które spoczywało na przepysznie przybranem podwyższeniu w pośrodku katedry. Nazajutrz odprawił solenne nabożeństwo biskup miejscowy Abraham Wojna. Po południu wygłosił Sarbiewski w obecności króla, jego siostry, biskupów, senatorów i mnóstwa wiernych, łacińską mowę na cześć świętego Kazimierza, pradziada panującego monarchy [1].

„Na dzisiejszą przesławną uroczystość, wołał wymowny kaznodzieja, patrzą z nieba i cieszą się, święci nasi polscy patronowie: Stanisław Szczepanowski, Wojciech, Wacław, Jacek, Stanisław Kostka... spoglądają z niebieskich przybytków, jako mniemać i spodziewać się pobożnie dla zasług ich możemy, starzy nasi Jagiellonowie. Spogląda na wnuka swego Kazimierza wielki Władysław, patrzy na swego bratanka Władysław III., węgierski i polski król, co chwalebnie za całość Chrześcijaństwa, za wiarę Chrystusową zginął z tureckiej ręki pod Warną, spogląda król Kazimierz na syna swego, spogląda na brata swego Władysław, czeski i węgierski monarcha, spoglądają, Jan Albert, Aleksander, Zygmunt, szczęśliwi królowie polscy".

W dalszym ciągu mowy zwrócił się Sarbiewski do króla, błagał, aby uroczystujący tryumfalnie Kazimierz św. raczył błogosławić całemu miastu, królowi, dostojnikom, litewskiej młodzieży, Towarzystwu Jezusowemu, całej Litwie: „Wspieraj pragnienia senatu i ludu polskiego i litewskiego, wspieraj ich nadzieje, aby pod Twą obroną i opieką, ta sławna ojczyzna nasza, którą wespół z nimi za matkę swą czcisz i uznajesz, aby ta ozdoba północy, ta Europy podpora, to przedmurze chrześcijańskiego świata, jak najdłużej stała nienadwątlona, jak najdłużej używała błogich owoców pokoju, odznaczała się i kwitnęła wiarą i bogobojnością, jak najdłużej jaśniała nieśmiertelnymi tryumfy szczęśliwego króla naszego Władysława IV".

[1] Mowa ta została wydrukowana tego samego roku. Dołączył ją następnie Naruszewicz, do swego wydania Sarbiewskiego z 1757. Na polskie tłumaczył i umieścił w swem „Życie św. Kazimierza", Ks. A. Lipnicki. (Wilno 1858).

Nie tutaj miejsce opisywać następny wspaniały pochód z relikwiami Świętego, po wspaniale przybranych ulicach miasta. Nie pożałowali przodkowie nasi bogactw swych dla świętego swego królewicza. Złotą trumnę, w której spoczywały jego relikwie zamknięte w ciężkiej srebrnej, którą królewna Katarzyna ozdobiła drogiem pokryciem, własnoręcznie w złote kwiaty wyszytem, i w cenne kamienie bogatem. Obie te trumny nieśli senatorowie świeccy i duchowni; przed relikwiami postępował król, za niemi królewne. Pochodowi towarzyszyły śpiewy, dobrana muzyka i symboliczne wiersze, z którymi od czasu do czasu występował jeden z akademików. Dopiero o siódmej wieczorem biskupi i duchowieństwo dwu obrządków wprowadzili szczątki święte do przeznaczonej na nie kaplicy. Przez całą noc Wilno jaśniało rzęsistem oświetleniem na cześć św. Kazimierza, a tysiące wiernych tłoczyło się do świątyń, błagając Boga o łaski, o które upraszał dla zjednoczonych narodów wymowny kaznodzieja.

Aż do stycznia następnego roku zabawić miał król w Wilnie. Sarbiewski korzystał z wolnego czasu, pracując jak i gdzie się dało, zwłaszcza koło nawrócenia coraz już mniej licznych różnowierców. Resztę czasu, tak obecnie w Wilnie, jak później w Warszawie, zajmowało mu przeważnie przygotowanie się do licznych kazań. Łubieński pragnął strudzonego kaznodzieję ściągnąć na kilka dni odpoczynku do wioski swej Broku: „Nie mam cię, pisał w ostatnich dniach czerwca, za takiego zwolennika polowania, abyś w tym okropnym skwarze śledzić miał po polach i uganiać się za zwierzyną; zdaniem mądrych ludzi, w takim czasie, nawet nad książkami biedzić się nie należy. Gdybyś wiedział, jakie tu u nas cudne powietrze, w skok byś do mnie pośpieszył. Ukochany mój Bug podmywa okna domu i z zefirami swawoli, pijemy sobie Bugową wodę, cieszymy się miłem powietrzem wietrzyków, czasami pozwalamy sobie szklaneczkę wina, nieco ochłodzonego lodem; nie brak i piwa dobrze uwarzonego, zastósowanego do potrzeb naszego żołądka. Bawi tu współstołownik mój Pruszcz; jeźli i ty zechcesz przybyć, spełnisz wszystkie me nadzieje. Bez trosk, bez zmartwień, swobodnie tu się żyje; żaden znak dzwonka snu nam nie przerwie, choćbyśmy do samego południa spali; wiejski przecież obiadek zawsze na nas czeka. Tak

wesoło dzień po dniu płynie; na śmierć wszelako nie zapominam wcale, o której przyjściu mój Pruszcz raz po raz mi do ucha gruchocze. Jakżebym pragnął, o mój ty najpierwszy bezwątpienia między poetami naszego wieku, żebyś przybył; rozweseliłbyś nas, ożywił nieco, żebyśmy się znów nie zadręczyli ciągłą pamięcią na śmierć“ [1].

Radby był Sarbiewski zadośćuczynić ponętnemu wezwaniu: „Na skrzydłach poleciałbym do Ciebie... Ale pięć kazań, które mię czeka w tym tygodniu, wstrzymuje mię tutaj i mimo szczerej ochoty, nie pozwala mi podążyć do twej wioseczki... Nie bardzo dowierzaj temu, co ci surowy asceta Pruszcz o śmierci prawi. Właśnie niedawno temu śniło mi się, że widzę Pruszcza już zmarłego. Wieszczem jestem, powiedz mu to w mojem imieniu, aby snać nie spotkał się prędzej, jak myśli z dniem, którym innym grozi“.

Znalazła się przecież w lipcu wolna chwilka na zakosztowanie wiejskich przyjemności Broku i pogawędkę z przyjacielem. Biskup zestarzał się; przykrości późnego wieku dawały mu się czuć dotkliwie: „śpiąc i czuwając, mówił o sobie.“ Do zwykłych chorób i niedomagań przyłączyły się inne przykrości. Kilka razy rozgłoszono na dworze królewskim, że biskup już umarł. Niewymownie zmartwiło to starca: „Dlaczegoż tak na śmierć moją czyhają? Nie rozumiem, jakie w mej śmierci upatrują dla siebie korzyści ci, którzyby ani raczyli spojrzeć na biskupstwo płockie, tak bowiem już wzrosła duma, że nikt nie chce być jedno arcybiskupem gnieźnieńskim. Nie wierz zatem łacno pogłoskom krążącym o mym zgonie, które nie mają na celu zajątrzenia próżności dostojników, ale tylko ostrzą ząbki niższych prałatów“ [2]. Żądał nawet od Sarbiewskiego, aby się dowiedział, kto jest rozsiewaczem tej „ukutej przez piekielną zazdrość“ nowiny. „Dotąd często pytam Pruszcza, czy żyw czy umarły, siadam do stołu“ [3]. Sarbiewski pocieszył zgryzionego przyjaciela i wpłynął nań, że za-

[1] List 16. z dnia 26 czerwca 1637. Tłumacz polski „VI. Calendas Julii,“ przełożył przez: szóstego lipca. Podobnych m y ł e k w datach nie brak.

[2] List 53. Z Broku 10 lipca 1638.

[3] List 54. Z Broku 13 lipca 1638.

niechał poszukiwań przeciw tym, co pierwsi puścili w obieg złośliwą bajkę. Co do mnożących się chorób starości, stawił Łubieńskiemu przykład dziadka swego, któremu przed siedemdziesiątym rokiem zaczęły się już trząść ręce, a przecież umarł, mając lat 109.

W listopadzie 1637 odbył Łubieński pielgrzymkę do Matki Boskiej Częstochowskiej. Pielgrzymka ta zmęczyła go niemało, i wnet po powrocie, bardziej niż kiedyindziej, skarżyć się począł na brzemię starości. „Od N. Panny Jasnogórskiej, napominał go z tej przyczyny Sarbiewski, od owego ustawicznie płynącego źródła łask, co ojczyznę naszą tak obficie zrasza, weselszym wrócić należało. Żalisz się, że czujesz starość — wszak Marya, Matka nasza zmarłych nawet do życia zwykła powracać; żalisz się na biedny oddech — wszak Marya jest łaskawym, zbawczym niebieskim powiewem; piszesz wreszcie że ni napój, ni pokarm ci nie służy — Marya jest słodyczą prawdziwą, Marya kwiatem rozkoszy niewinnych. Powinienbyś raczej śpiewać dziękczynne pieśni i będziesz je śpiewać zaiste, gdy po niewygodach tak przykrej w tym czasie podróży wypoczniesz sobie o domowym wczasie. Pisząc to, ślubuję z wielkiem wylaniem się ducha, odę lub hymn dziękczynny N. Pannie Częstochowskiej, jeźli cię nam w tym roku zachowa, tak potrzebnego Kościołowi i Rzeczypospolitej senatora, wzór onych lepszych czasow. Odtąd corocznie za twoje zdrowie ułożę wiersz jaki do N. Panny; codziennie też przy Mszy św. na cię wspominam“ [1]. Wkrótce posłał poeta przyjacielowi obiecaną odę [2]. Za nią podążyła inna, w której opiewał pochwały ulubionego Łubieńskiemu Bugu i Narwi [3]. Biskup dawno upominał poetę, aby jak Włosi piszą o Włochach, Litwini o Litwinach, tak aby on nie zapominał o Mazurach i rodzinnem Mazowszu; aby nie lenił się wychwalać polskich Świętych, polskich bohaterów, polskie rzeki. Po pięciu blisko latach, upomnienia te skutkowały. Po pochwale ojczystych rzek, nie zapomniał Sarbiewski o ojczystych Świętych i przysłał niezadługo Łubieńskiemu odę

[1] List 31.; 4 grudnia 1638.
[2] Efod. Oda 13.
[3] Efod. Oda 15.

na cześć św. Stanisława Kostki. W zamian za te poetyczne podarunki [1] słał biskup do Warszawy listy pełne podziękowań i komplementów. „Przecież nawet ci, którzy w wierze od nas się różnią, nie mogą się dość nadziwić twemu geniuszowi, niezwykłemu dowcipowi. Otrzymałem poemat twój, świetny, przepiękny, pełen ognia, godzien wawrzynów, powiem krótko, godzien ciebie i twego geniuszu“ [2].

Za komplementa płacił Sarbiewski równą monetą. Mógł to uczynić z czystem sumieniem, bo autor „Żywotów biskupów płockich“ i wielu innych dzieł historycznych, znakomitym był łacinnikiem, dziejopisarzem, mecenasem uczonych. Historyk naglił poetę do pisania; poeta z swej strony prosił i napominał historyka, aby nie pozostawiał odłogiem dziejopisarskiej niwy a co prędzej wydawał swe prace. W jednym z listów zżymał się nieco Łubieński na „liczne niesłuszne“ pochwały, któremi go przyjaciel obsypywał. W odpowiedzi spisał Sarbiewski poufną pogawędkę z królem o dziełach Jezuity Strady i o Wojnie domowej „Łubieńskiego“.

„Pytał mię król, czym czytał twoją... „Wojnę domową“. Powiedziałem mu, żem nieco czytał; powiedziałem coś więcej, ale tego ci nie powtórzę, bo lękam się, aby w następnym liście bardziej mię jeszcze za chwalenie cię nie zburczał. Ale król tak się uniósł uwielbieniem, że uczcił cię piękną zaiste i chwalebną nazwą: Polskiego Cycerona. A co? czym się nie świetnie zemścił?... Od przyszłego czwartku król zaczyna dwutygodniowe polowanie. Ja tymczasem będę sobie siedział w mej ciupce i twoją „Wojnę domową“, (jeźli mi ją przyślesz), aż do ostatniej literki przeczytam“ [3].

Czy polski Cycero przysłał polskiemu Horacemu dziełko, o które się przymówił? Bądź co bądź, wątpić można, żeby Sar-

---

[1] Czasami mięszały się z nimi i mniej poetyczne. Tak np. posłał poeta parę razy Łubieńskiemu nieco słodkich jabłek i gruszek; biskup znów sprowadzał go, kiedy tylko mógł do siebie na wieś; zaopatrywał w zimie w paliwo.

[2] List 37 i 42. O hist. rokoszu 1606—1608 r.

[3] List 26. — Z Warszawy 17 październ. 1637. Mowa tu o hist. rokoszu 1607. *De motu civili in Polonia.*

biewski miał czas je odczytywać podczas królewskich łowów. Władysław lubił bardzo uczone pogawędki z swym kaznodzieją; w czarnych chwilach lubił przysłuchiwać się grze Sarbiewskiego na cytrze lub klawicymbale. Bardziej jeszcze kochał go za ody, zapalające do walki z niewiernymi: wszak i Władysław nosił się z tą wielką myślą i szerokie dla jej wykonania snuł plany. To też zazwyczaj, gdy król wybierał się na ulubione polowania, jechał z nim Sarbiewski i wśród „przepastnych krain puszcz litewskich“ polował na dumania, albo w lichej jakiejś chałupce, lub na prędce skleconym szałasie, modlił się i pracował nad swemi kazaniami, podczas gdy myśliwska drużyna rozbiegła się po borze.

Muzy szczególnie okazały się łaskawe dla poety w wycieczce grudniowej (r. 1637). „W Strzebowie, pisał do Łubieńskiego, dokąd musiałem towarzyszyć polującemu królowi, w małej, nędznej chałupince, uczułem w sobie dawny liryczny ogień i niezupełnie znów opierałem się natchnieniu, co z niebieskich swych siedzib tak rzadko zstępuje, natchnieniu pełnemu słodyczy, prawdziwemu świętemu, że tak się wyrażę, powietrznemu. Napisałem zatem książkę „Zabaw leśnych“, *Silviludia* zupełnie nowym i metrem i stylem; wziął je teraz do czytania król. Kiedy ci je poszlę, będziesz się miał czem ucieszyć, bo są tam miejsca miłe, czasami i pobożne“ [1].

Po królu dostały się „Zabawy leśne“ w ręce dworskich artystów-muzyków, którzy nosili się nawet z myślą, niewiemy czy spełnioną, dorobienia do nich muzyki. *Silviludia* zachwycały współczesnych, jak dzisiaj nas zachwycają; dziwiły świeżością formy i treści. Sarbiewski przyrównywał je żartobliwie do belgijskich kobierców wyobrażających łowy, a na których jedna tylko zielona farba bije w oczy. Jeżeli pod tą zieloną farbą rozumiał świeżość i jakiś wiosenny wdzięk obrazów i rytmu, to użył tu nader trafnego porównania. W odach ubierał Sarbiewski swe myśli w szatę pożyczoną od Horacego; w urywku Lechiady, który nam pozostał [2], czuć jak pilnie studyował Wirgilego; ale w „Leśnych

[1] List 31. 4 grudnia 1637.

[2] Fragment ten z księgi jedynastej, odszukany w bibliotece

zabawach“ nie nasuwa nam się żadne przypomnienie z dawniejszych poetów, nazwaćby je raczej można, utworem nowej romantycznej epoki. Spróbujmy podać treść tych prawdziwie rozkosznych wierszyków.

Władysław przybywa rano do Solecznik na łowy, łąki, listki i kwiatki błyszczą perłami niebieskiej rosy. Po prześlicznem opisaniu poranka, poeta wprowadza tańczących pasterzy i kładzie im w usta śpiew do rosy. Oto ostatnia strofka tego śpiewu:

„Zwierz idący do jaskini
Swego przejścia ślad uczyni,
Na mokrej trawie,
Zostanie ścieżka,
Wskaże obławie,
Gdzie zwierze mieszka.
Poranna roso! niebieskie dziecko!
Ułatwiaj strzelcom pracę łowiecką“ [1].

W następnem Silviludium zmienia się scena. Myśliwi rozbiegli się po kniei, zdaleka dochodzą niewyraźne dźwięki rogów i ochoczych krzyków, tymczasem poeta spokojnie spoczywa w cieniu drzewa i wielbi Boga w Jego cudach. Wtem zbliża się ktoś z dworzan królewskich, „błahy strzelec co uchodzi szyderstw towarzyszów za chybioną zwierzynę“, zapominają o łowach i zaczynają rozmowę. Poeta unosi się nad urokiem cienistego zacisza, nad kobiercami ziół, krasnymi w wiosenne kolory; wtóruje mu dworzanin:

„Przebóg! monarchów szkarłaty,
Ostrymi cierńmi podbite.

---

wileńskiej Towarzystwa Jezusowego, podał Bohomolec w wydaniu swem z 1769 r. Przedstawia się nam prześliczna zaczarowana wyspa koło Gniezna; na niej zwiedziona lechicka młodzież wyprawia z Nimfami tany, rozkoszuje przy pełnych wina pucharach, niepomna, że król wysłał ją do walki przeciw groźnym hufcom Scytów i Sarmatów. Wreszcie zaniepokojony Lech domyśla się zdrady; zbliża się na czółnie do zdaleka widnych kryształowych pałacy. Wtem oddalają się brzegi, rozpływa w powietrzu królewski pałac, znika wyspa z przed oczu, a lechicka młodzież niema z podziwu, znajduje się znów na swych czółnach.

[1] Silvil. II. „Słabe tylko wyobrażenie Silviludiów potrafiliśmy dać naszym przekładem“, uniewinnia się Syrokomla.

POETA.

Pod drzewem w cieni wybornej,
Słuchając ptaszęce pienie,
Śmieję się z próżności dwornej,
Z honorów nikłych jak cienie.

DWORZANIN.

Przebóg! monarchów szkarłaty,
Ostrymi cierńmi podbite,
O błogo mieszkańcom chaty!
O życie spokojem syte“ [1].

Lecz oto nowa „Zabawa“. Słyszymy śpiewy wesołych rybaków, to znów rzeźkich żniwiarzy, to sam poeta rozmawia poufnie z księżycem, wzywa zefirki, wietrzyki i cienie, aby osłoniły polującego w skwarze południowym króla, lub nucić każe zefirom piosnkę na cześć ukoronowanego myśliwca. Kiedyindziej myśliwi legli na trawie, by odpocząć po całodziennych trudach. Poeta odpoczywa także choć po innych trudach, a przechadzając się z wolna po łąkach i lasach, rozmyśla o miłości Bożej;

„Oto kwiaty z całej siły
Napawają się rozkoszą,
W górę listki wystrzeliły,
I skrzydełka k'niebu wznoszą;
I westchnieniem z aromatu,
Wymadlają wzgląd niebieski,
Na ich licach, wstyd szkarłatu,
I kropelki gdyby łezki.
Każde drzewo i krzewina,
Szepcze liśćmi swe pacierze,
Bluszcz ramiona w górę wspina,
Bo się modli szczerze.

Czyż mnie jednemu — biada mi biada!
Wśród tylu ogniów skrzepnąć wypada?
Czyż ja sam jeden, niewdzięczny tyle,
Od lekkich brzemion barki uchylę?
Ach! Ty o Boże, o władco ludzi!
Niech się Twa miłość we mnie rozbudzi,
Niech tyle iskier pali me łono,
Ile się liśćmi zielenią drzewa,
Ilu kwiatami niwy barwiono,
Ile dżżu kropel, błękit wylewa.

[1] Silvil. III.

Kwiat różnowzory,
Podnosi czoła,
Głosem pokory,
Do niebios woła.

Wszędzie słychać hymn cześci,
Z niebem wietrzyk się pieści,
Niebo — woda szeleści:

Czyż mnie jednemu — biada mi biada!
Wśród tylu głosów milczeć wypada?
Boże! daj wsparcie znikomej sile,
Wlej we mnie słowa i pieśni tyle,
Ile Ci plastrów buduje pszczoła,
Ilu głosami ptaszyna woła,
Ile Ci zefir modlitew składa,
Ilu tonami brzęczy kaskada" [1].

Poznajemy tu odrazu wieszcza-zakonnika, ascetę. Jak asceta tak poeta, cieszą się pięknością świata, bo jest on dla nich obrazem jednej niestworzonej piękności. Jak jeden tak drugi, nasycić się nie może, przypatrując się wielmożnym sprawom Tego, „który jest przed wieki i aż na wieki".

Wkrótce miał Sarbiewski sposobność wprowadzić w czyn inną jeszcze maksymę ascezy chrześcijańskiej, która streszcza się w przysłowiu: „niema kącika, bez krzyżyka". Dotąd szło wszystko Sarbiewskiemu po myśli; teraz do słodkiego kielicha jego życia miało się przymięszać kilka kropel goryczy. Jedną z tych kropel były cierpienia fizyczne. Praca i ciągłe podróże sprowadziły ubytek sił, ogólne osłabienie tak, że przez pewien czas Sarbiewski obawiał się suchot. Stan zdrowia poety zaniepokoił jego przyjaciół i samego króla. Władysławowi również nie służyło zdrowie; dokuczała mu podagra i kamień, a lekarze doradzali wody badeńskie. Korzystając z sposobności, zażądał król, aby Sarbiewski zażył tej samej kuracyi. Dnia 5 sierpnia 1638 r. wyruszyli podróżni na Morawę i Czechy do Wiednia. Królewskich gości przyjmowali na swych zamkach niemieccy i czescy magnaci; Sarbiewski kiedy mógł, wymykał się z okazałych komnat do domów swych współbraci, gdzie młodzi i starzy z ciekawością słuchali opowiadań sławnego barda. Widok opustoszałych kilkunastoletnią wojną oko-

[1] Silvil. V. Z siedmiu zwrotek, przytoczyłem cztery ostatnie.

lic, ruin i zgliszczów przejmował smutnemi uczuciami duszę podróżnych: „O złóżcie już broń, pobożni królowie, wołał Sarbiewski, za przykładem waszym podadzą sobie ręce zgodne ludy“.

„Czyż wam tak słodko, czyż wam tak pilno,
Napawać ziemię krwią waszej braci?

Schowajcie szable mężni Germanie,
Schowajcie szable — niech się nie nuży;
Cezar, łup inny ukaże dla niej,
Szabla na Turka głowę usłuży“ [1]!

Przez całe dziewięć dni odpoczywali królestwo w Wiedniu, podejmowani świetnie przez cesarzową. Niemcy nie mogli się nachwalić uprzejmości Władysława, którego grzeczność odbijała w obec sztywności wiedeńskiej etykiety. Cesarz Ferdynand zabiegł drogę królowi polskiemu dopiero za jego powrotem z wód, 22-go października w Nikolsbergu. W poufnym tym zjeździe, załatwili obaj monarchowie kilka spraw ważnych. Ferdynand mianowicie obiecał pośrednictwo swe w sprawie uwięzionego przez Francyę Jana Kazimierza. Nazajutrz po spotkaniu się obu monarchów, wysłał Łubieński powitalny list do wracającego przyjaciela z wymówkami, że mu przez cały przeciąg podróży ani słówkiem nie dał znać o sobie. „Spodziewam się, że żyjesz i zdrów jesteś jak ryba, po opiciu i obmyciu się w tak kosztownej siarce, której aż w Wiedniu trzeba było szukać... Miałbym ochotę wody te nazwać Letejskiemi bo lecząc ciało, pamięć na przeszłość w wiecznem zapomnieniu utopiły. Lepsze nasze polskie powietrze! Skoro niem odetchniesz, dopiero wrócisz do siebie; przyjdą na myśl przyjaciele i wszyscy dobrze ci życzący... Nie sądzę, abyś bardzo podziwiał układne niemieckie obyczaje albo Jego Cesarską Mość rodzaju żeńskiego, zresztą opowiesz mi lepiej wszystko, jak tu przybędziesz“ [2].

Sarbiewski odpowiedział listem datowanym 30 października z Pszczyna na samem wsiadaniu. „Postanowiłem sobie, pisze, dopiero na granicy najmilszej mej ojczyzny listownie cię pozdrowić,

[1] Ep. O. VIII. *Publicae Europae calamitates* i Ks. II. O. 23. *Ad Germaniam.*

[2] List 61. Z Barłodziejów, 23 paźd. 1638.

ażebym sobie nie zasłużył na przydomek dwornego donosiciela nowinek. Już i tak tym przydomkiem na samym wstępie do Szląska mię obdarzono. Cóż mogę donieść ci milszego, cóż bardziej upragnionego, jak że król, na którego życiu, życie Rzeczypospolitej naszej polega, cieszy się lepszem, stalszem zdrowiem; innym również kąpiele badeńskie niemało posłużyły. Co do mnie czuję się codzień silniejszym; spostrzegam, że dzień w dzień tłuścieję, zamiast żebym miał dostać suchot, jakem się tego przed paru laty obawiał... Kiedy to piszę, słyszę znak trąby wzywający w drogę do Oświęcima, O! jakże się cieszę widokiem Ojczyzny! Żegnaj mi ozdobo jedyna świata i mnie zawsze i wszędzie tobie oddanego, jak dotychczas kochałeś, kochaj i nadal“ [1].

Przyjazny stosunek kaznodziei królewskiego z płockim biskupem, widocznie był niektórym solą w oku. Do innych przyczyn, między któremi niemałą rolę grała niska zazdrość, przyłączyło się nieuzasadnione podejrzenie, że Sarbiewski utrzymuje Łubieńskiego w ustawicznej wiadomości o wszystkiem, co się dzieje na dworze. Nie było to prawdą. Nikt bardziej od Sarbiewskiego, nie brzydził się pałacowemi plotkami, najczęściej o niczem nie wiedział, a jeśli co wiedział, to ograniczał się na lakonicznem „Resztę pewnie inni ci powiedzieli.“

Bądź co bądź, niesłuszne podejrzenie, o którem zapewne już dawniej przebąkiwano na dworze, dostało się wreszcie po powrocie do ojczyzny do uszu Sarbiewskiego. Zmartwił się nieco nową plotką, nie brał jej wszakże bardzo na seryo. Z Warszawy prowadził w najlepsze dalej, przerwaną na chwilę, na pół poważną, na pół żartobliwą korespondencyę z Łubieńskim. W dwóch z kolei listach skarżył się na litewskie buraki, które go aż do łóżka wepchnęły; odgrażał im się uszczypliwym jambem, jakim Horacy zemścił się na czosnku. Tymczasem ci, co nie znali treści listów, dziwili się ich częstej wymianie i wyobrażali sobie, że zawierają nie wiedzieć jak ważne tajemnice i nowiny. W połowie stycznia 1639 roku, nie domyślając się, jakie chmury zbierają się nad jego głową, z radością ściskał Sarbiewski starego przyjaciela, na którego wieś Wyszków, dwór królewski obrócił swą drogę do Wilna.

[1] List 62.

Wnet po przybyciu tam poety, wysłał do niego, jak to zwykle czynił Łubieński, swój liścik maleńki. Za pierwszym poszedł do Wilna drugi, trzeci, czwarty wreszcie, — żadnej odpowiedzi. Posłaniec biskupi osobno zapytał Sarbiewskiego, czy nie powierzy mu listu do swego pana. „Napiszę, kiedy znajdę chwilkę czasu", brzmiała niezwyczajna odpowiedź. Zmartwiony biskup nie wiedział co sądzić, dwa jeszcze listy wysłał pod adresem przyjaciela, zaklinając i prosząc choćby o słówko: „Jeśli się na mnie gniewasz, napisz choć to że się gniewasz". Przyczyną długiego tego milczenia były plotki, których nie brakło na dworze Władysławowym. Król wyjawił się z zamiarem nadania katedry płockiej, po śmierci Łubieńskiego, bratu swemu Karolowi Ferdynandowi. Więc usłużni dworzanie raz po raz uśmiercali starego biskupa. Ale była to jeszcze stosunkowo niewinna ploteczka i sam biskup śmiał się z niej, zaręczając, że natychmiast po swym zgonie wyprawi gońca do dworu z oczekiwaną nowiną. Jeden znów z biskupich dworzan, nie wiedząc skąd, wysnuł sobie bajkę, że Sarbiewski został sekretarzem królewskim i że jak sam się z tego miał chełpić, zna na palcach wszystkie tajemnice i najważniejsze sekreta. W lot pochwycono bajeczkę, a mała ta iskra wybuchła w wielki płomień. Posypały się oskarżenia i zarzuty na poetę, że tajemnie znosi się z Łubieńskim, że należy do jego stronnictwa na dworze, że chlubi się nienależnymi tytułami. Jeden z listów do Łubieńskiego otworzono nawet i puszczono go w obieg. Nie chcąc się narażać nadal na podobne nieprzyjemności, Sarbiewski postanowił przerwać na czas jakiś korespondencyę z biskupem. Dopiero przynaglony natarczywemi prośbami Łubieńskiego, wysłał doń w ostatnich dniach marca 1639 obszerny list, w którym tłumaczył się z długiego milczenia:

„Jak mię to boli i opisać trudno. Głoszą publicznie, że należę do twego stronnictwa. Ani wiem, jakie było twoje stronnictwo, ani choćby było, usposobienie me i wychowanie nie zrobiły mię tak przebiegłym i wyćwiczonym w tych sprawach, abym się do niego miał mięszać. Patrz sam, jak nieraz na niewinność u dworu biją... Na szerokiem polu dworszczyzny, trawie i źdźiebełku pokazać się nie wolno. Proszę cię, przysyłaj nadal do mnie listy na ręce poczciwego Poniatowskiego, który znajduje się przy kancle-

rzu, ażeby mi je sam własnoręcznie oddawał. Zresztą takem się rozkochał w samotności, tak pilnie wysiaduję nad memi książkami, oddaję się słodkim dumaniom, tak zbrzydziwszy sobie dwór ukochałem mój kącik, że już nietylko utworów mego pióra, ale i twarzy mej (chyba na ambonie) nikt nigdzie nie dojrzy i z każdym dniem przekonywam się coraz bardziej, że niema nic bezpieczniejszego, nic słodszego nad milczenie“ [1].

Łubieński uczuł również głęboko wyrządzoną sobie i przyjacielowi krzywdę. Jego listy zanim doszły do Sarbiewskiego, przechodziły wpierw krytykę ciekawych, niepowołanych cenzorów. Kilku nawet magnatów nie wstydziło się maczać ręki w tej brzydkiej intrydze. Biskup płocki miał poszlaki na twórców plotki; mógł ich był odkryć i zawstydzić, ale jak przystało na prawego kapłana, umiał się wznieść wyżej. „Niech Bóg im przebaczy, pisze, czas kiedyś to wyświetli“ [2].

Ze swej strony prosił go Sarbiewski, aby się nie martwił tą sprawą; aby mu nawet nie okazywał zbyt jawnych oznak swego współczucia i żalu „bo źli ludzie, gdyby poznali, żem się przed tobą poskarżył, jeszczeby bardziej mię podejrzywali, albo się na mnie gniewali“ [3]. „Z ulubionego mego kącika patrząc, pisze w następnym liście, śmieję się z dworskich zabiegów i próżnych nazwisk rzeczy. Choćby mię nie zrobiło takim zakonne wychowanie od trzynastego roku życia, ustawiczne rozmyślanie i czytanie, to uczyniła mnie takim sama natura, która czuje wstręt do wszelkiego zgiełku i dymu“ [4].

Nie po „stoicku“, jak się raz wyraża, ale prawdziwie po chrześcijańsku, po zakonnemu znosił Sarbiewski ciężki ból, który głęboką ranę zadał jego czułemu sercu. Zawsze nabożny, podwoił jeszcze modlitwy. Niezasłużona zawiść ludzka bolała go, ale chętnie ofiarował ją ukochanemu Panu, co zawisł zań na krzyżu.

„Choćby mię miano rozkrawać po sztuce,
Choćby żelazem grozili siepacze,

---

[1] List 78. Z Wilna 28 marca 1639.
[2] List 80. Z Wyszkowa, 8 kwietnia 1639.
[3] List 81. Z Wilna, 15 kwietnia 1639.
[4] List 82. Z Wilna, 29 kwietnia 1639.

Jezu! ja krzyża Twego nie porzucę.
Aż się serdecznie nie spłaczę. —
Niebo i ziemia i cała natura,
Nic mię nie zdoła oderwać od krzyża,
Choćby grzmotnęła nawałnica chyża
Deszcz płomienisty i siarczysta chmura,
Ja nie odstąpię — lejąc łzy obfite,
Niech się doczekam, aż mię piorun zbije,
Twe stopy święte, gwoździami przebite
Memi ramiony obwiję. —
Jezu promienny! rzuć jeno oczyma,
Niech żebrzącemu Twa jasność zaświeci:
A cząstka ducha, co do Ojca leci,
Niechaj się na mnie zatrzyma“ [1].

Nigdy przedtem nie lgnął Sarbiewski do dworu; teraz pobyt wśród dworskiego zgiełku stawał mu się nieznośnym. Pragnął zwolnienia od ciężkich obowiązków, nie zakładał jednak rąk bezczynnie. W czerwcu towarzyszył królowi w myśliwskiej wycieczce do Merecza, miejsca smutnie sławnego Władysławowym zgonem. W każdą niedzielę i święto występował z kazaniem, a mimo wielkiej obfitości myśli i łatwości wymowy nikt pilniej od Sarbiewskiego nie gotował się do głoszenia słowa Bożego. W wolnych chwilach opiewał najulubieńszy swój przedmiot — miłość Bożą. „Kiedy inni ścigają jelenie i sarny, a opaleni słońcem, okurzeni pyłem plądrują po polach i wąwozach — ja w cieniu mej chatki, napadłem na jelenia, za którym pobiegłem z królewskim psalmistą, aż do źródła wód wieczystych, aż do miejsca przedziwnego przybytku, aż do domu Bożego. To ci mój Ojcze Jakób z łowów przynosi. Wstań i jedz, a niech mi błogosławi dusza twoja“ [2].

Hymn o miłości Bożej był łabędzią pieśnią pobożnego poety. Z ostatnim dniem czerwca 1639 urywa się korespondencya z Łubieńskim, i odtąd mamy już tylko bardzo skąpe wiadomości o pozostających kilku ostatnich miesiącach życia łacińskiego pieśniarza.

W największe skwary, bo pod sam koniec lipca, wrócił król do Warszawy, dokąd wzywały go sprawy krajowe. Sarbiewski coraz to bardziej tęsknił do zakonnej ciszy; upraszał króla, aby

[1] Ep. Oda V. W całości.
[2] List 86. Z Merecza 3 czerwca 1639.

go zwolnił od obowiązków i pozwolił wrócić do klasztornej celki. Dopiero w marcu 1640 dał się uprosić Władysław. Nie mógł uczynić większej łaski wysłużonemu kaznodziei. Obawiając się może, żeby król nie cofnął jeszcze danego zezwolenia, czemprędzej gotował się do opuszczenia stolicy. Wtem przybywa do Warszawy polski jakiś magnat, (jak się domyślają różnowierca), który wiele nasłuchawszy się o kazaniach Sarbiewskiego, koniecznie pragnął choć raz go usłyszeć. Władysław dowiedział się o życzeniach tego dygnitarza, i zażądał, żeby Sarbiewski przed opuszczeniem Warszawy raz jeszcze przemówił. Ciesząc się, że to po ostatni już raz występuje jako królewski kaznodzieja, wszedł Sarbiewski na ambonę. Zawsze pełen zapału, chciał w tej ostatniej, pożegnalnej mowie streścić niejako wszystkie swe liczne napomnienia i przestrogi, wszystkich pociągnąć do Boga. Świetna była jego mowa, zachodzące słońce rzuciło po raz ostatni cały pęk błyszczących promieni, aby po chwili zniknąć z przed oczu i tem większy zostawić żal po sobie. Kaznodzieja nie porachował się z zdrowiem i z siłami. Jeszcze przed wstąpieniem na ambonę skarżył się na silny ból głowy. Na chwilę ustąpiły boleści, bo dano mu jakieś łagodzące lekarstwo, ale wnet powróciły cierpienia z podwojoną gwałtownością. Wprost z kościoła odprowadzono go już bardzo cierpiącego do kolegium jezuickiego, z ambony na śmiertelne łoże. Chory cierpiał okropnie, zdawało mu się, jakby wszystka krew kropla po kropli spadała na mózg, sprawiając przez to boleść wstrząsającą całym organizmem. Zdaniem lekarzy jedno z naczyń mózgowych pękło i nie było żadnej nadziei ratunku.

Tymczasem po ulicach Warszawy rozlegały się radośne okrzyki. Na wszystkie strony pędzili posłańcy z wesołą nowiną, że dnia tego, pierwszego kwietnia, przyszedł szczęśliwie na świat królewicz Zygmunt Kazimierz. Cieszyli się wszyscy, jedno w jezuickim domu radość z szczęśliwego publicznego wypadku zatruwała domowa boleść. Drugi to już dzień jęczał Sarbiewski w przejmujących bolach, w których pocieszał się myślą, że to przejście z wygnania do ojczyzny.

„Nie chcę patrzeć na ziemię, o wy wiatry wschodnie,
Prędzej mię, prędzej z sobą unoście ku górze!
Skąd ziemi ani widno, gdzie piersiom swobodnie,
Gdzie słońce i księżyc kąpią się w lazurze.

Czyż zaiste? o wietrzna wzdęła się już fala,
Ja w górach na obłokach, mknę się po przeźroczu
Królestwa jako mrowie, jedno mżą się zdala,
A ludzie i narody znikają z mych oczu.

Kula ziemska maleje, aż się punktem stanie,
Jako czarna źrenica, w szerokim błękicie,
Jako mała wysepka w wielkim oceanie,
Którego z żadnej strony brzegów nie dojrzycie.

Coraz wyżej a wyżej, za mną chmury biegą —
Powietrzny oceanie, orzeźwij mą głowę!
Pochłoń mię, pogrąż w sobie, napój spragnionego,
I zaprowadź do portu, niech ujrzę Jehowę“ [1].

Po trzech dniach niewypowiedzianych cierpień, spełniły się długo żywione pragnienia. Na dniu 22 kwietnia 1640 roku wśród licznego grona modlących się i bolejących współbraci, duch wielkiego wieszcza, a zarazem dobrego zakonnika, mężnego Chrystusowego rycerza, przeniósł się do wieczności.

W kilka dni później, pożegnał się ze światem długoletni przyjaciel zmarłego pieśniarza, siedemdziesięcioletni starzec, Stanisław Łubieński. W krótkim przeciągu czasu straciła Polska jednego z swych najznakomitszych dziejopisarzów i choć nie największego, to z pewnością najwięcej znanego i cenionego w całej Europie wieszcza-liryka [2].

X. X.

---

[1] Ks. II. Oda V. Żałujemy, że już po wydrukowaniu tych kart dowiedzieliśmy się o przekładzie kilkunastu pieśni Sarbiewskiego, dokonanym przez ks. Dra Kanteckiego (Warta rok 1. nr. 5, 19, 23, 43, 46—50), który o wiele przewyższa wszystkie inne przykłady, i dla tego nie mogliśmy z niego korzystać.

[2] Jak pobieżnie a niesprawiedliwie rozpisują się niekiedy nasi uczeni o Sarbiewskim, próbką artykuł hr. Wojciecha Dzieduszyckiego, p. t. „Horacy polski“, umieszczony w *Kronice rodzinnej* roku 1880, str. 65—71. Z niewielu zastrzeżeniami hr. D. odmawia Sarbiewskiemu popularności, talentu, a przedewszystkiem należytego zużytkowania swego talentu. Sarbiewski, jego zdaniem byłby dobrym poetą i byłby może dzisiaj jeszcze czytany, gdyby był pisał nie po łacinie, ale po polsku. Zapomina hr. D., że w XVII. wieku oprócz języka

narodowego był język europejski, w którym literatura i nauka całego cywilizowanego świata wyraz znajdowała. Dobrze, że i wówczas niebrakło nam pisarzy uprawiających język ojczysty; ale też szczęście i chluba nasza, żeśmy mieli genialnych pisarzy łacińskich, inaczej bylibyśmy zupełnie odcięci od ówczesnego świata uczonego. „Dystychy i madrygały“ Sarbiewskiego, — jak je łaskawie hr. D. nazywa — i to nietylko sielankowe piosneczki, ale przedewszystkiem hymny wojenne podziwiała w swym czasie cała Europa, jakeśmy to poprzednio dosyć wykazali; a i dzisiaj nie zupełnie o nich zapomniała. Nie brak jeszcze uczonych, którzy Sarbiewskiego cenią wyżej nad wszystkich humanistów, a słuchaczom swoim gorąco polecają wczytywanie się w jego poemata.

Tymi dniami właśnie pewien uczony Włoch, przypuszczając, że chyba w Polsce najłatwiej o Sarbiewskiego, polecił mi zakupienie kilku egzemplarzy jego pieśni, a wyznam, że je z biedą po antykwarniach wysznkałem. W obec tego braku wydań, nie można się dziwić, że dziś „Haracy Polski“ tak mało u nas znany, iż nawet ci, co o nim piszą, mogą na jednej stronnicy przyrównywać „utwory Sarbiewskiego z barwnem płótnem Rubensa albo Murilla“, (str. 70) mówić o nich: „że nadzwyczaj łatwo pomyśleć mylnie, że za Augusta, albo najpóźniej za Trajana pisane“ (str. 69); a na drugiej stronnicy utrzymywać poważnie, że „Sarbiewski nie był ani łacińskim, ani polskim poetą“ (str. 66), ale raczej jakimś Sanszo Panza, u którego „po bombastycznych wierszach, tłoczą się bombastyczne obrazy“ (str. 68).

Przeczytawszy tę mądrą rozprawę, mimowoli nasuwa się pytanie, które zadał już sobie sam autor, choć w nieco odmiennym sensiey: „I po cóż tedy piszesz o Sarbiewskim“?

DARWINIZM
W OBEC ROZUMU I NAUKI.

I. O powstaniu gatunków.

(Dokończenie.)

2. Dobór płciowy nie jest udowodnionym, ani też nie jest przez nikogo, prócz Haeckla, przyjętym. 3. Walka o byt. Ułudna i rzeczywista jej strona. — Walka o byt ze światem tak nieorganicznym jak i organicznym nie wpływa na zmianę gatunku. — Warunki klimatologiczne wywołują skutki tylko przypadkowe, drugorzędne. — Walka o byt wobec „zmian powolnych“ jest bezskuteczną; niezależnie zaś od „zmian“ jest nieuzasadnioną. — „Najzdolniejszy“ nie przebiega całego cyklu życia. — Broń zwierząt była zawsze doskonałą, miarkuje walkę i przyczynia się do zachowania gatunku. — Płodność utrzymuje życie, ład i harmonię w przyrodzie. — Zdania darwinistów o teoryi powstania gatunków. — Odprawa naszym darwinistom. — Zakończenie.

„Dobór płciowy“ jest tylko przypadkiem szczególnym doboru naturalnego; w teoryi darwinistowskiej nie odgrywa on wielkiej roli i bylibyśmy go tu pominęli, gdyby nie ta okoliczność, iż Darwin napisał o nim grube dzieło, które i na polski język przetłumaczonem zostało. Przyrodnik angielski zamierzał wykazać w niem, iż różnice i zmiany zewnętrzne, jakie niekiedy zdarzają się między samcami i samicami, pod względem głosu i ubarwienia, zostały spowodowane wyborem świadomem samic. Początek dzieła jest obiecujący; Darwin obiecuje mianowicie dowieść, że „nieprawdopodobne rzeczy są prawdziwemi“ [1]. Toby mogło zacieka-

[1] Dobór płciowy. Lwów, str. 9.

wić; jednakże zaraz potem szczerze przyznaje, iż o doborze płciowym mało, a właściwie nic nie wie. „Jednakże, to są jego słowa, już najprzód powiedzieć muszę, że kiedy idzie o sumienną spowiedź, to przyznać się musimy, iż bardzo mało wiemy, jak właściwie działa dobór płciowy!“ [1]. Mimo to ma niepłonną nadzieję, iż znajdą się tacy, którzy mu uwierzą. „Mimo to, mówi dalej, ci z przyrodników, którzy już **wierzą** w zmienność gatunków, jeżeli zechcą przeczytać następne rozdziały, zgodzą się niewątpliwie ze mną...“ [2]. Tak rzecz postawiona, uwalnia nas zupełnie od rozbioru dzieła, w którem zresztą Darwin nie odstępuje od swej zwykłej metody: tj. przytacza mnóstwo przykładów, często bardzo nawet ciekawych, częściej już dobrze znanych, a nie rzadko zupełnie niedorzecznych [3], które, jak zwykle, niczego nie dowodzą; wszędzie ta sama niepewność i traf, co krok przypuszczenia, niepoparte dowodami, wnioski wysnute li z samego założenia, sprzeczności na porządku dziennym. Rozbierać wprawdzie dzieła nie będziemy, ale wypada choć kilka słów powiedzieć o podwalinie tego aforyzmu.

Podstawa „doboru płciowego“ polega, wedle Darwina, na tem, iż samice wybierają dobrowolnie samców, w wyborze zaś powodują się tychże przymiotami estetycznymi. Dowód zaś tak przeprowadza: „Skoro człowiek jest w stanie, wedle swego pojęcia o pięknie, nadać w krótkim czasie zręczne kształty i strojne upierzenie kurom bantamskim, nie mam żadnego powodu wątpić, żeby samice ptaków, wybierając przez ciąg tysięcy pokoleń, wedle swego pojęcia o pięknie, (!) najśpiewniejszych i najstrojniejszych samców, nie mogły również wywrzeć widocznego wpływu“ [4]. Darwin przypuszcza, że samice wybierają i mają poczucie estetyczne piękna: ani jedno, ani drugie nie jest dowiedzionem [5]. Co do wyboru najprzód, nie było rzeczą stwierdzoną,

---

[1] Ibidem.

[2] Ibidem.

[3] Gdyby był autor przeczytał dzieło swej klucznicy, niewątpliwie byłaby mu poradziła wykreślić wiele rzeczy, tyczących się gęsi i kaczek, jako niezgodnych z prawdą.

[4] O powst. gat. str. 110.

[5] „Anstatt der Causalprincips schmuggelt man in die Natur-

iż wybór zostawiony jest samicom. W hodowli bydląt domowych i drobiu, śmiało powiedzieć można, iż wybór ten nigdy nie istnieje; między zwierzętami dziko żyjącemi trudno coś pewnego pod tym względem orzec. Wiemy, że wiele samców posiada postać powabniejszą od samic, wiemy, że niektóre z nich, w danych okolicznościach, roztaczają swe barwne upierzenia, lecz czy to czynią świadomie, z celem, a do tego z celem skutecznym? Nie jest to prawdopodobnem. Współubieganie, które się zdarza czasem, odbywa się między samcami, samiec przechyla szalę zwycięstwa, bez współudziału samicy, a stąd bez jej wyboru. Co się tyczy uczucia estetycznego, należy również rozróżnić wrażliwość zmysłową od poczucia piękna. Nikt nie przeczy zwierzętom wrażliwości zmysłowej: barwy i postacie zewnętrzne wywołują w nich różne uczucia; ale czy zwierzęta posiadają poczucie piękna, w którem objawy zewnętrzne zgadzałyby się z pojęciem idealnem, jakie mamy w sobie, rzecz nie jest ani dowiedzioną, ani też prawdopodobną. Osobiste przeświadczenie Darwina nie starczy za dowód, a na przypuszczeniu, popartem osobistem przeświadczeniem, wszystko opiera. I tak np. mówi dalej: „Chętnie przypuszczam, że wielka liczba samców, jako to najpiękniejsze nasze ptaki, niektóre płazy, ssaki i mnóstwo motyli zachwycająco ubarwionych, nabyły piękność dla samej piękności; wynik zaś ten nastąpił w skutek doboru płciowego. Stąd piękność niema na celu sprawienie przyjemności człowiekowi“ [1]. Są tu dwa wnioski: jeden jest powtórzeniem przypuszczenia, drugi zaś oparty na pierwszym w taki sposób, iż gdyby nawet ten pierwszy był prawdziwym, to jeszcze drugi z niego nie wynika; ale Darwin ten drugi wniosek musi przyjąć, pojęcie bowiem przeciwne, jak mówi w innem miejscu, „wywraca zupełnie moję teoryę“. Tak więc, niech przepadnie logika, byleby tylko teorya zwyciężyła! Takie rozumowa-

---

vorschung ein der letzteren fremdartiges Erklärungsprincip, nämlich das ästhetische Princip, das Ideal der Schönheit ein. Denn die geschlechtliche Zuchtwahl arbeitet nicht mit den im Organismus herrschenden materiellen Kräften, sondern nach einem idealen, körperlich nicht erklärbaren, in der Luft schwebenden Bilde“. (Wigand. l. c. t. I. p. 184).

[1] Orig. des esp. p. 220.

nie dobre dla wierzących, lecz dla innych, to grzebanie logiki jest pogrzebem i dla teoryi.

Jakkolwiek istnienie uczucia estetycznego w zwierzętach jest dla Darwina prawdą nieomylną, czasami jednak wyrywa się z pod pióra jego okrzyk podziwu. „Nie znam doprawdy, pisze on[1], nic cudowniejszego w przyrodzie nad to, że samica Argusa bażanta umie ocenić delikatne cieniowanie jego plamek okowatych i eleganckie rysunki, zdobiące jego lotki podramienne". Tutaj Darwin dziwi się swemu przypuszczeniu i uważa je za cudowne, opamiętuje się niebawem i dodaje: „Kogo razi ta zgodność gustu zwierzęcego z naszem poczuciem piękna, to niech raczy sobie przypomnieć, że przecież komórki nerwowe tak nasze, jak i wszystkich niższych zwierząt kręgowych, pochodzą od komórek nerwowych wspólnego protoplasty całego państwa kręgowców". Ależ, to się nazywa *petitio principii;* „dobór płciowy" ma służyć za jeden z dowodów, że kręgowce mają wspólnego protoplastę, nie można zatem opierać się na prawdzie, która jest „do dowiedzenia". Ten zresztą rzekomy dowód, nawet dla tych, którzy wierzą i wyznają, że kręgowce mają wspólnego protoplastę, przedstawia jeszcze trudności, na które niełatwo odpowiedzieć. O samych „komórkach" pomówimy gdzieindziej; ale dlaczego te „komórki nerwowe" nie wyrobiły w samicy małpiej tego poczucia piękna, a tym sposobem nie spowodowały samców do postarania się o mniej wstrętną powierzchowność? dlaczego te same „komórki nerwowe" u ludzi nawet, gdy stoją na niskim stopniu wykształcenia, albo w tych, którzy popadli w stan dzikości, nie przyczyniły się do wyrobienia uczucia piękna? tych i podobnych „dlaczego" nie możnaby tu wszystkich wyliczyć, a jednakże pominąć ich nie można, kiedy sam Darwin ich nie pomija i wrzekomo je rozwiązuje. I tak, powodem wszystkich kształtów i ubarwień w przyrodzie jest, wedle Darwina, albo dobór płciowy, albo własność całkiem przeciwna doborowi, dziedziczność; tymi dwoma czynnikami wszystko się tłómaczy — i nie trudno. Na pytanie, dlaczego kwiaty są piękne, odpowiada Darwin, aby przyciągały owady do swego zapłodnienia; dlaczego niektóre kwiaty

[1] Dobór płciowy t. II. str. 297.

niezapładniane przez owady są również piękne? — bardzo naturalnie, otrzymały one piękność w spadku po przodkach. Czemu przypisać piękniejszy kształt, barwę i melodyę, jakie posiadają niektóre samcy? — doborowi płciowemu; czemu przypisać, że wiele samic posiada takie samo ubarwienie i taką samą postać jak i samce? — dziedziczności. Skąd pochodzi, że małże ciepłych oceanów, zapładniane prądami wodnymi, mają także przepyszne kształty i barwy? — dzięki dziedziczności, i t. d.

Metoda, jakiej się Darwin trzyma w rozwiązywaniu trudności, jest jemu tylko właściwa; w jednem miejscu np. tak mówi: „Niektóre z tych trudności są tak doniosłe, że do dziś dnia nie mogę pomyśleć o nich bez wahania się w pewnej mierze", ale zaraz dodaje: „o ile jednak sądzić mogę, większa ich część stanowi trudności tylko pozorne, inne zaś rzeczywiste nie powinnyby obalać mojej teoryi". Jakkolwiek tedy trudności są tak doniosłe, iż sam się waha w ich przyjęciu, jednakże nie obalają one jego teoryi! Osobna logika à la Darwin. Trudności przeciw „doborowi płciowemu" zbywa też Darwin po swojemu. Na pytanie: dlaczego w bardzo wielu gatunkach „dobór płciowy" nie okazuje żadnego wpływu? Darwin odpowiada: „kiedy samica jest tak samo pięknie ubarwioną jak i samiec, co nierzadko się spotyka u ptaków i motyli, wówczas, zdaje się, ten przymiot przekazany był dziedzicznością obydwu płciom" [1]. Czasami przyczyna bywa inna: „Gęsi (nie zmieniają się) raz dlatego, że są używane pod dwoma tylko względami, tj. jako mięso i pierze, powtóre z powodu, że nic z ich strony nie zachęciło do wytwarzania ras" [2]. Nie można być naiwniejszym. Są wreszcie i inne przyczyny. „Człowiek tak samo jak każde źwierzę — pisze Darwin [3], — posiada wiele narzędów, które wydają się nam jako takie, co ani obecnie, ani dawniej nie musiały mu przynosić żadnej korzyści, czy to w ogólnych warunkach jego bytu, czy też w międzypłciowych jego stosunkach. Narzędów takich niepodobna przeto policzyć na karb którejkolwiek formy doboru, ani też nie można uważać jako dzie-

[1] Orig. des esp. p. 220.
[2] O poch. gat. str. 56.
[3] Dob. płciowy t. II., str. 283, 284.

dziczne następstwo używania lub nieużywania pewnych części ciała... Przyczyna każdej takiej modyfikacyi, bądź nieznacznej i małoważnej, bądź monstrualnej, tkwi raczej w konstytucyi samego organizmu, niż w naturze otaczających warunków bytu..." Kończymy rozbiór „doboru płciowego" wnioskiem, jaki z powyższego ustępu wyprowadził Hartmann[1]: „Do uzupełnienia tego wyznania, że ten rodzaj narzędów nie może być wytłumaczony żadnemi zasadami (darwinistowskiemi), brak tylko wypowiedzenia tego, co należało wypowiedzieć, że te właśnie narzędy stanowią zasadnicze cechy gatunków... Innemi słowy, sam autor przyznaje, że cała jego teorya, wszystkie jego prawidła nie tłumaczą zupełnie historyi rozwoju organicznego". Stąd dziwić się niemożna, że dobiór płciowy przez samych adeptów Darwina lekko był ceniony, jak o tem dowiadujemy się z jego dzieł; jedyny tylko Haeckel ocenił go i zrozumiał. „Haeckel jest jedynym pisarzem, który... rozbiera znakomicie sprawę doboru płciowego, zrozumiawszy dokładnie całą jego doniosłość"[2].

Przechodzimy obecnie do najgłówniejszego aforyzmu.

Wyrażenie Malthusa: walka o byt, stało się od czasu Darwina głośnem, słynnem; zastósowane pierwotnie do wytłumaczenia tooryi descendencyi, przeniesione zostało w inne dzielnice społeczne i polityczne, a w ustach lub pod piórem niektórych mowców i pisarzy zastąpiło wszelkie pojęcie prawa, moralności i opatrzności. „Walka o byt" wszędzie, „siła pięści" rozstrzyga zwycięstwo. Tak jednak nie jest, zapewne, walka istnieje, siła fizyczna ma swe znaczenie, ale po za tą siłą jest jeszcze inna, która rządzi światem; uczy nas tego historya rodu ludzkiego: gruzy wielkich państw i starych cywilizacyi świadczą o ich znikomości; kamyk podjęty ze strumyka powalił opancerzonego Goliata; mróz wytrącił broń z ręki milionowego żołnierza w Moskwie; historya też rodu zwierzęcego wcale nie stwierdza teoryi darwinistów, ani nie podpiera ich uroszczeń daleko sięgających, i to będzie przedmiotem niniejszego rozbioru.

Jestestwa organiczne, tak roślinne jak i zwierzęce są nader

---

[1] Darwin. p. 137.
[2] O poch. czł. str. 5.

płodne; gdyby wszystkie przychodziły do pełnego okresu życia, ziemia niebawem nie mogłaby ich pomieścić. Corocznie tedy ginie mnóstwo osobników każdego gatunku, giną jako żer, giną z braku żeru, giną wreszcie w skutek wrogich warunków fizycznych. Toczy się walka. Darwin zadaje sobie pytanie: jakie osobniki wychodzą z tej walki zwycięsko? i odpowiada: te, które w danych warunkach fizycznych posiadały najodpowiedniejsze przyrządy i nawyknienia do zwalczenia przeszkód, te właśnie osobniki przebyły cały cykl życia i dziedzicznością przekazały swe przymioty potomstwu. Osobniki uprzywilejowane tąż drogą potęgować będą w następnych pokoleniach zmiany i nabytki użyteczne, aż wreszcie zerwą nić łączącą z własnym gatunkiem i zadziergną nową, nowy gatunek szeregującą. W tym doborze przyrodzonym, „walka o byt“ zastępować będzie świadomość, jaką się posługuje dobór sztuczny; to jest główne tło teoryi.

Przyznać należy, iż jakkolwiek myśl nie była nową, to jednak Darwin umiał ją tak nawiązać i przedstawić, iż miała za sobą wielkie pozory prawdy, zwróciła uwagę ogólną i pociągnęła ku sobie bardzo bystre nawet umysły. Bliższe rozpatrzenie się w szczegółach okazało jej ułudę, nastąpiło rozczarowanie. De Quatrefages tak się o tem wyraża: „W ręku tego, pod tylu względami znakomitego przyrodnika, przypuszczenie przemiany stopniowej nabyło siły i pozoru prawdy, jakich przedtem nie miało... uczony angielski nadał nowej doktrynie urok, którego trudno nie podziwiać. Łatwo można zrozumieć wpływ, jaki mogły wywrzeć jego pojęcia głębokie często i bystre, oparte na ogromnej wiedzy... Byłbym może sam uległ temu wpływowi, gdybymbył nie spostrzegł, iż znakomity autor porzuca pozytywną stronę faktów i przerzuca się w przypuszczenia, niedające się uzasadnić[1]... Teorya uczonego Anglika jest bezprzecznie najwybitniejszym usiłowaniem pomiędzy wszystkiemi innemi, które chciały odsłonić tajniki pochodzenia świata za pomocą przyczyn drugorzędnych, skutek jednak pozostał ten sam; Darwin i Lamarck nie dopięli celu[2]“.

Ułudna strona teoryi Darwina polega na tem, iż prawdą

[1] Esp. hum. p. 67.
[2] Esp. hum. p. 74.

jest bezprzeczną, że w przyrodzie walka istnieje, że osobniki słabo rozwinięte nie są zdolne do oparcia się wpływom klimatologicznym, do wyszukania sobie dostatecznego pokarmu, a wreszcie do uchronienia się od napaści innych, którym służą za żer; lecz z tego nie wynika jeszcze wcale, ani też dotąd dowiedzionem nie zostało, że najzdolniejszy *(survival of the fittest)* przebiegać będzie cały cykl życia, że odziedziczać będzie po przodkach użyteczne przymioty i zarazem nabywać w tym samym kierunku ciągle nowych. I to jest właśnie odwrotną stroną medalu, stanowi słabą, a raczej stwierdza błędną stronę teoryi. O niemożebności odmian bez granic, mówiliśmy już w doborze naturalnym, tutaj pozostaje nam okazać, iż nie jest prawdą, że najzdolniejszy, w znaczeniu darwinistowskiem, ma zapewnione zwycięstwo, a stąd nie jest prawdą, że walka o byt jest przyczyną przetrwarzania się organizmów. Rozpoczniemy od roztrząśnięcia kilku przykładów, jakie Darwin i jego uczniowie podają, a które rzekomo mają uzasadnić ich teoryę.

P. Rostafiński pisze[1]: „Wedle Darwina, rzecz z girafą mogła w ten się mieć sposób, że kiedyś, z powodu np. szczególniejszej posuchy, zwierzęta te zmuszone były szukać pokarmu z liści drzew; naturalnie, że z pomiędzy wszystkich utrzymały się te, które miały najdłuższą szyję i mogły tak wysoko sięgnąć, inne wymarły. Niechże się taka rzecz powtórzyła (sic) kilka razy, to za każdym rozpleniały się okazy o dłuższej tylko szyi i z czasem, przez taki naturalny wybór, powstawały zwierzęta z szyją bez porównania dłuższą od szyi prototypu". Otóż wszystko tu, co najmniej powiedzieć można jest nieprawdopodobnem. Zmiany powolne, których zwolennikiem jest p. Rostafiński, wymagały czasu, którego wielkość, jak się wyraża, „trudno sobie nawet wyobrazić"; stąd wyrażenie z czasem znaczy, ni mniej ni więcej, tylko miliony wieków: posucha zatem „szczególna" trwałaby miliony wieków! Czy to możebne? Powiem, najmniej nieprawdopodobne. Dalej, pytamy się, czy drzewa odradzały się przez ten czas, czy nie. Nie znamy drzew, któreby żyły miliony wieków, odradzać się tedy musiały; a jeżeli tak było, to wówczas nic nie zmuszało

[1] Karol Darwin str. 17.

zwierząt do wyciągania szyi, mogły się były bowiem żywić liśćmi młodych drzewek, przy ziemi rosnących, a zatem nie potrzebowały ginąć zwierzęta o krótkich szyjach, a więc i długoszyjne nie były najzdolniejszemi. Inny przykład przywiedziony przez p. Rostafińskiego nie jest również szczęśliwym. „Woły znów, mówi on, bronią się uderzając czołem. Te, które miały na czole rogowe sęki, mogły się lepiej obronić od napastników, niż takie z płaską czaszką. I znów, w kolei wieków, ta odmiana, pożyteczna dla zwierzęcia, w jego walce o byt doskonaliła się, bo z pomiedzy wszystkich sękatych te się najlepiej mogły obronić, a więc najdłużej żyły i najliczniejsze miały potomstwo, w których te rogowe sęki były długie i ostre. Z czasem więc powstało z wołu pierwotnie bezrożnego zwierzę rogate". Pomijając trudności, jakieby tu powtórzyć można, co do „kierunku" odmian, o czem dostatecznie mówiliśmy poprzednio, wystarczy zauważyć, iż cała ta powieść, osnuta na bujnej wyobraźni, nie zgadza się z faktami, jakie się dokonały w historyi. W Ameryce wyrodziła się dotąd istniejąca dzika rasa bydła bezrożnego z kilku sztuk, które posiadały rogi a przywiezione zostały z Europy. P. Rostafiński ogranicza się li na tych dwu przykładach, Darwin przytacza ich daleko więcej, lecz wszystkie są podobnej jak i poprzednie wartości. O jednym z nich słusznie zauważył Quatrefages, iż z pomocą tych samych dowodów, których Darwin użył do rzekomego uzasadnienia, iż sikora przemieniła się w orzechówkę, można pokazać, że orzechówka przedziergnęła się w sikorę [1]. Żadne zresztą przykłady nie mogły dowieść hypotezy, która w obec faktów zupełnie jest nieprawdopodobną, a mamy na to liczne dowody.

W rozbiorze doboru naturalnego, wspomnieliśmy już, iż Darwin przyjmując „zmiany powolne", wywołał rozdwojenie w swej szkole; najpoważniejsza część jego adeptów poszła za „zmianami nagłemi", albowiem cechy nieskończenie drobne nie mogłyby skutecznie wywrzeć użytecznego wpływu na osobnika, stawały się nieznaczącym czynnikiem w „walce o byt", a tem samem gubiły teoryą. „Zmiany nagłe" wyratowały ją z tego niebezpie-

[1] Charl. Darw. p. 158.

czeństwa, ale ocalić jej istnienia nie mogły — rozbiła się ona gdzieindziej.

Każdy osobnik wiedzie bój ze światem nieorganicznym i organicznym; w jednym i drugim razie, według Darwina, walka ta prowadzi go do przeobrażenia. Tak nie jest.

Świat nieorganiczny, warunki klimatologiczne nie wywołują w osobniku przeobrażenia. Na każdym płacie ziemi, w każdym zakątku morskim żyją organizmy bardzo liczne, a zarazem bardzo różne, nadto jedne i te same gatunki tak fauny jak i flory znajdują się pod biegunami i na równiku, w różnych zatem warunkach klimatologicznych; a że czynniki fizyczne wywierają jedynie wpływy jednostajne, nie mogły tedy wywrzeć skutków różnorodnych, doprowadzających do przeobrażenia gatunku. Wpływy czynników fizycznych nie są bez znaczenia, lecz znaczenie to i następstwa czysto przypadkowe są drugorzędne. Agassiz na pytanie, jakie są części ciała ulegające czynnikom fizycznym, odpowiada[1]: „Te, które są w styczności ze światem zewnętrznym, a więc, skóra, zabarwienie, gęstość sierści, pióra, łuski, wielkość osobnika, o ile jest zależna od jakości i ilości pokarmu, grubość skorupy mięczaków, wedle obfitości pierwiastków węglowych i t. p. Szybkość lub powolność rozwoju zależą również w pewnym stopniu od dłuższych lub krótszych pór roku; to samo można powiedzieć o płodności, długości życia i t. p. Lecz wszystkie te skutki nie mają żadnego związku z cechami wybitnemi i istotnemi gatunku zwierząt. Cały tom możnaby napisać o niezależności jestestw organicznych od czynnników fizycznych“. Upada zatem pierwsza część twierdzenia Darwina; lecz druga jeszcze słabsze ma podstawy: „walka o byt“ między osobnikami w świecie organicznym nie wyradza zmiany gatunku[2].

[1] De l' Espèce, p. 23.

[2] „Ein Unterschied in den Lebensbedingungen zwischen Silur und Devon, oder Kreide und Tertiär, und zwar von dem Grade, dass von den esteren kaum $^1/_{10}\,^0/_0$, von den letzteren beiden Formationen nicht eine Art beiden gemeinschaftlich ist, möchte schwerlich entschieden nachgewiesen werden können und, wo es möglich ist, doch nur als ein localer, vorübergehender, das Leben zerstörender, aber nicht dasselbe umgestaltender Einfluss. Plötzliche Hebungen, unterseeische Eruptionen, gewaltige, weitverbreitete Gasausbrüche, die einzigen uns

Walka istnieje. Wszystko co żyje walczy. Jestestwa żyjące z natury swojej przeznaczone są do walki, rodzą się bowiem opatrzone bronią. Dziób, róg, zęby, skrzydła, kły, pazury, kopyta, dzida, piła, pancerz, kolce, żądło, trucizna, stos elektryczny, płyny ciemne, wydzieliny cuchnące, nadto kształt, barwa, chyżość, udoskonalone zmysły i instynkta — oto broń odporna i zaczepna; wszystkie zwierzęta są nią uposażone z urodzenia i z urodzenia władać nią umieją.

Każda z tych broni jest w swoim rodzaju doskonałą i nie ma żadnych śladów żeby przechodziła niegdyś przez jakiekolwiek stopnie udoskonalenia. „Wszystko co rozum ludzki zdolny był wymyśleć, mówi Coutance [1], po wielu trudach i próbach, zwierzęta miały i mają bez żadnych prób i dochodzeń". Broń, z jaką występują zwierzęta, przewyższa w swym rodzaju o wiele broń wynalezioną przez ludzi, a nadto broń ludzka powoli i stopniowo

---

bekannten, plötzliche Aenderungen erzeugenden Vorgänge auf der Erde, mögen immerhin stattgefunden und massenweise lebende Wesen vernichtet haben; aber wir können sie dennoch nicht über die ganze Erde ihre Wirkung erstreckend annehmen, und ihnen eine schöpferische Kraft zuzuschreiben, ist ja ganz ummöglich. Auch können wir ebenso ummöglich solchen Ereignissen eine so wesentliche Umgestaltung der klimatischen Verhältnisse aufbürden, dass daraus die Nothwendigkeit der Entstehung neuer Arten erklärbar würde. Ohnedies zeigt uns die gesammte Organisation aller Formationen bis herauf zu der tertiären, dass überall ein wärmeres, gleichmässig über die ganze Erde verbreitetes Klima herrschte, das keinenfalls von einer Formation zur andern wesentliche, plötzliche Veränderungen elitt, während doch die Fauna und Flora solche erkennen lässt". (Pfaff, Schöpfungsgeschichte, p. 700 sq.).

„Wenn nach G.-St. Hilaire durch die Veränderungen der Atmosphäre im Laufe der geologischen Perioden das Reptil zum Vogel umgebildet wurde, warum sind nicht alle Reptilien und Säugethiere zu Vögeln geworden? Wo eine specifische Wirkung durch die Aussenwelt auf die Gestalt u. s. w. des Organismus ausgebübt wird, da wird stets bereits eine specifische Eigenthümlichkeit des letzteren vorausgesetzt, durch welche die Art und Weise jener Wirkung bestimmt wird. Wenn die Schwerkraft und das Licht auf die specifischen Richtungs — und Stellungsverhältnisse der Pflanze specifisch wirkt, so werden doch zwei verschiedene, dem nämlichen Einfluss unterworfenen Arten in ganz umgleicher Weise afficirt". (Der Darwinismus t. I. p. 202).

[1] Lutte pour l'existance, p. 89.

była udoskonaloną: między pałką dzikiego a iglicówką istnieje cały szereg przeróżnych broni, których kształty od natury bywały zapożyczane; tymczasem zwierzęta pojawiają się odrazu opatrzone doskonałą bronią. Człowiek potrzebował lat, rozumu, zręczności, by ukuć średniowieczny pancerz, który choć jest arcydziełem sztuki ludzkiej, w porównaniu z pancerzem żyjątka, stojącego na jednym z najniższych szczebli królestwa zwierzęcego, jest zaledwie niedołężnem naśladownictwem. Pancerz Ursyna, (Echinus, Jeżowiec) składa się z 10,000 sztuk po mistrzowsku z sobą spojonych, nadto z 3000 kolców, które czynią tę kulistą twierdzę niezdobytą. „Ursyn, mówi Michelet, jest granicą, do jakiej może dojść geniusz obronny. Jego pancerz, a raczej jego twierdza złożona ze sztuk ruchomych jest taką doskonałością, iż nigdy przez nikogo nie może być przewyższoną". Broń zwierząt, tak w obecnych stosunkach, jak i w dawniejszych pokoleniach ani się nie udoskonalała, ani się nie zmieniała: stwierdzają to dzisiejsze badania; paleontologia nie wykazuje żadnych kształtów przejściowych. Broń pierwszego zwierzęcia, jakie spotykamy w pokładach geologicznych, jest odrazu w swoim rodzaju doskonałą i niema śladu, iżby, w ciągu wieków, uległa zmianie; toż samo się sprawdza i co do broni wszystkich innych gatunków. Nie było tedy zmian i przekształcań broni, a nadto nie było żadnej potrzeby tych zmian.

Żadna broń nie zabezpiecza, ani nigdy nie zabezpieczała osobników jakiegobądź gatunku od zagłady. Dzisiaj, stwierdzają to darwiniści, giną całemi masami osobniki z każdego gatunku, pomimo, iż według ich teoryi, przyswoiły sobie najodpowiedniejsze przyrządy do obrony. Wielkość i siła osobnika, przeróżna i straszna broń żadnego nie ocalają. Jedno jestestwo pożera drugie, a z kolei przez inne jest pożeranem. Wielkie, silne i najlepiej zbrojne pożerają mniejsze lub słabsze, lecz nie są zdolne oprzeć się najdrobniejszym i najsłabszym: lwa, orła i rekina pożerają powoli pasożyty. Nie jest prawdą, że najzdolniejszy (survival of the fittest) przebiega cały cykl życia. To twierdzenie Darwina jest znowu prostem przypuszczeniem, nieopartem na żadnem doświadczeniu, ani nie jest wynikiem rozumowania. Z wyjątkiem małej ilości źle rozwiniętych osobników, wszystkie inne,

w każdym gatunku, posiadają ten sam kształt, te same narzędzia i w tym samym stopniu doskonałości — jednakże część ich ginie; niedostrzegalne różnice, jakie zachodzą między nimi, nie mogą im służyć za tarczę obronną. Lecz ani dawniej broń doskonała zwierząt nie zasłaniała ich od wyginienia. Całe gatunki zwierząt znikały z powierzchni kuli ziemskiej, pomimo doskonałości broni. Co może iść w porównanie z tymi potworami, o dziesięcio-metrowej długości, które żyły w morzach i bagnach jurasu? czego mogły się obawiać, lub przeciw komu bronić się potrzebowały; notosaury, pterodaktyle, ichtiosaury, teleosaury i hyleosaury o szczękach potężnych, strasznych zębach i grubych pancerzach? Czy zabrakło siły dinornisowi, który wielkością dorównywał girafie, albo epiornisowi, którego jaje mierzyło dziewięć litrów objętości? Wszystkie jednak wyginęły!

Zwycięstwo w walce nie zależy na potężnej broni. Wielkość osobnika, przy odpowiednej sile, daje mu wprawdzie przewagę w walce, lecz nieskończona drobność w połączeniu z wielką liczbą osobników stanowczo zwalcza nawet największego i najsilniejszego. Nie znamy wszystkich pasożytów, a tem mniej mikroskopijnych; badania naukowe odkrywają nam niemal codziennie nowe zastępy niewidzialnych dla gołego oka organizmów. Żadne zwierzę mniejsze czy większe nie jest od nich wolne; roślina każda ma sobie właściwe pasożyty: na dębie np. żyje i nim się karmi czterdzieści gatunków, li tylko samych owadów. Człowiek, który pod tym względem nie został wyróżniony od zwierząt, żywi w swem organizmie sześćdziesiąt gatunków, osobników liczy na miliony. Czy wszystkie choroby zaraźliwe powstają skutkiem pasożytów, nie jest jeszcze stanowczo rozwiązanem, pewną jest jednak rzeczą, iż wiele z nich tym lilipotowym nieprzyjaciołom przypisać należy. Chyluria, hematuria, craw-craw, choroba słoniowa (elephantiasis), nawet trąd pochodzą od organizmu, zwanego nitkowcem, którego zarodki mnożą się we krwi ludzkiej; ilość ich, według Lewis'a, dochodzi u chorego do dwu milionów. Trychina, która niedawno jeszcze pochłonęła była wiele ofiar i słusznie zaniepokoiła Europę, nadzwyczaj szybko i licznie rozradza się. Funt wieprzowiny trychinowej może zawierać pół

miliona zarodków; wprowadzone do organizmu ludzkiego, po kilku dniach wydają do 250 milionów żywych jestestw. Te liczby jakkolwiek ogromne, nie są jednak jeszcze granicą. Człowiek pochłania codziennie miliony zarodków, nietylko w pokarmach, które spożywa, w kryształowej wodzie, którą gasi pragnienie, ale to nawet niedające się uzmysłowić powietrze, co utlenia naszą krew, utrzymuje ciepło i życie, jest nieprzebranym zbiornikiem jestestw, które chcą żyć naszym kosztem. Obliczono, iż robotnik w Manchester, w ciągu dziesięcio-godzinnej pracy, pochłania do 35 milionów bakteryi, wibrionów i innych monad. Nie wszystkie wprawdzie gościć u nas bezpiecznie mogą, giną zwyczajnie strawione, lub niepostrzeżenie przeobrażone przechodzą, są jednakże i zabójcze: bakteryda czarna albo węglowa złożona na ustach żądłem owadu, w trzech dniach zabija człowieka. Parę miesięcy temu przypadek podobny zdarzył się w Warszawie. Jeden zawiązek bakterydy czarnej w 36 godzinach rozradza się do bajecznej liczby 142 miliardów; ponieważ 1000 bakteryd potrzeba do utworzenia długości na jeden milimetr, bakterydy zrodzone w ciągu półtorej doby stanowiłyby nić długości 142 kilometrów. Przeciw tej maleńkości i mnogości zarazem, żadna broń skuteczną nie jest; a sam człowiek, obdarzony rozumem, bogaty wiekowem doświadczeniem, uzbrojony tylu środkami, pan wszech jestestw ziemskich nie może stawić czoła mikrobowi przecinkowemu — ratuje się ucieczką lub ginie. Pojawienie się milionowej dziczy azyatyckiej, mającej nieść mord i pożogę w krajach europejskich, nie byłoby wywołało większego przerażenia, jakie wywołało pojawienie się w Tulonie bakteryi cholerycznej.

Co więcej, nie mogło leżeć w celach nawet „dobrej natury“ Darwina, ażeby osobniki nabywały coraz doskonalszych broni. Gdyby jaki gatunek żywizny A, służący za pokarm innemu B, nabrał z jakichbądź powodów cech takich, iż zwycięsko obroniłby się od napaści, wówczas cała gromada B zginąćby musiała z braku pokarmu; takiż los spotkałby gromadę C, żywiącą się osobnikami B i tak dalej: korzyści osiągnięte przez jednę gromadę wywołałyby nieład i spustoszenie we wszystkich żyjących istotach. Gdyby broń stanowiła o zwycięstwie, a broni tej możnaby nabywać, wówczas po pewnym przeciągu czasu zostałyby na ziemi

orły tylko, lwy i rekiny, a i one wyginęłyby niebawem z braku pokarmu.

Walka zatem która istnieje w świecie organicznym nie mogła przyczynić się żadną miarą do rozwoju osobnika [1] — bez skutków wszakże ona nie jest. Czyż ta przeróżna i tak doskonała broń jestestw organicznych nie miałaby żadnego celu? co nadaje tę godną podziwu równowagę w świecie ożywionym, gdzie pomimo nieustannej walki we dnie i w nocy, w każdym najmniejszym zakątku, w powietrzu, w wodzie, na powierzchni i wewnątrz ziemi, pomimo, że każda chwila czasu zabiera tysiące, miliony jestestw, życie jednak w całej jest pełni, piękność w całym blasku?

Wszyscy, którzy głębiej i poważniej rozpatrywali się w tem świecie, mędrcy starożytni, czy nowsi badacze, uderzeni pełną zachwytu harmonią, wznosili się myślą po nad świat zmysłowy wysłowiali i wysławiali Istotę Najwyższą [2]. Ten, który „pod miarą

---

[1] „Die in grossem Massstabe stattfindende Reduction der überzähligen Individuen wird in der Regel keineswegs durch bestimmte individuelle Eigenschaften, sondern durch jenen Complex von unbekannten und unregelmässigen, mit der Eigenthümlichkeit der einzelnen Wesen nicht zusammenhängenden Ursachen, welche wir „Zufall" nennen, entschieden. I przytoczywszy kilka przykładów mówi dalej: „Wenn in vielen Fällen wirklich ein Wettkampf um eine Erhaltung der siegenden Individuen in Darvins Sinne vorkommen mag: gegen die grossartigen Mittel, welche die Natur afzubieten hat, um das Gleichgewicht herzustellen, kommen diese einzelnen Fälle nicht in Betracht. Jedenfalls ist die allgemeine Thatsache des sich erhaltenden Gleichgewichts nich geeignet, die Existenz eines Wettkampfs als eine so allgemein verbreitete Erscheinuug, sämmtlicher Charaktere des organischen Reiches vorausgesetzt wird, zu beweisen... Bis jetzt liegt wohl nicht ein einziger thatsächlicher Nachweis vor; vielmehr hat man den Kampf um's Dasein als hypothetischen Erklärungsgrund für den Zweck der Theorie a priori construirt". (Wigand, der Darwinismus) t. I, p. 97.

[2] „Czemże jest natura, jeżeli nie Bogiem, a raczej boskim rozumem, objawiającym się w świecie"... Mylisz się tedy mówiąc, że nic nie winieneś Bogu, lecz naturze, niema bowiem natury bez Boga... Nazwij jak chcesz, natura, los, przeznaczenie, wszystko to są imiona Boga, który różnie rozporządza według Swej wszechmocy". (Seneka De benefic. lib. IV, cap. VII).

Kepler tak kończy swe wywody o prawach ciał niebieskich: „Dzięki Ci składam Boże mój i Stworzycielu za radość i zachwycenie jakich doznałem w badaniu dzieła rąk Twoich. Wykazałem ludziom

i wagą“ uczynił ten świat, rządzi nim w każdej chwili opatrznie; nic nie mógł stworzyć niepotrzebnego, ani dozwolić, aby coś zależało od przypadku. Niezgłębione są wprawdzie dzieła rąk Jego,

---

wspaniałość Twych dzieł, o ile słaby mój umysł zdolny był pojąć Twoją wielkość.

Newton pisze w swem wiekopomnem dziele: Cała ta rozmaitość rzeczy stworzonych według miejsca i czasu (co stanowi porządek i życie świata) mogła być tylko uczynioną umysłem i wolą Istoty, która ma byt sama z siebie i koniecznie... Pan nieba rządzi wszystkiem, nie jako dusza świata, lecz jako jego władzca... Jeden jest Bóg, ten sam wszędzie i zawsze... Podziwiamy jego doskonałość, oddajemy Mu cześć i uwielbiamy Jego wszechwładztwo...

Widziałem Boga przechodzącego zdala jak Mojżesz, pisze Lineusz, ujrzałem Go i oniemiałem z podziwu i uwielbienia. Odnalazłem drobne ślady Jego w stworzeniach; w tych dziełach rąk Jego, w najmniejszych nawet, w tych, które wydają się żadne: co za siła, jaka mądrość, jaka niewytłómaczona doskonałość!

Pierwszorzędny chemik angielski Humphry Davy pisze: „Doktryny materyalistów wydawały się mi zawsze zimne, ciężkie, nieznośne i wiodące koniecznie do bezbożności. Skoro w wykładach anatomicznych słyszałem zdania materyalistów, iż materya z początku drażliwa, w rozwoju stopniowym nabywa czułości, następnie z pomocą sił własnych wyrabia sobie organa, a wreszcie wznosi się do wyżyn rozumu, wystarczyła przechadzka wśród lasu, wzdłuż strumienia, by odrzucić te mrzonki i wznieść się myślą ku Bogu. W siłach natury widziałem jedynie narzędzie rąk Bożych... Prawdziwy chemik widzi Boga w tych wszystkich kształtach świata widzialnego. Zastanowienie się nad tym przepysznym ładem, panującym w tej niezmiernej rozmaitości, jest nieustającym dowodem nieskończonej Mądrości, która w Swej dobroci udziela człowiekowi pociech płynących z nauki. Im człowiek staje się uczeńszym, tem samem staje się zarazem lepszym; szczeble nauki są dla niego szczeblami cnoty również. Im więcej wzrok jego zagłębia się w tajniki umiejętności, tem więcej serce jego napełnia się wiarą; im grubszą staje się zasłona, niedozwalająca oczom jego ujrzenia przyczyn pierwszych, tem więcej podziwia blask światła Bożego, rozjaśniający jego duszę“.

„Znaleść można uczonych wyznających ateizm, lecz nie należą oni do uczonych pierwszorzędnych, nie są założycielami, ani kierownikami nauk. Matematyk, myślący tylko o swych formułkach, może być materyalistą; Fizyolog, ślęczący jedynie ze swym skalpelem nad mikroskopem, może nie znać objawów psychicznych; Naturalista, oddany całkowicie badaniu zwierząt, może nie widzieć cech znamienujących człowieka, lecz żaden Lineusz, ani Haller nie zostanie tak pochłoniętym przez jakikolwiek z czynników wszechświata, iżby zapomniał o innych. Co się tyczy nauk fizycznych, którym poświęciłem tę pracę, nie było ani jednego założyciela, ani jednego głównego

ani drogi któremi je prowadzi, lecz rozum ludzki posiada jeszcze tyle światła, iż może je choć w części poznawać, a nawet winien je poznawać, by się wznosić do poznania ich Twórcy. Zadawalniająca odpowiedź, na zadane wyżej pytanie, łatwą nie jest. Pomimo postępu, wiedza nasza w rzeczach przyrodzonych, namacalnych, najbliżej nas obchodzących, tak jest jeszcze małoznaczną i niepewną, tyle gałęzi umiejętności w kolebce, granice ich taką mgłą dla nas okryte, iż nietylko ich nie widzimy, lecz wydają się nam nadto niemożebne do ujrzenia kiedyś; cóż dopiero powiedzieć, kiedy idzie o rzeczy sięgające poza przyczyny drugorzędne! Spróbujmy jednak rozwikłać te zagadnienia, choć nie rościmy sobie nadziei, iż ich rozwiązanie nie pozostawi nic do życzenia.

Wielka jest na świecie moc istot organicznych. Mało co wiemy o ich liczbie. W Neapolu jednego dnia schwytano i ubito sto tysięcy przepiórek; w Ameryce gołębie ciągną stadami, mającemi kilometr szerokości, a 10 do 12 kil. długości. Wilson na mocy obliczenia przypuszczał, iż jedno takie stado mogło liczyć do 2000 milionów sztuk. Cóż powiedzieć o owadach? Liczba ich jest niesłychana. Wszystkie te jestestwa karmić się muszą, a „nie sieją, ani zbierają". „Dla wykarmienia tej niezliczonej armii owadów, mówi Coutance, bez wywołania nieładu i spustoszenia, potrzeba było nieskończonej mądrości, środków i sposobów, których zbadanie wywołuje podziw". Każdy gatunek jestestwa ma przeznaczony sobie pokarm, roślinny jedne, inne zwierzęcy; każdy otrzymał stosowne narzędzie do tegoż nabycia, i to jest jego broń zaczepna. Broń zaczepna staje się w potrzebie odporną; są gatunki, które tylko tę ostatnią posiadają. Broń odporna, jaką posiadają gatunki służące za pokarm innym, nie jest tego rodzaju i niedana im została w tym celu, aby była dla nich stanowczą i nieprzezwyciężalną ochroną od napaści, lecz tylko aby m i a r k o w a ł a instynkta żarłoczne ich nieprzyjaciół, utrudniała zdobycz i uniemożebniała wyniszczenie gatunku. Dla

przedstawiciela, któryby w swych pracach, nie kierował się myślą o możnym i mądrym Stwórcy". (La physique moderne, p. E. Naville. Corresp. de l' Institut de France, Paris, 1883, p. 188).

wyżywienia gatunku A, który się karmi gatunkiem B, pewna część osobników tego ostatniego musi paść w walce o byt. Gdyby osobniki gatunku A miały zupełną łatwość w chwytaniu gatunku B, bezwiedny instynkt żarłoczny pierwszych wygubiłby bezwątpienia cały gatunek B, a tem samem przygotowałby sobie również tenże sam los; podobnieżby działo się z innymi gatunkami. Broń odporna utrudnia zdobycz; przeszkody, jakie stawia, mogą być pokonane, ale do ich pokonania należy dołożyć trudu, na który tylko głód się zdobywa. Zwierzę zgłodniałe używa wszystkich sił tak fizycznych jak i instynktowych do zaspokojenia swych potrzeb, wówczas tylko walczy i zawsze zwycięsko; poza tem instynkta wojownicze ustają. Broń tedy miarkuje walkę, lecz nie rozstrzyga jeszcze zwycięstwa, ani nie jest regulatorem ładu, jaki w świecie panuje. Inny tu jest czynnik, któremu powierzone zostało czuwanie nad zapełnieniem braków, powstających skutkiem walki o byt — tym czynnikiem jest p ł o d n o ś ć.

Osobniki z każdego gatunku giną corocznie, codziennie i w wielkiej ilości, gatunek jednak nie ginie; nadto, można przyjąć, iż w pewnym dość znacznym okresie czasu, na danej przestrzeni ziemi, żyje ta sama ilość żywizny; stąd przychodzimy do wniosku, iż tyle ginie osobników każdego gatunku, ile się ich rodzi, a zatem p ł o d n o ś ć jest regulatorem, jest tą przyczyną drugorzędną, która zachowuje harmonię w świecie. Płodność każdego gatunku, tak roślin jak i zwierząt, jest ilością prawie stałą; różnice zaś między wielkością liczb, wyrażających tę płodność w różnych gatunkach, są ogromne. Im słabszą jest broń odporna jakiego gatunku, im osobniki są mniejsze, im krócej żyją, im więcej są narażone na zaginienie, bądź jako żer innych, bądź też w skutek zewnętrznych okoliczności, utrudniających ich rozwój, tem płodność ich jest większa. Słoń, hipopotam, wielbłąd, wydają jedno tylko młode, koza i owca często dwoje i troje, królik czasem dwadzieścioro. Orzeł znosi dwa jaja tylko, inne ptaki daleko więcej i kilka razy do roku. Wieloryb rodzi jedno, samica sztokfisza wydziela w tarle 9 milionów jaj; gdyby wszystkie jaja jednego śledzia przebiegały cały cykl życia przez 22 pokoleń, wówczas objętość śledzi stąd powstałych przewyższyłaby objętość kuli ziemskiej dziesięć razy. Płodność owadów

jest zadziwiająca, liczy się na miliony. Wymoczek kręcik żyjący kilkanaście dni, w szesnastym dniu swego życia wydaje szesnaście milionów zarodków. Rzecz się ma tak samo z płodnością roślin. Wyrachowano, iż gdyby wszystkie żołędzie jednego dębu zeszły, rosły i rozmnażały się prawidłowo, bez wszelkich przeszkód, wówczas na schyłku życia swego protoplasty, po wiekach pięciu, powierzchnia ziemi nie byłaby zdolna pomieścić całego potomstwa. Następstwa, jakie zajść mają w rozwoju każdego osobnika, są przewidziane, ubytki policzone i zaradzono im stosowną płodnością; płodność utrzymuje w pełni każdy gatunek, a zarazem w granicach mu wytkniętych. Nic nie ginie przypadkiem, ani jeden zarodek nie pojawia się zbyteczny, wszystko jest „pod miarą i wagą". Nie każde nasienie będzie kiełkować i wyda sobie podobne, nie każdy zawiązek dojdzie pełni życia, ale każde z nich spełnia cel sobie wytknięty. Jedne z nich rozwojem swym i życiem tworzą ten zdumiewający ład, który zmusza niezamykających dobrowolnie oczu do widzenia i podziwiania Wszechmocy Stwórcy; inne nienormalnym swym rozwojem, wywołując względny nieład, dowodzą, iż nie są emanacyą Najwyższej Istoty, nie są jej cząstką, a przytem nie nadwerężają ogólnej harmonii, cieniują tylko rysy wielkiego obrazu przyrody i uwydatniają przepyszną jego całość. Ład istniejący w naturze zadaje ciągły kłam niechcącym otworzyć oczu materyalistom, względny nieład rozprasza niedorzeczne mrzonki monistów. Możemy stąd śmiało wyprowadzić wniosek, przeciwny teoryi Darwina, iż w warunkach danych, walka o byt przyczynia się do utrzymania harmonii w świecie organicznym, przyczynia się zatem do utrzymania stałości gatunku.

Najgłówniejsze zatem czynniki, którymi Darwin chciał uzasadnić swoją teoryę, tj. dobór naturalny i walka o byt, do wprost przeciwnych doprowadzają wniosków; rzecz ma się podobnie i co do innych prawideł, które on bądź zapożyczył[1], bądź też wie-

[1] Bien avant Darwin, Lamarck avait formulé sa loi de hérédité et sa loi de developpement des organes, auxquelles le naturaliste anglais n'a rien ajouté; M. Nadin avait assimilé la sélection naturelle à la sélection artificielle; Etienne Jeoffroy St-Hilaire avait posé le principe du balancement des organes; Serres et Agassiz

dziory koniecznością z góry powziętego systemu, stawiał *à priori*. Każde z tych prawideł ma w sobie coś prawdy, można je wywieść z niektórych spostrzeżeń, może ono też znaleść zastosowanie w niektórych razach i w pewnych granicach, ale żadne z nich nie jest prawdziwem w uogólnieniu, w jakiem je chce mieć Darwin; każde z nich jest cząstką jakiegoś prawa naturalnego, którego dotąd nie znamy, ale nie jest samemże prawem. a stąd do uzasadnienia żadnej teoryi służyć nie może. Czyż mogą być uznane za prawa fizyczne, czy naturalne, aforyzmy, które zestawione z sobą, znajdują się w zupełnej sprzeczności? a tak się dzieje z prawami Darwina; co jedno twierdzi, to drugie zbija; dziedziczność sprzeciwia się zmienności, prawo rozchodzenia cech prawu schodzenia, kompensacya stałym cechom... O tych zresztą prawidłach Darwina nauka wydała wyrok potępiający przez usta tych, którzy mieli prawo w jej imieniu głos podnosić. Tak się np. między innymi o nich wyraża de Quatrefages. „Teorye Darwina, mówi on, w różnym stopniu zgadzają się z niektóremi zjawiskami ogólnemi. Lecz wszystkie bez wyjątku, dochodzą do tych wniosków, zapomocą przypuszczeń, które znajdują się w zupełnej sprzeczności z innemi zjawiskami ogólnemi, również zasadniczemi, jak i te, które tłómaczą. W szczególności zaś, wszystkie te doktryny polegają na rozwoju postępowym i powolnym, nadto na pomieszaniu pojęć o gatunku i rasie. Stąd sprzeciwiają się niezaprzeczalnemu faktowi fizyologicznemu; są w sprzeczności zupełnej z innym faktem, wynikającym z pierwszego i uderzającym wszystkich, mianowicie z istnieniem grup gatunkowych, sięgających początku świata i utrzymaniem działów organicznych, wśród wszystkich przewrotów dokonanych na kuli ziemskiej“ [1]. Również dosadnie wyraża się świadek wcale niepodejrzany Hartman [2]: „Mieliśmy już nieraz sposobność przekonać się o złudnem postępowaniu darwinizmu; polega ono na takiem pomięszaniu zasad i teoryi, iż zdają się stanowić nieroz-

---

avaient vu dans les phénomènes embryogénique, la représentation de la genèse des êtres. (L'ésp. hum. p. Quatr. p. 67).

[1] Esp. hum. p. 74.

[2] Darwin p. 67.

dzielną i spójną całość; tym sposobem, gdy jeden z tych czynników ma jaką taką przewagę, jego strona dodatnia zapisuje się na rachunek wszystkich innych... W darwinizmie spotykamy się najczęściej z przypuszczeniem, zupełnie ogołoconem z dowodów, że każde możebne pokrewieństwo, idealne, rodowe lub pochodne powinno być uważane jako zasadnicza podstawa dowodząca prawdziwości teoryi doboru. To uroszczenie podtrzymywane jest szczególniej z wielkim blaskiem, wymową i wygłoszeniem popularnem, to jest mało naukowem, wówczas, kiedy krzewicielom darwinizmu rozchodzi się o jego rozpowszechnienie wśród nieobeznanych z umiejętnościami". Agassiz mówi bez ogródki[1]: „Doktryna ta (Darwinizmu) sprzeciwia się prawdziwej metodzie, jaką Historya naturalna winna się posługiwać; uważam ją za zgubną i szkodliwie wpływającą na postęp tej nauki".

Na tem kończymy rozbiór tak zwanych prawideł Darwina; dzieło jego „o pochodzeniu gatunków" zawiera jeszcze badania nad instynktem zwierząt i rozwojem zarodkowym, które jednak głównie w dziele „o pochodzeniu człowieka" znajdują zastósowanie i tam je rozbierać zamierzamy. Sądzimy, iż przytoczone przez nas dowody i poglądy uczonych dostatecznie wykazują wartość dzieła i teoryi Darwina; w obec tego świadectwa rozumu, w obec tylu i tak znakomitych mężów uczonych[2], którzy rozbierali teoryę Darwina i ją odrzucili, cóż może znaczyć wyrażenie, jakie czytamy w broszurze p. Rostafińskiego: „Przeszła też teorya ogniową próbę i wyszła z niej zwycięsko"[3]. W chwili zapału podobne twierdzenie może wyjść z ust mówcy, lecz pióro poważnego pitarza lepiej winno ważyć słowa. Sam p. Rostafiński, kilka stronic

---

[1] De l' Espèce p. 375.

[2] Z nader licznych przeciwników Darwina, oprócz dawniejszych Lineusza i Cuvier'a, wymieniamy tu niektórych: Agassiz, James Dwight Dana, J. W. Dawson, Godron, Flourens, A. Brogniard, de Bary, de Candolle, F. A. Ponchet, Dh. Leveque, Cl. Bernard, Lemoine, E. de Beaumont, Jordan, E. Blanchart, A. de Quatrefages, J. J. Bianconi, Todaro, Ghiringhello, Hyrtl, Schmarda, H. Burmeister, Ch. Giebel, Reuss, A. Wagner, Ehrenberg, Griesebach, Schimper, A. Bastian, Göppert, Barrande, O Fraas, T. Pfaff.

[3] Karol Darwin str. 18.

niżej[1] przeciwne wygłasza zdanie: „Czyż dziwne, że w obec tego darwinizm nie tylko nie zżył się z opinią publiczną, ale że nawet między wykształconemi klasami nie budzi należytego zajęcia". Inni darwiniści stwierdzają nawet coś więcej. I tak p. Perrier[2] pisze: „Zapewne, bardzo jeszcze jesteśmy dalecy od tych świetnych wypadków, o których urzeczywistnieniu marzy nasza wyobraźnia..." Wyraźniej Gegenbaur[3]: „Jeżeli zważymy, iż liczba, chociaż mało znaczna dotąd, tych, którzy ją (teoryę Darwina) przyjęli i zrozumieli jej znaczenie etc..." Karol Vogt w przedmowie swej do dzieła Darwina „o zmianach zwierząt i roślin" przyznaje, iż toczy się walka, zwycięstwo zatem nierozstrzygnięte. Oto jego słowa: „Teorya Darwina, wnioski, które z niej płyną, cel do jakiego dążą dzisiejsze naukowe poszukiwania były przedmiotem wielu napaści. Tem lepiej! Zwolennicy teoryi Darwina nie mogą odmówić walki, kiedy podstawą ich wiary jest walka na zabój o byt"... Haeckel wyznaje, iż nietylko darwinizm nie jest przyjęty w Niemczech, ale nawet jest pogardzany. „W żadnem wielkiem mieście niemieckiem, transformizm ogólnie, szczególnie zaś darwinizm nie był tak mało cenionym, tak źle zrozumianym, wyszydzonym z taką dumną pogardą jak w Berlinie"[4]. We Francyi teorye Darwina jeszcze gorsze znalazły przyjęcie; wszyscy, którzy stali na wyżynach naukowych, odrzucili je jako błę-

---

[1] Item str. 22.

[2] La phil. zool. avant Darwin. Paris, 1884 p. 287. W innem miejscu tenże sam autor, aczkolwiek oględnie, jednakże przyznaje,iż teorya Darwina nie jest ani udowodnioną, ani też nie wyjaśnia, jakim sposobem organizmy mogły się kolejno rozwijać i przetwarzać. Oto jego słowa: „Sans doute le mécanisme réel du perfectionnement des organismes lui (Lamarckowi) a échappé, mais Darwin ne l'a pas expliqué davantage. La loi de sélection naturelle n'est pas l'indication d'un procédé de transformation des animaux; c'est l'expression d'un ensemble de résultats. Elle constate ces résultats sans nous montrer comment ils ont été préparés. Nous voyons bien qu'elle conduit à la conservation des organismes les plus parfaits; mais Darwin ne nous laisse pas voir comment ces organismes eux-mêmes ont été obtenus. (p. 90).

[3] Manuel d'Anatomie comparée. Paris, 1863. p. 19.

[4] Les preuves du transformisme. Paris, 1882, p. 137.

dne. Z tego powodu Haeckel pełen goryczy pisze: „Cuvier odniósł wówczas zwycięstwo (z Geoffroy), a od tego czasu nie uczyniono we Francyi żadnego postępu w doktrynie genealogicznej, nic nie zrobiono dla rozwoju teoryi monistycznej. Te skutki należy przypisać wstecznemu wpływowi, jaki wywarła ogromna powaga Cuvier'a. Dzisiaj jeszcze przyrodnicy francuscy, po największej części są albo uczniami Cuvier'a, albo jego ślepymi zwolennikami. Niema kraju oświeconego w Europie, w którymby doktryna Darwina tak mały wpływ wywarła, tak była źle zrozumianą jak we Francyi, do tego stopnia, że odtąd, w ciągu tych studyów ani razu nie powołamy się na przyrodników francuskich“ [1]. Wreszcie sam „mistrz“ świadczy, że tylko „młodzi“ przyjęli jego teoryę: „Z pomiędzy starszych zaś i głównejszych przedstawicieli wiedzy przyrodniczej, wielu jeszcze niestety (sic) sprzeciwia się wszelkiemu rozwojowi w jakiejkolwiek bądź formie [2]“. Mivart komentując wyrażenie Darwina „młodzi“ tak pisze [3]: „Przedewszystkiem naturalną było rzeczą, że ludzie niedouczeni i płytkiego umysłu (half-educated men and shallow thinkers) staną się bezwarunkowymi jej zwolennikami z powodu jej prostoty i łatwości, z jaką objaśnia nieraz najbardziej złożone zjawiska“...

Jeżeli takie jest zdanie samychże koryfeuszów darwinizmu, to społeczeństwo nasze ma prawo żądać od p. Rostafińskiego tego, czego on żąda od prasy: „iżby się z niem (społeczeństwem) poważniej obchodzono“; ma prawo domagać się, iżby z większą oględnością i mniejszem lekceważeniem wyrażał się o naszych publicystach, nie kładł ich przekonań na karb „nieuctwa“ i „zarozumiałości“. Społeczeństwo nasze nie zadawalnia się frazesami, ale żąda dowodów. Broszura p. Rostafińskiego nie jest rozprawą naukową; domyślać się należy, iż autor nie miał na celu dowodnego wykazania prawdziwości teoryi, ale, w dyalektycznej nawet apologii, po przyrodniku i profesorze więcej spodziewać się należało. Niedokładność określeń [4], mieszanie pojęć o gatunku i ra-

[1] Histoire de la Créat. p. 86.
[2] O pochod. czł. str. 2.
[3] Roz. teor. Dar. p. Skomorowskiego. Warszawa, 1874, str. 10.
[4] Ob. Przeg. pow. tom IV. str. 186, 187.

sie [1], pominięcie zarzutów [2], wnioski doraźne lub nielogiczne [3], błędne twierdzenia naukowe [4], nie mogą zalecać żadnej rozprawy, choćby popularnej; broszura miała być nekrologiem dla Darwina,

---

[1] P. Rostafiński pisze (str. 12): „Jeden przykład gołębia podaje nam zadziwiające fakta. W Anglii, gdzie hodowla tegoż na wielką istnieje skalę, dostarczano mu 150 różnych odmian. Dowiódł, że wszystkie pochodzą od jednego, pierwotnego typu, a tak są różne, że gdyby je znaleziono w dzikim stanie, nie znając ich genealogii, nietylkoby uważano je za odrębne gatunki, ale rozdzielonoby je między kilka osobnych rodzajów. To jest fakt najdonioślejszego znaczenia, jak to pojmują najpoważniejsi przeciwnicy, np. pan de Quatrefages. Jeżeli bowiem człowiek jest w stanie wytwarzać nowe gatunki, to oczywiście nie można w żaden sposób uważać gatunku za niezmienny, i samo przez się nasuwa się pytanie czy w przyrodzie nie powstają gatunki, które same przez się biorą początek od jakiegoś wspólnego typu". P. Rostafiński miesza pojęcia: gatunku, rasy i odmiany, Darwin często ucieka się do tej metody, ale odnośnie do gołębi, uczeń przeszedł mistrza: ani Darwin nie przypuszczał, że te odmiany są gatunkami, ani też de Quatrefages nie potrzebował na to się godzić. Oto co mówi ten ostatni: „Zmiany, jakim podlegają gatunki w doborze sztucznem, okazują nam wielką przewagę działalności ludzkiej nad działalnością naturalną. Rasy i odmiany, jakie otrzymuje człowiek w skutek doboru sztucznego, są nieskończenie liczniejsze i wybitniejsze od ras i odmian, które się znajdują w przyrodzie. Otóż, pomimo tego, wszystkie usiłowania człowieka doprowadziły jedynie do wytworzenia rasy, a nigdy do wytworzenia gatunku. Sam Darwin przyznaje to domyślnie w swej znakomitej pracy nad gołębiami; mówi bowiem o rasach gołębich a przyznaje, iż gdyby je spotkano w przyrodzie, możnaby mniemać, iż pochodzą od trzech lub czterech gatunków". (Esp. hum p. 71).

W innem miejscu (str. 15) p. Rostafiński mówi: „Darwinizm, przyjmuje to, o czem codziennie spostrzeżenia nauczają, że istnieją drobne różnice w istotach, czyli, że są gatunki zmienne". P. Rostafiński miesza tu pojęcia odmienności z pojęciem przeobrażenia. Między osobnikami tego samego gatunku znajdują się drobne różnice, odmiany, na to wszyscy się zgadzają; ale nie wolno stąd wnioskować, że gatunek jest zmienny czyli przeobraża się.

[2] W broszurce p. Rostafińskiego spotykamy tylko dwu przeciwników teoryi: raz jeden wymieniony jest de Quatrefages, raz również jeden Agassiz... De Quatrefages wymieniony jest z powodu rzekomej zgody z Darwinem o gołębiach (o czem było wyżej); ani jeden z jego zarzutów nie jest przytoczony, a jednakże ten znakomity uczony od lat z górą trzydziestu wydał i wydaje dotąd tyle dzieł pełnych gruntownej nauki, a wszystkie skierowane są przeciw teoryi Darwina. O Agassiz'ie zaś p. Rostafiński pisze: „Największy jej (teoryi) przeciwnik-Agassiz w swoim „Planie

a stała się raczej nekrologiem — dla jego teoryi. Wolno każdemu mieć osobiste zapatrywania, ale czy wolno profesorowi głosić i wykładać jakieś hypotezy wtenczas, kiedy one nie zostały uznane

---

stworzenia" stawia gołosłowne twierdzenia: sam się do tego pod koniec pracy przyznaje. „Mogłoby się zdawać, mówi on, że stawiam tu twierdzenie bez popierających dowodów. Rzeczywiście czas ograniczony, pozwalał mi zaledwie na ogólne uwagi i nie byłem w stanie przytoczyć wam tego mnóstwa przykładów, jakie mi się cisną do myśli" (Karol Darwin, p. Rost. str. 18, 19).

Ze słów wyżej przytoczonych nie wynika całkiem, że Agassiz przyznaje się do gołosłownego twierdzenia; nie wynika zaś to szczególniej z jego licznych dzieł, któremi zdobył sobie wysokie stanowisko naukowe na obydwu półkulach. Wystarczyłoby jeszcze przeczytanie uważne „Historyi stworzenia" p. E. Haeckla, aby nie pomawiać Agassiz'a o gołosłowne twierdzenie: słynny Koryfeusz materyalizmu tak się wyraża o dziełach Agassiz'a: „C'est le seul travail moderne, dans lequel il nous soit donné de voir un naturaliste éminent s'efforcer explicitement, et avec un appareil scientifique, de fonder une histoire de la création téléologique et dualistique". (Hist. de la Créat. trad. franç. p. 52).

[3] P. Rostafiński pisze: „W ogóle wszyscy, którzy się starali obalić darwinizm, nie używali jedynej w takim razie rozstrzygającej broni, to jest, postawienia innej teoryi, któraby znane fakta tłómaczyła w sposób prosty i naturalniejszy. Że zaś jej nie postawiono, to stąd pochodzi, że jej postawić nie można, że Cuvierowska teorya katastrof, która w swoim czasie zwycięsko z Lamarckiem współzawodniczyła, w obec postępów geologii runęła bezpowrotnie" (Kar. Dar. str. 19). Dwa tu są twierdzenia: pierwsze prawdziwie gołosłowne a przytem fałszywe, drugie nielogicznie związane ze swym dowodem.

Co do pierwszego. Jakto! stąd, że nie umiem sobie wytłumaczyć pewnych zdarzeń i na razie nie wiem, jaka jest ich prawdziwa przyczyna — czy pierwsze lepsze tłómaczenie takowych mam uważać za prawdziwe?! Tego niema w żadnej logice! Jeżeli się wykaże, że jakaś teorya opiera się na nieuzasadnionych pewnikach, nie czyni wniosków logicznych, doprowadza do następstw sprzecznych z zasadami przyjętemi przez naukę, czyż taka teorya nie wrzuca się do kosza! Nie potrzebuję koniecznie stawiać nowych teoryi; na pytanie dlaczego, odpowiedzieć śmiele mogę i wolę nie wiem, aniżeli dawać tłómaczenie błędne. Lepsza nieświadomość, niż fałsz! — Nie wiem, odpowiadali i odpowiadają nie na jedno pierwszorzędni uczeni. „Są u nas ludzie, pisze de Quatrefages (Unité de l'esp. hum. p. 93), którzy się nie dali porwać wirowi dzisiejszemu, pozostali wierni metodzie, która jest matką umiejętności nowoczesnej; starannie przechowali nabytki wiedzy gruntownej, przekazanej wiekową pracą... Cieszą się oni, zarówno jak i najzagorzalsi rzecznicy doktryn wrzekomo

przez areopag uczonych, kiedy nie zostały zapisane między zdobyczami nauki, — to inne pytanie, na które znajdujemy odpowiedź w słowach Virchowa, powiedzianych innemu zbyt gorliwemu

---

postępowych, z postępu umiejętności, lecz pod warunkiem, by postęp był trwały, oparty na spostrzeżeniach i doświadczeniu. Kiedy im zadawano pytanie, dotąd nierozwiązane, a które prawdopodobnie nierozwiązalnem pozostanie na zawsze, nie wahają się odpowiedzieć: Nie wiemy. Do tego zastępu i ja należę i dlatego na pytanie zadawane mi o naszym początku, w imieniu umiejętności odpowiadam: Nie wiem". Co do drugiego. Że „Cuvierowska teorya katastrof runęła bezpowrotnie", jest tylko przepowiednią; choćby prawdziwem było to „proroctwo", jaki może mieć związek konieczny z niemożebnością postawienia innej teoryi powstania gatunków!

[4] Przytaczamy niektóre. P. Rostafiński pisze (str. 6): „Zdaje się jednak, że pierwszeństwo myśli należy się Antoniemu Duchesne, który w swej Histoire naturelle des fraisiers, już w r. 1766 podał zasady zmian gatunkowych i drzewo rodowe poziomki uzasadnił". Mógł Duchesne pisać o poziomkach, ale rzeczą jest bardzo znaną, że pierwsza myśl o pochodzeniu gatunków, pominąwszy greckich filozofów, wyszła od Telliamed'a, czyli de Maillet (1659—1738).

Na tejże samej stronicy czytamy: ..."Im do głębszych warstw sięgamy, tem typy te są prostsze... w głębszych dawniejszych są tylko korale i znów głębiej, w najstarszych, jakie znamy, jeszcze prostsze". Tak nie jest. Oto, co już pisał Agassiz w r. 1869: „Wiadomo jest już dzisiaj, że w najdawniejszych pokładach geologicznych żyły jednocześnie przedstawiciele rodzin, które należą do czterech głównych typów królestwa zwierzęcego" (De l'Espèce, p. 32). W r. 1875 przyrodnik angielski Hickx ogłosił sprawozdanie ze swych poszukiwań, w londyńskiem czasopiśmie geologicznem; odkrył on najdawniejsze szczątki organiczne w pokładzie kambryjskim, należą one do rodzaju Discina i trylobitów, a jak wiadomo, ani jedne, ani drugie nie zaliczają się do najprostszych organizmów.

Dalej jeszcze na tejże samej stronicy pisze p. Rostafiński: „Dla Cuviera więc powstanie gatunków było skutkiem wielokrotnych, kolejno po sobie następujących aktów stworzenia". Tak nie jest. Przytaczamy niepodejrzane świadectwo darwinisty p. E. Perrier: „Cuvier przyjmuje gwałtowne przewroty na kuli ziemskiej. Te przewroty spowodowały wyginięcie największej części gatunków w tych okolicach, które im uległy. Później, gatunki te zastąpione zostały innymi, które mogły przybyć z okolic nienawiedzonych przewrotami. Nowe stworzenie nie jest konieczne tedy po każdej katastrofie... Taka jest teorya Cuvier'a, niektórzy z jego uczniów przesadnie ją tłumaczyli, jak to zwykle się zdarza, i przyjmowali stworzenia kolejno po sobie następujące". (Phil. zool. p. 121, 122).

darwiniście: „Winniśmy powiedzieć profesorowi, nie ucz tego".

P. Rostafiński w zapale swym dla Darwina woła: „Ogłaszał Darwin co parę lat coraz to nowe dzieła, które, bez żadnej przesady, nieledwo zawsze wprowadzały w zdumienie świat uczony" (str. 23). Na poparcie swego orzeczenia wymienia następujące dzieła Darwina: „O wpływie zapłodnienia w świecie roślinnym", „O różnych postaciach kwiatów", „Rośliny owadożercze". Otóż żadne z tych dzieł nie wprowadziło nikogo w zdumienie, dla tej prostej przyczyny, że tu Darwin nic nowego nie odkrył. P. Rostafiński po części sam nas o tem poucza. I tak nie Darwin, ale Sprengel (1793) zauważył, iż owady, karmiące się sokami kwiatów, przenoszą pyłek z pręcików na słupki, i tym sposobem przyczyniają się do ich zapłodnienia; nie Darwin też odkrył „rośliny owadożercze". Wprawdzie p. Rostafiński mówi najprzód: „iż pierwsze obserwacye takich faktów sięgają swym początkiem więcej, niż większej przeszłości" (str. 25), lecz co to jest ta przeszłość więcej jak większa — nie objaśnia; następnie wyłuszcza zasługi Darwina w tym przedmiocie. „Darwin, mówi, przekonywa się, że rośliny owadożercze łapią zdobycz skutkiem podrażnienia; że wprawdzie i ciała martwe, które pokarmem być nie mogą, drażnią także roślinę, ale tylko chwilowo... Odkrywa dalej, że strawienie odbywa się skutkiem wydzielenia przez roślinę pewnego kwasu i rozczynu..." (str. 25). Otóż, wszystko tu jest prawdą, z jednym tylko wyjątkiem, że niema tu żadnej zasługi Darwina; nie Darwin pierwszy to zauważył i Darwin nic tu nie odkrył: rzecz tak się ma. Jan Ellis otrzymał z Ameryki roślinę, mającą szczególną własność chwytania owadów, nazwał ją *Dionoea muscipula* i wydał jej opis w r. 1770. (John Ellis. Directions for bringing over seeds and plants from the East Indies, to which is added the figure and botanical description of Dionoea muscipula. London. 1770). Pisze tam: „Roślina wskazuje, że natura dbała o jej wyżywienie, gdyż część wyższa liści służy jej do chwytania pokarmu. Powierzchnia tego liścia pokrytą jest małymi czerwonymi gruczołkami, wydającymi słodkawą ciecz, która wabi owad; lecz skoro nogi jego dotkną włókien, wówczas liście zamykają się wiążąc owad..." Zanim tedy Darwin przyszedł na świat, znane były te rośliny, i wówczas już przypuszczano, że one trawią materye azotowe. Nie Darwin również wynalazł, iż gruczołki liściowe wydzielają rodzaj soku gastrycznego, ale Dr. Curtis (Boston. Journal of Natural History. Vol. I., 1834); wreszcie sam Darwin przyznaje (str. 318), iż należy się wielkie uznanie „zadziwiającemu odkryciu Dr. Sanderson'a", który okazał, iż czułość roślin jest skutkiem napięcia elektrycznego istniejącego w komórkach polyedrycznych rośliny. Faktem jest również, iż ów chwilowy, według Darwina, skutek z podrażnienia listka ciałem nieazotowem trwa całe dni dwa.

Darwin zajmował się badaniem tych roślin w celach swojej

Możność przeobrażenia gatunku nie została dowiedzioną; dowody i przykłady z takim mozołem przez Darwina zebrane posłużyły przeciwnie do ustalenia zdania o niezmienności gatunku[1]. Bystry autor sam to przewidywał. „Wiem dobrze, pisze on[2], że w tej książce niema ani jednego punktu, przeciw któremu nie możnaby przytoczyć faktów, doprowadzających do wniosków... wprost przeciwnych tym, do jakich ja doszedłem!“ Darwin nie omylił się. Czy nauka dojdzie kiedyś do innych wniosków, nie

---

teoryi, do niej usiłował naciągać nabytki przez innych osiągnięte, lecz to żadną miarą na karb zasług naukowych policzone być nie może. Uczeni przyrodnicy inaczej postępują. Profesorowie londyńskiego *University College*, wyżej wymieniony Dr. Sanderson i Page, w szczególny sposób zajmowali się badaniem własności tych roślin, nie przekraczali jednak nigdy wyników osiągniętych ze spostrzeżeń, nie przenosili prawd należących do pozytywnej umiejętności w dziedzinę marzeń teorycznych, nie przyszło im na myśl zestawiać na jednej linii zawieranie się liści roślinnych ze ściąganiem muszkułów zwierzęcych. (Porów. Nature 1874, str. 105, 127 i Proceed. 1876, Nr. 177).

Jeżeli co mogło wprowadzić w zdumienie świat uczony, to zbytnia śmiałość hypotez Darwina, lecz to zdumienie, jak zapewne wiadomo p. Rostafińskiemu, nie wypadło na jego korzyść: pomimo kilkakrotnego przedstawiania się (1872—1873) na członka korespondenta francuskiej Akademii Umiejętności, znaczną większością był odrzucony.

[1] „Wenn wir genau die Werhältnisse in der Natur betrachteten, so sehen wir, dass mit wahrhaft bewunderungswürdiger Consequenz in der Natur Alles aufgeboten ist, die Bildung neuer Arten zu verhindern, indem immer und immer wieder, wie die künstlichen Zuchtversuche zeigen, ein Rückschlag eintritt, die alten Eigenschaften der Art wiederkehren, sowie sie den natürlichen Verhältnissen zurückgegeben sind, ebenso auch um eine Vermischung der einzelnen Arten, ein Bastardbildung zu verhindern, so dass diese, namentlich bei höheren Thieren, im Freien kaum beobachtet worden ist. Bei den Blüthen, bei den Insekten z. B. ist der Bau der Fortpflanzungsorgane, die Entwicklung derselben, die Bedingungen für dieselbe, so eigerichtet, dass es kaum möglich ist, dass sich verschiedene Artenkreuzen. Wir können sagen, die Natur hat Alles gethan, um die Arten constant und unverändert zu erhalten.

„Wenn aber, wie Darwin sagt, die Natur täglich und stündlich auf Artveränderung ausgeht, wie kommt es dann, dass sie das einfachste und wirksamste Mittel dazu, eben die Kreuzung verschiedener Arten, auf das Strengste zu verhüten sucht?“ (Pfaff, 1, c. p. 702).

[2] O poch. gat. str. 18.

przesądzamy z góry, dziś jednak, nie wdając się w doktrynerskie mrzonki, przyjmujemy o gatunku to, do czego rzeczywista nauka doszła, a co, z właściwą francuskim pisarzom jasnością streścił Godron[1]; przytaczamy za nim dosłownie:

1° „Gatunki zwierzęce, dziko dziś żyjące, nie zmieniają się, nawet pod wpływem zewnętrznych warunków, w taki sposób, iżby miały tracić swe cechy gatunkowe. Cechy te są ściśle przywiązane do gatunków i służą do ich dokładnego rozróżnienia.

2° „Zmiany, jakie się zdarzają, są nieznaczne; wyradzają się przypadkowo, nie stają się nigdy stałemi, dopóki zwierzęta żyją w stanie dzikim.

3° „Niema zatem ras naturalnych, w ścisłem słowa tego znaczeniu; rasa nosi na sobie cechę pośrednictwa człowieka.

4° „Gatunki zwierząt dzikich, które żyły w wiekach dawniejszych, najbardziej zbliżonych do początku obecnego peryodu geologicznego, zachowały tak układ, jak niemniej swe znamiona wyróżniające; o czem przekonywamy się ze szczątków po nich pozostałych.

5° „Pomimo zmian, jakie zaszły w warunkach fizycznych, którym podlegają gatunki, te ostatnie nie zmieniły się w swym układzie, nie pomieszały jedne z drugimi, ani nie wytworzyły nowych typów gatunkowych, tak, iż zwierzęta obecnie żyjące dzielą się na takie same gatunki, na jakie dzieliły się ich poprzednicy, od których wprost pochodzą.

6° „Gatunki nie zmieniały się również w ciągu różnych okresów geologicznych, które poprzedziły obecny. Stąd ówczesne gatunki nie mogły się przeistoczyć, dając początek obecnie żyjącym.

7° „Gdyby przemiana stopniowa istot była zdarzeniem rzeczywistem, gdyby tak zwierzęta jak i rośliny przez ciągłe doskonalenie się przechodziły kolejno z kształtów pojedynczych, do coraz bardziej złożonych, gdyby kręgowce pochodziły od niekręgowców, gady od ryb, ptaki i ssawce od gadów, gdyby również rośliny bezliścienne przemieniały się najprzód w jednoliścienne, następnie w dwuliścienne, takie zmiany wymagałyby wielkiej

[1] Ob. La phil. zool. p. Perrier. p. 276.

liczby wieków... Przechodząc z jednego okresu geologicznego w drugi, musianoby napotkać istoty będące w toku przemiany, prawdziwych przedstawicieli wszystkich odcieni tychże przemian, a tym sposobem, tak królestwo zwierzęce jako i roślinne przedstawiałoby szereg ciągły istot, o nadzwyczaj słabych odcieniach, tak, iżby niemożna było dostrzedz w nich żadnych znamion gatunkowych; jednem słowem musianoby znaleść bezład, kiedy tymczasem znajdujemy tam zadziwiający ład i porządek. Co więcej, porównywając istoty organiczne dwu okresów geologicznych po sobie idących, znajdujemy nagły skok tak w kształtach zwierzęcych, jako i roślinnych; stwierdzamy, iż tak fauna, jak i flora różnych okresów geologicznych całkowicie różnią się między sobą; i to jest dla nas dowodem, iż musiało istnieć wielokrotne działanie siły twórczej w różnych wiekach naszej ziemi.

„Gatunek zatem nie zmieniał się ani podczas okresów geologicznych, ani w okresie człowieka; różnice, które mogły i winny były się okazać, w ciągu różnych okresów geologicznych, tak w skutek działania różnorodnych czynników fizycznych, jak również skutkiem przewrotów, jakim uległa skorupa ziemi, a które także niestarte zostawiły ślady, nie wpłynęły zupełnie na typy pierwotnie stworzone: gatunki zachowały ciągle swe znamiona, a gdy warunki otoczenia zmieniły się wybitnie, gatunki jestestw nie przerodziły się, lecz tylko jestestwa wyginęły.

8° „Chociaż gatunki zwierzęce dziko żyjące nie zmieniają się, chociaż od czasu ich stworzenia pozostały te same, gatunki jednak zwierząt domowych, w przeciągu wielu wieków, pod wpływem wyjątkowych okoliczności uległy wielu i znacznym zmianom w swych cechach fizycznych, zwyczajach i instynktach nawet".

Wreszcie kończy Godron tem wyrażeniem: „Bóg stworzył gatunek, lecz rasom i zmianom stałym dał początek człowiek".

Do tego samego wniosku przyszedł p. Virchow, największa powaga naukowa w obozie materyalistów. Przytaczamy tu jego słowa, wypowiedziane publicznie w Berlinie, a ogłoszone następnie w rozprawie pod tytułem: „Atom i osobnik". „Każdy gatunek roślin wydaje tylko rośliny tego samego gatunku, a nigdy innego; zwierzę rozmnaża się tylko w granicach swego gatunku. Jeżeli gatunek ginie, ginie już bez powrotu. Co więcej: rozwój

chorobliwy związany jest ściśle z gatunkiem; ciało ludzkie, w różnych warunkach patologicznych, jak starałem się wykazać, nie wydziela żadnego kształtu organicznego, żadnego pierwiastku komórkowego, któryby nie miał sobie podobnego w stanie normalnym ciała. Każdy utwor bądź fizyologiczny, bądź patologiczny, jest tylko powtórzeniem prostem, czasami nieco zawiłym, typów ustalonych. Plan organizmu jest niezmienny w granicach jednego i tegoż samego gatunku, g a t u n e k n i e p r z e k r a c z a s w y c h g r a n i c".

Takie jest dzisiaj, w sprawie gatunku, ostatnie słowo nauki przyrodniczej, opartej na rozumie i spostrzeżeniach, poważnej, bezstronnej, nie skrępowanej sekciarskiemi zachciankami i dążnościami, i na tem też kończymy rozbiór pierwszego dzieła Darwina.

X. W. Zaborski.

ODNOWICIEL ZAKONU DOMINIKANÓW

we Francyi.

Jestto ostatnia praca nieodżałowanego ś. p. Henryka hr. Wodzickiego. Napisał ją w ostatnich miesiącach swego życia, przeznaczył ją do „Przeglądu Powszechnego“ i jeszcze w ostatnich godzinach, dyktował poprawki i wzywał do siebie redaktora, żeby mu polecić bezzwłoczne wydanie tej rozprawy w grudniowym poszycie. Nie dał mu Pan Bóg doczekać się tego Grudnia, ale dał mu zakończyć piękne i szlachetne życie piękną i szlachetną affirmacyą swych przekonań katolickich. To echo zagrobowe dopiero zgasłego głosu odkryje krajowi wewnętrzny ustrój ducha i serca męża, którego zewnętrzne czyny i zasługi długo jeszcze pożytecznemi mu będą.

Redakcya.

Wszak wszystko co piękne i szlachetne, zasługuje na pamięć i mile jest przyjęte przez uczciwe umysły. W obec tego, co piękne i szlachetne, znikają różnice przekonań i nie potrzeba być koniecznie wierzącym, aby podziwiać Bossueta i Skargę.

Ojciec Lacordaire mało jest u nas znany, a jednak jego kazania, pisma, listy poufne, całe jego życie, ma coś tak szczytnego, tak szlachetnego, tak jednolitego, tak zdradzającego miłość wszystkiego, co jest i było na świecie zacnego i wielkiego; nareszcie jego wierna przyjaźń dla Montalemberta, tego świetnego obrońcy wszystkich spraw dobrych, że zasługuje na to, aby nie zapomniano o nim u nas zupełnie. Im bardziej, im głębiej poznaje się Lacordaira, tem więcej odkrywa się w tej duszy stron, które przywiązują do siebie. Nie mówimy już tylko

o nim jako o wzorze kapłana, ale o czci, jaką miał dla wolności. Nie dla tej, jaka była ongi u nas przywilejem jednej klasy, a która się zmieniała często w swawolę, ani dla takiej, jaką dziś głoszą we Francyi, w imię której łamią krzyże, zamykają klasztory, bronią żołnierzom wstępu do kościołów. Chciał on wolności dla wszystkich bez wyjątku, i wierzył, że tylko przy głębokiej religijności społeczeństwa, wolność jest możebną, dla tego też te dwie idee łączyły się u niego w nierozerwalny węzeł.

Spotkawszy się przypadkiem z bardzo zajmującemi książkami Lacordaira, i o nim przypomniałem sobie czasy, w których biegliśmy wszyscy słuchać wspaniałych słów jego, u szczytu chwały wtenczas będącego.

Widząc, jak my śmiertelnicy mało mamy czasu do czytania dłuższych i poważniejszych rzeczy, mianowicie w obcych językach pisanych, mając także z przypadku, a trochę i z musu wolnego czasu, spisałem tych słów kilka, w myśli, że może niejeden czytelnik powie sobie, przecież to piękny żywot człowieka wielkiego umysłu i wielkiej pokory, pełen do końca miłości dla wiary i wolności. W tem co podaję mało mojego, mimo wielkich trudności wiele cytuję i wiele tłumaczę; bo wymowniej o Ojcu Lacordairze piszą jego przyjaciele, najpiękniej on sam mówi a najskromniej o sobie samym.

Powiem otwarcie, co mnie najwięcej przywiązuje do wszystkiego co powiedział, co napisał i co uczynił O. Lacordaire, to jest, że jako dziecko XIX. wieku, kocham wolność, a jako człowiek religijny kocham Kościół, — otóż nikt, nigdy wymowniej, doskonalej i loiczniej nie dowiódł nietylko możebności, ale nawet potrzeby i konieczności połączenia dla dobra społeczeństwa tych dwóch czynników. Mimo twierdzeń niedowiarków, mimo wojny Kościołowi przez pseudoliberałów wydanej, dochodzi się z Lacordairem do tego błogiego i uspakajającego przekonania, że można kochać razem Kościół i wolność, nie poświęcając swego sumienia ani religijnego, ani politycznego.

Gleichenberg, w czerwcu 1884.

Henryk Wodzicki.

I.

O. Lacordaire urodził się 1802 roku, księdzem został 1827, zakonnikiem 1840. Zaczynamy od ustępu jego życia najbardziej nacechowanego działaniem politycznem. Rewolucya lipcowa 1830 roku zniweczyła nadzieje tych wszystkich, którzy w restauracyi i zajęciu tronu przez Burbonów upatrywali po tylu burzach, przewrotach i wojnach, ustalenie porządku rzeczy, a w koronie dziedzicznej i konstytucyjnej, rękojmię spokojnego i normalnego postępu wszystkich sił społecznych. Po rewolucyi lipcowej nastało to, na co już Francya zdaje się być skazaną, to jest na rząd faktyczny bez stałej zasady, rodzący się z przypadku, z przypadku ginący, czy on się nazywa monarchią Ludwika Filipa, czy cesarstwem Napoleona, czy republiką. Mimo woli nasuwa się uwaga, że między stanem obecnym Francyi a stanem dawniejszym Polski, ta zachodzi różnica, że przez elekcyę u nas, to jest przez legalną rewolucyę, zmieniały się rządy; we Francyi zmieniają się przez rewolucyę nielegalną, w rezultacie zaś, tu i tam, brak stałości i tradycyi, tu i tam wewnątrz, anarchia i brak poszanowania władzy; na zewnątrz, niemoc i upadek. W takiej więc chwili, jak to zawsze bywa, wzburzyły się wszystkie żywioły i wszystkie namiętności, od najskrajniejszych i przewrotu żądających, do najszlachetniejszych, wierzących w błogie skutki połączenia wolności z porządkiem. Do tych ostatnich z zapałem przystał ksiądz Lacordaire.

Wśród tej ogólnej anarchii zebrała się garstka ludzi rozumnych i religijnych, których przekonaniem było, że pierwszym obowiązkiem jest bronić Kościoła katolickiego i dowodzić łaknącemu wolności społeczeństwu, że Kościół nietylko da się pogodzić z wolnością, ale że sam najwięcej jej potrzebuje, i stanie się jej obrońcą i podwaliną. Żeby do tego celu dojść, żeby pierwszy krok na tej drodze zrobić, w chwili prześladowania Kościoła i popularnej ku niemu nienawiści, trzeba było wielkiej siły rozumu, głębokiej wiary i prawdziwego poświęcenia; posiadał to wszystko jeden z najpotężniejszych umysłów ówczesnej Francyi, ksiądz de La Mennais, który w celu bronienia tych zasad założył dziennik *l'Avenir* (Przyszłość). Był on wtedy najgłośniejszym i najwięcej szanowanym kapłanem we Francyi, a po wydaniu pierw-

szego tomu dzieła „Essai sur l'Indifférence“, nazwano go ostatnim Ojcem Kościoła. Nie tu miejsce mówić o wielkości i upadku tego człowieka; jak archanioła duma zepchnęła go z wysokości duchowej, do której mało kto w naszym wieku doszedł. Początki jego upadku dają się jasno widzieć w stosunkach jego z Lacordairem. Główne zasady dziennika *l'Avenir* były: zdobycie dla Kościoła przywilejów wolności, bez uchylania się od obowiązków z niej wynikających, szanowanie ustaw, a zupełna niezależność od władzy, w konsekwencyi zniesienie budżetu wyznań, jako jałmużny przez nieprzyjaciół Kościoła dawanej, walka na zabój przeciw wszystkiemu co fałszem jest i nadużyciem, obrona wolności wszędzie i w każdym kierunku. Cóż dziwnego, że młode, szlachetne, gorące umysły i serca wzięły chętny udział w tej pracy, która miała na celu zniesienie wszystkich niesprawiedliwości i ugruntowanie szczęścia społecznego na podstawie miłości chrześcijańskiej.

Na wezwanie ks. de La Mennais przybyli Lacordaire i Montalembert i oni głównymi byli redaktorami dziennika; najgwałtowniejszym w kwestyi niezależności Kościoła od państwa okazał się Lacordaire. Dziennik może miał tę wadę, że prowadził wojnę bez względu na nic i na nikogo, że nie rachował się ani z ludźmi, ani ze stanem rzeczy, i odbijała się w nim ta absolutna loika, która poślizgnąwszy się raz, księdza de La Mennais w końcu na błędne miała zaprowadzić drogi. Redaktorowie byli w swojem sumieniu, jako katolicy spokojni, przesławszy do Rzymu deklaracyę poddania się bezwzględnego Stolicy Apostolskiej, z prośbą o napomnienie, w razie gdyby zbaczali od nauki Kościoła.

Mimo szczerego uwielbiania dla wysokiego umysłu księdza de La Mennais, Lacordaire nie był nigdy z nim w zupełnej zgodzie, filozofia jego niepokoiła go, a jakby przewidzeniem wiedziony, obawiał się jego absolutnego sądu we wszystkiem; to też La Mennais miał na nim wpływ geniuszu tylko pod względem filozoficznym, politycznym i teologicznym, wpływ ten był prawie nieznaczny. Wśród tych wojowniczych zapasów, wrogie wystąpienia prasy równie radykalnej jak i rządowej, były redaktorom dziennika *l'Avenir* całkiem obojętne, jako ludziom, którzy broniąc zasad, oportunizmu nie mieli wcale na oku; ale w obec wzrasta-

jącej podejrzliwości episkopatu francuskiego, zaczęła powstawać pomiędzy nimi wątpliwość, czy ortodoksia ich jest zupełną? Chcieli się o tem dowodnie przekonać i szukać sankcyi w tej mierze, tam gdzie ją tylko katolik znaleść może. — W Rzymie. Projekt tej podróży wyszedł od Lacordaira, wyjechali więc razem, Montalembert, La Mennais i Lacordaire, i w tym to właśnie pobycie w Rzymie objawiają się najdobitniej różnice usposobień tych dwóch ostatnich. Stolica święta niewzruszona, spokojna, cierpliwa, niespieszącа się nigdy, przyjęła dość obojętnie ludzi, w gorączce walki jeszcze będących, chociaż między nimi był La Mennais, sławę już europejską mający, o którym mówiono, że przynosi zbawienie, że zna tajemnice przyszłości, i że wskaże Kościołowi jak ma przemawiać do panujących i do ludów — ale Kościół, który od żadnego człowieka zbawienia nie oczekuje, zawiesił swoje orzeczenie, dając tem dowód większego poszanowania wolności w rzeczach wątpliwych, jak ci, którzy najgoręcej jej bronią; zażądano tylko memoryału o ich widokach i zamiarach. Lacordaire go zredagował. Dwa miesiące później kardynał de Pacca przesłał notę oznajmiającą, że ich zasady poddane będą rozbiorowi a że tym czasem mogą wracać do Francyi; potem papież Grzegorz XVI. udzielił im audyencyi, przyjął łaskawie, ale nie wspomniał ani słowem o dzienniku *l'Avenir*.

Nie możemy lepiej oddać uczuć, jakiemi był przejęty Lacordaire w Rzymie, jak cytując własne jego słowa.

„Romo! tak Cię ujrzałem stojącą wśród Europy, a nie było „w Tobie ani zwątpienia, ani znużenia. Wzrok twój obejmujący „wszystkie strony świata, widział z dziwną jasnością rozwój „spraw ludzkich w ich stosunku do Boskich. Burza zostawia Cię „w spokoju, bo duch Boży wieje na Ciebie... Romo! nie zapoznałem „Cię, Bóg wie, choć nie widziałem królów u stóp Twoich, a ukaza„łaś mi się czem jesteś prawdziwie, dobroczyńcą rodu ludzkiego „w przeszłości; nadzieją przyszłości; jedyną wielkością dziś żyjącą „w Europie; więźniem powszechnej zazdrości, a królową świata. „Żebrzący wędrownik zdobyłem u Ciebie nie złoto i kadzidła ani „drogie kamienie, ale dobro rzadsze i mniej znane: prawdę“ [1].

[1] *Considérations sur le système philosophique de Mr. de La Mennais*, rozdział XII. str. 150.

„Wtedy to, pisze Montalembert, uwierzyłem, że Bóg za-„znaczył go piętnem swojej łaski i zapewnił nagrodę należną „niezłomnej wierności duszy prawdziwie kapłańskiej".

Lacordaire gorąco pragnął natchnąć swego mistrza temi samemi uczuciami i zaklinał go mówiąc: „Albo nie trzeba było udawać się do Rzymu, albo udawszy się, raz należy się poddać w milczeniu" na co La Mennais odrzekł: „Nie, chcę naglić i wy-„wołać orzeczenie, a będę na nie w Rzymie czekał — później zo-baczę" [1].

Postanowiwszy dziennik opuścić i nie postępować dalej za ks. de La Mennais, który jego zdaniem już na fałszywą wstępował drogę, Lacordaire sam wyjechawszy z Rzymu, napisał do Montalemberta list, z którego przytaczamy ustęp: „Niema między „nami różnicy w ideach, całe życie broniłem wolności i zanim „ks. la Mennais był słówko w jej obronie powiedział była już „ona treścią moich myśli i całem życiem mojem. Jeżeli swój nowy „plan wykona, pamiętaj, że najdawniejsi jego przyjaciele i naj-„gorętsi współpracownicy go opuszczą, a wplączą go fałszywi „liberałowie w działanie bez możebnego powodzenia, mowa ludzka „niema słów dość smutnych aby wypowiedzieć co nastąpi".

Wkrótce bolesne te przewidzenia ziściły się. La Mennais żądał tłumaczenia, a Stolica Apostolska, która nie rozprawia, ale sądzi, zachowywała milczenie. Zniecierpliwiony po półrocznym pobycie w Rzymie, oświadczył publicznie, że wraca do Francyi, aby objąć na nowo *l'Avenir*. Na tę wiadomość Lacordaire, dla okazania swego zerwania z nim, wyjechał do Niemiec, chcąc w samotności czas jakiś przebyć; tam zupełnie niespodzianie spotkał w Monachium Montalemberta i La Mennais, w chwili właśnie gdy temu ostatniemu wręczoną została Encyklika Papieska, oświadczająca się nieprzychylnie dla doktryn dziennika. Tym razem jeszcze La Mennais poddał się zupełnie i wszyscy trzej podpisali akt posłuszeństwa dla Kościoła bez żadnych zastrzeżeń.

Szlachetne poczucie wierności i nadzieja osłodzenia przykrej dla mistrza ofiary, spowodowała Lacordaira, że raz jeszcze towa-

[1] Le Père Lacordaire par Mr. de Montalemberg str. 57.

rzyszył ks. La Mennais do jego ustronia la Chesnaie w Bretanii. Zapewnie czytelnik nam chętnie wybaczy, że zamiast oddawać tylko myśli Lacordaira, wolimy tak często własne jego słowa tłumaczyć; oto co mówi o pobyciu swoim do la Chesnaie i o rozstaniu się z ks. La Mennais.

„Powracając po raz wtóry do wspaniałego zamku la Ches-„naie, sądziłem, że towarzyszę wielkiemu geniuszowi ocalonemu „od rozbicia, mistrzowi bardziej niż kiedykolwiek wielbionemu, „jednej z tych boleści, które wznoszą duszę po nad nią samą, „a kładą na czole człowieka coś doskonalszego, co cierpienie „tylko dodać może wielkim cnotom", jak mówi Bossuet.

Złudzenie było głębokie; wkrótce kilku młodych uczniów przybyło do la Chesnaie, wszystko do dawnego zdawało się wracać porządku w domu zarazem cichym i ożywionym. „Jeżeli lasy „miały zawsze te same cisze i te same burze, jeżeli niebo Ar-„moryki nie było zmienione, nie tak się działo w sercu mistrza; „rana była głęboka, a ta sama ręka jątrzyła ją ciągle, zamiast „w nią wlewać balsam łaski Bożej. Czarne chmury zawisły na „czole pozbawionem pokoju, słowa urywane a groźne wychodziły „z ust, które wypowiadały dawniej słowa namaszczania ewangie-„licznego; zdawało mi się czasem, że widzę Saula; ale żaden „z nas nie miał harfy Dawida zdolnej do uspokojenia tych na-„głych wybuchów ducha złego; a groza najstraszniejszych prze-„czuć tak wzrastała w moim znękanym umyśle, że nie mogąc już „znieść dłużej tego bolesnego widoku, napisałem list do ks. La „Mennais, opuściłem la Chesnaie... nie wiedząc co się ze mną „stanie, gdzie się udam, ani co wart będzie w oczach Bożych „czyn, którego dopełniam".

Podajemy tu ustęp z listu, o którym właśnie mówi. „La „Chesnaie 4 grudnia 1832 r."

„Opuszczam la Chesnaie dziś wieczór, czynię to w prze-„konaniu, że odtąd życie moje byłoby Ci bezużytecznem, z po-„wodu różnic zdań naszych o Kościele i społeczeństwie, różnic, „które się ciągle zwiększają, mimo szczerych moich usiłowań, aby „zdążyć za postępem Twych myśli. Sądzę, że za życia mojego, „i długo po niem jeszcze, republika nie zdoła się ustalić ani „we Francyi, ani w żadnym innym kraju Europy, a nie mógłbym

„popierać systemu opartego na przeciwnych memu przekonaniu „zasadach. Nie zrzekając się moich idei liberalnych, rozumiem „i wierzę, że Kościół miał słuszne powody, zwłaszcza wobec głę„bokiego zepsucia stronnictw, aby nie postępować tak szybko, jak „tego pragnęliśmy.... W niebie chyba dopiero się dowiesz, ile „cierpiałem od roku, w jedynej obawie, aby cię nie zasmucić. „Zostawiam Cię teraz spokojnym wobec Kościoła, wyżej w opi„nii niż kiedykolwiek, a tak ponad twymi nieprzyjaciołmi, że „już niczem prawie nie są. Wolę więc tę chwilę wybrać, aby ci „przykrość wyrządzić, która, wierzaj mi, oszczędzi Ci ich wiele „innych w przyszłości...

Zrazu surowo sądzono odstąpienie Lacordaira, ale gdy w dwa lata później wyszła pełna rozgłosu broszura „Les paroles d'un croyant", tak sam się wyraża do swego przyjaciela Montalamberta: „Nie jestem świętym, wiem o tem dobrze, ale mam w sobie mi„łość bezinteresowną prawdy, i chociaż pragnąłem wyjść w spo„sób najzaszczytniejszy z przepaści, w której się znajdowałem, „nigdy duma ani ambicya nie były bodźcem mego postępowania. „Duma mówiła mi: zostań, gdzie jesteś, nie zmieniaj się, nie „wystawiaj się na wyrzuty twoich dawnych przyjaciół. Łaska „Boża wołała głośniej: wzgardź sądami ludzkimi, uwielbiaj sto„licę Apostolską i Boga, — w tem była cała moja mądrość"...

W tym pierwszym ustępie staraliśmy się wykazać działanie polityczne ks. Lacordaira, ale tu już widocznem jest, że w całem jego życiu, od czasu jak został duchownym, tak góruje myśl religijna, że dalszy jego udział w rzeczach świeckich, jako to wybór na deputowanego do Zgromadzenia narodowego (l'Assemblée Nationale) i na członka Akademii Umiejętności, znajdą miejsce swoje w opisie dalszego jego zawodu, przejść, walk i ostatniego peryodu w zakonie Dominikanów.

Nie będziemy się rozwodzić nad datami dzieciństwa O. Lacordaire, jak się to zwykle czyni w biografiach znakomitych ludzi. Długą obserwacyą doszliśmy do przekonania, że usposobienia i objawy u dziecka, a stąd wyciągane prognostyki o przyszłem jego powołaniu, w rzadkich się tylko przypadkach sprawdzają.

Któż nie znał chłopiąt bawiących się w żołnierza albo księdza, a którzy później ani jednym, ani drugim nie zostali? Co więcej, widzi się często dzieci pełne dowcipu i zdolności, które stają się najpospolitszymi ludźmi, a inne tępe, i trudne do nauki, pracą i wytrwałością rozwijając swoje zdolności, wychodzą na ludzi znakomitych. Powiemy więc tylko, że Lacordaire był dzieckiem pojętnem, do wymowy tak uzdolnionem, że przed niańką swoją w ósmym już roku prawił godzinami o różnych rzeczach, a w oknie stojąc, udawał kaznodzieję. Wychowany przez matkę chrześcijankę gorliwą, był religijnym do lat czternastu, w którym to wieku oddany został do liceum w Dijon, gdzie, jak mówi, w złem towarzystwie zepsutych kolegów, stracił wiarę i czystość obyczajów. O pierwszej swojej Komunii tak pisze: „Była to ostatnia moja pociecha „religijna, i ostatni promień ducha mojej matki na serce moje, „wkrótce ciemności ogarnęły mnie, noc zimna owiała ze wszech „stron, i nie otrzymałem już w sumieniu mojem żadnego znaku „łaski Bożej".

Zrazu w liceum był uczniem pilnym, nieodznaczającym się wcale; w retoryce dopiero zyskuje nagrody i wieńce, objawia się jego wyższość, zostaje pierwszym w kółku młodzieży, która skupia się koło niego dla pracy i dyskusyi. Piękne i wydatne rysy twarzy, spojrzenie łagodne a przenikające czasem do głębi, wesołość szczera, do dziecinnej dochodząca prostoty, dbałość o porządek i pewną elegancyę, uprzejmość naturalna, wymowa świetna, zdolna zająć się każdym przedmiotem; słowem, istota jego cała przyciągała do siebie. Uzupełniamy rys jego osoby słowami Montalembert'a nieco później pisanemi. „Stworzony do walki i zwy„cięstwa, nosił już podwójną koronę ducha i talentu; ukazał mi „się ujmującym i potężnym, natchnieniem cnoty, uzbrojonej dla „obrony prawdy i zapału dla wszystkiego co dobre. Widziałem „w nim wybrańca powołanego do tego, co młodość najwięcej „uwielbia: do geniusza i chwały".

Dość powierzchowny kurs filozofii zakończył nauki klasyczne Lacordaira, a obrawszy sobie zawód prawniczy, wyjechał do Paryża. Tam żył w samotności i pracował wytrwale; gorąca jego dusza potrzebowała przyjaźni; szukał jej więc, a przyjaźń stawiał po nad inne uczucia ludzkie. Z listu do przyjaciela wyjmujemy

słów parę, które malują stan jego duszy w tym czasie. „Mam umysł bez wiary a duszę religijną, ponieważ zwykle dusza zwycięża umysł, prawdopodobnie zostanę kiedyś chrześcijaninem". I rzeczywiście wśród zajęć i studyów, nie przestawał nigdy myśleć i szukać prawdy religijnej.

Zawód prawniczy nie miał dla niego powabu. „Dziś rano, „pisze on, broniłem dość złej sprawy, aby wiedzieć tylko, czy po- „trafię mówić bez obawy przed sądem, i czy mój głos dość silny. „Przekonałem się, że senat rzymski nawet by mnie nie ustraszył".

Pierwsze występy odznaczają go, przyjaciele zachęcają, a Berrier, najsławniejszy wówczas mówca Francyi, przepowiada mu wielkie powodzenie i pierwszorzędne stanowisko, byleby się wystrzegał zbytniej łatwości w wymowie; prezydent sądu Séguier wyrzekł o nim proroczą prawie pochwałę: „Panowie, to nie jest Patru, to Bossuet". Sukcesa, któreby niejednemu starczyły, zostawiały go obojętnym; smutek go ogarniał, oderwał się od ludzi, jakaś myśl głęboka opanowała nim. „Miałem, tak pisze, „przywiązanie do życia, ale wyobraźnia się zużyła, jestem syt „wszystkiego, chociaż nic nie poznałem, to też tak smutny je- „stem! Mówią mi o chwale literackiej, o posadach publicznych; „mam i ja tego rodzaju zachcianki, ale rzeczywiście lekceważę „chwałę i nie rozumiem już, jak można sobie tyle trudu zadawać, „ubiegając się za tą błyskotką". Jego umysł, który wszystko analizował, pokazywał mu znikomość wabiących świecideł, i doprowadzał powoli do rzeczywistości, która jest nieskończonością, i do prawdy która jest wiarą[1]. „Czyż wierzysz", pisze dalej, „że „z każdym dniem staję się bardziej chrześcijaninem; dziwna „zmiana zaszła powoli w moich przekonaniach; zdaje mi się, że „nie byłem nigdy bardziej filozofem. Trochę filozofii oddala od „religii, wiele filozofii do niej prowadzi"...

„Żyję już tylko miłością własną, a jednak i ta z każdym „dniem mi brzydnie; codzień czuję mocniej, że wszystko marno- „ścią i nie chcę serca mego zostawić w tej kałuży... Tak jest „wierzę! ale czemuż mnie przyjaciele nie rozumieją? czemuż „wątpią i śmieją się z mojego nawrócenia? czyżbym był sam „jeden dobrej wiary, skoro nikt mnie nie rozumie"?

[1] Chocarne. Vie du R. P. Lacordaire. Volum I.

Ale gdy po kilku miesiącach pracy wewnętrznej otrzymał wiarę, dla tej gorącej i żądnej poświęceń duszy przejścia nie było; z dniem, w którym uwierzył, był kapłanem. W przeddzień wstąpienia do seminaryum św. Sulpicyusza w Paryżu uczuł potrzebę udzielenia przyjacielowi swoich wrażeń:... „Chwila najszczytniejsza w życiu człowieka jest ta, w której ostatni promień światła „wpada do duszy, i skupia w jedną całość wszystkie prawdy „w niej błądzące. Taka przepaść dzieli wówczas chwilę poprzedzającą od następnej, to czem się było, od tego czem się jest potem, że znaleziono słowo łaska, aby oznaczyć ten czarujący „wpływ, tę iskrę z góry. Zda się patrzeć na człowieka błądzącego na oślep z zawiązanemi oczyma, rozwiązuje się powoli zawiązka, dostrzega światło, zawiązka opada, ujrzał słońce". Gdzieindziej pisze: „Doszedłem do przekonań katolickich przez moje „przekonania socyalne, a teraz nic mi się nie wydaje bardziej „dowiedzionem jak konkluzya, że społeczeństwo będąc konieczne, „religia chrześcijańska jest Boską, bo ona jedynie prowadzi społeczeństwa do doskonałości, biorąc człowieka ze wszystkiemi „słabościami, a porządek społeczny ze wszystkimi warunkami" [1].

Lacordaire pisał te słowa w r. 1824. Dla jednych jest to i było zawsze prawdą, dla wielu innych jest dotąd wątpliwością, a jednak gdzież społeczeństwo francuskie zaszło od owego czasu? jakąż stałą znalazło podstawę? gdzież je droga prób i zmian zaprowadziła? Mówią o postępie, jest on i ogromny w dziedzinie materyi. Ale cóż się ustaliło w porządku społecznym? — Można niewierzyć w zbawczy wpływ i potęgę chrystyanizmu — ale rewolucye i zmiany w imię postępu robione blisko od pół wieku, to jakby błędne koło, na którem napisano: równość, wolność i braterstwo, w którem jak w deptaku chodzi społeczeństwo, monarchia, konstytucya, republika, i znowu monarchia i znowu republika; a od Babenf'a, St. Simona, Fourriera, aż do Proudhona, jakąż regułę wynaleziono dla uszczęśliwienia, a przynajmniej dla uspokojenia ludzkości? Żadnej. — Rezultatem tych wszystkich ewolucyi jest, że już niema dowódzców, tylko armie, zowiące się socyalistami, anarchistami i nihilistami; przybyła im jeszcze broń

[1] Lorrain. Correspondant, tom XVII. 828.

jedna, dawniej nieznana — dynamit. Te falangii blisko spokrewnione, a połączone, mogą stary świat obalić, zbudować nic nie są w stanie, bo cokolwiek zbudują, będzie to znowu dla spadkobierców dzisiejszych doktryn, przedmiotem do zburzenia. Religia, instytucye państwa i rodziny uważane za przestarzałe i ostać się niemogące. Można mówić, powtarzam, że chrystyanizm nie jest ostatnim i jedynym środkiem zbawienia, ale w takim razie, po tem co się dotąd stało i dzieje jeszcze, w braku wszelkich środków zaradczych, trzeba sobie chyba powiedzieć, że niema już zgoła ratunku, i że społeczeństwo skazane jest na błądzenie wieczne po manowcach, szukając, a nie znajdując tego, coby zbawić je mogło.

W seminaryum znalazł Lacordaire czego pragnął, spokój, myśli skupienie, wiele czasu do kształcenia się i ogólną sympatyę u młodszych. Chociaż zawsze był wielkiej pokory i uległości, niepokoiła kierujących[1] ta wymowa pełna ognia i oryginalności, tak daleka od tradycyi wymowy kościelnej, z XVII. wieku przechowywanej. Lacordaire opisuje żartobliwie pierwszą swoją tego rodzaju próbę.

Było w zwyczaju w Seminaryum Sw. Sulpicyusza, że w refektarzu podczas obiadu jeden z kleryków miewał kazanie. „Miałem „kazanie, a raczej mówiłem w refektarzu, gdzie 130 osób jadło, „wśród hałasu talerzy, łyżek i całej usługi; nie sądzę, aby były „okoliczności bardziej niekorzystne dla mowcy, jak przemawiać „do ludzi jedzących. Cyceron nawet nie byłby wygłosił swoich „Catilinarii przy obiedzie senatorów, chyba żeby im był wy„trącił z rąk grabki pierwszym frazesem. Ale cóżby był począł „dopiero, gdyby był musiał mówić o tajemnicy wcielenia? na „mnie to przecież przypadło, a widząc obojętność na wszystkich „twarzach, ludzi, którzy zdawali się nie słuchać wcale, a których „cała uwaga skupiona była na tem co mieli na talerzach, wy„znaję, że miałem prawie ochotę rzucić im w twarz mój rogaty biret... „Przekonałem się jednak, że mowa moja zajęła i zrobiła wraże„nie. Ograniczam się na tych słowach, które już i tak dużo za„wierają miłości własnej; nie podaję już sądów, pochwał, rad itd.

[1] Rektora seminaryum i innych przełożonych.

Po trzech latach życia w seminaryum r. 1827 został wyświęcony; wkrótce potem cnotliwy i gorliwy kapłan, jego przyjaciel, ks. Boyer, którego nie można było posądzić o widoki światowe, a który posiadał całe zaufanie biskupa, miał z nim następującą rozmowę. „Właśnie na czas przychodzisz; chcę cię zrobić „kardynałem. „To żart chyba", odpowiada Lacordaire. „Wcale „nie, chcę cię zrobić kardynałem. Posłuchaj, polecił mi ksiądz „biskup, abym z powodu opróżnionej posady auditora Roty u dworu „Rzymskiego, wyszukał młodego księdza szczególnych zdolności, „nauki głębokiej, a przytem ogłady światowej, słowem, godnego „przedstawiciela Francyi w Rzymie; jak ci wiadomo, posada ta „otwiera drogę do wysokich dostojeństw. O tem myślałem właśnie, „kiedyś wszedł do mnie; widzisz więc mój drogi, że Opatrzność „sama powołuje cię do tej świetnej karyery, a nikt lepiej od „ciebie z twojemi zdolnościami, twoją nauką prawa, znajomością „świata i łatwością wymowy, nie odpowie temu stanowisku". Zadziwiony chwilę, ale nie olśniony ani zachwiany ksiądz Lacordaire, odpowiedział: „Poświęcając się kapłaństwu, miałem na oku „jednę rzecz tylko, służyć Kościołowi; słowem, to jest mojem „powołaniem; gdybym był pragnął zaszczytów, byłbym w świe„cie pozostał. Racz więc już o mnie nie myśleć, będę prostym „księdzem, a prawdopodobnie kiedyś zakonnikiem". „Ale co mó„wisz? odparł żywo ks. Boyer, chcesz służyć Kościołowi? gdzież „lepiej mu służyć możesz jak w Rzymie, przy Papieżu, i na tak „wysokiem stanowisku". „Nie, nie, przerwał Lacordaire, nie na„legaj proszę, powiedziałem i powtarzam, nie pojadę do Rzymu, „będę zakonnikiem".

Po tej odmownej odpowiedzi, biskup Quélen, mianował go kapelanem klasztoru PP. Wizytek, a później kolegium Henryka IV. Studya swoje teologiczne dalej prowadził; celem ich była apologetyka chrystyanizmu; sięgał aż do źródeł, z niezmordowaną wytrwałością. Nęciło go nieraz powołanie misyonarza w Ameryce, ale w tym to czasie właśnie wybuchła rewolucya lipcowa 1830 r. Nastąpiło spotkanie się jego z ks. de La Mennaie, zbliżenie a ostatecznie związek z nim. Niebezpieczeństwa, na jakie Kościół był wystawiony we Francyi, odwróciły go chwilowo od

zajęć czysto duchownych, i tu przypada zajmujący epizod jego życia, od którego zaczęliśmy nasze opowiadanie.

Z powrotem z Rzymu do Paryża w r. 1832 zastał strasznie grasującą cholerę. Z trudnością uzyskał pozwolenie wstępu do jednego ze szpitali, gdzie ubrany po świecku, całe dnie przebywał „szukając z nieśmiałością, jak mówi, czy nie spotka duszy należącej do owczarni; rzadko kiedy wychodząc bez pociechy". Widzimy tu ks. Lacordaira wystawiającego swe życie z miłości bliźniego i wprawiającego się przez uczynki miłosierne do zawodu pełnego rozgłosu i chwały, który go czekał. Coraz bardziej jednak lubił samotność, zdało mu się, że w samotności tylko rodzą się wielkie myśli. „Pożegnałem, pisze, góry, doliny, rzeki, cienie „lasów, a w mojej izdebce znalazłem między Bogiem a sobą, „horyzont szerszy niż świat cały".

Ten tak silny pociąg do samotności, który we wszystkich listach jego przebija, był niebezpieczeństwem, o którem go serce przyjacielskie ostrzegło. Przedstawił go już dawniej Montalembert pani Swetchin. Pani ta, do wielkiego świata należąca, na katolicyzm nawrócona, głębokiej wiary, z pobożności i miłosiernych uczynków, równie jak ze znakomitego rozumu znana, powzięła szczere dla Lacordaira, można prawie powiedzieć macierzyńskie uczucie. Między tą damą już w dojrzałym wieku, bo 50 przeszło lat liczącą a młodym duchownym zawiązała się stała przyjaźń, otwartością i szczerością w radach z jednej, a uszanowaniem z drugiej strony utrzymywana. O tem zamiłowaniu do samotności tak ona do niego pisze: „Być może, zacny przyjacielu, że sa- „motność jest ci dobrą, użyteczną, a nawet potrzebną, ze swym „orszakiem, spokoju, wolności i panowania nad sobą — samotność, „ale nie odosobnienie, które usuwając wszystkie przeszkody, odej- „muje ci także wszelką podporę, któreby cię pozbawiło cennego „obcowania z ludźmi, cennego zwłaszcza dla tych, co mają żyć „między nimi i dla nich. We wszystkich sferach i we wszystkich „zawodach ludzkich słowo Boże: „Źle człowiekowi być samemu" „znajduje swoje zastosowanie".

Często rady P. Swetchin chroniły od zniechęcenia i znużenia tego, który pełen odwagi w otwartej walce, nie umiał spokojnie znosić codziennych, drobnych i lichych podejrzeń, oskar-

żeń i zazdrości. W roku 1834 zawezwany, aby miewał konferencye religijne dla młodzieży w Kolegium św. Stanisława w Paryżu, rozpoczął je wkrótce. Ogromne powodzenie wskazało mu prawdziwe jego powołanie, a stolicy nieznanego jeszcze wielkiego kaznodzieję. Z każdym dniem zwiększała się liczba słuchaczy, młodzież ustępowała swe miejsca, wybudowano trybuny, a jeszcze kaplica była za ciasną. Czemu przypisać to nadzwyczajne powodzenie? „Zapewne po części i głębokiej nauce, którą mowca „posiadał, jasnemu i świetnemu wykładowi, ale także temu słowu „pełnemu młodości, uniesień dla wszystkiego co szlachetne i pa„tryotyczne. Jednym skokiem zerwał on z tradycyjną wymową „od 3-ech wieków szanowaną i, jak zdawało się, nietykalną; jego „konferencye nie były to ani nauki, ani kazania, ale najwznio„ślejsze rozmowy o rzeczach Boskich, w których wszystkie uczucia „słuchacza porwane były ogniem wymowy, wiary i uniesienia, „doprowadzonych do najwyższej potęgi. Nie był to już kapłan tylko, „ale poeta, obywatel, filozof, człowiek teraźniejszości, mówiący „do współczesnych o rzeczach przeszłości, o religii, którą oni „mieli za konającą, i wiodący ich od podziwu dla talentu, do „uszanowania dla doktryny". To, co było największym powabem dla młodzieży, stawało się przedmiotem podejrzenia dla starej szkoły; zarzucano jego wymowie, że była za nadto świecką, nie dość pewną siebie w przedstawieniu dogmatów, zbyt zuchwałą w swoich wycieczkach w dziedzinie polityki i historyi współczesnej. Czyż nie odważył się np. powiedzieć raz tym ludziom 30-go roku, że pierwsze drzewo wolności dawno już zasadzone było w raju przez Boga samego.

Oskarżenie Lacordaira przed rządem, jako fanatycznego republikanina, zdolnego obałamucać młodzież, spowodowało zamknięcie konferencyi; pomoc mu przyszła niespodziewanie. Ks. Affre, wtedy kanonik kapituły paryskiej jest jedną z pięknych postaci owego czasu; został on później arcybiskupem paryskim, a w jednem z zaburzeń ulicznych, tak niestety częstych w tej stolicy, wstąpił na barykadę, chcąc przemówić do ludu i wstrzymać bratobójczą walkę i zginął kulą przeszyty. Ten to kanonik Affre, widząc naukę, wiarę i zupełną ortodoxyę księdza Lacordaira, przemówił gorąco za nim do arcybiskupa de Quélen, a ze względu na uniesie-

nie młodzieży dla nowego kaznodziei, obawiał się, aby nie posądzano znowu wyższych władz duchownych o tłumienie wszystkiego co tchnie duchem swobody i miłości kraju.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, w chwili, w której arcybiskup odebrał pismo ostro krytykujące administracyę dyecezyi, i zowiące słabością postępowanie jego względem Lacordaira, wszedł ten ostatni do niego. Długo milczący arcybiskup, rzekł w końcu: „Chcę Ci powierzyć kazalnicę w kościele Notre-Dame"; ze skromnością i niedowierzaniem sobie odpowiedział ks. Lacordaire, że jeżeli łatwe było powodzenie w małej kaplicy kolegium św. Stanisława, tem łatwiejszy upadek w wielkiej bazylice i w obec kilku tysięcy słuchaczy i że niewie czy mu czasu starczy do przygotowania się do tak wielkiego zadania; prosił więc o dobę do namysłu. Przepędziwszy długi czas na modlitwie, nazajutrz oświadczył się gotowym.

Tak opisuje pierwsze swoje wystąpienie: „W dniu oznaczo-„nym kościół Notre-Dame napełnił się tłumem nigdy tam jeszcze „niewidzianym; młodzież liberalna i zachowawcza, przyjaciele „i nieprzyjaciele i ten tłum ciekawych, który wielkie stolice mają „zawsze na pogotowiu dla wszystkiego co nowe, zgromadził się „w zbitych szeregach w starej bazylice. Wstąpiłem na ambonę „nie bez wzruszenia, ale spokojny. Rozpocząłem mowę, oczy zwró-„cone na arcybiskupa, który był po Bogu, ale przed publicznością, „pierwszą dla mnie osobistością w tej chwili. Słuchał mnie ze „spuszczoną głową, w zupełnej na pozór bierności, jako człowiek, „który nie jest prostym tylko widzem, ani sędzią, ale narażonym „osobiście w tej uroczystej scenie. Kiedym zajął słuchaczy, kiedy „pierś moja rozszerzyła się z potrzeby owładnięcia tak obszer-„nem zgromadzeniem, kiedy natchnienie zastąpiło spokój przed-„mowy, wyrwał mi się okrzyk, który kiedy jest szczery i głęboki „musi zawsze wzruszyć. Arcybiskup zadrgnął widocznie, bladość, „która doszła aż do moich oczów oblała twarz jego, podniósł „głowę i rzucił na mnie zdziwione spojrzenie. Zrozumiałem, że „walka była wygrana w jego umyśle i w umyśle słuchaczy".

Kto nie był świadkiem choć raz jeden widoku, jaki przedstawiał kościół Notre-Dame podczas konferencyi ks. Lacordaira, trudno go sobie wystawić potrafi. Kilka godzin przed rozpoczę-

ciem kościół bywał pełny; zbierali się tam wszelkiego wieku i stanowiska, wszelkich przekonań i wszelkiej wiary ludzie, najwięcej młodzieży, różnych zawodów, z wydziału prawniczego, lekarskiego; obok nich mowcy, prawnicy, uczeni, wojskowi, St. Simoniści, republikanie i monarchiści, wierzący i niewierzący, ateusze i materyaliści. Słowem, cała Francya była tam przedstawiona, a tłum ten drgał pod urokiem słowa i unosił się czasami aż do objawów admiracyj, niezwykłych w świątyniach.

Nie może wchodzić w zakres tego pisma wykład lub przekład kazań i konferencyj ks. Lacordaira, ograniczymy się więc na podaniu ich celu i myśli przewodniej, co znowu wykaże tajemnicę powodzenia ich i wpływu. Już raz powiedzieliśmy, że przekonania religijne jego wykłuły się z przekonań socyalnych; dowodził, że społeczeństwo potrzebuje religii, a jeżeli człowiek z trudnością żyje bez wiary, naród jeszcze trudniej się bez niej obejść może. W narodzie bez religii, a szczególnie bez religii chrześcijańskiej, gdzież jest lekarstwo i pociecha na tyle słabości, nędz, cierpień moralnych i fizycznych? „Dawne społeczeństwo runęło, bo z niego Boga wygnano; nowe cierpi, bo Bóg do niego nie wstąpił“. Stawiał ciągle społeczeństwo w obec Ewangelii, porównywał społeczeństwa bez religii z temi, które ją wyznają; dowodził, że bez Ewangelii rodzina się rozprzęga, wolność staje się swawolą, władza despotyzmem; że cnoty najwięcej społeczeństwu potrzebne, pokorę, czystość obyczajów, miłosierdzie, daje wiara katolicka. Jeżeli Apostoł budzi sumienie człowieka przypominając mu wyrok jaki go czeka poza grobem, inaczej dzieje się z narodem, jego szaleństwami i występkami: wyrok potępienia za pogardę prawa wykonywany bywa niezwłocznie. Narodowi nie grozi piekło, chyba piekło społeczności bez zasad i bez hamulca, przepaść nieustannej anarchii; również nie spodziewa on się raju, ale powinien dążyć do wieku złotego, który sobie zdobyć mogą społeczeństwa religijne. (Dok. nast.)

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Stosunki narodowościowe w Poznańskiem.

(Eugen v. Bergmann: Zur Geschichte der Entwickelung deutscher, polnischer und jüdischer Bevölkerung in der Provinz Posen. Tübingen 1883).

Książka ta wyszła jako tom pierwszy zbiorowego dzieła, zbiorowe prace są dziś w nauce niemieckiej na porządku dziennym, wydawanego przez Fr. J. Neumanna, p. t.: „Beiträge zur Geschichte der Bevölkerung in Deutschland, seit dem Anfange dieses Jahrhundertes“, i daje obraz ruchu ludności w Poznańskiem z rozróżnieniem narodowości i wyznań, w ciągu bieżącego stulecia. Zadanie to stara się spełnić autor w ten sposób, iż po krótkim wstępie, — w którym wyjaśnia, skąd czerpał materyał do swej pracy, tudzież metodę, której się trzymał przy obrachowywaniu cyfry ludności, w latach między dwiema konskrypcyami, czyli spisami ludności, przedstawia w dwóch pierwszych rozdziałach, ogólne socyalne, tudzież gospodarcze stosunki prowincyi poznańskiej, począwszy od czasu wcielenia jej do monarchii pruskiej, poczem w dalszych pięciu rozdziałach, podaje i objaśnia daty statystyczne tyczące się ruchu ludności w prowincyi tej od r. 1825 względnie 1819, do roku 1871 lub 1873. Dat tych dostarczyły mu archiwa królewskiego pruskiego biura statystycznego.

Już dwa pierwsze rozdziały tej pracy, muszą nas obchodzić w wysokim stopniu. I tak; w rozdziale pierwszym kreśli autor, przeszedłszy w kilku słowach dawniejsze dzieje ziemi należących dziś do prowincyi poznańskiej, obraz rozwoju prowincyi tej od czasu zajęcia jej przez rząd pruski aż do dzisiaj. Gdyby prawdzi-

wymi miały być opisy, przez autora przytaczane, jakie o stanie Poznańskiego pod koniec wieku zeszłego i na początku bieżącego, kreślili pierwsi wysyłani tam urzędnicy pruscy, jak Blindow, później Klebs, to prowincya ta pod względem cywilizacyi i dobrobytu, przebyłaby chyba w jednem stuleciu, oczywiście pod zbawiennym wpływem rządu pruskiego drogę, jaką inne kraje i w parę wieków nie przejdą. Tylko, że wartość tych opisów czerpanych z tendencyjnych relacyj podwładnych urzędników, dla których potwierdzenia, autor powołuje się nadto niekiedy na tak znane z przychylnego usposobienia dla nas osobistości, jak wydawcę czasopisma: „Zeitschrift für Landeskunde der Provinz Posen", Chrystyana Meyera; można już z góry ocenić... Oto ich próbki: „Na widok pospolitego chłopa polskiego, powiada Blin„dow, zdaje się nam, że widzimy człowieka, który dopiero wy„szedł ze stanu dzikiego barbarzyństwa, i robi pierwszy krok do „cywilizacyi. Rzadko nosi on koszulę, a jeżeli ją ma, to rzadko „zdejmie ją pierwej, aż zmuszą go do tego ostatni brud i roba„ctwo, z której to plagi nie zdaje się on wiele sobie robić"....

Lub na innem miejscu: „Szlachcic i żyd są... prawdziwym „biczem chłopa... Przygnieciony pogardą swych bezpośrednich „zwierzchników i nękaniami swych przełożonych, odznacza się „Polak z warstwy niskiej, pełzającą pokorą w obec możnych, „schyla się do ziemi, całuje brzeg ich sukni i nie mówi z nimi „inaczej, jak upadłszy im do nóg". (!)

Według relacyi innego urzędnika znowu: „brudny i ponury „lud żyje tylko lemieszką z mąki żytniej, a często tylko ziele„niną, którą jak kapustę w zupie gotuje, śledziami i wódką, któ„rej oddają się tak kobiety jak i mężczyźni. Chleb pieką tylko „najbogatsi. Wielu w całem swem życiu nie jadło tego przy„smaku, a w mało której wsi istnieje piec do pieczenia chleba".

Jeszcze inny z pisarzy tych twierdzi, że w Polsce samowola właścicieli dóbr wiejskich niczem nie była krępowaną, to też „pa„tryarchalny stosunek w Polsce nigdy nie istniał, lecz ciągła „walka między despotyzmem właścicieli dóbr, a niewolniczą uni„żonością chłopską". Naturalnym wynikiem tego było „nieprzy„jazne usposobienie" ludu dla szlachty, które dopiero z uregulowaniem stosunków przez rząd pruski ustało. Dla dodania wiarygo-

dności twierdzeniom tego rodzaju, cytuje jeden z tych pisarzy, w niemieckim przekładzie, czterowiersz z „Pana Tadeusza".

„. . . . . Cham! Skołuba krzyknął,
„Głupi, tobieć to lepiej, tyś chłopie przywyknął,
„Jak węgórz do odarcia, lecz nam u r o d z o n y m,
„Nam wielmożnym, do złotych swobód wzwyczajonym!"

Więcej już warte są obrazy ekonomiczne Poznańskiego, z końca zeszłego stulecia, jakie pisarze ci kreślą. Lecz i tu znachodzimy ustępy takie np.: „Nawet na dobrach większej szlachty, „starostów i koronnych, były wszystkie budynki gospodarcze ru„derami i nie do użycia. Kto zachorował, nie znachodził innej „pomocy, jak tajemne środki starej baby wiejskiej, bo w całym „kraju nie było aptek. Kto potrzebował surduta, dobrze zrobił, „biorąc sam igłę do ręki, bo na wiele mil wokoło nie było żad„nego krawca, chyba że włóczęga jaki zabłąkał się do kraju. „Kto chciał dom budować, musiał patrzeć, skądby z zachodu do„stać rzemieślników"... W obec tych czarnych opisów, które autor z zupełną wiarą w nie przytacza, tem przyjemniejszemi są dla nas pełne uznania słowa, jakiemi on wyraża się o dzisiejszym stanie gospodarczym i społecznym Poznańskiego. Byłoby błędem, powiada on, chcieć utrzymywać dziś jeszcze, robiony tak często polskim posiadaczom dóbr większych i szlachcie, zarzut niegospodarności. Zaraz zaś dalej cytuje słowa innego pisarza, wedle których szlachta polska „stara się powtarzany jej tak czę„sto zarzut niegospodarności, roztropną ekonomią i oszczędnością „w gospodarstwie domowem praktycznie zbijać, nie pozbywając „się mimo to polskiej dziedzicznej cnoty — gościnności". Sposób prowadzenia gospodarstwa na większych posiadłościach w Poznańskiem, nietylko niemieckich, ale owszem i polskich, zastrzega wyraźnie autor, odpowiada w zupełności wymaganiom nowszej agronomii. Toż samo widać ogromny postęp w położeniu ludności wiejskiej, w środkach komunikacyjnych, w chowie bydła, przemyśle, wreszcie w oświacie i zakładach wychowawczych.

W rozdziale drugim, autor, podawszy najpierw ogólną cyfrę ludności prowincyi poznańskiej wedle spisu z r. 1871, na którym się oparł: 1,583.843 (bez wojska), konstatuje, iż prowincya ta należy do najgęściej zaludnionych w całem państwie pruskiem

a nawet w północnej części Niemiec. Przypada w niej bowiem w przecięciu 2977 mieszkańców na milę kwadratową, gdy np. w samej Marchii brandenburskiej (bez Berlina), przypada ich tylko 2791 na milę kwadratową. Ludność ta jest przeważnie wiejską i w żadnej części państwa pruskiego procent ludności wiejskiej nie jest tak wysoki, jak w Poznańskiem. Wynosił on tam w 1871 roku 67·3% ogólnej cyfry ludności, w całem zaś państwie pruskiem w przecięciu, tylko 47·7%. Przewagę tę ludności wiejskiej i brak większych miast, zaznacza autor jako właściwość krajów zamieszkałych przez szczep słowiański a w szczególności polski i przechodzi do poszczególnych narodowości Księstwa Poznańskiego.

Narodowości tych jest trzy: polska, niemiecka i żydowska. Podawszy krótki obraz historyczny kolonizacyi niemieckiej Poznańskiego, skreśliwszy następnie powody napływu i rozprzestrzenienia się niezmiernego żywiołu żydowskiego w tej, jak i w innych niegdyś polskich ziemiach, tak iż „Polska nie bez słuszności drugą kolebką żydowstwa została nazwaną“, przystępuje autor, do właściwego zadania, które sobie zakreślił: do przedstawienia statystycznego stosunku liczebnego trzech dopiero co wspomnianych narodowości i rozwoju tychże w ciągu bieżącego stulecia.

Przy obliczeniach bowiem takich bezpośrednich cyfr pojedyńczych narodowości, które podejmywano zazwyczaj przy ogólnych spisach ludności, trzymano się w Prusiech, w różnych czasach, różnych metod.

Zrazu przyjęto jako zasadę, że każdy, „który przy publicznych rozprawach posługuje się niemiecką mową i mógłby słuchać nabożeństwa po niemiecku“, jest Niemcem! Na podstawie tej zasady, którą sam Bergmann cytując zaopatruje kilku wykrzyknikami w nawiasie, już w r. 1831 otrzymano jako rezultat, że na 1,046.480 mieszkańców prowincyi poznańskiej, było wszystkiego 603.334 Polaków a 443.106 Niemców. Lecz jakąż miały wartość te daty! To też Hoffmann w pracach swych cyfry tej nie przyjął, lecz opierając się na cyfrach odnoszących się do wyznań twierdził, że np. w r. 1831, na $^2/_5$ całej ludności Poznańskiego, jak z podanego wyżej obliczenia wypadałoby, należało do narodowości niemieckiej mniej jak $^1/_3$. To ostatnie obliczenie przy-

jęli później Weber i Roon, a do podobnego rezultatu doszedł też jeden z najdzielniejszych statystyków pruskich Fr. W. Schubert, który w r. 1843 szacował liczbę Niemców w Poznańskiem na $^5/_{13}$ (dokładniej 35%) całej ludności.

Później stały się te bezpośrednie obliczenia narodowości nieco pewniejszemi. I tak od r. 1843 dodano we wschodnich prowincyach państwa pruskiego do kart spisowych przy konskrypcyach ludności jeszcze jednę rubrykę z napisem: „język rodzinny“ (Muttersprache). W Poznańskiem zaś i w obwodzie gdańskim posunięto się jeszcze o krok dalej i zaczęto rozróżniać trzy kategorye ludności: mówiących po niemiecku, mówiących po niemiecku i po polsku, i mówiących po polsku. Wedle tego sposobu liczenia, należało w prowincyi poznańskiej w r. 1846 do kategoryi pierwszej: 396,731, do drugiej 258,587, do trzeciej 678,395; w roku 1852: do pierwszej 405,872, do drugiej 294,190, do trzeciej 670,294. Pozostawała jednak zawsze kwestya: do jakiej narodowości zaliczyć osoby drugiej kategoryi, władające obu językami.

Klebs, z pewnością niesprzyjający nam, był zdania, że z 294,190 osób zaliczonych w roku 1852 do kategoryi tej, około $^1/_5$-tą część tylko można uważać za Niemców, a tem samem dochodził znów do podobnego rezultatu, jak poprzednio już Schubert i Hoffmann, opierający się na datach konfesyjnych, tj. że Niemcy stanowią trochę więcej jak jednę trzecią część ludności prowincyi poznańskiej. Do takiego też rezultatu doszedł w swej „Statystyce państwa pruskiego“ Dieterici. Gdy jednak w końcu, ze względów łatwo zrozumiałych, zrobiono krok potępiony stanowczo przez prof. Neumanna, i znowu wrócono do podziału na dwie kategorye tylko, tj. na Polaków i Niemców, otrzymano rezultat, wedle którego, nie jak dotąd przyjmowano, trochę więcej jak $^1/_3$, lecz daleko więcej bo ponad $^3/_7$ całej ludności Poznańskiego, stanowić mieli Niemcy! Ze statystyków niemieckich, Böckh, Engel, Brämer i Meitzen trzymają się też tego rezultatu. Lecz słusznie podnosi Bergmann, że przyjmując taki rezultat, przecenia się niezmiernie właściwą wartość spisów ludności, robionych wedle tego dwukategorycznego podziału. A przecież nikt bezstronny, zdaniem jego, nie może zapoznawać, jak dowolnie musiały postępować n i e m i e c k i e władze administracyjne w Po-

znańskiem, mając zaliczyć ogromną liczbę tych, których poprzednio wykazywano jako używających obu języków, koniecznie do jednej lub drugiej narodowości. To też sami urzędnicy pruscy powątpiewają o wartości dat, zbieranych w ten sposób, a Beheim-Schwarzbach powołuje się na wywody posła Niegolewskiego w pruskiej izbie deputowanych, wykazujące, że tak on jak i jego stronnicy parlamentarni w spisach tych figurowali jako — Niemcy.

I autor więc sądzi, że należy raczej uznać za słuszne dawne obliczenia Hoffmanna, Roona, Schuberta, Klebsa i Detericiego i przyjąć, że tylko 35 do 37% ludności Poznańskiego należy do narodowości niemieckiej. Ponieważ jednak taki sam prawie procent należy do wyznania ewangielickiego, a procent ludności, przypadający wedle tych obliczeń na narodowość polską, zgadza się niemal zupełnie z procentem ludności należącej do wyznania katolickiego, ponieważ prawie równa ilość Polaków należy do wyznania ewangielickiego, jak i ilość Niemców należy do wyznania katolickiego, przeto można słusznie obliczyć stosunek narodowości, według stosunku wyznań. Pod koniec drugiego rozdziału, podaje autor kilka dat statystycznych, charakteryzujących pod względem gospodarczym i społecznym wszystkie trzy narodowości. Ludność niemiecka — wedle dat tych — jest najliczniejszą w okręgach, gdzie przeważa mniejsza posiadłość; ludność polska w okręgach, gdzie przeważają dobra większe, tak iż można stąd słusznie wyciągać wniosek, że u Niemców napotyka się więcej posiadaczy ziemi, między Polakami zaś, oczywiście w klasach niższych, więcej robotników. Autor przedstawia następnie właściwości robotnika, który wedle niego obok wielu dobrych stron, posiada też wielkie wady. Pod surowym nadzorem lub powodowodowany interesem, nie ustępuje on niemieckiemu robotnikowi pod względem działalności a „przewyższa go co do zręczności". Natomiast wadą jego: lekkomyślność, brak troski o przyszłość, niewytrwałość, lenistwo i... pijaństwo. Pod tym ostatnim jednak względem znacznie się polepszyły stosunki ludności polskiej w Poznańskiem, a należy to przypisać po największej części usiłowaniom katolickiego duchowieństwa.

Z tem wszystkiem obraz moralności i stanu oświaty ludności

polskiej wygląda dość czarno, daty kryminalno-statystyczne wykazują, że ludność polska ma mieć większy „pociąg do występków“ jak niemiecka!“

W końcu maluje autor stosunki społeczne i obyczajowe ludności żydowskiej, podnosząc wyłączne kupienie się jej po małych miastach i wynikającą stąd nędzę jej.

Skreśliwszy obraz stosunków gospodarczych i społecznych w Poznańskiem, przystępuje autor do przedstawienia ruchu ludności.

Wedle dat podanych w rozdziale III. ludność prowincyi poznańskiej wynosząca w r. 1825: 1,031.925 dusz, wynosiła w r. 1849: 1,333.713, w roku zaś 1871 doszła do 1,569.958 głów! Wzrosła więc o 52·14% ! Jest to wzrost, który w porównaniu ze wzrostem ludności w innych krajach, np. w Niemczech południowych, wydaje się niezmiernym, który jednak jest mniejszym niż w wielu innych prowincyach państwa pruskiego.

W szczególności wzrosła w okresie od r. 1825—1871, liczba katolików, czyli jak przyjąć można ludność polska, w całej prowincyi poznańskiej z 677.083 na 1.000,461 głów, czyli o 47·76%. Liczba ewangelików czyli ludność niemiecka wzrosła w tymże okresie w całej prowincyi z 289.711 na 508.060 głów, czyli o 75·36%. Liczba żydów wreszcie spadła w tymże samym okresie, biorąc pod uwagę całą prowincyę z 65,131 na 61,437, czyli o 5·67%.

Skutkiem tego ruchu ludności zmienił się stosunek liczbowy narodowości w Poznańskiem w ten sposób, że gdy w r. 1825 żydzi wynosili jeszcze 6·31% całej ludności prowincyi, w r. 1871 wynosili już tylko 3·91% ; że katolicy czyli Polacy, którzy w r. 1825 stanowili 65·61% ludności, tworzyli w r. 1871 już tylko 63·72% tejże. Za to ewangelicy czyli Niemcy wzrośli do tego stopnia, że tworząc w r. 1825 tylko 28·07% ludności, wynosili już w 1876 r. 32·36% tejże. Co za przyczyny tego ruchu ludności? Na to odpowiada autor w rozdziale IV.

Omawia on tu emigracyę i immigracyę ludności polskiej, niemieckiej i żydowskiej w prowincyi poznańskiej. W ciągu lat 1834—1871 emigrowało jak immigrowało 34.580 osób więcej.

Najsilniejszą była emigracya u żydów, których ubyło w ciągu tego czasu 47.000. Liczba ta jest niesłychanie wysoką, gdy zważymy, że u znacznie liczniejszej, jak widzieliśmy, ludności polskiej, ubyło przez emigracyę tylko 18,790 dusz. U ludności niemieckiej zaś immigracya przewyższyła tak emigracyę, że w okresie 1824—1871, nietylko nie ubyło Niemców w Poznańskiem, lecz przybyło ich tam 30.856.

Rozdział V-ty poświęcony jest statystyce małżeństw w prowincyi poznańskiej w okresie 1824—1873. Zawiera się rocznie w przecięciu 12.479 małżeństw, czyli na każde 10.000 ludności 96 małżeństw. Jest to cyfra bardzo wysoka, gdy się zważy np., że w okresie 1865—1875, Austrya wykazywała tylko 85 małżeństw, na każde 10.000 ludności, Francya 80, Irlandya 51, i t. d. Autor uważa skłonność do małżeństw, jako właściwość rasy słowiańskiej, nieogiędnej i nietroszczącej się o przyszłość, podczas gdy oględniejsi w tej mierze Niemcy i Żydzi, mniejszą wykazują liczbę małżeństw. Nam się jednak zdaje, że właściwą tego objawu przyczyną jest to, że w ogóle ludy słowiańskie nie są jeszcze przepsute cywilizacyą zachodnią, moralność ich jest wyższa.

Stosunek dzieci w prowincyi poznańskiej, w okresie, o którym mowa, tak się przedstawia: na 100 małżeństw wypadało w przecięciu u żydów 476 dzieci, u ludności polskiej 447 dzieci, u niemieckiej 423 dzieci. Autor rozbiera możliwe przyczyny tego objawu; a główną przypisuje wczesnemu wiekowi osób zawierających małżeństwo.

W rozdziale VI. podaje autor cyfry urodzeń w prowincyi poznańskiej, w okresie od r. 1824—1873. Zaznacza z góry przedewszystkiem, że prowincya ta cieszy się rzeczywiście niezwykle wysoką liczbą urodzeń. Podczas gdy bowiem w całem państwie pruskiem w okresie tym, na każde 10.000 ludności, rodziło się rocznie tylko 401 dzieci, to w Poznańskiem rodziło się ich 441. Na pojedyńcze narodowości zaś przypadało w okresie tym w przecięciu rocznie na każde 10.000 ludności: u Polaków 460, u Ewangelików 419, u Żydów 353 urodzeń. Przyczyny tego nie należy szukać w jakichś właściwościach fizyologicznych rasowych, lecz raczej z jednej strony we wcześniejszem i liczniejszem zawieraniu małżeństw u ludności polskiej w Poznańskiem, z drugiej zaś strony

czynnikom natury gospodarczej i społecznej, jak: mniejszemu zaludnieniu krajów słowiańskich w epoce korzystnym wpływom cywilizacyi naszego wieku, mianowicie usamowolnieniu włościan, wolność przenoszenia się z miejsca na miejsce i zawierania małżeństw i t. d., a my znowu dodamy, większej moralności tych ludów.

Przewaga chłopców nad dziewczętami, była w Poznańskiem stosunkowo małą: na każde bowiem 100 nowonarodzonych dziewcząt, w okresie 1819—1873 przypadało tam 105.52 chłopców, gdy według Wappaüsa w Europie środkowej przypada na 100 dziewcząt 106.31 chłopców.

Największa liczba dzieci nieprawych w Poznańskiem, przypada na ludność ewangelicką czyli niemiecką. W okresie 1819—1873, 5·97% wszystkich nowonarodzonych było u ewangelików nieprawego pochodzenia, gdy u ludności katolickiej, czyli polskiej tylko 5·80%, a u żydowskiej 2·08%. Stosunek ten tłumaczy autor również nie stanem lepszym lub gorszym moralności u jednej narodowości jak u drugiej, lecz przyczynami społecznemi i ekonomicznemi, tem mianowicie, że Niemcy zawierają mniej małżeństw i w późniejszym wieki i że stanowią przeważnie ludność miejską, wśród której zwykle jest więcej nieprawych dzieci.

W rozdziale VII i ostatnim jest mowa o śmiertelności i t. z. naturalnym wzroście ludności. Śmiertelność w Poznańskiem jest podobnie, jak i liczba urodzeń, niezwykle wysoką. Gdy w całem państwie pruskiem w okresie 1824—1873 na każde 10.000 ludności, umierało rocznie w przecięciu, tylko 296 osób, to w Poznańskiem umierało aż 340 (!) Stąd też, mimo niezwykle wielkiej liczby urodzeń w prowincyi tej, jest w niej naturalny przyrost ludności, który powstaje z potrącenia od liczby urodzeń liczby wypadków śmierci, znacznie mniejszy niż w innych prowincyach pruskich.

W okresie tym od roku 1824—1873 wynosiła w prowincyi poznańskiej u Polaków, przeciętna, roczna, przypadająca na każde 10.000 głów cyfra urodzonych: 460, umarłych 303, naturalny przyrost zatem 97. U Ewangelików było zaś w czasie tym na każde 10.000 głów, w przecięciu rocznie: 419 urodzeń, 314 wypadków śmierci, skąd przyrost naturalny 105. U żydów wreszcie było urodzeń 353, wypadków śmierci 222, zatem przyrost naturalny wynosił 131.

Śmiertelność dzieci traktuje autor w rozdziale VII bardzo szczegółowo, omawiając najpierw w ogóle śmiertelność do 5 roku życia, następnie zaś przedstawiając: statystykę dzieci nieżywo urodzonych, śmiertelność niemowląt w pierwszym roku życia i śmiertelność dzieci od pierwszego do piątego roku życia.

Najniekorzystniej przedstawia się pod względem śmiertelność dzieci niżej lat 5 ludność polska. W peryodzie bowiem od r. 1819—1863, stanowiły u niej dzieci zmarłe w wieku niżej 5 lat 37·96% ogólnej liczby zmarłych dzieci, u Niemców zaś tylko 37·01%, u żydów 28·69.

Śmiertelność niemowląt w pierwszym roku życia, nie jest w Poznańskiem ani zbyt wysoką ani zbyt niską. W okresie 1819—1870, umierało na każde 100 nowonarodzonych dzieci, w pierwszym roku (z doliczeniem nieżywo urodzonych), wogóle 22·91%, w szczególności zaś: u ludności niemieckiej 24·13%, u ludności polskiej 22·87%, u żydowskiej 16·53%. Przyczyn tej największej śmiertelności dzieci u Niemców nie podaje autor.

Na końcu rozdziału VII, streszcza autor rezultaty, któreśmy wyżej omawiali, konstatując, że różnice, jakie pod względem ruchu ludności a mianowicie pod względem naturalnego przyrostu, wieku zawierania małżeństw, płodności tychże, płci nowonarodzonych, liczby dzieci nieprawych, zachodziły między ludnością chrześcijańską z jednej strony a żydowską z drugiej, znacznie się złagodziły, i sądzi, że można stąd spodziewać się kiedyś zbliżenia większego obu ras i usunięcia różnic społecznych jakie je dziś dzielą (?). Na tem kończą się wywody autora.

Następuje jeszcze kilka tablic statystycznych, przypiski, do których autor w ciągu tekstu odsyłał, wreszcie w „dodatku“ podane są obliczenia Neumanna ile obszaru ziemi w Poznańskiem znajduje się w rękach polskich, ile zaś w niemieckich, zaczerpnięte z artykułu tegoż, p. t.: „Germanisirung oder Polonisirung“, zamieszczonego w roku zeszłym u Hildebranda i Conrada „Jahrbücher für Nationalökonomie und Statistik“ (rok 1883, tom II. str. 457 i n.).

Dzieło któreśmy wyżej streścili, pisane jest, o ile idzie o własne autora twierdzenia i poglądy a nie o przytaczane z innych pisarzy zdania, dosyć przedmiotowo. Zarzucićby można au-

torowi rzeczywiście, jak to zrobił recenzent w *Literarisches Centralblatt,* że ma sposób przedstawienia rzeczy gubiący się się w szczegółach i utrudniający pogląd na całość dzieła. Również nie była szczęśliwą myśl zamieszczenia wszystkich przypisków aż na samym końcu dzieła. Utrudnia to ogromnie czytanie. Pominąwszy jednak te usterki formalne przyznać trzeba, że dzieło ma rzeczywistą wartość naukową i stanowi cenny przyczynek do dziejów rozwoju ludności w prowincyi poznańskiej.

Inną jest kwestyą, czy mamy powód, jak to twierdziły dzienniki nasze wnet po pojawieniu się tej książki (por. n. p. „Dziennik Polski“ z 21 lutego 1884 nr. 43, artykuł p. t. „Prawda cyfr statystycznych“ i przytoczone tam ustępy z „Dziennika Poznańskiego“) — cieszyć się z zawartych w niem dat statystycznych, i czy daty te rzeczywiście wykazują, przybytek ludności polskiej w Poznańskiem od r. 1871.

W kwestyi tej, sprostować musimy przedewszystkiem panujące u nas — z winy właśnie naszych dzienników, pewne nieporozumienie.

Książka Bergmanna, którąśmy wyżej omawiali, nie podaje żadnych dat, któreby wykazywały przyrost ludności polskiej w czasach ostatnich, a mianowicie od r. 1871, gdyż omawia ona tylko ruch ludności polskiej w Poznańskiem od roku 1819—1873, Na stronie tylko 234, dając pogląd na daty co do wychodźctwa, konstatuje Bergmann, że od r. 1868 wzmogło się znacznie wychodźctwo u ludności ewangelickiej, tj. niemieckiej, skutkiem czego opadł też procent ludności tej i dodaje nawiasowo, że opadnięcie to wystąpiło jeszcze więcej w r. 1880, nie wdając się w kwestyę, czy opadnięcie to nastąpiło jedynie w skutek wychodźctwa większego. W przypisku zaś 454 przytacza za Neumannem „Germanisirung oder Polonisirung“, daty, wedle których ludność katolicka w Poznańskiem od r. 1871 wzrosła. Tak mianowicie wynosił — wedle dat tych — w rejencyi bydgowskiej w r. 1863: procent ludności katolickiej 54·5, ewangelickiej 40·9; w r. 1871: procent ludności katolickiej 55·4, ewangelickiej 40·8; w roku zaś 1880: procent ludności katolickiej 56, ewangelickiej 40·7. W rejencyi poznańskiej wynosił w r. 1863: procent ludności katolickiej 67·2, ewangelickiej 27·9, w r. 1871: procent lu-

dności katolickiej 68·4, ewangelickiej 27.6; wreszcie w r. 1880: procent ludności katolickiej 70·5, ewangelickiej 26·1.

Daty te wykazują rzeczywiście przybytek dość znaczny ludności polskiej, a raczej katolickiej, w Poznańskiem w ostatnich czasach, nie są one jednak wcale zawarte w książce Bergmanna, którą omawiamy, tylko w y j ę t e z przytoczonego wyżej artykułu Neumanna; same bowiem dzieło Bergmanna nie zawiera wcale dat dla nas pocieszających. Lecz w każdym razie korzystny ten dla nas zwrot, równoważy niestety smutny fakt ciągłego przechodzenia ziemi naszej w Poznańskiem w ręce niemieckie.

I tu trzeba znowu sprostować, że daty przedstawiające niekorzystne dla nas stosunki posiadłości ziemskiej w Poznańskiem, nie są, jak dzienniki nasze podały, zawarte w książce Bergmanna, lecz jedynie w artykule Neumanna wyżej już wspominanym, z którego je Bergmann zaczerpnął i w „dodatku“ zamieścił.

Wedle dat tych, zmniejsza się ustawicznie obszar ziemi, będącej w rękach polskich. Z dóbr ziemskich „samoistnych“ w Poznańskiem, było pod koniec r. 1880: 42·4% w rękach polskich, 57·6% w rękach niemieckich; z końcem zaś r. 1882 już tylko 40·9% w rękach polskich, 59·1% w rękach niemieckich. Tak więc z końcem r. 1882 było już $^3/_5$ większych dóbr w Poznańskiem w rękach niemieckich. Z obszaru ziemskiego zaś w ogóle, bez rozróżniania dóbr większych lub mniejszych, miało być z końcem roku 1880 w rejencyi poznańskiej: 56·2% w rękach polskich, 43·8% w rękach niemieckich, w rejencyi bydgowskiej 40·6% w rękach polskich, 59·4% w rękach niemieckich, tak, że z końcem r. 1880 posiadłość niemiecka i polska w prowincyi całej, prawie się równoważyły. Gdy zaś wedle doniesień dzienników politycznych, przejść miało w latach 1881 i 1882, z rąk polskich w niemieckie 25000 hektarów ziemi, przeto z końcem r. 1882, zachodziłaby już i co do posiadłości ziemskiej w ogóle, t. j. tak większej jak i mniejszej, przewyżka po stronie niemieckiej. Niestety ta ekspropriacya Polaków w Poznańskiem nie zmniejszyła się w 1883 i 1884 roku. Lecz sami Neumann i Bergmann przyznają, że obrachowaniom ostatnim, odnoszącym się do posiadłości ziemskiej w ogóle, mniej można dawać wiarę jak pierwszym, tyczącym się tylko większych posiadłości. My zaś zauwa-

żymy, że i pierwsze nie są niewątpliwemi.... Opierają się one bowiem na Ellerholza podręczniku posiadłości ziemskich w Poznańskiem z r. 1881 w ten sposób, że wedle nazwiska właściciela posiadłości, uważano ją za polską lub niemiecką, a tylko w razie wątpliwości zasięgano wyjaśnień bezpośrednich. Że przy takiem postępowaniu autor obliczeń tych (Neumann) — jak widać z jego wywodów niezbyt dla nas przychylnie usposobiony — wszystkich właścicieli ziemskich Polaków o nazwisku cudzoziemskiego, a zwłaszcza niemieckiego brzmienia, jakich u nas nie braknie, traktował jako Niemców, jest bardzo prawdopodobnem. Sam przecież przyznaje, że mimo wszystkich żądanych wyjaśnień i zapytywań, czy ktoś jest Polakiem lub Niemcem, na które nieraz wprost sprzeczne nadchodziły odpowiedzi, mogły się wkraść do jego obliczeń „grubsze błędy".

Z tem wszystkiem, smutny dla nas fakt, że posiadłość ziemska w Poznańskiem wciąż się z rąk nam wymyka i jeżeli nie w tej chwili to już w niedalekiej przyszłości, zajdzie co do niej przewaga po stronie niemieckiej, — pozostaje niezmieniony. Czy zaś, jak twierdzi Neumann, dla stosunku narodowościowego przewaga ta własności ziemskiej po stronie niemieckiej, jest małego znaczenia i nie pociąga za sobą większego krzewienia się żywiołu niemieckiego, ze względu jakoby Niemcy będący właścicielami dóbr większych, w dobrach owych nie przebywali a przy gospodarstwie zatrudniali robotników polskich, należy, co najmniej wątpić.

W końcu zauważymy, że — jak to Naumann w artykule swym wyżej wspominanym podaje — rząd pruski zbiera ostatnimi czasy daty statystyczne, mające rozświecić tę dosyć niejasną dziś kwestyę, po czyjej właściwie stronie, polskiej czy niemieckiej, zachodzi w Poznańskiem przewaga we własności ziemskiej. Daty te będą prawdopodobnie ogłoszone i jakkolwiek może nie będą całkiem przedmiotowe... zawsze przyczynią się do wyjaśnienia stanu tej sprawy.

Dr. Wł. Pilat.

Pamiętnik Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Królestwie Polskiem. Warszawa r. 1884, wydany staraniem naczelnych władz Tow. kred. ziemsk.

Książka pod powyższym tytułem wydana oznajamia nas z powstaniem, rozwojem i obecnym stanem instytucyi kredytowej, która oparta na silnej podstawie zjednoczenia i zorganizowania sił ekonomicznych kraju, w ciągu swego prawie 60-letniego istnienia, była podporą i dźwignią stanu rolniczego w Królestwie polskiem, a ziemian tamtejszych w najkrytyczniejszych okolicznościach od zupełnej ruiny ratowała.

Rozbiór kraju, rządy pruskie i austryackie, a wreście wojny napoleońskie tak wyniszczyły prowincye, z których królestwo kongresowe utworzone zostało, że podług obliczeń w latach od 1820 do 1824 czynionych, dobra ziemskie w granicach Królestwa leżące, były obciążone długami hipotecznymi, aż do 66% ich nominalnej wartości wynoszącymi. Gdy zaś długi osobiste i wekslowe wyczerpywały prawie zupełnie pozostałą część — śmiało można twierdzić, że w pierwszym dziesiątku lat po kongresie wiedeńskim ogromna większość obywateli ziemskich królestwa polskiego zagrożoną była wywłaszczeniem. Ten smutny stan własności rolnej był pobudką utworzenia „Towarzystwa kredytowego ziemskiego“, którego pierwszy projekt ułożył w r. 1820 ówczesny minister skarbu ks. Lubecki, a pomysł ten, opracowany szczegółowo przez radcę stanu Kalinowskiego, został w 1825 r. przez Sejm uchwalony i otrzymał 13 czerwca tegoż roku monarsze potwierdzenie.

Prawo powyższe, rozumnie i opatrznie obmyślane, uczyniło członkiem Towarzystwa każdego właściciela ziemskiego, zaciągającego pożyczkę hipoteczną w temże Towarzystwie, oddając tem samem zarząd i kierunek instytucyi w ręce ludzi najbardziej interesowanych w jej pomyślnym i nieprzerwanym rozwoju. Stowarzyszeni dłużnicy wybierają z pomiędzy siebie wszystkie władze Towarzystwa, a mianowicie: Dyrekcye szczegółowe, urzędujące po miastach wojewódzkich, dziś gubernialnych, tudzież Dyrekcyę główną i komitet Towarzystwa, zasiadające w Warszawie. Jedynie prezesa Dyrekcyi głównej może mianować Panujący.

Pożyczki udzielają się w listach zastawnych, zabezpieczonych ogólną wartością dóbr zastawionych w Towarzystwie, przynoszących procent i umarzanych w przeciągu pewnego zakreślonego czasu. Towarzystwo staje się w ten sposób jednocześnie dłużnikiem w stosunku do posiadaczy listów zastawnych i wierzycielem względem stowarzyszonych, a różnica pomiędzy pobieranym a opłaconym procentem stanowi jego czysty zysk czyli dochód. Listy zastawne Towarzystwa znajdowały zawsze chętnych nabywców i są do dziś dnia poszukiwane na targach pieniężnych krajowych i zagranicznych, jako wygodna i pewna lokacya kapitału. Ta ufność do Towarzystwa ma swoje źródło z jednej strony w jego znakomitej organizacyi, z drugiej w jawności i otwartości, jaką otaczało zawsze swoją działalność, poddając ją śmiało i sumiennie jak najszerszej krytyce i kontroli. Nowym tego dowodem jest właśnie wymieniony „Pamiętnik“, który pozwala każdemu rozejrzeć się najdokładniej w przeszłości instytucyi, jej kierunku i obecnem jej położeniu.

Książka powyższa powstała, jak nas uczy przedmowa, z inicyatywy władz Towarzystwa, a złożyły się na nią pióra radców Dyrekcyi głównej i komitetu, tudzież niektórych stałych urzędników. Wobec tego niepodobna żądać od „Pamiętnika“ jednolitości, a podział na tytuły, wymagający pewnej ciągłości dzieła, jest może mniej właściwym, gdy każdy prawie rozdział od innego pochodzi autora. Układ książki pozostawia także nieco do życzenia; niewiadomo bowiem jakiego systematu trzymali się redaktorowie „Pamiętnika“ przy szeregowaniu jego pojedynczych części, a przytem wolelibyśmy widzieć na wstępie treściwie skreślone dzieje Towarzystwa i wiadomości o jego organizacyi. Są to jednak drobne usterki, tem nieznaczniejsze, że zapewne nie przez wszystkich za takie mogą być poczytane.

A więc część I-sza obejmuje rozwój finansowy i instytucye od r. 1825 do 1883 i dzieli się na VII tytułów, z których każdy zawiera po kilka rozdziałów. Towarzystwo było pierwotnie założone na lat 28, w listach jednak 1838, 1853 i 1860, przedłużano jego istnienie, które ostatecznie zostało utrwalone na mocy prawa z 1869 r. W pierwszym okresie tego czasu od r. 1825 do 1836, ilość pożyczek zahypotekowanych na 3.875 dobrach prywatnych

i 268 narodowych, później rządowych, wynosiła 38,514,870 rubli. W roku 1879 suma ta doszła do poważnej cyfry 88,351.015 rubli, była oparta na 6.360 dobrach prywatnych i obejmowała zaledwie 25% ich szacunku hypotecznego. Najniższa pożyczka wynosi 100 rs., najwyższa w jednym wypadku doszła do 226.000.

Tytuł II zajmuje się wyłącznie listami zastawniczymi, ich rodzajami, sposobem wyrobu, manipulacyą przy puszczaniu ich w obieg, kursem, ubezpieczeniem listów i ich kuponami. Dział ten jest opracowany z drobiazgową dokładnością. Z wielu ciekawych szczegółów przytaczamy tylko, że Towarzystwo, od czasu swego założenia aż do roku 1883, puściło w obieg 736.860 sztuk listów zastawnych łącznej wartości 258,189.750 rubli. Z tej sumy wypłacono zapomocą losowania 211,545.678, tak, że obecnie dług Towarzystwa wynosi zaledwie 46 milionów.

Pożyczka Towarzystwa może być spłacona dochodami z dóbr, amortyzuje się bowiem stopniowo półrocznemi ratami, a o poborze tych należności od stowarzyszonych mówi tytuł III Pamiętnika. Tu przekonać się można, jak ściśle Towarzysto kwedytowe jest związane z losami kraju; w latach bowiem: 1831, 1848 i 1863, to jest w czasie najcięższych wstrząśnień politycznych, rośnie liczba zalegających z wypłatą rat zapadłych w sposób niezwykły. Zwłaszcza od roku 1863 do 1872 na 100 należności wypada zaledwie 26 wpływów. Od tego czasu stosunek ten poprawił się znacznie. Wierzytelności Towarzystwa mają egzekucyę uprzywilejowaną, pomimo to liczba dóbr sprzedanych za zaległości nie jest bynajmniej wielka i wynosi w czasie od 1826 do 1860, przez lat 35, 300 majątków, od 1860 do 1869 186 majątków, a od 1870 do 1882 roku 621. Czyli ogółem zlicytowało Towarzystwo przez lat 60 dóbr stowarzyszyszonych 1.107. Oprócz tego ściągnęło Towarzystwo, tytułem kar za zwłokę w płaceniu należności, w tym samym przeciągu czasu 4,536.956 rubli.

Z następnych tytułów zajmującym jest tytuł VI, mówiący o własności Towarzystwa. Własność ta powstała z nadwyżki powstałej po opędzeniu kosztów administracyi, na które był przeznaczony procent, płacony przez stowarzyszonych dłużników, tudzież kary za zaległości. Oszczędność ta wyniosła już w roku 1838 poważną sumę 608.605 rubli, a która w roku 1853 wzrosła

już do 2,934.855 rubli, licząc w to wartość domów do Towarzystwa należących, a na pomieszczenie jego władz przeznaczonych. Na mocy prawa w tym ostatnim roku wydanego, dzielono odtąd kapitał własnością Towarzystwa będący: na fundusz rezerwowy, na fundusz tak zwany użyteczności ogólnej i na udział stowarzyszonych. Ta ostatnia kwota, która za okres pierwszy od 1825 do 1853 roku wyniosła 217.238 rubli, służyła na pokrycie dwóch rat zaległych i na nadpłatę po 65 kop. za każde 100 rubli umarzającej się pożyczki, która to nadpłata stowarzyszonym zwróconą została.

Przy zamknięciu rachunków Towarzystwa w 1860 roku, własność jego w gotowiźnie i w papierach publicznych wynosiła z górą 3 miljony. Z tej sumy wydzielono przedewszystkiem na kapitał rezerwowy: 1,655.000 rubli i na fundusz użyteczności ogólnej: 1,269.400 rubli. Fundusz użyteczności publicznej był, jak to widzieliśmy, niezaprzeczoną własnością Towarzystwa kredytowego, które miało wszelkie prawo rozrządzenia nim podług swej woli, choćby nawet na korzyść stowarzyszonych. Pomimo to władze Towarzystwa postanowiły całą tę sumę spożytkować na cele publiczne i przedstawiły rządowi projekt utworzenia przedewszystkiem kredytowych prowincyonalnych instytucyj dla poparcia miejscowego przemysłu, tudzież zaproponowały budowę dróg bitych drugiego rzędu, tak potrzebnych w Królestwie polskiem. W odpowiedzi na ten projekt oświadczył komitet do spraw Królestwa polskiego, nie motywując swego poglądu, jak się wyraża „Pamiętnik“, że kapitał użyteczności publicznej powinien się znajdować w zupełnem rozporządzeniu rządu, w skutek czego cały ten fundusz został w 1866 roku zabrany do kas rządowych. Fundusz, który obecnie z górą 3 miljony wynosi, ma być podobno użyty na wyposażenie banku włościańskiego, od niedawna założonego w Rosyi, który ma i w królestwie swoją zbawienną działalność rozszerzać ...

Kapitał rezerwowy Towarzystwa rośnie nieustannie i wynosi obecnie w gotowiźnie i w papierach procentowych 5,588.374, która to suma jest wyłącznie przeznaczoną na zabezpieczenie terminowej wypłatności wszelkich należności, czyli przedewszystkiem wypłatności listów zastawnych i kuponów. Suma ta jest tak zna-

czną, że na każde 100 rubli obowiązkowych wypłat Towarzystwa, przypada 142 rubli z funduszu rezerwowego. Stan więc obecny instytucyi można nazwać nietylko świetnym, ale los jej jest zabezpieczony na długie lata przeciwko wszelkim możliwym burzom politycznym.

Druga część „Pamiętnika“ zapoznaje nas z projektami przygotowanymi przez władze Towarzystwa, z których wymienimy: projekt pożyczek na małą własność, projekt udzielania pożyczek na nieruchomości miejskie Królestwa, tudzież projekt pożyczek melioracyjnych gruntowych, — a wszystkie opracowane dokładnie, szczegółowo i ze znajomością rzeczy. Zamyka „Pamiętnik“ spis osób urzędujących w Towarzystwie, w pierwszem półroczu 1884 r., spis delegatów taksowych, tudzież spis osób należących do komitetu właścicieli listów zastawnych.

Książka, której treść zaledwie w krótkości przebiedz zdołaliśmy, zawiera nieocenione wiadomości odnoszące się do ekonomicznego rozwoju własności ziemskiej w Królestwie polskiem, a daje prawie wyczerpujący obraz ruchu kredytowego tej prowincyi w zakresie hypotek gruntowych, z ostatnich lat 60. Jest ona wybornem źródłem do wewnętrznych dziejów Królestwa, a poucza nas zarazem, że pomimo lekkomyślności i nieopatrzności, jaka ma cechować naszą polską szlachtę, — potrafi ona przy rozszerzonym kierunku i solidarnem połączeniu swoich sił, wytworzyć instytucyę tego znaczenia i finansowej potęgi, jaką jest obecnie Towarzystwo kredytowe ziemskie, będące przytem obecnie ostatnią pozostałością ziemiańskiego samorządu.

Towarzystwo wydając swój „Pamiętnik“, którego dalsze tomy mają się pojawiać w regularnych odstępach, złożyło dowód, że działalność jego nie obawia się światła dziennego, ani nawet najsurowszej krytyki. Autorom więc tego wydawnictwa należy się słuszna wdzięczność za pracę żmudną a niewdzięczną, bo dającą się zaledwie ocenić przez specyalistów. Ich „Pamiętnik“, jakkolwiek przeznaczony podług słów przedmowy „dla osób, czy to z wyborów, czy stale w Towarzystwie urzędujących“, znajdzie niewątpliwie szersze koło czytelników, także i po za obrębem instytucyi, jako dzieło poważne i sumienne, rzucające światło na dobrobyt krajowy, nareszcie jako pomnik i obraz uczciwej i skrzętnej pracy. *T. Stecki.*

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Z dzieł historycznych.

AKTA GRODZKIE I ZIEMSKIE z czasów Rzeczypospolitej Polskiej z archiwum tak zwanego bernardyńskiego we Lwowie w skutek fundacyi śp. Aleksandra hr. Stadnickiego, wydane staraniem *Wydziału krajowego*. Tom X. Lwów, 1884 str. VI. 542 w 4-ce.

Dzięki niestrudzonej pracy prof. Liskego, postępuje wydawnictwo źródeł z archiwum akt grodzkich i ziemskich szybkim krokiem[1], a każdy tom przysparza badaczom dziejów coraz bogatszego i ciekawszego materyału do przeszłości kraju naszego. Ponieważ X tom tych aktów, który niedawno opuścił prasę — wprowadza wydawnictwo na nowe tory, godzi się choć pobieżnie zapoznać czytelników „Przeglądu“ z treścią tomów poprzednich, wraz z zasadami, przyjętemi przez prof. Liskego w wydawaniu dokumentów.

Według aktu fundacyjnego, zredagowanego przez śp. Augusta Bielowskiego a uchwalonego w r. 1865 przez wydział krajowy, miały być z archiwum akt grodzkich i ziemskich wydawane po kolei najdawniejsze i najznakomitsze dokumenta, któreby bądź dzieje narodu, bądź życie jego wewnętrzne, obyczaje i zwyczaje rozjaśniały, a tem samem zajęcie czytającej publiczności obudzić mogły, i do jej wykształcenia się przyczyniły. Myśl zaiste piękna, ale jak trudną była do urzeczywistnienia, ten tylko pojąć może, kto choć przelotnie zmierzył okiem olbrzymi zapas ksiąg ustawionych w zimnych kurytarzach klasztoru bernardyńskiego. 6944 ksiąg, 1137 fascykułów liczy archiwum krajowe; czyż podobna w tym labiryncie wyszukiwać „po kolei najstarsze i najciekawsze“ akta? Istnieją wprawdzie indeksy, ale łatwiej się w nich zgubić, aniżeli żądanego znaleść aktu, gdyż liczba ich 6000 tomów wynosi. Jeśli nadto zważymy, że przystęp do archiwum, jako instytucyi rządowej był bardzo utrudnionym, że nawet odpisy aktów sporządzane być musiały przez pisarzy archiwalnych, nieznających dokładnie języka łacińskiego, niemających najmniejszego wyobrażenia o paleografii i dyplomatyce, nie możemy bardzo winić zasłużonego na innem polu wydawcę pierwszego tomu Aktów, że pracy tej nie dokonał według zasadniczych prawideł, obowiązujących każdego umiejętnego wydawcę. Dawni pisarze urzędu grodzkiego i ziemskiego nie zadawali sobie zbyt wiele pracy przy sporządzaniu oblat; dowodzą tego liczne pomyłki i opuszczenia, jakie w każdym prawie znachodzimy akcie. Rekonstrukcya pierwotnego tekstu

[1] Por. zeszyt styczniowy „Przeglądu powszechnego“

z tak błędnych i uszkodzonych odpisów, jest nawet dla bardzo wprawionego znawcy dokumentów rzeczą bardzo trudną a często nawet niemożliwą do wykonania; mniej doświadczonemu wydawcy nastręcza sposobność do domysłów często nieuzasadnionych. Z powodu tych błędów w oblatach, musiał wydawca pierwszego tomu odrzucać całe dokumenta, które dla ważności treści zasługiwały, aby były wydrukowane; inne zostały wydane, ale z sprostowaniami i przypiskami wątpliwej wartości. Dokumenta w ten sposób wydane nietylko nie dostarczają badaczowi w kwestyach spornych dowodów rozstrzygających, ale mnożą niepotrzebnie różne wątpliwości, które z uszczerbkiem czasu usuwać musi. Każdy historyk aż nadto się przekonał, że, ile pożytku przyspożył nauce wydany przez Helcla pierwszy tom kodeksu Rzyszczewskiego i Muczkowskiego, tyle szkody wyrządził jej Bartoszewicz z powodu nieumiejętnego wydania dalszych tomów. Dlatego też nie mógł pójść drogą wytkniętą przez pierwszego wydawcę — prof. Liskego, któremu wydział krajowy poruczył w r. 1869 wydawnictwo Aktów grodzkich i ziemskich. Wykształcony w paleografii i dyplomatyce u najznakomitszych mistrzów niemieckich, obeznany dokładnie z metodą najbardziej wzorowych wydawnictw źródeł zagranicznych, opierający się we własnych badaniach historycznych przeważnie na dokumentach, postanowił usunąć przeszkody krępujące dotychczas wydawcę i stworzyć publikacyę pomnikową, któraby nauce prawdziwe przysparzała korzyści. Uznanie, z jakiem krytyka witała każdy tom aktów wydanych przez prof. Liskego jest najlepszym dowodem, jak chlubnie wywiązał się z poruczonej mu pracy. Świetna myśl wydawania oryginałów w tych dokumentów, które do Aktów grodzkich i ziemskich zostały wpisane, pomyślnym uwieńczoną została skutkiem. Miasta i korporacye chętnie oddawały do użytku Wydawnictwa pergaminy, które butwiały niezbadane po strychach i piwnicach ratuszowych lub w zakamarkach kościelnych. W ten sposób mógł wydawca podać w każdym tomie materyał, ile możności jednolity, odnoszący się do jednej sprawy, miejscowości lub korporacyi, przez co ułatwionem zostało zrozumienie treści tych dokumentów, które same przez się, bez znajomości poprzednich aktów nie mogłyby być dokładnie zrozumiane. Każdy akt oddaje wydawca wiernie, nie pomija najdrobniejszych cech oryginału, ustala z największą ścisłością pisownię, uzasadniwszy we wstępie wszelkie zmiany, jakie pod tym względem poczynił, opisuje najdokładniej każdą pieczęć, określa położenie każdej miejscowości w dokumencie wymienionej. Krytycznemi uwagami a nieraz obszernemi rozprawami, nietylko wskazał wszelkie kwestye niejasne lub sporne, ale uprzątnął takowe i uwolnił przyszłego historyka od mozolnych poszukiwań. Liczne podobizny całych dokumentów lub pojedyńczych z tychże ustępów, mogą w razach wątpliwych bardzo wielkie oddać badaczom przysługi. Każdy tom opatrzony jest umiejętnie wykonanym indeksem osób i miejscowości. Osoby występują tu nietylko pod chrzestnem i familijnem imieniem, ale także pod nazwą miejscowości, do których urząd

ich należał. Nie zapomniał wydawca o badaczach języka i sfragistykach. Pierwsi znajdą w każdym tomie spis wyrazów niełacińskich, znajdujących się w dokumentach łacińskich, drudzy spis pieczęci, opisanych przy każdym akcie.

Nie potrzebujemy dodawać, że pod względem treści odnoszą się prawie wszystkie dokumenta w dziewięciu tomach wydane, do stosunków ziemi ruskiej. Znajdzie tu czytelnik akta, dotyczące spraw arcybiskupstwa lwowskiego (tom II), biskupstwa łacińskiego i wschodniego w Przemyślu (VII. VIII), do zakonu Dominikanów lwowskich (II); wszystkie dokumenta (z XIV i XV w.) z archiwum miasta Lwowa (III—VI. IX), Krosna, Dobczyc, Sanoka, Halicza (III) Przemyśla V. VI) Tarnowa (V) NowegoSącza (IX), oraz bardzo cenny zbiór dokumentów, odnoszących się do spraw multańsko-mołdawskich (VII). Dość przeglądnąć najpoważniejsze publikacye z zakresu średniowiecznej epoki dziejów nanaszych aby się przekonać, jakie usługi wyświadczyło już nauce Wydawnictwo Aktów grodzkich i ziemskich, ile kwestyj spornych rozstrzygnęło na podstawie tych dokumentów, ile nieznanych i ważnych szczegółów z ukrycia wydobyło. Korzyści te, temu głównie zawdzięczyć należy, że prof. Liske nie poszedł za przykładem wydawcy pierwszego tomu, który wydrukował w nim bez wyboru dokumenta z całego okresu życia politycznego Polski, ale ograniczając się tylko do epoki dyplomatycznej, nagromadził w dziewięciu tomach olbrzymi zasób dokumentów[1], pozwalający historykowi głębiej sięgnąć w ustrój społeczny i polityczny ziemi ruskiej, od najpierwszej chwili połączenia się jej z Polską, aż do początku 16 wieku.

W tomie X nie mieszczą się już akta w dosłownem brzmieniu, ale w najwięźlejszej formie podał prof. Liske treść 7500 dokumentów, oblatowanych w 1272 tomach aktów grodzkich i ziemskich lwowskich, które w całości wydane zajęłyby kilkadziesiąt tomów. Z powodu zwiększenia się ruchu naukowego na polu badań historycznych, a nawet (z przyjemnością stwierdzić należy), zainteresowania się szerszej publiczności przeszłością kraju naszego, potrzeba było stworzyć przewodnik, któryby uchronił badacza lub miłośnika przeszłości od błąkania się w tym labiryncie ksiąg i indeksów. Gdy prof. Liske w ten sam sposób zapozna świat naukowy z treścią wszystkich innych ziem i grodów, gdy i zapiski sądowe (których wydanie w następnym ma się rozpocząć tomie), z taką starannością zostaną wydane — wtedy nietylko dla siebie stworzy podstawę do nowych wydawnictw, ale dokona tego, że każdy badacz spieszyć będzie do archiwum z gotowym programem pracy i nie ulęknie się już tych foliantów, naigrawających się dotychczas z ciekawości ludzkiej Dantejskiemi słowy: „lasciate ogni speranza voi ch' intrate". Zapewne nie marzył o tem świętej pamięci fundator, gdy sporządzał legat, że się znajdzie sposób do wydobycia na jaw skarbów w niewyczerpanej tej kopalni ukrytych.

[1] Pierwszy z r 1065 jest falzyfikatem.

Zrozumie, kto choć pobieżnie poznał księgi archiwalne, że nie łatwą to było rzeczą przeglądnąć tysiące tomów, przeczytać te setki dokumentów w każdym tomie oblatowanych, ująć w kilku słowach dokładną treść tychże, sprawdzać i poprawiać daty — a co gorsza, szukać początku lub końca dokumentów, przez nieuwagę introligatora w różnych tomach rozrzuconych.

Najstarszy dokument w X-tym tomie zregestowany pochodzi z roku 1251[1], ostatni zaś z 26 października 1783. Z epoki dyplomatycznej, tj. do r. 1506, podaje ten tom 206 numerów, które w całości wydrukowane objęłyby dwa tomy. Pod względem treści nie trudno dostrzedz różnicy między aktami przed i po r. 1572 oblatowanymi. Pierwsze odnoszą się prawie wyłącznie do spraw prawno-prywatnych, od śmierci zaś Zygmunta Augusta wciągano do aktów także dokumenta ogólniejszej treści. Pierwszy dział podaje nieoszacowane materyały do historyi stosunków wewnętrznych naszej dzielnicy, drugi przysparza badaczowi dziejów całej Polski bardzo bogaty zasób źródeł. Obok niezliczonej ilości dokumentów, mogących rozświecić stosunki włościańskie, handlowe, przemysłowe i t. d., oraz historyę pojedyńczych rodzin, zasługują na uwagę akta, odnoszące się do zakładania miast i wsi na Rusi (nr. 25, 28, 32, 59, 142, 193, 374, 832, 860, 1129, 1173, 1493, 1525, 1549, 2265), wyświecające stosunki prawne ludności rządzącej się prawem magdeburgskiem (nr. 15, 25, 28. 38, 41, 119, 126, 128, 138, 141, 206, 286, 358, 816), ruskiem (ur. 44, 329, 365, 610, 645, 1054), lub ormiańskiem (nr. 44. 125, 226, 272, 275, 384, 514, 793, 820, 1054, 1229, 1246, 1299, 1353, 1437, 1564), wyjaśniające stanowisko, jakie w kraju naszym zajmował kler unicki (nr. 83 (a), 781, 795, 811, 823, 867, 868, 906, 1484. 1502, 1693, 1700, 1703, 1750), zapoznawające nas z ustawami, regulującemi prawne stosunki między obcymi przybyszami a krajowcami (nr. 96, 97, 103, 104, 106, 114, 124, 127, 230) i t. d.

Od r. 1572 przechował się w archiwum bogaty zbiór aktów konfederacyi, laudów sejmikowych (pierwszy sejmik w Sądowej Wiszni z 2 marca 1573), uchwał sejmów konwokacyjnych, elekcyjnych i koronacyjnych, uniwersałów poborowych, wojennych i w innych sprawach publicznych wydawanych, regestrów dochodowych, chorągwi i towarzyszów chorągwi, oraz szkód przez wojska wyrządzonych. Znajdzie tu czytelnik niezliczony zasób ciekawych i niezużytkowanych szczegółów, odnoszących się do ważniejszych wypadków dziejowych, których wyliczeniem nie śmielibyśmy czytelnika nużyć[2]. Im bliższe nam czasy, tem wię-

[1] Liczba dokumentów w pierwszych dziewięciu tomach wynosi 1244 z tych 8 z w. XIII; 819 z w. XIV; wszystkie inne przeważnie z wieku XV.

[2] Dla przykładu podajemy ważniejsze akta z czasów Stefana Batorego, odnoszące się:

a) do Sprawy Samuela Zborowskiego (nr. 1744, 1753, 1764, 2082, 2083).

b) do sprawy gdańskiej (nr. 1803, 1849, 1857, 1858, 1878, 1901).

kszy zasób źródeł, mogących nietylko wyświecić wiele faktów z dziejów Polski, ale też zapoznać nas z prądem, jaki w dobrej i złej doli ojczyzny owiewał mieszkańców podkarpackiej krainy.

Taką jest treść dzieła tego, które wprawdzie przeznaczonem jest dla szczupłej garstki badaczy z zawodu, ale zająć może każdego miłośnika dziejów ojczystych. Krótkie te zapiski — to kamyczki mozaikowe, które się złożyły w barwny obraz, przedstawiający „całość dziejowej prawdy domowej". *Dr. Semkowicz.*

Zbornik moskiewskiego głównego archiwum Ministerstwa spraw zagranicznych. Zeszyty 3-ci i 4-ty. Moskwa, 1883 r.

Zbornik ten wychodzi od r. 1880. Wiele cennych prac znalazło w nim miejsce w ciągu tych lat kilku. W zeszytach 3-im i 4-ym, tworzących razem obszerny tom, znajdują się następujące artykuły: „Początki stosunków Rosyi z Turcyą od czasów Iwana III." przez A. Nekludowa; „Moskiewskie główne archiwum i ci, co je dawniej zwiedzali", bar. Bolera; dokończenie obszernej pracy Ulanickiego: „Dardanelle, Bosfor i morze Czarne w w. XVIII." (zarys dyplomatycznej historyi kwestyi wschodniej); „Przegląd biblioteki moskiewskiego głównego archiwum ministerstwa spraw zagranicznych", J. Tokmakowa. Ten ostatni artykuł świadczy o wielkiem bogactwie biblioteki, składającej się obecnie z 32,205 tomów, rękopismów, map i planów. Zeszyty wspomniane w tytule kończą się obszernym katalogiem wydawnictw komisyi, istniejącej przy Archiwum, a mającej na celu ogłaszanie drukiem dokumentów i traktatów dyplomatycznych.

Do ciekawych rezultatów dochodzi autor pracy: „Początki stosunków Rosyi z Turcyą od czasów Iwana III." p. Nekludów, w swych zapatrywaniach na stanowisko Rosyi, względem dworu i dostojników tureckich. Turcy, zdaniem jego, nie stawiali ówczesnej Rosyi na równi z mocarstwami zachodniemi; nie lekceważyli, ale przeciwnie, raczej przesadne mieli wyobrażenie o jej potędze. Wszystko to, co oni widzieli lub słyszeli o Rosyi i rosyanach, przedstawiało się im, jako coś bliskiego, rodzimego, pokrewnego. Ta wschodnia duma, nieruchomość, powaga, przesadna skłonność do wystawy i skomplikowanego ceremonyału, bogate dary przywożone przez posłów, miasto upokarzających próśb o subsydya, z któremi nieraz występowali posłowie innych mocarstw europejskich, nareszcie długie suknie i poważne brody, wszystko to w oczach Turków stawiało Rosyę na stopie równości z ich ojczyzną, czyniło utrzymanie z nią dobrych stosunków nader pożądanem. Z tego też powodu nie było większych wojen lub groźniejszych zatargów pomiędzy obu państwami, aż do czasów Piotra Wgo. *Sulima.*

---

c) do wojny moskiewskiej (nr. 2039, 2040, 2047, 2079, 2091, 2117, 2165 2172—2177, 2338).
d) do spraw wołoskich (nr. 2191, 2197, 2282, 2289).
e) do sprawy kalendarzowej (nr. 2245).

INDEKS do wszystkich peryodycznych wydawnictw „Towarzystwa historyi i starożytności rosyjskich przy cesar. Uniwersytecie w Moskwie“, za przeciąg 68 lat, od roku 1815—83. Moskwa, 1883.

Wymienione wyżej Towarzystwo zostało założone w r. 1804 staraniem ówczesnego kuratora Uniwersytetu moskiewskiego, M. N. Murawjewa. Pierwsze jednak owoce naukowe zbiorowej działalności ukazały się dopiero w r. 1815 pod tytułem: „Prace i annale Towarzystwa historyi i starożytności rosyjskich“. Było to pismo zbiorowe, wydawane bez żadnego planu i systemu. W takim stanie przetrwało do roku 1837. Wówczas objął redakcyę sekretarz Towarzystwa, znany słowianofil Pogodin, i kierował wydawnictwem do r. 1844 pod zmienioną nazwą: „Zbornik historyczny rosyjski“. Po nim został redaktorem głośny badacz rzeczy słowiańskich i profesor uniwersytetu moskiewskiego O. M. Bodianskij, który utrzymał się w tej godności do r. 1848. W tymże roku wydrukowanie „Notatek“ o Rosyi podróżnika i dyplomaty angielskiego Gilera Fletscher'a, posłującego od Elżbiety do Iwana Groźnego, ściągnęło prześladowanie rządu na pr. Bodianskiego i na samo Towarzystwo. Bodianskij, najwyższem rozporządzeniem, został usunięty z posady sekretarza i redaktora „Towarzystwa“, pozbawiony katedry uniwersyteckiej, i wysłany na posadę rządową do Kazania. Wydawnictwo zostało na czas pewien zawieszone. Gdy je wznowiono („Pamiętnik Towarzystwa historyi i starożytności rosyjskich“), objął redakcyę prof. Bielajew, gruntowny znawca dawnego prawa rosyjskiego; po ułaskawieniu zaś Bodianskiego w roku 1858 zajął tenże napowrót stanowisko sekretarza i redaktora i pozostał na niem do swej śmierci r. 1877, przyjąwszy dla organu naukowego tytuł: „Odczyty cesar. Towarzystwa historyi i starożytności rosyjskich“, utrzymany po dzień dzisiejszy.

Pomimo doznawanych przeszkód i trudności, „Towarzystwo historyi i starożytności rosyjskich“, wydało w czasie swego istnienia ogółem 160 tomów. Zważywszy na pokaźny poczet tomów i cenność zawartego w nich materyału, indeks rozpraw i artykułów był niezmiernie pożądany.

Towarzystwo uczyniło nareszcie zadosyć wymaganiom i upoważniło jednego ze swych członków do ułożenia indeksu, który sumiennie wywiązał się ze swego zadania. Wszystkie prace, umieszczone we wspomnianych wydawnictwach, podzielono na następujące kategorye: a) badania samoistne, b) materyały ojczyste, c) materyały słowiańskie, d) materyały cudzoziemskie i e) treści mięszanej. Dla pierwszej i ostatniej kategoryi przyjął wydawca porządek alfabetyczny, a dla pozostałych, chronologiczny.

Sulima.

Z dzieł literackich.

Pisma *D. J. Iłowajskiego.* Moskwa, 1884.

W roku bieżącym obchodzi jubileusz swej 25-letniej działalności naukowo-literackiej historyk rosyjski Dymitr Iłowajskij. Nie jest on obcym i naszym pracownikom na tem polu. Wiele z jego prac większych lub mniejszych zajmowało się bezpośrednio lub przynajmniej potrącało o dzieje Polski. Najpoważniejsza z nich: „Sejm grodzieński" została nawet przetłumaczoną na język polski.

Oprócz tego dał się jubilat poznać i osobiście niektórym naszym historykom podczas swego pobytu w Krakowie w r. 1869 Drugi jednak pobyt w Galicyi zakończył się dosyć niefortunnie, uwięzieniem w starożytnym Haliczu i odwiezieniem do Stanisławowa w r. 1877 lub 78-m, ponieważ swemi opiniami, jawnie wygłaszanemi, zaprezentował się raczej jako emisaryusz, niż uczony badacz przeszłości ks. Halickiego.

Dymitr Iłowajskij urodził się w Kozłowie (gubernii tambowskiej). Studya uniwersyteckie odbywał na Uniwersytecie moskiewskim, gdzie otrzymał stopień jednego z pierwszych kandydatów wespół z naszym współziomkiem, ś. p. Henrykiem Wyzińskim, najpierw profesorem historyi powszechnej uniwersytetu moskiewskiego, a potem na emigracyi, znanym z prac na polu dziennikarstwa francuskiego. Iłowajskij był przez czas niejakiś profesorem gimnazyalnym, potem adjunktem do historyi powszechnej na uniwersytecie w Moskwie, poczem na własne żądanie został uwolniony od obowiązków profesorskich, aby się wyłącznie oddać pracom naukowym.

Korzystając z obszernej bibliografii, umieszczonej w XV. tomie „Jstor. Wiestnika" z okazyi jubileuszu, wymienię w porządku chronologicznym ich ukazania się te tylko prace i artykuły większych rozmiarów, które się odnoszą w całości lub części do dziejów naszych.

R. 1862. Miecznik koronny Jabłonowski, zarysy z historyi sejmów polskich XVII. wieku (Russkij Wiestnik, ks. 3). — Sejmiki polskie i niektóre rysy obyczajów w drugiej połowie w. XVIII-go. (Russkij Wiestnik ks. 5).

R. 1863. Z życia polskiego (Petersb. Wiad. Nr. 84). — Z biografii hr. Jakóba Siewersa (Peters. Wiad., Nr. 133). — O ruchach ludowych na Podolu i Wołyniu (Peters. W. Nr. 170).

R. 1864. Trzeci maja 1791 r. (Russkij Wiest., ks. 1). — Po rozbiorze. (Russkij Wiest., ks. 3). — Nowogród Wielki i Biała Ruś (Russkij Wiest., ks 8).

R. 1865. Hr. Jakób Siewers, szkic biograficzny (Russ. Wiest., ks. 1—3).

R. 1869. Wzory satyry politycznej w Polsce w okresie upadku (Russkij Archiw, ks. 5).

R. 1870. Sejm grodzieński r. 1799., rozprawa na stopień doktora historyi rosyjskiej. Moskwa str. 274. — Dzieło to przetłómaczył na język polski p. Iwanowski. Poznań. 1871.

R. 1877. Starożytny Czernihów, (Drewniaja i Nowaja Rosija ks. 3).

R. 1878. Wspomnienie o Haliczu nad Dniestrem (Drew. i Now. Ross. ks. 2).

R. 1879. Sukcesya halicka. (Russ. Archiw., ks. 9).

Z licznego szeregu prac, odnoszących się do dziejów rosyjskich, wspomnieć należy o kilku tomach początkowych dziejów tego państwa. Autor zyskał rozgłos i samodzielne stanowisko w historyografii rosyjskiej przedewszystkiem jako przeciwnik pochodzenia normandzkiego Ruryka i jego drużyny. Z tego powodu prowadził nawet długą i ożywioną polemikę naukową ze znanym uczonym słowianofilem Pogodinem.

Co się tyczy wymienionego w tytule zbioru pism Iłowajskiego, to znajdujemy w nim trzy monografie: a) Historya ks. Riazańskiego; b) Katarzyna Daszkowa c) hr. Jakób Siewers. Tylko ta ostatnia ma związek z przeszłością naszą. Jakób Siewers był posłem rosyjskim w Polsce i odegrał czynną rolę podczas smutnej pamięci sejmu grodzieńskiego. Działalnością jego D. Iłowajskij zajmował sią z większą gorliwością i poświęcił jej kilka artykułów. W tej ostatniej monografii opowiedział historyę rodziny Siewersów, pochodzącej z Inflant, ubogiej i w dziejach tego kraju wcale nieznanej. Następnie przeszedł do młodości J. Siewersa i początków jego karyery dyplomatycznej w Kopenhadze i w Londynie. Do czasów pobytu w Polsce jednak nie doprowadził. Autor czerpał wiadomości o Siewersie z czterotomowej jego biografii, ułożonej przez uczonego niemieckiego Bluma, i wydanej w Heidelbergu w r. 1857—58.

Sulima.

Archiwum *ks. Woroncowa.* Księga 29-ta. Moskwa, 1883 r.

Tom ten zawiera 484 stron. Znalazło tutaj pomieszczenie 127 listów, pisywanych różnymi czasy do hr. Woroncowych. Pomiędzy nimi znajdują się listy takich osób jak Kościuszko, William Pitt, D'Alembert, hr. Józef de Maistre, pani Staël-Holstein i t. d. Najgodniejszymi jednak uwagi są korespondencye Szwajcara Pictet de Warembé, rodem z Genewy, traktujące obszernie (jeden z listów zajmuje 80 stronnic) o finansach w Anglii, o W. Pitt, o rewolucyi francuskiej i wielu innych sprawach, zajmujących ówczesny inteligentny ogół.

Sulima.

Słownik geograficzny ziem zachodnio i południowo-słowiańskich i krajów sąsiednich, ułożony przez *Jakóba Gołowackiego*, z dołączeniem mapy geograficznej. Wilno, 1884.

Autorem tej pracy jest znany wychodźca galicyjski do Rosyi, po pamiętnej wystawie etnograficznej w Moskwie r. 1867, były profesor języka i literatury ruskiej na uniwersytecie lwowskim, a obecnie prezes komisyi archeograficznej wileńskiej. Oprócz pomniejszych prac na polu ruskiej literatury, najwięcej się zasłużył około nauki przez staranne nagromadzenie i wydanie „Pieśni halickiej i węgierskiej Rusi", drukowanych najpierw w „Odczytach moskiewskiego Towarzystwa historyi i starożytności", a obecnie wydanych osobno w trzech tomach.

Dążenia panslawistyczne, a właściwiej panrosyjskie, któremi się

odznaczały wszystkie jego dawniejsze prace, są widoczne i w tej ostatniej przez samo ugrupowanie materyału geograficznego. Porządek, przyjęty w „Słowniku geograficznym“, jest alfabetyczny, w którym znajdują miejsce jak nazwy czysto słowiańskie, tak i ich skażenia i zmiany, dokonane przez Niemców, Węgrów i Turków. Znając jakąkolwiekbądź z nich, łatwo można odszukać pożądaną nazwę czysto słowiańską. Ale nazwy rosyjskie wydrukowane tłustymi czcionkami; po nich idą używane przez ludność miejscową lub sąsiednią słowiańską, a na końcu poprzekręcane nazwy cudzoziemskie. *Sulima.*

O TŁÓMACZENIU, kilka uwag i myśli, napisał *Jan Czubek.*

W sprawozdaniu dyrektora gimnazyum św. Anny za rok 1884 znajdujemy rozprawę dopiero co zacytowaną. Prof. Czubka znamy już jako tłumacza Antygony Sofoklesa, najznakomitszych utworów „Liryków greckich“ a między innemi także jako autora rozprawy „O czystości języka“ zamieszczonej w „Encyklopedyi pedagogicznej“. Tłómaczenia te o ile wiemy, cieszą się uznaniem filologów i stawiają prof. Czubka obok znakomitszych naszych tłumaczów, jak L. Siemiński. Każdy wyraz, każdy zwrot mowy, każdy obraz poetycki jest tu trafnie pojęty, zrozumiany, opracowany i o ile tylko być może w duchu naszego języka przedstawiony. Kto tak tłumaczy, jak p. Czubek, kto tyle poświęcił pracy, aby dojść w tym względzie do artyzmu, ten niezawodnie potrafi nam najlepiej przedstawić tajemnice tej sztuki tłumaczenia. A chociaż go nie stać na obszerne dzieło, o którem, jak sam się wyraża, w naszych warunkach ani myśleć prawie nie można, to już bardzo cenne nam podał wskazówki w swych „Kilka myśli i uwag“. Możnaby je podzielić na dwie części. W pierwszej mamy ogólne uwagi nad językiem i jego techniką, w drugiej zaś przechodzi do szczegółów i usiłuje na przykładach rozwinąć swoje zapatrywania. Mamy tu tłumaczenie pierwszego rozdziału pierwszej mowy Cycerona przeciw Katylinie, z obszernemi uwagami nad tłumaczeniem tej samej rzeczy, dokonanem przez Rykaczewskiego; mamy wiele naukowych wskazówek teoretycznych nad tłumaczeniem, w ogóle, zwłaszcza utworów klasycznych w gimnazyach. Słusznie autor użala się na niedostateczną znajomość gramatyki w niższych klasach, która w klasach wyższych zabiera wiele czasu, utrudnia zrozumienie i przejęcie się duchem klasyków. Część 1-a zaznajamia nas z najnowszemi badaniami i teoryami o języku. O pojmowaniu języka ze stanowiska psychologicznego, znajdujemy już całe tomy w niemieckiej literaturze, polscy badacze zbogacili tego rodzaju rozprawami nawet rosyjskie piśmiennictwo, ale w polskiej literaturze rozprawa p. Czubka jest pierwszą, ze względu na swoje znaczenie. Stanął on na gruncie sumiennych przygotowawczych studyów; grunt ten ze wszystkich stron obadał i obraca się na nim swobodnie.

Jak w części drugiej tak i tu brak szczegółowego rozwinięcia wielu ważnych punktów, ale nie można stąd autorowi robić zarzutu,

skoro w tytule swej pracy zaznaczył, że rzuca tylko „kilka uwag i myśli“. W odsyłaczu znajdujemy na str. 9 wyznanie, że autor nie umie sobie wytłumaczyć wyrazu „rękawka“. Z przyjemnością możemy zaznaczyć, że wyraz ten brzmiał pierwotnie rakówka, jak tego dowodzą nazwy miejscowości, które w ciągu wieków tego samego doznały przekształcenia. Wyraz *raka* oznacza w języku starosłowiańskim grób i to samo znaczy kroackie *rakva* serbskie *raka*, czeskie *raky*, a musiał być kiedyś znany i językowi polskiemu, jak tego dowodzą nazwy miejscowości. Prócz tego znajdujemy jeszcze w języku starosłow. słowo *rakati* w znaczeniu *narzekać*. Rękawka pierwotnie rakówka o ile mogliśmy dociec, była to uroczystość na cześć zmarłych, zwana także inaczej „dziadami“, trzeba bowiem wiedzieć, że nietylko na Litwie, ale i w ziemiach polskich obchodzono uroczystość „dziadów“, a raczej „dziada“ jak na to mamy pozytywne dowody w dochowanych dotąd u ludu zwyczajach. Z tą uroczystością w ścisłym związku zostaje i „konik zwierzyniecki“, jak to przy innej sposobności postaramy się wykazać.

S. Matusiak.

Gwara Zakopańska. Studyum dyalektologiczne, przez *Ad. Ant. Kryńskiego*. Odbitka z tomu X. rozpraw Wydz. filologicznego Akad. Umiej. W Krakowie 1883. 8-o str. 57.

Badania nad językiem ludowym zwolna postępują naprzód dzięki zabiegom Akademii Umiejętności i skrzętności naszych gramatyków. Pan Kryński zajmował się dotąd głównie językiem staropolskim, i wydał wiele prac, które zdobyły mu niepoślednie stanowisko pomiędzy gramatykami polskimi. Z dyalektologii, to pierwsza jego praca, umiejętnie dokonana i dla gramatyków z wielu względów nader ciekawa. Przedmiotem jej jest mowa górali zakopańskich, z którą autor zaznajomił się bliżej w czasie swego pobytu w tych stronach. Część gramatyczna zajmuje stron 45, a resztę słownik wyrazów właściwych góralom. Co do metody, to autor idzie drogą utorowaną przez prof. Malinowskiego bez względu na wskazówki, jakie podał na różnych miejcach innym dyalektologom polskim nie mało już zasłużony około gramatyki polskiej Karol Appel, bez względu na nowsze teorye o języku, które dotychczasową metodę nakazują koniecznie zmodyfikować. Jak pod względem przedstawienia rzeczy, tak i w szczegółach trzyma się autor często zbyt w dobrej wierze wyjaśnień p. Malinowskiego i prawi rzeczy, które nie istnieją. Mówi np. że ludowe w s z y ć k o powstało z w s z y s t k o, gdy tymczasem w s z y ć k o, jest inną formacyą, a w s z y s t k o inną. Szkoda, że nie dodał, iż w s z y s t e k powstał z w s z y t e k pod wpływem chłystek, mostek i t. p. jak to czyni prof. Malinowski, a na co się nikt nie zgodzi. Również mylnem jest wyjaśnienie, jakoby formy ludowe, jak d ź w i g n o n, z a c z o n i t. p. zamiast d ź w i g n ą ł, z a c z ą ł, powstały z tych ostatnich w ten sposób, że nosowość samogłoski *ą* przeniosła się do *ł* następnego, przez co to ostatnie zmieniło się w *n*. Wyjaśniliśmy tę rzecz w

rosyjskim filologicznym Wiestniku i widzimy że i Dr. Kalina naszego jest zdania (Historya języka polskiego, str. 475). Myli się też autor twierdząc, że formy ludowe miętki, letki, zamiast miękki, lekki lub mięki, leki powstały pod wpływem analogii czy asymilacyi wyrazu giętki: gdyż *t* zamiast *k* weszło do tych wyrazów z stopnia drugiego, pierwotnie: mięcszy lecszy, potem: miętszy, letszy, a więc na mocy praw głosowych i wymiany wzajemnej tematów. W wyrazie kwardy zamiast twardy, spółgłoska *t* nie mogła się zmienić w *k*, tak jak człowiek nie powstał z małpy, ani nie zamienił się w wilkołaka. Nastąpiło tu zmieszanie dwu odrębnych tematów, tematu wyrazu twardy i tematu wyrazu kwárc, jak tego niezbicie dowodzi język ludowy, używający tego ostatniego wyrazu zamiast przymiotnika twardy; mówi lud: to drzewo jest kwárc, to chłop kwárc; pomieszanie zaś takie jest psychicznie w naturze języka zupełnie usprawiedliwione bo się opiera na tem co nazywamy „*associatio idearum*". Błędem jest historycznym i lingwistycznym, jakoby wyraz ino czyli jino, jeno w znaczeniu tylko, powstał z zaimka ji, ja, je i partykuły no, gdyż wyraz ten odpowiada wyrazowi staroslowiańskiemu inr, co znaczy unus, ino tedy czyli jino znaczy unum czyli w obecnym języku polskim jedno. Że zaś historycznie jest to prawdą, dowodzą nasze zabytki staropolskie, a zresztą wszystkie języki słowiańskie. „Jino tego zrozumieć nie mogę" znaczy to samo, co „jedno tego zrozumieć nie mogę".

Takich usterek w pracy p. Kryńskiego jest więcej, ale któż z badaczów języka od nich wolny?

S. Matusiak.

WZORY PRZEMYSŁU DOMOWEGO, Lwów, 1883.

W grudniu r. z. wyszły we Lwowie, nakładem Muzeum przemysłowego siódmy i ósmy zeszyt wydawnictwa p. t. Wzory przemysłu domowego, obejmujące wyroby snycerskie włościan na Rusi i hafty włościan na Podolu. W zeszycie siódmym, członek zarządu Muzeum, zestawił wyłącznie prace Jurka Szkryblaka z Jaworowa, przytem biografię artysty i rozbiór krytyczny jego utworów. Z największym interesem przebiega się te kartki i ogląda dokładnie zdjęte rysunki, które świadczą jak daleko dojść może geniusz naturalny bez żadnej nauki (Szkryklak nawet pisać i czytać nie umie), kierowany jedynie tem poczuciem piękna, które leży na dnie duszy artysty. Słusznie zauważa p. Wierzbicki, że ponieważ prócz Szkryblaka widzimy wielu innych zdolnych pracowników na tem polu w pośród ludu naszego, możemy twierdzić, iż bynajmniej nie stoi on niżej od innych narodów pod względem zmysłu artystycznego.

Jeśli podtrzymanie przemysłu krajowego przez zakładanie szkół i kształcenia zdolnych w tym kierunku wieśniaków ma znaczenie wielkiej doniosłości, to również wydanie o którem mówimy, roznosząc po polskiej i obcej ziemi próbki tego przemysłu, zasługuje na prawdziwie zaszczytną wzmiankę.

Z. R.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Z Wiednia. — Zjazd powszechny austryackich przemysłowych towarzystw.

Mieliśmy tu niedawno nowy dowód, że stan rzemieślniczy w Austryi, przychyla się do zasad konserwatywnych i chrześcijańskich, a jest nim III-ci powszechny zjazd przemysłowych austryackich stowarzyszeń, (Allgemeine OesterreichischeGewerbe-Genossenschaftstag), który się odbył w dniach 6, 7 i 8 września w Wiedniu. Zjechało się nań około 2500 osób, po większej części delegatów różnych stowarzyszeń, z wszystkich krajów koronnych Przedlitawii; niemniej licznie z Galicyi, przybyło też wielu zagranicznych gości, aby wziąść udział w obradach. Nadesłauo 130 pism i telegramów z życzeniami powodzenia i błogosławieństwa bożego dla zamysłów austryackiego stowarzyszenia cechów rękodzielniczych. Z Rady państwa, prócz wydelegowanego p. Löblicha, był obecnym przy obradach tylko książe Alojzy Lichtenstein; hr. Mieroszewski, jakoteż i hr. Belcredi, nadesłali przychylne i zachęcające listy. Zaraz na wstępnem posiedzeniu d. 6 września zarysował się wybitnie kierunek zjazdu. Po powitaniu przez burmistrza miasta Wiednia delegatów austryackich drobnych przemysłowców, po wstępnych wyborach i innych przygotowawczych czynnościach, zabrał głos p. Buschenhagen z Wiednia i postawił naglący wniosek, aby zgromadzenie oświadczyło swą wielką pogardę liberalnemu dziennikarstwu, które wyszydza i nieprzyjaźnie traktuje usiłowania przemysłowców, oraz przekupstwem i nieobyczaj-

nością swą jest zgubne dla ludu, i aby zmusiło do opuszczenia sali obrad reporterów tej prasy, a mianowicie dzienników: *Neue Freie Presse*, *Deutsche Zeitung*, *Vorstadtzeitung*, *Neuer Wiener Tagblatt*, *Fremdenblatt*, *Wiener Allgemeine Zeitung* i *Extrablatt*. Do wniosku tego przychylili się oprócz pięciu wszyscy ozłonkowie zjazdu, a reporterzy zmuszeni byli opuscić salę. Kto zna bezwstyd i złośliwość, z jaką wiedeńska prasa zaczepia i z błotem mięsza wszystko to, co dla ludu austryackiego było dotąd świętem, kto zauważył, jak ta prasa od kilkudziesięciu lat wyszydza religię i obyczajność, gospodarskie interesa ludności oddaje na pastwę tym, którzy opłacają się lepiej i jak najusilniej wspiera zepsucie, ten zrozumie to moralne oburzenie, które tych kilkuset ludzi, dotąd sobie nawzajem nieznanych, jednością myśli połączyło.

Wściekłość liberałów była tem większą, że w poczuciu swej potęgi nie przypuszczali nigdy, aby im kto kiedy mógł tak otwarcie prawdę wypowiedzieć. Dwa walne posiedzenia odbyły się w nowym ratuszu, w wielkiej sali ludowej. Delegat ministerstwa handlu powitał przemysłowców i wyraził dobitnie przychylność rządu dla obrad. Spokojny i rozsądny ton, jaki panował przy obradach, okazał, że tak delegaci, jakoteż i inni przemysłowcy, czuli doskonale ważność swego zadania. Już roku 1881 pierwszy zjazd powszechny przemysłowców austryackich, zwrócił swemi uchwałami uwagę rządu i Rady państwa na potrzeby drobnych przemysłowców, wskazał na środki zaradcze, i przyczynił się w ten sposób do uchwalenia noweli przemysłowej, zaprowadzenia obowiązkowych stowarzyszeń i wykazania się należytem uzdolnieniem. Podobnież celem tegoż III-go zjazdu miała być reforma ustawy przemysłowej i usunięcie jej wad, jak to przewodniczący przy otwarciu zjazdu wyraźnie oświadczył. Na przeprowadzeniu tej reformy polega zdaniem naszem dobro i pomyślność jednego z najważniejszych i najproduktywniejszych stanów naszej monarchii. Stan rękodzielniczy, stojąc pośrodku między niesamoistną klasą roboczą, a stanem wyższym obywatelskim pracującym umysłowo, jest prawdziwie konserwatywnym żywiołem, który szczególniej zdaje się mieć wszelkie warunki do przechowania w swem łonie religijności i chrześcijańskiej moralności, i do wywierania obyczajnego wpływu na inne warstwy obywateli

miejskich. Tak przecież bywało dawniej. Rękodzielnik we wszystkich katolickich krajach brał udział w uroczystościach kościelnych; występując na nich z swą bracią cechową z chorągwiami i wizerunkami swych świętych patronów, dodawał im zewnętrznej okazałości. Mało który stan wydał tylu świętych, tylu pobożnych, dzielnych kapłanów, jak stan rękodzielniczy, w którym pobożność i obyczajność już od wieków kwitnęły.

Szermierze liberalnego kapitalizmu wiedzieli dobrze co robią, gdy w połowie naszego wieku obok innych pozornych wolności, wprowadzili także wolność zarobkowania i w ten sposób uczciwy stan rękodzielniczy do ekonomicznego upadku przywiedli. Czują oni to, że skoro ten najtrwalszy wał chrześcijańskiego porządku zburzyć potrafią, to tem łatwiej będzie im uporać się z innymi, mniej silnie zorganizowanymi stanami, i w ten sposób stworzy się ów ekonomiczno-społeczny chaos i bezład, z którego „wielki kapitał“ skorzysta na szkodę ludu, a którego ateizm użyje do rozkrzewienia swych bezecnych doktryn. Liberalno kapitalistyczne wolnomularstwo, spogląda ze wzrastającą ukrytą złością na usiłowania ratunkowe znienawidzonego przez siebie stanu rękodzielniczego. Nienawidzi go i dlatego jeszcze, że stanowi temu daje pomoc wedle swych sił, katolicka frakcya konserwatywna w Austryi. Stawia więc ono gdzie tylko może przeszkody i trudności, aby niedopuścić podźwignięcia się rzemieślniczego stanu. Taką przeszkodą są owi liczni liberalni urzędnicy, którzy przez najrozmaitszego rodzaju podstępy i intrygi, starają się wprost przeszkodzić przeprowadzeniu noweli przemysłowej. Z drugiej strony spogląda z nieukontentowaniem ateistyczno-rewolucyjny socyalizm na to, że ważny stan drobnych przemysłowców dąży do socyalnej reformy na podstawie chrześcijańskiego prawa, i to nawet w sposób o wiele praktyczniejszy, niż oni tu u siebie czynią. Tak więc dwie te nienawiści podały sobie ręce. Okazało się to i na owym trzecim powszechnym zjeździe, na który liberalno-masońscy kapitaliści ściągnęli mnóstwo socyalno-demokratycznych robotników, aby z ich pomocą zjazd rozbić, lub przynajmniej wywołać jaką awanturę. Dość wcześnie jednak odkryto ów plan i udaremniono go. Natomiast wnet potem zwołali oni zgromadzenie robotników przeciwnego obozu, gdzie obelżywymi wyrazami obsypywano zgro-

madzenia przemysłowców, a szczególniej wyśmiewano wyrażenia religijne zawarte w niektórych na zjazd nadesłanych telegramach, ponieważ — jak się wyraził jeden z mowców — „wykształcony człowiek, nie może już dzisiaj być religijnym".

Papież Leon XIII. naznaczył wyraźnie w swej niezrównanej Encyklice *Humanum genus* ważność stanu rękodzielniczego i konieczność, aby się tenże łączył w towarzystwa. To też dla nas każdy objaw pracy w tym kierunku jest nader ważny i doniosły, i dlatego uchwałom zapadłym na tym powszechnym zjeździe przemysłowców austryackich poświęcimy kilka wierszy, ograniczając się na podaniu najważniejszych punktów. — Po pierwsze żąda zjazd wciągnięcia rozmaitych przemysłowców, jako to: młynarzy, farbiarzy, mydlarzy i t. d., na listę upoważnionych do prowadzenia rzemiosła, ustanowioną przez ministra handlu, których to rzemiosł wykonywanie przywiązanem jest do wykazania się świadectwem uzdolnienia. Jak wiadomo, zawiera ta nowela przemysłowa uchwały, mające na celu ochronić poniekąd przemysłowców i rękodzielników od wyzyskiwania przez przedsiębiorców posiadających kapitały. Dalej postawiono żądanie, aby także f a b r y k a n c i trudniący się wyrabianiem materyałów, którymi się posługują rękodzielnicy, zostali prawnie przymuszeni do przedłożenia świadectwa uzdolnienia.

Dalej, ma być rękodzielnik prawnie ochronionym przed wyzyskiwaniem hurtownych kupców i przedsiębiorców, którzy ubogim rzemieślnikom lichego materyału dostarczają, za robotę ich nędznie płacą, a wyrobiony przez nich gotowy towar w swych handlach i magazynach drogo sprzedają, wyzyskując w ten sposób biednego rzemieślnika i konsumenta. Odtąd handel rzeczonymi wyrobami, jak obuwie, sukna i t. d., wtedy tylko będzie dozwolony, gdy na nich, albo na opakowaniu ich podane nazwisko i miejsce zamieszkania rzemieślnika, który je robił. Nie wolno też hurtownym kupcom przyjmować w swych magazynach i handlach nowych zamówień od kupujących gości. Kto miał sposobność przypatrzeć się, jak owi hurtowni kupcy, zwykle Izraelici, nędznie płacą rzemieślnika, jak naumyślnie lichy materyał wyrabiać każą w fabrykach, jak tanie na pozór suknie, obuwie i t. d. w gruncie rzeczy są bardzo drogie, bo nietrwałe, ten zrozumie doniosłość projektu powyższej uchwały.

Dalej żąda zjazd dla przemysłowców prawnych środków ochronnych (prawa rekursu), przeciw rozmaitym nadużyciom władz. Łącznie z postanowieniem uchwały przemysłowej, że przemysł domowy nie podlega żadnemu prawnemu ograniczeniu, orzeka rezolucya zjazdu przemysłowców, „że nie należy pojmować przemysłu domowego w ten sposób, jak w niektórych okolicach pojmują go fabrykanci i właściciele wielkich magazynów z zupełną prawie ruiną obywateli i przemysłowców. Dlatego też każdy fabrykant albo przemysłowiec powinien zatrudniać swych robotników we własnych lokalach". Świadectwo uzdolnienia uczniom i czeladnikom ma być dane tylko na podstawie praktycznej nauki. We fabrykach, niewyrabiających towarów rzemieślniczych, nie wolno trzymać uczniów. Liczne przeszkody, ze strony liberalnych urzędników i izb handlowych, które tamują szybki rozwój towarzystw rękodzielniczych, a natomiast zmuszają do stowarzyszeń zbiorowych zamiast fachowych, bo te są bardzo niedogodne liberalnym kapitalistom, — nakłoniły zjazd przemysłowców do postawienia wniosku, aby rząd zmusił urzędników i izby handlowe do popierania towarzystw rękodzielniczych i do szybkiego załatwienia już kilkanaście razy odwlekanych petycyj i podań.

Dla czeladników żąda zjazd większego udziału w życiu stowarzyszeń, jakoteż większej niezależności od przewodniczącego i wydziału, a mianowicie zaś ma im przysługiwać prawo uczestniczenia w obradach jako korporacyi czeladników. To uwzględnienie interesów czeladnika, które nieraz sprzeciwiają się w zasadniczych punktach interesom majstra, na zgromadzeniu, złożonem wyłącznie z majstrów, jest pięknym dowodem poczucia sprawiedliwości, które kierowało zgromadzonymi.

Zamiast przepisanych ustawą przemysłową kas dla chorych członków stowarzyszenia przemysłowców, które natrafiają na bardzo wielkie, częściowo nie dające się usunąć trudności, proponuje zjazd zaprowadzenie kas na wzór powszechnej austryackiej kasy dla chorych robotników. Rezolucya jej brzmi: „Kasa dla wspierania chorych robotników ma stać w logicznym związku z mającemi się założyć w przyszłości kasami dla wspierania inwalidów, starców, wdów i sierot".

Zjazd uznaje użyteczność szkół państwowych rękodzielniczych

i fachowych, pragnie jednakże, żeby nauka rzemieślnicza, dotąd na małą liczbę uczniów ograniczona, została uogólnioną i żeby była dostępną tak dla dzieci mniej zamożnych rodziców, jak i dla całkiem ubogich. Możnaby to bez wielkich kosztów osiągnąć, gdyby urządzano wszędzie obok szkół ludowych szkoły rzemieślnicze, w którychby powtarzano przedmioty szkolne, a przytem uczono zwykłego prowadzenia ksiąg, rysunków geometrycznych i z wolnej ręki i obliczania wymiarów ciał i płaszczyzn.

Zjazd przyjął jak najprzychylniej uchwalony przez Radę państwa 6-ty rozdział ustawy przemysłowej, zapewniający robotnikom: niedzielę wolną od pracy, pieczę nad pracą kobiet i dzieci, przerwy w robocie, ograniczenie pracy nocnej, a wreszcie robotnikom we fabrykach pracującym normalny dzień roboczy.

Odmówienie drobnemu przemysłowi normalnego dnia roboczego, uważa zjazd za konieczny wynik smutnych obecnych stosunków, tam zwłaszcza, gdzie stan rękodzielniczy walczyć musi z zupełnie nieuregulowanym przemysłem domowym i z samowolą tak nazwanych „Sitzgesellen“. Pod nazwą tą należy rozumieć rękodzielników, pracujących w domu dla kupca, który im daje już przyrządzony surowy materyał; praktyka ta pociąga za sobą, jak już pierwej wspomnieliśmy, najgorsze socyalne i ekonomiczne następstwa. Nakoniec żądano ograniczenia handlu domokrążców, często bardzo szkodliwego dla producentów, i sprzedarzy towarów na raty, nieraz w sposób szachrajski uskutecznianej.

Wreszcie uchwalił zjazd utworzenie powszechnego związku austryackich przemysłowców, jakoteż i założenie przemysłowego dziennika korespondencyjnego, polecając zarazem komitetowi akcyjnemu przeprowadzenie tej uchwały.

Uchwały, albo raczej postulata III-go powszechnego zjazdu, wręczyła i poleciła deputacya prezydentowi ministrów i ministrowi handlu, a w swoim czasie podda je szczególniejszej uwadze konserwatywnego stronnictwa w Radzie Państwa. Postulata te zgadzają się zupełnie z żądaniami wielu innych zgromadzeń przemysłowców; wspomniemy tylko o zjeździe przemysłowców morawskich d. 27 lipca w Bernie, na którym żywioł słowiański mający przewagę, zgodził się całkowicie z wieloma przybyłymi na zjazd niemieckimi przemysłowcami.

Pomimo uznania, jakie musimy oddać uchwałom i przebiegowi zjazdu, nie możemy jednak nie zganić jednego wypadku na pierwszem zgromadzeniu d. 6 września. Przy wyborze komitetu żądał delegowany Maurycy Pinker, izraelita, szklarz z Czerniowic, aby i jego wybrano, „iżby wszystkie wyznania były w nim reprezentowane, ponieważ pomiędzy zgromadzonymi znajduje się wielu izraelickich przemysłowców z Galicyi i z Bukowiny“. Żądanie to odrzucono z szyderczym śmiechem, czego przecież uczynić nie godziło się i jedynie tylko ta antypatya, którą żydowstwo swą arogancyą i wyzyskiwaniem powszechnie wywołało, może do pewnego stopnia usprawiedliwić ten rażący brak taktu.

Przed kilkoma dniami zamknięto tu w Wiedniu wystawę maszyn (motorów), urządzoną przez liberalne stowarzyszenia przemysłowców, aby dać poznać pewną liczbę mniejszych maszyn, które — według zapewnienia komitetu i liberalnej prasy — szczególniej mają się nadawać do drobnego rzemiosła. Smutne jednakowoż stosunki finansowe, w jakich się obecnie znajduje nasz stan rękodzielniczy, utrudniają pojedyńczemu rzemieślnikowi nabycie i utrzymanie tak drogich sprzętów; tylko zawiązanie towarzystw rękodzielniczych, ułatwiając zakupno maszyn, zaradzi złemu, ale właśnie tego nie chcą, obawiając się owi wielcy liberalni kapitaliści i przemysłowcy.

br. v. Vogelsang.

Z Węgier.

Po wyborach. — Siły i tendencye stronnictw politycznych — Hr. Aponyi i hr. Károlyi. — Antysemityzm i jego przewódzcy. — Rozruchy anarchiczne. — Pulszky głowa masonów węgierskich. — Słowo o dziennikarstwie. — Ksiądz Wolofka i Demokritos. — Nowy dziennik *Budapester Tagblatt*. — Projekta przedłużenia mandatów poselskich i reformy senatu.

Chociaż wybory wbrew przewidywaniu organów opozycyjnych, wypadły ostatecznie na korzyść rządu i liberałów, przyznają jednak sami liberalni, że znaczne siły postradali; między innemi zaś Pawła Moritza, jednego z wybitniejszych szermierzy politycznych obecnego gabinetu; wreszcie i liczebnie mniejszą cieszą

się przewagą niż w poprzedniej kampanii parlamentarnej. Stronnictwo opozycyjne, zwiące się opozycyą umiarkowaną, zyskało kilku członków. Obóz independentów zwany: „Unabhängigkeitspartei“, również wzrósł w siły, liczy bowiem obecnie siedemdziesięciu kilku reprezentantów. Największym wzrostem atoli cieszą się antysemici; liczba ich bowiem doszła od 6-ciu do 17-tu.

Kilka słów o każdej z tych partyj. Najprzód stronnictwo liberalne, alias rządowe, rozporządza mimo niektórych strat dotkliwych, znacznym zastępem ludzi zdolnych i wymownych. Szef gabinetu Koloman Tisza, słynny autor Maurycy Jokaj, izraelita Maurycy Wahrman, będący jednym z najbogatszych właścicieli ziemskich we Węgrzech, wreszcie Maksymilian Falk, przechrzta i redaktor organu rządowego *Pester Lloyd* — oto główni przedstawiciele partyi rządowo-liberalnej, opierającej się na barkach bogatego żydowstwa, protegującej tegoż interesa, a nieprzyjaznej katolicyzmowi.

Stronnictwo „umiarkowanej opozycyi“ liczy obecnie sześćdziesięciu kilku członków. Hrabia Albert Apónyi jest jego szefem i dzielnych ma pomocników w Dezyderyuszu Szilágyi'm i w hrabiu Károlyi'm, który w czasie tegorocznej kampanii wyborczej, przeszedł z obozu rządowego do opozycyi. Hrabia Apónyi jest mężem niepospolitych zdolności, świetnym i porywającym mówcą, posiada przytem sporą dozę ambicyi; ma więc wiele danych na tęgiego polityka, mogącego w razie potrzeby samego Tiszę (nie bez korzyści dla kraju) zastąpić. Zarzucają mu jednakowoż pewien brak trzeźwości w zapatrywaniach, a za dużo fantazyi, przedstawiającej mu nieraz fata morgana za pożądaną rzeczywistość. Zamiary ma jak najlepsze i jest patryotą w dobrem i prawdziwem tego słowa znaczeniu, lecz brak praktycznej wytrawności ciągle mu stwarza przeszkody.

Zaleta charakteru jest nieraz dla polityka wadą. Tegoż rodzaju zaletę posiada i hr. Apónyi, a mianowicie zbytnią otwartość. W politycznej szermierce przeciwko stronnictwu Tiszy, które w środkach nie przebiera, trzeba być także biegłym taktykiem. Otóż tej sztuki właśnie hr. Apónyi dokazać nie umie; zbyt jest szlachetnym, szczerym i zbyt porywczym, by przeciw chytremu a systematycznemu sposobowi postępowania partyi liberalno-rzą-

dowej mógł działać ze skutkiem. O tyle więc tylko zwolenników zyskiwać może, o ile stronnictwo rządowe i sam gabinet takowych zraża nie dotrzymując obietnic krajowi danych. W ostatniej wyborczej kampanii, uzyskał Apónyi znakomitą podporę w hrabiu Károlyi'm, który ostentacyjnie z obozu liberałów wystąpiwszy do szeregów opozycyjnych przeszedł, i w mowie programowej trafnemi słowy napiętnował politykę rządu, czyniąc go odpowiedzialnym za nędzę coraz bardziej szerzącą się pomiędzy ludnością wiejską, niemiłosiernie eksploatowaną lichwiarstwem żydowskiem.

Stronnictwo opozycyi umiarkowanej występuje z programem dość jasnym; zamierza ono rząd popierać w tych rzadkich wypadkach, w których istotnie dobro narodu tego wymaga; domaga się atoli energicznie reformy w kołach administracyjnych i sądowych, gdzie ponawiające się raz po raz nadużycia, brak zdrowej organizacyi zdradzają; domaga się również szybkiego zaradzenia szerzącemu się pomiędzy ludnością wiejską pauperyzmowi, zapobieżenia grożącej kryzys finansowej i t. p.; uważa przytem, że gabinet obecny jest najmniej zdolnym do przeprowadzenia reformy tak gruntownej i powszechnej. Z podobnymi zarzutami występuje nieraz z wielkim zasobem erudycyi i wymowy poseł Dezyderyusz Szilágyi, jeden z najzdolniejszych mowców opozycyjnych, mąż powszechnie szanowany z powodu prawego charakteru i głębokiej znajomości prawa.

Stronnictwo independentów (Unabhängigkeitspartei), liczniejszem jest jeszcze od grona umiarkowanej opozycyi. Zamierza ono jak najzupełniejszą niezależność Węgier od Austryi, według zakroju optymistów z r. 1848-ego. Dualizm w obecnej formie uważają ci panowie za wyzyskiwanie Węgier na korzyść Cislitawii; należałoby więc przedewszystkiem według nich zerwać związek cłowy, krępujący przemysł i handel krajowy, a przytem i finanse rozdzielić, gdyż kontrybucya n. p. corocznie przez Węgry składana na cele cywilizacyjne w Bośnii i Hercogowinie, same tylko ciężary na kraj nakłada nie przynosząc mu w zamian żadnych korzyści. Twierdzą nadto iż ów dualizm przeistacza Węgry nieledwie w prowincyą austryacką, cieniem autonomii udarowaną, stan zaś takowy wydaje im się być niezgodnym z tradycyami i słusznemi aspiracyami szczepu madiarskiego. Zadanie iście pa-

tryotyczne, ale na obecne warunki zbyt idealne. I w tym obozie nie brak mężów zdolnych lub obrotnych, jak np. Gabriel Ugron. W czasie ostatnich wyborów popełniono błąd wielki w tem stronnictwie; w walce bowiem między kandydatem rządowym, a wybrańcem umiarkowanej opozycyi, dopomagano partyi rządowej, zamiast zwalczania tejże jako wspólnego wroga.

Wspomniałem już o antysemitach, którzy w trójnasób swoje szeregi wzmocnili; aż siedemnastu bowiem będzie występować w przyszłym peryodzie sejmowym. Na czele tej partyi stoi Wiktor Istóczy, który przed niewielu laty sam jeden swoje stronnictwo reprezentował, obecnie zaś dość poważną a nadmiar ruchliwą ilość zwolenników zwerbował. Wówczas, jak sam zresztą przyznaje, witano jego mowy uśmiechem ironii lub politowania, dziś natomiast już imponujące zajął stanowisko. Jego wpływom przypisują przeciwnicy awanturę w Tisza-Eszlar, a w dalszem następstwie liczne i krwawe rozruchy antysemickie, co i stolicę i prowincyę zaniepokoiły. Obawiają się go zaś tem więcej, że widocznie ów ruch antysemicki z dniem każdym szersze ogarnia koła i adeptów znajduje tak pomiędzy najwyższą arystokracyą, jak i prostym ludem. Istóczy dzielnego znalazł pomocnika w publicyście Juliuszu Verhovay, redaktorze gazety antysemickiej *Függetlenseg*, człowieku nader obrotnym i wcale niepospolitych zdolności, charakteru atoli chwiejnego, służącego piórem temu co lepiej zapłaci, skompromitowanego nadto ostatnimi czasy procesem o defraudacyę pieniędzy w jego redakcyi na cel dobroczynny złożonych. Cała ta sprawa, nie została jeszcze wprawdzie dostatecznie wyjaśnioną, rzuca mimoto na niego cień niekorzystny. Verhovay został jednakowoż ponownie do sejmu wybranym, i to jako reprezentant miasta Czegled, miejscowości przez czysto madiarską ludność zamieszkanej, a więc antysemickiej i zupełnie mu oddanej. Z pomiędzy grona antysemitów odznacza się również niejaki Iwan Simonyi, redaktor dziennika w Preszburgu wychodzącego i nader nieprzyjaznego żydom, *Westungarischer Grenzbote*. Simonyi jest zdolnym mówcą, lecz zdolniejszym jeszcze agitatorem. Jemu to głównie przypisują inscenowanie burd i zamieszek ulicznych, na wpół antysemickich, a na wpół anarchicznych w Preszburgu. Powiedziałem „na wpół anarchicznych“, gdyż nie

ulega wątpliwości, że anarchiści posługiwali się częstokroć ruchem antysemickim, by pod jego płaszczykiem spokój publiczny zakłócić i walkę przeciw kapitałowi prowadzić, tak dalece, że sami przewódzcy antysemitów bezwiednem bywają narzędziem w rękach anarchistów. Przypomnieć tu należy, że w czasie zaburzeń antysemickich w Peszcie, nie samych tylko żydów sklepy zrabowano, lecz nieraz i kupców chrześcijańskich. Te wybryki tłumu, wyradzające się w groźne objawy antysocyalne, stąd też poniekąd pochodzą, że antysemityzm nie zdołał po dziś dzień z żadnym jasno wytkniętym programem wystąpić. Jeden marzy o utopiach jak np. o emigracyi żydów do Palestyny! drugi chciałby ograniczyć ich prawa obywatelskie etc., a mało któremu przyjdzie na myśl, że chcąc się istotnie przysłużyć krajowi zagrożonemu żydowszczyzną, raczej w narodzie samym wzbudzić należy siłę odporną; wzbudzić zaś można tę siłę nie inaczej, tylko podniesieniem dobrobytu, zaradzaniem nędzy włościan, uregulowaniem finansów, a następnie zmniejszeniem podatków lud gnębiących, hamowaniem pijaństwa i lichwy, zwalczaniem, jednem słowem, obecnej polityki rządzonej, utrzymującej monopol handlu i przemysłu w rękach aferzystów i spekulantów żydowskich. Bądź co bądź, chociaż cała akcya partyi antysemickiej rozbija się o szkopuł niejasnego celu i niemożliwych aspiracyj, przyczyniła się jednakowoż do rozbudzenia poczucia narodowego i katolickiego i reakcyi przeciw obcym elementom, zagrażającym przyszłości narodu.

Partya tutejsza antysemicka nie jest jakąś szajką socyalistyczną, jak przedstawiają wasze dzienniki konserwatywne, które czerpią swe wiadomości z gazet ministeryalnych, należą do niej ludzie bardzo poważni, dobrzy patryoci madiarscy, nawet księża katoliccy. Można zarzucić całemu stronnictwu gwałtowność, ale nigdy nieuczciwość. Na posiedzeniach sejmu 17 i 18 października dwóch członków tegoż stronnictwa, obydwaj księża katoliccy, Komolossy i Zimandy, wystąpili z dłuższemi mowami. Obydwaj krytykowali niesprawiedliwe postępowanie ministerstwa, mianowicie zbyteczne sprzyjanie żydowstwu z jednej strony, z drugiej zaś gniecenie katolików i narodowości słowiańskiej. Ks. Komolossy między innymi powiedział: „Lud słowiański jest bardzo dobry, szkoda tylko, że władza o niego nie dba, że temu poczciwemu i ser-

decznemu ludowi odmawia tego, co przysługuje innym narodowościom". Podobny zarzut uczynił i ks. Zimandy: „Mężowie stojący u władzy są krótkowidzący, mówił on, z jednej strony pozwalają aby Horwaci deptali nogami madiarskie godło i hańbili madiarski naród, a z drugiej targają się na ich prawa zabezpieczone ugodą z r. 1868". Trzeba wiedzieć, że antysemici wybrani byli w okręgach czysto madiarskich i wszyscy są madiarami duszą i ciałem, jak się wyrażają. Charakterystyczną była mowa zasłużonego pedagoga i podeszłego już wieku Karola Nendtvich'a; przytaczam z niej następujące słowa: „Lat temu 45 byłem już profesorem, każdy z uczniów moich więcej zasłużył się krajowi aniżeli całe potomstwo Fenyvessy'ego. (Wielki śmiech). Wychowałem czterech Tiszów. (Wielki śmiech. Głosy: O! co tych, toście źle wychowali. Śmiech). Wychowałem Kossutka, Eötvösa, Somssicha, Csengery'ego i innych. Nie uczyłem ich by śpiewali: *zikcene-zakcene*. Dziś jednakże protestuję przeciw temu, aby miejsce Esterhazych, Illeshazych, Tekelich i Rakoczych zajęli w sejmie Ehrenreichy i Politzery"...

Zaburzenia jakie miały miejsce w czasie tegorocznych wyborów i które się niejednokrotnie zakończały krwawym dramatem, służyć będą obecnemu gabinetowi za powód do wniosku, z którym niebawem wystąpić zamyśla, a o którym już minister Trefort napomknął w mowie wygłoszonej przed wyborami w Preszburgu. Chodzi o to, żeby dla oszczędzenia krajowi tych zamieszek co trzy lata w czasie wyborów się ponawiających, przedłużyć mandaty poselskie, z okresu trzyletniego na okres pięcioletni. Istotną jednak pobudką rządu, który sam *de facto* te zamieszki w skutek nieprawnej pressyi na wyborców wywołuje, jest obawa o własne stanowisko, zbyt często zagrażane energiczną działalnością stronnictw opozycyjnych; peryod pięcioletni, niejedną omyłkę poda w zapomnienie, niejedną niechęć umorzy.

Rumunowie siedmiogrodcy i banatcy, jest ich przeszło półtrzecia miliona, sprawiają na razie wielki kłopot Węgrom, a w niedalekiej przyszłości mogą przybrać postawę zagrażającą całości państwa. Różni pochodzeniem, językiem i religią od ludów, z którymi razem zamieszkują ziemię, w ciągu kilkunastu wieków nie stracili nic ze swej narodowości, zdołali zwołoszyć znaczną część

ludności słowiańskiej i dziś jeszcze, w Serbii szczególniej, niebezpiecznym są czynnikiem wynarodowienia. Pół wieku już temu, pod Horym i Kloską wznieśli narodowy sztandar, zachowali później wrogą bierność podczas powstania węgierskiego (1848 i 9); dziś gdy sąsiednie państewko uzyskało swą niezależność, idea narodowościowa wzmaga się i rozpowszechnia. Dzienniki rumuńskie wychodzące w Węgrzech podtrzymują propagandę, kierowaną i rozdmuchiwaną z zewnątrz. Gazeta wychodząca w Wielkim-Sybinie (Hermannstadt).pod tytułem *Telegraful Roman*, wypowiada śmiało: „Rumuni w swej walce narodowej niczego się nie obawiają, nawet szubienic, któremi ich straszą madiarskie pisma; pod szubienicą jeszcze pozostaną Rumunami. Niech Madiary się nie oszukują, nic nie będzie z asymilacyi; żywioł rumuński jest jak żelazo: im więcej go biją, tem staje się twardszem. Mocniśmy jako żelazo, i umiemy się obchodzić z żelazem, niejednokrotnie dowiedliśmy tego. Śmierci się nie boimy. Chcemy i będziemy się rozwijać nadal w duchu rumuńskim, pomimo wszelkich przeszkód. Sądzimy, żeśmy dość jasno wypowiedzieli swoje zdanie". W ostatnich czasach udało się rządowi rozdwoić Rumunów; utworzyło się stronnictwo zwane narodowem, które obiecało popierać rząd, zaniechać dążności separatystycznych, ale wymówiło sobie pewną autonomią dla swojej prowincyi.

Po za wszystkiemi wreszcie stronnictwami, stoi siedem posłów zupełnie niezależnych, przerzucających się to w jednę, to w drugą stronę stosownie do osobistego przekonania. Najwybitniejszym z pomiędzy nich jest Fr. Pulszky, prezes akademii sztuk pięknych, a zarazem jak mówią głowa wolnomularzy węgierskich. Jest to człowiek niezmiernych zdolności, wszechstronnie i gruntownie wykształcony, pierwsza powaga w dziedzinie sztuk pięknych, zwłaszcza w malarstwie, jest przytem znakomitym archeologiem, lingwistą, jednem słowem „biblioteką chodzącą". Szkoda, że tak niepospolity człowiek złej sprawie służy. Pomijając bowiem jego działalność wolnomularską, w innych kierunkach zasila on regularnie pisma liberalno-żydowskie w rodzaju takiego *Neues Pester Journal*, artykułami tendencyjnymi, większej doniosłości, i choć nieraz pod maską, znakomite gabinetowi Tiszy oddaje usługi. W istocie nie można się lepiej przysługiwać rządowi, jak

bijąc w oficyalny bęben prasy żydowskiej, służącej tu zarówno jak i w Wiedniu bałwochwalstwu złotego cielca, prywatnym interesom rozmaitych intrygantów i brudnemu materyalizmowi. Wychodzą tu wprawdzie i dzienniki z programem anty-żydowskim, nie mają jednak większego znaczenia, gdyż miasto oświecać czytelników o zgubnym wpływie plutokracyi żydowskiej, demoralizującej kraj cały, rozwodzą się tylko nad wyższością szczepu pochodzącego od Arpadów, nad szczepem przybyłym z Palestyny. Przeplatają nadto ten temat rozmaitymi niesmacznymi żarcikami. W tem wszystkiem gra też rolę zysk pieniężny, zapewniony w miarę nagromadzonych w piśmie inwektyw lub szkandalów. Do takiego rodzaju pism zaliczyć też należy dziennik *Függetleseng*, którego redaktora Verhovay wyżej wspomniałem.

Pióra bezinteresowne bardzo są tu rzadkie; znaleść je jednak można wśród duchowieństwa katolickiego. Ksiądz Wolofka, profesor przy tutejszem seminaryum katolickiem, należy do znakomitszych szermierzy, walczących nieustannie dla sprawy Kościoła i narodu. Inny znów pisarz, również stanu duchownego, ukrywający się przed pseudonymem *Demokritos*, niemniej dzielnie włada piórem i wyśmienicie umie się posługiwać ostrą obroną satyry. Demokritos obrał sobie za specyalne pole szermierki walkę na zabój z liberalną prasą żydowską i skoro się w niej pojawia jakie oszczerstwo przeciw katolikom lub katolicyzmowi wymierzone, trafną i niemiłosiernym sarkazmem zaprawioną daje odprawę, którą usta przeciwnikowi zamyka. Autor ten udatne i głośne wydał broszury, w których z werwą i ścisłością ważniejsze wypadki ocenia i w należytem przedstawia je świetle. W jednej z tych broszur pisze o słynnej sprawie w Tisza-Eszlar, w drugiej zaś o kwestyi małżeństw mięszanych.

Wypomnieć też należy o nowym, bo dopiero od maja b. r. wychodzącym dzienniku politycznym *Budapester Tagblatt*. Jest on redagowany w duchu opozycyjnym z odcieniem konserwatywno-katolickim; dla niejednych względów atoli, ów odcień dość zręcznie maskowanym bywa. Redaktorem tego pisma jest poseł opozycyjny Grecsak *de nomine*, a hrabia Apónyi *de facto*. Umiano zwerbować do redakcyi najznakomitsze siły z najróżniejszych obozów i krańców. Wstępne artykuły wychodzą nieraz z pod

pióra zdolniejszych pisarzy z obozu katolickiego, częstokroć duchownych, lub też noszą podpis którego z wybitnych przewódzców opozycyi. Część zaś literacka tj. fejletony, nowele, sprawozdania artystyczne, niemniej starannie bywa opracowaną przez pisarzy pierwszorzędnych, jakimi są np.: Maurycy Jokaj, Koloman Mikszath von Gagern, Juliettte Lamber słynna redaktorka „Nouvelle revue“ i t. p. Rzecz naturalna, że redakcya z tak różnorodnych elementów składająca się, całemu pismu nadawać musi cechę nieco dziwaczną; jednego dnia bowiem, z przyjemnością czytać przychodzi artykuł w duchu szczero katolickim, zawierający głębokie i trafne poglądy na obecne stosunki krajowe, dnia zaś następnego z przerażeniem napotyka się płytkie acz szumne frazesy materyalistyczne na tle bezwyznaniowem wydeklamowane. Od niejakiego czasu jednakowoż pojawiają się te dysonanse coraz rzadziej i pismo przybiera z dniem każdym coraz wybitniejszy charakter konserwatywny. Uwzględnić też należy, iż w obec tutejszych stosunków, kto jest mniej zły niż drudzy, wiele dobrego zdziałać może. To też pisma liberalno-żydowskie, *Pester Loyd* i *Neuer Pester Journal* przywitały jak najniechętniej nowego kolegę, który nawzajem na każdym kroku niemiłe im prawdy wypowiada i nielitościwie ich smaga. Walka rozpoczęła się więc na dobre, i choć przeciwników zastępy są liczne, *Budapester Tagblatt* wzrasta z dniem każdym w siły, ma bowiem wielki zastęp malkontentów wszelkich kategoryj i odcieni, a w gonitwie o materyalne korzyści opieką rządową przysparzane, więcej bywa zgłodniałych niż pokarmu starczy. Dziennik ten jest jedynym organem opozycyjnym w niemieckim języku redagowanym, a swem pojawieniem się zaradził wielkiemu brakowi w publicystyce tutejszej. Spodziewać się więc należy, że powodzenie, którem się *Budapester Tagblatt* szczyci, innych też dobrze myślących do podobnych przedsiębiorstw zachęci, a tem samem nowych przeciwników prasie liberalnej przysporzy.

Gabinet obecny tymczasem, mimo coraz liczniejszych przeciwników, raz sobie wytkniętym torem dalej postępuje, i zapowiedziane reformy przeprowadzać zamierza. Chodzi mu głównie o reformę senatu, któremu to zawdzięcza upadek wniosku tyczącego się małżeństw mięszanych. Chcąc więc na przyszłość podo-

bnym ewentualnościom zapobiedz i opór senatu raz na zawsze przełamać, postanowiono izbę panów przeistoczyć.

Według projektu już ogłoszonego, jedna trzecia część tylko dotychczas zasiadających panów pozostałaby w senacie, mianowicie: wyższe duchowieństwo katolickie i greckie, nadto płacący najmniej 3000 złr. podatku. Natomiast weszliby do Izby panów tak zwani już dzisiaj biskupi protestantcy, najwyższy rabin żydowski, niektórzy wyżsi urzędnicy i członkowie dożywotni, mianowani przez rząd. „Pesti Naplo" sądzi, iż tym sposobem rząd będzie miał większość za sobą, stu bowiem urzędników, którzy tam zasiędą, powolnymi będą na wszystko. Rzeczą jest pewną, iż projekt ten przyjęty będzie przez Izbę niższą; czy Izba wyższa zatwierdzi go — dzisiaj jeszcze nie wiadomo. Dzienniki opozycyjne występują przeciw projektowi. *Budapester Tagblatt* wyraża się szyderczo: „Przy dzisiejszym antysemickim prądzie, jak to zabawnie wyglądać będzie, kiedy prezes senatu odezwie się uroczyście: Wysoka Izbo, nasz pan główny rabin ma słowo". Dziwić się nie można, że liberalny gabinet Tiszy dąży do zdemokratyzowania Izby wyższej; ale dziwić się należy, dlaczego konserwatywne pisma polskie nie widzą, że to jest pierwszy krok do dalszych przewrotów. Węgierska Izba panów nie potrzebuje reformy, dała dobry znak swej żywotności odrzucając małżeństwa mięszane. Jeżeli senat zostanie sługą ministerstwa liberalnego, nie skończy się na przeprowadzeniu tych wrzekomych małżeństw, pójdą wślad inne podobne projekta, a pierwszym z nich będzie sekularyzacya dóbr duchownych; to jedyna deska dla bankructwa dzisiejszej liberalnej gospodarki, bankructwa grożącego upadkiem dualizmowi. Lecz ta anneksia nie zbawi państwa węgierskiego; nosi ono w swem łonie czynniki rozkładowe, a rząd obecny postępowaniem swojem przyspiesza ostatni proces.

J. M.

Zbiór wiadomości do antropologii krajowej,

wydawany staraniem Komisyi antropologicznej Akademii umiejętności w Krakowie. Tom VIII 1884.

Dnia 23 marca 1875 r. utworzoną została przy Akademii Umiejętności, w Wydziale matematyczno-przyrodniczym, Komisya antropologiczna. Przewodniczącym wybrany został prezes Akademii, Dr. Józef Majer, który i do dziś gorliwie i umiejętnie kierownictwo tejże prowadzi. Jednocześnie Komisya wygotowała wyczerpujący program swych czynności, dzieląc swe prace między trzy sekcye: 1) do badań odpowiednich zabytków przedhistorycznych, czyli archeo-antropologicznych; 2) poszukiwań antropologicznych w ściślejszem znaczeniu, odnoszących się do osób żyjących; 3) do poszukiwań antropologiczno-etnologicznych.

Gdy rodzaj pracy pierwszej sekcyi Komisyi antropologicznej ściśle się łączył z zadaniem Komisyi archeologicznej, szczególnie sekcyi wykopalisk, której członkowie zaliczeni zostali do grona nowo utworzonej Komisyi antropologicznej, przeto i prace obu tych Komisyj w dziale badań i poszukiwań zabytków epok pierwotnych, nie mogły być podzielone. Jakoż w r. 1876 wyszedł pierwszy tom wspólnych prac obu komisyj p. t. Zbiór wiadomości do antropologii krajowej, a dziś oto mamy już przed sobą ósmy tom tej ważnej publikacyi.

W Galicyi wiedza archeologii przedhistorycznej do utworzenia Akademii Umiejętności, była w zupełnem zaniedbaniu. Z tej epoki mamy zaledwo dwie książeczki o zabytkach pierwotnych. Żegoty Pauli (Starożytności) i Karola Rogawskiego (O wykopaliskach Leżajskich), gdy w innych dzielnicach istniała już literatura archeologiczna epok pierwotnych. Eustachy hr. Tyszkiewicz pierwszy dał jej zawiązek, gdy ani Chodakowski ani Potocki, zajęci całą Słowiańszczyzną, mało zwracali uwagi na nasze groby mogiły. Potrącali o archeologię pierwotną Lelewel, Czacki i inni, ale osobistych badań naukowych nie było zgoła. Dopiero Komisya archeologiczna wileńska od r. 1855 wprowadziła systematyczne badanie zabytków pierwotnych, prywatne zaś badania rozpoczęte zostały jeszcze w r. 1837 przez Eustachego Tyszkie-

wicza. Brat jego, hr. Konstanty, wielce się przyczynił do rozwoju archeologicznego na Litwie. Pracowaliśmy i my na tem polu od r. 1851 do r. 1867. Kraszewski napisał swoję „Sztukę u Słowian", dzieło i dziś niezbędne dla każdego archeologa. Michał Grabowski ogłosił ważne dzieło o zabytkach na Ukrainie. Badał zabytki pierwotne Aleksander hr. Przezdziecki. Badali, chociaż dorywczo i niesystematycznie, Podczaszyński i Bayer. Mibelt wyczerpująco, naukowo pisał o „Człowieku pierwotnym" (w „Na dziś"). Muzeum wileńskie liczyło 3818 wykopalisk, przeważnie na Litwie i Rusi zdobytych, zkatalogowanych i objaśnionych, na ile wiedza ówczesna pozwalała. Były i prywatne zbiory, np. Adama hr. Platera w Wilnie, po największej części własną pracą i we własnych dobrach na Żmudzi wykopane. Były wykopaliska i w dawniejszych czasach: w Połocku w Akademii Jezuickiej, w słynnym w swoim czasie Muzeum hr. Józefa Kossakowskiego jenerała, w końcu cenne nawet przedmioty, szczególnie bronzowe, w zbiorach uniwersytetu wileńskiego, na które jednak nikt żadnej uwagi nie zwracał, a nawet gdy te bogate zbiory po kasacie uniwersytetu w r. 1832 przewiezione zostały do Kijowa, Charkowa i innych miast, kollekcya wykopalisk porzuconą została w składach na strychu, skąd je w r. 1855 wydobył Eustachy hr. Tyszkiewicz, tworząc Muzeum wileńskie. Były gabinety osobliwości, jak u Michała hr. Walickiego i ks. prałata Grozmaniego w Wilnie, Jerzego Kobylińskiego w Mińsku, w odwiecznym dębie Baublisie, w majątku Bordzie Paszkiewicza na Żmudzi. W ostatnim szczególnie zbiorze miały być ciekawe zabytki mitologiczne; w innych obok piwa grzanego skamieniałego, jak patetycznie twierdził Kobyliński, były i cenne zabytki bronzowe, a najwięcej kamiennych — lecz wszystko to niewyjaśnione, niezrozumiane, służyło raczej dla zabawki, niż dla nauki.

Kraków, posiadający tak liczne i bogate zabytki sztuki średniowiecznej, nadał wyłączny kierunek badaniom i pracom uczonych. O wykopaliskach przedhistorycznych i mowy nie było. Wprawdzie profesor Łepkowski i w ogóle wydział archeologiczny byłego Towarzystwa naukowego troszczyli się o zbieranie wykopalisk luźnie znajdowanych i już oddawna przy Towarzystwie tworzyć się zaczęło Muzeum starożytności, w którem jest wiele przed-

miotów bardzo ciekawych, ale dziś niewiadomo nawet skąd niektóre z nich pochodzą, gdzie, kiedy, przez kogo i przy jakich okolicznościach znalezione. Następnie prof. Łepkowski żarliwie wziął się do utworzenia gabinetu archeologicznego przy uniwersytecie Jagiellońskim, który dziś i pod względem zabytków pierwotnych jest już bardzo bogaty. Wykopaliska zdobiące go pochodzą z rozmaitych stron, jako dary przedmiotów przypadkowo znalezionych, a w niewielkij ilości ze zbadań przez prywatne osoby przedsiębranych.

Pierwsze, systematyczne naukowe badania zabytków przedhistorycznyah w Krakowskiem i całej Galicyi zarządzone zostały w r. 1873, a te ponawiają się rok rocznie. Delegaci Akademii otrzymują możliwy zasiłek na poszukiwania. Tym sposobem, chociaż jeszcze nie wyczerpująco, zbadane zostały bliższe okolice Krakowa, po nad Wiśle w okolicy Tarnobrzegu i Nizin, Pokucie, Podole galicyjskie, i okolice Bolechowa w Stryjskiem i kilka innych miejsc wę wschodniej Galicyi. Wykopaliska dobyte przez wycieczki delegatów Akademii z jaskiń, mieszkań nadwodnych grodzisk, cmentarzysk, grobów kamiennych i płytowych, oraz z kurhanów, zdobią dziś Muzeum akademickie w znacznej ilości tak, że Muzeum dziś już należy do najbogatszych pod względem wykopalisk. Wszystkie przedmioty jak wydobyte z ziemi, tak również z darów prywatnych i nabyte po śmierci Bolesława Podczaszyńskiego, złożone systematycznie nie podług materyału, z którego zdziałane, jak to się zwykle dzieje po innych Muzeach, ale podług rodzajów samych zabytków, z których wydobyte zostały. Tak np. wykopaliska z jaskiń, z nadwodnych mieszkań, z cmentarzysk i t. d. zawierając w połączeniu to wszystko co gdzie znaleziono. Tylko przedmioty przypadkowo odkryte stanowią dział osobny. Naukowe, a nawet eleganckie uporządkowanie, zawdzięcza Muzeum pracy p. Godfryda Ottowskiego.

Każdy tom „Wiadomości do antropologii krajowej“ zawiera trzy działy (z osobną paginacyą): archeologiczno-antropologiczny, antropologii w ściślejszem znaczeniu i etnologiczny. W pierwszym dziale mieszczą się sprawozdania delegatów Akademii, jak również archeologów z po za granic Galicyi. Mamy tu prace: Dra. Dudrewicza, Glogiera, Jażdżewskiego, Kirkora, Dra Kopernickiego,

hr. Koziebrodzkiego Szczęsnego, Ossowskiego, Przybysławskiego, Popowskiego, Radzimińskiego, Rulikowskiego, prof. Dra Sokołowskiego, Umińskiego, Ziemięckiego i kilku innych.

Dział drugi, antropologii w ściślejszem znaczeniu, od dość dawna już ściśle obrabiany za granicą, nie istniał prawie w naszej literaturze. Wprowadził go i pierwsze drogi utorował przezacny prezes akademii Dr. Majer. Mając na celu określenie charakterów fizycznych, ludności obecnie żyjącej, obliczenia długości życia miejskiej i wiejskiej ludności, roczny przyrost ciała u ludu i t. p. jednem słowem to wszystko, co ma na celu ścisłe, oparte na antropometrycznym materyale i danych liczbowych za pewien przeciąg czasu, badanie fizycznej charakterystyki ludu. Znaleźli się i pomocnicy, którzy już umiejętnie tę gałęź opracowują, jak Dr. Buszek, Dr Kopernicki, Dr. Ściborowski i inni.

W końcu dział III, etnologiczny, ma na celu badania psychiczno-społeczne ludności, zwyczaje, obyczaje, mowę, wierzenia, przesądy, gusła i zabobony, pieśni, przysłowia i wszelkie inne właściwości etnograficzne. Wiele już materyałów ogłoszono w tych 8 tomach z dziedziny etnologicznej, a najwięcej się przyczynili do wzbogacenia tego wydawnictwa swojemi pracami, zasłużony wielce Oskar Kolberg, Grajnert, Petrow, Dr. Karłowicz, ks. Siarkowski, ks. Brykczyński, Dr. Dybowski, Dr. Wierzbicki, Podbereski Andrzej (ważne materyały do demonologii ukraińskiego ludu), Gustawicz i inni. Nadto pocieszającą jest rzeczą, że nasze damy, nawet panny, bardzo gorliwie wzięły się do zbierania materyałów etnologicznych. Praca to wdzięczna i bardzo właściwa dla kobiet, choćby z tego stanowiska, że wymaga wielkiej cierpliwości. Mylą się ci, którzy sądzą, że to rzecz łatwa. Tak nie jest. Lud nasz niechętnie wykrywa przed obcymi tajnie swego wewnętrznego życia, nie z każdym dzieli się uczuciami, nie zawsze wyśpiewa swe dumki, swoje przygodne pieśni. Trzeba zyskać jego zaufanie, trzeba umieć zniżyć się do niego, zastosować się do jego pojęć i po nitce wydobywać z niego materyał. Z tych względów nasze panie i panny mają środków więcej i umiejętności więcej do wydobywania z ludu tak ważnych dla nas materyałów etnologicznych. Jakoż mamy już prace tego rodzaju pań i panien:

Rokosowskiej, Moszyńskiej, Stablewskiej, Mierzejewskiej, Tomaszewskiej, Stadnickiej i w końcu najważniejsze, znanej już ze swych przedwyborczych fejletonów etnologicznych (drukowanych) w „Czasie“, w „Kuryerze Warszawskim“ i innych pismach, np. Rękawka, Dzień Zaduszny, Symbolika wiosenna i w. i.) pani Stefanii Ulanowskiej. Posiada ona umysł spostrzegawczy w wyższym stopniu rozwinięty, umie przynęcać do siebie lud i wydobywać z niego masę materyałów do charakterystyki umysłowej ludu naszego służących. Ale nadto posiada wiedzę etnologiczną, umie ściśle zastosować się do wymagań nauki, nie przeładowuje rzeczami niemającemi większego znaczenia, szczególnie w pieśniach ludowych. Pieśń gminna ma doniosłe znaczenie, ale tylko wtedy, jeśli jest związaną z obrzędem, z uroczystością świąteczną lub familijną, jeżeli nosi cechę odległej przeszłości, w końcu jeśli dobitnie maluje uczucie, dowcip i ustrój umysłowy ludu. Lecz po za tem, masa jest pieśni dorywczych, ulotnych, nic zgoła nieznamionujących, a często nawet sromotnych. Nam się zdaje, że właśnie ogłaszanie drukiem takich bezbarwnych pieśni jest rzeczą zbyteczną, narażającą na koszt zupełnie niepotrzebny.

VIII tom Wiadomości do Antropologii krajowej zawiera w dziale pierwszym sprawozdanie Dra Kopernickiego o poszukiwaniach archeologicznych w Horodnicy nad Dniestrem p. Władysława Przybysławskiego, dokonanych w latach 1878—1882 (z 2-ma tablicami rysunków). Ta Horodnica naddniestrzańska na Pokuciu położona, z przyległościami, to prawdziwy Halstadt polski. Od lat 8 już p. Przybysławski kopie tam i bada grodzisko, groby płytowe, stacye przedhistoryczne i nieprzerwanie znajduje coraz to nowe wykopaliska kamienne, kościane, ceramiczne, wreszcie bronzy, żelazne wyroby itd. Dr. Kopernicki niejednokrotnie dzielił pracę i sam badał rozmaite zabytki wśród tych odwiecznych siedzib pokuckich. P. Przybysławski zdołał wykształcić kilku robotników zręcznych do rozkopywania grobów. Otóż oni, dobrze wynagradzani, czuwają nad robotami, jakie się odbywają na polach i w ogrodach włościańskich, a każde przypadkowe odkrycie tym sposobem trafia do zbiorów p. Przybysławskiego. Jakoż zgromadził on znaczne kollekcye rozmaitych wykopalisk, a oprócz hojnych darów złożonych dla Muzeum aka-

demickiego, posiada już i własne Muzeum w majątku swoim niedaleko Horodnicy, w Czortowcu.

Dalej mamy w tym tomie artykuł p. Czesława Neymana (z 2 tab. rys.) z Ukrainy o wykopaliskach z kurhanów we wsi Jerczykach Żydowieckich i Żydowcach w powiecie Skwirskim; sprawozdanie A. H. Kirkora o badaniach w okolicach Zaleszczyk i Zbaraża; sprawozdanie G. Ossowskiego z badań paleo-etnologicznych w jaskiniach okolic Ojcowa. Oprócz wyrobów ręki ludzkiej, krzemiennych, kamiennych, kościanych, z rogu renifera, ceramicznych, wydobył p. Ossowski z tych jaskiń kości kopalne, a mianowicie mamuta, nosorożca, konia kopalnego, hyeny plamistej, niedźwiedzia jaskiniowego, żubra kopalnego, renifera, żuhaka itd. W końcu mamy tu jeszcze sprawozdanie p. T. N. Ziemięckiego z badań w Haliczu, Kryłosie i Podhorcach.

Dział drugi, tj. antropologii w ściślejszem znaczeniu, zawiera pracę Dra Władysława Ściborowskiego p. t.: „Trwanie życia w Krzeszowicach i okolicy na zasadzie wykazu zmarłych w ciągu lat pięćdziesięciu (1834—1883)". Dr. Ściborowski powiada, że zachęciły go do tej pracy poprzednie badania prezesa Dra Majera, który ogłosił w 1881 r. „Uwagi nad trwaniem życia w Krakowie, na zasadzie wykazu zmarłych w latach 1859 do 1868"; Dra Jana Buszka, który opracował (1882) „Porównanie trwania życia ludności chrześcijańskiej i żydowskiej w Krakowie od r. 1855—1880" i Dra Antoniego Janiszewskiego, który nadesłał wykazy śmiertelności w Glinianach w latach 1855—1880, obliczone przez prezesa Majera (1883). Bogatego materyału dostarczył Dr. Ściborowskiemu stryj jego, kanonik Konrad Ściborowski, od r. 1847 proboszcz w Krzeszowicach, który wypisał z ksiąg parafialnych zmarłych w ciągu lat pięćdziesięciu w Krzeszowicach, Czatkowie i Zbiku, stanowiących parafię krzeszowicką. Rezultat ciekawego tego opracowania jest taki: że śmiertelność w pierwszym roku życia największa, bo $^1/_5$ ogólnej cyfry zmarłych; tęż samą liczbę daje $11^1/_2$ lat następnych, a w dalszych latach największą śmiertelność przedstawiają pięciolecia od roku życia 36—40 (448 na 5447); od 46—50 (352), od 26—30 (335) i od 56—60 (309). Dziewięćdziesiątego roku życia i przeszło (do 102) doczekało się 3 mężczyzn i 6 kobiet (na 1000).

Dział III, t. j. materyały etnologiczne, najobfitszy. Mamy tu „Pieśni ludu ruskiego“, zebrane przez Bolesława Popowskiego, 176 pieśni; dalej „Zwyczaje i pieśni ludu wielkopolskiego“, z rękopismu pozostałego po ś. p. Józefie Lipińskim, uporządkowane i objaśnione przez O. Kolberga. Zbiór ten, powiada Kolberg, nabiera jeszcze większej wagi ze względu na czas, w którym był dokonany, gdyż wyprzedził o lat 30 własne Kolberga poszukiwania. Praca Lipińskiego zawiera: 1) Kolędy, 2) Podkoziołek, 3) Maik, 4) Oracye, 5) Dyngus, 6) Wieniec i Pieśni rozmaite (w ogóle 302). — Z okolic Pliskowa w powiecie Lipowieckim, panna Z. D. zebrała „Materyały etnograficzne“, opracowane przez C. Neymana. Zawierają one artykuły p. t.: Kraj i lud, Ubiory, Dom, Byt, Wierzenia, Mowa, a następnie poprzedzone uwagami wstępnemi, Pieśni weselne, Korowaj, Rozplatanie warkocza, zapraszanie na wesele, ślub, oczepiny i t. d.; Pieśni obrzędowe doroczne, Kolędy, Szczedrówki wielkopostne, wielkanocne, kupajłowe; później Pieśni bytowe, Pieśni historyczne o Polsce, o Neczaju, o panu Kaniowskim; Pieśni podaniowe (ballady); Pieśni miłosne; Pieśni rodzinne; Pieśni żartobliwe, w ogóle 307 pieśni, a do wielu z nich dodane nuty. Na zakończenie zamieszczono kilka tak zwanych Besed i Powieści, niektóre bardzo ciekawe i charakterystyczne. Wdzięczność należy się pannie Z. D. i p. Neymanowi za ten bogaty, umiejętnie opracowany przyczynek do etnografii krajowej. Ostatni artykuł w tym tomie nosi tytuł: „Niektóre materyały etnograficzne we wsi Łukowcu“ (mazowieckiem), zebrane przez Stefanię Ulanowską. Właściwie Łukowiec leży w osobnej dzielnicy książąt Mazowieckich, w ziemi Czerskiej, na pograniczu z ziemią Liwską. Są domysły, dość wiarogodne, że ziemię Czerską zaludniły Jadźwingi. I dziś jeszcze w przysłowiach mieszkańcy Łukowca wspominają o Mendogu, piosnki swoje nazywają dàjneckami, nazywają siebie nie Mazurami, ale Podlasianami, a tych, którzy bliżej ku Wiśle mieszkają, nazywają Powiślanami, albo Krzycanami. Są więc rozmaite odcienia etnograficzne, dokładnie uwidocznione w tej pracy, a ponieważ sama mowa, chociaż mazurska, ma także niektóre odrębności językowe, przeto p. Ulanowska dodała słowniczek wyrazów gwary miejsco-

wej. Cała praca zawiera opisy kraju, ludu, mowy, bytu, zwyczajów dorocznych, obrzędów. Następują Pieśni ludowe, a dalej Wierzenia, podania, wróżby i czary, gusła, leki, zamawiania, kończą Bajki i przysłowia. Wspomnieliśmy już o rzadkim talencie spostrzegawczym p. Ulanowskiej, o umiejętności pociągania ku sobie ludu i wydobywania z niego życiowych, dla ogółu nieprzystępnych, tajemnic. Stwierdza to wszystko ta ostatnia praca, a świadczy dowodnie, że etnologia krajowa znalazła w niej uzdolnioną i wiele obiecującą pracownicę.

Podana przez nas treść VIII tomu może dać wyobrażenie o całości tego nader użytecznego wydawnictwa.

A. H. Kirkor.

Nowy dziennik lwowski „Przegląd“. Chociaż wiele już u nas dzienników, w obec szczupłej liczby czytających, zawsze jednak za mało ludzi wytrawnych, ludzi zasad, poświęcających się trudnemu zawodowi oświecania opinii kraju i kierowania jego aspiracyami. Każdy nowy przybytek w tej mierze jest szczęśliwym dla kraju nabytkiem. Witamy więc z radością zapowiadające się pismo, chociaż bowiem nie otrzymaliśmy jeszcze szczegółowego programu, dowiadujemy się z różnych stron, że „Przegląd“ ma zgromadzić uzdolnione pióra, pod sztandarem konserwatyzmu. Rozumiejąc pod tem słowem myśl zachowywania i bronienia wszystkiego, na czem byt społeczeństw, a w szczególności byt naszego społeczeństwa spoczywa — a więc w pierwszym rzędzie religii katolickiej — żywimy nadzieję, że choć na odmiennym i o wiele skromniejszem polu pracując, zgodzimy się zawsze z „Przeglądem“ w zasadach i dążeniach.

Wyrazić jednak musimy dzisiaj pewną obawę z powodu ogłoszenia pomieszczonego w *Czasie*, może źle zrozumianego. Czytamy tam, że Przegląd będzie wychodził „codziennie, z wyjątkiem jedynie większych świąt“. Te słowa nasuwają myśl, że Niedziela nie będzie wyjęta — co byłoby rzeczą niewłaściwą i z programem pisma konserwatywnego polskiego wcale niezgodną. W krajach, w których wszystkie gazety w niedzielę wychodzą, można wyrozumieć, że pisma broniące dobrej sprawy poddają się tej konieczności, by dotrzymać placu pismom liberalnym, tak w polemice, jak pod względem świeżości nowin. Jest to *dura necessitas*. Ale w kraju, którego katolicki charakter i tem między innemi się zaznacza, że żadna gazeta w niedzielę nie wychodzi, dać przykład przeciwny, zmusić tem samem innych do współzawodniczenia tym samym sposobem, zepsuć tę piękną cechę naszego kraju — to się nie robi pod sztandarem konserwatyzmu. Poważne pismo takich środków reklamy nie potrzebuje. Wolimy więc przypuścić, że pod imieniem „większych świąt“ Redakcya miała i niedzielę na myśli.

W sprawie jubileuszu św. Metodego. Program obchodu w Welehradzie ułożony już jest przez centralne komitety i oczekuje tylko zatwierdzenia ks. kard. Fürstenberga. Tyle dziś donieść możemy, że główny dzień obchodu przeniesiony jest na 5-go lipca. Ponieważ sam dzień śmierci św. Metodego 6-go kwietnia, przypada tym razem w poniedziałek Wielkanocny i pogoda o tej porze roku jest bardzo niepewną, najwłaściwiej było przenieść główną uroczystość na dzień, w którym Kościół święto Apostołów słowiańszczyzny obchodzi.

Druk ukończony dnia 26 listopada 1884.

BAZYLIANIE I REFORMA DOBROMILSKA.

(Dokończenie.)

Oddając staranie około przeprowadzenia reformy zakonu św. Bazylego Jezuitom, Ojciec św. pamięta o tem, że *laudata virtus crescit* „uznanie przyczynia dzielności“, i dlatego mówi: *fructus exspectare licet laetos et uberes, idque eo magis, quod cultores expetantur, quorum alias est in opere eodem industria spectata, scilicet sodales e Societate Jesu, quos ipse S. Josaphat et Velaminus Rutski Metropolita adjutores optimos experti sunt.* „Owoców (z re- „formy) spodziewać się można obfitych i pożądanych, a to tem „więcej, że powołujemy do niej robotników, którzy w tej samej „sprawie dali już znakomite dowody swojej biegłości, t. j. zakon- „ników z Towarzystwa Jezusowego, w których to sam św. Jozafat „i metropolita Welamin Rutski swego czasu wyśmienitych znaleźli „pomocników“. Jakkolwiek dobrze czujemy, że nie dorośliśmy miary naszych dawnych ojców, którzy jak nad uświęceniem św. Jozafata, tak nad nawróceniem całej Polski, Litwy i Rusi z cudownym prawie skutkiem pracowali, przecież ufamy w Tym, który nas do trudnej tej pracy przez usta swego na ziemi Namiestnika powołał, że za łaską Jego nasza też praca w Imię Boże i z posłuszeństwa podjęta, i niejednego z pośród nas uświęci, i zakonowi OO. Bazylianów a przezeń całej Cerkwi ruskiej przyniesie taki pożytek, jakiego Ojciec św. i z nim wszystek Kościół katolicki po niej się spodziewa.

Przechodzi już Ojciec św. do szczegółowych postanowień: „Dla uporządkowania zakonu Bazyliańskiego w monasterach ga- „licyjskich, powagą Naszą Apostolską rozporządzamy, co następuje

„i święcie zachować przykazujemy". Przykazujemy, *praecipimus*; jak więc inne przykazania kościelne wszystkich w ogóle wiernych, tak samo i postanowienia niniejszej konstytucyi obowiązują tych, dla których są wydane w sumieniu i pod grzechem. Więc mianowicie Bazylianie i Jezuici, obowiązani są w sumieniu ściśle wypełnić co im w tej konstytucyi Namiestnik Chrystusowy nakazuje. Ci zaś, którzy przeciw rzeczonej konstytucyi podnosili lub teraz jeszcze podnoszą formalny bunt, niemniej jak ci, co wnosili przeciw niej protest do władzy państwowej, a zatem świeckiej, i wszelkiemi sposoby usiłują odstraszyć czy to X. Sarnickiego, czy też Jezuitów od wiernego spełnienia włożonego na nich przez Stolicę św. obowiązku, podlegają ekskomunice *latae sententiae* na mocy konstytucyi *Apostolicae Sedis*: §. VIII. *Recurrentes ad laicam potestatem ad impediendas litteras vel acta quaelibet a Sede Apostolica, vel ab ejusdem Legatis aut Delegatis quibuscunque profecta, eorumque promulgationem vel executionem directe vel indirecte prohibentes, aut eorum causa sive ipsas partes, sive alios laedentes vel perterrefacientes.* „Uciekający się do „władzy świeckiej dla udaremnienia rozporządzeń lub aktów ja„kichkolwiek od Stolicy św., lub tejże legatów albo delegatów „wydanych, jakoteż ich ogłoszeniu lub wykonaniu wprost albo „pośrednio przeszkadzający, i z ich powodu czy to sameże strony „czy też innych uszkadzający albo nastraszający" [1].

„Chcemy, mówi dalej Ojciec św., aby sławny zakon św. Ba„zylego na Rusi tak był przywrócony, iżby jego członkowie do

[1] Dla nieobeznanych z prawem kościelnem dodajemy, że ekskomunika, czyli klątwa kościelna jest karą przedewszystkiem duchowną, która winowajcę wyklucza ze społeczności z Kościołem i odsądza go od wszystkich z tą społecznością połączonych praw i łask. W szczególności wzbrania mu sprawowania jakiegokolwiek urzędu kościelnego, przyjmowania Sakramentów świętych, udziału w modlitwach i odpustach Kościoła itp. Tak samo jak rozgrzeszenie z niektórych grzechów szczególnie ciężkich, np. podpalanie, mężobójstwo, kazirodztwo i t. d. zastrzeżone bywa biskupom, a względnie kapłanom przez biskupów do tego wyraźnie upoważnionym, tak też rozgrzeszenie z ekskomuniki w niektórych ważniejszych wypadkach w prawie wymienionych jest zastrzeżone Papieżowi. Dalej wymierza się ekskomunikę albo *ipso facto* bez wyroku, lub też za wyrokiem dopiero.

„wykonywania obowiązków kapłańskich należycie przygotowani „około wiecznego dusz zbawienia dzielnie się krzątali. I w tej „mierze niczego tak bardzo nie pragniemy, jak żeby starali się „naśladować swojego drugiego (po św. Bazylim) Ojca, św. Joza- „fata, i o ile możności jak najwięcej przejęli się duchem dosko- „nałej jego miłości". Zakony w ogóle dzielą się na kontemplacyjne i czynne; nie jakoby mogły istnieć zakony tak oddane kontemplacyi i modlitwie, aby od wszelkiego do pracy i uczynków miłosiernych obowiązku były wyjęte, albo tak poświęcone pracy, żeby wolno im było zapomnieć na obowiązek modlitwy i potrzebę kontemplacyi; ale, że w miarę jak jeden lub drugi kierunek w którym zakonie przeważa, a raczej im mniej lub więcej czynność każdemu zakonowi właściwa, członków jego zostawia w ukryciu, lub wprowadza w styczność ze światem. Tak więc Trapiści, Kameduli, Karmelitanki itp. bynajmniej nie próżnują, i niemało też do zbawienia ludzkiego przyczyniają się swoją modlitwą, pracą i umartwieniem; ale, że mało tylko, lub wcale nie udzielają się światu, dlatego należą do zakonów kontemplacyjnych. Siostry zaś miłosierdzia, Dominikanie, Franciszkanie i inni z pewnością niemało się modlą i rozmyślają (bo bez tego przestaliby być zakonnikami, a nawet i chrześcijanami), ale że według powołania swego mniej lub więcej mają ze światem styczności, przeto zaliczają się do zakonów czynnych. Tak więc i Bazylianie według woli Stolicy św. mają być zakonem czynnym, powołani są do pracy apostolskiej, a wzorem ich ma być szczególniejszym sposobem wielki ich reformator św. Jozafat. I jak dalej każdy mniej więcej zakon ma swoją szczególną cechę, czyli żeby dobitniej się wyrazić, swoją szczególną cnotę, którą nie zaniedbując innych cnót, przecież nad inne pielęgnować w synach swoich usiłuje: Franciszkanie np. celować powinni zamiłowaniem ubóstwa, Jezuici posłuszeństwem, Siostry miłosierne miłosierdziem i t. d. — tak też niezawodnie z natchnienia Bożego Ojciec św. Bazylianom wskazuje cnotę miłości, takiej jaką odznaczał się św. Jozafat, jako tę, którą ma nad inne nadać im cechę właściwą i z pośród innych zakonów ich wyróżniać. „W tym „celu chcemy, aby nowicyat prawomocnie ustanowiony był w mo- „nasterze Dobromilskim, dyecezyi Przemyskiej, któregoto mona-

„steru świątynia i zabudowania wraz z całym majątkiem, prawami „i dochodami na rzecz tegoż nowicyatu pójść ma".

Ponieważ w dawnych krajach polskich z wyjątkiem jednej Galicyi nie ma już zakonów, a stąd mało są znane techniczne wyrazy do życia zakonnego się odnoszące, i mało też znany tryb życia zakonnego w ogólności, więc niezawadzi może, że niektóre tu położę objaśnienia, które przydadzą się też do lepszego zrozumienia dalszych postanowień Konstytucyi *Singulare Praesidium*. Pospolicie bywa w zakonach aspirantura czyli kandydatura, potem nowicyat, który się kończy *votis simplicibus* ślubami prostemi. Po nowicyacie następuje scholasteryum, czas nauk dla tych, co mają pracować jako kapłani lub nauczyciele, który to czas jest zarazem jakoby dalszą próbą, ażali młody zakonnik daje dostateczną rękojmię wytrwania na obranej drodze, i może bezpiecznie uczynić profesyę zakonną, albo też przyjąć święcenia kapłańskie. Kościół Boży bowiem wychodzi z tej zasady, że każdy stan, a zwłaszcza taki, którego odmienić niemożna, jeżeli ma tak jak powinien służyć ku zbawieniu wiecznemu a nie potępieniu, potrzebuje z strony Boga łaski powołania, z strony zaś naszej dokładnego zastanowienia i rozpatrzenia się. A im który stan jest wyższy, im większa jego doniosłość dla dobra powszechnego, tem wyraźniejsza też powinna być łaska powołania, i tem dojrzalsze zastanowienie się. Tak więc gdzie społeczeństwo głęboko przejęte jest nauką i duchem Kościoła Chrystusowego, tam oglądają się w zawarciu np. małżeństwa, które jest stanem nieodmiennym, na „wolę Bożą", i aby ją poznać, nieszczędzą ni modlitwy, ni jałmużny, ani innych dobrych uczynków, niejednokrotnie też zastanawiają się nad obowiązkami jakich się mają podjąć, i czy im sprostać zdołają. Czegoś podobnego, ale w nierównie wyższym stopniu żąda Kościół od tych, co mają w zakonie poślubić się Panu Bogu. Ktokolwiek zgłasza się do zakonu, badają go przedewszystkiem, czy jest rzeczywiście od Boga powołanym. Główniejszemi zaś znakami prawdziwego powołania są wolna i własna wola zgłaszającego się, czystość pobudek, dla których się zgłasza, i przymioty duszy i ciała odpowiednie do zadania zakonu, do którego się kto zgłasza. Niech jednego tylko z tych trzech główniejszych znaków braknie, bę-

dzie powołanie co najmniej wątpliwe, i chyba wyjątkowo przyjmą takiego do zakonu dbającego jeszcze o swoją całość i przyszłość. Ale chociaż też kto wszystkim tym wymaganiom zadosyć czyni, przecież jeszcze nie stanowczo, ale na próbę go tylko przyjmują. Powinien przebyć najprzód aspiranturę czyli kandydaturę, w której ma czynem już dowieść, że wolna i własna jego wola, która go do zakonu wprowadziła, jest dosyć też silną, aby go w nim utrzymać, że pobudki jego tak czyste i święte, iżby nietylko wstąpił do zakonu, ale też aby w zakonie żył prawdziwie po zakonnemu — czy wreszcie przymioty jego nie są pozorne tylko ale rzeczywiste. O tej kandydaturze odnośnie do Bazylianów mówi Ojciec św.: „Monaster Dobromilski niech przyjmuje, ilu ich czy „to z ruskiego czy też z łacińskiego obrządku oświadczy się „z pragnieniem wstąpienia do zakonu Bazyliańskiego. Wszelako „niemają być przyjmowani jeno tacy, o których, że są dobrzy „i odpowiedni, będzie wiadomem nietylko z należytych o obycza„jach i przeszłości ich świadectw i z listów ordynaryatów, tak „miejsce urodzenia jak i zamieszkania, ale też z półrocznej próby, „którą dla dowiedzenia swojej uczciwości i stałości w obrębie mu„rów klasztornych odbędą, zanim habit zakonny przywdzieją".

Zadaniem znów nowicyatu jest to, aby pragnący się Bogu w zakonie poświęcić, dokładnie poznali cały tryb życia zakonu i do niego się wprawiali, oraz aby i oni sami i przełożeni ich dokładnie się przekonali, czy każdy z nich ma tyle łaski Bożej i tyle hartu duszy, aby mógł bez własnej, zakonu i Kościoła szkody w swoim czasie związać się dozgonnemi ślubami ubóstwa, czystości i posłuszeństwa. Stąd w nowicyacie nauki są rzeczą podrzędną, i tyle tylko czasu na nie się przeznacza, ile koniecznie potrzeba, aby nowicyusze nie ze wszystkiem zapomnieli, czego się kiedyś na świecie byli nauczyli, i aby dowiedli jaką mają chęć i zdolność do zajęć naukowych. Głównem zaś zadaniem nowicyuszów jest poznać swój zakon i jego ustawy i zwyczaje, oraz wprawić się do wszystkich cnót, jakich życie zakonne wymaga; a więc do zamiłowania ubóstwa i doskonałej bezinteresowności, do anielskiej prawdziwie skromności, do ścisłego i gotowego na wszystko krom grzechu posłuszeństwa, do szczerej i wytrwałej pobożności, do głębokiej pokory i zupełnej prostoty połączonej

z prawdomównością i otwartością, do cierpliwości, do wytrwałości i odwagi, i nadto wszystko do nieobłudnej i gotowej na ofiary a bynajmniej nie pieszczotliwej miłości. Ponieważ nowicyat tak samo jak kandydatura jest li tylko próbą, więc póki ją nie skończył nowicyusz każdy, jakkolwiek nosił już habit, ma niezaprzeczone prawo wystąpić z nowicyatu i powrócić na świat, tak samo jak i przełożeni zakonu mogą każdego czasu go wydalić dla każdej słusznej przyczyny. Dopiero po przebyciu nowicyatu, gdy i on i przełożeni na to się zgadzają, składa nowicyusz śluby dożywotnie i tem samem staje się zakonnikiem. Po ślubach tych bez ciężkiego grzechu wiarołomstwa, o powrocie na świat zakonnikowi już ani pomyśleć się nie godzi. O nowicyacie Dobromilskim tak mówi Konstytucya: „Dobromilscy nowicyusze mają być wpra„wiani do wszelkiej pobożności i zakonnej doskonałości według „reguły zakonu Bazyliańskiego i karności przez św. Jozafata „wprowadzonej. A ponieważ koniecznie chcemy, żeby obrządek „i uprawnione zwyczaje ruskie nietykalnie były zachowane, niech „obmyślą i postarają się o to przełożeni Monasteru, aby przybrali „którego z kapłanów ruskich, coby w cerkwi klasztornej odpra„wiał nabożeństwa i sprawował śś. Sakramenta według obrządku „ruskiego: oraz, aby młodzież zakonna pilnie uczyła się liturgii „i ceremonii ruskich. Taż młodzież niech przywyka należycie od„prawiać pacierze w chórze, i wszelkie posty zwyczajne i ścisłe „według przepisów św. Jozafata niech zachowuje, chociaż prze„pisy te przełożony klasztoru roztropnie miarkować może". Niechże więc uspokoją się ci, co obawiają się o latynizowanie lub polszczenie Bazyliańskiej młodzieży; Jezuici jak dotychczas, tak też nadal szczerze i ściśle zastosują się do słowa Ojca św.: „konie„cznie chcemy, żeby obrządek i uprawnione zwyczaje ruskie nie„tykalnie były zachowane".

„Po złożeniu ślubów prostych ma się młodzież zakonna pod „kierownictwem kapłanów z Towarzystwa Jezusowego ćwiczyć „w naukach wyzwolonych: a następnie filozofii i teologii pod ty„miż mistrzami uczyć się mają, i to według zasad św. Tomasza „z Akwinu. Po upływie trzech lat od złożenia ślubów prostych „wolno im będzie uczynić profesyę uroczystą w zakonie św. Ba„zylego, z zachowaniem wszelako przepisów wydanych przez śp.

„Piusa IX. poprzednika naszego, mianowicie konstytucyi: *Ad uni-*
„*versalis Ecclesiae* z d. 7 lutego 1861 r.“ Po skończonym dopiero nowicyacie rozpoczynają się studya. Według systemu w Towarzystwie Jezusowem od trzech wieków z dobrym skutkiem używanego, — a ten Ojciec św. młodym Bazylianom przepisuje, skoro im za nauczycieli daje kapłanów z tegoż Towarzystwa — do nauk wyzwolonych wchodzą znajomość języków klasycznych i krajowych i nauka wymowy; filozofia obejmuje oprócz kwestyj ściśle filozoficznych matematykę, fizykę i w ogóle nauki przyrodnicze; teologia wreszcie wykłada się głównie dogmatyczna i moralna; hermeneutyka, egzegeza i inne nauki teologiczne nie pomijają się całkowicie, stoją jednak na drugim już planie. System taki nie ma pretensyi, aby nauczyć wszystkich wszystkiego, lecz dając to co wszystkim jest potrzebne jako podstawa do dalszego kształcenia się samodzielnego, zostawia czas młodzieży i dodaje ochoty do szerszych i więcej specyalnych studyów. W zakonie zaś powołanym jak Bazylianie do pracy apostolskiej, zamiłowanie pracy umysłowej i ściśle naukowej jest *conditio sine qua non,* niezbędnym warunkiem odpowiedniego wpływu na społeczeństwo i dalszego rozwoju własnego, a nawet utrzymania życia zakonnego. Bo gdy jedni zakonnicy przy większej gorliwości i wśród sprzyjających stosunków będą ustawicznie zajęci pracą ściśle apostolską, drudzy znajdą jeszcze coś czasu wolnego, którego bez zamiłowania nauk, łatwoby na rzeczach powołaniu zakonnemu obcych, na polityce i gazetach, belletrystyce, lub w końcu na próżnych pogadankach strwonili. W dalszem następstwie zakonnik nie kochający pracy umysłowej w rzeczach tych rozmiłuje się nad miarę i roznamiętni się, a tem samem otworzy sobie i znajdzie drogę do wszelkiego rodzaju nadużyć.

Żeby jeszcze objaśnić różnicę zachodzącą między ślubami prostemi a uroczystemi, czyli profesyą zakonną, dodać musimy, że śluby proste są wprawdzie dożywotnie, jednak w danym razie mogą z nich zwolnić przełożeni zakonni; po profesyi zaś bez osobnego i nader rzadkiego upoważnienia Stolicy św. nikt z zakonu wydalony być nie może. W Dobromilu jednak dla wyjątkowych zupełnie stosunków sobie zastrzegła Stolica św. prawo wydalania tych nawet, co mają śluby tylko proste. *Qui vota simpli-*

cia rite ediderint, eos abire ne liceat citra Sedis Aplicae auctoritatem, excepto quod evidens necessitas urgeat, quae cunctationem nullam recipiat. Dalej profesya zakonna daje rozleglejsze nierównie prawa w zakonie, niżeli śluby proste, z drugiej jednak strony obowiązuje do większej doskonałości i staranności, i by użyć trywialnego może lecz trafnego z profesyą rzemieślniczą porównania: kiedy terminatorowi lub czeladnikowi uchodzi jeszcze, że czasem partaczy, majstrowi wielki stąd wstyd, tak też uchybienie niejedno jeszcze wybaczyć można temu, co jeszcze nie złożył profesyi zakonnej, lecz trudniej puścić profesowi. Zawiera jeszcze Konstytucya niektóre inne szczegółowe przepisy, które powyżej pominąłem, żeby nie przerywać toku rozprawy. Mianowicie nakazuje, żeby „Mnisi zakonu Bazyliańskiego w Galicyi na przy„szłość nowicyat odbywali przez czas naznaczony w monaste„rze Dobromilskim: inaczej, profesya ich zakonna ma być nie„ważną i niebyłą“. Dwie rzeczy w tem postanowieniu się zawierają, a obie są przykazane pod nieważnością profesyi: najprzód jest przepis, jaki we wszystkich zgoła zakonach istnieje, aby czasu nowicyatu ani o jeden dzień nie skracano; drugi zaś właściwy i prawdopodobnie obowiązujący tylko do czasu Bazylianów galicyjskich, aby nowicyat odprawiano jedynie w monasterze Dobromilskim. Przepis ten ma znaczenie wielkiej bardzo doniosłości. Kiedy reformowali się Franciszkanie lub Karmelici, nie wydano podobnego postanowienia, i tym sposobem stało się, że istnieją Karmelici trzewiczkowi i bosi, a obok Bernardynów, Reformatów i Kapucynów są też Franciszkanie dawnej obserwancyi. Z Bazylianami rzecz się ma inaczej. Ponieważ jedynie w Dobromilu wolno im odbywać nowicyat, więc do czasu tylko będą Bazylianie dawni, a powoli zastąpią ich Bazylianie Dobromilscy. W miarę tego jak dawnym Bazylianom ubywać będzie sił, a przybywać ich będzie Dobromilskim, monastery jedne po drugich albo opustoszeją, albo przejdą w ręce Bazylianów Dobromilskich tak samo, jak to się stało z monasterem Ławrowskim.

„Ponieważ, mówi inny ustęp Konstytucyi, sprawa reformy „tego zakonu wiele przedstawia trudności, które wymagają szcze„gólnej pieczołowitości i powagi Stolicy św., przeto jego kiero„wnictwo Sobie i następcom naszym, Papieżom rzymskim, zastrze-

„gamy i sprawować je będziemy przez Kongregacyę Pro„pagandy dla spraw wschodnich, póki sama św. Sto„lica Apostolska inaczej nie rozporządzi. Tejże Kongregacyi „Propagandy nadajemy prawo i władzę mianowania i obrania, „po należytem zbadaniu zdania mnichów, protoihumena czyli „prowincyała zakonu tego w Galicyi. Ten tedy zakon Bazyliański „wyjmujemy z pod zwykłej powagi i jurysdykcyi metropolity „i biskupów ruskich, i niniejszem exemcyę mu przyznajemy: nie „naruszając wszelako tej władzy, jaką Sobór trydencki w tego „rodzaju sprawach przyznaje biskupom jako takim, lub jako de„legatom Stolicy apostolskiej“. Przewidywał więc Ojciec św. trudności, które brak zastanowienia lub dobrej woli miał wywołać, jak niemniej te, które z natury rzeczy z każdą reformą muszą być połączone, i rozumiejąc, że ordynaryaty biskupie może nie mogłyby im podołać, bierze zakon w bezpośrednią swoją opiekę. Ma przecież exemcya zakonów w ogóle inne jeszcze znaczenie, i dlatego jest ona w Kościele Chrystusowym rzeczą bardzo zwyczajną, bo prawie wszystkim znaczniejszym zakonom przyznaną. Zakony, tak samo jak wszelkie korporacye, jeżeli nie mają się rozprzędz, potrzebują koniecznie silnie zorganizowanej i jednolitej hierarchii. Już zaś te zakony, które rozprzestrzeniają się na więcej niż jednę dyecezyę, gdyby nie były z pod władzy biskupów wyjęte, podlegałyby nie zawsze jednolitym, a mimo to uprawnionym wpływom tychże biskupów. Łatwo więc zdarzyćby się mogło, że w jednej dyecezyi zaprowadzonoby zwyczaje w drugiej całkiem nieznane i tem samem weszłyby do zakonu rozmaite najprzód różnice a następnie i rozdwojenia. Niemniej łatwo zachodziłyby wypadki, w których biskup obowiązany mieć na oku przedewszystkiem dobro swej dyecezyi, rozporządzałby osobami i pracą zakonników, inaczej niż tego ogólne dobro zakonu wymaga. Wreszcie wobec powagi biskupa, który według zwyczajnego porządku rzeczy bywa łatwo przystępnym, nikłaby coraz więcej powaga zakonnych przełożonych, i zeszłaby do rozmiarów powagi n. p. dziekańskiej. Ktokolwiek zaś zna bliżej życie zakonne, łatwo zrozumie, jak to wszystko szkodliwie na zakon oddziaływaćby musiało. Jest inna jeszcze przyczyna exemcyi, a jest nią powszechność i jedność Kościoła katolickiego, która to właśnie

w exemcyi zakonów ma swój właściwy bardzo wyraz, ale razem potężną też dźwignię. Exemcya ściślej niż cokolwiek innego łączy zakony z Stolicą św. i przez nią z całym Kościołem. Jeżeli zaś gdzie to tam, gdzie jakby na kresach Kościół w szczególniejszy sposób jest zagrożony, potrzeba tej ścisłej z Stolicą św. spójni.

Przystępuję wreszcie w uwagach swoich nad Konstytucyą *Singulare Praesidium* do kwestyi materyalnej, która jakkolwiek sama z siebie powinnaby być najpodrzędniejszą, przecież agitatorom musiała służyć za główny pretekst do licznych i nieustających protestów. W tej mierze znajduję w naszej Konstytucyi następujące tylko ustępy, które tak samo jak wszystkie inne w tej rozprawie umieszczone, w dosłownem podaję tłómaczeniu: „Świątynia i zabudowania monasteru Dobromilskiego wraz z całym „majątkiem, prawami i dochodami przejdzie na rzecz tegoż nowi„cyatu. Nowicyatu rzeczonego ustanowienie i rząd, idąc w tem za „przykładem starych Ojców, mianowicie św. Jozafata i metropolity „Welamina Rutskiego, powierzamy Towarzystwu Jezusowemu na „tak długo, aż w samymże zakonie Bazylianów znajdą się mę„żowie, którymby Stolica św. uznała za dobre zarząd monasteru „Dobromilskiego oddać; nakazujemy zatem, aby kilku wybranych „z Towarzystwa Jezusowego kapłanów jak najrychlej objęło pro„wadzenie i zarząd Dobromilskiego klasztoru i nowicyatu... Tymże „kapłanom z Towarzystwa Jezusowego ma protoihumen, z za„strzeżeniem praw własności Bazylianom przysługujących, oddać „wymieniony monaster, nam już dobrowolnie ofiarowany wraz „z całym jego majątkiem i dochodami, i o tem oddaniu ma być „sporządzony dokument prawomocny. Majątkiem tym i dochodami „z majątku na utrzymanie klasztoru i zakonników przeznaczonemi „zawiadywać mają kapłani z Towarzystwa Jezusowego, a to nie „z ramienia Bazylianów, ale z ramienia Propagandy, której też „co roku rachunek z dochodów i rozchodów... sumiennie zdawać „będą powinni".

Według tego rozporządzenia, Jezuici objęli monaster i fundacyę Dobromilską nie na własność, bo ta zastrzeżona została Bazylianom, ale w zarząd tylko, a to zarząd pod wielu względami ograniczony, bo 1°: powinni monasterem i majątkiem jego zarządzać według jego przeznaczenia t. j. „na utrzymanie klasztoru

i zakonników“ do niego należących; 2⁰ powinni corocznie zdawać rachunki z swego zarządu Propagandzie, z której ramienia zarząd ten objęli; 3⁰ mają pozostać przy tym zarządzie tak długo tylko, jak tego dobro samychże Bazylianów, według uznania Stolicy św., wymagać będzie, „aż w samymże zakonie Bazylianów znajdą się mężowie, którymby Stolica św. zarząd monasteru Dobromilskiego oddać uznała za dobre“. O wynagrodzeniu Jezuitów za pracę ich, czy to nad wychowaniem nowicyuszów, czy nad kształceniem młodzieży Bazyliańskiej, czy wreszcie przy zarządzie majątku podjętą, w całej Konstytucyi nie ma wzmianki; i rzeczywiście żadnego wynagrodzenia za to Jezuici nie pobierają, ani pretensyi do niego sobie nie roszczą. Niegodna to była ludzi uczciwych, bo na kłamstwie oparta agitacya, którą chyba chwilowem roznamiętnieniem agitatorów wytłómaczyć jakkolwiek można, że usiłowano w publiczność wmówić, że Jezuici złakomili się na majątki Bazyliańskie, i owszem Ojca św. nakłonili, aby na ich rzecz Bazylianów po prostu — używam słowa, niestety zbyt często wypowiedzianego — o k r a d ł. Pomijając całą błahość tego zarzutu, jest on zbyt wstrętny, aby się jeszcze szerzej nad nim rozwodzić.

Konstytucya *Singulare Praesidium* doszła rąk nuncyusza papieskiego J. X. Vanutellego d. 15 maja 1882 w Przemyślu, gdzie wówczas zostawał z powodu konsekracyi J. X. Biskupa przemyskiego Łukasza Soleckiego. Natychmiast wezwał mię do siebie, doręczył egzemplarz Konstytucyi własnoręcznym swym podpisem w dowód autentyczności opatrzony, i polecił bezwłocznie zająć się wykonaniem zawartych w niej rozporządzeń Stolicy św. Ponieważ przepisywała Konstytucya, aby o objęciu monasteru sporządzono „dokument prawomocny“, do tego zaś potrzebna była interwencya władzy państwowej, udałem się, po poprzedniem porozumieniu się z prowincyałem OO. Bazylianów, do w. Namiestnictwa we Lwowie i do Ministeryum spraw duchownych w Wiedniu, aby wyrozumieć w jaki sposób należałoby postąpić dla sporządzenia tego „prawomocnego dokumentu“. Twierdziły niektóre czasopisma, że p. minister spraw duchownych w radzie państwa, w odpowiedzi na interpellacyę w sprawie Dobromila przez niektórych posłów ruskich wniesioną, miał się tak wyrazić,

jakoby Jezuici byli rządowi przyznali prawo odwołania ich z Dobromila, gdyby tego interes państwa wymagał. Gdyby nawet podobnej deklaracyi wymagano, Jezuici nie byliby mogli jej dać, bo nie od rządu, ale od Stolicy św. odebrali monaster ten w swój zarząd, a nadto sobie zastrzegła Stolica św. prawo to, kiedy w Konstytucyi orzekła: „powierzamy Towarzystwu Jezusowemu „na tak długo, aż w samymże zakonie Bazylianów znajdą się „mężowie, którymby Stolica św. zarząd monasteru Dobromilskiego „oddać uznała za dobre". Chyba więc za poprzedniem porozumieniem ze Stolicą św., albo też jedynie prawem mocniejszego, mógłby rząd wydalić Jezuitów z Dobromila. W pierwszym wypadku, Jezuici nie mieliby powodu, w drugim zaś nie mieliby siły do oporu. Zresztą nie ma podobno racyi brania takiej ewentualności w rachubę, gdyż w reformie Bazylianów, z różnych może pobudek jednakowo przecież rząd i Kościół są interesowani. Doznałem też w pertraktacyach o objęcie Dobromila tak we Lwowie jak w Wiedniu wiele uprzejmości i wszelkiego ułatwienia. Już d. 16 czerwca 1882 r. nastąpiło oddanie nam Dobromila. Ze strony OO. Bazylianów uczestniczyli: O. Klemens Sarnicki prowincyał i ówczesny superyor dobromilski O. Teliszewski; Jezuitów reprezentował O. Gaspar Szczepkowski i ja jako prowincyał: z ramienia rządu prowadził całą czynność starosta dobromilski p. Friedrich. Władza biskupia reprezentanta żadnego nie miała, ponieważ Bazylianom świeżo była przyznana exempcya, która Bazylianom od dawna już służy.

Według inwentarza przy tej sposobności sporządzonego, oddano w zarząd Jezuitów cerkiew murowaną niedawno zrestaurowaną i dobrze utrzymaną. Klasztor murowany wprawdzie, ale w wysokim stopniu zdezolowany i zabudowania folwarczne przy klasztorze, dalej wieś Bukowę wydzierżawioną wraz z propinacyą za roczny czynsz 2000 złr., młyn Dręczak wydzierżawiony za 300 złr. rocznie, folwark o 50 morgach ogrodu i pól i 48 morgów lasu przy klasztorze, kapitałów fundacyjnych w papierach wartościowych 114.000 złr. z rocznym dochodem 5344 złr., oszczędności na restauracyę klasztoru przeznaczonych 10.000 złr. i nieco gotówki, tudzież przybory kościelne, bibliotekę i sprzęty domowe. Podatków z tego majątku rozmaitych opłacał monaster rocznie

1300 złr., a do funduszu religijnego 1025 złr. Cała ta sprawa odbyła się jak najuczciwiej i bez najmniejszego sporu; i załatwiła się w przeciągu dwóch dni. W Dobromilu od wielu już lat przebywało po dwóch lub trzech tylko księży; przy oddaniu klasztoru w zarząd Jezuitów, klasztor cały składał się z Superyora i dwóch zakonników, wiekowego już księdza i jednego nowicyusza. Księży przeniósł ks. prowincyał Bazylianów do innych klasztorów, nowicyusz pozostał w Dobromilu. Zarząd monasteru objął przeznaczony też na mistrza nowicyuszów O. Gaspar Szczepkowski, do pomocy dodano mu OO. Pawła Makowskiego i Kazimierza Riedla, tudzież trzech braci do posług domowych. Pierwszem staraniem nowego przełożonego było zrestaurowanie klasztoru. Gmach to obszerny po części z kamienia, częścią z cegły budowany; położony jest na stoku wysokiej góry w miejscu pięknem wprawdzie, ale pod wielu względami bardzo niekorzystnem Tuż za klasztorem spina się stroma lesista góra, skąd dom cały po same okna parterowe przysypany był ziemią, mury przesiąkły wilgocią, i z pod fundamentów nawet dobywały się źródła. Mała liczba mieszkańców w tak znacznym gmachu przyczyniła się jeszcze do jego dezolacyi. Okna, drzwi, podłogi, dach, słowem wszystko prawie potrzeba było dać nowe, zanim było można pomyśleć o przyjęciu większej liczby nowicyuszów, i jakkolwiek dla zakonników niewiele potrzeba sprzętów, sprawić było trzeba łóżka, stoły, szafy, krzesła, pościel, bieliznę i t. d. w dostatecznej ilości. Na tych zajęciach zeszły letnie miesiące, i resztę restauracyi domu musiano odłożyć na następujące lato.

Tymczasem rozeszła się wieść o objęciu Dobromila przez Jezuitów po całym kraju. Skrajne dzienniki ruskie podniosły alarm, wszczęła się agitacya namiętna i nieprzebierająca w środkach. Jakkolwiek Konstytucyę *Singulare Praesidium* wcześnie przetłómaczono na ruski, polski i niemiecki język, i drukiem ogłoszono, przecież niewiele snać ją czytano, a jeszcze mniej rozumiano. Chciano w niej koniecznie się dopatrzyć, więc też dopatrzono się zamachu na narodowość i obrządek ruski. Dzienniki polskie, zwłaszcza liberalne, temsamem, że prawie bez wyjątku poczęły pierwszy może raz występować wcale stanowczo, choć nie zawsze zręcznie, a rzadziej jeszcze z należytym spoko-

jem i przedmiotowością w obronie Stolicy św. i Jezuitów, zdawały się jeszcze więcej to błędne zapatrywanie potwierdzać. Mimo, że JJXX. biskupi ruscy uspakajali, agitacya coraz szersze obejmowała koła wśród samychże Bazylianów, świeckiego duchowieństwa i intelligencyi. Posypały się protesty jedne gwałtowniejsze od drugich, wystosowane już to do Stolicy św., już też do rządu; nie szczędzono też pogróżek i żółci przeciw Jezuitom i temu, którego uważano za głównego sprawcę mniemanego nieszczęścia, O. Sarnickiemu. Ci z OO. Bazylianów, którzy w pierwszej chwili dali się pociągnąć do wniesienia protestu przeciw rozporządzeniu Stolicy św., prędko się opamiętali i za pośrednictwem swego prowincyała uzyskali przebaczenie. Duchowieństwo też świeckie podobne zrazu wnosiło protesty; lecz skoro X. Metropolita Józef Sembratowicz zrezygnował z swojej godności, i gdy za nim dwóch wybitniejszych kanoników od św. Jura ustąpiło z kapituły i konsystorza, niższe też Duchowieństwo może nie ze wszystkiem zmieniło swoich zapatrywań, ale jednak mniej głośno już z niemi się odzywało. Jedna tylko t. zw. intelligencya i dziennikarstwo usiłowało podtrzymywać walkę. W tym celu pojawiały się w każdym prawie numerze wszystkich czasopism ruskich artykuły, korespondencye, felietony i satyry najrozmaitsze na temat Dobromila i Jezuitów; chwytano lub w razie potrzeby tworzono i rozpowszechniano plotki nieraz aż do śmieszności dziwaczne, nie szczędzono nawet wstrętnej broni potwarzy. Jezuici przyzwyczajeni znosić większe niż ta w szklance wody burze, nie mięszali się, lecz spokojnie dalej robili, co do nich należało. We wrześniu 1882 r. otworzyli formalnie już nowicyat, i od razu pokazało się, że bynajmniej nie cała Ruś była dla nich i dla powierzonej im reformy Dobromilskiej źle usposobioną. W krótkim czasie zebrało się dwudziestu przeszło młodzieży wszelkiego stanu, bo synów księży, urzędników, mieszczan i włościan. Przyłączyło się do nich dwóch młodych księży z pośród dawnych Bazylianów, którym osobnym dekretem Stolica św. pozwoliła przyjąć reformę z tym warunkiem, aby przebyli rok w nowicyacie Dobromilskim. W liczbie tej znajdowało się trzech tylko Łacinników. Jak w każdym zakonie tak i w Dobromilu łatwiej rozpocząć życie zakonne, niżeli

w niem wytrwać. Nic więc dziwnego, że niejeden z tych, co wstąpili, po mniej lub więcej krótkim czasie przekonał się, lub okazał, że nie potrafi sprostać obowiązkom życia zakonnego, i powrócił na świat; nigdy jednak poczet młodzieży nie zmniejszał się i obecnie doszedł już do poważnej liczby czterdziestu osób. A tryb życia w nowicyacie Dobromilskim przynajmniej ze stanowiska tych, coby chcieli według dzisiejszych pojęć żyć, a może nawet i zbawić się *sans gêne et sans fatigue*, jest prawdziwie nie łatwy: wstaje się o godzinie 5, po półgodzinnem rozmyślaniu idzie się do chóru na pacierze cerkiewne i mszę św. Pacierze zaś te w obrządku ruskim są bez porównania dłuższe, niżeli w łacińskim, i trwają mianowicie w niektóre święta większe 5—6 godzin, zwykle zaś przynajmniej 2 lub 3 godziny na dzień. Dalej bywa dwa razy na dzień rachunek sumienia, konferencya o regułach i obowiązkach zakonnych, nauka religii, śpiewu liturgicznego i ceremonii. Reszta czasu zajęta jest czytaniem książek duchownych, posługami w domu i cerkwi lub też inną ręczną pracą. Prócz wspólnej rekreacyi po obiedzie i po kolacyi, przez cały dzień ścisłe zachowuje się milczenie. Podczas obiadu i kolacyi lektor czyta do stołu głośno duchowną książkę. Czasu wolnego t. j. takiego, którego nowicyusz może według własnego użyć upodobania, zostawia się bardzo niewiele, bo zaledwie tu i owdzie jakiś kwadrans; a dzieje się to z zasady, aby nowicyusze wcześnie przywykali zwyciężać we wszystkiem własne swoje zachcianki i swoje widzimisię. Bo więcej niż innych cnót, potrzeba zakonnikowi posiadać cnotę wewnętrznego umartwienia, według onego słowa Pańskiego: „Jeśli kto chce być uczniem moim, niech zaprze samego siebie i pójdzie za mną“. Ale ćwiczą ich także w dobrowolnem umartwieniu zewnętrznem i w innych cnotach, mianowicie w akuratności i sumienności, w prostocie i szczerości, w pokorze i cierpliwości, w miłości i uprzejmości i we wszelkiej skromności.

Językiem zwyczajnym w monasterze jest język ruski, używanie jednak języków, łacińskiego, polskiego i niemieckiego bynajmniej nie jest wykluczonem. Mówią po rusku i Jezuici w Dobromilu będący. Jeden tylko mistrz nowicyuszów używa zwyczajnie polskiego języka, nie z zasady, ale dla tego poprostu,

że ruskiego języka nie dosyć posiada i już nie jest w wieku do uczenia się. Chętnie bylibyśmy i na ten urząd dali którego z księży naszych władających językiem ruskim; ale potrzebuje urząd mistrza nowicyuszów już sam z siebie tyle zalet, że jak to we wszystkich zakonach jest rzeczą wiadomą, na stu zakonników ledwie jeden je w jakiejkolwiek mierze posiada. Na to bynajmniej jeszcze nie wystarcza być przykładnym i pobożnym, ale potrzeba znać życie zakonne równie dokładnie jak serce ludzkie, na zaufanie nowicyuszów nietylko zasługiwać, ale też umieć je sobie pozyskać i zastosować; potrzeba posiadać roztropność, przenikliwość i czujność niezwykłą, wolną wszelako od wszelkiego choćby cienia podejrzliwości — słowem, te same przymioty, które powinien mieć dobry dusz kierownik, wszystkie w nierównie wyższym, by nie powiedzieć znakomitszym stopniu, potrzebuje mieć mistrz nowicyuszów, by módz kierować takimi, co są powołani ażeby sami kierownikami dusz zostali. W Dobromilu w szczególności urząd ten był podwójnie trudny, bo kiedy gdzieindziej pospolicie mistrz nowicyuszów przychodzi do rzeczy gotowej, i zastaje jakikolwiek zastęp nowicyuszów już mniej albo więcej wyrobionych, zastaje pewne tradycye, i nieraz wiekami uświęcone zwyczaje; w Dobromilu to wszystko było potrzeba dopiero stworzyć, a stworzyć nie według własnej myśli, lub pilnie od młodości pielęgnowanych ideałów, ale według wskazanego wolą Ojca św. wzoru śś. Bazylego i Jozafata. Nadto w warunkach zwykłych, mistrz nowicyuszów miewa swoich poprzedników, których w trudniejszych wypadkach poradzić się może: w Dobromilu i tej pomocy miał być pozbawiony[1]. Potrzeba więc było przeznaczyć na to stanowisko takiego, coby nietylko posiadał odpowiednie zalety,

[1] Ci, którzy poczytywali to za ujmę i prawie krzywdę wyrządzoną duchowieństwu ruskiemu, że na przeprowadzenie reformy Dobromilskiej nie powołano kogo z księży ruskich, niechby się zastanowili, jak trudno znaleść osobistości odpowiednie na kierowników młodzieży w seminaryach, a potem, wykluczywszy rozumie się księży żonatych i wdowców mających córki, niech policzą takich, coby posiadali potrzebne dla mistrza nowicyuszów i reformatora zakonu wiadomości i zalety, dawali przeszłością swoją należyte rękojmie jakiegokolwiek prowadzenia, a wreszcie chcieli i mogliby się bezinteresownie podjąć długoletniej i bądź co bądź mozolnej pracy.

ale dawałby zarazem całą swoją przeszłością rękojmię, że za łaską Bożą podoła tak trudnemu zadaniu. Wybór koniecznie musiał paść na takiego, coby posiadał ruski, albo przynajmniej polski język, bo niemiecki język od 1868 r. w galicyjskich szkołach mało używany a tem mniej łaciński, nie wystarczał już, aby zawiązać i podtrzymywać tak bliski i poufały stosunek, jaki koniecznie musi łączyć mistrza z jego nowicyuszami. Poruczono to stanowisko O. Szczepkowskiemu, który piastowawszy we własnym zakonie przez lat pięć urząd rektora i zarazem mistrza nowicyuszów w Starejwsi, następnie przez drugie lat pięć urząd prowincyała, a potem znów obowiązki rektora w Tarnopolu i powtórnie w Starejwsi, przez te długie lata przełożeństwa dał dowody, że wymienionym wymaganiom sprostać potrafi.

Niemała to była dla zakonu Jezuitów ofiara, jakiej domagało się posłuszeństwo dla Stolicy św., pozbyć się na długie prawdopodobnie lata pracy męża, który tak znaczne mu oddawał usługi. Zalecało ks. Szczepkowskiego jeszcze i to, że przebywszy parę lat w szkołach Buczackich, wyniósł z nich niemało przywiązania do dawnych Bazylianów. Przecież nie podobało się to niektórym, że O. Szczepkowski Polakiem i podniesiono obawę, aby nie zechciał polonizować młodych Bazylianów, i poczęto nalegać na rząd i na Stolicę św., aby, jeżeli koniecznie już Jezuici mają być w Dobromilu, stał na ich czele przynajmniej nie polski Jezuita. Skoro Ojciec św. napomknął tylko, że może byłoby pożądanem aby uwzględnić te obawy, Jezuici najmniejszego w tej mierze nie stawiali oporu, lecz natychmiast poczęli szukać między sobą takiego, coby przy odpowiednich, jeżeli nie na mistrza nowicyuszów, to przynajmniej na rektora zaletach, posiadał zarazem jakikolwiek słowiański język. Zamianowany tedy został rektorem O. Eryk Brandiss z prowincyi austryacko-węgierskiej (nie z Brandysów w Krakowskiem osiadłych, ale jeden z synów b. namiestnika Tyrolu hr. Brandissa), posiadający język horwacki i mający w ogóle wielką do słowiańskich języków łatwość. Pozwolono mu parę miesięcy czasu, aby przynajmniej wsłuchał się w język ruski i polski, a w początku 1883 r. kazano mu objąć swój urząd, na którym po dziś dzień zostaje, jakkolwiek zawiązane poprzednio w Bośnii stosunki raz poraz go do dłuższych

w one strony wycieczek zmuszają. Mimo to, narzekania na latynizowanie i polonizowanie młodzieży Dobromilskiej nie ustawały, a podobno w pewnych przynajmniej sferach nie ustaną, chybaby Jezuitów w Dobromilu zastąpiono jakim Naumowiczem albo Cybikiem. A jak błahe nieraz drobiazgi muszą służyć za podstawę do tych narzekań, niech mi wolno będzie na to choć jeden przytoczyć przykład. Niewiedzieć skąd wzięła się wiadomość, że młodym Bazylianom w Dobromilu mają golić, lub już nawet wygolono tonzury. Faktycznie tyle w tej wiadomości było prawdy, że razu jednego, nie wiem już z jakiej okazyi, zapytywali nowicyusze, dlaczego łacińscy księża noszą tonzury a ruscy jej nie noszą, i otrzymali odpowiedź, że dawniej Bazylianie, przynajmniej tak samo jak wszyscy zakonnicy, golili tonzury. Bez poprzedniego orzeczenia Propagandy, Jezuici i tak mało znaczącej zmiany w tem, co jest na Rusi powszechnie przyjętem, samowolnieby sobie nie pozwolili. Przecież kwestyę tonzury (Niemcy powiedzieliby może „um des Kaiser's Bart“) wyśrubowano do rozmiarów attentatu na całą Cerkiew i obrządek ruski; ale przytem niestety nie wiedziano, albo nie spostrzeżono się, że zwyczaj golenia tonzury powstał pierwotnie nie na Zachodzie, lecz między mnichami na Wschodzie, a stamtąd dopiero przeniósł się na Zachód; gdyby więc miano zwyczaj ten przywrócić, byłoby to nie tyle latynizowaniem, co raczej nowym zwrotem do dawnych obrzędów wschodnich. Zresztą, jak ściśle Jezuici w Dobromilu pojmują swój obowiązek zachowania i szanowania obrządku ruskiego, niech z pośród innych szczegółów, które mógłbym przytoczyć, posłuży za dowód to, że sami za szczególną dyspensą, zamiast właściwego nam postu sobotniego, zachowują ruski post w środę. Żeby nie mięszać cerkiewnego porządku obchodzeniem łacińskich swoich świąt i utrzymywaniem w Cerkwi przen. Sakramentu, według obrz. łać. poświęcanego, urządzili sobie kosztem własnego zakonu na czas swego w Dobromilu pobytu osobną zupełnie kaplicę. O polonizacyjne zaś tendencye chyba ten ich posądzać może, kto ich nie zna. Jezuici jakiejkolwiek narodowości, chociaż nieraz inaczej ich posądzają, kochają z pewnością szczerze swój kraj i swój naród, ale z pewnością też zbyt wysoko cenią swoje powołanie i posłannictwo, aby go

mieli nadużywać dla popierania interesów narodowych, a cóż dopiero narodościowych.

Lud ruski względem reformy Dobromilskiej w ogóle przychylnie był usposobiony. W Dobromilu od samego początku chętnie i coraz tłumniej garnął się do Cerkwi na nabożeństwo, kazania i katechizmy, które, rozumie się, wszystkie według obrządku ruskiego i w języku ruskim się odbywały. Dopiero kiedy zwołano przeszłego roku wiec do narodnego domu we Lwowie, agitacya zwróciła się więcej do ludu. Na wiecu owym podnoszono pomiędzy krzywdami wyrządzonemi Cerkwi i narodowości ruskiej przedewszystkiem wprowadzenie Jezuitów do Dobromila. Z tego powodu uchyliło się od udziału w nim ruskie duchowieństwo, ostrzeżone przez X. biskupa administratora lwowskiego, że nie godzi się synom, a tem więcej sługom Kościoła uczestniczyć w manifestacyi, wymierzonej wyraźnie przeciw postanowieniom Stolicy św. Tem śmielej perorowano na wiecu owym przeciw Stolicy św. i Jezuitom. Uchwalono rezolucye, ponowne protesty i interpelacye. Jednym z bezpośrednich skutków wiecu było, że w okolicy Dobromila usilniej niż kiedykolwiek krzątano się koło tego, aby lud ruski odstręczyć od Cerkwi, Jezuitów i Bazylianów jak ich próbowano przezwać „Reformatów“ Bazyliańskich. Gdybym uważał denuncyacye za broń godziwą, mógłbym wymienić niektóre niepochlebne a całkiem autentyczne szczegóły o osobach i sposobach, których w tym celu użyto. Na razie agitacya ta nie była zupełnie bezowocną; powoli jednak zdrowy i katolicki zmysł ludności ruskiej poczyna przeciw tej agitacyi oddziaływać, i znowu wierni zaczynają liczniej się schodzić na nabożeństwo i kazania, uczęszczać do śś. Sakramentów, i przysyłać dzieci swoje na katechizacye, głoszone teraz już nie przez Jezuitów, lecz przez młodych Bazylianów stopniowo do pracy apostolskiej się wprawiających.

W jesieni roku przeszłego kilku z młodzieży, którzy już skończyli swój nowicyat, rozpoczęli pod przewodnictwem O. Kazimierza Riedla swoje studya humanitarne, w których dla wydoskonalenia się na przyszły rok otrzymają nowego jeszcze profesora. W tymże też czasie, z niemałą pociechą swoją i przewodników swoich, pierwsza garstka ich złożyła śluby swoje zakonne

według formułki w Rzymie aprobowanej. Mimo wszystkie protesty i gniewy ludzkie, a może też aby je nagrodzić, Pan Bóg rozpoczętej reformie widocznie błogosławił. Nowicyat ciągle wzrastał i w liczbę i w cnotę. Dziś już pochlubić się możemy, że między młodzieżą bazyliańską jest szczere i gorące przywiązanie do powołania i życia zakonnego, jest życie z wiary, jest zapał święty, który w Bogu nadzieja, że już nie zgaśnie. Mógłbym przytoczyć nie jeden szczegół budujący i rozrzewniający o tej młodzieży, szczęśliwie bo po Bożemu, się rozwijającej; lecz ponieważ dyskrecya na to nie pozwala, chętnie to jedno wyznaję, że ktokolwiek z nas miał sposobność bliżej przypatrzyć się naszym nowicyuszom jezuickim i nowicyuszom bazyliańskim, waha się którym przyznać pierszeństwo.

Nie mniejszej też pociechy doznaliśmy z uznania, jakiem pracę naszych księży w Dobromilu zaszczyca Ojciec św. Z powodu jeneralnej kongregacyi naszego zakonu, byliśmy z O. Szczepkowskim przeszłej jesieni zmuszeni na kilka tygodni wyjechać do Rzymu, i przy tej sposobności otrzymaliśmy posłuchanie u Ojca św. Nietylko wtenczas osobiście okazał nam swoje zadowolnienie, ale powtórnie jeszcze upoważnił któregoś z prałatów, aby nam wypowiedział, jak bardzo się cieszy z tego, co w Dobromilu już się zrobiło, i jak go niejako w dwójnasób obchodzi reforma Dobromilska, gdyż ją uważa i za sprawę kościelną wielkiego znaczenia, i za swe osobiste dzieło.

Ciągły jednak i nadspodziewanie szybki wzrost nowicyatu nowe za sobą pociągał trudności. Zaczynało brakować miejsca, zaczynało też niedostawać środków utrzymania coraz liczniejszej czeladki Chrystusowej. Jakkolwiek powiodło się uzyskać pewne zniżenie podatków na monasterze ciążących, podnieść też cokolwiek dochody przez uregulowanie gospodarstwa leśnego, korzystniejsze też na przyszłość zawrzeć kontrakty dzierżawne, przecież na utrzymanie czterdziestu przeszło osób nie mogło wystarczyć to, czem się przedtem dwóch do trzech zakonników utrzymywało. O zamknięciu nowicyatu, i coby było koniecznym tego zamknięcia skutkiem, o podcięciu rozpoczętego dzieła, nie było można myśleć. Porozumiawszy się więc z ks. Sarnickim i Propagandą, stanęło na tem, żeby kolonię reformy Dobromilskiej osadzić w Ławrowie.

Ks. Prowincyał Sarnicki, pod którego zarządem zostawało jeszcze trzynaście monasterów, a między nimi Buczacz, obowiązany do utrzymywania niższego gimnazyum, i kilka klasztorów mających parafie i szkółki parafialne, rozporządza na obsadzenie wszystkich tych miejsc zupełnie niedostateczną liczbą czterdziestu zaledwie księży, a między nimi niemało jest wiekiem lub chorobą złamanych. Ze względu więc na potrzeby własnej prowincyi, niemniej jak dla dalszego rozwoju rozpoczętej reformy, chętnie się zgodził na ten projekt, choć przewidywał, że spadnie za to na niego nowy nawał inwektyw i potwarzy. Prasa, która wie o wszystkiem, i o tem się dowiedziała, ruskie pisma uderzyły na alarm a niektóre skrajniejsze dzienniki polskie zaczęły im wtórować. Snać opatrzyły się z niemałą podobno dla samejże sprawy korzyścią, że reforma Dobromilska nie jest kwestyą polityczną, ani narodową, lecz zupełnie kościelną; w wspólnej więc walce przeciw uroszczeniom Kuryi Rzymskiej i znienawidzonym Jezuitom mniemały, że znajdą możność jakiegokolwiek pogodzenia się ze skrajnymi żywiołami Rusi. Jeszcze nie były szczegóły względem Ławrowa ostatecznie ułożone, a już dzienniki i za nimi któryś z posłów ruskich w Radzie Państwa twierdził, że nowa powódź Jezuitów zalała Ławrów. Mimo to agitacya jakoś słabo się wiodła, i brakło jej tego szerokiego rozgłosu, jaki miała wtenczas, gdy chodziło o Dobromil. Zorganizowano wiec, ale nie już wszechnarodny, jako roku przeszłego, bo może obawiano się, że duchochowieństwo, a skutkiem tego i ludność wiejska i małomieszczańska nie dopisze, lecz zaproszono tylko mieszczan lwowskich. Żeby jednak wiec nie miał zbyt małych rozmiarów, postanowiono odbyć go w tym czasie, kiedy lud ruski na dzień św. Jura ciągnie gromadnie do Lwowa. To też było na wiecu niemało niewiast i takich, co nie wiedzieli, jak i po co tam się dostali, i jak któryś z nich zapytany przez księdza ruskiego co ón tam robił? powiedział: to i kazali przyjść i wołać: „prawosławie“ i „srom“, tośmy i poszli i wołali „prawosławie“ i „srom“. Obrano deputacyę, która ma wnieść zażalenie o Ławrów do ministrów, do nuncyusza a ostatecznie i do Najjaśniejszego Pana. Wybrani wybór ten przyjęli, do Wiednia prawdopodobnie pojadą, to wiem z dzienników; ale tego nie wiem, i wcale nie pojmuję, jakiego

rodzaju skargę wnieść zamierzają, chyba tę, że Bazylianie w Ławrowie byli, i że Bazylianie znowu w Ławrowie są.

Rzeczywiście dnia 25 kwietnia b. r. oddał prowincyał Bazylianów ks. Klemens Sarnicki zarząd monasteru i fundacyi Ławrowskiej O. Żukowskiemu Bazylianinowi, jednemu z tych księży, których Konstytucya „*Singulare praesidium*“ już w zakonie zastała, i który dobrowolnie przyłączył się do reformy. Księży, którzy poprzednio byli w Ławrowie, przeniósł ks. Sarnicki do innych monasterów. JE. biskup przemyski bez trudności wydał polecenie, aby temuż O. Żukowskiemu oddano też zarząd parafii z monasterem Ławrowskim połączonej. Rząd nie widział potrzeby interweniowania w sprawie oddania Ławrowa, tak jak interweniował przy oddaniu Jezuitom Dobromila, bo w ogóle nie ma zwyczaju uczestniczyć w przekazywaniu z rąk do rąk parafii klasztorom którymkolwiek inkorporowanym. Jezuici ani przy oddaniu Ławrowa nie asystowali, ani żaden z nich w Ławrowie nie osiadł. Zostaje tam jeden O. Żukowski z kilkoma braćmi swoimi, których z Dobromila przywiózł. Lud wreszcie ruski coraz więcej przechyla się na stronę reformy. Tak, gdy ks. Żukowski rozpoczął swoje urzędowanie w Ławrowie od tego, że z towarzyszami swoimi poszedł do chóru i z nimi odśpiewał pacierze kapłańskie i służbę Bożą odprawił, ludu z powodu nowości, było w cerkwi więcej niż zwykle; gdy po nabożeństwie wyszli z cerkwi, i dla pogadanki po zwyczaju zatrzymali się na cmentarzu, jeden z najstarszych odezwał się: tak samo jak dziś, bywało dawniej za młodych lat moich codzień w cerkwi; odżyli podobno nasi dawni dobrzy Bazylianie, to i znów będzie chwała Boża, a i nam będzie też lepiej. A któryś z lwowskich przedmieszczan rusin, który nie wziął podobno udziału w wiecu, z tem się odezwał: czegoż to oni chcą? Bazylianie póki im Jezuici nie przyszli na pomoc, to choć który młody do nich się przyplątał, i u nich podkarmił i wyuczył, wnet ich porzucił i szedł na jakie probostwo. Gdyby tak było poszło dalej, to w końcu zabrakłoby Bazylianów, monastery pustkamiby zostały i byłby je rząd pozabierał. A ledwie Jezuici przybyli, to młodych tyle podobno do zakonu wstępuje, że im się opędzić nie mogą, a tym młodym tak dobrze, że choćby którego wyganiali, to i pójść mu się nie chce. — Jedno tylko dziennikarstwo i część

intelligencyi z niem się solidaryzująca, nie dają za wygraną, i wciąż na nowo przeciw reformie Dobromilskiej powstają. Czy z korzyścią dla Cerkwi i dla Rusi? Wątpię bardzo, bo w miarę tego, jak trwa ta agitacya, i wrzawą swoją przygłusza zdrowsze objawy prawdziwie ruskiej myśli, w miarę tego też Rzym trwa w swoich obawach o całość Unii i prawowierność Rusi, a rząd nieśmie dowierzać lojalności Rusinów. Czy taki stosunek Rusi do Rzymu i Wiednia może być dla niej korzystnym? Chyba jedynie w oczach tych, co dla Rusi zbawienia doczesnego spodziewają się od Rosyi, a wiecznego szukać chcą w schizmie.

Pragnąłem pracą niniejszą nie drażnić ale koić i złagodzić umysły, dlatego starałem się jak najmniej polemizować. Jeżeli mimo to w przedmiocie tak blisko i szczerze mię obchodzącym, wypowiedziałem może jakie słowo zbyt ostre lub ubliżające, chętnie je złagodzę, nawet odwołam gdzie bez ujmy prawdy to będzie możliwem. Starałem się dalej ściśle we wszystkiem prawdy trzymać, bo jestem przekonany, że prawda zawsze i wszędzie najlepszą jest bronią tak zaczepną jak odporną. Czy mi uwierzą? Nie wiem; lecz chętnie powiem do wszystkich mianowicie księży, reformę Dobromilską jeszcze dla jakichkolwiek powodów podejrzywającyeh, *venite et videte opera Domini*, pójdźcie a zobaczcie co w Dobromilu i w sercach tej młodzieży waszej, a teraz z chlubą dodaję już i naszej, spowodowała nie praca nasza ale łaska Boża, ale błogosławieństwo Namiestnika Chrystusowego. Pójdźcie i zobaczcie, a potem dopiero sądźcie. Pójdźcie i zobaczcie, a pewny jestem, że niejeden powtórzy za Ojcem św. słowa konstytucyi, któremi niniejszą rozprawę zamykam: „...ufamy, „że zakon Bazylianów na Rusi halickiej za pomocą Bożą w pełnej „znowu świetności odżyje, i do wszelkich cnót wprawiony łatwo „dopnie tego, co i założyciel jego św. Bazyli i wskrzesiciel św. Jo„zafat zamierzali, a więc świętą wiarę katolicką w jednych utwierdzi, „w innych zaszczepi, starodawną narodu swego z Stolicą rzymską „łączność wzmocni, i katolickim Rusi biskupom będzie dostarczał „uczonych, pracowitych i mężnych spółpracowników“.

X. H. Jackowski T. J.

TYSIĄCLETNI JUBILEUSZ ŚW. METODEGO.

Wieleśmy jubileuszów ostatniemi czasy obchodzili: czciliśmy pamięć królów, wieszczów, dziejopisarzy, którzy wzbogacili duchową i dziejową naszego narodu skarbnicę. Czem są imieniny rodziców w życiu rodzinnem, tem być mogą takie obchody w życiu narodów — byle tej czci nie pospolitować i tylko takim oddawać ją ludziom, którzy prawdziwie ojcami narodu byli i tylko takim dziełom, których błogie skutki przetrwały wieki.

Jakoż, w najwłaściwszem znaczeniu, ojcami narodów nowożytnych, są tylko ci, co je ochrzcili: bo nawrócenie do chrześcijaństwa było dla nich wszystkich początkiem cywilizacyi i politycznego bytu; w chrzcie św. urodziły się te ludy, nietylko dla nieba, ale i dla ziemskiego zawodu, jaki miały z woli Bożej przy macierzyńskich piersiach Kościoła rozpocząć.

Otóż pierwszymi takimi ojcami naszej wiary, z której się wykłuła nasza cywilizacya i narodowa nasza osobowość, są niezawodnie święci Cyryl i Metody. Oni to zasiali wśród słowiańskich ludów, co po paru wiekach inni robotnicy Chrystusowi przyszli żąć; jak św. Wojciech w Polsce, św. Oto na Pomorzu, Ditmar w Cze-

chach, Modest w Karyntyii i t. d. Tę myśl podniósł Ojciec św. Leon XIII. budząc w słowiańskich ludach poczucie, że mają wspólnych ojców w śś. Cyrylu i Metodym i pokrewieństwo duchowe w wierze rzymsko-katolickiej, nierównie istotniejsze od pobratymstwa szczepowego.

Jakby na dopełnienie tej wielkiej myśli Namiestnika Chrystusowego, zdarza się właśnie na przyszły rok 1885, tysiącletnia rocznica śmierci św. Metodego, — która przypadła 6 kwietnia 885 r. w Welehradzie, ówczesnej stolicy morawskiego państwa.

Zamiar obchodu tej uroczystej pamiątki w Welehradzie kiełkuje oddawna w katolickiej Słowiańszczyźnie. Już od r. 1860 zajmowano się restauracyą sławnej niegdyś świątyni Welehradzkiej, wraz z starożytnem opactwem, które od czasów Józefa II. w gruzy się rozpadało. R. 1863 obchodzono tam uroczyście tysiącletnią pamiątkę założenia tamże stolicy biskupiej przez śś. Apostołów Słowiańszczyzny. Morawianie, Czesi, Słowacy, Szlązacy, Słoweńcy, Horwaci, Lużyczanie, zdążali do świętego miejsca kompaniami, pod przewodem swych kapłanów. W główną uroczystość, 5. lipca i przez oktawę, Welehrad liczył kapłanów na setki, a pobożnych pątników na setki tysięcy. Brakło tam tylko Polaków, którzy, wśród zgiełku ówczesnych wypadków i nieszczęść, ani wieści nie dosłyszeli o tym pokojowym tryumfie wiary i jedności w Chrystusie pobratymczych ludów.

W ten sposób wskrzeszony został z łaski Opatrzności Bożej, w starem swojem siedlisku katolicki Znicz, którego wieczny płomień ma Słowian do siebie przyciągać, ogrzewać i oświecać. Z łaski Opatrzności, mó-

wię, bo równocześnie na drugim końcu słowiańskich ziem wzmaga się ognisko szyzmy, a ludy słowiańskie do jednego z tych dwóch ognisk garnąć się muszą. I tak już szyzma — żal się Boże — zdobyła między niemi ogromną przewagę. Nie szczędziła też ku temu celowi zabiegów, i dziś jeszcze słychać, że tę samą pamiątkową uroczystość zamierza z wielką okazałością w Poczajowie, na samej granicy swej, obchodzić. Obowiązkiem więc jest wszystkich, którzy o prawdziwe dobro słowiańskich ludów się troszczą, przyczyniać się do rozniecenia tego Znicza katolicyzmu. W szczególniejszy zaś sposób, jestto powinnością i posłannictwem nas Polaków, bo to nasza tradycya dziejowa, sprawę wiary mieć za swoją sprawę, a choć wiele mamy sobie do wyrzucenia niedostatków, jednak między ludami słowiańskimi, my jeszcze najwięcej tego zarzewia wiary rzymsko-katolickiej posiadamy.

Wzięliśmy, co prawda, piękny udział w pielgrzymce r. 1881. na uczczenie śś. Cyryla i Metodego. Lecz gdy u nas miła tylko pamięć tej uroczystości pozostała, inni katolicy, Słowianie skrzętnie pracowali nad dalszym rozwojem tej wzniosłej idei, r. 1863. niejako zasianej, a r. 1881. zakwitłej. Zawiązały się w tym celu komitety, powstały towarzystwa, zabrano się do pisania pomnikowych dzieł, celem zaznajomienia Słowian z tak ważnym dla nich przedmiotem i przygotowania naukowo gruntu do zamierzonego obchodu na rok 1885. W szczególności od r. 1880 wychodzi w Welehradzie, pod redakcyą miejscowego dziekana, ks. J. Vykydal'a, znakomity rocznik, *Sbornik Velehradsky*, w którym świeccy i duchowni uczeni gromadzą, co tylko daje się zebrać, o dwóch słowiańskich Apostołach, pod względem hi

storycznym, dogmatycznym, liturgicznym i archeologicznym. Już w kwietniu b. r. Przegląd powszechny zdał sprawę z tego cennego dzieła[1] i pierwszy miał szczęście oznajmić naszym rodakom o przygotowującej się uroczystości.

Wreszcie 2. paźdz. z. r., zebrało się w Bernie liczne zgromadzenie duchownych i świeckich, pod przewodnictwem Najp. ks. Biskupa Bauera, celem przygotowania i urządzenia tego obchodu. Uchwalono na tem zgromadzeniu trzymać się tradycyi z r. 1863 i utworzono komitet, którego prezesostwo przyjął hr. Egbert Belcredi. Dla ułatwienia zaś czynności podzielił się komitet na trzy oddziały: jeden trudniący się samemi uroczystościami, na którego czele stoi ks. prałat Adam Potulicki, zwierzchnik archiprezbiteryatu, w którego obrębie leży Welehrad; drugi oddział literacko-artystyczny, trudniący się ułożeniem i wydawaniem pamiątkowych dzieł, obrazków, medali i t. d.; prezesem jest ks. prałat hr. Poetting, proboszcz katedralny ołomuniecki; trzeci oddział finansowy, pod przewodnictwem Dra Srom'a wicemarszałka sejmu morawskiego. Szczegółowy program całego obchodu już jest opracowany i w ciągu przyszłego miesiąca będzie ogłoszony, a w szczególności rozesłany NN. XX. Biskupom, z prośbą o łaskawe poparcie. Obecnie komitet zajmuje się gorliwie przygotowaniem odpowiedniego umieszczenia i ugoszczenia biskupów, kapłanów i innych zacnych gości w samym Welehradzie; stara się o nagromadzenie wiktuałów, o zniżenie ceny jazdy na kolejach i t. d.; a nie zapomina i o tem co najważniejsza: żeby dla usługi duchownej pobożnej

[1] Przegląd powsz. tom II. str. 127—130. (Poszyt 4-ty).

nych pątników zgromadzić dostateczną liczbę kapłanów wszystkich słowiańskich języków. W tym celu rozesłane będą odezwy do różnych zakonów. Na koniec Jego Świątobliwość Ojciec św., w swej wyjątkowej o dobro ludów słowiańskich troskliwości, udzielił już nader hojnych odpustów, które ks. kardynał Fürstenberg w miesiącu grudniu ogłosić zamierza.

Po ukończeniu prac przygotowawczych pojedyńczych oddziałów zbierze się komitet *in pleno* dla powzięcia ostatecznych uchwał i porozumienia się z komitetami innych krajów słowiańskich. Takie komitety istnieją już na Szląsku, u Słoweńców, w Czechach — ten ostatni, pod protektoratem ks. kard. Schwarzenberga, liczy w swojem gronie hr. Karola Schönborna, książąt Lobkowitza i Schwarberga jun., hr. Franciszka i Jarosława Thun i innych.

Dziś z radością donieść możemy, że i u nas, w Krakowie i we Lwowie, zawiązują się już komitety pod przewodnictwem Najp. XX. Biskupów Albina Dunajewskiego i Seweryna Morawskiego. Osobny też komitet dla Rusinów utworzył się pod prezydencyą Najp. ks. Biskupa Sylwestra Sembratowicza.

W Bogu nadzieja, że Polska zajmie godnie w tej sprawie przynależne jej stanowisko.

W chwili oddania tego pisma do druku, otrzymujemy z Welehradu odezwę, którą tu w całości umieszczamy:

ODEZWA Z WELEHRADU

przysłana do redakcyi „Przegl. Powsz.“

Do Betleemu, choć lichej mieściny ziemi żydowskiej, przyszło jednak trzech mędrców pokłonić się nowonarodzonemu Odkupicielowi. Welehrad to Betleem słowiańskie! Niepokaźne wprawdzie miasteczko w ziemi morawskiej, ale jednak dla tego, że słowiańskim jest Betleemem, przychodziły tu już tysiące Słowian oddać pokłon Zbawicielowi. Zwiastowali Go nam śś. Apostołowie Cyryl i Metody. Prawdziwie oni nam gwiazdą byli Betleemską, bo prowadzili i przywiedli do Chrystusa całą Słowiańszczyznę.

Za Rościsława r. 863 przybyli śś. Cyryl i Metody, sławni bracia, do królewskiego Welehradu. Błogosławione było ich przybycie! Aż dotąd żywimy się płodną ich pracą apostolską. Aż dotąd nie zdołaliśmy odwdzięczyć się im za ich wiekopomne dobrodziejstwa! Bo oni i wiary prawdziwej nas nauczyli i położyli fundament cywilizacyi narodowej.

Świadomi będąc Słowianie, jak błogosławionem było dla nich przybycie śś. Cyryla i Metodego do Welehradu, obchodzili tysiącletnią pamiątkę dnia tego w r. 1863 we wszystkich swych ziemiach, szczególnie jednak w samym Welehradzie. Obchód to był tak wspaniały, jakiego świat

nie widział. Ktoby się o tem chciał przekonać, niech przeczyta „Zpominky na cyrillo-methodejsky rok 1863“, w „Sborniku Welehradském“ I. roc. str. 26—154.

Drugą sposobność okazania czci i wdzięczności powszechnej podał nam tysiącletni jubileusz śmierci św. Cyryla w r. 1869.

Trzecią sposobnoscią do takichże objawów jest rocznica śmierci św. Metodego. Św. Metody apostoł nasz słowiański, zakończył błogosławiony swój żywot d. 6 kwietnia r. 885. w królewskim Welehradzie, jako metropolita morawski. Jakżeby więc jubileuszowy rok jego śmierci, rok 1885, mógł przeminąć bez odpowiedniego, owszem bez nader uroczystego obchodu, tak w samym Welehradzie, jak i po wszystkich naszych ziemiach słowiańskich?

Jakoż nie przeminie! Przygotowania odbywają się już w Czechach, na Szląsku u Słoweńców. Przygotowania czynią o ile wiemy, słowiańscy bracia nasi na południu. A w przygotowaniach tych u nas biorą udział znakomite osobistości z Morawii i twoi rodacy, szlachetna Polsko; skąd wnosić można, że i bracia Polacy pomyślą skutecznie o jubileuszu św. Metodego.

Każdy zaiste najlepiej wie o tem, jak w jego własnym kraju przysposabiają się do tej wielkiej uroczystości. Z przyjemnością więc uwiadamiam kochanych braci Polaków o jubileuszowych przygotowaniach w Morawie, i jakkolwiek wyznać muszę teraz, że w jednym liście skreślić wszystkiego niepodobna, to żadnej ujmy ni szkody stąd nie będzie, jeśli w częstszych sprawozdaniach dokładniej opowiemy przebieg przygotowań jubileuszowych. Na razie poprzestajemy na skreśleniu działań „komitetu głównego w celu obchodu jubileuszu r. 1885“.

Dnia 2-go października 1883 r. zjechało się w Bernie przeszło 40 znakomitszych osobistości duchownych i świeckich. Przewodniczył na tem zebraniu J. M. ks. biskup Berneński, Dr. Franciszek Salezy Bauer. Mądrość tylu światłych mężów i nabyte już doświadczenie z r. 1863, ułatwiło obrady. Podano wniosek, aby komitet, który tak znakomicie kierował obchodem jubileuszu r. 1863., zajął się też jubileuszem św. Metodego w roku 1885, na podstawie programu opracowanego w Welehradzie i przedłożonego obradującym. Potwierdzono więc dawny komitet, postanowiono jednak zapełnić luki, i według potrzeby pomnożyć skład jego ludźmi najzdolniejszymi. Tak się też stało. Obecny skład komitetu jubileuszu św. Metodego roku 1885 jest następujący:

Prezes: JW. hr. Egbert Belcredi, pan na Liszni i Imramowie, poseł państwowy i ziemski, prezes lub honorowy członek wielu innych stowarzyszeń.

Wiceprezes: JMĆ. ks. prałat Aug. Kiovsky, archidyakon i kustosz katedralny w Bernie.

Podskarbi: Dr. Jan Lachvit, adwokat w Bernie.

Prokurator (jednatel): p. Alojzy Hrudicka, profesor z Berna.

Aby ułatwić i przyspieszyć czynności głównego komitetu, uchwalono tenże podzielić na trzy wydziały:

1) literacko-artystyczny, 2) obchodowy tj. zajmujący się urządzeniem samej uroczystości, 3) finansowy. Każdy z członków sam sobie obrał wydział, w którym chce pracować; poczem przystąpiono do wyboru urzędników pojedyńczych wydziałów.

1. W wydziale literacko-artystycznym obrany został prezesem: ks. prałat hr. Eman. Pötting, generalny

wikaryusz i kanonik ołomuniecki. Wiceprezesem: prałat Dr. Matej Procházka, honorowy kanonik, patryarcha pisarzy czeskich w Bernie. Prokuratorem Vlad. Slastny, poeta, prof. gimn. w Bernie.

Członkami są: ks. prałat rajhradski Bened. Korcian, słynny archeolog morawski, Vinc. Brandl sławny poeta, ks. Jan Sankop, proboszcz w Dodrawicach, p. Peregryn Obdrzálek w Błońsku, powszechnie ceniony pisarz; ks. Wacł. Kosmak proboszcz w Twarożnie, p. architekt Gustaw Meretta urzędnik JEm. kard. Fürstenberga z Kromieryża, p. Wacł. Royt z Berna, p. Placyd Mathon, redaktor i zarządca miejskiej drukarni w Bernie, ks. Dr. Kar. Eichler, proboszcz z Byciszki, ks. Jan Vychodil wikaryusz w Welehradzie.

2. W wydziale obchodowym prezesem: ks. prałat Adam hr. Potulicki, kanonik ołomuniecki w Kromieryżu. Wiceprezesem: ks. dziekan Fran. Marsowsky w Bernie. Prokuratorem ks. Dr. Jos. Pospisil prof. dogmatyki przy wydziale teologicznym w Bernie.

Członkami: ks. Jos. Vykydal dziekan i proboszcz w Welehradzie, Dr. J. Hodr w Bernie, Dr. Jan Schneider proboszcz w Krzyżanowicach, prof. ks Jos. Vojtech honor. kanonik w Bernie, p. Fran. Hoch starosta w Hrubczycach.

3. W oddziale finansowym prezes: Dr. Franc. Aloizy Srom, naczelnik narodowego stronnictwa w Morawie, adwokat w Bernie. Wiceprezesem p. J. Zapletal, urzędnik w Bernie. Prokuratorem p. V. Nebovidsky oficyał ziemski w Bernie.

Członkami: ks. prałat staroberneński, Ans. Rambousek, ks. Dr. Franc. Zeibert kanonik w Bernie, Dr. J. Kozanek, adwokat w Kromiczyżu, Dr. J. Kondela

poseł i adwokat w Bernie, ks. Ant. Cyr. Stojan wikary w Przyborzu, p. Fr. Hanak starosta w Mościenicy.

Tym sposobem główny komitet jubileuszu św. Metodego otrzymał szeroką podstawę i silne poparcie; praca pojedynczych wydziałów daje nam rękojmię pomyślnego skutku przygotowań do wspaniałego obchodu, tak w Welehradzie jak i w całej Morawii.

Ks. Józef Vykydal
Dziekan i proboszcz w Welehradzie.

PO SKIERNIEWICKIM ZJEŹDZIE.

Kiedy się zjeżdżali trzej najpotężniejsi władcy Europy w Skierniewicach, zdawało się, że to będzie co najmniej wypadek historyczny, punkt wyjścia jakiegoś nowego porządku rzeczy. Tyle dziś wielkich kwestyj politycznych czeka rozwiązania, tyle interesów ludzkości doprasza się jakiegoś zaradzenia: Egipt w piekącym stanie zawieszenia i rozstroju, półwysep bałkański w tymczasowości, kwestya rzymska w napięciu gorszem niż przed parą laty, z Chinami wojna, która handlowi całego świata zagraża; w całej niemal Europie kwestya religijna rozgorączkowana, kwestya narodowości wciąż nowe puszczająca konary, kwestya semityzmu jeszcze grożąca, wreszcie najgorsza ze wszystkich, kwestya socyalna w rozmaitych swych postaciach. Jeżeli gdzie i kiedy takie kwestye narzucają się z wymaganiem rozstrzygnięcia, jeżeli gdzie mogą się choć jakiejś spodziewać zarady, to przedewszystkiem tam, gdzie się schodzą mężowie, którzy z najwyższych punktów widzieć mogą bieg świata i którzy najwięcej z ludzi wpłynąć zdołają na kierunek tego biegu. Słuszne więc, jak się zdaje, było oczekiwanie Europy, wyrażone w jej prasie.

Tymczasem dziś ta sama prasa rozwodzi się o spełznięciu tego zjazdu na niczem; zestawia go z odbytą miesiąc przed tem konferencyą londyńską, gdzie dyplomacya jeszcze widoczniejsze zrobiła *fiasco* — i stawia sobie pytanie: jaka też może być przyczynatej dziwnej niemocy do porozumienia się i wspólnej akcyi, jaką dziś Europa zdaje się być porażoną.

W istocie, na dowód tej niemocy nie trzeba szukać zjazdów i konferencyj. I po za niemi Europa wciąż sejmuje; za pomocą

drutowej sieci oplatającej świat, sternicy narodów są tak zbliżeni, z taką łatwością ze sobą rozmawiają, jak gdyby w jednej sali obradowali. A jednak, mimo powszechnej między nimi chęci ukojenia drażliwych kwestyj i założenia podwalin stałego ładu i pokoju — nie widać owocu ich narad: ten sejm nieustający narodów nigdy nie dochodzi. Gdzież tego przyczyna? czegóż jeszcze brak tym sejmującym? Brak im jednej niezbędnej rzeczy: stałego gruntu, stałej wspólnej podstawy umów.

Niegdyś Europa była Rzecząpospolitą chrześcijańską, *respublica christiana*, i miała w Papieżu uznanego prezydenta; tym sposobem, choć dopiero się wychylała z wieków barbarzyństwa, mogła większą część sporów rozstrzygnąć prawem i zdolną była do zbiorowego czynu. Później, gdy wpływ polityczny papiestwa zmalał, pozostały jednak pewne wspólne pierwszorzędne interesa, jak walka przeciwko Turkom — zostało oraz w sumieniu publicznem uznanie wspólnego prawa, tj. prawa natury w międzynarodowych stosunkach. Kiedy Grocyusz pisał: *De jure belli et pacis*, to *jus* nie było oderwaniem, ale żyło jeszcze w sumieniu ludów. Prawo to, nie mniej jak prawa cywilne, bywało raz po raz gwałcone, ale (co jest wielką różnicą) nie bywało zaprzeczane; kto je gwałcił, zasłaniał się i wymawiał, kto gwałt ponosił, apelował do prawa i słuszności, kto patrzał na gwałt, oburzał się i choć czasem, w imieniu prawa, za pokrzywdzonym się ujął. Od końca przeszłego wieku, tj. od wprowadzenia t e o r y i, prawo ze siły według Rouss'a wywodzącej i od f a k t u d z i e j o w e g o rozbioru Polski, zaszła pod tym względem znaczna różnica: prawo natury między narodami nie ma już sensu w teoryi, a w praktyce, jak dowiódł niezbicie znakomity publicysta Urquart[1], jest ono radykalnie uchylonem. Zachowują się jeszcze pewne formy przy wydawaniu wojen i zawieraniu traktatów, jako reminiscencye byłych obowiązków — podobnie jak formy grzeczności „upadam do nóg", „Wielmożny Panie", są reminiscencyami minionych stosunków — ale jak tych, tak i owych formuł nikt nie bierze na seryo. Bohaterowie wieku chlubią się ze szalbierstwa i publikować każą korespondencye i dokumenta o nieuczciwości ich po-

[1] *Appel d'un protestant au Pape*, rozdz. I. i indziej.

lityki świadczące; mąż stanu, któryby w obec wydania lub uniknienia wojny, oglądał się seryo na słuszność i godziwość, ledwoby się ważył do tego przyznać. Wszyscy w ogóle jesteśmy tak dalece duchem czasu owiani, że przy ocenianiu ludzi i czynów politycznych, ani nam na myśl nie przychodzi moralność i prawo natury. Chwalimy tego co wojnę wydał w chwili, kiedy sąsiad nie był w stanie się bronić, a oburzamy się jeszcze na tego, co przechodnia w lesie złupił i zabił — jak gdyby między jednym a drugim czynem była jakościowa, a nie czysto ilościowa różnica.

Otóż to właśnie uchylenie prawa natury zniosło jedyną wspólną podstawę, a więc jedyną możliwość trwałego porozumienia się i stanowczych układów między państwami. Wystawmy sobie dwie osoby, chcące zawrzeć umowę, a niemające, prócz interesu, żadnego wspólnego punktu oparcia: ani prawa, ani władzy nad sobą, ani sumienia. Jakżeż ta umowa będzie wyglądała? Jeżeli A jest mocniejszy, B przestanie na mniejszym dziale, szczęśliwy jeśli nie utraci wszystkiego; jeśli B mocniejszy, układ będzie odwrotny; w tym tylko przypadku zgodzą się na równe działy, jeśli się w równej sile poczują. Jakakolwiek zaś między nimi zapadnie ugoda, nie będzie ona miała żadnego znaczenia, ani mocy obowiązującej, nie będzie, właściwie mówiąc, ugodą: bo, jak tylko siła tego A lub tego B zwiększy się albo zmniejszy, ustanie tem samem racya dotrzymania ugody, trzeba będzie zmieniać warunki. Ugoda o tyle tylko jest ugodą, o ile ma jakąś moc i ważność moralną, o ile więc suponuje prawo moralne, powszechnie obowiązujące strony godzące się; jeżeli zaś jest tylko wyrazem istniejącej w danej chwili równowagi fizycznych sił, fikcyjnie tylko nazywa się ugodą. Zatem idzie ciągłe zmienianie tych wrzekomych ugód, bo między czynnikami żywotnymi, jak organizmy społeczne, stateczność równowagi istnieć nie może; *równowaga europejska* jest z natury rzeczy równowagą niestałą. Zatem więc idzie dalej ciągłe potęgowanie się, czyli raczej coraz większe napięcie tych sił: tj. armie coraz liczniejsze, broń coraz bardziej mordercza, budżety coraz uciążliwsze, coraz większy procent doborowych ramion odjęty produkcyjnej pracy i zajęty, nawet w czasie pokoju, dźwiganiem broni; tak dalece żeśmy zaszli pod tym względem, wśród naszej humanitarnej cywilizacyi, daleko dalej niż państwo rzym-

skie wśród pogańskich i krwawych obyczajów[1]. Narody cywilizowane (smutno wyznać) przyszły do tego, że w stosunkach między sobą znajdują się w stanie dzikim, tj. takim, w którym jedyna roztrzyga siła i jedni z drugimi albo się biją, albo potrząsaniem maczugi w wzajemnym respekcie trzymają.

Może kto przypuszcza, że to konieczne następstwo dzisiejszego postępu. Ja nie tak źle o tem postępie sądzę. I w rzeczy samej, nowe warunki, przez ten postęp stworzone i od pół wieku już istniejące: jak ułatwienie komunikacyi, mieszanie się ludności, szybka wymiana myśli i produktów, powinny były wręcz przeciwny wywołać skutek. Buckel, patrząc na te warunki ze stanowiska historyozofii, twierdził już, że upadek militaryzmu jest faktem dokonanym, a Herbert Spencer do dziś dnia to prorokuje. Tymczasem militaryzm wciąż się wzmaga, stosunki między państwami stają się wciąż niepewniejszemi, układy i groźne grupowania się mocarstw coraz częściej się zmieniają. Jedno tylko prześlepili ci filozofowie, że obok tych wszystkich postępów, dążących do zbratania narodów, pojęcie słuszności i prawa natury w stosunkach międzypaństwowych zaciera się i ginie: a to jedno, mimo wszelkich postępów, intronizuje brutalną siłę. Jestto logiczne, jakeśmy widzieli, następstwo rzeczy; jestto zarazem słuszna Opatrzności kara, bo prawo natury jest prawem Stwórcy.

Krążyły temi czasy po świecie pogłoski o projektach powszechnego rozbrojenia: mówiono, że wielki kanclerz o tem myśli, że przymierze austro-niemieckie do tego zmierza i t. d. i t. d. Jak olbrzymie korzyści przyniosłoby to światu! ulgi w podatkach, spokój w rodzinach, bezpieczeństwo handlu i giełdy... złote marzenia! ale nie dla wieku, który stawia zasadę „siły przed prawem“. Nie starczy na to, ani żelazna wola genialnego męża stanu, ani ten głód pokoju, jakiego dziś doznają narody, ani czarodziejska łatwość wymiany myśli, jaką mamy w ręku; nie doprowadzą nas do tego żadne materyalne postępy, ani państwowe urządzenia: bo, mówiąc po prostu, sprzecznością jest, żeby siłą

---

[1] *Champagny* w swych znakomitych „Studyach o cesarstwie rzymskiem“ oblicza, że to państwo w stosunku do swojej ludności miało mniej wojska niż dzisiejsza Europa.

znieść można prymat siły. Jedno z dwojga, albo siła albo prawo musi być ostateczną stosunków ludzkich podstawą. Im mniej uznaje się pierwszeństwo prawa, tem więcej potęgować się musi brutalny rząd siły — i tylko wtedy absolutyzm siły ustać może, kiedy ludzkość uzna bezwzględną moc prawa [1].

X. Maryan Morawski.

[1] Te uwagi nasunęły mi się pod pióro, z okazyi skierniewickiego kongresu. Dokładny zaś tej kwestyi rozbiór znajdzie miejsce w szeregu już rozpoczętym naszych studyów etyczno-socyalnych.